

PRZYMIERZE

WSTĘP

Na kartach tej książki historia Starego Testamentu nabiega żywą krwią. Pulsuje ona w postaciach znanych nam z Biblii - Abrahama, "ojca ludu", żony jego Sary, pięknej i wiernej, bratanka Lota i żony jego, zamienionej w słup soli podczas ucieczki z płonącej Sodomy, a także całego, wolno żyjącego, pasterskiego plemienia Hebrajczyków, które rządzi się własnymi prawami, swoistą moralnością, wierzy we własnych bożków i opiekuńcze posążki rodowe - terafim.

Bogactwo szczegółów historycznych i obyczajowych idzie tu w parze z pięknym, plastycznym językiem, właściwym najlepszym historycznym powieściom Zofii Kossak.

Ale ta książka przekroczyła granice zainteresowań historycznych autorki - stała się obrazem przeznaczeń ludzkich, znakiem przymierza, jakie zawiera Bóg z człowiekiem bez reszty Mu oddanym.

Postać Ab - Rama, "ojca ludu", który upadając i błędząc wiecznie szuka Prawdy, niezmiennie nasłuchuje jej głosu - dla nas, oddzielonych przepaścią wieków, wcale nie jest anachronizmem. Na naszych oczach jego pasterski lud przeobraża się w świadomy siebie naród, a jego losy, zamknięte w książce granicami życia Ab - Rama, ponad nieskończonym szeregiem stuleci są zapowiedzią i wytłumaczeniem sensu istnienia człowieka.

CZEŚĆ PIERWSZA

POWOŁANIE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W GRODZIE UR

Elizer, zwany Damasceńskim, zawrócił do obozu zabierając osły ze sobą, Ab - Ram, pan jego, wszedł pieszo na wielkie schody wiodące ku bramie miejskiej. Drugi niewolnik, Sur, młodzik o nie zarośniętej jeszcze twarzy, kroczył za nim, dźwigając na głowie kosz wypełniony żywnością. Schody o szerokich kamiennych stopniach były wyłobione od wielowiekowego użycia, a tak połogie, że osły i wielbłądy wchodziły tędy swobodnie. Starodawny gród Ur, leżący nad dolnym Eufratem, wznosił się na sztucznym wzgórzu, blisko sto łokci wysokim, usypanym niegdyś, pewno przed potopem, przez zapomniane dziś ludy.

Ab - Ram bez pośpiechu wszedł w pożądany cień murów. Brama była przestronna, nisko sklepiona, zamykana na noc spiżowymi wrzeciędzami. Skrzydła wrót pokrywała płaskorzeźba przedstawiająca oblężenie miasta. Panujący pod sklepieniem chłód czynił z bramy ulubione miejsce spotkań mieszkańców grodu, a zarazem targ. Tu najchętniej załatwiano sprawy kupieckie lub prawne, wymieniano nowiny i plotki. Tu gromadzili się przekupnie uliczni, kuglarze, zaklinacze, zamawiacze. W koszach z sitowia stojących pod murem piętrzyły się płaskie chleby, gorące placki okrągłe i twarde jak kule oraz "debelah", ulubiony przysmak przyrządzony z fig i rodzynków wymieszanych z miodem, po czym wysuszonych na słońcu. Zwarte roje much brzęczały nad koszami. Obok sprzedawano garnki i miski polewane, a także najtańsze naczynia ubogich wykonane z suchej, wydrążonej dyni. Liczni żebracy krzyczeli domagając się wsparcia. Sprzedawcy wonności unosili w górę maleńkie ampułki pełne cennego olejku. Wśród gadatliwej ciżby nie brakło szpiegów nasyłanych przez namiestnika lub kapłanów, jednak radych wiedzieć, o czym rozmawia pospólstwo, na szerokiej zaś ławie widny z dala siedział urzędnik królewski trzymając przed sobą szale do ważenia złota lub srebra. Wprawdzie każdy kupiec nosił w woreczku przy boku własne wagi i ciężarki w kształcie lwa lub byka, lecz klient podejrzewający jego sumiennosc miał możliwość, a nawet obowiązek odnieść się do urzędnika dla sprawdzenia wagi. W wypadku niedokładności kupcowi obcinano dłoń.

Powszechnie przyjętą monetę stanowiły sykle srebrne odpowiadające ciężarowi 320 ziarn jęczmienia; 60 sykli tworzyło jedną minę, 60 min - jeden talent. Choć waga zboża pozostawała na ogół ta sama, wartość sykli była zmienna. Inaczej ceniono sykle babilońskie niż elamickie lub asyryjskie. Nawet w obrębie jednego państwa odróżniano minę królewską i minę kapłańską. Różnice wagi były powodem nieustannych sporów, przeto większość kupujących i sprzedawców wolała załatwiać swe targi wymiennie.

Ab - Ram przystanął u wejścia, po oślepiającym blasku słońca bowiem wewnątrz bramy wydało mu się nieprzenikniętą ciemnością. Korzystając z tego gromada przekupniów obskoczyła go ofiarowując natarczywie swój towar. Potrząsnął przecząco głową i połę szerokiego płaszcza z sierści wielbłądziej przerzucił przez ramię dając tym ruchem poznać, że nie potrzebuje niczego. W twarzy miał lekceważenie, jakie każdy wolny pasterz żywił dla mieszkańców murów. Był wysoki, postawny. Jego biała chusta osłaniająca głowę i barki, opasana trójkątnie czarnym sznurem, górowała nad ciżbą. Zatrzymał się przez chwilę przy handlarzu zakłęt królującym pośród tabliczek glinianych, cegieł i amuletów.

- objaśnij mnie, gdzie mieszka adon Taribal, sprzedawca zaklęć - zapytał.

- Żyj wiecznie, panie mój! Czemu chcesz utrudzać nogi idąc do mistrza Taribala? Sługa twój posiada najlepsze zaklęcia... Wybieraj, co chce dusza twoja... Przeciw demonom czy ludziom?...

- Pytałem, odpowiedz. Twoich zaklęć nie chcę. Sprzedałeś w zeszłym roku memu ojcu zaklęcie przeciw czarom, a kapłan znajomy przeczytawszy tabliczkę rzekł, iż znajduje się na niej spis zbioru daktyli sprzed trzech lat.

- Demony ją zamieniły... - mruknął sprzedawca zmieszany. - Adon Taribal mieszka naprzeciwko Wieży. Poznasz dom po wielkich płytach, na których "melek melakim", oby żył wiecznie, kazał wyryć swoje przykazania... Moje zaklęcia są dobre, zaklęcia Taribala są nic niewarte - dodał jeszcze.

Ab - Ram nie słuchał. Wyszedłszy z bramy zwrócił się do Sura.

- Pospiesz do Tarego syna Nachora, oddaj jadlo i powiedz, że przyjdę niebawem.

Niewolnik zgiął się w ukłonie przytrzymując ręką kosz i ruszył zwawo uliczką idącą pod murami. Ab - Ram wspinał się dalej po schodach wiodących od bramy ku świątyni. Obrzeżały je postacie skrzydlatych byków o ludzkich głowach oraz lwów. Sztuczne wzgórze, na którym stało miasto, wydymało się w tym miejscu płaskim, okrągłym kopcem, przeto stojące na wzniesieniu świątynia, Wieża Kapłanów oraz pałac królewski wydawały się wyższe, niż były w istocie. Jak wszystkie budowle w tym płaskim, mulistym kraju, zmurowano je z cegły palonej, pokrytej lśniąca polewą. Na świątyni i pałacu polewa miała barwę błękitną, służącą za tło malowanym korowodom bogów, królów, kapłanów, wojowników, jeńców, byków i lwów. Niezliczone postaci walczyły, ucztowały, przyjmowały hołdy, ofiary, sunęły karnymi rzędami, ginęły, oddawały się łowom albo spoczynkowi. Świetność ich barw szła w zawody z wykonaniem.

Nad głównym wejściem pośród krępych kolumn malowane korowody ustępowały miejsca szerokiej płaszczyźnie odbijającej od reszty ścian jaskrawszym błękitem. Pośrodku niej królował sam jeden olbrzymi bóg Marduk Bel z piorunami w dłoni, z bestią Tiamat powaloną u stóp, Marduk - władca świątyni, grodu, kraju, szczególny opiekun króla Babilonu, obecnego pana Ur, Hamurabiego syna, Sin Muballita. Panował tutaj niedawno. Mieszkańcy miasta pamiętali, jak na rozkaz Babilończyka obtłukiwano stare cegły robiąc miejsce nowemu bogowi. Prawie tysiącletnia świątynia wzniesiona przez założycieli wielkiej dynastii sumeryjskiej służyła dotychczas ku czci boga Nannar - Sina, żeglującego w srebrnej łodzi miesiąca nad światem. Nannar - Sin, wraz z bogiem słońca Samaszem, bogiem Anu - panem nieba, bogiem Enlil rządzącym powietrzem, bogiem Enki rozkazującym wodom oraz boginią Ninngal, panowali nad wszystkimi grodami leżącymi w dolinie dolnego Eufratu i Tygru. Były to czasy bogactwa, chwały, potęgi i pomyślności. Nannar - Sin wraz ze swą switą odpłacał hojnie za składane mu ofiary. Niestety, nie wiedzieć czemu, życzliwość jego wygasła i nieszczęścia jęły walić się, jedno za drugim. Czymże w oczach starożytnych władców Sumeru był świeżo wzniesiony Babilon? A oto król babiloński, Sin Muballit, podbił kraj, wyrznął stawiających opór mieszkańców Ur, króla ich oślepił. Syn Sin Muballita, panujący obecnie Hamurabi, powiększył podboje ojca. Zdobył kolejno Elam i stolicę tego państwa Suzę, zdobył Larsę i starożytne Mari, gdzie pałac królewski liczył sto trzydzieści dziedzińców; sięgnął aż po granice

Asyrii. Upojony swą mocą, pragnął podbite ludy, Sumerów, Akkadów, Gutów, Elamitów, Amorejczyków, uczynić jednakowymi, stopić je, jak odlewnik topi miedź i cynę. Upodobnić plemiona z południa do plemion z północy i plemiona górskie do plemion z pustyni. W tym celu kazał spisać prawa jednakie dla wszystkich poddanych, obowiązujące wszędzie, gdzie sięgało jego berło. Narzucił również cześć jednego boga, jego boga, babilońskiego Marduka.

To ostatnie najwięcej oburzało podbite narody. Wszak każde miasto posiada własnego boga opiekującego się szczególnie tą dziedziną, żadną inną. Własnemu bogu składano ofiary, własnego boga wychwalano w pieśniach. Nikt nie chciał obcego boga.

Lecz Hamurabi umiał przeprowadzić swoją wolę. Acz spokojny, ceniący sprawiedliwość, nie znosił nieposłuszeństwa i wszelki opór topił w rzekach krwi. Doświadczyło tego na sobie miasto Ur. Okrutnie karane, uległo wreszcie, wyrzekając się wszelkiej myśli buntowniczej.

Potomek starożytnej dynastii sumeryjskiej, syn oślepiętego króla, zachowywał wprawdzie zaszczytny tytuł "patesi", czyli "namiestnik boga", lecz bogiem był Marduk Bel, a wykonawcą jego woli Hamurabi. Wprawdzie straż trzymająca wartę u wrót królewskiego pałacu nosiła cudnie rzeźbione hełmy z pozłacanej miedzi, czarni niewolnicy sprowadzeni z Egiptu trzymali w pogotowiu wielbłądy okryte jedwabnymi kapami, w złotych obrożach na szyjach, lecz mimo tego przepychu patesi, prawowity władca pałacu i grodu, był cieniem bez powagi i siły, szpiegującym własnych poddanych na rozkaz Babilonu i drżącym przed donosem lada niewolnika.

Prawdziwi, nie ulegający zmianie panowie kraju, nie lękający się ani króla babilońskiego, ani (jak po cichu mówiono) bogów, mieszkali opodal, w Wieży Kapłanów, zwanej Zigurat. Nawet Ab - Ram obcy życiu miasta, obojętny na przewroty polityczne nie dotykające jego szczepu, spoglądał w tę stronę z szacunkiem. Wieża posiadała siedem pięter i górowała nad resztą budowli. Każde piętro miało kształt czworoboku coraz mniejszych rozmiarów, ślimak schodów owijał się wokół murów. Gdy pałac oraz świątynia rozplywały się błękitem ścian w błękitcie nieba zatracając swe zarysy, pozbawiona ozdób wieża jednolitej ciemnej barwy odcinała się niby opoka stercząca pośród rozchwianych, mieniących się fal. Strażnicy nie strzegli wejścia, mimo to nie znalazłby się zapewne w całym kraju śmiałek gotów nie wołany przestąpić ten próg. Przed drzwiami Wieży stała wielkich rozmiarów czarna granitowa, wypolerowana do połysku, pokryta wewnątrz siecią linii kolistych i promienistych przypominających siatkę pajęczą. Pośrodku sieci tkwił spiżowy dzirynt ukośnie nachylony, rzucający ostry cień. Ab - Ram wiedział od swego ojca, Tarego syna Nachora, że kapłani cenią wysoko tę czarę, zwą ją zegarem i liczą według niej pory dnia. Wiedział również, że każdy dzień podzielili na dwanaście godzin i na tyleż każdą noc, nie wiedział jednak, do czego mogło to być przydatne. Czyż każdemu człowiekowi nie wystarcza stary podział doby na sześć części: jutrznię, południe, wieczór, północ, pianie kogutów i brzask?

Na uboczu za świątynią wznosiła się jeszcze krępa kwadratowa baszta, zwana Studnią Milczenia lub Studnią Popiołów. Mury jej z surowej cegły nie posiadały żadnego otworu. Wąskie schody prowadziły na szczyt płasko ucięty. Wyglądała jak strażnica, na której wartownicy zapalają ogień w razie trwogi, w rzeczywistości przeznaczenie miała inne. Wnętrze jej wypełniał popiół; służyła do tracenia ludzi znacznym stanowiskiem lub urodzeniem, których należało usunąć bez śladów, widowiska i wiadomości pospółstwa. Skazańca wiedziono na szczyt i strącano w popiół. Własnym ciężarem zapadał się głębiej i głębiej, popiół zatykał gardło, tłumiał oddech, głos. Jeżeli w

rozpaczliwym szamotaniu skazaniec natrafił w mialkiej otchłani na twarde przedmiot, mogły to być tylko kości jednego z jego poprzedników. Nikt nigdy nie wyszedł żywy z posępnej Studni Milczenia.

Zakład mistrza Taribala słynął nie tylko w Ur, lecz i w grodach okolicznych. Zatrudniał kilkadziesiąt robotników zajętych mieszeniem gliny, formowaniem jej w cegły, tabliczki, przyzmy ośmiokątne, cylindry, odciskaniem znaków na świeżej powierzchni, wypalaniem. Na osobnym dziedzińcu wykuwano znaki w kamieniu i spiżowe dłutka ostro dźwięczały pobijane drewnianymi młotkami. W zacisznych izbach klienci dyktowali pisarzom akta prawne lub listy prywatne. Do odciskania klinowych znaków służył rylec, zwany "heret". Skrybowie poruszali nim z niezwykłą zręcznością. Zapisana tabliczka lub cegła szła natychmiast do pieca, gdzie ją wypalano starannie. Kamień był drogi, ściągany z daleka, wykuwano na nim przeto wyłącznie rozporządzenia królewskie albo tablice grobowe zmarłych dostojników. Wprawdzie wszystkie zapiski kapłanów, ich obliczenia astrologiczne, astronomiczne, matematyczne i przyrodnicze utrwalano również w kamieniu, kapłani jednak posiadali do tego celu własnych skrybów i rzeźbiarzy.

W izbie przeznaczony na tabliczki z zaklęciami na długim stole leżały liczne amulety, od drogocennych, rzeźbionych w złocie lub onyksie, do najpospolitszych, glinianych. Widniały na nich potworne twarze demonów, wiadomo bowiem, że zły duch ucieka przed swym wizerunkiem. Obok amuletów spoczywały rzędem figurki ludzkie odlane z ołowiu, służące do zadawania mąk lub śmierci na odległość. Wystarczyło rozgrzać ołów i wcisnąć weń odrobinę włosów, skóry lub paznokcia przeznaczony na śmierć osoby, by zawarta w nich tajemna siła ją działać. Niektóre postaci miały zawczasu wykręcone ręce, spętane nogi lub nosy i uszy obcięte.

Na widok wchodzącego Ab - Rama adon Taribal pokwapił się sam ku niemu pytając z wyszukaną uprzejmością, czego raczy żądać.

- Zakłęcie przeciw zimnicy?! - zawołał, posłyszawszy odpowiedź. - Twój sługa posiada zakłęcie przeciw zimnicy. Dobrze, stare, bardzo dobre i bardzo stare zakłęcie. Posłuchaj...

Usadził gościa na ławie stojącej w cieniu, wziął z półki tabliczkę i przybliżając ją do oczu zaczął czytać powolnym, uroczystym głosem:

- "Ty, co mi szkodzisz, co śliną mnie trujesz, tchnieniem potrząsasz, stopami depczesz, oczami prerażasz, śmiercią grozisz - bądź przeklęty, demonie, i unicestwiony! Przeklinam ciebie, twoje jadowite spojrzenie, twoje niosące śmierć stopy, twoje zdradzieckie kolana, twoje błyszczące oczy, twoje łopatki, twoje ręce, twój brzuch. Oby bóg księżycy Sin zniszczył cię, a ścierwo wrzucił w jezioro ognia i wody..."

Skończył, odetchnął głęboko, gdyż czytał tak, jak należy czytać zaklęcia, bez zaczerpnięcia tchu, i ponownie zaznaczył, że tabliczka jest bardzo stara. Ab - Ram uśmiechnął się z zadowoleniem. Znał wagę tego, co stare.

- Posłuchaj teraz drugiego zaklęcia, równie skutecznego w mocy:

- "O Adonai, pospiesz mi z pomocą! Złe duchy są w moim domu, złe duchy są w moim ciele! Trzęsą moimi kośćmi jak burza drzewem. Palą mą skórę jak wiatr z pustyni trawę. Huczają w mej

głowie jak suche sitowie. Wyją w mych uszach jak stado szakali. Stoją przy mnie z prawej strony, stoją przy mnie z lewej strony... Drżę z lęku, szczękam zębami. O Adonai, podaj mi dłoń ku pomocy. Uwolnij od duchów złych, od czarów, które mnie wiążą. Niech siła twoja osłoni mą głowę...”

- Wolę pierwsze - rzekł Ab - Ram. Śmiała klątwa wydała mu się skuteczniejsza niżli pokorne błaganie. - Wezmę tamtą tabliczkę, lecz przedtem proszę, przeczytaj mi ją jeszcze raz, abym spamiętał, a powtórzywszy choremu starcowi uradował jego duszę.

- Uczynię to najchętniej.

Adon Taribal odczytał powtórnie, Ab - Ram zaś powtarzał za nim półgłosem każde słowo. Gdy ukończyli, nadeszła chwila poważna, chwila targu. Kupiec wycenił zaklęcie na dwadzieścia sykli, co zdało się Ab - Ramowi żądaniem wygórowanym.

- Za dwadzieścia sykli mogę dostać młodego, silnego osła! - zawołał.

- Młody, silny osioł nie uleczy chorego na zimnicę starca, ta zaś tabliczka uleczy. Jeżeli chorym starcem jest twój ojciec, niech będzie siedmiokrotnie pomocna!

- Wyjąłeś mi z ręki oręż, Taribalu - uśmiechnął się Ab - Ram. - Zaiste, o ojca mi chodzi...

Zapłacił bez dalszych sprzeciwów i włożywszy tabliczkę ostrożnie w zanadrze, wyszedł, odprowadzony przez gospodarza aż na ulicę. U wejścia stały kamienne tablice wysokie na półtora wzrostu człowieka, o których wspomniał sprzedawca w bramie. Taribal zwrócił na nie uwagę Ab - Rama.

- Mnie polecono - rzekł nie bez dumy - wypisać przykazania królewskie dla naszego miasta. Takie same tablice stoją w Babilonie, w Uruk i w każdym grodzie. Spisano na nich wszystkie prawa... Czegoś podobnego nigdy nie było... Od czego pamięć? Od czego doświadczenie starych? Dzisiaj byle młokos, jeśli posiada naukę czytania, może się chwalić znajomością prawa i być poczytanym za mędrszego od siwej głowy nie znającej pisma. O bogowie! Co za czasy przeżywamy! Co za czasy!

Z westchnieniem pożegnał Ab - Rama. Płaszcz wielbłądzi i chusta (w mieście noszono turbany) ośmieliły go do wynurzeń. Ludzie spod namiotów nie powtarzają słów bez potrzeby. Wobec znajomego z grodu nie mówiłby równie otwarcie.

Dom Tarego syna Nachora nie różnił się od innych domów w mieście. Zbudowany w czworobok z cegły bielonej, o ślepych ścianach zewnętrznych, posiadał tylko jedno wejście. Kamienna poręcz otaczała płaski dach. Ponieważ dach służył mieszkańcom domu za sypialnię letnią porą i bywały wypadki stoczenia się na dół przez sen - Hamurabi syn Muballita, wglądający natrętnie we wszystkie sprawy poddanych, obłożył surową odpowiedzialnością za brak poręczy budowniczych miejskich. Jeżeli z powodu braku poręczy właściciel domu spadł i złamał rękę lub nogę, łamano rękę lub nogę budowniczemu. Jeżeli podobne kalectwo spotkało syna właściciela domu, odpłacano tym samym synowi budowniczego. Tylko za wypadek żony lub córki właściciela wystarczała jako odszkodowanie zapłacona przez budowniczego grzywna.

Od kar tych nie było uchylecia, przeto w żadnym mieście podlegającym królowi babilońskiemu nie ujrzałeś budynku o nieogrodzonym dachu.

Drzwi drewniane wiodące w głąb domu były grube, ciężkie, chroniące przed upałem. Brązowa rzeźbiona kołatka dawała znać o przybyciu gościa. Przed drzwiami kamienny ściek odprowadzał wodę, którą uprzejmy gospodarz polewał stopy przybyłemu. Sień wąska, długa i mroczna wychodziła na dziedziniec wyłożony kamiennymi płytami. Pośrodku dziedzińca znajdowała się zwykle sadzawka z fontanną zraszającą rośliny posadzone wokół. Wszystkie izby domu otwierały się na dziedziniec, który w porze południowej zaciągano jedwabną barwną zasłoną.

Niejednego zadziwiało, czemu Tare syn Nachora, naczelnik plemienia pasterskiego Hebrajczyków, mieszkał w grodzie, miast wraz ze swym szczepem żyć pod namiotami. Przyczyna sięgała lat odległych, gdy młody jeszcze Tare, żądny uciech, ciekawy życia, zaciągnął się jako kapłan trzeciego stopnia do orszaku bogini Ninngal. W służbie tej nauczył się wielu rzeczy przedtem nie znanych i odkrył w sobie zdolności rzeźbiarskie. Nie mogąc rozwijać ich w koczowniczym obozie, umieścił swe plemię pod murami grodu, sam zaś zamieszkał w mieście, gdzie wprędce stał się cenionym przez kapłanów dostawcą posągów bogów. Żona jego dawno zmarła. Najstarszy syn Haran umarł również zostawiając syna Lota, drugi z kolei syn Nachor wskutek chorobliwej otyłości niezdolny był do wysiłku i szybkiego ruchu. Trzeciemu zatem synowi Ab - Ramowi Tare powierzył zastępstwo w sprawowaniu władzy nad szczepem. Sam do obozu zaglądał coraz rzadziej, z każdym rokiem bardziej obcy prostemu życiu pasterzy, coraz podobniejszy do stałych mieszkańców grodu.

Wszedłszy do domu Ab - Ram skierował się przede wszystkim ku ołtarzowi, na którym stały bóstwa opiekuńcze rodu, "terafim". Były to dwie małe figurki kamienne, nieudolnie rzeźbione, o kształtach jak gdyby zmytych lub stopionych. Wierzono, iż pochodzą one sprzed potopu i zostały dane Heberowi, przodkowi plemienia, przez syna Noego, Sema. Toteż otaczano je wielką czcią i Ab - Ram obojętnie mijający świątynię ukląkł ze szczerą pobożnością przed ołtarzykiem, składając u stóp terafim bryłkę żywicy wyjętą z woreczka.

- Kończże już i chodź tu! - zaskrzeczał z izby stary pan leżący na łożu. - Oby goniec śmierci okazał się równie powolny w przybyciu jak ty!

- Oby goniec śmierci nie wszedł nigdy w ten dom - odparł poważnie Ab - Ram. Przykląkł znowu, tym razem przed łożem, i czołem dotknął posadzki. - Błogosławione twoje dni, ojcze.

- I twoje, i twoje - odparł niedbale stary. Był zwiędły, niewielki, o tyle ruchliwy i gadatliwy, o ile Ab - Ram był opanowany i małomówny. Obecnie nie ukrywał swego rozdrażnienia i mówił szybko, nie dając synowi przyjść do słowa: Obed pokazał mi jadło, które przyniósł Sur. To przysmaki dla starego, chorego ojca? Czy niewiasty rozum potraciły? Zaiste - poprawił się - trudno stracić, czego nie ma... Żle, źle dzieje się w obozie... Donoszę, żem chory i potrzebuję wzmocnienia. Synowie przysyłają mi chleb... Chleb! Zali nie dostanę, wiele chcę, chleba u przekupniów bramnych? Chciałem ciastek, dobrych, smacznych ciastek na maślance, pulchniutkich jak brzuszek dziecka, albo ciastek na oliwie, wyrośniętych, lekkich... Dostałem placki smażone na łożu... Mój żołądek nie trawi baraniego łożu. Jestem stary, jestem chory... Sarai ma chyba dość czasu. Nie rodzi przecież dzieci... Dałeś jej dwie niewolnice. Dlaczego nie upiekła ciastek?

- Boleje moje serce - zapewnił Ab - Ram szczerze zmartwiony. - Przyganię niewieściemu niedbalstwu.

- Chleb niby dla niewolnika, wino młode, masła mało, a "dibs" * nie wysmażony... - biadał dalej stary. - Któż się troszczy o starego? Te niewiasty nie dbają o starego ojca.

Dibs: nazwą tą określano sok z najdojrzałych winogron prażony na ogniu przez godzinę dziennie w ciągu całego miesiąca, potem od wschodu do zachodu słońca smagany gałęzią. Powstawała zeń masa brunatna, gęsta i słodka jak miód.

- Przyganię im surowo - powtórzył Ab - Ram. - Gdy wrócę, przyślę ci, ojcze, wszystko, czego pragniesz... A oto - dodał - zakłęcie, które cię uleczy z choroby.

- Zakłęcie? Pokaż! Zimnica resztę sił ze mnie wysysa. Czy dobre zakłęcie? Nie oszukano cię?

- Powtórzę ci je, ojcze.

Ab - Ram zmarszczył czoło i po chwili zastanowienia wyrecytował bez omyłki klątwę przeciw demonowi o błyszczących oczach i niosących śmierć stopach. Pamięć ludzka była w owym czasie ćwiczona i bez porównania sprawniejsza niż w parę tysięcy lat później.

- Dobrze, dobrze - mrucał stary nieco ułagodzony. - Gdzie kupiłeś tę tabliczkę? Wiele zapłaciłeś?

- Kupiłem u Taribala na placu przed świątynią. Zapłaciłem dwadzieścia sykli bez targu. (Ab - Ram westchnął mimo woli, był bowiem oszczędny.)

- Taribal wiedział, że kupujesz zakłęcie dla mnie, i mimo to tyle zażądał?

- Nie mówiłem mu, kim jestem, ojcze.

- Szkoda, szkoda. Zawsze milczysz niepotrzebnie. Taribal byłby oddał taniej. Znam go. Widziałeś przed jego domem tablice z przykazaniami prawa królewskiego? Rzeźbę na wierzchu kuł mój Samir, bo niewolnicy Taribala zręczni są tylko w pisaniu. Dobre zakłęcie, bo pochodzi z czasów starego boga... Lubię starego boga. Wolę niż Babilończyka, który nikogo jeszcze u nas nie uzdrowił. Na srebrną łódź Nannar - Sina! Gdyby patesi posłyszał, że Taribal sprzedaje zakłęcia z imieniem starego boga, adon mógłby się łatwo znaleźć w brzuchu miedzianego byka, pod którym rozłożono ogień... Br... br... W porę przyniosłeś zakłęcie, bo znów zaczyna mnie trząść.

- Kiedy cię chwyciło, ojcze? - pytał troskliwie Ab - Ram. Zdjął płaszcz i okrył nim chorego.

- Wczoraj o tej porze. Zezłościłem się, bo ten pies, Obed, stłukł głowę gotowego posągu. Posąg potrzebny na jutro rano, dziś wieczorem mieli przyjść kapłani ze świątyni, by go zabrać. Ten głupiec upuścił gotowy posąg na ziemię i głowa odpadła. Kląłem, krzyczałem, spociłem się ze złości i wtedy demon mnie złapał...

- Czemu Obed pracował przy posągu, a nie Samir?

- Nie mam już Samira. Sprzedałem go o tamtym nowiu.

- Sprzedałeś, ojcze? Co zawinił?!

- Nic nie zawinił. Musiałem sprzedać. O, Samira szkoda. Pojętny był, zręczny. Obed to leniwy pies. Przekleństwo jego matce! Dostanie baty, jeżeli posągu nie naprawi. Kapłanom dałem już znać, że sam odeślę posąg jutro rano. Kazałem Obedowi odjąć głowę z innego posągu Marduka, któremu skruszyły się nogi. Pod farbą nie będzie znać, że doprawiona. Okryj mnie jeszcze opończą. Tam leży...

- Tylko Marduków rzeźbisz teraz, ojcze?

- Ja nic już nie rzeźbię. Znudziło mi się. Przedtem rzeźbił Samir, teraz Obed. Ja tylko poprawiam. Ale kapłani mniemają, że sam po dawnemu wszystko robię. A mnie się znudziło... Palce moje rzeźbiłyby chętnie zwyczajnych ludzi lub dzieci, małe, wesole, zabawne... Palce moje nie chcą rzeźbić uprzykrzonej gęby Marduka, krzywych piorunów w jego garści i tej bestii obmierzłej...

- Ostrożnie, ojcze.

- Mogę mówić, nikt nie usłyszy. Ściany są grube, a niewolnicy głupi. Obrzydło mi życie, synu mój, Ab - Ramie. Obrzydło mi zajęcie. Obrzydło miasto... To przez obu Babilończyków, Marduka i Hamurabiego. Odetchnąć swobodnie nie można... Ludzie na bramie opowiadają, że patesi dostaje codziennie pięciu gońców z Babilonu albo więcej. Pierwszy pędzi, aż wielbłąd pada na nozdrza, podaje pismo: "Ja, Hamurabi, ulubieniec bogów, dowiedziałem się, że w twoim lesie wycięto trzy drzewa. Donieś mi, kto to zrobił, z czyjego rozkazu, na jaki użytek". Jeszcze patesi nie zdążył przeczytać, bieży goniec drugi i podaje pismo: "Ja, Hamurabi, strzeżony przez bogów, dowiedziałem się, iż Neru, właściciel sadu, podbiera wodę z kanału. Sprawdź, ukarż, donieś." Już cwałuje goniec trzeci: "Powroźnik Zabbaï donosi, że brat jego matki zajął mu ogród. Rozpatrz tę sprawę, donieś". Nadbiega goniec czwarty: "Czy kanały są czyszczone po ostatniej powodzi? Dlaczego na polu Refy kanał jest zatkany?" - Demon, nie człowiek! Patesi przeklina dzień, w którym zrodziła go matka. Powiadają, że wybuduje wielki dom na skład tabliczek królewskich i odpisów swoich raportów. A inspektorzy królewscy sprawdzają zbiór daktyli przed dojrzeniem, zapisują ilość miar, które dzierzawca ma oddać. Zakuwają w dyby, jeżeli da mniej. To samo z winnicami, wełną, figami, czosnkiem. Ludzi wylapują i gnają do Babilonu. Ludzi wciąż królowi potrzeba. Do budowania świątyń, do kopania kanałów, do wojska... Każdy patesi winien mu dostarczyć młodych chłopców. Skąd ich brać? Chwytają, gdzie popadnie. Bacz, by po naszych nie sięgnął. Przykrzy się życie... Nawet kapłani narzekają, ustami tylko Marduka chwając...

Ab - Ram spojrzał badawczo na mówiącego.

- Ojcze, zali pozwolisz twemu słudze, synowi, zadać ci pytanie? Jeżeli nie chcesz odpowiedzieć, skarć moją śmiałość...

- Po co ten wstęp? Pytaj.

- Ojcze, czy wierzysz w bogów?

- Jak to? - zająknął się stary. - Czy... wierzę?...

- Ciszej... Czy wierzysz w Marduka?

- W Marduka? Nie...

- A w Nannar - Sina?

- Z bogami lepiej żyć w zgodzie - zapewnił Tare. - Nannar - Sin był dobrym bogiem. Bogiem naszych ojców...

- Skoro dał Mardukowi wygnać się ze świątyni, był widno od Marduka słabszy?

- Po co pytasz o takie sprawy?

- Pragnę wiedzieć, który bóg jest największy...

- Co ci z tego?... A ty czego chcesz?! - skrzeknął stary do niewolnika, który stanął bezszelestnie u wejścia. (Podsluchiwał na pewno - pomyślał Ab - Ram.) Obed z plemienia Guti, o krągłej głowie, wystających policzkach i krótkim nosie, przykląkł przed łóżem pana oznajmiając chrypliwym głosem, że pracę skończył.

- Podeprzyj mnie ramieniem - rzekł Tare do syna - bym mógł pójść i obejrzyć posąg boga.

- Żadną miarą, mój ojczy, ale wezmę cię na barki i nie poczujesz zmęczenia.

Ab - Ram przysiadł na ziemi, stary wgramolił się okrakiem na jego ramiona. Wyprostowawszy się ostrożnie, ugiął Ab - Ram grzbiet ponownie w odrzwiach i wyszedł na dziedziniec. Starzec niewiele mu ciężył.

Czując na karku i ramionach wychudłe, zwiotczone ciało wstrząsane dreszczem, Ab - Ram doznał wielkiej czułości dla rodzica. Jakże słusznie świat szanuje i poważa starych ludzi! Sędziwy człowiek przedstawia bogatą sumę doświadczeń, mądrości, różnorodnych kolei losu. Więcej rozpaczy w rodzinie po śmierci starca niż po śmierci dziecka, gdyż dzieci rodzą się ciągle, a starego już nikt nie zastąpi. Wraz z nim schodzi do grobu cały wiek. Któż by nie żałował bardziej rozłożystego drzewa o tęgich konarach niżli młodej, nikłej płonki?

Największa izba domu służyła za pracownię rzeźbiarską. W drewnianych kadziach mieściła się wyrobiona glina ustawicznie polewana wodą. Naprawiony posąg Marduka przedstawiał się na pierwszy rzut oka znakomicie, lecz przy bliższych oględzinach ślad spojenia przebijał wyraźnie przez farbę i Tare nie posiadał się ze złości. Chcąc go uspokoić Ab - Ram doradził ozdobienie boga naszymi naszyjnikami.

- Głupia jest twoja mowa! - ofuknął stary. - Marduk to nie bogini Isztar... Marduk nie nosi klejnotów... Przeklęty, przeklęty syn szakala, Obed!

- Jeżeli taka jest wola twoja, ojczy, syn twój pójdzie do kapłanów prosić, by się wstrzymali z

zabranieniem posągu.

- Nie zgodzą się... Nie zgodzą się... Jutro przed południem Nanna - tum, najbogatszy kupiec grodzki, ofiarowuje swego syna... Ołtarz ma być przystrojony i odnowiony... Ha, może dać naszyjnik? O bogowie! Musiałbym dać najcenniejszy, żeby zatkać gęby kapłanom... Zanieś mnie jeszcze do skarbcza...

Skarbczem nazywano mniejszą izbę, w której stała wielka skrzynia z drzewa okutego brązem. W skrzyni tej Tare, zamięłowany zbieracz i miłośnik piękna wytworzonego ręką ludzką, przechowywał ulubione klejnoty oraz cenne drobiazgi gromadzone przez całe życie. Ab - Ram przeniósł ojca, niewolnik zaś przysunął łoże tuż do skrzyni. Po otwarciu jej wieka Tare zapomniał o chorobie i zmartwieniu, z dziecinną radością nurzając dłonie w swych skarbach. Ab - Ram spoglądał na jego rozjaśnioną twarz czule i pobłażliwie.

- Zali twe oczy, mój synu, widziały podobne cuda?

Stary unosił w dwóch palcach złoty kubek pokryty rzeźbą. Tancerki w długich wymyślnych strojach płaśły trzymając się za ręce. Tare syn Nachora wpatrzył się w ich wdzięczne postacie z zachwytem. Oddech jego zaćmił mgłą lśniąca powierzchnię. Ostrożnie starł wilgoć szatą, westchnął i włożył kubek do skrzyni.

- Chciałbym rzeźbić podobnie... - uzalił się sięgając po nowy przedmiot. - Sam nie wiem - wyznał - co piękniejsze? Tamten kubek czy ta czarka?

- Uczyniono ją ze skorupy jaja wielkiego ptaka z pustyni - domyślił się Ab - Ram.

- Mylisz się, synu. To nie skorupa jaja, lecz glina, biała, twarda, przezroczysta... Piękna, piękniejsza niż szkło... Ostrożnie! - zawołał, choć Ab - Ram nie zamierzał dotykać kruchego cacka.

- Skąd to masz, ojcze?

- Sydoński kupiec przywiózł z wyspy, którą zowią Kreta, leżącej na Wielkim Morzu, z miasta królewskiego Karatos... Na takich skorupkach cenniejszych od złota tameczny król jada potrawy... Za te dwie rzeczy właśnie oddałem Samira... Czemu się dziwisz? Kupiec uparł się i nie chciał oddać inaczej... Musiałem...

- Młodego, silnego chłopca wymieniłeś na te drobiazgi?

- Mnie samemu bardzo żal... Samir był pojętny. Myśli zgadywał. Dobrze rzeźbił. Cóż robić? Nie mogłem przepuścić okazji, oddałem... Ach, ci kupcy!

- Należało dać raczej Obeda...

- Obed był wówczas na targu. Bałem się, że kupiec nie zechce czekać. Pożądałem tych śliczności pożądaniem wielkim... Spójrz teraz na to, mój synu...

Wyjmował kolejno zwierciadła z polerowanego srebra oprawione w złoto, szkatułki do

pachnideł z kości słoniowej białej lub barwionej na czerwono i zielono, sztylet, na którego złotej rękojeści koza wspinała się po grono winne uczynione z wielkich pereł, czarę kryształową z napuszczanym w szkło wzorem przedstawiającym barwne rybki i zielone wodorosty. Gdy Tare nalał do czary wina z dzbana stojącego obok łóżka, zdało się, że ryby spłynęły ożywszy, a rośliny zaczynają wić się niesione prądem.

- Czyż nie piękne? - zapytał głosem zniżonym z przejęcia.

- Piękne, owszem - odparł obojętnie Ab - Ram. Patrzył przed siebie myśląc wciąż o Samirze.

- Nic się na tym nie rozumiesz! - wykrzyknął Tare z nagłą złością. - Prostak jesteś! Dla ciebie piękno to pastwisko, a muzyka to wycie nocne szakali! Szkoda ci pokazywać! Z was wszystkich jedna Idith rozumie się na tych rzeczach... Nie mogła napatrzeć się złotego kubka... Co prawda - roześmiała się - najbardziej ciekawiły ją suknie tancerek. Powiedziała, że sobie uszyje podobną...

- Idith odwiedza cię, ojcze? - zdziwił się Ab - Ram.

Stary przybrał minę dziecka, które się niechcący wygadało.

- Przyszła do mnie - przyznał - wiedząc, iż znam kapłanów. Chciała iść w procesji ku czci bogini Zirbanit...

Zdziwienie Ab - Rama przemieniło się w zgorszenie.

- Co odrzekłeś tej niewieście, ojcze?

- Odrzekłem, by powtórzyła swoją prośbę przyszedłszy do mnie wraz z mężem. Nie w smak jej to poszło. Prosiła, bym nikomu nie mówił, że była.

Stary Tare wypił wino, przetarł czarę i włożył ostrożnie do skrzyni, po czym położył się na łożu.

- Oto czego zachciewa się Idith - stwierdził. - Nie zdarzyło się jeszcze, by niewiasty hebrajskie brały udział w tych sprośnościach... Wiem, co się tam dzieje... Widywałem...

Uśmiechnął się niewesoło, nie wiedzieć - czy z żalu za minioną szaloną młodością, czy z politowaniem nad samym sobą.

- Nie zdarzyło się i nie zdarzy - zapewnił gorąco Ab - Ram.

- Lot syn Arana winien swawoli niewieściej. Po co brał cudzoziemkę z nadmorskiego kraju? Darmo szukać czci niewieściej, gdzie króluje Baal... Poradź mu, żeby zbił żonę i zapędził do roboty.

- Lot tego nie uczyni. Nie ma nad nią żadnej władzy. Jest pokorny i uległy jak kobieta godna swego miana.

- Kruk wydziobie oczy dziecku, które nie szanuje rodziców, niesława pokryje pamięć

niewiasty, która nie szanuje męża. Na starego boga Nannar - Sina! Cóż się stanie z plemieniem Hebera?! Jednemu z moich synów tłuszczał oczy i rozum. Drugi trzyma bezpłodną, choć hańba nie wzbudzić potomka z własnego nasienia, wnuk boi się własnej niewiasty...

- Wieczór nadchodzi, ojczy, miałeś znaleźć naszyjnik...

- Słuchaj lepiej, co mówię - burknął stary.

Jął ponownie grzebać w skrzyni. Wydobywszy trzy naszyjniki wahał się, który ofiarować bogom. Każdego było mu żal, wszystkie trzy bowiem były cenne i piękne. Jeden ozdobiony rzeźbionymi w złocie głowami lwów był z onyksu i agatu - drugi z kornaliny i kryształu dzwonił wisiorami różnych kształtów. Na koniec wybrał trzeci, pozornie skromny, lecz nadzwyczaj misternej roboty: szeroką obrożę utkaną z lapis lazuli i granatów nawlekanych na przemian na złotą kręconą nitkę. Mieniło się to niby tkanina z błękitu i ciemnej purpury. Tare ważył klejnot na dłoni z zachwytem i żalem.

- To z Egiptu - objaśniał. - W Egipcie złotnicy wyrabiają cudne rzeczy. Żałuję, że nie byłem nigdy w Egipcie. Kapłani się ucieszą, oni znają, co kosztowne... Szkoda, szkoda dla tych nienasyconych paszczy mego naszyjnika...

Z żalu i zmęczenia osłabł, drżenie opanowało jego członki.

- Demon naciera - jęknął. - Dawaj tabliczkę! Żywo!

Upadł na wznak przyciskając kurczowo zakłęcie do piersi obiema dłońmi. Ab - Ram podszedł do ołtarzyka, na którym stały dwie małe niezdarne figurki zwane "terafim", i stojąc w postawie przepisowej dla modlitwy, wyprostowany, z prawą ręką podniesioną do góry, jął prosić gorąco opiekunów szczepu, by osłonili przed złem Tarego syna Nachora.

ROZDZIAŁ DRUGI OBLICZE BOGÓW

Choć w całej Chaldei pieniądze, miary i wagi opierały się na sześćdziesiątce, używanej przez większość starych i mądrych narodów, gdyż kopa pozwala się dzielić przez największą ilość liczb - świętą cyfrą, cyfrą bogów i duchów, pozostawała siódemka. Siedmiu władców nieba, siedmiu władców podziemia, siedem demonów złych, siedem demonów dobrych, siedem planet, siedem dni w tygodniu, każdy stanowiący własność innego boga. W świątyni, do której niewolnicy Tarego, Obed i Chamil, z pomocą Sura, a pod okiem Ab - Rama wnieśli posąg Marduka, siedem rzędów kolumn połyskiwało w mroku, siedem bocznych kaplic otaczało główną salę, siedem ołtarzy czekało na ofiary, siedem stopni wiodło przed ołtarz główny.

- Zapięcie naszyjnika stopiłem - objaśniał Tare syna przed odejściem. - Ręce ludzkie go nie zdejmą, oczy niczyje skazy nie zobaczą. Kapłanom powiesz: Tare syn Nachora miał sen. Marduk Bel stanął przed nim we śnie i rzekł: Daj mi naszyjnik, który otrzymałeś z Egiptu! Tare syn Nachora, przebudziwszy się, wyjął naszyjnik ze skrzyni i zawiesił go na szyi boga. Nie dotykajcie tej ozdoby, albowiem za wolą Marduka została tam umieszczona!

- Nie potrafię tego powiedzieć, ojczec. Wybacz mojemu nieuctwu. Gdy zapytają, dlaczego Tare tak uczynił, odpowiem, że z pobożności...

- Słuchaj moich słów, a nie swojej głowy. Znam kapłanów, ty ich nie znasz. Powiesz, com rzekł. Gdyby zaś zdarzyło się, że zdjęli naszyjnik i ujrzeli ryse, rzekniesz im: Złoto zatrze ten ślad. I dasz im sztukę złota.

Ab - Ram opierał się jeszcze, lecz wobec woli starego ustąpił. Zresztą kapłani wielce zajęci nie tracili czasu na pytania. Jeden z młodszych zawołał tylko: O, jak pięknie Tare syn Nachora przyozdobił naszego boga, wielkiego Marduka! Inni przywórczyli zgodnie: Chwała Taremu synowi Nachora! - Ab - Ram zadowolony zbierał się do wyjścia i skrzyknął niewolników. Chamil i Sur pojawili się natychmiast. Obed pomagał jeszcze przy ustawianiu posągu. Ab - Ram stanął pod ścianą i czekał. Nad jego głową w siedmiu rzędach wisiały wielkie kamienne tablice zawierające znaczenie snów i przez cały dzień tłoczyli się tutaj ludzie zaniepokojeni snem ostatniej nocy. Kapłani trzeciego stopnia słuchali ich opowieści, pobierali dwa sykle opłaty, po czym szukali właściwego znaczenia na odpowiedniej tablicy. Sny dzielono na szczęśliwe i nieszczęśliwe, obojętne i złowróżbne, dotyczące jedynie losów śniącego i jego rodziny lub posiadające znaczenie dla całego kraju. Do ostatnich należały sny, w których występował pies, zwierzę pozostające w powszechnej pogardzie.

...jeżeli śnisz - głosiła tablica - że czarny pies wszedł do domu i położył się na łożu, na kraj spadną straszne klęski...

...jeżeli śnisz, że żółty pies wszedł na królewski dwór, nieprzyjaciel zagarnie państwo, a miasto będzie spalone...

Od snów niezwykłych, nie przewidzianych wyobraźnią kapłańską, zatem nie umieszczonych na tablicy, pobierano opłatę dwakroć wyższą i odsyłało klienta do kapłana wyższego rzędu, umiejącego

wyłożyć najdziwniejszy zwięd.

Sny, wróżby zajmowały wiele miejsca w życiu mieszkańców grodu. Wszelkie zjawisko, od największych do najdrobniejszych, mogło być podstawą wróżby, zarówno ranne kichnięcie, jak deszcz spadających gwiazd. Najbardziej szanowaną grupę kapłanów stanowili "baru", czyli jasnowidze, znający przeszłość i przyszłość. Rozwijana w nich od dziecka umiejętność podwójnego wzroku przechodziła często z ojca na syna. Baru nie brali udziału w krwawych ofiarach, cenili wysoko swą godność i rzadko uciekali się do sztuczek właściwych zwykłym wieszczkom, na przykład do brzuchomówstwa albo gry zwierciadeł.

Ab - Ram wierzył mocno w sny, jak każdy syn owych czasów, nie umiając jednak czytać wodził obojętnym wzrokiem po tablicach. Kroki rozległy się za nim. Nie był to Obed, lecz młody kapłan w błękitnej szacie baru. Podszedł do czekającego poufale.

- Bądź pozdrowiony, Ab - Ramie synu Tarego. Ojciec twój, Tare syn Nachora, wyrzeźbił piękny posąg. Sługa twój pragnąłby wiedzieć, czemu go tak przyozdobił?

Ab - Ram powinien był odpowiedzieć: Tare syn Nachora miał sen... Lecz że wzrok kapłana był wyraźnie drwiący, postanowił nic nie ukrywać.

- Na szyi posągu powstała skaza. Tare syn Nachora pragnął przebłagać boga tym cennym darem.

- Tare syn Nachora zbluźnił! Uszkodzony posąg nie śmie stać w świątyni!

Ab - Ram zdążył ochłonąć z wrażenia.

- Ojciec mój, Tare syn Nachora, zapewnił mnie, że od potarcia złotem skaza zniknie bez śladu. Nie starczyło mu czasu, by sam to uczynił.

Wyjął z woreczka z żalem piękną złotą monetę i wręczył kapłanowi.

- Obaczę - rzekł tenże - czy tak jest, jak mówisz...

Odszedł. Tymczasem Obed pojawił się cicho jak zwykle i stanął w postawie wyczekującej. Ab - Ram kipiał wewnątrz z oburzenia na bezczelnego kapłana.

- Jak zowią tego baru? - zapytał Obeda.

- Sep - Sin - odparł niewolnik.

- Skąd wiesz? - badał Ab - Ram podejrzliwie.

- Przychodzi nieraz do mojego pana.

Ab - Ram uspokojony umilkł. Czekali dalej. Po chwili Sep - Sin wrócił mrużąc kąpiąco oczy.

- Tare syn Nachora miał słuszość - oznajmił. - Od złota skaza znika. Ale to, co dałeś, nie wystarcza. Daj jeszcze jedną monetę.

Bogowie! Użycie mojej duszy cierpliwości! - pomyślał Ab - Ram. Bez słowa wyjął złoty pieniądz i wręczył kapłanowi, który z uśmiechem schował go do worka wiszącego u pasa.

- Synu Tarego - zapytał nagle - zali wiesz, który z bogów jest największy?

Ab - Ram zesztywniał.

- Marduk, syn boga Ea i bogini Damkiny, jest największy.

Sep - Sin uderzył go po ramieniu.

- To dobrze, że wiesz.

Obed szpieg... - pomyślał Ab - Ram, a głośno dodał:

- Czy mogę odejść wraz z niewolnikami, by wrócić do mego ojca, a potem do mego stada?

- Nie możesz odejść teraz, gdyż pochód ofiarny już wkracza; a w czasie ofiary nie wolno wyjść ze świątyni. Wyjdiesz później.

Odwrócił się i stanął w szeregu swoich towarzyszy. W ciągu ostatnich chwil bowiem wewnątrz gmachu wypełniło się tłumem kapłanów. W głębi przed ołtarzem stał arcykapłan w błękitnej i zielonej szacie, w wysokiej tiarze na siwej głowie, z racjonalą pokrytą klejnotami na piersiach i nożem w ręku. Racjonal i tiara wyróżniały go spośród jednakowo odzianych kapłanów pierwszego i drugiego stopnia. Byli to "isakku" składający ofiary z wina i mleka, obkadzający bogów i namaszczający ich wonnością - "sangu" kierujący ceremoniałem, "kipu" i "satami" zawiadujący skarbcem świątyni, "pasisu" prowadzący chóry, muzykę na harfach i fletniach. Drugi stopień przedstawiali ofiarnicy zabijający bydło z wprawą rzeźników, ich pomocnicy, augurzy, wieszczowie, nawiewacze snów, odzegnawacze uroków, na koniec kapłani trzeciego stopnia przygotowujący drzewo na ołtarz, usuwający krew i nieczystości, a w okresach obrzędowej rui oddający swe siły męskie na cześć bogini. Razem około tysiąca ludzi, którzy wraz z rodzinami, niewolnikami i rodzinami niewolników żyli z ofiar składanych bogom. Obecnie ustawieni w dwa rzędy wedle godności, nieruchomi i dostojni, patrzyli na kupca Nanna - tum prowadzącego syna na ofiarę. Ojciec, mężczyzna w pełni lat, wspaniale odziany, otwierał pochód poprzedzając dziecko, kilkoletniego chłopca w wieńcu kwiatów na głowie, w białej, długiej, otwartej od góry do dołu szacie. Malec odurzony mocnym winem z korzeniami, jakim pojono ofiary, by im odebrać świadomość, rozglądał się wkoło półprzytomnie wielkimi czarnymi oczami. Tym samym winem zamoczona matka szła tuż za nim. Piers jej połyskiwała od klejnotów, długie kolczyki zwisały z uszu, "nezem", czyli duży złoty pierścień przetykający nozdrza, leżał na wargach. Kroczyła jak we śnie, wpatrzona w dziecko. Za tym trojgiem postępowała liczna rodzina kupca, za rodziną słudzy i niewolnicy obładowani darami. Wszyscy zachowywali milczenie skupiając uwagę, by się nie potknąć, nie chrząknąć, a nawet nie odetchnąć głośnie, najmniejsze bowiem uchybienie ceremoniałowi niweczyło skuteczność ofiary. Posuwający się z wolna orszak wszedł już na stopnie ołtarza, stanął przed arcykapłanem. Dwóch

isakku zdjęło z chłopca szatkę zostawiając tylko wieniec na lśniących puklach włosów. Stał zdziwiony, śliczny, nagi. Ojciec jego nie zmieniając obojętnego wyrazu twarzy, pchnął lekko syna ku arcykapłanowi. Ten położył starą, kościstą dłoń na szyjce dziecka, podniesiony nóż świsnął w powietrzu. Jakby otrzeźwiony dotknięciem, mały krzyknął przeraźliwie. Odpowiedział mu krzyk drugi. Obudzona z odrętwienia matka zawyła dziko jak zwierzę. Oba głosy zamarły, ledwo się zerwały. Arcykapłan z zadziwiającą siłą zduł gardło chłopca, brat kupca Nanna - tum ogłuszył bratową silnym ciosem pięści, a słudzy wywlekli ją na boczny dziedziniec. Ojciec stał bez ruchu, wciąż z tym samym obojętnym wyrazem, lecz pot kroplisty wystąpił mu na czoło. Wielki nóż opadł tnąc głęboko, szeroko pierś dziecka. Krew buchnęła. Rozległ się pisk żałosny, niby ptaka. Arcykapłan powalił na kamienny stół drgające ciało, rozszerzył ranę bacząc, by krew, ten ulubiony pokarm bogów, esencja życia, oblała obficie ołtarz spływając aż na boki. Zanurzył ręce w otwartej piersi, wyrwał z niej serduszko, małą drgającą wątrobę, splot drobnych parujących wnętrzności i wpił się w nie wzrokiem nie zapowiadającym nic dobrego. Snadź wróżba była niepomyślna. Kapłani sangu podeszli do martwego już ciała, jeden z płonąca pochodnią, drugi z żywicą, którą posypał zwłoki, trzeci ze smolnymi szczapami. Buchnął płomień. W zetknięciu z ogniem krew syczała, żywica płonęła trzeszcząc, swąd palonego mięsa wypełnił powietrze. Chór kapłanów podjął śpiew ku czci Marduka:

"...Kto jest najwyższy na niebie?

Marduk jest najwyższy na niebie.

Kto jest najwyższy na ziemi?

Marduk jest najwyższy na ziemi..."

Ab - Ram czekał niecierpliwie końca obrzędu, by wyjść. Widok, jakiego był świadkiem, nie robił na nim większego wrażenia niż zarzynanie jagnięcia. Odkąd przed tysiącami lat bóg El ofiarował bogom syna swojego Jeduda, by uchronić kraj od klęski, ofiarowywanie pierworodnych było uważane za rzecz słuszną, owocną i godną naśladownictwa.

Nie wiodło się Ab - Ramowi. Jeszcze kupiec Nanna - tum nie odszedł od ołtarza, na którym dopalały się zwłoki jego syna, gdy w otwartych szeroko wrotach pojawił się orszak następny, wiodący tym razem trzy byki. Bydło ustrojone było kwiatami, na szyjach wisały kołatki z połączanego brązu, przedstawiające lwa pożerającego gazelę. Ciżba ludzi na dziedzińcu pozwalała domyślać się dalszych ofiar. Czyż wypadnie czekać tutaj do wieczora?!

Nieoczekiwanie nadszedł Sep - Sin. Uśmiechnął się, nie zrażony brakiem przychylności w spojrzeniu pasterza.

- Znam twoje myśli - rzekł wesoło. - Sądzisz, że zabiorę ci trzecią sztukę złota? Mylisz się. Przyszedłem, by cię uwolnić. Niewolników sam odeślę później, gdy wyjdziecie będzie wolne. Chodź za mną.

Skręcił za filar, w przejście dostępne tylko kapłanom. Zeszli po schodach do obszernej krypty leżącej pod ołtarzem. Ponure to było miejsce. Na półkach wgłębionych w ścianę stały urny zawierające zwłoki niemowląt ofiarowanych bogom tuż po urodzeniu. Wpuszczano je w naczynie główką w dół i otwór zalepiano żywicą. Na pokrywach widniały imiona rodziców dziecka, by bóg pamiętał, komu ofiarę zawdzięcza. Urn tych było bardzo wiele.

Gdybym miał syna, nie ofiarowałbym go bogom - pomyślał Ab - Ram. - Ale go nie mam...

Jak gdyby odgadując tok jego dumań, Sep - Sin obrócił się.

- Nanna - tum stracił pierworodnego i nic za to nie uzyska - zauważył machając przygasającą pochodnią.

- Bóg nie spełni jego prośby?

- Nie może spełnić. Chłopiec krzyczał, matka krzyczała... Arcykapłan, gdy chce, potrafi zabić dziecko tak sprawnie, że nie zdąży ono jęknąć, lecz Nanna - tum pragnie rzeczy niemożliwej, więc...

Przeszli z krypty w ciemny chodnik schodzący pochyło w dół.

- Słowa, któreś teraz rzekł, Sep - Sinie, brzmiały szczerze. Racz powiedziec twemu słudze, zali to Obed wyjawiał ci uszkodzenie posągu boga i powtórzył moje nierozumne słowa?

- Mógłbym odpowiedzieć ci, synu Tarego, że my, kapłani, odkrywamy bez trudu większe niż ta tajemnice i to byłoby prawdą, jak prawdą jest dzień. Tobie jednak powiem: Obed wyjawiał.

- Postaram się, aby został natychmiast sprzedany.

- Dlaczego chcesz pozbawić swego ojca niewolnika, do którego się przyzwyczaił?

Ab - Ram spojrzał zdumiony.

- Skoro podsłuchuje i donosi?

- Ten nowy, sądzisz, nie będzie podsłuchiwał i donosił? Wierz mi, Ab - Ramie, że Tare syn Nachora nie otrzyma innego niewolnika, niż my chcemy.

- Poprzednio miał chłopca, który na pewno nie donosił.

- Dlatego został sprzedany. My nasłaliśmy kupca z wyrobami kreteńskimi, wiedząc czym zażyć Tarego... Ja sam kazałem Obedowi nie wracać do domu, aż kupiec odejdzie z tamtym.

- Czego chcecie od mojego ojca? - zakrzyknął Ab - Ram z oburzeniem.

- Uspokój się, synu Tarego. Nic nie chcemy. Mamy swoich ludzi wszędzie, w każdym domu...

Ab - Ram nasępił się i szli obok siebie milcząc. Pochodnia przyczyniała więcej dymu niż

blasku, lecz u wylotu chodnika zabłysło światło dzienne. Widok ten dodał synowi Tarego otuchy, uprzednio bowiem sądził, że zeszli głęboko we wnętrzości ziemi. Zapraǳnął wydostać się stąd co szybciej.

- Nie przyszedłem po ciebie z własnej woli - przemówił znów Sep - Sin. - Nergal Sar zauważył cię stojącego pod filarem.

- Kto to jest Nergal Sar?

- Człowiecze! Otwórz oczy i uszy twoje: Nergal Sar to jest stary, najdostojniejszy sanga mahhu, znający wszystkie tajemnice ziemi. On zapytał mnie: Kto jest ten mąż? Odpowiedziałem: Mąż, co chce wiedzieć, który z bogów jest największy.

- Ależ ja wiem! Powiedziałem przecież, że...

- Nie bój się, Ab - Ramie. Sanga mahhu powiedział mi: Gdy ten mąż zechce, przyprowadź go do mnie, a ja mu wyjawię to, czego dusza jego łaknie.

- Nigdy bym się nie ośmielił! Jestem prostak, nieuczony...

Sep - Sin spoważniał.

- Wierzaj mi, synu Tarego, że król babiloński czułby się szczęśliwy, gdyby wielki, stary Nergal Sar powiedział o nim: Przyprowadź go do mnie.

Dochodzili do wylotu zamkniętego kratą z brązu. Kapłan odsunął zasuwę. Ab - Ram znalazł się na wolnym powietrzu u stóp kopca, na którym stała świątynia. Poczł wielką ulgę.

- Błogosławione dni twoje, Sep - Sinie! - zawołał z pośpiechem, odchodząc.

ROZDZIAŁ TRZECI POD NAMIOTAMI

W tej stronie grodu nie było pięknych domów z dziedzińcami i fontannami. Aż do muru i poza murami leżała dzielnica ubogich. Nędzne budowle tłoczyły się tak ciasno, że pozostawioną między nimi ścieżką osioł mógł się z trudem przecisnąć. Domy były lepione z gliny wymieszanej z sieczką i miały kształt stożków otwartych u szczytu. Niski otwór u dołu służył jako drzwi. Górą padało do wnętrza światło, uchodził dym, a w porze deszczowej lały się strugi deszczu. Nieraz pod naporem ulewy i wichru dom walił się i na miejscu pomieszkania chroniącego całą rodzinę oglądano nazajutrz kupę gliniastego błota.

Poniżej ostatnich domów słała się niska dolina. Środkiem jej płynął Eufrat, mętny, żółty, wzburzony, gdyż woda nie oczyściła się jeszcze po wiosennej powodzi. W każdym zagłębieniu gruntu lśniły kałuże wody. Urodzajny namuł pokrywał pola pocięte siecią kanałów. Po drugiej stronie z szumem i zgiełkiem dołączał do Eufratu swe wody wielki spławny kanał łączący rzekę z Tygrem. Prąd był rwący, gdyż koryto bliźniaczego Tygru leżało wyżej od koryta Eufratu. W zwykłym czasie powierzchnia rzeki i kanału roiała się od łodzi, szczególnie ciężkich towarowych tratw opatrzonych dla bezpieczeństwa wzdłuż burty nadętymi powietrzem skórzanymi miechami. Obecnie, aczkolwiek Chaldejczycy słynęli jako najśmielsi żeglarze owych wieków, wypływający śmiało na morza - wodny gościniec był pusty, gdyż świeżo miniona powódź czyniła spław bardzo uciążliwym. W zaroślach nadbrzeżnych i trzinach wysokich jak drzewa pełno było żurawi, czapli, bocianów czarnych i bocianów białych, łabędzi oraz wielkiej ilości pomniejszych gatunków ptactwa błotnego.

Mnożyły się w nich również wszelkiego rodzaju płazy i gady. Żniwo jęczmienia już rozpoczęło. Miejscami żeńcy żęli zboże brodząc po kolana w błocie. Nie przeszkadzało to w zbiorach, gdyż o słomę nie dbano, ścinając źdźbło na szerokość dłoni poniżej kłosa. Ścięte zboże układano mijanego, kłos w tę stronę, kłos w tamtą stronę, po czym przewiązywano je powrósem w środku. Stary zwyczaj nakazywał pierwsze snopy ozdobić czerwonymi anemonami. Kłosów, które upadły na ziemię, nie należało podnosić, stanowiły one bowiem własność ubogich. Toteż ludność z glinianych stożkowatych domów śledziła chciwym wzrokiem żniwa. Wolno jej było wejść na pole, dopiero gdy zeszli żeńcy.

Siano powszechnie pszenicę i jęczmień. Rosły one wprawdzie dziko wszędzie, gdzie znalazły nieco wilgoci, lecz uprawiane dawały bez porównania większy plon. Toteż wglądający w każdą sprawę Hamurabi pisywał do namiestnika: "Czy nie wiesz, że pola są życiem państwa? Szanuj rolnika. Daj mu na zasiew dobrego jęczmienia. Niech orze spokojnie, by gleba nie zaschła".

Ostanie zalecenie posiadało wagę, gdyż na bogatej, urodzajnej ziemi chaldejskiej głód zdarzał się tylko wtedy, kiedy dozwolono roli zaschnąć tak, że socha nie mogła jej zradlić, a ziarno rzucone wiatr zmiatał.

Idąc żwawym krokiem Ab - Ram mijał kamienie graniczne zwane "kuduru", oddzielające pola. Miały kształt wielkiego jaja wbitego cieńszym końcem w ziemię. Powierzchnia kuduru pokryta była napisami zawierającymi groźby i przekleństwa dotyczące tych, co by kamień chcieli ruszyć z miejsca. Za rzędem kamieni rozciągały się już łąki, pastwiska, ziemia ugorująca od stworzenia świata. Tu Ab

- Ram czuł się u siebie.

Z przyjemnością i dumą spoglądał na liczne stada czerniejące lub bielejące z dala. Były to właściwie trzy odrębne trzody stanowiące własność Nachora syna Tarego, starszego brata Ab - Rama, nieżyjącego już Arana syna Tarego, po którym dziedziczył je Lot, oraz jego, Ab - Ramowe. Stada składały się z byków, krów, kóz i owiec. Bydło kudłate, na krótkich nogach, barwy skarogniadej. W ręku dobrego pasterza łagodne i posłuszne, pozostawione dłuższy czas na swobodzie dziczało stając się niebezpieczne. Biada temu, kto by wtedy podrażnił byki! Otaczając kręgiem przeciwnika osaczały go zewsząd, chyląc nisko rogi. Zdarzało się im walczyć w ten sposób z lwem.

Owce były niewielkie, lecz cenne z powodu grubego, ciężkiego ogona, na którym osadzał się wszystek tłuszcz zwierzęcia. Ogon barani stanowił przysmak, służył do oświetlenia, a przy składaniu ofiar uchodził za kąsek ulubiony bogów.

Tętent kopyt, tuman pyłu przerwał myśli Ab - Rama. Stado bydła nadbiegało kierując się w stronę rzeki. Rozgniewane byki orały ziemię racicami, porykując krótko, groźnie. Ab - Ram poznał swoje bydło i krzyknął na pastuchów biegnących za stadem. Starszy z nich, Jahiel, podszedł do pana i uderzył przed nim czołem.

- Hibal, pasterz syna Arana - objaśniał zdyszany - wpuścił znów swoje byki między nasze stado. Byki skopały i pobodły cielną krowę, tę, co kuleje... Urodzi nieżywe cielę na pewno... Gnamy je do wody, żeby ochłodziły.

Stado przeszło. Kilka psów chudych, płowych, z przekrwionymi oczami nadażało za nim. Podkuliwszy ogony spoglądały nieufnie wokoło. Strzegły stada, lecz nie zbliżały się nigdy do człowieka. Nie posiadały imion, żyły tylko tym, co same upolowały.

Ab - Ram szedł dalej namarszczony. Dojadły mu wiecznie te same skargi i szkody w bydłe z winy Lotowych pasterzy. Równie jak u żony, Lot nie miał posłuchu u własnych ludzi.

Obóz był blisko. Trzy rzędy czarnych namiotów. Przed każdym namiotem niewiasty, dzieci, ognisko, słup dymu. Dymy wznoszą się równo w górę ku niebu, które nabiera już barwy różowej. Niebawem zacznie się najpiękniejsza pora dnia: rzeźwość wieczoru. Dymy jak kolumny podpierające schodzące w dół słońce. Wysoka postać idzie od obozu.

Ab - Ram rozpogodził się poznając swą żonę, Sarai. Szła z ulubioną gazelą u boku. Gazela chowała się w namiocie od małego i nazywano ją Sebi. Sarai była niezwykle piękna, prosta, smukła. Zdawała się młodą dziewczyną, podobną do swej ulubienicy gazeli z lekkości ruchów i sposobu noszenia głowy. Bliższe spojrzenie rozwiewało złudę młodości ukazując drobne gęste zmarszczki wokół oczu niewiasty i srebrne nitki w ciemnych, bujnych włosach. Tylko rysy pozostawały niezmacone w czystości rysunku, oczy nie straciły dotąd swego blasku. Sarai, jedyna żona Ab - Rama, była bezpłodna i to sprawiało, że zachowała dziewczęcą postawę, płaski, twardy brzuch, wąskie biodra. Pierś jej nie znała pokarmu, żywot ruchów płodu. Haniebne to kalectwo stanowiło dla obojga nigdy nie zagojoną ranę. Byli przyrodnim rodzeństwem z jednego ojca i stara Noa, piastunka Sarai, przebąkiwała nieraz, iż zbyt bliskie pokrewieństwo jest przyczyną zamknięcia łona jej pani. Jakiegokolwiek były powody, Ab - Ram miał prawo, a nawet obowiązek, odprawić

żałową żonę lub pojąć drugą, która by mu dała dzieci. Od trzydziestu lat żyjąc w bezpłodnym małżeństwie nie uczynił tego mimo nalegań ojca i braci. Sarai była dumna, zazdrosna, gwałtowna. Nie wyobrażał sobie pożycia z inną kobietą przy jej boku. Cóż stąd, że Sarai zachowałaby tytuł pierwszej żony? Ta żona jest pierwsza, która da mężowi syna. Ab - Ram wiedział, że Sarai wolałaby umrzeć, niż zostać zepchnięta na drugi plan. Zresztą on ją miłował również i nie tylko litość dyktowała mu takie postępowanie. Wspaniała piękność, dziś przekwitająca, lecz niegdyś budząca zachwyty każdego, kto ją zobaczył - żyła tylko dla niego, nie miała myśli poza nim. Była najwierniejszą towarzyszką. Nie, nie odesłał jej, nie pojął drugiej żony i nie żałował tego, pomimo że bolał nad brakiem potomstwa więcej, niż ogólnie przypuszczano.

Sarai przyspieszyła kroku dojrzwawszy męża i za chwilę klęczała przed nim, kłoniąc się do ziemi na powitanie.

Podniósł ją i objął ramieniem.

- Domyśliłaś się, że nadchodzę, niewiasto?

- Cały dzień przykrzyło mi się bez ciebie, panie mój, i poglądałam ku miastu.

Poszli wsparci o siebie, Sarai mało co niższa od męża. Sebi biegła w podskokach to wyprzedzając idących, to zostawając z tyłu, by przekomarzać się z Surem. Chłopiec nadstawiał jej dłonie, udawała, że go bodzie. Ab - Ram spojrzał z boku na smagłą twarz żony ocienioną białą zasłoną i zapytał zniechęcony.

- Czy chcesz, niewiasto, wziąć udział w uroczystościach ku czci bogini Zirbanit?

Spojrzała nań ze zdumieniem.

- Pozwoliłbyś?!

- Gdybym pozwalając rzekł: Idź!

Zaczerwieniła się, wzgardliwie odymając usta.

- Za nic nie poszłabym. Powiadają, że to obmierzłe plugastwo...

- Spodziewałem się, że tak odpowiesz, Sarai!

Uśmiechnął się do niej, lecz że obóz był tuż, Sarai cofnęła się, by iść z tyłu za mężem, jak przystoi niewieście. Skóry namiotów były podniesione ukazując wnętrza, w nich legowiska ze skór baranich. Pełno dzieci uwijało się między namiotami, nagich i krzykliwych jak wróble. Psy, odpędzane, lecz natrętnie wracające, węszyły chciwie zapachy jada i warczały na siebie o wyrzuconą kość. Na widok zastępcy naczelnika, uważanego przez wszystkich za właściwego pana plemienia, kłoniono się nisko do ziemi.

- Bądź pozdrowiony, Ab - Ramie synu Tarego!

- Błogosławieństwo głowom waszym!

Namiot wodza był uszyty, podobnie jak inne, ze skóry czarnych kozłów, lecz nieco większy i ozdobniejszy.

Poprzeczna pół - obręcz wieńczyła słup środkowy, co nadawało mu kształt kopulasty. Gruba zasłona przedzielała wewnątrz na dwie części, męską i kobiecą. Przed namiotem jedna z niewolnic, Ketur, miesiła ciasto w glinianej dzieży. Towarzyszka jej, Hagar Egipcjanka, zbijała masło w worku ze skóry barana uwieszonym jak kołyska na trzech żerdziach wbitych w ziemię. Szybko i miarowo pociągała przyczepiony do worka sznur, aż bulgotała śmietana zaprawiona dla zapachu wonnymi ziołami. Nie przerywając pracy Hagar pokłoniła się swym państwu wodząc po nich oczami umalowanymi na sposób egipski, przedłużający powiekę aż do skroni. Po drugiej stronie namiotu dymił piec kuchenny o kształcie wielkiej donicy, odwróconej przedziurawionym spodem do góry. Ściany pieca były poprzecznie karbowane i w tej chwili stara Noa, piastunka Sarai, oblepiała je ciastem jęczmiennym. Wewnątrz donicy płonął ogień z wielbłądziego wysuszonego nawozu i placki piekły się pięknie na rozgrzanych ścianach, dzięki karbom nie obsuwając się w dół. Ciasto gotowe samo spadało od pieca. Wtedy stara przypiekała je szybko z drugiej strony, bacząc, by utrafić w należyte wręby. Świeże, chrupiące placki polane śmietaną stanowiły znakomite jedzenie. Nie każdej gospodyni jednak chciało się opiekować je z obu stron, toteż w mowie powtarzało się często przysłowie: lepki jak chleb nie odwrócony.

Do pieczenia mięsa, warzenia potraw służyło ognisko lub rozpalone płaskie kamienie. Lecz mięso jadano rzadko, zwykle dla uczczenia gości lub z okazji pomyślnego rodzinnego zdarzenia.

Elizer Damasceńczyk nadbiegł z końca obozu witać przybyłych. Podobnie jak Noa, był to niewolnik, który otrzymawszy przed laty wolność, przekuł sobie dobrowolnie ucho po raz drugi i pozostał, nie chcąc żyć gdzie indziej. Był sługą i przyjacielem. Spoglądał na twarz pana z wiernym uwielbieniem i Ab - Ram pomyślał mimo woli, jak miło jest w swym namiocie nie lękać się szpiegów.

Sarai starannie obmyła zakurzone stopy męża (w obowiązku tym nie mogła wyręczyć jej żadna niewolnica). Ab - Ram zrzucił płaszcz zostając w sukni spodniej, białej w czarne pasy. Krępa niewolnica Ketur wyniosła mu zwinięty pęk skór. Sarai przykucnęła obok, obsługując męża. Gazela Sebi ułożywszy się z drugiej strony żuła gałązki, które jej rzucił Elizer. Pozostali domownicy przysiedli na ziemi. Stara Noa rozdawała napełnione miski. Oprócz placków ze śmietaną jedzono tegoroczne młode ziarno, obtłuczone, prażone na maśle i polane miodem. Za napój służyło mleko. Jedli jak przystoi, poważnie, wolno i w całkowitym milczeniu.

Szybkie kroki przerwały ciszę. Noa podniosła z niezadowoleniem głowę. Sella, niewolnica Idith, żony Lota, nadbiegła zdyszana z pustym garnkiem w ręku. Widząc, że przerywa posiłek, upadła na twarz, po czym spojrzała wymownie na starą ukazując puste wnętrze garnka.

- Czego ona chce? - zapytał Ab - Ram wycierając palce, którymi jadł ziarno.

- Pewnie znów ogień wam wygaś? He? - domyśliła się Noa. - Po węgle przysłała cię pani?

- Po węgle z żarem - wyznała dziewczyna z wyrazem głębokiej skruchy. - Nie możemy rozniecić ognia, żeby ugotować wieczerzę.

Noa roześmiała się szydliwie.

- Teraz rozniecać ogień na wieczerzę?! Będziecie ją jedli, kiedy szakale wyjdą na łów?!

- Trzeci raz w tym miesiącu Idith przysyła do nas po ogień - objaśniła męża Sarai, wzruszając wymownie ramionami.

- Zupełnie wygasł? - dopytywała Noa.

- Nie zostało nic. Sam popiół.

- Czemuś ognia nie okryła?

- Moja pani zawołała mnie, bym ją czesała, a potem prałam jej szaty...

- O bogowie! Zali ogień nie ważniejszy niż włosy i szaty?!

- Dajcie jej żaru - przerwał Ab - Ram zniecierpliwiony - a ty, niewolnico, powtórz swemu panu, synowi Arana, te słowa: To mówi Ab - Ram, twój "goel". Przyjdź dzisiaj przed spoczynkiem do mego namiotu.

- Powiem, jak kazałeś, panie.

Ketura nasypała w garnek żaru i przykryła go suchą trawą. Biały gęsty dym skłębił się wokół pokrywy.

- Biegnijże chyżo, a ognia strzeż lepiej.

- Służę mej pani wiele lat, lecz do cudzego namiotu nigdy po ogień nie biegałam - mruzczała wzgardliwie Noa, gdy niewolnica odeszła. Powrócili do jedzenia. Sprzątnąwszy miski, Noa z Keturą postawiły na ziemi kosz pełen małych gorzkawych brzoskwiń już tegorocznych. Wysysano z nich z lubością sok odrzucając łupinę wraz z pestką. Czerwona łuna zachodu oblewała świat szybko mijającą świetnością. Hagar ubiła masło i odczepiwszy worek niosła go oburącz do namiotu. Idąc przeginała się tanecznie mimo ciężaru. Tanie kościane bransolety postukiwały na jej śniadych, szczupłych ramionach. Z daleka słychać było nawoływanie pastuchów i trąbienie rogów bawolich, zewsząd bowiem stada schodziły do wodopoju. Pierwsze szły byki, za nimi krowy i cielęta, potem jałowice, na koniec kozy i owce. Przed bykami dwóch pasterzy uderzało w trzciny kijami i dęło w rogi, by hałasem wypłoszyć zaczajonego być może w trzcinach napastnika. Wprawdzie lampart, pantera czy gepard nie ośmieliłyby się rzucić na liczne stado, lwy zaś trzymały się dalej od rzeki, niemniej drapieżca mógł spowodować zamieszanie. Ptactwo błotne przerażone trąbieniem kołowało wysoko z wrzaskiem i łopotem skrzydeł. Na tę chwilę czekały zawieszona niewidzialnie w górze jastrzębie i sokoły spadające z nagła na łup. Pastuchy i poganiacze zadzierali głowy śledząc z zajęciem przebieg walk powietrznych. Grzęznąc w rozdeptanej glinie, wrywając z niej z trudem nogi, stada wracały od wody. Uspokojone ptaki zapadały na spoczynek. Świat stracił barwę purpury,

stawał się siny i chłodny. W zaroślach odezwały się pierwsze zwiastuny nocy - szakale. Psy obozowe odpowiedziały na ich skomlenia gniewnym ujadaniem. Nietoperze przelatywały szybko, szybko, cicho, cicho nad namiotami.

Ab - Ram wyciągnął się na zwoju skór.

- O Sarai - rzekł - życie pod namiotem wśród stad piękniejsze jest i radośniejsze niżli w grodzie.

- Naprawdę, panie mój? - szepnęła z niedowierzaniem.

Nie czekając na jego odpowiedź, dorzuciła:

- Wezwałeś syna Arana, by go skarcić za Hibala? Szkoda twojej mowy. Pastuchy nie słuchają go wcale.

- Ojciec mój, Tare syn Nachora, dał mi zlecenia dla niego i jego niewiasty. Dał mi i dla ciebie, Sarai.

- Dla sługi twojej? - wykrzyknęła zaciekawiona. - Mów, panie mój!

- Przykro jest duszy mojej powtarzać ci owo zlecenie, Sarai. Tare syn Nachora skarżył się przede mną, że jadło, które posłałyście: ty, niewiasto, Melcha i żona Lotowa, było pospolite, niedobre. Chleb i placki na łożu. Masła mało, wino młode, dibs nie wysmażony... Boleśnie było mi tego słuchać, niewiasto.

Sarai zerwała się na równe nogi, czerwona z gniewu.

- To nieprawda, panie mój! Noa, Hagar, Ketura, chodźcie tutaj, żywo! Zbudźcie Sura! Niech tu przyjdzie!

Ab - Ram na próżno usiłował ją powstrzymać. Gdy przywołani nadbiegli, powtórzyła niesłuszne oskarżenie świekra. Stara Noa wtórowała jej piskliwie, Hagar i Ketura przytwierdzały. Sur wyrwany z pierwszego snu kiwał na wszystko przytakująco głową. Tare syn Nachora został oszukany! Niewolnik, który odebrał kosz od Sura, sam widno wyjadł przysmaki, a podłożył na to miejsce chleb i kwaśne wino kupione na targu! Dibs nie wysmażony! Mój dibs! - krzyczała Sarai. - Sama go smażyłam od pełni do pełni! Ciastek był pełen kosz, lekkich, doskonałych! Oby zmija wyjadła oczy łakomego, nieuczciwego niewolnika! Oby mu łożo oblaży skorpiony, oby go psy opaskudziły! Oby mu demony nie dały spokoju! Oby mu ziemia przywarła do stóp! Biada! Biada! Ab - Ram syn Tarego i Tare syn Nachora sądzą, iż jedzenie przygotowały trzy kobiety, trzy synowe? Na srebrną łądź Nannar - Sina, na Enu i Anu! Melcha czy Idith nie dały ani jednego placka! ani garści daktyli, ani mieszka wina! Wszystko dałam ja! Ja! - pieniała się Sarai. - Melcha powiedziała, że nie może nadażyć z pieczeniem dla męża, a Idith, że nie ma czasu! Ta strojnisia, co ognia nie potrafi utrzymać przez dobę! Ruda cudzoziemka znad morza! Nie ma czasu!

Gadały bez przerwy zapominając o szacunku winnym obecnemu mężczyźnie. Nawołując je do przytomności, Ab - Ram sądził w duchu, iż kobiety mają słuszość. Obed wyjadł z kosza lepsze

kąski. Cokolwiek by mówił Sep - Sin, trzeba nieuczciwego sługę sprzedać jak najprędzej.

Elizer Damasceńczyk wynurzył się z mroku.

- Syn Arana, twój "ben - ah" (bratanek), idzie ku nam, panie, a jego niewiasta z nim.

POdniecone kobiety ucichły, gości należało bowiem witać spokojną i pogodną twarzą.

- Ruda ma pewnie nowy strój, którym chce się pochwalić przed naszymi oczami - mruknęła Sarai, wychodząc z namiotu.

Nazywana pogardliwie rudą, Idith, żona Lota, układała włosy kunsztownie w trzy pukle, jeden nad czołem, dwa po bokach twarzy. Głowę spowitą w cieniuchną zasłonę otaczała kosztowną opaską. Ubrana była wymyślnie, aż trudno było uwierzyć, iż ta strojna pani mieszka pod namiotem ze skóry czarnego kozła miast leżeć w pięknym miejskim domu na poduszkach przy fontannie, wachlowana przez niewolnice. Wierzchni jej strój składał się z dwóch chust jedwabnych, czerwonej i modrej. Czerwona przerzucona przez prawe ramię, błękitna przez lewe, obie skrzyżowane i ujęte w pasie srebrnym łańcuchem. Na powstałej stąd dwubarwnej sukni połyskiwały liczne naszyjniki. Spod rudych pukli wysuwały się zausznice - amulety, w nosie połyskiwał złoty nezem. Niechęć, jaką Sarai żywiła do żony bratanka męża, wzrosła w tej chwili ogromnie, tej ostatniej ozdoby bowiem sama nie posiadała.

Lot syn Arana, nieżyjącego już syna Tarego, choć dorodny, ginął przy swej świetnej żonie. Był nieśmiały, z wyrazem zakłopotania przywartym do lic. Kłonił się teraz nisko przed stryjem i opiekunem, oczekując wymówek z powodu zachowania się pastuchów. Ab - Ram powiódł go do męskiej strony namiotu, gdzie Sarai podała wino w dzbanie. Idith zasiadła na skórach po stronie kobiecej, rozkładając starannie fałdy swojej pięknej szaty. W namiocie było ciemno, przeto Noa zaświeciła kaganki gliniane. Knot i oliwę zastępował w nich ogon barani. Palił się znakomicie, napełniając powietrze miłym zapachem smażonego mięsa. Sarai ustawiła przed gościem dibs, debelah, brzoskwinie i zeszłoroczne daktyle. Żona Lota jadła wybrednie, za każdym kęsem podnosząc palcem nezem. Chwaliła grzecznie znakomity dibs. Poruszona tym Sarai opowiedziała o niegodziwości, jaką popełnił niewolnik Tarego syna Nachora.

- To pewnie Obed - domyśliła się Idith. - Jego oczy patrzą chytrze.

- Skąd go znasz?!

- Widziałam kiedyś... Nie pomnę już kiedy... Cieszę się, że nic nie posłałam. Szkoda byłoby moich ciastek dla karmienia niewolnika.

- Poślesz tym razem - zauważyła Sarai z naciskiem. - Sprawiedliwie będzie, gdy każda z nas trzech kolejno opatrzy Tarego syna Nachora. Ja już swoje zrobiłam...

- Melcha nie robi na pewno - odparła Idith niedbale. - Bogowie uczynili brzuch Nachora brzuchem bez dna, nic nie może go nasycić. Jej niewolnica klęczy cały dzień przy piecu, a on wciąż woła o jadło. Ja także nie mam czasu na pieczenie dla dziadka mego męża. Nie posiadam tyle

niewolnic co ty, "amito" (stryjenko), mam dzieci... Przy dzieciach tyle zajęcia...

- Dwie córki... Jest o czym mówić... - mruknęła w kącie NOa.

- Gdzie są córki, tam będzie i syn. Nie mam zamkniętego łona.

Sarai odwróciła głowę, ugodzona. Noa splunęła ze złością. Idith zadowolona uśmiechnęła się podrzucając wargą złoty nezem do góry.

Ab - Ram przemawiał do Lota:

- Zaprawdę, synu mego brata, nie zdarzyło się jeszcze w plemienu Hebera, by niewiasta postępowała samowolnie i bezwstydnie. W oczach łaskawych bogów i ludzi czystość rodu posiada jawyższą cenę. Rodu nic nie zastąpi, krzywdy wyrządzonej krwi nic nie wynagrodzi. Taką krzywdę wyrządzić może nie ustrzeżona przez męża, szalona kobieta. Pragnienie Idith dowodzi, że się nie lęka bezwstydu, a jej bytność u Tarego syna Nachora bez twojej wiedzy była samowolna. Niewiasta a dziecko - to jedno. Dziecko - a nieme stworzenie, osioł lub wielbłąd, to jedno również. Gdy osioł lub krowa zdepcze twą winnicę lub rozwali upust kanału, kogo winisz? Zali do nich zgłosisz skargę i od bydła nierozumnych oczekiwać będziesz wynagrodzenia szkody? Synu Arana, za zwierzę odpowiada właściciel, za dziecko - matka, a za żonę - mąż.

Umilkł, czekając na odpowiedź. Bratanek jednak milczał. Ab - Ram mówił więc dalej:

- ...Ojciec twój, Aran, był synem Tarego, który jest synem Nachora, który był synem Saruga, który był synem Rewa, który był synem Falega, który był synem Hebera, który był synem Salego, który był synem Arkaksada, który był synem Sema... Wywieść uczciwie ojcostwo wiele pokoleń wstecz to wielki zaszczyt, synu mego brata! Dzieci zrodzone z niewolnic albo z nierządnic ojcostwa nie posiadają. Wołasz na nie imieniem matki, a nie ojca. Wśród młodzieży plemiennej biegającej po obozie są, być może, bękarty Nachorowe albo moje, gdyż młodość nie oszczędza swojego nasienia. Żaden z nas jednak nie nazwie któregośkolwiek z tych dzieci swoim synem i dziedzicem. Tylko z uczciwej prawowitej żony rodzi się przedłużenie szczepu. Bogowie nie dali mi dzieci. Nachorowi chłopcy pomarli w dzieciństwie, pozostał mu tylko Tabej, syn nałożnicy Romy. Z dawna postanowiłem, iż gdy Idith urodzi ci syna, on będzie dziedzicem wszystkich moich stad i naczelnikiem plemienia. Tak postanowiłem w sercu swoim. Lecz jeżeli twoja niewiasta nie zmieni postępowania (a czyż lampart może zmienić skórę?) - nie uczynię tego. Wolej uznam za swego syna Elizera Damasceńczyka, któren wierny jest, a jego żona uczciwa...

Słuchający dotychczas w milczeniu Lot podniósł głowę.

- Stryju Ab - Ramie! MOja niewiasta nie uczyniła nic złego! Pytała o święto bogini, bo ciekawa. Lubi stroje, tańce, zabawy, zwyczajnie, jak młoda...

- Dziecko wie, jakie są hołdy składane przez niewiasty i przez mężów bogini Zirbanit... Kobieta, którą ciągnie rozpusta, stanie się rychło nierządnicą, jeżeli mąż się nie przeciwstawi... Twoja młodsza córka ma dwa lata. Dlaczego Idith nie zaszła dotąd w ciążę? Niewiasta brzemienna lub karmiąca nie myśli o rzeczach złych. Synu Arana, brata mego, dlaczego twoja żona nie jest

ciężarna?

Bratanek zaczerwienił się gwałtownie. Spuściwszy oczy bąkał coś niezrozumiale. Ab - Ram patrzył na niego surowo.

- Jeżeli prawda jest taka, jaką mówi twoja twarz, pamiętaj, że nie tylko opiekunem twym, lecz sędzią. Tare syn Nachora uczynił mnie naczelnikiem plemienia w swoim zastępstwie. Póki swej woli nie zmieni, do mnie należy sąd nad każdym Hebrajczykiem. Powiedziałem.

Lot powstał zgnębiony. Ab - Ram dorzucił jeszcze:

- Z twoimi pastuchami sam się rozprawię. Idź w pokoju.

Miesiąc płynął wąski, złoty. Lekki południowy wiatr zwany "darem" niósł zapach kwiatów i ziół. Szakale nawoływały się po krzakach. Lot ze swą żoną odeszli. Ab - Ram usiadł przed namiotem na piasku, owinięty w płaszcz z sierści wielbłądziej. Mimo późnej pory nie kwapił się na spoczynek. Niebo nad nim zdawało się odwróconą czarą z ciemnobłękitnego kryształu. Gwiazd przybywało, w miarę jak czara stawiała się głębsza. Czasu swej służby w świątyni Tare syn Nachora osłuchiwał się nieco mądrości kapłanów. Zdobyte wiadomości powtarzał później synom. Przypominając sobie te pouczenia ojcowe, Ab - Ram usiłował rozpoznać Hjady zwiastujące deszcz, gwiazdozbiór Kimach stanowiący podstawę wróżb, Nimruda, założyciela Babilonu, osadzonego na niebie przez bogów, świetniejszą nad inne gwiazdę bogini Isztar, Włócznię, Łuk, Sępa i Kłosa. W mnóstwie połyskujących złotych źrenic nie wiedział, zali odgaduje je trafnie. Przypominał sobie również, że zdaniem kapłanów, powtarzanym przez Tarego, gwiazdy nie tkwią nieruchomo niby ćwieki wpięte w błękit, jak przypuszcza gmin, lecz płyną wyznaczonym sobie od wieków szlakami oplątującymi ziemię. I że gwiazdy dostrzegalne okiem stanowią małą część gwiazd, którymi usiane jest niebo, każda zaś ma nie tylko drogę wytyczoną, lecz czas odmierzony, w którym powinna ją przebyć. Kto te gościńce wyznaczył i poddał pod prawo?

Aczkolwiek Ab - Ram nie umiałby tego słowami wyrazić, odczuł żywo, że wszystko, co go otacza, gwiazdy i noc, wiatr szeleszczący w trzcinach, śpiące wielbłądy, szmery i zapachy nocy, nawet szakale skomlące w zaroślach są pełną ładu całością. Tą całością musi rządzić ktoś nad wszystko władniejszy i wyższy. Kim On jest? Czyje oczy patrzą z wysoka na świat? Kto położył zawiasy ziemi i wykreślił koleje miesiąca? Kto ład otoczył wodami? Kto rozkazuje słońcu? Jeżeli prawdą jest, że jak Nannar - Sin miesiącem, tak każdą gwiazdą rządzi inny duch lub demon, to i tak musi istnieć nad nimi bóg większy, starszy, goel świata... Jak się zwie? Kapłani mówią, że słońce, czyli Samasz, jest wielkim bogiem. W tej chwili Samasz śpi. Zatonął w morzu i nie wstanie do świtu. Więc boga w tym czasie nie ma. Nieobecny jest i uspiony. Jednakże Ab - Ram czuje i cały świat zdaje się czuć z nim razem, że Bóg jest. Wszystko oddycha Bogiem. Bóg przytłacza, przenika. Jak Go nazywać?...

Zali śmiertelny człowiek może poznać Boga?... Gdy ujrzę mrówkę porwaną przez strużkę wody, mogę - myślał Ab - Ram - podjąć ją i przenieść na suszę. Lecz mrówka, choćby pełzła po mojej dłoni, po ramieniu, aż na czoło, nie pozna, ktem jest, a moje włosy weźmie za żdźbła trawy... Czyż człowiek podobnie nie dotyka Boga każdego dnia, każdej nocy? Któż On jest? Kędy Jego pomieszczenie?

Gdyby Ab - Ram wyjawiał swoje myśli komukolwiek, słuchacz poczytałby je za bluźnierstwo i przypomniał surowo, że pod panowaniem ulubieńca bogów, Hamurabiego, najwyższym panem nieba i ziemi, ludzi i gwiazd jest Marduk Bel, któremu nie masz równego. A po cichu dorzuciłby jeszcze imię opiekuńczego boga swego grodu lub swojej osady. Lecz Ab - Ram, wolny pasterz, nie podlegający żadnemu królowi, wątpiłby w słuszność tych słów. Bogowie zmieniali się często wraz z panującymi, można rzec, iż byli od nich zależni. Jeżeli król ustanawia bogów, król jest mocniejszy od boga, gdyż zwierzchnik powołuje poddanego, a nie poddany zwierzchnika. Król jest człowiekiem śmiertelnym. I Hamurabiego zwłoki skryje grób. Świat zaś pozostanie dalej...

Wielu królów włada ziemią, wielu bogów mieści się w niebie. Jeżeli równie trudno im żyć w zgodzie jak królom bez obecności silniejszego Pana, dawno strzaskaliby niebo i gwiazdy cisnęły o ziemię. W granicach państwa babilońskiego czczony i uznawany jest Marduk, w Niniwie - Assur, na wybrzeżu Wielkiego Morza, skąd Idith rodem, wielbią okrutnego boga Baala, w Egipcie, czyli w Czarnym Kraju - Amona... Każdy z tych bogów jest wysławiany jako jedyny i nad wszystkimi panujący... Nie znaczy to, że naprawdę nie panuje nikt? W ludzkim plemienu musi być naczelnik odpowiedzialny za całość, inaczej nie będzie porządku, nawet gromada zwierzęca posiada swojego przodownika, któremu ulega, a wielka misa ziemi nakryta misą nieba, zaludniona nieprzeliczoną ilością stworzeń i duchów, miałaby go nie posiadać? Nieśmiertelnym i wszechwiedzącym winien być Rządiciel świata, wyższy od ziemskich mocarzy, prawdziwie melek melakim - król królów, Adonai, Pan Najwyższy...

Nie pierwszy raz podobne myśli zaprzętały głowę Ab - Rama, a właściwie zaprzętały go zawsze, ilekroć, tak jak teraz, siedział samojeden patrząc na usiane gwiazdami niebo. W dzień praca zajmuje umysł i ręce człowieka, a słońce, żarliwe lico boga Samasza, oślepią nie pozwalając patrzeć na swą chwałę. Dzień jest pełen rozgwaru i troski. Noc - powagi i milczenia. Miło jest myśleć nocą, tylko żal, że nie ma z kim podzielić się tymi dumami. Nikt z otoczenia Ab - Rama nie żywił podobnych jemu tęsknot. Wszyscy ludzie, jakich znał, wierzyli w demony złe i dobre. Lękali się pierwszych i usiłowali zaskarbić sobie ich względy, nie troszcząc się o to, kogo demony słuchają.

Kapłanów Ab - Ram nie znał i nie pragnął poznać. Mówiono powszechnie, że znają wszelkie tajemnice, lecz odstręczała go ich nienasycona chciwość i obłuda. Zresztą nie umiałby z tymi uczonymi ludźmi rozmawiać. Ach, gdyby miał syna... Syna, który by ciekawił się tym samym co on, myślał jak on... Siedzieliby obok siebie patrząc wspólnie na gwiazdy i rozmyślając nad zagadką świata. Stara głowa doświadczeńsza, młoda lotniejsza wspomagałyby się wzajemnie...

Westchnął i wszedł do namiotu. Oszczędna Noa zgasiała kaganek z baranim ogonem, zostawiając na noc małą lampkę oliwną. Płomyk jej, acz słaby, wystarczał, aby odpędzić demony. W nikłej, pełgającej poświacie Ab - Ram zobaczył, że żona jego czuwa. Wielkie oczy ciemniały otwarte, nagie ramiona podłożone pod głowę połyskiwały jak mosiądz.

- Dlaczego nie śpisz, Sarai?

Nie odpowiedziała nic, lecz gdy położył się koło niej, zaczęła płakać.

- Czemu lejesz łzy, niewiasto? - powtórzył niecierpliwie. Bo czyż kobieta zna kiedykolwiek przyczynę swego płaczu? Sarai martwi się pewnie dotąd ciastem, które zjadł niewolnik Tarego.

Wyraził głośno to przypuszczenie. Potrząsnęła przecząco głową.

- Czemuś mnie nie odesłał dawno, dawno? - zapytała nieoczekiwanie, łkając. - Miałbyś dzieci z inną żoną...

Zawstydził się. Czyżby podsłuchiwała jego tajne myśli? Skąd wiedziała? Pogładził jej ciemną głowę przyjaźnie.

- Nie odesłałem cię, Sarai, i rad jestem, że tak uczyniłem - rzekł. Nie mógł zdobyć się na słowo lepszej pociechy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

PORWANIE

Dzień zapowiadał się upalny a bezwietrzny. Korzystając z ciszy, Ab - Ram wysłał swoich ludzi na zbiór "ladanu". Były to niskie krzaki wydzielające pod wpływem gorąca gęsty, pachnący olejek, używany do przyrządzania wonności oraz kadzidła. Tracił połowę wartości, gdy wiatr nawiał doń pyłu, zebrany w dzień cichy przedstawiał ogromną cenę. Mężczyźni chodzili zbierać ladan zaopatrzeni w krótkie rzemienne bicze. Smagali nimi rośliny raz przy razie, aż do omdlenia ramion. Gdy na rzemieniach batów zebrała się gruba warstwa stężałego olejku, zeskrobywano ją do glinianego naczynia i chłostano zarośla dalej. W ciągu dnia silny mężczyzna mógł uzbierać pełen garnek ladanu. Kobiety postępowały inaczej. Zeskrobywały olejek z bród kozich. Kozy obgryzające z upodobaniem krzaki ladanu miały w tym czasie brody lepkie od nagromadzonego na nich olejku. Stara Noa lubiła przechwalać się, że kozy w ciągu dnia więcej dla niej uzbierają niż mężczyźni w tym samym czasie wytluką batami.

Sprawdziwszy, jak idzie praca, Ab - Ram z nieodstępnym Surem poszedł dalej. Miesiąc nizan dobiegł końca, żniwa pszenicy były już skończone, zasiewano nowy zbiór. O tej porze orka była zbyteczna. Rzucano ziarno wprost na ściernie, przepędzając po zasianiu bydło, by zabronowało pole. Oranie drewnianą sochą stosowano dopiero po wielkich deszczach zimowych, gdy ziemia nasiąkła wodą. Jeżeli bogowie okazali się łaskawi i zesłali deszcz z początkiem lata, zbierano przed jesienią trzeci plon pszenicy.

Idąc ku młócącym Ab - Ram zaszedł do starszego brata Nachora, którego dawno nie widział.

Nachor syn Tarego nie był stary, chorobliwa otyłość jednak czyniła go niedołącznym kaleką. Twarz otoczona potrójnymi zwałami tłuszczu tonęła w ramionach. Olbrzymi brzuch spoczywał ciężko na kolanach. Spocony, zasapany, ustawicznie spragniony, pił nieustannie wino, wodę, mleko, chustą ocierał pot z czoła i piersi. Męczył go każdy ruch. Odzywał się rzadko i najczęściej przysłowiami, zwalnającymi z wysiłku szukania odpowiednich słów.

Żona jego, Melcha, siostra Lota, była znacznie odeń młodsza. Niegdyś młoda, żywa dziewczyna, przy niedołącznym mężu przedwcześnie postarzała. Bogowie zabrali jej kilkoro dzieci w młodym wieku (mówiono, iż dlatego, że Nachor nie ofiarował im żadnego dobrowolnie) - a teraz wobec choroby męża nie mogła się nowych spodziewać. To ją czyniło zgryźliwą i przygnębiłą.

Ab - Ram odwiedził braterstwo, by się poradzić, co począć z pastuchami Lota. Skargi pasterzy Ab - Rama powtarzały się nieomal codziennie. Lot przepraszał, padał stryjowi do nóg, lecz ta skrucha, acz niewątpliwie szczerą, nie zmieniała w niczym położenia.

- Zaprawdę - zakończył swe żale Ab - Ram - nie wiem, co mi przystoi uczynić...

- Gdzie dym - tam ogień, gdzie trzcina - tam woda - wygłosił Nachor, pozornie bez związku.

- Wszystkiemu winna Idith - uzupełniła zdanie męża Melcha. - Niewolnice kasa jak żmija, ale pastuchów zawsze od kary wyprasza i do złego zachęca...

- Dlaczego Idith tak czyni? - zdumiał się Ab - Ram.

- Ma w nienawiści ciebie, Ab - Ramie synu Tarego. Lot jest moim bratem. Miłuję go, bo dobry, sprawiedliwy. Demon poddał go niewieście, a jej podszeptała zamiary, których nikt nie zna. Jeśli je pojmem, uprzedzę ciebie, Ab - Ramie...

- Z mleka śmietana, z winorośli wino, z gniewu kłótnia... - zawyrokował Nachor ocierając pot.
- Bogowie! Jakże gorąco!

Melcha wezwała niewolnicę Balę.

- Stań tutaj i wachluj pana.

Bala podjęła spoczywający w kącie wielki wachlarz trzciny i jąła poruszać nim miarowo, uważając, by powiew szedł ku Nachorowi.

- Żona dbała miłsza sercu niż ciepła suknia porą zimową - stwierdził tłuścioch z zadowoleniem.

- Powiedziałeś, bracie mój, Nachorze, że z mleka śmietana, z winorośli napój, z gniewu kłótnia. Zali mniemasz, że niewiasta Lota chce kłótni pomiędzy nim a mną?

- Rzekłeś, bracie.

- MNiemasz, iż o tych zamiarach cudzoziemki myślała Melcha?

- Nic nie mniemam. To wiem, iż łatwiej udźwignąć żelazo niż cudzą głupotę. Mężczyzna nie uchwyci w worek wiatru i nie przewidzi myśli lęgnących się w głowie kobiety.

- Co mam począć, bracie mój, Nachorze?

- Wdzięczny jestem bogom, że nie uczynili mnie naczelnikiem plemienia. Sam się troszcz, bracie Ab - Ramie. Czy zasnęłaś, niewolnico? Nie czuję żadnego chłodu.

Szczerze przywiązana do brata Melcha żegnając odchodzącego Ab - Rama prosiła go o cierpliwość w stosunku do Lota.

- Ruda wszystkiemu winna - powtarzała.

- Przekleństwo jej matce! - rzekł Ab - Ram i ruszył w dalszą drogę. Do młocki przeznaczone było obszerne klepisko, starannie stopami ubite. Zazwyczaj po rozrzuconych na nim pękach kłosów pędzono tam i nazad byki. W tym roku Lot z dumą i zadowoleniem młócił zboże babilońskim wymyślnym przyrządem, osobliwie do tego celu zbudowanym, a złożonym z trzech kłód drzewa nabitych kolcami, złączonych razem i ciągniętych przez dwa byki. (Narzędzie zwano "morag" i w Babilonie służyło także do mordowania pojmanych wrogów.) Kłody obracając się wygniatały ziarno lepiej i szybciej, niżli to czyniło stado. Ab - Ram niechętny wszelkim nowościom przyglądał się pracy podejrzliwie, ale Lot promieniał. Puściwszy sznur przeciągnięty przez nozdrza byków podbiegł

pokłonić się stryjowi. Patrząc na jego łagodną, miłą twarz Ab - Ram pomyślał w duchu: Nie dopuszczę, by cudzoziemka posiadała zwadę pomiędzy mną a tym oto chłopcem z mojej krwi.

Obok klepiska przeznaczonego na młockę znajdowało się drugie, mniejsze, na którym odwiewano wymłócone zboże, wyrzucając je wysoko w górę i chwytając opadające ziarna w podstawione płaskie kosze. Wiatr odnosił plewy daleko. Dzisiaj nie wiano, gdyż wiatru nie było. Ziarno już oczyszczone zsypywano w długie rowy, gdzie nakrywano je ziemią i trzcina zabezpieczając przed porą deszczową.

Przyznawszy niechętnie Lotowi, że babiloński wynalazek dobrze działa, Ab - Ram zawrócił ku obozowi. Szedł pogrążony w powszednich kłopotach. I wtedy zaszła rzecz najdziwniejsza, niewytłumaczalna, mająca odmienić jego życie, jego losy i jego samego. Słońce paliło żarem. Powietrze drżało przesiane srebrnymi krążkami. Cisza panowała zupełna. Ab - Ram szedł osłonięty chustą przed palącymi promieniami, za nim nadażał Sur. Nagle Ab - Ram poczuł na spoconym czole pęd wichru i pojął, że znalazł się wysoko. Ujrzał czubki palm na równi ze swoimi stopami. Płaszcz wzniósł się nad nim jak kopuła, jak żagiel wydęty. Nie czuł strachu ani zdziwienia, jak gdyby znajdowanie się w powietrzu było rzeczą przyrodzoną. Spojrzał w dół i - o dziwo, zobaczył samego siebie w postaci zdrobniałej, niby oglądanej z wieży, kroczącego przed równie pomniejszym Surem. Choć wiadome mu było, iż ujrzenie własnej postaci wróży rychłą śmierć - nie czuł najmniejszego strachu. Zjawisko nie trwało długo. Ani wiedzieć kiedy, ziemia zaczęła się przybliżać, drzewa uciekły w górę, a on sam znalazł się znowu w żarze południa na drodze z Surem idącym jego śladami. Wtedy dopiero ogarnął go nieopisany lęk. Obejrzał się za niewolnikiem. Twarz chłopca nie wyrażała zdziwienia lub niepokoju. Zatem Sur nie wiedział, że przed chwilą jego pana nie było przed nim?... Strach, strach... Ab - Ram nie śnił na pewno. Pamiętał każdy szczegół swej przygody. Podniósłszy głowę ku dorodnej palmie przypomniał sobie, jak wierzchołek jej obciążony gronami owoców wyglądał widziany z góry. To nie był sen. Porwał go i uniósł w powietrze nieznaną bog albo demon. Porwał jak źdźbło wirujące z wiatrem. Nie lada siłacz, skoro uniósł w ten sposób dużego, rosnącego męża... Czego chciał? Czy nie powróci, by zabrać Ab - Rama ponownie? Może to był sam Marduk Bel rozgniewany niedowiarstwem Hebrajczyka? Ab - Ram, który nie czuł strachu wisząc w powietrzu, zaczął teraz drzeć jak dziecko. Wrócił do obozu, powiedział Sarai, że mu słońce przepaliło głowę, i położył się w namiocie, by w ciszy i spokoju rozpamiętywać straszliwe zdarzenie. Im więcej myślał, tym więcej się bał. Przedpołudniowa cisza ustąpiła miejsca gwałtownemu natarciu wichru i Ab - Ram sądził, że zostanie znów uniesiony ponad obóz. Uspokajał go widok wielbłądów obracających się tyłem do wiatru i poganiaczy opasujących ciasno szaty, by wiatr ich nie rozprowadził. Sarai przyniosła mu posiłek. Zmuszał się do jedzenia nie chcąc rozpętać jej troskliwości. Wszakże nic by nie pomogła. On mógł zostać ponownie porwany, ona zaś nie wiedziałaby o tym wcale, jak nie dostrzegł nieobecności pana idący za nim krok w krok Sur. Lecz kto pomoże? Kto poratuje? Gdzie się schronić?

Wieczór nadszedł parny, zwiastujący burzę. Ab - Ram polecił Sarai spać po kobiecej stronie, co uczyniła z wyraźną niechęcią. On jednak chciał nadal być sam, sam, choć się tak bardzo bał. Zęby szczykały mu ze strachu, gdy migot kaganka wywoływał z kątów pokraczne cienie. Obiegło go uczucie czyjejś obecności, niewidzialnej, nieustępliwej, przenikającej. Cóż z tego, że sam nic nie widział, skoro czuł, że jest widziany, przeglądany na wskroś? Każda jego myśl, każde słowo, każdy uczynek obecny albo miniony był jawny i wiadomy tej Obecności przerażającej. Usiłował ratować

się i bronić. Wzywał na pomoc terafim. Błagał gorąco, lecz bezskutecznie o pomoc kamiennych opiekunów rodu. Wspomnił na zakłęcie, które kupił niedawno ojcu, i począł powtarzać je z wolna, nosowo, bez zaczerpnięcia oddechu. Wymówiwszy pierwsze zdanie pojął całkowitą bezowocność tego zabiegu, jak gdyby dziecko wznosiło tamę z gałązek przeciwko wezbranej, huczącej powodzi. Zakłęcie skutkowało przeciw małym, zwyczajnym demonom, lecz ten, przed którym drżał Ab - Ram, był niewątpliwie wielki, potężny.

Świt nadszedł, nie przynosząc mu ulgi. Wprawdzie nocne zwidy cięższe są do zniesienia niż dzienne, lecz Ab - Ram nie mógł zapomnieć, że demon porwał go w samo południe, w świetności blasku Samasza. Gdy wyszedł z namiotu, Sarai krzyknęła z przestachu na jego widok. Twarz miał żółtą i zmęczoną, wzrok niepewny. Nie mogąc opędzić się jej pytaniom i leczniczym porodom starej Noi powiedział, że pójdzie do miasta złożyć ofiarę bogom.

Jakoż wybrał siedem najpiękniejszych byków, młodych, nie posiadających żadnej wady w budowie ani maści, i polecił pastuchom trzymać je oddzielnie, gotowe dla pognania do świątyni, gdy rozkaże. Do grodu poszedł sam, bez Sura, który markotnie spoglądał za oddalającym się panem. Idąc Ab - Ram rozmyślał, czy ofiara zabezpieczy go przed niewidzialnym napastnikiem? Sądził, że tak. Jak wszyscy jego współcześni, Ab - Ram wierzył w siłę ofiary. Znaczenie tego obrzędu, starego jak świat, było trojokie. Ofiara stanowiła stwierdzenie, że wszystkie dobra ziemskie do boga należą. Ceną ofiary okupywano prawo do korzystania z nich. Był to niby czynsz dzierżawny, lenno złożone prawemu właścicielowi. Ofiara stanowiła równocześnie ucztę boga. Ofiarnicy i ofiarodawca, spożywając części zwierzęcia złożonego na ołtarzu, stawali się współbiesiadnikami boga, a zarazem jego przyjaciółmi, gdyż wspólnie spożyty posiłek stanowi węzeł przyjaźni. Na koniec - i to było najważniejsze - składając ofiarę żywą, zawierano z bogiem związek krwi, łączność rodową, ściśle pokrewieństwo. To ostatnie pojęcie zrodziło zwyczaj poświęcania dzieci, czyli ofiarowywania bogom własnej krwi w postaci niewinnej i nieskażonej.

O, tak. Ofiara miała potężne znaczenie - jeno... Komu ją złożyć? W mnogości bóstw i demonów jak rozpoznać sprawcę porwania? Uderzysz w prośby do innego - obrazisz właściwe bóstwo. Urażony bóg będzie się mścił. Bezpieczeństwo zapewniałaby opieka najsilniejszego z bogów, rzeczywistego pana nieba i ziemi, lecz kto nim jest? Kogo o to zapytać?

Mimo skołatania Ab - Ram zachowywał trzeźwy umysł. Nie lubił kapłanów, nie ufał im, jednakże rozumiał, że w danym wypadku należy zasięgnąć u nich porady.

W grodzie zastał ruch niezwykły. Setki ludzi pracowało przy murach, odczyszczaniu ścian domów i porządkowaniu ulic. Na płaskich schodach tłum robotników ustawiał rusztowania, które miały być pokryte pomostem.

Stary Tare syn Nachora, do którego przede wszystkim Ab - Ram skierował swe kroki, zdrów i po dawnemu ruchliwy, obruszył się słysząc pytanie o przyczynę tego zbiegowiska.

- Dzikujecie pod namiotami, nie wiedząc, co się na świecie dzieje... Babilończyk we własnej osobie odwiedzi wkrótce nasz gród.

- Kiedy, mój ojciec? Z jakiego powodu?

- Za miesiąc, towarzysząc łodzi bogini spływającej jak corocznie Eufratem. Wszyscy szaleją. Wielkie szaleństwo ogarnęło nasze biedne miasto. Patesi spędził ludzi z całej doliny. Chce przed przyjazdem króla wybudować nowy gmach na tabliczki z raportami. Wie, czym Babilończyka ujednać. Obecne ich pomieszczenie w piwnicy może mu się nie podobać...

- Wszak w miesiąc nie zmuruje gmachu?

- Zmuruje. Pracują we dnie i przy pochodniach w nocy. Na zmianę. Ja też pracuję. Zamówiono u mnie dwa wielkie posągi. Brak mi pomocnika. Czemuż nie mam Samira?! Przygotuj byków z pół kopy, gdyż mniej kapłani nie przyjmą. Pierwszy raz syn Muballita przyjeżdża do Ur bez zamiaru wyrznięcia mieszkańców. Winniśmy mu wdzięczność. Będą słać szaty pod jego stopy, obaczysz!

Nie opowiadając staremu o swej przygodzie Ab - Ram poszedł do świątyni. Przedtem pokłonił się terafim z szacunkiem, a zarazem wyrzutem, że nie umiały mu pomóc. Czyżby siła ich działała tylko w najbliższym zasięgu?

Plac przed świątynią był również zapchany pracującym ludem. Wielkie stopy równo ułożonej cegły zalegały przestrzeń. Tuż przy nowo wznoszonym budynku układano na ziemi długie wstęgi barwnych cegieł dobierając wzór mający w przyszłości pokrywać ściany. Wzór był duży i zawity, na powierzchni każdej cegły widniał jego maleńki ułamek. Acz drobny, stanowił o wyglądzie ogólnym całości. Biada niedbałemu murarzowi, który by zamienił cegły, zakłócając harmonię obrazu!

Cegły zwożono na podstawach zaopatrzonych w mocne drewniane bieguny. Rozkołysane silnie w przód i w tył, posuwały się za każdym wahaniami o pół stopy. Gdy jedni kołysali, drudzy podpierali kolebki z tyłu drągami, by się nie cofały. Pot spływał z czoł. Muskły napinały skórę. Niewiasty roznosiły wśród pracujących wodę i rozkrajane melony o smaku orzeźwiającym.

Zaiste, mogą skończyć do przyszłej pełni - pomyślał z podziwem Ab - Ram. W świątyni zastał podobne zamieszanie. Hamurabi nadesłał drobiazgowo wskazówki dotyczące święta bogini. Królewscy pisarze wyszczególnili wonności, którymi winny być namaszczone posągi bogów, oraz ilość miar olejku przeznaczonego na ten cel. Równie starannie wyliczono żywność, którą bogini miała spożyć w czasie przejazdu z Babilonu do Ur i z powrotem. Kapłani, podpasawszy wysoko szaty dla większej swobody ruchów, pracowali nad odświeżeniem ołtarzy i odmalowywaniem posągów. Wszyscy byli zajęci, wszyscy się śpieszyli i Ab - Ram myślał z żalem, że wróci z niczym do domu, gdy niespodziewanie spotkał Sep - Sina.

- Witaj, synu Tarego - rzekł tenże. - Przychodzisz zapewne pomóc w namaszczeniu bogów, a słudzy pędzą za tobą stada byków?

- Bądź pozdrowiony, Sep - Sinie! Przeznaczyłem, owszem, na ofiarę siedem byków, lecz teraz przyszedłem sam, pytać cię o radę. Lękam się, że nie odpowiesz mi w tym zamieszaniu.

- Mów, proszę, czego ci trzeba?

Stali w tym samym miejscu co niegdyś, pod tablicami zawierającymi wykład snów. Ab - Ram opowiedział kapłanowi swoją wczorajszą przygodę.

Sep - Sin słuchał uważnie, bez zwykłego drwiącego wyrazu.

- Chodź ze mną - oświadczył krótko. Wyszli na plac. Koło słonecznego zegara kapłan przystanął. - Czekaj na mnie w tym miejscu, synu Tarego.

Zniknął w drzwiach wieży. Ab - Ram przyglądał się znów pracującym. Zaciekawiała go sprawność, z jaką pochylali kolebiące podkłady. Naraz z ciżby roboczej wyszedł ku niemu brodaty mężczyzna.

- Nie poznajesz mnie, Ab - Ramie?

Wymienili powitania. Był to stary znajomy, Falej syn Elasa, z grodu Uruk położonego w górze rzeki.

- Spędzono nas do roboty - objaśnił. - Moi bracia i starsi synowie odczyszczają groby królewskie za rzeką, ja z najmłodszymi bliźniakami pracuję tutaj... Segubie! Zammo! Chodźcie żywo!

Dwóch malców dziesięciolatków, półnagich, zajętych skrobaniem schodów, podbiegło na głos ojca kłoniąc się do ziemi przed jego znajomym. Ab - Ram spojrzawszy na nich nie mógł powstrzymać okrzyku zdziwienia, tak byli podobni do siebie. Jeden zdawał się być odbiciem zwierciadlanym drugiego. Ten sam wzrost, ruchy, spojrzenie, włosy, rysy...

- Oczy moje nie mogą ich rozróżnić - zauważył.

- Moja niewiasta, ich matka, myli się również czasami - zapewnił ojciec. - Bogowie w zapomnieniu, miast stłuc formę po wypaleniu pierwszego z nich, włali glinę w ten sam kształt.

Ab - Ram kręcił głową cmokając wargami, chłopcy śmieli się wesoło. Niespodziewanie nadszedł Sep - Sin.

- Na wonne szaty bogini! - zawołał. - Cóż za sobowtóry?!

Falej pokłonił się nisko i odszedł szybko z synami, by nie zostać posądzonym o mitręzenie w robocie. Ab - Ram wpił wyczekujący wzrok w twarz kapłana. Sep - Sin jednak patrzył wciąż za bliźniakami.

- Jak zowią ojca tych chłopców?

- Falej syn Elasa z grodu Uruk.

- Falej syn Elasa z grodu Uruk - powtórzył Sep - Sin uważnie. - Falej syn Elasa...

- Oto co kazał ci powiedzieć Nergal Sar - rzekł zmieniając ton. - "Wiedziałem, iż ten mąż przyjdzie. Czekalem. Drzwi moje są dla niego otworem. Niech wraca pod swój namiot w pokoju. Przyślę po niego, gdy Babilończyk odjedzie."

- Dopiero gdy Babilończyk odjedzie?! - zawołał Ab - Ram, z przestraczem przypominając

sobie przeżycia ostatniej nocy.

- Nergal Sar rzekł: Niech wraca w pokoju. Możesz się przeto nie lękać, synu Tarego.

Ab - Ram spojrział na mówiącego podejrzliwie.

- Rzekłeś, Sep - Sinie, iż Nergal Sar czekał na mnie. Zali nie jego wola nasłała demona, aby mnie tu przywiódł?

- Na mylną drogę zeszyły twe myśli, Ab - Ramie. O Tym, który cię porwał, niby orzeł unoszący jagnię, Nergal Sar mówi z czcią i bojaźnią jak najpokorniejszy sługa. Odbiera od Niego rozkazy, lecz ich nie wydaje.

- Nergal Sar go zna?!

- Nergal Sar zna rzeczy zakryte. Skoro powiedział: Idź w pokoju, nic ci nie grozi.

- Oby tak było! Błogosławieństwo twoim dniom, Sep - Sinie!

- Poczekaj, synu Tarego - roześmiał się kapłan. - Gdzie byki, któreś zapowiedział?

- Staną tutaj jutro, po wschodzie słońca. Czy Nergal Sar ich zażądał?

- Nergal Sar nie dba o byki i nie żąda niczego. Ja, Sep - Sin, muszę pamiętać i dbać. Jestem wiernym sługą bogów...

ROZDZIAŁ PIĄTY

KRÓL I PODDANI

Asyria, państwo leżące w trójkącie utworzonym przez górne biegi Eufratu i Tygru, okazywała się w stosunku do Babilonu córką, która wyrosła ponad głowę matki. To królowie babilońscy bowiem przed dawnymi wiekami posłali wojska na północ wzdłuż biegu obu rzek i zagarnawszy kraj boga Assura, założyli tam swoją kolonię. Kolonią babilońską nad górnym Tygrem zarządzili namiestnicy królewscy. Z czasem załogi babilońskie złąły się z ludnością miejscową (równie jak Babilończycy wywodzącą się od Sema), przejęły jej obyczaje i wierzenia. Babilon był daleko, a kraj bogaty, zasobny w ludzi przedsiębiorczych i śmiałych. Nadszedł czas, że namiestnik królewski ogłosił się sam królem. Wielkim królem - "ham - melek". Wprędce stał się silniejszy niż melek melakim - król królów. Posiadał żołnierzy bitnych, okrutnych, nie znających w swym pochodzie przeszkody. Przepływali rzeki na miechach skórzanych nadętych powietrzem. Te same miechy napełnione wodą pozwalały im pozostawać kilkanaście dni w bezwodnej pustyni. Włócznie asyryjskie nigdy nie chybiały, strzały z łuku były zawsze celne, miecze niezawodne. Jeńców wbijali na pale. Wznosili piramidy z głów ludzkich. Miasta zdobyte równali z ziemią, a grunt, gdzie stały, posypywali grubą warstwą soli, by nigdy tam nic nie wyrosło. Barczyści, o bujnym, kręconym zaroście, ułożonym w równe karby, nosach zagiętych ku dołowi, grubych wargach, niskim czole, pragnęli zawojować całą ziemię, Babilon przede wszystkim. Dzieje obu państw były wypełnione nieustannymi, coraz sroższymi wojnami, historia zaś zapisała lata, w których przed potęgą Asyrii drżał Egipt.

Mimo wrogości żywionej przez Asyryjczyków ku Babilonowi zapomniany kraj rodzinny brał odwet w chwili śmierci. Stanowiący postrach świata wojownicy asyryjscy nie chcieli po zgonie spoczywać gdzie indziej niż w ziemi chaldejskiej, w porzuconym przed wiekami kraju Dolnego Eufratu. Żyć i walczyć można było wszędzie, lecz złożyć ciało, gdy dusza pójdzie do smutnego miejsca aral albo szeol, gdzie proch pokarmem, a popiół posłaniem, można tylko w prawdziwej ojczyźnie. Na lewym brzegu Eufratu, w pobliżu grodu Uruk, nawarstwiały się mogiły pokoleń przywożonych z prądem rzeki na tratwach, które potem holowano miesiącami w górę. Rzecz prosta, obyczaj ten dotyczył tylko królów, książąt, kapłanów, wojowników, osobistości wybitnych majątkiem albo urodzeniem. Pospółstwo składano do ziemi gdzie popadło, niedbale przysypując nagie zwłoki piaskiem, nie troszcząc się, że szakał rozwlecze kości, a wiatr zmiecie ślad mogiły. Nie tak dostojnicy, nie tak. Ciała ich ułożone w drewnianych trumnach, zalane smołą ziemną, sprowadzaną przez kupców aż z wybrzeża Słonego Jeziora, czekały pory wiosennej, gdy po opadnięciu powodzi odwożono uroczyście całoroczny plon śmierci do Chaldei. Poszanowanie tego starego zwyczaju było wielkie i nie zdarzyło się nigdy, by Asyria wykorzystwała łodzie trumienne dla wojskowego podstępu lub Chaldejczycy odjęli wrogom prawo wjazdu w serce kraju. Choć równocześnie na polach bitew walczone zażarcie, kapłani chaldejscy w grodzie Uruk wychodzili procesjonalnie witać żałobną flotę asyryjską. Śmierć otwierała wrota do innego świata, w którym ziemskie nienawiści traciły swe ostrza.

W tym roku dwudziestym szóstym panowania ulubieńca bogów Hamurabiego syna Sin Muballita, ogłoszono we wszystkich świątyniach chaldejskich, że wielkie święto przejazdu bogini Isztar z Babilonu do Ur i z powrotem odbędzie się równocześnie z uroczystym pogrzebem zmarłych

Asyryjczyków, odłożonym z tego powodu do wczesnoletniej pory, i sam król weźmie w tych obrzędach udział. Zdarzało się to po raz pierwszy i dowodziło dalekowzroczości Hamurabiego, umiejącego każdą rzecz wykorzystać dla swoich celów. Tam bowiem, gdzie nie można pokonać, należy dbać o jak najlepsze stosunki. Spływająca Eufratem flotylla liczyła kilkaset statków. Ulubione przez Babilończyków tratwy umieszczone na miechach nadętych powietrzem, wąskie, długie łodzie o wysoko podniesionych dziobach, płaskie barki nakryte dachem chroniącym przed słońcem. Przodem sunęły łodzie asyryjskie wiozące kapłanów stanowiących orszak zmarłych. Za nimi na wielkich, bogato przyozdobionych tratwach piętrzyły się trumny. Wokół trumien stały płaczki zawodzące obrzędowo przez cały czas podróży. Łamały ręce, wyginały ramiona i krzyczały przeraźliwie, niby w napadzie rozpaczyny odejmującej im zmysły. U pasa miały naczynia gliniane z wodą, w której maczały chusty. Chusty te wyżymały do rzeki, jako przepojone łzami, lub kropiły siebie i swe głowy w nadmiarze żalu. Wierzchnie szaty płaczek były rozdarte od góry do dołu, a włosy zmierzwione. Nieustanne lamentacje i rytmiczne gesty rąk były uciążliwe, toteż zespół płaczek zmieniał się co parę godzin. Tuż za tratwą szła kryta barka, w której kolejno odpoczywały, a patrzącym z brzegu zdawało się, iż wciąż te same gloszą swoje żale. Tratw z trumnami, łodzi z płaczkami i wojownikami sunęło kilkadziesiąt. Za nimi dopiero płynęły łodzie chaldejskie towarzyszące orszakowi od chwili, gdy przekroczył granicę państwa pod murami miasta Akkad. Teraz nadpływały wspaniałe, złoczone statki - świątynie, na których podróżowali bogowie babilońscy w otoczeniu swoich sług. Przed martwymi obliczami Marduk Bela, jego matki Damkiny, jego małżonki Isztar - Zirbanit oraz pozostałych bogów składano ofiary, palono kadzidło, dym snuł się smugą po wodzie. Największy, najwyższy statek wioził Hamurabiego syna Sin Muballita. Król widoczny z dala siedział pod baldachimem na złocistym tronie wspartym na czterech skrzydlatych bykach. Podobny w nieruchomości do poprzedzających go bogów zachowywał tę samą co oni postawę. Niewolnicy ochładzali głowę pana wachlarzami z piór, lecz on nie wykonywał żadnego ruchu. Jedzenie podawano mu do ust na klęczkach, podobnie jak bogom. Jadł, nie unosząc dłoni, zaledwie poruszając wargami. Ludzie zbiegający się tłumnie na brzegi, by podziwiać świetny orszak, nie wiedzieli, zali to żywy człowiek lub posąg złocony? Płynęli tak długi czas. Na koniec zamajaczyły wieże grodu Uruk, a nieco dalej gliniaste wzgórza natkane grobami jak plastr pszczeli komórkami miodu. Płaczki buchnęły zdwojoną wrzawą, zagrzmiały rogi, trąby, cymbały i fletnie. Z brzegu odpowiedział im podobny zgiełk. Liczne tłumy oczekiwały flotylli. Nieznacznie od końca jej oderwało się małe czółenko z dwoma ludźmi. Minąwszy statki króla i bogów, pognało do Ur, by obwieścić, że procesja już się zbliża.

Całe miasto wyległo na brzeg witać groźnego władcę, niedawnego wroga, nielitościwego uśmierzyciela buntowników. Statki wiozące bogów nadpłynęły wcześniej i niebianie zostali już umieszczeni w świątyniach, gdzie mogli wypocząć po trudach podróży. Hamurabi opóźnił swój przyjazd. Chciał uświetnić przez swą obecność pogrzebek trumien asyryjskich, przede wszystkim zaś wolał przybyć do Ur sam, nie dzieląc wywołanego wrażenia z bogami. Siedział na swym wysokim tronie, niewzruszony, groźny, nieodgadniony, czując z przyjemnością tysiące oczu wpatrzonych trwożnie w jego postać. Gdy błyszczący złotem statek przybił do brzegu, sto rąk pochwyciło liny. Niewolnicy kładli szeroki drewniany pomost opatrzone poręczami. Skoro złączył mocno statek z lądem, król zszedł sztywno z tronu i znikł pod pokładem. Oczekiwano, że wnet ukaże się na pomoście. Kapłani zaintonowali śpiew:

"...Od boga Enlil otrzymałeś władzę,

czegoż ci więcej trzeba?

Od boga Sin dostałeś pierwszeństwo,

czegoż ci więcej trzeba?

Od boga Nin - Urtu otrzymałeś oręż,

czegoż ci więcej trzeba?

Bogini Isztar dała ci zwycięstwo,

czegoż ci więcej trzeba?

Samasz i Adad strzegą twoich kroków,

synu Marduka, czegoż ci więcej trzeba?"

Prześpiewali, powtórzyli od początku, a ulubieniec bogów pozostawał niewidoczny. Niepokój ogarnął obecnych. Cóż za przeszkoda zatrzymała władcę? Może pogniewał się znowu i nie ukaże wcale swojego oblicza, natomiast poleci spalić miasto wraz z mieszkańcami, nie wiedzieć za jakie przewiny? Lecz oto wrota umieszczone tuż nad pomostem w kadłubie okrętu otworzono szeroko, rozległ się gwałtowny tupot, łoskot i z ciemnej głębi statku wypadło nigdy nie widziane, niesłychane, nieprzeczuwane zjawisko, tak przerażające, że tłum czekający na wybrzeżu z rykiem trwogi padł na ziemię. Ulubieniec bogów, Hamurabi syn Sin Muballita, wyjechał bowiem na wozie! Na wozie, przedmiocie nieznanym nikomu w tym kraju! Na wozie! Połączone tarcze kół wirowały jak dwa słońca, błyszczał przód obity złotą blachą. Nie to jednak było najdziwniejsze: wóz ciągnęły dwa demony nie oglądanej postaci. Dwa demony parskające, rwące, miotające ogień z nozdrzy, bijące kopytami o podłogę pomostu... Głowy ich podobne były do głowy szarańczy, z karków spływały włosy niewieście, oczy wielkie i gorejące, cienkie, ruchliwe nogi, ogon jak kosa dziewczęca... skrzydła niewidzialne, ale niewątpliwe, gdyż demony zdawały się za każdym ruchem unosić w powietrze. Ujarzmione żelaznym pętem w pysku, trzymane na wodzach z połączonej skóry, usiłowały zerwać się do lotu. Hamurabi dźwżył mocno wodze, wyprostowany, zimnym, niewidzącym wzrokiem przesuwając po znieruchomiałym tłumie. Tuż za nim klęczał niewolnik trzymający wachlarz. Demony dreptały w miejscu, po czym pędem ruszyły ku miastu. Za ich zbliżeniem ludzie przyciskali twarze do ziemi, jęcząc ze strachu. U wjazdu na pomost pokrywający schody wóz stanął na chwilę. Ci, co znajdowali się bliżej i mieli odwagę patrzeć, opowiadali później, że demony zbuntowały się i nie chciały ruszyć dalej. Biły kopytami, przysiadały na zadach, szarpały się w prawo i w lewo. Wtedy melek melakim wyszedł z dotychczasowej nieruchomości i sięgnawszy po bicz długi, cienki jął walić odporne, aż świstało. Skarcone demony skoczyły z miejsca, wspięły się prawie prostopadle (wszyscy byli pewni, że teraz rozwiną skrzydła) - po czym runęły naprzód takim pędem, że lekki wóz podlatywał w górę i skakał na boki. Niewolnik blady ze strachu trzymał się kurczowo poręczy, lecz król stał prosto jak pierwej. Deski pomostu dudniły niby grzmot. Mignęli pod sklepieniem bramy na kształt złotej błyskawicy, wypadli z cienia, tym samym pędem rwali dalej. Na placu król przyhamował, zatoczył łuk, stanął przed świątynią, gdzie arcykapłan oczekiwał w otoczeniu potrójnego rzędu isakku, sangu i kipu. Demony robiły ciężko bokami pokrytymi pianą, jak

Eufkrat w czasie powodzi. Król zachowując poprzedni zimny, nieruchomy wyraz wszedł pod sklepienie świątyni pokłonić się swemu ojcu i dobroczyńcy, Mardukowi.

Dzień przybycia króla otworzył nie kończący się szereg uczt i ofiar. Składano bogom w darze ogromne ilości owiec, synogarlic, placków, miodu, wina, oliwy, mleka, masła, zboża, kwiatów, dzieci, jałowic i byków. Wnętrze świątyni zmieniło się w wielką rzeźnię. Krew spływała po posadzce, przeciekała aż na dziedziniec. Żarłoczna bestia Tiamat mogła się jej nażłopać do woli. Kapłani, ich pomocnicy, ich słudzy obryzani byli krwią od stóp do głów. Sam Hamurabi własną królewską dłonią zabił kilkanaście byków. Gdy kapłani, uczyniwszy wróżby, zapewnili go, że bogowie przyjęli mile te dary i serca ich zostały ukojone zapewniając krajowi najszcześniejszą przyszłość, melek melakim zarządził przerwę w ofiarach, by zająć się sprawami grodu.

Budynek wznoszony z pośpiechem na pomieszczenie raportów został w porę ukończony i patesi mógł pochwalić się królowi porządkiem, w jakim były ułożone tabliczki. Każdy rok oddzielnie. Hamurabi nie ukrywał swego zadowolenia. Przepadał za ścisłością, porządkiem i pisaniem. Wszelka sprawa wydawała mu się dokonana dopiero, gdy widniała utrwalona na glinianej tablicy lub przyzbie. Nie przypuszczał, rzecz prosta, iż pokaźna ilość tabliczek wypełniających izby nowego gmachu została wypożyczona od mistrza Taribala, by zapełnić należycie półki.

Z archiwum król ze swą świtą udał się do wieży. Kilku młodych baru, Sep - Sin w tej liczbie, padło przed nim na twarz u wrót. Zastępca starego Nergal Sara, Awen - El, witał na progu. objaśnił króla, że sędziwy sanga mahhu zaniemógł z radości wywołanej przyjazdem pana. Na dole znajdowała się szkoła prawnicza istniejąca od kiluset lat. Przyjmowano do niej każdego młodego chłopca, jaki się zgłosił, nie zważając na pochodzenie. Jedynym warunkiem przyjęcia były zdolności. Po dwu miesiącach kandydat był usuwany lub pozostawał na stałe. Zależnie od upodobań mógł kierować się na skrybę, rachmistrza, urzędnika królewskiej kancelarii, inspektora zbierającego podatki albo sędziego. Wstępem do każdego z tych zawodów była umiejętność czytania i pisania, umiejętność niełatwa. Znaki były trudne, samogłoski istniały w mowie, nie istniały w piśmie. Wielu kandydatów odpadło nie mogąc uporać się z trudnościami. Po należyтым opanowaniu sztuki szybkiego kreślenia znaków "heretem" na glinie, następowała nauka prawa. Melek melakim osobiście egzaminował bladych ze strachu uczniów i poprawiał mylnie zacytowane przez nich paragrafy.

Pierwsze piętro poświęcone było astrologii oraz astronomii. Wprawdzie obserwatorium znajdowało się na szczycie wieży, lecz tu przechowywano tablice zawierające obliczenia, wykresy, mapy nieba, zapiski dotyczące pory zaćmień księżycy i słońca. Zapiski te sięgały 1900 lat wstecz, a zapowiadały wszelkie zmiany w układzie ciał niebieskich na 700 lat wprzód. Na osobnych półkach mieściły się również zwoje papirusów egipskich o tym samym przedmiocie traktujących. Król znał ten sposób pisania z częstej wymiany listów z władcą Egiptu, zwanym faraonem. Pytał teraz kapłanów, czy sądzą, że pisanie trzcina na posklejanych paskach uczynionych z mięszu innej trzciny lepsze jest niż rycie w glinie. Awen - El zapewnił go, że nie. Wprawdzie sposób ten jest łatwy, przyjemny i lekki. Jeden osioł może przewieźć całą mądrość świata, lecz w razie ognia czy wojny zdobycze wieków stają się garścią popiołu lub podartymi strzępami. Czas zniszczy te zwoje, to zaś tylko jest wartościowe i godne uwagi, co nie obawia się czasu.

- Słuszna jest mowa twoja - przyznał Hamurabi.

Prowadząc przez dalsze izby Awen - El objaśniał króla, że wiedza egipska przejęła od Chaldeczyków to, co ma podstawowego. Wzbogaciła się zapożyczoną umiejętnością i nie posunęła dalej. Życzliwość bogów, szczególnie wielkiego Nabu, opiekuna mędrców, dobroćliwość wspaniałego Marduka sprawiają, że wiedza chaldejska postępuje ciągle naprzód.

Drugie piętro wieży zawierało nauki matematyczne, stojące w Chaldei równie wysoko jak znajomość gwiazd. Tu składano prawzory wszelkich miar, wag, obliczeń powierzchni i wysokości. Trzecie piętro posiadało znakomicie zestawione i uwidocznione na tablicach spisy wszystkich znanych ówczesnemu światu minerałów, roślin, zwierząt, ptaków i ryb.

Czwarte piętro skupiało wiedzę lekarską. W porównaniu z poprzednimi naukami była uboga. Opierała się wyłącznie na stosowaniu ziół i bogatych zbiorach zaklęć. Chaldeczycy pocztywali nie ciało, lecz duszę człowieka za źródło wszelkiej choroby. Zatem w umyśle i sercu pacjenta należało wysledzić niemoc, zniszczyć ją, a wtedy ciało samo przez się odzyskiwało zdrowie.

Hamurabi oglądał wszystko z rosnącym zaciekawieniem. Wprawdzie Babilon posiadał bogate pracownie naukowe oraz składy dokumentów sięgających czasów wielkiego potopu, Babilon jednak był przede wszystkim stolicą, kapłani zaś dworakami. Sprawy polityczne, w których stan kapłański brał żywotny udział, nie sprzyjały rozwojowi wiedzy. Ur, poniżone w swym znaczeniu politycznym, usiłowało utrzymać dawne pierwszeństwo przynajmniej na polu nauki. Słuchając objaśnień król cieszył się w duchu, iż czasu ostatniego buntu i następującej po nim rzezi nie kazał spalić wieży wraz z jej mieszkańcami. Zaprawdę, zubożyłby państwo! Nauka jest ważnym narzędziem w ręku władcy. Ciekawiło go, co zobaczy na dalszych trzech piętrach, zanim jednak wszedł na schody, w drzwiach ukazał się Nergal Sar i pokłonił się z godnością.

- Żyj wiecznie, panie mój! Pójdziemy teraz na dół.

Melek melakim spojrział bystro na starca. Chwilę mierzyli się wzrokiem. Król ustąpił. Rozporządzający ziemską potęgą uległ temu, który miał na swe rozkazy siły niewidzialne. Nie chciał jednak okazać się pokonanym.

- Nim zejść - rzekł - pragnę popatrzeć na widok, jaki się stąd rozpościera...

- Żyj wiecznie, panie nasz. Widok jest rozległy.

Kapłani odsunęli się na bok. Nergal Sar wycofał się na górę niepostrzeżenie. Patesi stanął przy królu. Hamurabi puścił wzrok daleko przed siebie.

- Czyje te stada w oddali? - zapytał.

- Szczepu ben Heber, synów Hebera - odparł pośpiesznie patesi. - Szczep ten mieszka z dawna w okolicy, choć pod namiotami.

- Czy należą do moich poddanych?

- Żyj wiecznie, panie mój! Cały świat jest tobie poddany.

- Powiedz mi zatem, wiele składają daniny do twego skarbcza?

Patesi zbladł.

- Nie było rozkazu pobierać od nich daniny - wyjąkał.

- Czemu więc nazywasz ich moimi poddanymi? Poddanym jest ten, który płaci podatki.

Zamilkł zaciskając wąskie wargi. Wsparty o kamienną poręcz patrzył przed siebie. Dalej niż stada Hebrajczyków ciągnęły się łągi jeszcze zielone, srebrzyły kanały, za tym pasem zieloności zaś rozciągała się niewidoczna stąd pustynia. Pustyni tej nie mógł przebyć ani człowiek, ani wielbłąd. Można ją było jedynie okrążyć. Zabijała swoim tchnieniem. Najurodzajniejsze ziemie świata otaczały kształtem półksiężyca złowrogą pustkę. Na wschodniej połowie owego sierpu miesiąca panowały Babilon i Assyria. Daleko, na południu, poza krajem Negeb, czyli krajem Suchym, znajdował się trzeci mocarz, król Egiptu. Powszechnie władztwo świata dzielili zatem między siebie: melek melakim - król królów; ham melek - król wielki, i Farah, Horus jastrząb, Horus wąż, pan Południa i Północy. Wokół nich, jako też na zachodniej stronie sierpa mieściły się państwa Mitanów, Hetytów, Hitytów, otoczonych z kolei rojowiskiem maleńkich państweczek złożonych nierzadko z jednego grodu o murach glinianych, stanowiących granicę władztwa. Niemniej panujący nosił tytuł króla i uważał się w duchu za równego wielkiej trójcy. Niektóre z tych państw - grodów posiadały istotne znaczenie dzięki kupiectwu i żeglarstwu. Do takich należały Sydon, Tyr oraz Gebal zwane także Byblos. Przyjazne obcowanie z nimi było dla wielkich mocarstw korzystniejsze niż podbój.

Prócz państw wielkich lub małych, objętych granicami, utwierdzonych grodami, żyły na tych ziemiach jeszcze inne ludy. Niby fale piasku przerzucane wiatrem, koczowały to tu, to tam plemiona pasterskie. Nieuchwytnie, nie uznające nad sobą niczyjego władztwa, sunące powolnym ruchem pasącego się bydła, wędrowały zazwyczaj wzdłuż urodzajnego sierpa zaczynając wędrówkę od południa, kończąc znowu na południu i rozpoczynając z powrotem pochód ku północy. Ten szlak powoli płynący, podobny ciągom pactwa, zwano "habiru". Nikt dotąd nie usiłował koczowniczych plemion ujarzmić i opanować, a wszakże stanowiły ogromne bogactwo w ludziach i zwierzętach.

To jest siła - myślał Hamurabi - siła nie wykorzystana i niczyja. Ta siła winna stać się moją, zanim kto inny pochwyci ją w rękę i uczyni niebezpieczną...

Głośno zapytał:

- Powiedziałeś, że synowie Hebera koczują tu z dawna, porzuciwszy zamiłowania wędrowne?

- Tak jest, jak rzekłeś, panie mój. Mieszkają tu dawno. Ich naczelnik posiada dom w grodzie i ma zachowanie u kapłanów.

Usiłując odgadnąć myśli swego władcy patesi dodał:

- Żyj wiecznie, panie mój! Czy sługa twój ma spisać synów Hebera i pobrać od nich daninę?

Hamurabi zmarszczył brwi. Nie znosił, by uprzedzono jego postanowienia.

- Zali ci powiedziałem, abys tak uczynił? - zapytał surowo.

Patesi cofnął się o krok.

- Żyj wiecznie, panie mój! Sądziłem...

- Twoją sprawą jest słuchać, nie sądzić.

Ab - Ram z Elizerem zajęci byli przy stadzie oddzielaniem i podziałem jagniąt, gdy do obozu przyszedł kapłan Sep - Sin budząc wielkie wrażenie swą błękitną szatą. Sur pobiegł co tchu szukać pana. Sarai, gorliwa i zmieszana, umyła gościowi stopy, podsunęła najwygodniejszy zwój skór, podała wino, dibs, debelah. Gość jadł chętnie, chwalił przysmaki, spoglądając z przyjemnością na jej urodziwą postać. Przysiadła u wejścia namiotu, by usługiwać przybyszowi. Płonęła ciekawością, po co przyszedł. Kapłan! Ze świątyni! Wieleż niezwykłych rzeczy mógłby opowiedzieć, gdyby zechciał! Zapewne oglądał króla, jego niezwykły wóz na wirujących tarczach i ciągnące go stwory... Słyszano o nich w obozie, gdyż Obed, niewolnik Tarego, przychodził parokrotnie po żywność dla starego naczelnika. Gród był podobno objedzony do cna przez babilońskich gości. U przekupniów brakło mleka i chleba. Nauczony poprzednim doświadczeniem, Ab - Ram posłał z zapasami Lota, który powróciwszy miał o czym opowiadać przez dwa dni. Dowiedział się wówczas od dziadka Tarego, że ujarzmione przez króla demony to zwierzęta jak osioł lub wielbłąd. Zowią je końmi. Co dziwniejsze, więcej niż tysiąc lat temu królowie Sumeru władający tym krajem posiadali podobne stworzenia, jeździli nimi do bitwy i na łowy. Kapłani przechowują wizerunki koni i wozów z owych czasów. Wozy były większe niż wóz Babilończyka, na czterech tarczach z wysokim przodem ze skóry chroniącym od strzał. Jak się stało, że pamięć o nich zaginęła, nie wiadomo. Zapewne gdy państwo Sumeru upadło, ostatni władca kazał je wytracić, by nie wpadły w ręce wroga.

Tare syn Nachora opowiadał również wnukowi o świetnych łowach królewskich. Ze szczególnym upodobaniem Hamurabi syn Sin Muballita poluje na "rimu", złośliwego bawoła, któremu nawet lew schodzi z drogi. Wytropionego ściga swoim dziwnym wozem, szyje doń z łuku, rannego dogania, równa się z uciekającym, pędzi tuż przy nim bok w bok, rzuca wodze i łuk niewolnikowi, chwyta bawoła za róg i krótki ostry miecz wbija w kark zwierzęcia. Nie lada trzeba odwagi i zręczności do podobnych łowów. Bawół szarpnąwszy się mógłby wywlec króla z wozu i wziąć pod siebie, a wtedy koniec chwale Babilonu! - Cały Hamurabi jest w tych łowach - twierdził Tare syn Nachora. - Obliczyć na zimno, wymierzyć na włoski i nagle, jak piorun, uderzyć...

Po czym opowiadał wnukowi o łowach królewskich na lwy z pomocą psów do tego celu przyuczonych...

W tym miejscu sprawozdanie Lota przerywały okrzyki niedowierzania. Wszelkie zwierzę dotknięte przez psa staje się równie nieczystym jak on. Zwierzyna upolowana w ten sposób nie może służyć ani za pokarm ludziom, ani być ofiarowana bogom...

Lot nie umiał rzec nic ponadto, co mu dziadek opowiadał. Gdybyż kapłan zechciał teraz owe dziwne sprawy objaśnić! Niestety! Niewiasta nie ma prawa zwracać się pierwsza do męża.

Wszystkie te uczucia malowały się tak wyraźnie na gładkim licu Sarai, że gość uprzejmie

rozpoczął rozmowę. Mówił w sposób sobie właściwy, niby poważny, lecz Sarai nie mogła opędzić się uczuciu, iż z niej żartuje.

- ...Niewiasty - zapewnił - winny osobliwie miłować pana naszego, Hamurabiego syna Sin Muballita. Okazał się dla nich wielce łaskawy. W prawach, które raczył ogłosić światu, przyznał im wiele względów dawniej nie znanych.

- Nie słyszała nic o tym sługa twoja, panie.

- Dawniej mąż był w prawie sprzedać żonę, by pokryć swoje długi, obecnie wolno mu to uczynić tylko na trzy lata.

...Dawniej mąż był w prawie rzec swojej niewieście: Nie jesteś już moją żoną - i wypchnąć ją z domu. Dziś z woli pana naszego, Hamurabiego, jeśli tak uczyni, winien zapłacić pół kopy sykli grzywny.

- Kara na niewiastę, która by tak postąpiła, została równie zmieniona?

- Nie została zmieniona - przyznał kapłan. - Powiedziano w prawie: Jeżeli niewiasta rzeknie mężowi: Nie jesteś już moim mężem, będzie wrzucona do rzeki.

Sarai spuściła głowę, zamyślona. Podniosła ją z nagłym postanowieniem:

- Racz odpowiedzieć, panie, słudze twej, co według nowych praw winien uczynić mąż mający żonę nieplodną?

Sep - Sin spojrzał na nią bystro. Zaczerwieniła się po białka oczu.

- Żonę bezdzietną, czyli jałową - objaśnił - mąż obowiązany jest odesłać, gdyż ród musi być przedłużony. Tak powiada prawo. Chyba że żona da mężowi syna z innej...

- O panie, sługa twoja nie rozumie tych słów...

- Posłuchaj uważnie, niewiasto! Według prawa, jeżeli żona nieplodna przywiedzie mężowi niewolnicę nie zapoznaną od mężczyzny i rzeknie mu: Przystąp do tej niewolnicy i wzbudź z niej syna, abym go miała - gdy niewolnica zrodzi syna, odbiorą go jej i dadzą żonie, i będzie to ich prawowity potomek...

- Wybacz śmiałość sługi twojej: co uczynią z niewolnicą?

- Nasz pan, Ab - Ram, idzie już! - zawołała stara Noa. Sep - Sin wyszedł naprzeciw gospodarza. Ab - Ram szedł śpiesznie, poruszony przybyciem kapłana. Domyślał się, iż Nergal Sar go wzywa, i nie wiedział, zali ma się z tego radować lub smucić. Dziwne zdarzenie budzące w nim tyle lęku nie powtórzyło się więcej, a że kilka tygodni minęło od tego czasu, pamięć przygody przybladła. Świat okazywał się po dawnemu swojski, zwyczajny. Czy dobrze jest budzić demona wspomnieniem tej sprawy? Sam nie wiedział. Sep - Sin rzekł bez wstępu wymieniwszy zwykłe powitania:

- Oto co przez usta moje mówi Nergal Sar: Niech syn Tarego przyjdzie pierwszego dnia nowiu. W spokoju posłyszysz ode mnie, czego dusza jego żąda.

...Czego żąda... Czy ja jeszcze żądam?... - myślał Ab - Ram gładząc długą brodę. Podziękował uprzejmie kapłanowi, usadził go w cieniu i częstował winem.

- Żona twoja już mnie ugościła, Ab - Ramie. Piękna niewiasta. Uważaj, by ci jej bogowie nie pozazdrościli.

- Bogowie nie odwiedzają namiotów. Racz mnie objaśnić, Sep - Sinie: dzięki czemu Babilończyk wyjeżdża tak szybko?

- Babilończyk nie wyjeżdża bynajmniej. Pozostanie jeszcze w mieście miesiąc lub więcej. Nie chce jechać, zanim gorąca pora nie minie. Upodobał sobie w naszym grodzie.

Ab - Ram spochmurniał.

- Mówił Nergal Sar przez twoje usta, Sep - Sinie, że zawezwie swego sługę po odjeździe Babilończyka, a oto każe mi przyjść za kilka dni, gdy miasto pełne będzie jeszcze hałasu i obcych mężów...

- Rzekłeś prawdziwie - przyznał pogodnie Sep - Sin. - Do nowiu i po nowiu wiele będzie zamieszania i hałasu w grodzie.

- Sługa twój jest prostak przyzwyczajony do pasania bydła, nie do ocierania się o królewski dwór. Jestem pełen trwogi, Sep - Sinie...

- Mamli rozumieć, że nie posłuchasz wezwania?

- Posłucham wezwania - westchnął Ab - Ram. - Przyjdę. Gdzie sługa twój ma się stawić?

- Na dziedzińcu przed świątynią.

- Podobno... Podobno tłoczą się tam obcy ludzie?... Zali cię poznam i odnajdę w tłumie? Kapłan roześmiał się pocierając lewe ucho.

- Na srebrną łódź Nannar - Sina! Łatwiej namówiłbym lamparta, by odwiedził miasto... Skoro nie lubisz tłoku, przyjdę po ciebie do domu Tarego syna Nachora.

- Błogosławieństwo twojej matce, Sep - Sinie! Zaprawdę, nie lubię tłoku. Nie lubię wrzawy. Wybacz słudze twemu, który jest prostym pasterzem.

Wbrew oczekiwaniom Ab - Ram zastał miasto puste. Pomost z desek nakrywający schody rozebrali robotnicy, nie było straży przy bramie ani obcych ludzi na ulicach. Z przystani rzecznej znikły statki babilońskie. Natomiast w bramie pojawili się jak dawniej sprzedawcy z koszami pełnymi placków i chleba. Z rozmów prowadzonych głośno Ab - Ram dorozumiał się, że król babiloński wyjechał nieoczekiwanie przed dwoma dniami. Wiadomość ta ucieszyła go niepomiernie,

a przygłębiła towarzyszącego swemu panu Sura. Ulice miały wygląd izby nie sprzątej po całonocnej zabawie. Wszędzie walały się powiędłe wieńce, skorupy pobitych naczyń, pęki sitowia, śmieci i odpadki. Z nowego budynku przeznaczonego na archiwum niewolnicy Taribalowi wynosili naręcza wypożyczonych tabliczek.

Tare syn Nachora powitał swego zastępcę wesoło. Zajęty był obrabianiem pokaźnego klocka drzewa.

- Wyprosiłem u kapłanów jedną belkę z tych, co podtrzymywały pomost - objaśnił. - Dali chętnie, tacy radzi... Nie wiem jeszcze, co z tego wyrzeźbię... Babilończyk wyjechał. Oby żył wiecznie! Miło, że wyjechał. Wszyscy się weselą. Ten człowiek ciężył jak kamień.

- Ojczy, racz wspomnieć, com ci mówił o Obedzie...

- Obeda nie ma, jestem sam. Wszystkich niewolników zabrano do sprzątania ulic. Obeda też. Bogowie dali nam piękny dzień. Nie ma Babilończyka!

- Podobno miał zostać dłużej?

- Obiecywał, że pobędzie do pierwszych chłodnych nocy. Patesi z kapłanami słysząc to płakali z radości i całowali mu stopy dziękując za te łaski. Aliści Hamurabi miał sen... Nie wiem jaki. Zły sen. Chciał, by mu go wyłożono. Kapłani powiedzieli: Królu, żyj wiecznie! Wracaj co rychlej do Babilonu, inaczej władztwo twoje będzie zagrożone. Hamurabi jeszcze się namyślał, lecz gdy onegdaj wyjeżdżał na łowy, jedno z pięknych zwierząt, którymi jeździ, potknęło się w bramie, omal nie upadło. Może jakiś urwis postawił w tym miejscu sidło?... Sidło, jak na ptaszki?... Nie wiadomo... Któż dopilnuje urwisów? Wszyscy krzyknęli: Zła wróżba! Kapłani rozdarli szaty. Hamurabi zbladł ze złości, ale wyjechał tegoż wieczoru. Mądrzy kapłani. Cały gród ich chwali. Te gęby babilońskie byłyby nas do szczętu objadły. Przysłowie mówi: Tą samą siecią łapiesz małe ptaszki i lwa.

- Ja też ich chwale, ale mi dziwno, że Hamurabi taki potulny...

- Babilończyk nie jest łatwowierny - zapewnił Tare mocując się z dłutem. - Musiał podejrzewać, że to sztuka kapłańska. Ale pewności nie miał. Rozumiesz, synu, Ab - Ramie? Pewności nie miał. Nikt z nas nie ma pewności. Kapłani może kłamią, a może mówią prawdę? Ja sądzę, że na kopę kłamstwa raz powiedzą prawdę. Jak docieczesz, kiedy? Jeżeli mówili prawdę, wyjeżdżając ocalił swe państwo. Jeżeli kłamali, nie stracił wiele. Umęczy na śmierć niewolników holujących statki linami w ten żar... Nic więcej.

Odłożył drewno na ziemię.

- Gdyby człowiek posiadał pewność - westchnął nieoczekiwanie - inaczej by żył...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

SPOJRZENIE WSTECZ

Prowadzony przez Sep - Sina Ab - Ram nie zwracał uwagi, którędy go wiodą, i z roztargnieniem przyjmował wyjaśnienia towarzysza dotyczące przemyślnych urządzeń ochładzających wnętrza wieży. Kędyś na dole kołowroty obracane przez stu niewolników ciągnęły wodę z rzeki aż na sam szczyt Ziguratu, gdzie umieszczony był zbiornik. Nadmiar wody przelewał się ze zbiornika na górny taras i spływał po ścianach przekłutych tysiącami maleńkich otworów, nie szerszych niż żądło osy - zapewniał Sep - Sin. Dzięki tej porowatości pułap i ściany były ustawicznie spocone, jak lico człowieka w czasie zniw lub dzban na wodę postawiony w słońcu. Wielkie wachlarze chłodziły tę rosę czyniąc powietrze rzeźwym. - Reszta wody spływa glinianymi rurami wiodącymi aż za mury, unosząc ze sobą z każdego piętra nieczystości - ciągnął Sep - Sin. - Wiele lat minęło, odkąd byłem na szczycie ostatni raz... Nic się nie zmieniło... A Babilończyka Nergal Sar nie puścił tu wcale...

- Dlaczego nie wpuszczono Babilończyka? - spytał z roztargnieniem Ab - Ram.

- Nergal Sar czyni, co chce, nie mówiąc nikomu, dlaczego...

- Jakże się stało, że wezwał tu mnie, twego sługę?

- Zaprawdę, nie wiem, synu Tarego.

Gdyby Ab - Ram słuchał uważniej, uderzyłby go nie znany przedtem ton szacunku w głosie młodego kapłana. On jednak nie myślał o wyróżnieniu wprowadzającym go tam, dokąd nie wszedł król. Ważne było, że za chwilę miał ujrzeć wielkiego sanga mahhu, najstarszego baru, o którym mówiono, że wzrokiem przenika mury, czasy, że poznał wszystkie tajemnice ziemi i duchy są mu posłuszne. Taki mocarz, gdyby zechciał, mógłby Ab - Ramowi wyjaśnić każdą wątpliwość, odpowiedzieć na pytania dręczące duszę, gdy nocną porą wzrok dąży ku gwiazdom... Gdyby zechciał...

Ta myśl tak go pochłonęła, że gdy nieco później znalazł się w obszernej izbie, sam na sam z siwowłosym starcem o przenikliwym spojrzeniu (Sep - Sin wycofał się od progu tyłem, bijąc pokłony, choć sanga mahhu zdawał się nie spostrzegać go wcale), posłyszawszy zadane sobie pytanie: Chceszli wiedzieć, jaki demon czy bóg porwał cię w powietrze? - odparł tak szybko, jak gdyby ktoś inny, nie on, przemawiał jego ustami:

- Nie tylko to, Nergal Sarze! Sługa twój pragnie dowiedzieć się od twej mądrości wiele więcej rzeczy, ważniejszych niż ta...

- Mów, o jakie sprawy pragniesz pytać? Obaczę, zali ci odpowiem lub nie.

- Niech ucho twe, Nergal Sarze, będzie cierpliwe na zuchwalstwo twego sługi! Chciałbym wiedzieć, kto stworzył świat i z czego wziął się początek rzeczy, które są? Kto mnie stworzył, ojców moich i wszystkich ludzi, jacy żyli i umarli, jacy dotychczas są w dniach swych? Kto rządzi

wszystkim, cokolwiek żyje na ziemi, by nie spadło? Kto rządzi gwiazdami? Powiadają nam, że bogowie... Mniemałem tak, będąc gołowąsem... Dojrzawszy, poznałem, że ci, co tak mówią, sami w swe słowa nie wierzą. Powiadają też nasi kapłani (opowiadał mi ojciec mój, Tare syn Nachora, służący w świątyni za młodu), że świat powstał z wnętrzości bestii Tiamat powalonej przez Marduka. Tę samą opowieść kapłani w Niniwie opowiadają inaczej, a w Egipcie też pono inaczej... Zali są trzy światy? Trzy początki? Która opowieść jest prawdziwa? Dusza moja łaknie prawdy. Dusza moja łaknie poznania najstarszego boga, gospodarza nieba i ziemi, całego nieba i całej ziemi, z przynależną im ozdobą, więcej niż poznania imienia demona, co dla igraszki zapewne uniósł mnie kiedyś w górę... Bo ów Najwyższy osłoni mnie przed demonem, jak łaska królewska osłoniłaby mnie przed swawolą podległego królowi pacholka... Oto co sługa twój pragnie posłyszeć od ciebie, Nergal Sarze...

Skończył i poczerwieniał, uświadamiając sobie, że mówił zapalczywie i długo, jak kobieta. Mowa męża winna być krótka i opanowana. Stary baru nie wydawał się jednak zgorzony.

- Chcesz poznać prawdę? - rzekł po chwili. - Nie lękasz się jej?

- Nie lękam się, Nergal Sarze.

- Prawda jest wielkim ciężarem. Bacz, byś go podźwignął.

- Niepewność ciąży jak brzemień osłowi. Pożądaj prawdy.

- Wielu się po nią zgłaszało i zawróciło w pół drogi... Ostatnim, który pytał o nią, był Sep - Sin.

...Sep - Sin... Przykre wspomnienie przemknęło przez głowę Ab - Rama. Zrodzona zeń nieufność była tak dotkliwa, iż zebrał oburącz odwagę zapytując wprost:

- Błogosławiona twoja starość, Nergal Sarze! Jaki dasz znak twemu słudze, że to, co mu powiesz, jest prawdą?

Starzec zmarszczył gęste, brwi. Ab - Ram zaczął się śpiesznie tłumaczyć:

- Panie mój, nie obruszaj się zuchwałością twego sługi! Powiadają w grodzie, że król babiloński wyjechał, gdyż ty nawiałeś mu sen i wyłożyłeś ów sen tak, aby wyjechał... Jeżeli mądrość twoja wywiodła w pole wielkiego króla, jakżeby nie wywiodła nieuczonego prostaka? Lękam się, iż zażartujesz sobie ze mnie...

- Nawiałem Babilończykowi sen, lecz to, co w zwidzie nocnym zobaczył, jest prawdą. W Babilonie były rozruchy przeciw "mesaretom" (ministrom). Uwolnić gród od jego obecności dzięki nowinie, nie zdradzając tych, co mi nowinę przynieśli, mogłem tylko drogą snu. Tobie chcę wyjawić prawdę. Upatrzyłem cię, zanim zgłosiłeś się do mnie. Czekałem na ciebie... Mów, jakiego chcesz znaku?

- Wybacz, panie mój, nieokrzesaną śmiałość twego sługi. Nie chcę znaku. Ufam temu, co raczysz powiedzieć.

- Słuchaj tedy. W bogów nie wierzy nikt, gdyż tam, gdzie panuje wielu, nie ma żadnego. Bóg jest jeden.

- O, racz mi wyjawić, który...

- Nie masz Go w żadnej świątyni, choć wszystkie bogi świata są śladem pamięci o Nim...

- Trudna jest mowa twoja, Nergal Sarze. Dlaczego On nie ma świątyni?

- Boby się w niej nie pomieścił.

- Dlaczego wszyscy o Nim nie wiedzą?

- Nie chcą wiedzieć. Bo to, czego wymaga od ludzi, jest cięższe niż grząski piasek nogom starego człowieka. Bo jest zazdrosny o władzę i królów poczytuje za nic...

- Wielkim pragnieniem pragnę poznać Go...

- Po co?

- Aby Mu służyć - odparł bez wahania Ab - Ram, zdziwiony pytaniem. Starzec spuścił nisko głowę, aż siwa broda dotknęła kolan. Długą chwilę trwała cisza. Słychać było tylko szelest ściekających po ścianach kropel wody. - Jak Go zwą? - podjął gorąco Ab - Ram.

- On nie ma imienia. Nie ma i mieć nie może. Zali jest synem człowieczym? Zali jest zwierzęciem, do którego przychodzi pan jego mówiąc: Będiesz się odtąd tak a tak zwało? Imię nadaje starszy albo równy, On zaś nie ma ani starszego, ani równego sobie. Imię wyróżnia spośród wielu. On jest jeden. Sam. Imię daje cnotę zawartą w imieniu. On jest ojcem wszystkich cnót. Któż by ośmielił się Go nazwać, zawołać nań poufale? A gdyby sam nadał sobie Imię - któż by je znał? Znając, któż by je śmiał wymówić? Moc w Imieniu tym zawarta zdruzgotałaby człowieka...

- Jakże więc mogę Go nazywać? - upierał się Ab - Ram.

- Zwij: Adonai, gdyż jest Panem naszym. Zwij Go Elohim, bo nad wszystkimi bogami On, Bóg jedyny, stoi. Był, zanim narodził się czas, pozostanie żywy, niezmienny, gdy czasy zetleją... Nie posiada początku ni końca... Nie narodzony, nie stworzony, własny byt, życie dający... Światy wyszły z jego dłoni. Światy szeszczą, a On, gdy zechce, powoła do życia światy nowe... Jego tchnienie kieruje gwiazdami. Nieśmiertelny, wszechmocny, wszechobecny... Sądzi sprawiedliwym sądem, nie jako ludzie sądzą po widzeniu. Przenika myśli, serce i nerki człowieka...

- Rzekłeś, panie mój, że On ojcem wszystkich cnót? Wyjaśnij, proszę, co przez to rozumieć? Gdyż cnotą wielbłąda jest chyżość, osła siła i wytrwałość, lwa wspaniałość, męża odwaga i prawdomówność, niewiasty płodność... Każdemu stworzeniu przysądzona własna cnota. Jakoż on może posiadać je wszystkie?

- Z Niego biorą początek, Ab - Ramie. Nie masz na świecie nic, co by powstało poza Nim.

Cokolwiek On uczynił, jest piękne i doskonałe. Nie wyszła z Jego dłoni rzecz poroniona lub zła.

- Przebacz, panie, słudze twemu... Skoro nic nie powstało poza Nim, a wszystko, cokolwiek uczynił, jest dobre, skąd weszło na świecie zło? Bo trafiają się ludzie bardzo źli i bardzo okrutni... Trafiają się rzeczy i sprawy różne, plugawe, hańbiące... Siedząc w wieży nie wiesz, panie, że jest wielu złych ludzi i wiele haniebnych spraw... Kto je zrodził, Nergal Sarze, ty, który wiesz wszystko, racz, odpowiadając, wyjaśnić, kto je zrodził?

Nergal Sar uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Zbyt wysoko cenisz mą wiedzę, Ab - Ramie. Wiedzieć wszystko, przechodzi siły człowieka. Do prawdziwego poznania jeszcze mi daleko... Zadowolnij się tym, com ci rzekł. Dostyc tobie, żeś posłyszał, komu podlega świat.

- To za mało - upierał się Ab - Ram. - Cóż mi z tego, że ukazujesz krynicę, skoro się z niej napić nie mogę?

- Od tysięcy lat podobne pragnienie trawi ludzi. Prawdziwym celem mądrości nie są zaklęcia ani czary ukazywane ludowi, lecz rzeczywiste poznanie. Pojąć przyczynę, dla której Bóg stworzył świat i stworzył go takim, nie innym... Doszliśmy daleko, gdyż wiedza zdobywana nie dla wywyższenia się nad drugich, dla władzy czy dla postrachu, doprowadzi zawsze do prawdy, źródła, z którego płynie dar zwany rozumem. Stworzenie, jeśli szuka, odnajdzie trop Stworzyciela.

- Stanęliście, o mądrzy mężowie, w pół drogi. Trzymając w dłoni kraj szaty, czemu nie usiłujesz obaczyć całej postaci?

Nergal Sar pokiwał głową z politowaniem.

- Czemu nie usiłujesz? - powtórzył. - Cóż przyjdzie z jałowego pożądania? Bóg się ku człowiekowi nie zniży.

W głosie jego zadrgał głęboki żal. Ciągnął dalej:

- ... Doszedłem sędziwych lat, innego celu ni pragnienia w życiu nie mając jak chęć doskonalszego poznania Boga. Kres moich dni już nadchodzi. Powiniennem teraz wybrać spośród najświetlejszych mężów tego, któremu zwierzę, co wiem, jak mnie przed wielu laty pouczył poprzednik. Szukam go, ale nie widzę... Oglądam, lecz nie wiem, zali ten, który stoi blisko...

Ab - Ram nie zwrócił uwagi na ostatnie słowa starca, pochłonięty inną myślą:

- Dlaczego jednemu tylko mężowi chcesz zwierzyć to, co wiesz? Dlaczego nie wszystkim, całemu światu?

- Włosy masz przetkane siwizną, synu Tarego, a mowa twoja pozostaje mową gołowąsą. Człowieka głoszącego jawnie prawdę zabito by natychmiast. Ludziom wygodniej jest wierzyć w bogi niż w Boga. Królom milej zwać się samym bogami, niż uznać Pana, w obliczu którego są prochem... Boga świat niczym nie przekupi, gdyż wszystko jest Jego własnością. Czyni tylko własną wolę i

niczyjej innej nie podlega. Z bogami łatwiej żyć. Za ofiarę spełnią prośbę, a zaklęciem można ich przyniewolić do posłuchu...

- Smutna jest dusza moja, Nergal Sarze. Wydaje mi się uchybieniem Panu tak wielkiemu mówienie o Nim pokątnie, w komorze, gdy nikt wokół nie słyszy...

Starzec nic nie odpowiedział i długą chwilę milczeli. Na koniec Nergal Sar podjął:

- Gdyś stał w świątyni pod filarem, czekając końca ofiary, posłyszałem w duszy głos: Ten - ci jest, którego szukasz... Zdziwiłem się, lecz posłałem do ciebie Sep - Sina. Widzę teraz, że dobrze uczynił posłuchawszy głosu. Chciałbym ci pomóc... Mogę uśpić twoje ciało oswobadzając ducha. Czyniłem to sam wielokrotnie, lecz nie zdołałem rozpoznać nic więcej ponad to, co wyjawiałem. Jeśli chcesz, próbuj! Dokąd doleczysz - tyle poznasz. Miarą poznania będzie miara twojego pragnienia.

- Uczyń to, Nergal Sarze.

- Nie boisz się? Ciało twoje pozornie martwe zostanie tutaj, w tej izbie, a ty powędrujesz, gdzie zechcesz...

- Choćbym się bał bojaźnią jagnięcia w obliczu lwa, błagam cię, panie, uczyń, coś obiecał!

- Nim to nastąpi, musiałbyś zostać ze mną kilka dni i pościć, aż ciało osłabłe nie stawi tamy duchowi... Zgadzasz się pościć?

- Zgadzam się na wszystko, czego zażadasz, bylebym poznał to, czego nie wiem!

- Nie obiecuję ci, że poznasz - zaprzeczył żywo Nergal Sar. - Dam ci skrzydła. Twoja rzecz, dokąd doleczysz.

- Cokolwiek byś mówił, nie cofnę się, panie.

- Wracaj zatem do swoich stad i czekaj, aż cię zawezwę.

- Zaprawdę, Nergal Sarze, nie opuszczę tego progu i nie wezmę jadła do ust, aż uczynisz, coś obiecał. Pragnienie poznania Pana pali mnie jak płomień.

Stary uśmiechnął się jak człowiek przekonany i uspokojony.

- Będziemy zatem pościć od dzisiaj.

Bywa, że ludziom śnią się dziwne rzeczy, których wyobraźnia kapłańska nie zdoła przewidzieć ani wytłumaczyć, lecz to, co się śni teraz Ab - Ramowi, groźniejsze jest i dziwniejsze niż wszystko, cokolwiek słyszano na świecie. Podobnych snów nie znajdziesz na tablicy w świątyni ani nie wyłoży ich najbystrzejszy baru. Zresztą, jestli to sen? Ab - Ram nie wie tego. Nie wie również, gdzie znajduje się on, drobinka bezwolna, zalękniona, zabłąkana w sfery, których oko nie widziało, ucho nie słyszało i umysł ludzki nie pojął. Nie zdołałby ująć w słowa tego, co ogląda, gdyż w mowie ziemskiej nie ma na takie sprawy nazwania. Czas został w izbie na wieży, przy uśpionym ciebie, czas

został na tarczy, zwanej przez kapłanów zegarem, tu zaś mijają tysiące lat ziemskich jako mgnienie błyskawicy. Wicher kolebie światami, szum jakby wielu wód z nagła spadających, grzmot nawałnicy, zamęt, mąt a ciemność wszystko okrywa. Mrok jest żywiołem chaosu, bo nie zrodziło się światło. Bezład jest prawem, gdyż nie nakazał nikt ładu. Przestrzeń, której obcy blask, próżnia sfałdowana mrowi się jak morze nie znające kolejności fal. W truchlejących mgłach tonące pustka i mrok trwać będą zapewne wiecznie.

Nagle błysk przeszywający. Duch ponad otchłanią. Rozkaz jak grom tnie, rozcina, popycha, obala. Od słowa - rozkazu: Stań się! przebudziło się, co uspione, poruszyło, co nieruchome, pojęło prawidło, co było bezkształtne. Już mrok dzieli się od światła, zapłonęły słońca, gwiazdy i miesiące. Drgnęły, ruszyły posłusznie drogami sobie wskazanymi, którymi krążyć będą do skończenia świata. Oto już woda i susz. Jeszcze podnosi się ziemia jak łono wstrząsane łkaniem, góry tryskają ogniem, padają do morza. Morze wrywa się z brzegów, jak płód z żywota rodzącej, wierzga pianą, tłucze falą, lecz wraca bezsilne, podległe prawu i woli. Z mułu ziemnego wylaniają się płazy, ptaki i zwierzęta. Każde posłusznie rozpoczyna bieg swój. Poruszają się karnie w zieleni ruchliwej, a nad nimi błękit nieba jak zadowolenie Boże. Bóg ujrzał, że dzieło Jego jest dobre, i błogosławi swemu dziełu...

Śniący sen, nie wiedzący o sobie drgnął i zastygł z zachwytu, zobaczył bowiem - Człowieka. Piękny, promieniejący, pełen wiedzy, dobroci i siły. W oblicze Stwórcy przesłonięte obłokiem chwały, na które Ab - Ram nie śmie podnieść oczu w swym śnie, on patrzy prosto jak dziecko w twarz Ojca. Kroczy śmiało między niemym stworzeniem, pełnomocnik Boga, uczyniony na obraz i podobieństwo Jego. Rozdaje imiona zwierzętom, roślinom, góróm i wodom...

...Jakaż chwała być człowiekiem! Nie wyszedł z rąk Stwórcy piękniejszy twór od Adama. W niczym kształcie myśl Boża nie wyraziła się ściślej. On i towarzysza jego są wolni i nieśmiertelni. Podlegają tylko Bogu, współpracują z Nim w dziele stworzenia.

...Okropny zgrzyt zakłóca harmonijną ciszę. Niepowołany świadek odróżnia, niby syk węża, szelest śliskiej łuski gada. Stworzenie powstało przeciwko Stworzycielowi, przekroczyło zakaz Jego...

...Zuchwałe morze, acz wzdęte, posłuchało woli Pana i powróciło w swe brzegi. Zakrzepły na wskazanej sobie wysokości szczyty i zapadły się przepaście. Nie posłuchał - ten jedyny, wyróżniony, obdarzony, ubłogosławiony - Człowiek. Stworzony na obraz Boga, zapragnął być równym Bogu...

...Już ład dawny i pokój nie wrócą. Słońce stało się czarne niby wór włosiany. Niebo drży podobne drzewu miotanemu wiatrem, gwiazdy odrywają się odeń jak dojrzałe figi, padają w morze rozbryzgując się skrami. Świat pełen jest trwogi dotychczas nie znanej. Wprowadził trwogę ten, który obraził Boga. Surowy wyrok huczy echem po dolinach. Płonące oczy straszliwej postaci archanioła czy cheruba. Zapora z płomieni niby miecz ognisty zamyka widnokrąg. W próżni kuli się dwoje opuszczonych ludzi, tak opuszczonych i nieszczęśliwych, jak przedtem byli ufni i radośni.

...Nędzniejsi od zwierząt pracują w pocie czoła, by zdobyć pożywienie. Dygoczą z lęku przed gniewem Bożym. Dygoczą z zimna i obawy przed przyszłością. Gdy słońce zachodzi, zda im się, że widzą zaporę z płomieni odcinającą od dawnego życia, wyciągają ręce ku zorzy i płaczą. Gdy wiatr

trąca suche trzciny, myślą, że to szmer szczęśliwych strumieni, i płaczą również. Wokoło nic im nie sprzyja, otoczeni są wrogami. Stworzenie mści się za grzech, który wprowadzili. Ciernie ranią, słońce pali, zwierz drapieżny ściga. Wypaczyli dzieło Boże i, zaprawdę, gdyby runęły w dół światy poruszone Bożą wolą, mniej przyczyniłyby szkody niż to, co oni zrobili. Gdyby ciemność na nowo ogarnęła świat, gasząc światła zatlone przez Pana - mniej wywołałaby grozy niżli zuchwałość nieposłusznego stworzenia. Gdyby wszystkie larwy i demony głębin ujawniły swą brzydotę, widok byłby mniej szpetny niż szkarada tego, co popełnił człowiek...

...Snują się oboje po pustej ziemi, za nimi idzie wina. Wlecze się w ich ślad jak pęta uczeplone szyi niewolnika. Kobieta ma ciężki brzuch, obwisłe piersi, mężczyzna zgarbione plecy. Wieczyści wygnańcy, gwiazdy zbłąkane, dla których burza ciemności trwa wieki, obłoki bezwodne, badyle nieużyteczne; oto obraz tych, co zostali stworzeni dla radosnej chwały. Pytałeś, synu Tarego, skąd płynie na ziemi zło? Kto je zrodził, gdy z rąk Bożych pochodzi jedynie dobro. Oto masz odpowiedź. Wiesz już. Widziałeś.

...Nic nie zgładzi grzechu, nie usunie winy. Wina od urodzenia znaczy czoło niemowlęcia. Towarzyszy starcowi do grobu. Grzech ojców schodzi na synów.

...Łagodny blask musnął smutną pustkę i Ab - Ram podniósłszy strapione oczy zobaczył Niewiastę. Skąd jest? Kto Ona? Płynie nad ziemią jak wspomnienie straconej przez ludzi godności. Jasna niby zorza ranna, piękna jak drzewo oliwne, smuklejsza od jaworu wyrosniętego nad wodą. Pochyla się, pełna litości, nad parą wygnańców.

...Rudy tuman przesłania Jej postać. W tumanie tęnią bose nogi, przecina powietrze wzniesiona maczuga. Brat zabił brata. Rolnik pasterza. Kain, zawistnik, zamordował Abła. Pierwszy trup człowieczy spoczywa na piasku. Jasnowłosa patrzy w niebo martwymi oczyma. Zwierzęta wachają ciało. Siostry zawodzą. Matka Ewa wyje z żalu. Zabójca, Kain, ojciec morderców, skrytobójców i przeklętych, ucieka...

...Pędzą dzieje, toczą się wieki, przybywa ludzi jak mrówek w mrowisku. Nie potok już, lecz wezbrana fala ludzka płynie z szumem, a dokąd, nikt nie wie. Niedola jej udziałem, śmierć celem. Mijając szybko, szybciej niż łodzie obłożone sitowiem, szybciej niżli tkacz płótno obrzyna, ludzie walczą między sobą, spychają jedni drugich, nienawidzą się wzajemnie. Smród grzechu uderza w nozdrza. Czasem nad bagno cuchnące wystrzeli błękitnym płomieniem tęsknota za innym życiem, czasem ręce błagalnie wzniosą się ku górze, lecz wnet fala je pochłania i unosi dalej...

Gdy Ab - Ram otworzył oczy, Nergal Sar stał nad nim podając mu kubek wina zaprawionego ziołami. Starzec był również wyczerpany, z trudem trzymał się na nogach.

- Ścierwo oganiać trzeba przed sępami, a twojego ciała musiałem strzec od demonów ziemi - objaśnił.

Napój otrzeźwił Ab - Rama. Spojrzał na mówiącego przytomnie.

- Powiedz mi, coś widział - prosił Nergal Sar, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Ab - Ram bowiem, przypomniawszy sobie widzenie, nakrył głowę płaszczem i rozplakał się. Oplakiwał ludzką

szczęśliwość utraconą i obrazę wyrządzoną Bogu. Starzec nie śmiał przerywać jego żalu i ułożywszy się opodal na posłaniu czekał cierpliwie.

...Powiedz mi, coś widział - powtórzył na koniec, nieomal pokornie. I tym razem Ab - Ram nie był w stanie zadośćuczynić jego życzeniu. Pamiętał, lecz nie umiał opowiedzieć. Z trudem poszukiwał porównań. Syn ziemi ubogiej w deszcze przedstawił utracone szczęście ludzkie jako raj cienisty, zielony, zraszany obficie przez cztery strumienie, a dolę pokutną jako pustynię jałową, rodzącą ciernie i głogi. Sanga mahhu słuchał uważnie, dorozumiewając się właściwego znaczenia nieudolnych słów.

- Zaprawdę niebo nachyliło się nad tobą - stwierdził, kiedy Ab - Ram umilkł. - Czego rozum ludzki nie pojął, Pan ci to objawił...

- Nie mów, panie, słudze twemu słów, które go zawstydzają. Wyjaśnij mi raczej, proszę, dlaczego te dzieje oglądać trzeba w sennym zwidzie sztuką narzuconym, gdy powinny być wyryte w duszy każdego człowieka? Dlaczego są tajemnicą?

- W grodzie ślepych poczytano by za kłamstwo opowieść o barwie świata. Ludzie stali się ślepyi, bowiem zapomnieli. O przyczynie potopu słyszałeś, Ab - Ramie?

- Wiem o potopie, o patriarsze Noem, od którego syna Sema nasz ród się wywodzi. Wiem, że szczątki jego korabia próchnieją na górze Ararat, zwanej odtąd Barris, czyli górą okrętu. Ale przyczyny potopu nie znam...

- Była nią kara za to, że o Panu zapomniano. Kara straszliwa, aż Pan sam się uląkł i obiecał, iż więcej potopu nie ześle. Od tego czasu zaledwie parę tysięcy lat minęło, a wszyscy znów zapomnieli, jak dziecko niepomne rano, co zaszło poprzedniego wieczora. Umysł ludzki jest kruchy jak podana na wiatr trzcina, nietrwały jak dolina Siddim...

- Czy nigdy, nigdy już Pan nie przebaczy? Czy synowie ludzcy nie wrócą do swego dziedzictwa?

- Jest między nami, widzącymi, wieść, że przyjdzie kiedyś Sprawiedliwy, nie ze świata pochodzący, położy życie za grzechy ludzkie i odkupi wszelkie ciało... Nie wiadomo nam, skąd przyjdzie. Może obłoki spuszcza Go z dżdżem? To bardzo tajemna wieść i nikt jej nie rozumie, ale zapamiętaj ją...

- Widziałem Niewiastę zwieńczoną gwiazdami - przypomniał sobie Ab - Ram, jak gdyby pełne litości spojrzenie zjawiska kojarzyło się z krzepiącą przepowiednią.

- To ta, co zetrze głowę węża - szepnął sanga mahhu ze czcią. - Dane ci było zobaczyć, Ab - Ramie, więcej, niż ujrzał jakikolwiek śmiertelny. Nie zapomnij tego nigdy.

- Nie zapomnę nic z tego, com widział, ani żadnego z twoich słów, Nergal Sarze. Powiedz mi jeszcze, jaka cnota jest miła Panu? Jak człowiek powinien postępować, by znaleźć łaskę w Jego oczach i wyjednać przebaczenie?

- Nie wiem - przyznał sanga mahhu z głębokim zastanowieniem. - Nieraz nad tym dumałem. Skoro pierwsi ludzie zgrzeszyli nieposłuszeństwem i ponieśli srogą karę, mniemam, iż Bóg żąda posłuszeństwa od istot, które stworzył...

- Zaprzysięgam na wodę, ogień, krew i ziemię, że czegokolwiek zażąda, będę Mu posłuszny! - zawołał Ab - Ram w uniesieniu. Oczy mu płonęły. Nagle przygasł, zgarbił się. - Jakże poznam Jego wolę? - westchnął. - Chcąc być posłusznym, trzeba wprzód znać rozkaz. Gdzie go znajdę, by powiedzieć: Mów, Panie, sługa Twój słucha?

- Nie frasuj próżno swych myśli. Gdy Pan zechce, powiadomi cię o swej woli.

Umilkli obaj. W ciszy otaczającej słyszeli bicie własnych serc. Nergal Sar przerwał pierwszy milczenie.

- Mogę już umrzeć - rzekł pogodnie. - Mogę już umrzeć.

- Żadną miarą nie umrzesz! - zaprzeczył żywo Ab - Ram. - Będziemy razem pouczać ludzi o Prawdzie.

- Nie umiałem uczynić tego dotąd, nie uczynię teraz, gdy ciało słabe, a wiek mój dawno minął. Synu Tarego, ofiarowuję ci przyjaźń. Zamień się ze mną na płaszcz, abys ty był mną, a ja bym był tobą.

- Uczynię to z radością i pośpiechem, panie mój.

Nergal Sar podniósł się z trudem. Zdjął z wbitego w ścianę kołka płaszcz i podał Ab - Ramowi, który w zamian wręczył mu swój żółtobury z sierści wielbłądziej. Płaszcz Nergal Sara różnił się odeń tylko barwą, utkano go bowiem z sierści białego wielbłąda. Płaszcze takie były rzadkie i cenione. Odziali się równocześnie w zamienione okrycia. Nergal Sar, dziś przygarbiony i skurczony, musiał być niegdyś rosnym mężem, gdyż fałdy białej tkaniny okryły Ab - Rama od głów do stóp.

- Nie rozstanę się z nim - zapewnił obdarowany.

- Ja również nie rozstanę się z twoim, synu mój, Ab - Ramie. A teraz idź już. Jestem zmęczony. Błogosławieństwo twej głowie.

Ab - Ram pokłonił się nisko, dotykając czołem ziemi, i wyszedł. On także stąpał niepewnie, półprzytomny. Przecierał oczy oślepione jasnością dnia. Niepojętym sposobem uprzedzony Sep - Sin czekał na niego na schodach o piętro niżej. Na widok białego płaszcza skłonił się głęboko bez słowa. Ab - Ram odwrócił się, spojrzał w górę. Nergal Sar stał w progu swej izby owinięty w płową opończę mieszkańca namiotów. Ab - Ram przyłożył zegnalnie dłonie do czoła i piersi. Stary baru powtórzył ten gest. Ab - Ram schodził dalej za Sep - Sinem, który wbrew zwyczajowi milczał. W miarę jak Ab - Ram mijał piętra wieży, powszednia rzeczywistość narzucała się natrętnie. Zaprawdę, wracał teraz ze stokroć dalszej odległości niż wówczas, gdy został porwany i postawiony na powrót na ziemi! Myślami tkwił jeszcze wciąż w komnacie na szczycie wieży, a równocześnie dostrzegał

swoje stada pasące się na równinie, rozróżniał nawet namioty własne, Nachorowe. Choć dusznie pragnął nie rozstawać się z tamtym, zaledwie ujrzany, objawionym światem, musiał zatroszczyć się o to, jak zeszyły w obozie dni jego nieobecności. Czy nie było znów bójki między pastuchami? Czy Lot syn Arana zdobył się na stanowczość wobec żony? Czy Elizer dopilnował należycie cielnych krów? Codzienne troski nasiadały nań coraz natarczywiej.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

I STAŁO SIĘ TAK...

Sarai klasnęła w ręce z zachwyty ujrawszy męża okrytego białym płaszczem. Wydał jej się piękny i wspaniały. Dostojskości stroju przypisała zmianę w jego zachowaniu, którą kobiecym instynktem wyczuła, choć nie umiałaby określić, na czym polegała. Powaga, spokój, uprzejmość cechowały zawsze Ab - Rama - obecnie jednak dołączyło się do nich nie znane dotąd roztargnienie. Daleki myślami, spoglądający niewidzącymi oczami, zdawał się nie przykładać żadnej wagi do nowin, którymi go zasypała. To samo roztargnienie stwierdził Elizer składając panu sprawozdanie z ubiegłych kilku dni.

Nadszedł wieczór pełen wrzawy ptasiej, porykiwania bydła i dźwięku rogów pastuszych. Upał ciężący łożem ustąpił miejsca rozkoszemu chładowi. Pomału gwary milkły, wchłonięte przez ciszę. Wielki złoty miesiąc wytoczył się na nieboskłon, przygasił gwiazdy. Szakale w zaroślach rozpoczęły swe skargi wieczorne, na które psy obozowe odpowiadały ujadaniem. Zjedzono już wieczerzę, kobiety zmywały statki. Stara Noa troskliwie otulała żar popiołem. Ab - Ram swoim zwyczajem usiadł przed namiotem, z dala od domowników. Nareszcie był sam. Otwarta księga nieba wisiała nad nim, gwiazdy blade przy miesiącu pisały w niej swoje tajemnice, szeregowały się w znaki. Patrząc na nie Ab - Ram przeżywał na nowo widzenie, odnajdywał obrazy oglądane - nadal nie wiedział - we śnie czy na jawie, zali w duchu, zali w ciele. Z najwyższym wysiłkiem usiłował spamiętać wszystkie i ułożyć w całość. Od tego starania kurczyły się i bladły, niemniej pozostawały jeszcze dość wspaniałe, by duszę przejąć ponownie uwielbieniem, żalnością i trwogą. Otulając się ciasno w płaszcz starego baru - nie z chłodu, lecz dla większej bliskości z nauczycielem - uprzytamniał sobie, jak wiele rzeczy pozostawało dlań niezrozumiałych, niepojętych i zawiłych. Nie zrażał się tym, bo skądże on, nieuk, mógłby zrozumieć - lecz postanawiał prosić Nergal Sara, by mu niektóre sprawy wytłumaczył. Zarazem dziwił się, że sanga mahhu znając Najwyższego Pana był nadal kapłanem Marduka. Czemuż znając prawdę o świecie, żył cały wiek w kłamstwie?

...Widocznie brakło mu sił. Kapłani zabiliby go od razu, on zaś był stary. Nie posiadał innego schronienia niż wieża. Zaprawdę - postanawiał Ab - Ram - zabiorę go tutaj, uczczę jak rodzica. We dwóch głosić będziemy chwałę Pana Prawdziwego. Tak uczynię. Uczynię tak niezwłocznie. Wrócę do grodu, zobaczę w świątyni Sep - Sina. Poproszę go, by rzekł Nergalowi: Na przyjaźń, której dowodem jest ten płaszcz, racz zobaczyć się ze mną, Ab - Ramem... Gdy mnie zawezwie, zapytam go o wszystko, czego nie rozumiem, i padłszy mu do nóg uproszę, by zamieszkał tutaj ze mną...

Pora była bliższa świtu niż północy, gdy rad z powziętego zamiaru wszedł do namiotu. Sarai spała, znużona bezowocnym czekaniem na męża. Kaganek syczał cicho. Ab - Ram zasnął od razu, spał twardo i długo. Odsypiał poprzednie znużenie. Zbudziło go czyjeś dotknięcie. Słońce stało wysoko, muchy brzęczały. Żona krzątała się przed namiotem, a nad nim pochylał się Sep - Sin.

Ab - Ram przetarł oczy, pewien, że śni, lecz kapłan nie zniknął.

- Zbudź się, synu Tarego, wysłuchaj nowiny, którą przyniosłem. Nowiny bardzo złej. Nergal Sar, sanga mahhu, umarł tej nocy wezwany przez bogów...

- Nergal Sar umarł?! - wykrzyknął z przerażeniem Ab - Ram zrywając się na równe nogi. Sep - Sin mówił:

- Nie przyzywał wczoraj nikogo. My, baru, czujemy śmierć, gdy jest w pobliżu. Słyszeliśmy łopot jej skrzydeł nad wieżą. Gdy sanga mahhu nie przyzywał nikogo, Awen - El i ja poszliśmy na szczyt. Nergal Sar spoczywał na posłaniu, zawinięty w twój bury płaszcz, Ab - Ramie. Musiał odejść w krainę cieni już dawno, gdyż ciało było zimne i zastygłe. Awen - El zawołał: Gdzie jest biały płaszcz sanga mahhu? Odpowiadając mu, rzekłem: Azali mogę wiedzieć, gdzie jest jego biały płaszcz? Wymknąłem się z wieży i przybiegłem tutaj...

- Zgasło moje światło, odeszła moja rada, przeklęte moje dni... - biadał Ab - Ram zdruzgotany wiadomością.

- Synu Tarego, co uczynisz z płaszczem? - nalegał frasobliwie Sep - Sin.

- Z płaszczem? Ehej, z płaszczem? Czemu nie powiedziałaś prawdy kapłanowi Awen - El, Sep - Sinie?

- Nie powiedziałem prawdy, gdyż biały płaszcz, który ci dał sanga mahhu (wiem, że ci dał. Widziałem go stojącego w progu okrytego twoją pasterską opończą) - ma wielkie znaczenie. Wierzymy, iż tkwi w nim część siły, którą posiadał Nergal Sar. Awen - El będzie następcą sanga mahhu. Chce mieć płaszcz. Choć utkają mu nowy, nie będzie to ten sam... Awen - El jest zazdrosny. Nie drażnij go.

- Nie stoję o gniew Awen - Ela i nie oddam płaszcza, z którym obiecałem się nie rozstawać. Mój przyjaciel nie rozstał się z moim okryciem cuchnącym wiatrem i stadem. Do szeolu poszedł z nim... Posypię włosy popiołem, odzieję wór zgrzebny, zakrzywię głowę jak sierp i będę oplakiwał nauczyciela mojego...

Gorąca pora dobiegała końca. Zbierano daktyle, które obrodziły obficie w tym roku. W winnicach rozlegał się skrzyp ciężkich drewnianych tłoczni, w których wyciskano sok z gron winnych. Zajęci tą pracą niewolnicy byli obryzgni ciemnym moszczem i pijani samym zapachem fermentującego płynu. Drugi zbiór pszenicy został już zebrany, wymłócony, ziarno zsypane do rowów. Ab - Ram doglądał jak zwykle robót, obchodził liczne swe stada, rozsądzał kłótnie pastuchów, uśmierzał spory kobiece - był prawdziwie ojcem szczepu, naczelnikiem, sędzią, lecz wewnętrznego spokoju nie odzyskiwał. "Zali udźwigniesz ciężar Prawdy?" - pytał go niegdyś Nergal Sar, mistrz, który odszedł, ledwo się pojawił w jego życiu. Z butną pewnością Ab - Ram odpowiedział wówczas, że tak. Mimo to nic dotychczas dla Prawdy nie uczynił i tracił nadzieję, by mógł uczynić w przyszłości. Dopiero teraz zdawał sobie sprawę z bezsilności Nergal Sara. Przeciw śmiałkowi zaprzeczającemu powszechnie wyznawanej wierze powstaną wszyscy możni tego świata. Król i kapłani. Dwie potęgi sprawnie działające, trzymające w dłoni całe życie kraju. Nie przekonał ich stary mędrzec otoczony podziwem, tym bardziej nie przekona on, Ab - Ram, Hebrajczyk, nikomu poza swym szczepem nie znany. Cóż więc uczyni? Będzie żył jak dotąd, tłumiąc w sobie tajemnicę, a że syna nie posiada, nie znajdzie nikogo, komu mógłby ją przed śmiercią przekazać, jak Nergal Sar przekazał jemu...

Truł się tymi gorzkimi myślami, gardził sobą, aż pewnego dnia, właśnie kiedy obchodził świeżo zasypane rowy zbożowe zawierające bogactwo chleba, błysnęła mu myśl, nagła jak rozkaz, prosta jak błysk miecza: Pójść stąd! Odejść! Stać się znów szczepem wędrownym, jakim byli dziadowie i pradziadowie! Odejść daleko na puszcę i na wolnej ziemi głosić swobodnie chwałę Najwyższego Pana! Zwinąć namioty, poniechać wszystkiego, co się nie da załadować na grzbiet osła czy wielbłąda, i odejść...

Tak nim ta myśl owładnęła, że nie mógł ustać na miejscu. Ruszałby z radością zaraz, jeszcze przed porą deszczową. Nie zależało to jednak od niego, lecz od właściwego naczelnika plemienia, Tarego syna Nachora. I tu Ab - Ram napotkał opór nieprzezwyciężony.

Jakkolwiek pokornie i czule przedstawiał rodzicowi swój zamiar, staruszek uniósł się gniewem.

- Chcesz śmierci ojca, bezecniku! - krzyczał. - chcesz skrócić moje dni, wyrodku! Ja miałbym na stare lata trząść się na wielbłądzie, sypiać w namiocie ze skorpionami i pajakami, słuchać ryku bydła, łykać kurz pustyni, moknąć w czas pory deszczowej?! Bogowie, patrzcie, jak mnie syn chce skrzywdzić! Złe ziele zjadł, rozum mu się wywrócił!

- Zwolnij mnie zatem, ojcze, z naczelnictwa szczepu. Pozwól, że sam odejdę z moją niewiastą Sarai i kilkoma sługami... Nie trzymaj duszy mojej na uwięzi... Jeżeli sługi pragniesz zatrzymać, odpuść tylko mnie i niewiastę.

- Milcz! Nigdzie nie pójdziesz! Ze sługami czy bez sług nie odpuszczę cię, zły, niewdzięczny synu! Szalony! Co cię opętało!? Demon ci na mózgu usiadł jak Nabilowi, co latał nago po ulicach!? Gdzie znajdziesz równe temu pastwisko? Choćbyś trzymał tysiąc byków, nie dojrzysz ubytku w paszy... Mówże, dlaczego chcesz iść?!

Ab - Ram wyjrzał, czy nikt nie podsłuchuje, i wyznał:

- Muszę stąd odejść, ojcze, gdyż nie wierzę w bogów...

- A cóż to szkodzi?! - zapytał z osłupieniem stary. - Ja też nie wierzę w Marduka. Wiesz przecież...

- Nie wierzę ani w Marduka, ani w Nannar - Sina, ani w żadnego boga czy boginię, których kapłani chwają... Wierzę w Boga Jedynego, Pana nieba i ziemi, który stworzył wszystek świat...

- Uhm... to on żąda od ciebie ofiary z kości starego ojca, które chcesz rozsypać po pustyni?

- Ojcze, racz nie sztydzić z twojego syna. Serce moje pełne jest miłości i szacunku względem ciebie... Bóg mój nie żąda takiej ofiary. Chcę odejść, gdyż tutaj nie mogę Go chwalić...

- Jak wygląda ten twój bóg? - zaciekawiał się Tare. - Skąd go dostałeś? Jak się zwie? Chciałbym zobaczyć. Gdzie go masz? W obozie?

Ab - Ram westchnął. Najumiejtniej, jak zdołał, przekonywał ojca, że Boga Prawdziwego nie

można zobaczyć ani Imienia Jego znać, ani tym bardziej posiadać - wywołał jednak nowy wybuch gniewu.

- Wiedziałem od razu, że oszalałeś! - krzyczał Tare. - Od rzeczy gadasz! Nigdzie nie odejdziesz. Rozkazuję iść do Taribala i kupić zaklęcie przeciw demonowi mącącemu mózg... Natychmiast tam idź! Od zaklęcia demon wychodzi przez ucho lub z odchodami... Przyjdź znowu, gdy będziesz zdrow. Pamiętaj, że do szeolu nie wejdą ci, co zasmucają rodziców...

- Obym mógł nie zasmucić cię nigdy, mój ojcze!

- Kup zaklęcie... Złóż ofiarę w świątyni... Ofiarę złóż koniecznie. Siedem byków czy jałowic... Kapłani się przymawiają... Ostatni raz, gdy widziałem Awen - Ela, powiedział, że spojrzawszy z wieży widzi nasze stada liczne jak gwiazdy na niebie... Wiem, co znaczą takie słowa, wiem!

- Stada są twoją własnością, ojcze. Uczynię, jak każesz. Jutro Jahiel z Hilem przypędzą byki.

- Sam z nimi nie przyjdiesz?

- Okaż, ojcze, miłosierdzie swemu synowi i pozwól mu nie przyjść.

Szczere zmartwienie drgało w głosie Ab - Rama i Taremu zrobiło się żal. Chory jest chłop, ciężko chory, to jasne. Powtórzył zalecenie szybkiego kupna tabliczki z odpowiednim zaklęciem. Rozstali się. Wychodząc Ab - Ram pochylił się nisko przed terafim. Nie uważał tych kamiennych figurek za bogów, którym cześć oddawana uwłaczałaby Panu Najwyższemu, lecz za członków rodziny, uosobienie rodu. Szedł ulicami, a wiatr zachodni, pożądanym zwiastunem deszczu, szarpał połę jego płaszcza. Był rzeczywiście głęboko zmartwiony. W głowie rozbrzmiewał nieustanny nakaz: Idź stąd! Idź stąd! Idź z domu ojca twego! idź z kraju twego! - i Ab - Ram z trwogą myślał, że to nakaz Pana. Jakoż on ma go wykonać? Kruki wydziobią oczy dziecka, co nie szanuje rodziców. Nawet do szeolu, smutnego miejsca, gdzie pył pokarmem, a popiół posłaniem, nie puszczą złych synów, jak słusznie przypomniał Tare.

Pierwszy deszcz jesienny, zwany "joreh", spadł w drugiej połowie miesiąca Markeswan i okazał się obfity. Siedząc w namiotach ciasno zapiętych Hebrajczycy słuchali z radością łoskotu wody bębniącej po skórach, zwiastującej przyszłoroczny urodzaj. Oczekiwane dżdże nasączyły wodą ziemię spopieloną, twardą jak skała, spękaną w długie szczeliny, na której znikł wszelki ślad zieleni. Zasilały wyschnięte strumienie, podnosiły poziom Eufratu pozwalając wodzie płynąć do suchych od paru miesięcy kanałów. Deszcze jesienne padały zazwyczaj przez dwa miesiące, a składano bogom ofiary, by trwały jak najdłużej. Po deszczowej porze nastawała krótka zima. Safon, wiatr północy wiejący od gór uwieńczonych śniegiem, z których obie bliżnie rzeki Tygr i Eufrat biorą swój początek, dał wzdłuż doliny ze wzrastającą siłą. Nierzadko rankiem znajdowano wodę pokrytą cienką powłoką lodową. Dzieci z namiotów chwytaly z krzykiem i śmiechem te lśniące płytki, topniejące w palcach. Nocny chłód ustępował szybko i bydło, zziębnięte o świcie, już w południe szukało cienia, by skryć się przed słońcem. Okres zimowy rolnicy wykorzystywali dla zaorania i pierwszego obsiewu pól.

Dla Ab - Rama nie przyniósł on żadnej zmiany ani nawet nadziei zmiany. Tkwił nadal w

miejscu, na kształt więźnia zakutego w dyby, wędrowca zatrzymanego w pół drogi do celu, łowcy zmuszonego rzucić wytropiony ślad, spragnionego, któremu bronią dostępu do źródła. Gdy uprzytamniał sobie, że niebawem upłynie rok od chwili, gdy dowiedział się od Sep - Sina, że Nergal Sar zoczył go stojącego pod filarem - odczuwał urazę do Pana, że wybrał na powiernika i świadka równie nieudolne jak on narzędzie. Dlaczego tak uczynił? Mylić się nie może. Zna serce i mózg człowieka. Wie, że prosty pastuch, poza swoim szczepem żadnej władzy nie mający. Czemu nie objawił się królowi lub księciu? Mocnemu wojownikowi? Czemu nie uniósł w górę i nie nappełnił łękiem Hamurabiego, syna Sin Muballita, by prawdziwego Pana chwalił, miast szerzyć chwałę Marduka, w którego nikt nie wierzy? Dlaczego? Com jest? Czy naigrawa się ze mnie?

Nadleciały ulewy wiosenne, gwałtowne, szumiące, błogosławione, zmieniające ziemię w wilgotny, zielony raj. Patrząc nocą na błyskawice rozjaśniające widnokrąg od krańca do krańca - Ab - Ram drżał, zdały mu się bowiem echem pocisków ognistych oglądanych w widzeniu. Bładł słysząc grzmot, aczkolwiek nikły w porównaniu z zapamiętanym hukem gromów. Wokoło plemiennicy jego radowali się zapowiedzią urodzaju. Elizer napomykał o potrzebie złożenia ofiary dziękczynnej. Ab - Ram udawał, że nie słyszy. W namiotach wrózano o tegorocznym urodzaju i długotrwałości deszczów. Każda rzecz nadawała się do wróżby, a więc kierunek ukośnych smug ulewy, bańki powstające na wodzie, tęcza (na ten łuk barwny Ab - Ram nie mógł patrzeć bez głębokiego, przejmującego wzruszenia) - kształt i barwa obłoków, wiatr, dym, loty ptaków, zachowanie się płazów i gadów, ryk osła, ryk lwa, pojawienie się węża, echo powtarzające głos... wyniki wróżb powtarzano sobie wzajemnie, uzgadniano radośnie lub z niepokojem. Ab - Ram słuchał obojętnie, daleki myślami. Miał dość dostatku, by przeżywić swój szczep bodaj przez parę lat w razie głodu, a jedyne, czego pragnął - wolności, wróżby nie zapowiadały, wypadając na ogół pomyślnie. Co zaś było pomyślnością dla drugich - syte, bezpieczne pozostawanie na miejscu - znaczyło dla niego dalszą udrękę. Z równym roztargnieniem jak wróżb słuchał skarg Elizera i Jahiela na zuchwałych pastuchów Lotowych, przyjmował staranne omijanie go przez tego ostatniego i dalszą wiotkość żony jego, Idith. Nawet powtórzone mu przez Sarai szpetne plotki dotyczące poganiacza Hilla, wdowca, i jego córki Azuby nie wyrwały go z zamyślenia. Jako naczelnik i sędzia szczepu obowiązany był zwołać zebranie starszych, wymienione plotki rozpatrzyć, w razie uznania winy przestępców według prawa ukarać. Zdawało mu się jednak, iż zanim własnej najważniejszej sprawy nie rozwiąże, nie powinien nic przedsiębrać, jak nie lza dawać ziarna ziemi, nie otworzywszy wprzód jej łona sochą.

- Co jest naszemu panu? - szeptał z niepokojem Elizer.

Sarai kiwała głową z miną tajemniczą, nierada przyznawać się, iż wie niewięcej od starego sługi. Natomiast Noa rozpuszczała język. Jej zdaniem pan był urzeczony, i to urzeczony od dawna. Wystarczy na niego spojrzeć, by poznać, że to nie ten sam człowiek.

Jedyną pociechę Ab - Rama w tym czasie stanowiło rozpamiętywanie widzenia ukazanego mu niegdyś przez Nergal Sara. Wieleśet razy usiłował uprzytomnić je sobie, uporządkować i połączyć w całość. Powtarzane uparcie słowa wiązały się same w rytm. Ilekroć o zachodzie przetały się chmury i noc zapadała pogodna, Ab - Ram siadał przed namiotem na mokrej ziemi, sam ze swoimi myślami. Gdy wszystko wkoło zasnęło mocnym snem, na usta samotnika wybiegał bezwiedny śpiew:

"...Na początku stworzył Bóg Niebo i Ziemię.

Ziemia była pusta i próżna, ciemności nad głębokością...”

Dreszcz przejmował go na wspomnienie owych głębi ziejących otchłanią. Z pośpiechem ciągnął dalej:

“...I stała się światłość. I ujrzał Bóg światłość, że była dobra.

I przedzielił światłość od ciemności...”

O niedostateczne słowa, by oddać walkę żywiołów i przecinający je miecz rozkazu! Któż by to zdołał wyrazić?

“...Niech się zbiorą wody, które są pod niebem, na jedno miejsce,

a niech się ukáže susz... I stało się tak...

...Niech zrodzi ziemia ziele zielone i drzewo rodzajne,

I stało się tak...

Niech wywiodą wody płaz duszy żyjącej i ptactwo nad ziemią

pod sklepieniem nieba... I stało się tak.”

Ab - Ram kołysał się w przód i w tył, do wtóru słów, jak zwykli czynić śpiewacy. Z radością czuł, że teraz nic z powierzonego skarbu nie uroni. Choć zblednie widzenie zatarte przez lata, potrafi te słowa powtórzyć bez zmiany. Gdyż wbrew temu, co mówią kapłani, nie kamień lub glina, lecz pamięć ludzka jest materiałem najtrwalszym.

“...I stworzył Bóg człowieka na wyobrażenie swoje...

Na wyobrażenie Boże stworzył go...

Mężczyznę i niewiastę stworzył je...

I błogosławiąc im rzekł...”

Powolny, uroczysty głos obudził Sarai. Zerwała się, by zobaczyć przez szparę w zasłonie, z kim Ab - Ram rozmawia? Co za gość odwiedził go w nocy? Na widok męża siedzącego na ziemi z twarzą zwróconą ku gwiazdom, powtarzającego niezrozumiale brzmiące słowa, Sarai przeraziła się

okropnie. Jasne stało się dla niej, że Ab - Ram rozmawia z demonem. Tym pewnie, który go urzekł, jak słusznie mówiła Noa. Dlatego każe jej teraz sypiać po niewieściej stronie, dlatego zachowuje się tak, jakby nie słyszał, co do niego mówią... O bogowie! Jak temu nieszczęściu zaradzić?

Wróciła do łóża drżąc i nie zasnęła do rana.

Bystry, ulewny deszcz przeminął. Ciężkie obłoki zaczepiały o szczyt wieży. W górze rzeki ukośne smugi szarzały niby zasłona zakrywająca przed wzrokiem bogów część kraju. Niewolnik Obed przyszedł do obozu z polecenia od Tarego syna Nachora.

(Niewolnik Obed nie został dotąd sprzedany mimo nalegań Ab - Rama. Stary Tare twierdził, że nie ma zdrowia i sił na przyuczanie nowego niewolnika umiejącego przyrządzać glinę na cegłę, lecz nie na posągi - że kapłani przekupują każdego nowo nabytego, i na koniec, że choćby Obed, syn szakala, miał sto żrenic i siedem uszu z każdej strony głowy, nie dojrzy ani posłyszycie nic, co by warte było doniesienia.)

Okrągła głowa Guta lśniła zlaną deszczem, gdy uniżenie wybijał pokłony.

- Bądź pozdrowiony, Ab - Ramie synu Tarego. Pan mój, Tare syn Nachora, wzywa cię przed swoje oblicze.

- Czy mój ojciec zachorował? - zaniepokoił się Ab - Ram.

- Bogowie strzegą zdrowia mego pana. Tare syn Nachora jest zdrow.

- Idę zaraz - postanowił Ab - Ram i sięgnął po płaszcz. Spojrzawszy na niewolnika dorzucił:

- Czekać na mnie w obozie, aż wrócę.

Obed zadziwił się i łuna rumieńca przepłynęła mu przez twarz. Otworzył usta chcąc coś rzec, lecz dał spokój i pokłonił się ponownie milcząc.

Powiadomiwszy Sarai, że idzie do grodu, odprawiwszy ręką Sura gotującego się towarzyszyć panu, Ab - Ram ruszył tak prędko, jak tylko pozwalała na to rozmiękła glina oblepiająca nogi. Wyrwał z niej z trudem sandały. W międzyczasie bura sieć deszczu przybliżyła się, jak gdyby spływając z rzeką, i pierwsze krople nowej ulewy spadły na głowę i barki idącego. Nadstawiał im lica z przyjemnością, syn ziemi, dla której deszcz stanowił o życiu.

Tare oczekiwał go zdrow, lecz zmieniony z nagłej zgryzoty. Ab - Ram nie widział jeszcze ojca równie przygnębionego.

- Bogowie odwrócili od nas lica jak czasu potopu - rzekł do syna. - Otwórz uszy i słuchaj, co mi wyjaśnił patesi: Babilończyk nakazał spisać wszystkich ludzi i pobrać daninę od głowy...

- Wszystkich ludzi w grodzie? - domyślił się Ab - Ram.

- Słuchaj nie przerywając! Ludzie grodzcy są dawno spisani. Co mnie oni obchodzą? Na piersi

bogini! Nas, wolnych Hebrajczyków, Babilończyk chce pobrać w poddaństwo! Nas chce spisać, nasze stada, nasze sługi, naszych niewolników...

- Jesteśmy szczepem wolnym - odparł Ab - Ram, którego twarz pociemniała. - Ziemia nie należy do nikogo, w grodzie nie mieszkamy, bydło poimy w rzece, nie w kanale... Babilończyk nie ma do nas prawa...

- Kto mu nakaze uszanować prawo? Przed jakim sądem go stawisz? Kto orzeknie, że ziemia niczyja, skoro Hamurabi syn Sin Muballita powie, że należy do niego?

Ab - Ram milczał. Stary ciągnął z rosnącym gniewem:

- Najpierw spisy... "Dla porządku", powiada patesi... Babilończyk chce znać ilość bydła pasącego się nad Eufratem... Potem weźmie dziesięcinę z pogłowia... Nic więcej. O, ja wiem. Za lwicą postępuje lew, za szakalem hiena, a za zmierzchem noc... Po dziesięcinie przyjdą pierwociny, potem zawezwą naszych ludzi do roboty, a kto nie zechce, przeciągną mu sznur przez nozdrza i pognają jak byka w jarzmie... Na koniec może nas zakują w dyby...

- Nie dopuścimy tego żadną miarą - stwierdził krótko syn.

- Jak nie dopuścisz?! Wojnę rozpoczniesz z Babilończykiem? Baran wyruszy na lwa? Gdzie twoje miecze? Gdzie tarcza? Kilka starych łuków, z których pacholęta uczą się strzelać do celu, i z pół kopy zardzewiałych włóczni - oto uzbrojenie obozu...

- Ramiona starczą za miecze - odparł dumnie Ab - Ram.

- Wiele nimi dokażesz... Nie masz, nie masz ratunku! Ehej!

Spojrzał na kamienne terafim i padł na kolana bijąc przed nimi czołem.

- Opiekunowie rodu! - wołał rozpaczliwie. - Stróże pradziadów! Pomóżcie nam! NUże! - krzyknął do syna - klękniij także! Proś ze mną! Tylko one mogą pomóc!

Nawykły do posłuszeństwa ojcu, Ab - Ram klękniij i pochylił czoło, aż dotkniij posadzki. Nie modlił się jednak wcale i nie myślał o terafim, niezdarnych, bezsilnych figurkach kamiennych. Olśniła go nagła radość, zaparła dech. Oto Pan nasuwa wyzwolenie! Oto będzie mógł pójść stąd!

Pomógł podnieść się staremu, usadził go na ławie i rzekł:

- Zaprzysięgam na Boga Żywego, że nie przystanę nigdy na poddaństwo. Wolę, by szczep zginął, niż poszedł w niewolę.

- Słuszna twoja mowa. Nie chcę, by powiadano, że za Tarego syna Nachora Hebrajczycy stali się niewolnikami...

- Nie zostaniemy niewolnikami, mój ojczcie. Pójdziemy stąd. Pomnisz, jak cię o to prosiłem jesienią... Dzisiaj nie będziesz się wzbraniał.

Tare wzruszył ramionami, zniechęcony.

- Znowu ta gadka! Znowu to szaleństwo! Uciec od Babilończyka? Co ci się marzy? Bydło idzie wolno, a on ma chyże wielbłądy... Dogna na pierwszym postoju...

- Zawierz mi, ojczu. Twoja dojrzała mądrość powiada, że ujść nie zdołamy... Moja zuchwałość ośmiela się twierdzić, iż oszukamy Babilończyka i ujdziemy z jego granic szczęśliwie.

- Niemożliwe - westchnął Tare. - Nie zdaje mi się też, bym zniósł wędrówkę po stepie.

- Zali byłoby ci lżej znosić niewolę, mój ojczu?

Milczeli dłuższą chwilę. Tare sapał rozdrażniony.

- Daj losy - przemówił wreszcie. - Zasięgnijemy rady bogów.

Ab - Ram zdjął z półki losy zwane "pur". Były to gładko obtoczone kamyki rzeczne, lśniące od długiego użycia, powszechnie bowiem panował zwyczaj uciekania się do nich w razie wszelkiej wątpliwości. Nawet działy rodzinne lub sprawy spadkowe bywały rozstrzygane tą drogą.

- Jeżeli wyciągnę biały kamień, przystanę na twoje - oznajmił Tare.

Ab - Ram podniósł nieznacznie brwi. Zwyczaj mówił inaczej: to on powinien ciągnąć. Niech jednak będzie tak, jak ojciec chce...

Wsypał kamyki w zebraną połę płaszczu i potrząsnął nimi kilkakrotnie. Utkwiwszy wzrok w oczach syna stary Tare gmerał długo w fałdach sukna. Chytry półuśmiech drgał w kątach jego ust. Na koniec podniósł rękę w górę i z nieukrywaniem zdziwieniem patrzył na trzymany w palcach biały kamyk.

- Na twoje wypadło - przyznał z zawodem w głosie.

- Może chcesz powtórzyć, ojczu?

- Nie chcę - odparł z gniewem stary. - Nie chcę.

- Zatem uchodzimy... - Ab - Ram podniósł się i przemierzał izbę dawnym, stanowczym krokiem. Mimo szacunku, z jakim zwracał się do ojca, głos jego brzmiał jak głos wodza. Wewnętrznie promieniał. Oto stało się to, o czym marzył. Wyjdą z grodu! Staną się ludźmi wolnymi. Jako ludzie wolni poczną chwalić Prawdziwego Boga...

Tare wodził oczami za synem. Był zgnębiony wynikiem losowania. Znał swoje kamyki. Potrafił zawsze rozróżnić biały po nieznacznych wypukłościach. Był pewien, że go nie weźmie. A oto pomylił się... Czyżby nieznaną Bóg Ab - Rama wmieszał się w tę sprawę?

Ab - Ram mówił:

- Nie posiadamy oręża, przeto trzeba nam uzyskać chytryść węzową. Racz uczynić, ojcze, jak syn twój prosi: obaczywszy się z patesim rzekniesz, by się wstrzymał ze spisaniem szczepu, aż wrócą pasterze, którzy poszli z częścią bydła w górę rzeki, by się nie trudził dwa razy.

- Rozdzieliłeś stado? Nie wiedziałem...

- Ojcze, potrzeba wielkiej chytryści, by zmylić Babilończyka. Nie rozdzieliłem jeszcze, ale mogę to uczynić... Musimy być jako węże... Gdy patesi zapyta, kiedy pasterze powrócą, odpowiesz: Gdy deszcz ustanie i wody spłyną do rzeki. Wcześniej nie wrócą. Zali chcesz, bym kazał powrócić im wcześniej i potopił młode jałowice?

- Powiem, jak rzekłeś - przystał Tare po namyśle. - Zali to nam pomoże?

- Zyskamy na czasie, mój ojcze. Przygotujemy się do odjazdu.

- Ehej! Ehej! Do odjazdu! Dognają nas i zginiemy. Jak niewolników popędzą do Babilonu...

- Zbądź obawy, ojcze. Nie stanie nam się nic złego.

- Czy twój Bóg zapewnił cię o tym?

- Tak! - zawołał Ab - Ram z mocą. - Wiem, że Pan nas osłoni.

- Uczynię zatem wszystko, co mi przez ciebie rozkaże - poddał się Tare uspokojony. Zdarzenie z kamykiem nie wychodziło mu z głowy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

DŁOŃ WYCIĄGNIĘTA W MROK

W obozie hebrajskim gwar i zamęt niby w barci przed wyrojem. Wszyscy krzątają się gorączkowo, podnieceni. Trzydzieści lat minęło, odkąd plemię osiadło pod grodem Ur, siejąc pszenicę i jęczmień, sadząc winnice oraz palmy daktylowe dające już bogate zbiory - a teraz miano porzucić to dobro i wędrować... Dokąd? Po co?

Przyczynę wyjazdu znają tylko Nachor, Lot, a ze sług Elizer. Zaprzysięgli na ogień i wodę, na ziemię i powietrze, że nie wyjawią jej przedwcześnie nikomu. W obawie, by niepotrzebna wieść o przygotowaniach do podróży nie doszła do grodu, Ab - Ram zabronił plemiennikom opuszczać obóz bez jego wiedzy i postawił na drodze strażę mającą zatrzymać każdego obcego. Może się zdarzyć bowiem, że patesi naśle szpiegów chcąc sprawdzić, co czynią Hebrajczycy. Wprawdzie Tare posłuszny radom syna ustalił z patesim, że spisy plemienia zostaną dokonane dopiero po siewach, zbytek ostrożności jednak nie zawadzi.

Starzy poganiacze i pastuchy pamiętają czasy poprzedzające życie osiadłe, czasy wędrówki trwającej bezustannie, stanowiącej właściwe zajęcie i cel. Opowiadają o nich młodszemu. Dobrze to było życie ich zdaniem. Niebo nad tobą, ziemia pod stopami, gnasz bydło wołając: haj! haj! Nie trudzisz się orką, nie zakładasz jarzma bykom, nie uznoisz się w żarze przy zbiorze pszenicy, smaganiu ladanu, młóceniu ościstego jęczmienia. Bydło się pasie, a ty sobie krocysz pomału i śpiewasz. Na każdą górkę wybiegniesz popatrzeć, jak świat z niej wygląda. Codziennie na nowym miejscu ognisko rozkładasz. Rano zgarniasz żar do garnka i dalej, dalej za gwiazdami... Gwiazdy pokazują drogę, gdy gorącą porą nocą idziesz, a w dzień śpisz. Rankiem słońce, promienne lico Samasza, bieży przed tobą niby olbrzym przemierzający wielkimi krokami niebo, a ty za nim, a ty za nim... Nie dościgniesz go, nie! Czasem, gdy trafi się dobre pastwisko, obozujesz w jednym miejscu tydzień, dwa, trzy... Niewiasty korzystają z odpoczynku, by wyprać szaty, naprawić zniszczone odzienie, a mężczyźni leżą w cieniu i nie robią nic...

Wspominali również złe strony wędrówki. Zimne noce w górach, gdzie mimo ognia szczękanę zębami, a matki kładły się na dzieciach, by je zagrzać.

Burze straszliwe, nieznane mieszkańcom równin. Wałą się skały, a grzmot huczy po wąwozach. Lęk wtedy ogarnia ludzi i zwierzęta. Na południu trafia się wicher pustynny zasypujący piaskiem namioty, że śladu z nich nie ma, a ciemność zalega świat mimo dnia. Przypominali głodne lwy podchodzące tuż pod obóz, usiłujące przesadzić ogrodzenie z cierni. Nie ma innej rady wtedy, jak wygnać im kilka sztuk bydła na pożarcie. Bydło wyjść nie chce, rzuca się z rogami na człowieka, wypchnięte usiłuje wrócić, rozwalając ogrodzenie... Strach, strach... Z takiego miejsca trzeba uchodzić co szybciej, choćby pasza była godna, bo lwy, raz znęcone nie dają spokoju...

- ...Gdzie pasza godna, lwy nie napastliwe, bo mają dosyć zwierzyny - poucza inny. - Chyba że trafi się demon przedzierzgnięty w lwa. Biada wtedy obozowi...

To znów przypominali wielkie jadowite pająki, olbrzymie skorpiony, węże... Gromady rozbójników pustynnych utworzone ze zbiegłych niewolników, przebiegłych i okrutnych... Trzeba być

wciąż w pogotowiu do obrony. Dobrze, iż Ab - Ram syn Tarego nakupił włóczni i mieczy.

- Studnia wyschnięta gorsza niż gromada zbójców - wtrąca drugi. - Bywa, że bogowie zagniewani wodę skryją, a co ich zgniewało, nie wiesz...

Wszystkich tych gadek młodszy słuchali z nieukrywanym przerażeniem. Nie mieściło im się w głowie, że można własnowolnie rzucać posiadany dobytek, rowy pełne zboża, liczne beczki wina, dobrą rzekę w wodę obfitą, by iść na pustynię, gdzie czyhają lwy, demony albo bandy rozbójników.

Najżywiej i najgłośniej pomstują niewiasty. Jazgoczą tak, iż dziw, że gwar nie sięga grodu. Przez cały dzień biegają jak szalone od sąsiadki do sąsiadki, pytając, radząc się, narzekając. Tamta ma całą kupę suszonego nawozu na opał i rozpacza, że go będzie musiała zostawić. Niepotrzebnie trudziła się zbieraniem! Ta znów przygotowała wełnę do przędzenia i namoczyła len w kadzi... Spieszą się wszystkie bardzo, lecz coraz to któraś przystanie z pękiem przyodziewku w garści i gada z drugą tak długo, aż cień leżący koło ich stóp pocznie się wydłużać.

Dzieci szturchane i wyganiane z namiotów, by nie przeszkadzały, napełniają powietrze piskiem i śmiechem. Kręcą się między poganiaczami opatrującymi kopyta osłów, zaglądając w każdy kąt. Ab - Ram, przechodząc мимо, gładzi w przelocie kręcące czupryny małych nagusów. Po niebie suną obłoki, ostatnie strażę mijającej pory dżdżystej, i po parę razy dziennie kropią zniecka nagłym, krótkotrwałym deszczem.

Przygnębienie dręczące ostatnio Ab - Rama minęło bez śladu. Wśród powszechnego zamieszania on jeden jest spokojny, ba, wesoły. Odmłodniały, niestrudzony, wszędzie obecny, dogląda sam każdej rzeczy, o wszystkim pamięta. Sur nie może nadążyć biegać z rozkazami pana. Ab - Ram śmieje się z lamentów niewieścich, a gdy zalana łzami Sarai błaga go o zabranie chlebowego pieca, zapytuje, czy nie chce również załadować bramy miejskiej ze względu na panujący w niej chłód.

- Zarówno o piecu, jak o zapasach suszonego nawozu niechaj niewiasty zapomną - powiada. - Odtąd będą warzyć strawę na prostym ognisku, jak warzyli ojcowie i dziadowie. Obejdzie się bez wyszukanych przysmaków, ciastek takich i owakich...

Sarai spogląda na Noę z bezsłowną rozpaczą.

- Nie płacz, gołąbko - szepcze stara, skoro Ab - Ram odszedł. - Ja pogadam z Elizerem...

Jedyną pociechę, acz słabą, stanowi dla Sarai myśl o wściekłości rudej Idith, żony Lota, tej strojnisi, posiadającej pełne skrzynie sukien, pachnideł, puzderek, ampułek, przemyślnych sprządek. Będzie musiała zostawić to wszystko. Dobrze jej tak.

Lecz, o bogowie, miedzianowłosa okazuje mniej zmartwienia niż pozostałe niewiasty. Przyznaje, iż żal jej wyjeżdżać, lecz skoro mąż tak postanowił na naradzie ze stryjem - żona winna poddać się męzowskiej woli. Choć Noa parska nieprzyzwoicie śmiechem, Sarai chcąc nie chcąc musi otrzeć oczy i opanować wzburzenie. Nie może wszak okazać się gorsza od rudej!

Spokój Idith pozostaje w związku z tajemniczym zajęciem męża jej, potulnego, lecz zmyślnego do wszelkich nowinek Lota. Ukryty za kępą zarośli pracuje on nad zbudowaniem - wozu. Wozu na kołach, takiego samego jak ten, którym jeździł melek melakim. Wprawdzie nie ze złota, tylko z drzewa, nie będą go ciągnęły dziwaczne demony, ale poczciwe byki, niemniej wóz. Na wozie pojedzie Idith wraz ze swymi rzeczami. Nawet bogowie nie podróżowali jeszcze nigdy równie wygodnie w tym kraju!

Ab - Ram wie o poczynaniach bratanka, lecz przeciwny jak zwykle nowościom nie ciekawi się nimi bliżej. Zastrzega tylko, by wóz nie pochłonął dużo drzewa. Drzewo kupione po rozbiórce pomostu nakrywającego schody miejskie w czasie pobytu króla będzie Ab - Ramowi potrzebne. Do czego? Powie w swym czasie. Wrodzona zmyślność syna Arana potrzebna będzie również.

Ze swej strony Ab - Ram zajęty jest przygotowywaniem kołyski dla ojca. Kołyska wymoszczona miętko skórami baraniami zostanie uwiązana między dwoma wielbłędami. Stary naczelnik będzie mógł w niej siedzieć czy leżeć, jak wola. Będzie mógł rozsunąć zasłony i wyglądać na świat lub zasunąć je chroniąc się przed słońcem i muchami. W kołysce umieszczone zostaną również kamienne terafim owinięte w miękkie sukno.

Obed z plemienia Gutów, niewolnik Tarego, patrzy złym okiem na te przygotowania. Jest więźniem. Ab - Ram kazał go spać w dyby powróciwszy z miasta. Nikt nie wie, dlaczego. Ab - Ram nie zwykł tłumaczyć się ze swych postanowień. Można się jedynie domyślać. Pierwszego dnia stara Noa sama zaniósła jedło uwięzionemu.

- Pokarał cię pan za ciasto, coś zeżarł! - krzyknęła tryumfująco.

- Jakie ciasto? - zapytał niewolnik szczerze zdziwiony.

- Nie udawaj, że nie wiesz, psi synu! Ciasto posłane tamtej wiosny dla Tarego syna Nachora, gdy chorował na zimnicę. Tyś je zjadł...

- Pamiętliwy jest wasz pan. Czegóż mnie wcześniej nie zamknął?

Na to pytanie Noa nie umiała odpowiedzieć i zadowolona w swym poczuciu sprawiedliwości odeszła. Obed leniwie zabrał się do jedzenia. Strawy było dużo. Ab - Ram nie pozwalał głodzić nikogo. Niewolnik żuł powoli kęs za kęsem, rozmyślając nad karą, która go nieoczekiwanie spotkała. Co ją wywołało? Zjedzone przed rokiem ciastka czy zamieszanie, od którego kipiał obóz? Sądził, że raczej to drugie.

Sep - Sin mówił do Ab - Rama zaskoczonego jego nadejściem:

- Błogosławione twoje dni, synu Tarego! Nie posądzaj o niedbalstwo strażników, których postawiłeś na drodze. Przeszedłem mimo, lecz oni nie zobaczyli mnie wcale, gdyż zamroczyłem im oczy na chwilę... Jeśli pomnę, dotychczas straży nie stawiałeś?

- Nie stawiałem straży istotnie.

- W namiotach ruch jakby przed odjazdem?

- Sługa twój przepędzi niebawem stada na inne pastwisko.
- Słyszałem w grodzie, że patesi ma was, Hebrajczyków, spisać i pobrać daninę od głowy?
- Wiem o tym. Tak rozporządził Hamurabi, syn Sin Muballita.
- Dotąd nie płaciliście daniny?
- Nigdy. Jesteśmy ludzie wolni.
- Cóż zatem zamierzasz uczynić, Ab - Ramie?

Ab - Ram zastanowił się nad odpowiedzią. Sep - Sin zasługiwali na zaufanie? Wrodzona ostrożność przemogła.

- Nie zdołam prowadzić wojny z Babilończykiem - odparł wymijająco.

- Mowa twoja jest słuszna. Posłuchaj! Przysłał mnie do ciebie Awen - El, nasz sanga mahhu. Jeżeli dasz mu swój płaszcz, ten oto - dotknął palcem tkaniny okrywającej Ab - Rama - uczyni wróżbę, po której patesi nie ośmieli się was tknąć...

Ab - Ram potrząsnął przecząco głową.

- Nie oddam płaszcza Nergal Sara.

- Szaleństwo mówi przez twoje usta, synu Tarego! Wolisz poddaństwo u Babilończyka?

- Kiedym był młody, Sep - Sinie, pouczano mnie, iż mężowi nie przystoi łamać zawartej przyjaźni, choćby mu groziła śmierć.

- To ostatnie twoje słowo?

- Jedyne, jakie twój sługa posiada.

Kapłan wzruszył ramionami i pożegnał się. Ab - Ram pozostał w miejscu, zamyślony. Odpowiedział odruchowo, a teraz ogarnęła go wątpliwość, zali miał prawo do tej odpowiedzi? Wszak nie o niego jednego chodziło. Postanowił zasięgnąć rady ojca i brata.

Tare syn Nachora zjechał z miasta przed paru dniami. Poprzednio Elizer z Surem przenieśli nieznacznie do obozu ulubione zbiory starego pana. Tare zamieszkał u Nachora. Choć Ab - Ram był naczelnikiem plemienia w zastępstwie ojca, Nachor posiadał prawo pierwszeństwa. Grubas byłby chętnie zrzekł się tego zaszczytu, gdyż gadatliwy staruszek domagał się od niego ciągłych odpowiedzi i uwagi.

W danej chwili Tare siedział na ziemi, na skórze baraniej, mając przed sobą stos tabliczek glinianych przydźwiganych z jego domu. Przez kilka dziesiątków lat uzbierało się ich wiele i Ab -

Ram doradził, by ze względu na ich ciężar zostawić przynajmniej połowę. Dokonanie wyboru stanowiło nie lada kłopot, gdyż nikt w obozie nie umiał czytać, Tare zaś nie zawsze pamiętał z wyglądu, co która tabliczka zawiera. Obawiał się słusznie, że zostawi najcenniejsze.

Zwalony na ławę Nachor sapał głośniejsz niż zazwyczaj, wtórując w ten sposób frasunkowi ojca.

- Tę tabliczkę pamiętam dobrze - mrucał Tare, odkładając na bok trzymany w ręku przedmiot. - Zawiera zaklęcie przeciw łamaniu w kościach. Bardzo skuteczne, pomocne zaklęcie... Zabiorę ją. Ta wyszczerbiona ma pomagać przeciw wrzodom... Niewiele warta. Przykładałem ją kiedyś do ucha, na którym miałem wrzód duży jak pięść, i nic nie pomogła, chociaż była jeszcze cała. Wrzód pękł dopiero, gdy przyszedł zamawiacz i obłożył go krowim gnojem... Nie warto jej wozić, zresztą jest pęknięta. Wezmę tę małą... Pomaga na utratę pamięci. Przypomnę sobie każdą rzecz, byłem tabliczkę wziął w ręce i przymknął oczy... lubię skuteczne zaklęcia. Te dwie, o, te dwie też były pomocne, i jak! Ale już mi niepożyteczne. Tobie też, Nachorze... Może przydadzą się komu młodemu.

- Na co pomagają, mój ocze?

- Zapewniają wzajemność w miłości - objaśnił z uśmiechem Tare. - Wypróbowałem ich siłę wiele razy... Dawno, dawno... Nadzwyczaj były skuteczne...

Ocierał ostrożnie pył z miłosnych zaklęć uśmiechając się do związanych z nimi wspomnień. Nagle zasępił się i westchnął.

- Melcha! - zawołał. - Daj to jakiej młódce... Uzyska wzajemność w miłości.

Siedząca u wejścia namiotu, zajęta szyciem żona Nachora drgnęła posłyszawszy swoje imię. Teść ani przypuszczał, co za myśli snuły się w tej chwili w głowie spokojnej, rozsądnej, zawiedzionej życiem synowej. Jak każda z niewiast, Melcha była zgnębiona zamierzonym wyjazdem. Przede wszystkim ze względu na męża. Nie dosiędzie wszak Nachor osła ani wielbłąda. W lektyce któż go uniesie? Tak czy inaczej, Nachor drogi nie wytrzyma. Umęczy się, strzęsie i umrze na pewno. Biedny Nachor... Dobry był... (dobry jest - poprawiła się zawstydzona). Brzuch ma nienasycony, ale głowę mądrą i serce sprawiedliwe. Gdy umrze, co pocnie ona, Melcha? Powinna wrócić do brata, lecz życie w zależności od Idith byłoby nieznośne. Nie będę sługą rudej! - pomyślała ze złością. - Nie będę! Cóż pocnę? Ab - Ram ma obowiązek pojąć mnie za żonę... Zawsze młodszy brat bierze owdowiałą i bezdzietną bratową... Ab - Ram to dzielny mężczyzna. Z Sarai nie sprzeczałam się nigdy... Stara Noa mnie lubi. Mogłabym znowu mieć dzieci... Gdyby tu nie było teścia, poradziłabym się Nachora... A może lepiej Nachorowi nic jeszcze nie mówić? A nuż się pogniewa? Co prawda, nie powinien się gniewać... Przecież to ani jego wina, ani moja.

Cień padł na nią. Spoglądający z wysoka Ab - Ram zapytywał o ojca. Zmieszana jego niespodziewanym nadejściem, Melcha bąknęła coś niezrozumiale i uciekła tuląc tabliczkę do piersi.

Ab - Ram wchodząc do namiotu pokłonił się przed terafim, jak nakazywał obyczaj, padł do nóg ojcu, pozdrowił brata i usiadł na ławie. Gładził siwiejącą brodę nie wiedząc, od czego zacząć. Bał się, że Tare syn Nachora każe mu oddać kapłanom płaszcz Nergal Sara, by za tę cenę nie opuszczać Ur. Co począć wówczas? Biada temu, co zasmuca ojca swego, lecz biada również takim, którzy

łamią przyjaźń. Otwarty grób - gardło zdradliwego męża.

Nachor syn Tarego skorzystał z milczenia, by zabrać głos. Wbrew zwyczajowi nie uciekał się do przysłów. Prostymi słowami potwierdził to, co skrycie myślała Melcha, mianowicie, że zamierzonej drogi nie przeżyje. Wyzionie ducha przed pierwszym postojem. Nie żali się, gdyż lepsza śmierć niż poddaństwo. Skoro bogowie chcą jego śmierci - pojedzie. Nie ukrywał, iż żałuje życia. Nikomu niespieszno umierać. - Bracie Ab - Ramie, bogowie dali ci niepośledni rozum. Ojciec nasz, Tare syn nachora, uczynił cię wodzem plemienia. Zali nie znasz innego sposobu uniknięcia niewoli niż wyjazd? Może patesi zadowoliliby swą pożądlivość okupem? Dużym okupem? Oddam wszystko, co posiadam, byle tu pozostać.

Patrzył błagalnie w twarz brata, który spuścił wzrok.

- Raczcie posłuchać słów moich, ojczy, i ty, bracie - zaczął powoli, z namysłem. - Nie mówiłem o okupie i mówić z patesim nie będę, gdyż postanowiliśmy udawać, że chętnie idziemy w poddaństwo, jak barany pędzone do rzeźni. Dzięki tej chytrności zyskaliśmy czas potrzebny do wyjazdu. Mniemam, iż wszelka mowa tycząca okupu byłaby próżna, a jej skutek krótkotrwały, gdyż Babilończyk chce mieć zwierzchność nad wszystkim i nie zaspokoimy go częścią. Ty, bracie Nachorze, nie umrzesz. Nie lękaj się zbytnio drogi (tu głos Ab - Rama zabrzmiał prawdziwą czułością). Przygotuję dla ciebie kołyskę równie wygodną jak ta, w której pojedzie nasz ojciec, Tare syn Nachora. W podróży powietrze jest rzeźwe, a wiatr chłodzi...

- Dobra nowina - świeża woda. Wszakże nie chciałbym być wielbłądem dźwigającym tę kołyskę - próbował zażartować tłuszczoch.

- Przyszedłem tu - ciągnął Ab - Ram - z inną sprawą, którą pragnę przedłożyć pod wasz sąd, ojczy i bracie. Dwóch mężów zawarło związek przyjaźni i wymieniło odzienie na znak, że są jedną osobą. Wprędce potem starszy, godniejszy z tych dwu mężów, umarł. Umierający odziany był w szatę przyjaciela. Co byście rzekli o pozostałym przy życiu, gdyby przymuszony oddał obcym odzienie zmarłego druha?

- Rzekłbym, iż jest synem suki i szakala! - wykrzyknął popędliwie Tare.

- Połóż sobie raczej żarzące węgle na głowie, niżbyś uchybił zmarłemu - stwierdził Nachor.

- Rada jest dusza moja usłyszeć tę odpowiedź. Gdyż tylko postąpiwszy tak niecnie, można by uniknąć wyjazdu.

Nachor zaniepokoił się i zaczął sapać.

- Palma palmie nierówna... Powiedz, bracie, o kogo chodzi?

- Nie imiona są ważne, lecz rzecz sama. Prawo jest jedno. Zapytałem. Odrzekliście. Po wtóre proszę: nie lękaj się, bracie Nachorze. Pojedziesz w kołysce wygodnie...

- Ciekawym, jakie kołyski ustroi wam Babilończyk - sarknął gniewnie Tare. - O wszystkim słyszę mowy, tylko nie o tym, co grozi. Jeżeli patesi nas dogna, umrze nie tylko Nachor, lecz my

wszyscy. Babilończyk skruszy nas jak proch przed wiatrem. Nie zostanie ślad z plemina.

- Bądź spokojny, ojcze, i racz zaufać swemu słudze synowi. Babilończyk nas nie dogna...

- Bądź spokojny, bądź spokojny - przedrzeźniał stary. - Wcale nie jestem spokojny. Więcej niż miesiąc trzeba wędrować, by wyjść z granic Hamurabiego...

- Skoro woda opadnie, przepawimy się na tamten brzeg. Bydło przepłynie samo, ludzie, wielbłądy, osły i rzeczy na tratwach. Dla tego celu zakupiłem drzewo. Woda nas nie zniesie, bo przeciągniemy linę poprzez rzekę. Od rzeki ruszymy na wschód wzdłuż kanału, który zwa Obfitość Ludu. Dopiero wtedy skręcimy na północ.

- A potem co? A potem co? Babilończyk rządzi i po tamtej stronie rzeki. Wszystko zagarnął. Jego jest Elam i jego jest Suza... Na srebrną łódź Nannar - Sina! Nie ujdziemy, chyba że twój Bóg osłoni nas obłokiem lub stanie słupem ognistym...

- Jeżeli zechce, uczyni tak, ojcze.

Noa tylko pierwszego dnia trudziła się sama do siedzącego w dybach niewolnika. Nasyciwszy starą urazę zobojętniała i posyłała z jedzeniem niewolnice. Biegały chętnie, gdyż Obed mimo okrągłej głowy, odstających uszu i krótkiego nosa był dorodnym, silnym chłopcem. Nogi miał uwięzione w kłodzie, lecz ramiona wolne. Obejmował nimi gorąco, gdyż nudził się setnie. Wprawdzie Hagar, gdy ją przychwycił, trzasnęła go w łeb garnkiem pełnym polewki - lecz wszyscy mężczyźni w obozie wiedzieli, że Egipcjanka jest zła jak zmija i nie da nikomu do siebie dostąpić. Pozostałe dziewczyny okazywały się łaskawsze. Przysiadaly obok więźnia, by opowiedzieć, co słycać w obozie. Od Selli, niewolnicy Idith, która przybiegła z Keturą, Obed dowiedział się o zmartwieniu trapiącym Lota. Ten zmyślny mąż zbudował wóz, wóz na kołach, piękny, mocny, doskonały. Już go próbowano w obozie. - Moja pani siedziała na nim jak królowa - opowiadała z zachwytem Sella. - Byki szły lekko, koła się kręciły, a skrzypiały jakby ptactwo ćwierkało. Wszyscy zbiegli się oglądać i chwalić. Syn Arana prowadził byki i skakał z radości. Nikt się nie dziwił, że skacze, bo taką sztuczną rzecz zbudować kto by drugi potrafił? Sam Ab - Ram syn Tarego przyszedł i pochwalił. I powiedział: Zbuduj drugi wóz dla twego stryja, Nachora. Syn Arana skakał jeszcze wyżej, bo Ab - Ram go nigdy nie chwalił. Aż tu moja pani powiada: Czuję swąd. Coś się pali... Wszyscy w śmiech. Skąd ogień? A moja pani, która jest grymaśna, powiada: Stańcie, ja schodzę. Coś się pali... Coś się pali. I prawdę mówiła. Z kół idzie dym, a ten drąg, co koła trzyma, tak się zwęglił, że aż czarny. Dopieroż zmartwienie! Widno demony nie chcą, żeby jeździć wozem. To tylko królowi przystoi.

Obed słuchał długiego opowiadania Selli z taką uwagą, że zapomniał o jedzeniu.

- Powiedz synowi Arana - rzekł - iż wiem, co należy zrobić, żeby demon nie palił osi. Widziałem nieraz, gdy melakim był w grodzie.

Dziewczyna złożyła rękę.

- Wiesz? Powiedz prędko! Powtórzę.

- Tobie nie powiem. Powiem synowi Arana.

Sella pomknęła jak strzała. Nie minęło wiele czasu, a Lot nadszedł niespokojny, czy aby niewolnik nie kłamie. Obed zapewnił go ponownie, że wie, co należy czynić, by oś się nie grzała. Zrobić to może tylko sam.

- Zwolnij mnie, panie, z pęt, proszę. Uratuję twój piękny wóz, po czym skujesz mnie z powrotem, skoro wołają Ab - Rama syna Tarego jest, bym pozostawał skuty.

- Nie mogę tego zrobić bez wiedzy Ab - Rama! - zawołał Lot żałośnie.

- W takim razie demony strawią ogniem twoją pracę.

Lot zachnął się i pobiegł szukać stryja. Nie zastał go w namiocie, a Sarai nie umiała objaśnić, dokąd poszedł. Lot postanowił udać się do dziadka, którego zezwolenie wystarczyłoby zupełnie, w duchu zaś pomyślał, że łatwiej uzyska zgodę ciekawego staruszka niż stryja. Lecz i tu spotkał go zawód. Przed zamkniętym namiotem zastał tylko Melchę, zamyśloną i beczynną.

- Kogo szukasz? - zapytała brata. - Mój mąż, Nachor syn Tarego, śpi. Nikogo więcej tu nie ma.

- Szukam mego i twego dziadka, Tarego syna Nachora. Gdzie jest? Co to trzymasz w ręce swojej, Melcho?

- To tabliczka... Tare syn Nachora powiedział, że niepotrzebna i kazał dać komukolwiek. Wzięłam ją do ręki tak sobie... Nie wiem, po co wzięłam... Podobno pomaga na wrzody... - bąkała Melcha sploniona.

- Dobrze, dobrze - przerwał zniecierpliwiony. - Nie wiesz, dokąd się udał Tare syn Nachora?

- Nie wiem. Poszedł z Ab - Ramem.

Zły i zgrzany Lot próbował znaleźć przynajmniej Elizera. Może zaufany sługa i wiernik zgodziłby się przyjąć odpowiedzialność za chwilowe uwolnienie z pęt niewolnika. Elizera jednak nie było również w obozie. Snadź towarzyszył Ab - Ramowi i staremu panu.

Znękany Lot powrócił do Obeda, który uśmiechał się drwiąco.

- Jeżeli miesiąc wjejdzie, nim dotknę się wozu, aby uczynić zaklęcie - oświadczył - demony spalą go przez noc.

- Co począć? Co począć? - biadał Lot. - Może tu przyciągnę wóz?

- Spłonie, jeżeli go dotkniesz. Posłuchaj mnie, synu Arana: wezwij dwóch ludzi, czterech ludzi, wybierz najsilniejszych. Niech mi zdejmą pęta i powiodą do twego wozu. Niech trzymają twego sługę za gardło. Potem odprowadzą mnie z powrotem... Czego się lękasz? Uratuję twój wóz... Wiesz, za jakie przewinienie Ab - Ram syn Tarego pokarał mnie tak srogo? Iżem rok temu ujadł nieco ciasta posłanego panu memu. Czego się lękasz? Zakujesz mnie w dyby z powrotem...

- Nie śmiem, nie śmiem... - wzdychał Lot. W duchu myślał, że Ab - Ram istotnie zbyt surowo pokarał niewolnika swego ojca.

- Nie śmiesz? Boisz się? Zaprawdę, nadto nieśmiały jesteś, synu Arana... Cóż ja jestem, bym mógł zaszkodzić? Robak nędzny, niewolnik bez znaczenia. Zwolnij mnie tylko na chwilę, a wóz twój potoczy się gładko jak wóz Babilończyka...

Tare syn Nachora, Ab - Ram syn Tarego i Elizer Damasceńczyk jechali na osłach w dół rzeki, by upatrzeć miejsce sposobne do zamierzonej przeprawy. Zadanie niełatwe, gdyż brzegi były rozmyte i grząskie. Porastał je las trzciny wysokich na dwakroć chłopca, zwartych jak puszcza, zasłaniających rzekę. To ostanie stanowiło okoliczność pomyślną. Tare znudzony siedzeniem w namiocie gadał bez przerwy zwracając się głównie do Elizera. Stary sługa był wdzięcznym słuchaczem. Patrzył w oczy mówiącego, cmokał wargami z uznaniem. Ab - Ram wyprzedzał obu, zamyślony. Miał o czym myśleć. Co innego bowiem powiedzieć ojcu i bratu: przeprowimy się przez rzekę, a co innego ten zamiar wykonać. Patrząc teraz na żółte, wezbrane wody oceniał trudność przedsięwzięcia. Nurt zazwyczaj leniwy płynął bystro, jak gdyby rzeka przyśpieszała biegu chcąc dorównać bliźniaczemu bratu, którego imię Tigra znaczy: strzała.

Jechali długo, na koniec znaleźli suchy brzeg porośnięty starymi drzewami. Dojście do wody było twarde i nie nadto strome.

- Stąd wyruszymy - rzekł Ab - Ram.

Zeszli z osłów i stanawszy obok siebie patrzyli na bełkoczące fale. Elizer ułamał gałąź, rzucił w wodę. Gałąź zawirowała i spłynęła szybko, coraz szybciej. Milczeli.

- Jesteś pewien swego boga? - zwrócił się Tare do syna.

- Tak, ojczu.

- Znasz go zaledwie od roku i takie ma dla ciebie znaczenie?

- Wydaje mi się, że wiedziałem o Nim, odkąd wyszedłem z żywota matki, a szukałem Go, ilekroć spojrzałem w górę...

- Szukałże on ciebie również?

- O tak. Pierwszy mnie zawołał.

- Jeżeli pomoże nam przeprowić się szczęśliwie, i ja będę go wysławiał...

- Czy linę mamy gotową? - Zapytał Ab - Ram Elizera.

- Gotowa, panie mój. Gruba jak ramię wyrostka, a długa, że mógłbyś opasać nią obóz... Wszystko włókno palmowe poszło na tę linę...

- Jutro przeprowię się z tobą czólnem przez rzekę. Obaczmy, czy uda się ją uwiązać.

Elizer wyteżył wzrok.

- Oczy moje dostrzegają drzewa po tamtej stronie...

- Wracajmy już - wstrząsnął się Tare. - Jest chłodno.

Dosiedli osłów i jechali znów wzdłuż brzegów porośniętych lasem trzciny. Rzeka widziana pod prąd zdawała się jeszcze groźniejsza. Osły szły obok siebie, jadący trącali się kolanami. Ab - Ram patrzył na różowiejące niebo i myślał: Jesteś tam i słyszysz mnie. Bez Ciebie zginę i zginą wszyscy, którzy mi powierzyli swoje losy. Stanę się zabójcą ojca mego i mojego plemienia. O, nie daj, by tak się stało! Cóż jestem bez Ciebie? Słaby i ślepy jak szczenię. Ale Ty mi dopomożesz. Wyciągam do Ciebie rękę, a Ty ją uchwycisz...

Minawszy zakręt, jaki w tym miejscu zataczała rzeka, ujrzeli przed sobą gród Ur obłany światłem zachodu. Spod ciemnych obłoków zasuwających się nisko słońce rzucało jaskrawe światło, od którego wieża, świątynia i zamek królewski zdawały się gorzeć. Na stokach sztucznego wzgórza domy piętrzyły się, przypominając rozchylone łuski szyszki jodłowej.

Patrzyli na znajomy obraz z różnymi uczuciami. Tare z głębokim żalem. Przebył tutaj dobre lata, piękne lata. Zżył się z tym grodem, wyczerpał w nim wiele uciech dostępnych człowiekowi. Przeklęty Babilończyk! Bodaj się był nigdy nie narodził! Elizer patrzył na gród z zadawnioną tęsnotą za stokroć piękniejszym rodzinnym swoim Damazkiem, którego nigdy w życiu nie zobaczy. Ab - Ram z niechęcią i żywym pragnieniem odejścia stąd jak najszybciej. Towarzyszący mu od paru miesięcy głos: Idź z tego kraju, idź z tej ziemi... - rozbrzmiewał w uszach w tej chwili ze szczególną mocą.

Popędzali osły, by dojechać do obozu, zanim się zupełnie ściemni. Od rzeki bił wilgotny opar, przeto Ab - Ram otulił ojca swym płaszczem. Trójkąty namiotów czerniały już przed nimi, gdy naprzeciw jadących wybiegł Lot syn Arana. Bełkocząc niezrozumiale przypadł do stryja, ukląkł, tłuł głową w osłe kopyta, skomlał, zawodził, czepiał się nóg zsiadającego. - Stryju Ab - Ramie! Stryju Ab - Ramie! - jęczał. - Zabij mnie! Niewolnik Obed uciekł...

Nie rzekli nic, choć pojęli, co oznacza to zdarzenie. Mężom nie przystoi biadać, jak to czynią niewiasty, więc bez słowa poszli do Nachorowego namiotu. Tam dopiero Tare wybuchnął folgując gniewowi.

- Bogowie! O, bogowie! Czemu sam wpierw tego ścierwa nie zadusił?! Gada! Donosiciela! Szpiega! Czemu go nie sprzedał młynarzowi, żeby z obrozą na szyi całe życie żarna obracał?... Ten twój bóg - zwrócił się ze złością do Ab - Rama - ładnie sobie z nami postąpił! Ty mu wierzysz, a on nas wydał kapłanom. Nie potrafił zatrzymać jednego niewolnika! Lada demon by to zrobił! Na co nam potrzebny taki bóg?!

- Zabij mnie, stryju! - powtarzał płaczliwie Lot.

- Milcz już - rzekł Ab - Ram surowo. - Łzami zbiega nie zawrócisz. Musimy naradzić się, co teraz czynić.

- Nad czym twoja głowa chce radzić? - skrzeczał Tare. - Jedno, co można zrobić, to złożyć sutą ofiarę bogom i demonom. Byle prędko! Gdy Obed zobaczy się z kapłanami, będzie już za późno.

- Ofiara rozwesela serca bogów i koi demony - stwierdził Nachor. - Prócz byków i jałowic warto ofiarować parę dzieci. Może bogowie zmiłują się i Obed skręci kark, zanim wejdzie do grodu...

- Jeżeli trzeba, oddam mego syna - rzekł głucho Elizer.

- Potrzeba jeszcze drugiego. Skąd wziąć? Żona Jahiela powiła niedawno chłopca...

- Spieszmy się, by jeszcze zdążyć!

- Zdążymy. Ten pies dopiero rano wejdzie do świątyni...

Gadali wszyscy trzej zapominając o Ab - Ramie. Siedział z głową ukrytą w dłoniach. Wewnątrz swej duszy nie błagał, nie prosił, lecz krzyczał. Krzyczał do Pana: Wyciągnąłem rękę, macam w mroku, a Ty udajesz, że jej nie dostrzegasz... Nie cofam dłoni, szukam, szukam... Wierzę... Czekam. Próbujesz mnie, czy nie zwątpię, a ja wierzę...

Odetchnął głęboko. Powstał.

- Nie złożymy żadnych ofiar, nie przelejemy krwi niczyjej - rzekł stanowczo. - Mój Bóg nas wywiedzie.

Umilkli uderzeni pewnością brzmiącą w jego głosie. Tare chciał się opierać. Wzruszył ramionami.

- Wierzyłem ci, a twój bóg dał uciec niewolnikowi...

- Dopuszczał to, by okazać swoją moc. Raczej wierzyć mi nadal, ojczu. Nie spadnie włos z twojej głowy. I z was nikt nie zginie. Opuścimy to miejsce pojutrze, przed świtem. Pozostawimy w obozie połowę stada i połowę namiotów. Elizerze, stary przyjacielu, pozostaniesz tutaj pewien czas. Będziesz ognie palił przed namiotami i trąbił na rogu, by z wieży sądzono, że nadal jesteśmy.

- Uczynię wszystko, co pan mój rozkaże...

- Połowę stada zostawisz, Ab - Ramie!? Zubożysz całe plemię!

- To okup, o którym mówił Nachor. Okup za wolność. Czym mniej weźmiemy, tym pewniej ujdziemy... Nie bójcie się!

- Nie lękaj się, Ab - Ramie, to ja... Znowu ja, Sep - Sin... Nie wierzysz mi, że przychodzę jak przyjaciel? Pamiętasz wciąż złote monety, którym kiedyś od ciebie wyłudziłem? Przysięgam na pamięć Nergal Sara, na cześć Pana Najwyższego, którego on ci dał poznać, że nie doznasz ode mnie zdrady... Obed, niewolnik Tarego, nasz szpieg, był u Awen - Ela...

- Wiem o ucieczce Obeda. Domyślałem się, gdzie pójdzie...

- Obed powiedział, że gotujecie się do ucieczki. Awen - El postawił straż na wieży, która patrzy na wasz obóz. Będzie patrzeć dniem i nocą. Gdy poczniecie wychodzić, Awen uczyni tak, iż osły, bydło i wielbłądy staną jak wkopane w ziemię, on zaś przyjdzie i zdejmie z ramion twoich płaszcz, którego pożąda... On może to uczynić, Ab - Ramie. Twoje stada staną lub wy, ludzie, poczniecie kręcić się w miejscu zapomniawszy, która prawa, która lewa strona...

- Patesi powiadomiony jest również?

- Nikt nie wie, prócz Awen - Ela. Dopiero gdy was zatrzyma i płaszcz odbierze, pośle, by patesi przyszedł i zobaczył, co kapłanowi zawdzięcza. Awen - El spodziewa się uzyskać tym łaskę Babilończyka. Ab - Ramie! Po raz ostatni proszę cię rozsądnie: Oddaj płaszcz!

- Rzekłem już, że go nie oddam. Nie boję się czarów Awen - Ela, gdyż Pan mnie przed nimi obroni. Natomiast proszę pokornie, przyjacielu mój, Sep - Sinie, nie wracaj do grodu! Pójdź z nami!

- Z wami? W step?

- We dwóch opowiadać będziemy ludziom o Bogu Najwyższym. We dwóch uczynimy bardzo wiele. Ty masz wiedzę i mądrość, gdy ja, prostak, nie posiadam nic prócz chęci służenia Panu...

- Owa chęć jest najważniejsza, synu Tarego. Ważniejsza niż wiedza i mądrość.

- Wszak każdy może ją mieć! - zawołał Ab - Ram ze zdziwieniem.

- Nie wiem, czy każdy śmiertelny zrodzony z niewiasty może ją mieć... Ja nie mam. Nie pójdę z tobą, Ab - Ramie, gdyż tu mi dobrze. Lubię swoje życie. Mogę odczytywać tablice z mądrością całego świata, mogę rozkazywać innym... Mam piękne niewolnice, wygodny... Wy, ludzie z namiotów, nie wiecie, w jakich wymyślnych my żyjemy wygodach. Rzucić je trudno. Mam jeszcze drugi powód, dla którego nie odejdę: nie pamiętam imienia ojca. Oddano mnie do świątyni dzieckiem. Nam, kapłanom, bogowie muszą wystarczyć za ród. Mnie dano na ojca boga Sin. Jakoż będę się obracał wśród ludzi, ani kapłan, ani rodowiec... Ciebie by to nie wstrzymało, Ab - Ramie?

- Nie!

- Rzuciłbyś wszystko?

- Wszystko, co mam, i jeszcze więcej!

- A ja bym wszystkiego nie oddał... Na srebrną łódź mego ojca, Nannar - Sina, oto różnica między nami... Wielka różnica... Błogosławione twoje dni, Ab - Ramie! Błogosławieństwo twej głowie!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

STUDNIA MILCZENIA

Ab - Ram rozpręzał ramiona, jak gdyby nie mogąc pomieścić się w sobie samym. Nigdy jeszcze w życiu nie czuł się równie szczęśliwy. Oto przestrzeń wolna, szeroka, daleka. Przodem karawany drepcze osioł przewodnik, bardzo stary i bardzo mądry. Za osłem wielbłądy uwiązane sznurem kołyszą się jeden za drugim miarowo. Znów osły, znów wielbłądy, ludzie. To niby kręgosłup karawany. Po obu jego bokach jak żebra sunęły gromady bydła strzeżone przez psy i pastuchów. Byki, za nimi krowy z cielętami, potem kozy, na końcu owce. Dreptały wygryzając starannie wszystko, co poprzedzające trzody zostawiły. Choć drugie tyle pozostało w Ur, stado przedstawiało się jeszcze pokaźnie. Postojami kierowała woda, dla zrozumiałych powodów bowiem Ab - Ram odbił się dość daleko od rzeki. Liczne "wadi" wysychające latem zachowywały o tej porze wilgoć. Wystarczało w pozornie suchym łożysku wygrzebać studzienkę, by po pewnym czasie napełniła się wodą ciekącą zaskórnie z ziemi. Wieczorami, stanąwszy na nocleg, pasterze kopali szereg dołków, w których rano poili bydło. Po prawej ręce mieli rozległą równinę ciągnącą się aż do Tygru, po lewej ciemniejący w oddali pas trzciny znamionował koryto Eufratu. Przebyli tę rzekę przed tygodniem pamiętnego dnia odjazdu. Zdawało się wtedy, iż poginą wszyscy, gdyż lina, której czepiali się ludzie prowadzący tratwę, pękła pod naporem fali wzburzonej mnóstwem bydła wpędzonego do rzeki. Prąd począł znosić tratwę, stada, coraz szybciej, szybciej, jak gałąź rzuconą niegdyś przez Elizera na wodę. Wszyscy potracili głowy ze strachu, jeden Ab - Ram stojąc na tratwie i borykając się z prądem krzyczał: Nie bójcie się! Dłoń Pańska nad nami! I stało się, że na zakręcie woda przyparła tratwę tuż do brzegu. Zdołali uchwycić za krzaki rosnące nad wodą, zatrzymać, a potem przymocować tratwę. Zerwana lina sunęła za nimi. Mogli ją teraz podjąć i wstrzymać znoszone prądem stado. Gdy półżywi z trwogi i zmęczenia jęli się rachować na brzegu, stwierdzono ze zdumieniem, że nikogo nie brakuje. Nie brakło również bydła. Wszystko przepłynęło szczęśliwie. Jedno jagnię utonęło z tych, które wieziono na tratwie. Ujrawszy to krzyknęli wszyscy: - Wielki jest Bóg Ab - Rama! - Przenocowali na tym miejscu, a rano pojadłszy, ustawili się do pochodu jak teraz.

Rozpamiętując owo zdarzenie Ab - Ram uświadamiał sobie, jak mało nie dostawało wówczas, by był zwątpił. Kiedy lina pękła, stało mu się, jak gdyby w jego piersi zerwały się włókna. Gotów był urągać Bogu, że się na Nim zawiódł.

Od tego czasu minęło sześć dni. Ciągnęli bez pośpiechu pozwalając bydłu paść się idąc. Jak dotąd, nic nie zwiastowało pościgu. Na polach orano. Inspektorzy królewscy oddawali rolę pod zasiew. Skowronki polatywały nad karawaną świergocząc. Ab - Ram szedł głębiej na wschód, by oddalić się od pól uprawnych i ludzi. Czasem na stepie napotykali stare zagrody zbudowane z wielkich głazów, mogące pomieścić liczne stada bydła, dobre do noclegu. Wpędzano trzody w ten rodzaj podwórca obwarowanego z trzech stron. Czwartą stronę otwartą zastawiano zasiekami z cierni. Wartownicy czuwali zmieniając się o północy. Pokrzykiwali przeciągle jeden do drugiego, by dodać sobie wzajemnie ducha i zarazem świadczyć o swej czujności. Kamienne zagrody pasterskie dowodziły, że karawana znajduje się na prastarym szlaku plemion wędrownych, i Ab - Ram z szacunkiem myślał o dawno zmarłych pokoleniach, co pracowicie ciągnęły te głazy z dalekich gór, by zabezpieczyć schronienie dla pokoleń mających po nich przyjść. Może jego własni pradziadowie wędrowali tędy i prawnuki korzystały obecnie z ich pracy?

Ab - Ram przerwał rozmyślenia, nadstawił bacznie uszu, doleciało go bowiem wołanie. Coś zaszło widocznie w szeregach i wzywano naczelnika. Chyba nic złego, gdyż w razie napaści Lot idący w odwodzie z kilkunastoma ludźmi miał dać umówiony sygnał na rogu.

Zmieniwszy wielbłąda na osła, poręczniejszego i obrotniejszego w użyciu, Ab - Ram puścił się truchtem wzdłuż pochodu. Ludzie na jego widok pokrzykiwali wesoło: - Bądź pozdrowiony, Ab - Ramie synu Tarego! - Czuli się zadowoleni nie wiedząc nic o grożącym im niebezpieczeństwie. Powód wyjazdu pozostawał nadal tajemnicą. Ab - Ram obawiał się słusznie, że strach przed imieniem Hamurabiego spęta siły plemienników i odbierze im odwagę w razie boju.

- Kto mnie wołał? - zapytywał mijanych. Odpowiadano mu, że wołanie podano z tyłu.

Sarai, Noa, Ketur, Hagar jechały obok siebie. Sarai opaliła się od wiatru i ciemna jej cera uczyniła się jeszcze smaglejsza. Na widok męża zeskoczyła z osła i podbiegłszy ku niemu podniosła nań swoje wielkie oczy. Chcąc nie chcąc musiał przystanąć.

- Kiedy zatrzymamy się dłużej, panie mój? - pytała. - Masła nie możemy zrobić ani śmietany zebrać...

- Krowy zapuszczają się zupełnie od takiego dojenia - dorzuciła Noa. - Nim kobiety połowę wydoją, już pastuchy pędzą dalej...

- Niebawem zatrzymamy się na dłużej. Kto mnie wołał i po co?

- Tare syn Nachora chciał cię widzieć.

- Czemu więc zatrzymujesz mnie, niewiasto! - krzyknął Ab - Ram rozgniewany i popędził osła. Sarai wyduła wargi niezadowolona. Hagar powiodła za odjeżdżającym swym ptasim, egipskim spojrzeniem. Noa mruczała: - Oczekiwać od mężczyzny statku, to samo co tkać pajęczynę. Zatrzymamy się dłużej, kiedy krowy mleko stracą...

Tare jechał w swej kołysce przy końcu pochodu, gdyż Ab - Ramowi zdawało się to miejsce najbezpieczniejszym. W razie uderzenia od czoła Lot zdąży uprowadzić dziada daleko od pola walki. Mijał więc znowu szeregi objuczonych zwierząt dźwigających worki z wodą, worki z mąką, poskładane namioty, toboły z odzieżą, zwoje skór. W szeregu podążał skrzypiąc i trzęsąc sławny wóz Lota, przyczyna tylu kłopotów. Demony już go nie paliły. Obed przed ucieczką pokazał, że należy osie smarować grubo tłuszczem baranim. Po przebyciu rzeki Ab - Ram nie zważając na gniew i płacz Idith przeznaczył go dla Nachora. Nachor jednak po dwu dniach wołał powrócić do przygotowanej uprzednio kołyski. Wóz trząsał niemiłosiernie. Dobrze było na nim stać, nie siedzieć. Obrażona Idith nie chciała już zejść z wielbłąda, na którym górowała nad otoczeniem, i ostatecznie na wozie jechały jej córeczki oraz skrzynie z sukniami. Otwarte z tyłu pudło wozu zagrodzono żerdziami i małe jechały jak w klatce. Czwały się tam znakomicie. Były śliczne, szczególnie młodzsa, Lilith. Odziedziczona po matce bujna czupryna lśniła w słońcu jak płynna miedź pomieszana ze złotem. Lot kochał swe dzieci, bawił się z nimi i pieścił je, jakby to byli synowie, nie córki.

Inne dzieci jechały mniej wygodnie, w worku zarzuconym na plecy matki lub w koszach

związanych sznurem i przewieszonych przez grzbiet osła. Z koszy wyglądały tylko ciekawe główki malców. Starsze nieco siedziały okrakiem przed matką lub za nią na zadzie oślim. Wyrastki prześcigały się biegnąc wzdłuż pochodu, rzucając grudami ziemi za ptactwem i przetrząsając krzaki w poszukiwaniu jaj.

Nachor spał wyciągnięty w swym zawieszeniu. Mijając brata, Ab - Ram zatrwożył się widokiem jego twarzy napuchłej i udręczonej. Biedny Nachor miał słuszne przeczucia. Nie pozostanie długo pośród żywych. Melcha jadąca obok na osle trzymała w ręku tabliczkę glinianą. Pewnie zaklęcie mające wrócić Nachorowi zdrowie - pomyślał Ab - Ram ze współczuciem.

W przeciwieństwie do Nachora Tare nie tracił sił. Podróż bawiła go jak każda nowość. W danej chwili jednak miotał nim gniew.

- Niby ocet zębom, a dym oczom, tak leniwy temu, który na niego czeka! - krzyknął ze złością do syna. - Demon Namtar mógłby mnie porwać, zanieść na krańce ziemi, przynieść z powrotem, a ty byś nic o tym nie wiedział!

- Racz wybaczyć swemu słudze opóźnienie, ojcze. Zawróciłem natychmiast posłyszawszy wołanie.

- Zdrzemnąłem się i miałem zły sen. Zaraz przypomnę sobie, jaki... Na pewno zły. Obudziłem się i widziałem ptaki lecące. Było ich trzynaście. To też niedobrze. Wczoraj ujrzałem nów lewym okiem... Obawiam się czegoś złego... A ten wielbłąd z tyłu pluje... Napluł mi na głowę!

- Każę zaraz temu skrócić sznur, a tamtemu podłużyć...

- Przypomniałem sobie sen. Posłuchaj: Śniło mi się, że w przeprawie utonęły wszystkie tabliczki z zaklęciami i terafim...

- Terafim masz pod wezłowiem, a tabliczki dźwiga osioł trzeci przed nami.

- Przecież mówię, że to był sen... Dlaczego trzeci osioł niesie tabliczki, a nie pierwszy przede mną? Chcę mieć tabliczki tuż blisko! Jak myślisz? Co znaczy taki sen?

Ab - Ram popadł w zadumę. Nie nad znaczeniem sennego zwidu, który nawiedził Tarego, lecz nad sobą samym. Rok temu byłby się przejął zdarzeniem na równi ze starym ojcem. Obecnie słuchał opowiadania pobłażliwie, niby skargi dziecka.

- Nieprawdaż, to bardzo zły sen? - dopytywał Tare zaniepokojony milczeniem syna.

- Bynajmniej, mój ojcze. Nie może ten sen zwiastować nic złego, gdyż opieka Pana Najwyższego jest nad nami.

- Poważam twego boga, ale demony są bliżej niż on. Demony siedzą na szyi człowieka i łaskoczą gardło jego, a bóg spoczywa wysoko na niebie. Rozglądałeś się z tamtej góry? Nie widziałeś nic? Nie ścigają nas?

- Rozglądałem się, mój ojciec, i nic nie widziałem, tylko step zieleniejący i góry w oddali...

Tare zafrasował się, jak gdyby brak nieprzyjaciela stanowił okoliczność niepomysłną.

- Co to znaczy? - rozważał. - Zapewne napadną z zasadzki... Spodziewam się zasadzki, Ab - Ramie. Wiele drogi zrobiliśmy?

- Wzgórza na lewo to Uruk. Poznają skały, w których są groby królewskie.

- Biada! Biada! Dopiero Uruk! Żółw szybciej kroczy niż my... Z Ur do Uruk dwa dni drogi, a jedziemy tydzień!

- Wyszliśmy z miasta na południe, rzeka zniosła nas znacznie, potem okrążyliśmy zakręt. To nas opóźniło. Niebawem napotkamy kanał, wzdłuż którego pójdziemy aż do jeziora Hor Damaj...

- Woda ozdobą życia, ale pościg dogoni nas lada chwila. O bogowie, ześlijcie pieczęć bezpieczną, skryjcie nas na dnie morza... Co to za krzyk?

Od czoła pochodu dolatywały istotnie wołania. Nim Ab - Ram zdążył ruszyć w tę stronę, nadjechał zgrzany, zdyszany Elizer. Zeskoczył z osła i padł do nóg panu.

- Żyj wiecznie, Ab - Ramie! - zawołał. - Bogowie wiedli mnie, zem nie zbłądził...

- Powiadaj - skrzeczał Tare - gdzie jest pościg? Czy daleko?

Elizer spojrzał nie rozumiejąc.

- Gdzie są kapłani? Patesi z wojskiem? Już chyba spostrzegli, że nas nie ma?

Elizer pojął i wybuchnął śmiechem. Nie zważając na zmęczenie i szacunek winny panom, jął podskakiwać na miejscu bijąc się po bokach dłońmi jak kogut skrzydłami.

- Żyj wiecznie, panie mój! Nie goni nas nikt. Opowiem, tylko dech złapię...

- Napij się wody z winem - Tare wspaniałomyślnie podał słudze własny bukłak. Elizer ujął go ze czcią, strząsnął parę kropel napoju bogom, po wtóre pod stopy panom, po czym pił chciwie, z rozkoszą. Odjął bukłak, wytrząsnął znów ostatnie krople, odetchnął głęboko i skłonił się.

- Mów, co było po naszym odjeździe?

- Zostałem, o panie mój, jak przykazałeś. Paliłem ogień przed każdym namiotem i prosiłem bogów, byś uszedł szczęśliwie. Trąbiłem na rogu bardzo głośno i zaganiałem bydło do rzeki. Doiłem krowy, ale nie zdążyłem wszystkich wydoić i martwiłem się, bo gubiły mleko. Mleko kapało na trawę. Krowy ryczały. Bałem się, że demony wejdą do pustych namiotów i zostaną w nich. Czwartego dnia przyjechał sam patesi ze strażą w złotych hełmach i z dwoma wiernikami, i dwoma skrybami. Zdziwił się, że nie widzi nikogo, zapytał, czym jest sam. Odpowiadając mu rzekłem: - Żyj wiecznie, panie mój! Pan mój, Ab - Ram syn Tarego, pojechał ze swymi ludźmi i niewiastami szukać

w górze rzeki pastuchów, którzy zabłądzili ze stadem. Pan mój obawiał się, że ich lwy pożarły, a stado się rozbiegło. - Odpowiadając patesi rzekł: - Nie kłam, sługo. Twój pan uciekł przede mną, skoro zabrał niewiasty i dzieci. Przekłete jego dni i przekłeta dola, bo mi nie ujdzie. - Odparłem ja, Elizer: - Mój pan nie uciekł. Mój pan nie obawia się nikogo, sprawiedliwym mężem będąc. Zabrał niewiasty i dzieci, lecz pozostawił namioty i wszystek dobytek. Pójdź i oglądaj. Zali zdarzyło się, by człowiek poniechał dobrowolnie tyle bogactwa?

...I pokazałem stado. Widział mleko kapiące z wymion krowich i widział, że są dobre, dojne krowy. I pokazałem mu rowy ze zbożem. A on kazał wiernikom odkopywać i mierzyć i dziwował się bardzo. I pokazałem mu beczki moszczu, i beczki dawne, pełne wystającego wina, i jeszcze więcej się dziwił. I rzekł: - Prawdę mówią twoje usta. Będę czekał, aż Ab - Ram syn Tarego powróci. - Na to ja rzekłem: - Weźmij, proszę, to dobro pod swoją opiekę, a pan mój wróciwszy upomni się o nie u ciebie, bo mi trudno samemu doglądać. Obawiam się złoczyńców, tych, co powiadają: Wody kradzione słodsze, a chleb kryjomy smaczniejszy. Ulżyj mi ciężaru, jaki nałożył na mnie pan mój.

...Na co on przystał z ochotą mówiąc: - Uczynię, jak chcesz. - I zaraz kazał skrybom spisywać stado i rowy, i beczki z winem. Spisywali od południa do wieczora i następnego dnia znów do wieczora, i zapisali trzy tablice bardzo małymi znakami. Na tych tablicach patesi wycisnął swój znak i dali je mnie. Są w worku... I przystał patesi swoich ludzi do strzeżenia stad i dojenia krów, a ja wyjechałem i nikt nie pytał mnie, dokąd.

Ab - Ram słuchając promieniał. Tare był kwaśny.

- Obłowił się patesi jak nigdy - zauważył. - My zubożeliśmy. Tak, tak. Zaniedbaj, roztrwoń, przyjdzie na ciebie niedostatek jako podróżny, a ubóstwo jako mąż zbrojny...

- Wymieniliśmy, ojczyzno, dostatek na wolność. Radujmy się, że pościg rychło nie grozi.

- Biada temu, który się raduje przedwcześnie. Patesi to nie kapłani. Patesi będzie czekał, nasycony naszym dobrem, kapłani czekać nie będą...

- Żyj wiecznie, panie mój! Pozwól swemu słudze mówić dalej: Oto co zaszło: Dojechałem do Uruk, jak mi pan mój zalecił. Zakołatałem do domu Faleja, syna Elasa, i powiedziałem mu: - Wysłał mnie pan mój, Ab - Ram, w drogę. Użycz mi, proszę, noclegu. - Za czym Falej umył mi nogi i wszelką uczciwość okazał. Skoro chleb i sól stanęły między nami i wspólnie maczaliśmy chleb w winie, pytałem Faleja syna Elasa, co słyszeć. Odpowiadając Falej rzekł: - U nas cicho, bo umarli w grobach leżą zgodnie. Za to w Ur, mieście twego pana, stała się wielka zbrodnia, o której aż straszno powiedzieć. - Na co ja rzekłem: - Opowiedz mi, Faleju, proszę. - I znów przełamaliśmy chleb, Falej rzekł: - Kapłan baru zabił najwyższego kapłana, sanga mahhu, Awen - Ela, męża świątłego i uczonego. Cały gród aż się trząsł na tę nowinę, a zabójcę wrzucono do Studni Milczenia, bo kapłanom baru nie wolno krwi przelewać... - I zdumiawszy się bardzo zapytałem, jak się zwał kapłan zabójca wrzucony do Studni Popiołów. A on odpowiedział: - Sep - Sin...

- Sep - Sin!? - wykrzyknął Ab - Ram ze zgrozą.

- Bajki - rzekł Tare wątpiaćo. - Sep - Sina dobrze znamy. Spokojny człowiek, owcy by nie

zabił. I skąd Falej syn Elasa może wiedzieć o tych sprawach?

- Słyszał od synów swoich, których kapłani zabrali zeszłego lata. Bliźniaki podobni byli pono do siebie jak jeden kłos jęczmienia podobny jest do drugiego kłosu jęczmienia. Ze świątyni dano zanc, że bogowie upodobali ich sobie i chcą mieć do posługi. Falej zatrwożył się i zaraz chłopców oddał, ale jego niewiasta płakała bardzo. Ze wszystkich dzieci najwięcej miłowała tych bliźniaków. Tęskni za nimi dotąd i byle miała czas, bieży do Ur, by choć z daleka popatrzeć na synów. Powiedział mi Falej, że już ją bił mocno i zamykał obawiając się słusznie, iż kapłani pomyślą, że zazdrości chłopców bogom, a ona mimo to ucieka z domu. Staje w Ur na placu przed wieżą i patrzy w górę. Jak ją chłopcy dostrzegą, to zbiegają do niej potajemnie. Od nich dowiedziała się o tym, co uczynił kapłan Sep - Sin i co z nim uczyniono...

- Sep - Sin w Studni Popiołów! - powtarzał Ab - Ram. - Nas ocalił, sam zginął... Awen - El był wrogiem moim...

Niezdolny mówić ani myśleć o czym innym, pożegnał ojca i zawrócił na poprzednie miejsce na czele pochodu. Jadąc mijał ponownie znajome twarze: Sarai drzemiącą na swym ośle, jej dziewczki, gazelę Sebi zataczającą koła wokół karawany, córeczki Lota szczebiocące na wozie, Idith z pogardliwym wyrazem królującą na wielbłądzie, Nachora śpiącego, Melchę z nieodstępną tabliczką w dłoni, starego ślepego Igala, żywą pamięć plemienia, upartego, samowolnego Mosę Kefala lubiącego zawsze czynić po swojemu, Hibala, pasterza Lota, głównego winowajcę częstych zajść i kłótni. Patrzył na nich wszystkich nie widząc, przed oczyma mając wciąż Sep - Sina i jego okropną śmierć. "Żyjemy w wymyślnych wygodach..." Popiół w gardle, popiół w ustach, nozdrzach, żrenicach... Popiół...

- Pozdrowienie panu mojemu - zabrzmiał głos tuż przed nim. Ab - Ram ocknął się. Osioł korzystając z jego nieuwagi skręcił w bok ku trzodzie. Starszy pasterz Jahiel kroczył pomału niosąc jagnię w ramionach.

- Chore? - spytał Ab - Ram z roztargnieniem. Wciąż widział przed sobą popiół.

- Zdrowiuteńkie, ale urodziło się dopiero co... Szkoda mi, żeby samo szło...

Pogładził czule mięciutką wełnę. Jahiel lubił żywinę i zawsze miał jakieś kozłę, jagnię lub ciele, którym się szczególnie opiekował. Zresztą pochod był tak powolny, że cielenie się krów, kocenie kóz i owiec odbywało się zwyczajnie, nie powodując strat.

Ab - Ram skinął przyjaźnie głową pasterzowi i podpędzał osła. Otaczał go step zielony, on zaś patrzył nadal na strugi popiołu. Zdawało mu się, że słyszy ich szelest, sypią się wokół niego, duszą, dławią. Próbował wmawiać w siebie, że zabójstwo Awen - Ela mogło zajść z innego powodu, nic wspólnego z ich odejściem nie mającego. Lecz poczucie mocne jak pewność mówiło, że nie. Poszło o niego, Ab - Rama. O to, by Awen - El nie przeszkodził wyjazdowi... Po czym oni uszli szczęśliwie i zdążają w daleki świat swobodnie, a Sep - Sin, wygodny kpiarz, pozostał sam w Studni Milczenia...

...Przyjacielu mężny, przyjacielu dobry, poświęciłeś się, by ocalić Prawdę, którą niosę... Będę cię wspominać, pókim żyw, przyjacielu mój, Sep - Sinie. Będę pamięć twoją czcił i nie zapomnę

nigdy, Sep - Sinie...

Nowe spotkanie przerwało dumy Ab - Rama. Krępy poganiacz byków Hill szedł obejmując ramieniem przytuloną doń córkę Azubę. Nie spodziewali się nadejścia pana i nie zdążyli rozluźnić uścisku w porę. Ab - Ram przypomniał sobie, że jeszcze w Ur Sarai mówiła mu o grzechu tych dwojga. Zaniedbał sprawy, pochłonięty wyjazdem. Poczul się teraz winien jako naczelnik i goel plemienia.

...Dobrze mi tu - mówił Sep - Sin. - Popiół... Popiół...

W miejscu, gdzie bliźniacze rzeki Eufrat i Tygrys, żywicielki kraju, podchodziły ku sobie tak blisko, że pół dnia drogi wystarczało, by przejść znad brzegów jednej na brzegi drugiej, przekopany był kanał łączący oba koryta. Kanał zwano akkadyjskim, gdyż u wylotu jego nad Eufratem leżał starożytny gród Akkad, niegdyś stolica państwa tegoż imienia. U drugiego końca kanału, nad Tygrem, znajdowało się miasto Sefarwaim. Jak większość grodów granicznych, gdy sąsiadujące państwa nie żyją w przyjaźni, oba miasta były opustoszałe i senne, żyjące wspomnieniami dawno minionej świetności. Akkad, słynące przed laty z bogactwa i uczoności, zachowało z tych czasów głośną szkołę matematyczno - astronomiczną. Z obserwatorium umieszczonego na szczycie wieży można było dostrzec domy Sefarwaim rozłożone na płaskiej równinie oraz długą wstęgę trzcin okalających brzegi Tygru.

Akkad i Sefarwaim stanowiły słupy graniczne państwa babilońskiego. Za kanałem rozciągały się posiadłości asyryjskie. U tej smugi leniwie płynącej wody pan świata, Marduk, oraz ulubieniec jego Hamurabi tracili swoje znaczenie. Od tej smugi szczep hebrajski mógł wędrować spokojnie nie obawiając się pogoni.

Ab - Ram zbliżał się do upragnionej granicy nieufnie. Ludzi uzbroił, trzodę kazał spędzić w ciasną gromadę. Mimo wiadomości przywiezionych przez Elizera obawiał się, że wypadnie nad kanałem stoczyć bitwę z siłami babilońskimi. Lecz senna cisza leżała nad krajem. W trzcinach ptactwo kwakało i gęgało spokojnie, snadź nie płoszone przez nikogo. Bród wyłożony kamiennymi płytami, by przejeżdżający nie rozmyli brzegów kanału, nie był strzeżony. Dopiero pod wieczór napotkano gromadę żołnierzy asyryjskich o gęstych kręconych brodach, wypukłych plecach i muskularnych ramionach. Spoglądali na ciągnącą karawanę, nie zdradzając żadnego zaciekawienia. Zadaniem ich było wylawianie kłoców drzewa niesionych przez rzekę po każdym wylewie (drzewo stanowiło rzecz zbyt cenną, by oddawać je w darze sąsiadowi), a nie nagabywanie podróżnych. Zresztą jakież wojownik patrzyłby z niechęcią na stada bydła wchodzące w jego dziedzinę? Tylko odwrotny porządek mógłby wywołać w nim gniew.

Oddaliwszy się od granicy babilońskiej o dwa dni drogi Ab - Ram upatrzył kępę drzew rosnących nad wartkim strumieniem i postanowił rozbić tutaj obóz na dłuższy odpoczynek. Siedemdziesiąt dni minęło, jak opuścili Ur. Wyszli w początku miesiąca Adar, obecnie dobiegał końca miesiąc Ijar, pora czarownej wiosny, krótkich ciepłych nocy, rozkosznych dni i bujnej zieleni. Odpocząwszy pójdą dalej, by dojść wysokich, chłodnych gór, rodziców strumieni, zanim przyjdzie pora gorąca, zabójcza dla ludzi i zwierząt.

Obecna przerwa okazywała się konieczna ze względu na Nachora syna Tarego. Niedawny

grubas w ciągu podróży schudł tak, że skóra wisiała na nim niby zbyt luźna szata, a pomarszczona twarz uczyniła się podobna do twarzy stuletniego starca. Nagłe utracenie tłuszczu osłabiło go ogromnie, toteż gdy rozbito obóz, legł w namiocie jak martwy. Melcha poiła go troskliwie śmietanką, karmiła miodem i mięsem kozłęcia. Wiadomej tabliczki z zaklęciem dotykała jeszcze czasem, gdy Ab - Ram znajdował się w pobliżu. sama nie wiedziała, czy cieszyć się, czy smucić, że Nachor wciąż jeszcze żyje. Pogodziła się już z myślą o jego śmierci, liczyła na małżeństwo z Ab - Ramem i na macierzyństwo mające jej wynagrodzić dotychczasowe strapienia. Nic z tego się nie spełni. Najpierw miała męża niedołęznego, bo był za gruby. Obecnie był znowu niedołęzny, bo zanadto schudł. I tak, i tak było źle.

Tare syn Nachora, ruchliwy, opalony, opowiadał z radością każdemu o niewątpliwej wściekłości Babilończyka i karze, jakiej ulegnie patesi, gdy ucieczka szczepu wyjdzie na jaw. Na piersi bogini Ninngal! Bóg Ab - Rama okazał się bardzo mocnym bogiem. Warto go czcić.

Wraz z uciechą wywołaną ocaleniem w starym naczelniku odżyły wspomnienia wczesnej młodości przygłuszone wieloletnim życiem w grodzie. Wszakże dzieciństwo spędził na grzbiecie osła. Bywał na zachodzie po tamtej stronie pustyni, widywał wielkie grody niepodobne do tutejszych i góry, w których mieszkali olbrzymi, Refaim. W kraju Gerary ojciec jego Nachor syn Saruga drążył w skale studnię. - Jeśli tam przyjdziemy - mówił Tare do Ab - Rama - pamiętaj upomnieć się o nią u króla. Pamiętam ją doskonale. Dobra, głęboka studnia, bogata w wodę.

Usta mu się nie zamykały, podczas gdy z żywym zadowoleniem przyglądał się rozpalaniu ognia w piecu o kształcie dzieży. W jaki sposób piec ten dojechał aż tutaj, wiadomym było tylko Noi i Elizerowi, w którym niewiasty miały sojusznika. Widząc uciechę ojca Ab - Ram nie wszczynał śledztwa w tej sprawie. Skoro piec jest, niechże będzie. Noa oblepiła już karbowane boki ciastem i wszyscy niecierpliwie czekali na placki.

- Zali zgadzasz się, mój ojczy - pytał Ab - Ram - by syn twój zwołał jutro mężów plemienia? Chcę im powiedzieć o niebezpieczeństwie, które nas ominęło, i złożyć sąd nad Hillem...

- Czyż ja rządzę? - odparł Tare nie odrywając oczu od pieca. - Zwołuj, kiedy chcesz... Ehej, ten się już przypalił!

Elizer pomagał Lotowi przenosić namioty. Syn Arana czynił to po raz trzeci, każde miejsce bowiem nie dogadzało jego niewieście. Posłyszawszy głos Ab - Rama Elizer przybieżał co tchu.

- Przykra żona - dziurawy dach porą deszczową - rzekł w formie objaśnienia.

- Zaiste, tak jest, Elizerze. Obejdiesz dzisiaj namioty i zwołasz mężów plemienia, by stawili się jutro rano przede mną. Pragnę złożyć sąd nad Hillem, o którym mówią, że grzeszy z córką swą Azubą. Powiedz o tym Hillowi, by przyprowadził swych świadków. Którzy go oskarżą, niech przywiodą świadków również.

Nie dokończył, gdy sługa padł mu do nóg.

- Żyj wiecznie, panie mój! Już językami mielono, że widno twój bóg o sprawiedliwość nie stoi,

skoro ty jej zaniedbałeś...

Ab - Ram pociemniał z gniewu.

- Pan Najwyższy jest Sprawiedliwością samą! - zawołał.

- Racz wybaczyć słudze twemu. Powtórzyłem, co mówiono.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

SPRAWIEDLIWOŚĆ I SĄD

Wczesnym rankiem zebrali się wszyscy przed namiotem naczelnika. Osiemdziesięciu kilku mężów stanowiących szczerp hebrajski. Byli wśród nich pokrewni i powinowaci synów Hebera, siostrzeńcy i przyrodni rodu, synowie nieślubni, potomkowie synów nieślubnych. Niewolnicy do nich nie należeli, chyba że pochodzili z jeńców wojennych i zostali obdarzeni wolnością, jak Elizer zasiadający w gronie plemieńców. Nie mógł wejść do społeczności szczerpowej syn niewolnego i niewolnej. Podobnie jak za bluźnierstwo uchodziło ofiarowanie bogom bydłęcia, co by chodziło w jarzmie bodaj jeden dzień - tak w naradach ludzi wolnych nie mógł zabierać głosu ten, co nigdy sam o sobie nie stanowił.

Siedzący podobni byli do siebie z lic i odzienia. Mieli wszyscy cienkie, długie nosy, zagięte ku dołowi, smagłą cerę, ciemne oczy, kędzierzawe brody, wysoki wzrost i spadające ramiona. Na głowach nosili białe chusty okrażone czarnym sznurem. Końce chust osłaniały barki. Gdy się odzywali, z ust ich biła woń czosnku, którego pojedli, wiedząc, po co są wezwani. W przeciwieństwie bowiem do wina, które rozwesela i zamracza, czosnek zaostrza umysł i cuci uwagę. Podciągnawszy pod siebie stopy, z których zżuli sandały, czekali, co rzeknie naczelnik.

Podsądny Hill zajmował miejsce poza kołem. On jeden przejawiał niepokój i rzucał ponure spojrzenia wokoło. Świadczyć za nim mieli dwaj jego krewniacy. Opuszczali chmurnie głowy, niewiele snadź mając do powiedzenia na obronę brata.

Ab - Ram zawinięty w swój biały płaszcz zasiadł na poczesnym miejscu pośród najstarszych współplemieńców. Tuż przy nim usadzono ślepego Igała syna Esera, starca słynnego z niezawodnej pamięci. Uciekano się do niego, ilekroć należało przytoczyć przepisy prawa. Oprócz pamięci Igał posiadał podobno dar odkrywania wody nieraz na znaczną odległość. Dar ten nie był wykorzystywany przez plemię mieszkające od lat nad rzeką.

Po drugiej ręce Ab - Rama znajdował się Lot. Nachor i Tare byli nieobecni. Pierwszy z powodu osłabienia, drugi poszedł wraz z Surem łowić ryby w potoku, szczęśliwy, że nie potrzebuje zajmować się rzeczą tak uciążliwą jak sąd. Od tyłu lat zdał te sprawy Ab - Ramowi!

Siedzący nieruchomo mężowie (sami żonaci - gołowąsy nie należeli do rady) wraz z dwukrotnie przeważającą ich ilością niewiast i dzieci stanowili razem szczerp, plemię, całość samą w sobie, nie podlegającą nikomu innemu prócz swego naczelnika. Naczelnikiem był każdorazowo najstarszy przedstawiciel potomstwa Hebera w prostej linii, względnie, jak w tym wypadku, syn, na którego ojciec przelał godność już za swego życia. Naczelnik miał prawo życia i śmierci nad każdym członkiem plemienia. Rozsądzał spory, wydawał wyroki i wymierzał sprawiedliwość. Członkowie szczerpu byli obowiązani służyć mu wiernie, słuchać ślepo. Tak było od wieków i nie sądzili, by kiedykolwiek ten stan rzeczy mógł ulec zmianie. W zamian za posłuszeństwo, naczelnik dbał najtroskliwiej o ich potrzeby, był obowiązany zapewnić dobre pastwiska, dostarczyć wody i żywności, zasłonić przed niebezpieczeństwem; w razie krzywdy wyrządzonej przez obcego komukolwiek z współplemieńców, ścigać przestępcę choćby na krańce świata i wyrzucić na nim zemstę rodową. W ustroju tym Hebrajczycy czuli się szczęśliwi i wolni. Zależność od naczelnika nie

zdawała im się cięższa niż zależność dzieci od ojca. Uważali ją za przyrodzoną. Wszak nigdzie nie rządzi gromada, lecz jeden myśli za wszystkich. Poza naczelnikiem nie słuchali rozkazów niczyich. Sami zbierali to, co posiali, i brali na swe potrzeby tyle, wiele chcieli. Cenili wysoko swą godność, toteż gdy Ab - Ram zabrawszy głos powiadomił ich po raz pierwszy o przyczynie śpiesznego opuszczenia Ur - oniemieli z oburzenia. Wielce haniebnym zdało im się, że mogli być rachowani niby pogłowie bydła, spisani, uważani za własność królewską, pędzeni do robót lub siłą zabierani do wojska. Na samą myśl o tym zaciskali pięści i zanim Ab - Ram skończył swą mowę, zakrzyknęli chórem jak niegdyś po szczęśliwym wylądowaniu:

- Wielki jest Ab - Ram syn Tarego! Chwała Ab - Ramowi synowi Tarego! Błogosławione jego dni!

- Nie jest tak - zaprzeczył żywo Ab - Ram. - Wiedźcie, iż nic nie zrobiłem. Ocalił nas Pan Najwyższy, który wrogom zasłonił oczy...

Nie zważali na to sprostowanie, krzycząc i wychwalając wodza coraz goręcej. Teraz Ab - Ram zwrócił się z pochwałą do Lota, na którego pastuchów nie było skargi przez cały czas podróży. Nareszcie syn Arana przekonał swych ludzi, jak gorszące i szkodliwe było poprzednie zachowanie. Lot czerwienił się i bąkał, że nie posiada żadnej zasługi w tym względzie. Sam nie wie, czemu szczęśliwą zmianę przypisać. To szczere wyznanie wywołało w kole nietajone, acz ciche prześmiewy. Ab - Ram skarcił je surowo i wezwał z kolei Hilla, by stanął pośrodku koła wraz ze swymi obrońcami. Wezwał również tych, co go skarżyli, by przedstawili głośno swe zarzuty. Wśród głębokiego milczenia podniosło się pięciu czy sześciu mężów. Kolejno zgodnie zeznawali, iż Hill zrazu ukrywał się ze swym szkaradzieństwem, ostatnio folgował sobie nieomal jawnie na oczach wszystkich.

Pomruk zgorszonego oburzenia przebiegł zgromadzenie. Ab - Ram udzielił głosu obronie. Zapewniali bez przekonania, iż Hill zgwałcił córkę po pijanemu. Wiadomo, iż mąż pijany to dziecko nierozumne, które chytra niewiasta poprowadzi, dokąd zechce. Wszystkiemu winna Azuba, opętana przez demona, wszeteczna jaszczurka, lubieżnica...

Śmiechy przerwały to dowodzenie. Zapytywano, czyżby Hill pozostawał bez przerwy pijany od paru miesięcy.

- Niech on sam mówi - zażądał Ab - Ram.

Oskarżony rozejrzał się wokoło złym wzrokiem. Nie znać było w nim skruchy, raczej gniewny opór. Potwierdził zdanie krewniaków, że pijany był do nieprzytomności. Nie wiedział, co czyni. Potem zaś... Potem nie sądził, aby popełnił czyn tak karygodny. Niewiasta jest niewiastą. Ta nałożnica czy inna... Żony z niej przecież nie uczynił.

- Wężowa twoja mowa i śmierzące gardło! - odparł Ab - Ram oburzony. - Nie wiedziałeś, iż łączyć swoją krew ze swoją krwią jest plugastwem gorszym niżli mężobójstwo?!

- Nie wiedziałem - upierał się oskarżony. - Ja prosty człowiek, prawa nie znam. Powiadają, że król babiloński kazał prawo wypisać na tablicach... Kto z nas wie, co tam napisano?...

Oczy Ab - Rama błysnęły gniewnie spod chusty.

- Głupcze! - syknął. - Na tym gruncie studni nie wydrążysz! Żaden z nas pisma nie zna, lecz każdy zna prawo. Nasze prawo, prawo ojców i dziadów, prawo, co rządziło ludźmi wcześniej niż ziemię zalał potop. Prawo króla babilońskiego nam zbędne. Nie mamy potrzeby go znać. Za wodą prawo babilońskie, od wody asyryjskie, całkiem może odmienne... Prawo musi być jedno wszędzie, po tej i tamtej stronie wody. Nie potrzebuje być ryte na tablicach, bo każdy je zna, odkąd z dziecka przejdzie w męża... Igalu, synu Esera, powiedz nam, co mówi prawo o uczynku Hilla. A wy przywieźcie Azubę, żeby wysłuchała wyroku...

Stary ślepiec odkaszlnął kilka razy, żuł w głębi siwej brody słowa, nim je wypowiedział:

- Każe mi mój pan, przeto mówię. Prawo powiada:

...Mąż, który by spał na łonie synowej, będzie związany i wrzucony do rzeki, niewiasta spalona...

...Mąż, który by spał na łonie swej matki, będzie żywo spalony razem z nią.

Szamotanie, pisk zdławiony. Wleczono Azubę. Skowyczała, półżywa ze strachu. Igal zwrócił w jej stronę martwe, zasnutę bielmem oczy, ciągnąc tym samym obojętnym głosem:

...Mąż, który by spał na łonie macochy, będzie osmagany i wygnany na pustynię, niewiasta wrzucona do rzeki...

...Mąż, który by spał na łonie córki przez niego spłodzonej, będzie wrzucony do rzeki, niewiasta spalona...

- Rzekłeś - stwierdził krótko Ab - Ram. - Mężowie plemienni, słyszeliście, co powiada prawo?

- Słyszeliśmy. Niech się tak stanie - odpowiedzieli chórem.

Jęk Azuby przeszedł w rozpaczliwe wycie. Hilla opuściła pycha. Runął sędziemu do nóg.

- Łaski, panie! - wołał. - Bądź sprawiedliwy! Bądź sprawiedliwy, Ab - Ramie! Na twój wielki bóg przysięgam, iż pierwszy raz byłem pijany i nic nie wiedziałem, a potem sądziłem, iż na to zezwalasz, skoro nie powiadasz nic przeciw...

Ab - Ram podparł twarz dłonią wspartą na kolanie i zmarszczywszy brwi myślał. Wszyscy, milcząc, zawiśli nad nim spojrzeniem. Czekali. Dziewczyna jęczała. Hill leżąc na ziemi stękał głucho. Lot zagryzał wargi. Było mu żal obojga, szczególnie dziewczyny. Przecież to jeszcze dziecko! Straszna rzecz być żywo palonym! Stary Igal powiedziawszy swoje drzemał, obojętny na to, co nastąpi, jak uosobienie prawa. Reszta spoglądała na Ab - Rama z pragnieniem, by pozostał surowym. Skoro tak powiada prawo, nie należy kary uchylać.

Ab - Ram czuł te wszystkie spojrzenia na sobie. Odrzucał je, zasłaniał się dłonią przed ich

natarczywością pragnąc zastanowić się nad tym, jakiego wyroku oczekuje po nim - Pan. Nie ludzie, lecz Bóg. Dotychczas sądząc, nie odstępował nigdy od prawa. Po raz pierwszy w życiu ogarnęły go wątpliwości, zali jest ono zawsze słuszne. Bądź sprawiedliwy! - zawołał Hill mający być skazany na śmierć. - Bądź sprawiedliwy, Ab - Ramie! - zalecał Nergal Sar zapytany o to, jak najlepiej chwalić Pana. Cóż to jest sprawiedliwość? Jego, Ab - Rama, nazywają mężem sprawiedliwym i on szczyli się tym mianem. Jest sprawiedliwy, bo każdą rzecz kładzie na wagę umysłu i starannie wyrównuje szale. Oddaje każdemu, co winien, dziesięć talentów za dziesięć talentów, sto za sto. Wymaga tylko tego, co mu się należy, nigdy ani sykla więcej. Nie zabrałby innemu człowiekowi ani wołu, ani osła, ani kobiety, ani domu, ani wolności. Nie ruszyłby z miejsca granicznego kudurru, chociażby wiedział, że umarł demon, co je strzegł. Wynagradzał zawsze dobro, jakiego doznał, a karał i mścił się za zło. Dlatego nazywają go powszechnie sprawiedliwym. Jemu samemu podobna sprawiedliwość wystarczała, dopóki nie ujrzał - nie wiedzieć, we śnie czy na jawie - skłębionego nurtu życia, powszechności winy i współobciążenia grzechem. Podobna sprawiedliwość wystarczała, póki sądził, iż każdy człowiek może postępować tak albo inaczej nie doznając w tym żadnej przeszkody. Dopóki nie znał, jak ukryte i odległe bywają przyczyny zła. "Sądziłem, iż na to zezwalasz, skoro nic nie mówisz przeciw!" - zawołał Hill. Prawdę wołał. Ab - Ram był powiadomiony o jego grzechu, lecz milczał, zajęty innymi sprawami, które mu się zdawały pilniejsze. Poniechał obowiązku wymiaru sprawiedliwości, przyzwalając milcząco na nieprawość. W oczach ludzi winowajcą był Hill. Kto był winowajcą w oczach Pana?

Ciężko było przewalać takie myśli w głowie, myśli nie znane dotychczas, niezrozumiałe, gdyby je wyjawiał, dla nikogo, czuć ciężar spojrzeń czekających na jego słowa. Patrzą na niego, jak na sędziego, on zaś czuje się podsądnym. Czekają od niego wyroku, a on czeka na znak Pana. Nie wie nic. Jest bezradny jak dziecko. Powtarza w duchu surowe słowa prawa i nie wie, do kogo je stosować? Chwieją się szale wag tak starannie dotychczas wyrównanych. A Pan milczy.

I ku zdumieniu ludzi wpatrzonych w oblicze naczelnika Ab - Ram wzdycha żałośnie i dłonie składa, jakby o coś błagał. Panująca cisza pogłębia się jeszcze, gdyż wszyscy wstrzymują oddech.

Ab - Ram myśli: Wierzę, iż Pan mój czuwa i prośbę moją słyszy. Dokąd grzesznik żyje, Pan może z nim uczynić, co zechce... Gdy umrze, zamknięta jest dola jego, gdyż umarli nie zmartwychwstają... Nie skażę na śmierć człowieka, bo nie wiem, czego chce Pan.

Odjął dłonie od twarzy. Rzekł:

- Mężowie plemienni! Tym dwojgu należy się śmierć. Tak powiada prawo. Ja jednak okażę im łaskę, gdyż Pan Najwyższy okazał się łaskawym dla nas. Zostaną wygnani. Nie wolno im zbliżać się do obozu bliżej niż na dwa strzelania z łuku. Co poczną, nie dbam. Być może, lew pożre ich jeszcze tej nocy, być może, że ich oszczędzi. Bóg uczyni z nimi, co zechce, i tak ich ukarze, jak zapragnie. Nie pójdą razem, by nie przewlekali obrzydliwości swojej. Dziewkę wygnacie na zachód, Hilla na wschód. Tak uczynicie, mężowie plemienni.

Pokłonili się wszyscy nisko, na znak, że wyrok przyjmują. Lot patrzył na stryja z radosnym uznaniem, Hill bełkotał wyrazy pełne uniesienia i wdzięczności. Wygnanie lepsze od śmierci. Wszystko lepsze od śmierci, z której nie masz powrotu. Azuba nie rozumiała nic. Zaledwie pojęła, iż nie zostanie spalona. Szłochała z twarzą ukrytą w trawie.

Gdy wszyscy się rozeszli, Hagar Egipcjanka wybiegła z namiotu. Podniosła płaczącą, napoiła przyniesionym w kubku mlekiem, wcisnęła w garść kawał placka. Dziewczyna patrzyła na nią półprzytomnie.

- Bałam się go... Bił mnie... - szeptała objaśniająco.

Hagar wróciła do namiotu, gdzie stara Noa spojrzała na nią niechętnie.

- Wiele się pożywi tym, coś zaniósła... Trzebaż jej dać jedzenia przynajmniej na tydzień...

- Przygotuj, zaniosę. Powiada, że on ją bił...

- Eheu, pewnie, że ją bił... Z rozkoszy by z nim nie spała...

Westchnęły obie nad dolą kobiecą.

- Co sądzisz, synu mój, Nachorze, o wyroku, jaki brat twój Ab - Ram wydał na Hilla i jego córkę, Azubę? Prawo skazywało ich na śmierć, on zaś zadowolił się wygnaniem. Srodze ich pokarał! Chłop przystanie do wojska asyryjskiego, córka zgłosi się w grodzie jako niewolnica... Nie lubię, gdy żywcem ludzi palą albo topią, i nie poszedłbym patrzeć na to, lecz posłuch, jaki plemię winno Ab - Ramowi, nie wzrośnie od takiej pobłażliwości. Lękam się, że nie wzrośnie, synu mój, Nachorze...

- Czterech szlaków nikt nigdy nie dociecze: drogi orłowej w powietrzu, węzowej na skale, okrętu wśród morza i myśli człowieczej. Nie znana mi jest, ojcze, droga myśli Ab - Ramowej...

- Zaprawdę i dla mnie nie znana... Pono chwalił Lota, że poskromił swych pasterzy?

- Gdy nie stanie dREW, zgaśnie ogień. Gdzie zmilknie podszczuwacz, ustaną zwady...

- Ludzki i sprawiedliwy jest nasz pan, Ab - Ram...

- Większa ludzkość niż sprawiedliwość. Sarkają w plemienu, że Hillowi należało darować, lecz dziewczkę utopić lub spalić...

- Przecież ona mniej winna! Ona się go bała!

- Niech moja pani wybaczy swojemu słudze: niewiasta zawsze jest winna.

- Prawda to, Elizerze, że Ab - Ram z duchami rozmawiał, gdy sądził?

- Tak, to jest prawda. Dziwno i straszno było patrzeć na mojego pana. Wzdychał jak rodząca i dłońmi się zasłaniał, jakby nań demon nacierał...

- Widziałam go kiedyś nocą rozmawiającego z demonem. Nikogo wokół nie było, a on głowę do góry podniósł i mówił... Bałam się bardzo.

- Niech bogowie nas mają w opiece...

ROZDZIAŁ JEDENASTY

STŁUCZONE NACZYNIĘ

Miasto Harran, najbardziej na północ wysunięty punkt szlaku plemion wędrownych, leżało u stóp białych wapiennych gór wznoszących się ponad grodem zębatą koronką. Z gór tych wypływał bystry potok Balik płynący do Eufratu. Bogaty w wodę, zapewniał urodzajność podgórskiej dolinie. Sam gród, acz mniejszy od Ur, wydał się wędrowcom do opuszczonego miasta podobnym. Wprawdzie naturalne wzgórza zastępowały sztuczne podsypywanie, w miejscu szerokiej spławnej rzeki płynął wąski strumień, lecz wieża, świątynia, zamek wzniesione były i spiętrzone podobnym kształtem, jak gdyby fundamenty zakładali bracia tamtych budowniczych. Tak samo jak w Ur, poniżej pięknych gmachów tłoczyły się stożkowate budowle ubogich; choć zbudowane z kamienia, nie z gliny, zachowywały ten sam otwór u szczytu wpuszczający powietrze, zimową porą deszcz. Hebrajczycy spoglądali na miasto z radością. Byli znużeni wędrówką, żarem letniej pory, niewygodami podróży, i wzdychali do tego, by zatrzymać się znów na stałe, puścić osły na pastwisko, rozbić namioty umacniając porządnie liny kołkami, rozkładając wygodne posłania ze skór baranich, nie - byle prędeż, na jedną noc, jak to czynili obecnie. Z uciechą też posłyszeli, że Tare syn Nachora postanowił, iż pozostaną w grodzie Harran przez cały okres zimowy.

Pośpiesznie rozbijano obóz. Mężczyźni śpiewali stawiając namioty. Niewiasty klaskały w ręce zwijając się jak w ukropie. Rzeźwe górskie powietrze upajało niby wino. Sarai ze swymi kobietami krzątała się żwawo pragnąc zładzić wszystko podobnie jak w Ur... Tu piec, tu ognisko, tu maślnica, a tam żarna...

Zazdrościła bratowej męża, że zamieszka w mieście. Ab - Ram bowiem wydzierzawił dla ojca i Nachora porządny dom z dziedzińcem oraz fontanną. Sarai nigdy w życiu nie mieszkała w takim domu, z góry wiedziała jednak, że szkoda o tym wspominać. Ab - Ram nie cierpiał murów i miasta. A Melcha uszczęśliwiona już rozpakowuje tłumoki!

Jedna Idith nie jest zadowolona z zamierzonego pobytu w Harran. Zdaniem jej należało przed zimą dotrzeć do Damaszku, grodu tak pięknego, że bogowie posprzeczali się podobno o jego posiadanie. Tam życie, bogactwo, igrzyska, obchody... A tu cicha podgórska miejscina... Idith wzruszała ramionami.

Ab - Ram również nie podzielał ogólnej radości, choć z innych niż Idith powodów. Obawiał się, że z wiosną ojciec nie zechce pójść dalej. Zamieniwszy Dolny Eufrat na Górny, Ur na Harran, pozostaną tutaj długo, może do końca życia? Cóż się stanie z jego wielkimi zamierzeniami, z obowiązkiem głoszenia Prawdy, z ciężarem drogocennym, przed podjęciem którego ostrzegął go Nergal Sar i dla którego zginął okropnie Sep - Sin? Sądził wyjeżdżając z Ur, że byle oddalił się od kapłanów, otworzą się upusty jego serca i każde słowo przysporzy wyznawców Panu. Nic z tego dotychczas nie uczynił, a kiedy zdoła uczynić, nie wiedział.

Znużony rozgwarem niewieścim poszedł do miasta zobaczyć, czy ojciec ma wszystko, czego mu trzeba. Kroki jego zadudniły pod sklepioną bramą. Zebrani w niej mieszkańcy grodu spoglądali na obcego ciekawie, lecz bez niechęci. Harran leżało na drodze wiodącej z Damaszku do brodów na Eufracie i Tygrze, przeto wbrew przypuszczeniom Idith cudzoziemcy bywali tutaj zjawiskiem dość

częstym. Co prawda nie zatrzymywali się nigdy na dłużej.

Stary Tare był tak uradowany swym nowym domem, że Ab - Ram rozchmurzył twarz. Zawstydził się swego smutku, co jak mól szatę, a rdza żelazo, przegryza duszę męża. Warto wiele znieść, by w zamian słyszeć szczęśliwy śmiech starego ojca. Tare własnoręcznie wyjmował swe zbiory, przed wyjazdem z Ur zawinięte w wojłok, sitowie, miękkie runo, nareszcie zaszyte w rogoże, nie ruszane od dziewięciu miesięcy. Nie pozwalał teraz dotknąć ich nikomu, lecz pragnął, by wszyscy byli obecni i dzielili jego zachwyty. W miarę jak z licznych osłon wyblyskiwała złocistość czar, połysk klejnotów, staruszek przeżywał na nowo radość posiadania. Ustawiał swe skarby na półkach, by się im napatrzyć. Szeroko otwartymi oczami podziwiali je Melcha, niewolnica Bala, Sur oddany przez Ab - Rama Taremu do posługi. Obaj synowie, Nachor i Ab - Ram, obojętni na piękne, nieużyteczne drobiazgi, patrzyli z zadowoleniem na rozpromienioną twarz starca. Nadszedł Elizer. Ledwo rzuciwszy okiem na półki zawołał:

- Żyj wiecznie, panie mój! W Harran króluje nasz stary bóg Nannar - Sin! Byłem w świątyni, słyszałem, jak kapłani śpiewali:

"...ojcze Nannar, panie Anu, wielki władco bogów...

ojcze Nannar, panie Sin, wielki władco bogów..."

- Błogosławiona twoja głowa, Elizerze! - Tare postawił śpiesznie na ziemi trzymaną w ręku szkatułkę i podniósłszy prawicę do góry zanucił słabym starczym głosem:

"...ojcze Nannar, panie Ur, wielki władco bogów,

ojcze Nannar, doskonały, najświetniejszy władco bogów..."

Fałszywie, lecz z przejęciem zawtórował Nachor nabrawszy powietrza w obwisły wór brzucha. Pamiętali wszakże, jak przed dwudziestu sześciu laty za pieśń tę karano śmiercią, a na ścianach świątyni obtłukiwano cegły z podobizną księżycowego boga, by umieścić na jego miejscu babilońskiego Marduka. Nic o tym nie wiedząc przyszedli do grodu, w którym stary bóg ich młodości królował po dawnemu. Zapewne on sam przywiódł ich, kierując niewidzialnie ze swej srebrnej łodzi...

Ab - Ram wyszedł na dziedziniec niezdolny do brania udziału w radosnym chórze. Fontanna pluskała, jak gdyby natrzęsając się z jego troski. Zaprawdę - myślał - demony naigrawają się ze mnie! Odnalazłszy swego boga ojciec ani brat nie opuszczą tego grodu!

- Chodź tu, synu mój, Ab - Ramie - przyzywał go z izby Tare. - Chodź! Trzeba posłać sutą ofiarę staremu bogu... Wiele byków? Siedem starczy?

- Nie mamy już z czego składać sutych ofiar, ojcze - zauważył rzeczowo Nachor.

- Nie mamy, nie mamy, ale na siedem byków dla starego dobrego boga jeszcze nas stać... Czemuś taki chmurny, Ab - Ramie? Zazdrosny twój bóg o byki dla Nannar - Sina? Rzeknij mu, żeby nie zazdrościł... Nannar - Sin był u nas wcześniej w poważaniu... Raduj się wraz ze swym ojcem, mój synu... Na srebrny miesiąc! Będę znów pracował... Wyrzeźbię tutejszym kapłanom posąg piękniejszy niż wszystkie, jakie robiłem dotąd... Przedstawię boga żeglującego w swej łodzi... Złożę to w darze od szczepu... Skończę ustawiać moje ślicznoty i pójdziemy zaraz do świątyni złożyć pokłon Nannar - Sinowi... Ostrożnie, Melcho... Ten kubek jest najcenniejszy... Pochodzi z wyspy Krety... Piękne tancerki, nieprawdaż? Idith, niewiasta twego brata, oglądała je kiedyś, ale ciekawiła się tylko szatami... Eheu! - jęknął nagle i usiadł, a raczej opadł ciężko na ławę.

- Co ci jest, ojczy? - zaniepokoił się synowie.

- Ukłułem się w nogę... Cierń musiał być w wełnie. To runo pełne jest kolców. Mniejsza o to... Zabolalo i zaraz przejdzie. Pójdziemy pokłonić się staremu bogu. Eheu, jak piecze, piecze...

- Racz pokazać stopę, mój ojczy. Może ukąsił cię skorpion...

- Na pewno cierń... Obejrzyj, lecz wpierw weź ode mnie ten kubek, Ab - Ramie, i postaw wy...so...ko...

Nim Ab - Ram wyciągnął dłoń, złote naczynko wypadło z ręki starego człowieka i z przenikliwym dźwiękiem potoczyło się po posadzce. Dźwiękowi zawtórował szelest w rozrzuconej rogoży. Sur poskoczył sprawdzić, co się poruszyło.

- Efeh... zmijsza - szepnął blednąc.

Mała szara zmijsza sunęła ku drzwiom szybkimi zygzakami.

Stary Tare leżał na łożu i umierał. Daremnie synowie wezwali kapłanów lekarzy, kapłanów zamawiaczy, kapłanów odklinaczy. Rzucając chciwe spojrzenia na cenne zbiory Tarego połyskujące na półkach bogactwem godnym królewskiego dworu, przybyli stosowali "kupurru", czyli nacierania mające wyгнаć jad z ciała. Śpiewali przy tym uroczyste i okadzili łożo siedem razy po siedem razy. Ab - Ram i Nachor poćwiartowawszy rocznego barana ułożyli dymiące mięso na chorym, umieszczając obok siedem placków upieczonych pospiesznie w popiele. Odklinacze wołali: - Niech idzie ciało za ciało, krew za krew! Niech bogowie przyjmą łaskawie zastępstwo! Serce połóż u wezłowia, nerki połóż pod krzyżem, wątrobę połóż na brzuchu, mózg połóż na mózg... Racście przyjąc, bogowie, głowę za głowę, kark za kark, grzbiet za grzbiet...

Równocześnie wróżbiarze czynili rozliczne wróżby. W szklane naczynie sypali popiół, lali wodę, a gdy woda się ustała i popiół opadł na dno, rzucili w naczynie garść pereł. Wróżyli z wątroby baraniej, z nosa, uszu i wydzielin chorego. Wszystkie wróżby wypadły niepomyślnie i Nachor posłał cichaczem po płaczki miejskie, by mogły rozpocząć swoje zawodzenia, ledwie chory oczy zamknął.

Acz siny, zmieniony, Tare syn Nachora był jeszcze przytomny. W zaciśniętych dłoniach trzymał kurczowo terafim nie wypuszczając posążków mimo konwulsji, jakie nim wstrząsały. Czepiał się opiekunów rodowych jak tonący łodzi. Oczami szukał Ab - Rama. Ten pochylał się nad ojcem

zrozpaczony. Gdybyż mógł przelać w umierającego swoje zdrowe, męskie siły! Czemuż nie jego ukąsiła żmija! Biada! Biada! Nad śmierć ojca nie masz większego nieszczęścia. Śmierć ojca to pochodnia gasnąca w ciemności...

- Boję się, synu - szeptał chory, z trudem poruszając wargami - boję się twojego boga...

Ab - Ram nie zdziwił się, że w śmiertelnej chwili ojciec nie myśli o wysławianym przed chwilą Nannar - Sinie, i najczulej, jak mógł, odpowiedział:

- Nie bój się, ojcze... On jest sprawiedliwy...

- Boję się sprawiedliwości... Nie zrobiłem nic dobrego...

Dygotał jęcząc i Ab - Ram pojął, że sprawiedliwość może być sroga. Serce rozdzierał mu widok konającego starca drżącego przed sprawiedliwością. O gdybyż Bóg, Pan Najwyższy, mógł miłosiernie przebaczać! Lecz sprawiedliwość - tak sądził - nie zna miłosierdzia...

- Twój bóg cię miłuje... Proś go za mną...

- Błagam Go, by sąd Jego rozgorzał nade mną, nie nad tobą! - zawołał Ab - Ram gorąco.

- Bóg cię miłuje... - powtórzył Tare gasnącym głosem.

Zamknął oczy i leżał bez ruchu. Palce zaciśnięte na terafim miały barwę trupią. Wszyscy starsi szczepu powiadomieni już o nieszczęściu tłoczyli się na dziedzińcu. Płaczki czekały przed drzwiami.

- Synowie moi, Ab - Ramie, Nachorze - rzekł nagle chory otwierając oczy.

- Jesteśmy przy tobie, ojcze - odparli równocześnie.

- Mężowie plemienni czy są?

- Jesteśmy - odpowiedziano chórem.

- Słuchajcie... moich... ostatnich słów... Błogosławieństwo waszym głowom... Niech wam służy rosa niebieska i tłustość ziemską, obfitość zboża i wina... Błogosławieństwo memu synowi, Ab - Ramowi... Słuchajcie go, bo jemu przekazuję następstwo... Synu mój, Nachorze... Słuchaj brata twojego...

- Będę słuchał, ojcze - zapewnił Nachor z przejęciem.

Kłęczeli po obu stronach łoża łącząc ręce na piersi ojcowej, z której Ab - Ram odrzucił ściervo baranie. Stojący na dziedzińcu współplemieńcy uklękli pochylając głowy do samej ziemi, na znak, że uszanują wolę umierającego. Tare chciał jeszcze coś mówić, lecz chwycił go kurcz. Oczy uciekły wstecz, na usta wystąpiła piana. Rzęził. Zalany łzami Nachor dał znak płaczkom, by podeszły. Tare syn Nachora nie żył.

Zanurzono ciało zmarłego w rozgrzanym miodzie z oliwą, by nasyciły się nim wszystkie członki. Potem ugięto i podwiązano ręce oraz nogi, tak jak spoczywa dziecię w łonie matki, i spowito starannie zwłoki. Niewielkiego wzrostu za życia, Tare zdawał się teraz mały, maleńki, iście dziecko wracające do matki ziemi, która go zrodziła. Twarz pozostawała odsłonięta, by cały szczep mógł pożegnać swego naczelnika udzielając mu pocałunku pokoju. Mężczyźni podchodzili kolejno według wieku i pokrewieństwa, przed dotknięciem wargami martwego czoła wychwaląc zalety zmarłego, jego rozum i doświadczenie. Wielbili go, iż był mądry, jak gdyby miał sto lat albo dwieście. Płaczki wyły przenikliwie, rozdzierały na sobie suknie, miotały się niby w szaleństwie, polewały własnymi łzami głowy i targały włosy. Czyniony przez nie zgiełk głuszył nawet grajków wyciągających piskliwe tony na piszczałkach. Śpiewacy zawodzili:

"...Pękła srebrna nić życia, stłuczone złote naczynie, do ziemi odchodzi ciało...

...Biada, biada rodowi, któremu zabrakło starca... Bogowie nań niełaskawi...

...Siwy włos - korona rodu, długi wiek - błogosławieństwo...

...Stłuczone złote naczynie pełne mądrości stuletniej..."

Ostatnim żegnającym zmarłego był wnuk jego, Lot syn Arana. Nic o nagłym zachorzeniu i śmierci dziadka nie wiedział, gdyż znajdował się poza obozem. Ominęło go błogosławieństwo! Płakał jak dziecko nachylając się nad zastygłym licem.

Teraz gdy już wszyscy przeszli, zasłoniono twarz Tarego lnianą białą chustą, ciało owinięto w całun namaszczone wonnościami, a potem w nową rogożę. Elizer wrócił oznajmiając Ab - Ramowi, że dom został kupiony wedle polecenia. Kosztował dwieście srebrnych sykli. Ab - Ram skinął głową w milczeniu. Paru Hebrajczyków kopało już grób w rogu dziedzińca, wedle obyczaju bowiem zwłoki powinny być pochowane tegoż samego dnia przed zachodem słońca. Płytami kamiennymi wyłożono spód i boki grobu. Nareszcie złożono skurczony zewłok ustawiając wokół wszystko, co zmarłemu mogło być w krainie cieni przydatne. Niedbali krewni kładli nieraz do grobu rzeczy uszkodzone, naczynia gliniane pęknięte lub nadbite, lecz Ab - Ram i Nachor pragnęli, przeciwnie, by ich ojciec wziął ze sobą to, co najcenniejsze i co mu było ulubione. Ułożyli więc przy głowie złocisty kubek z wyobrażeniem tancerek, wielką czarę onyksową i małą czarę z białej gliny twardej jak szkło, cienkiej jak skorupka jajka. Prócz naczyń piękny sztylet o głowie rzeźbionej w kształt kozy wspinającej się po grono winne uczynione z pereł. Naczynia napełniono winem, miodem i mlekiem, na rzeźbionej cennej misie spoczął chleb, zwany żałobnym, w odmienny niż zazwyczaj sposób zagnieciony. Całość nakryto płytami, zasypano ziemią, starannie ją ubijając. Gdy bóg Nannar - Sin wypłynął tegoż wieczoru na niebo, nie ujrzał już śladu Tarego, ruchliwego, wesołego starca, którego gniewy były krótkotrwałe, a uмиłowanie piękna i wolności wielkie. Słońce poranne widziało go żywym, szczęśliwym, rozkładającym w nowym domu ulubione przedmioty, a przed zachodem odszedł z tego świata. O ludzka dolo śmiertelna!

W obozie zabito kilka byków na ucztę dla plemieńców, rozdano chleby żałoby, które śpiesznie piekły niewiasty. Najbliżsi krewni, Ab - Ram, Nachor i Lot, nie brali w stypie udziału. Obowiązywał

ich ścisły post trwający dni siedem... W tym okresie pili tylko wodę i jedli skąpo chleba. Siedzieli nieruchomo na popiele, w szatach rozdartych od góry do dołu, z głowami ogolonymi, posypanymi popiołem, boso. Milczeli. Od czasu do czasu tylko wykrzykiwali wspólnie: Biada, mój ojciec! Biada! Biada! Opuściłeś nas, rodzicu! Zgasła radość naszych oczu! Umarło wesele...

Siedmiodniowy post pośmiertny miał wielkie znaczenie, nawet kapłani zasadniczo zwolnieni z żałoby nie spożywali w tym okresie mięsa ofiar. Gdy post minął, pozostawała obowiązkowa żałoba pokutna trwająca trzydzieści dni. Cały ten czas krewnym zmarłego nie wolno było myć się, strzyc włosów, porządkować brody, zaszyć rozdartego odzienia, obcować z niewiastą ani brać do ust wina będącego symbolem radości.

Nachor i Lot źle znosili post, toteż westchnienia ich brzmiały coraz żałośniejsze. Natomiast Ab - Ram był rad, że przymusowe milczenie pozwala mu myśleć do woli. Myśli jego były ciężkie i zawile. Serdeczna żalność synowska łączyła się z niejasnym poczuciem winy. Czyż na chwilę przed nieszczęściem nie pomyślał z gniewem: Ojciec nie zechce już opuścić tego grodu?! Złośliwy demon podchwycił myśl syna i ojciec został rzeczywiście. Został tutaj na zawsze...

...Był ojciec, nie ma go. Drzewo na wiosnę wypuści zielone pędy i pień jego rozkwitnie na nowo. Człowiek, który umarł - nie wstanie. Ciało jego cuchnąć zacznie, ledwo do grobu złożone, spęcznieje i zmieni się w gnój, gnój przeobrazi się w proch... Dusza człowieka pójdzie do smutnego miejsca, które Chaldejczycy zwą aral, Hebrajczycy zaś - szeol; oba nazwania znaczą otchłań, dół. Tam dusze zmarłych bytują jako larwy niedołożne, pozbawione siły i czucia. Czasami, od wieku do wieku, ciszę otchłani zmaćci echo wielkich zdarzeń sprawiających się na świecie. Wtedy zmarli pytają jeden drugiego: Słyszałeś? Głos ich jest wątki niby szelest liści na drzewie w czasie upału. Tak bytują żywiąc się prochem i popiołem, czekając - na co? Nikt nie wie. Trwając - po co? Nikt nie wie również.

Nędzne jest bytowanie czekające poza grobem. Któż by do niego tęsknił, ubiegał się o nie? Do innego był człowiek stworzony. W pamięci Ab - Rama wstawiały obrazy, jakich oko nie widziało, ucho nie słyszało, które dostrzegał nie pojmując, oglądał nie rozumiejąc. Blaski i tęcze, jasność, wolność istot Bogu podobnych... Cóż z tego pozostało? Nędza i gnój... Ab - Ram zapłakał gorzko, nie tylko nad zmarłym rodzicem, lecz nad sobą samym, nad całą ludzkością. Wydało mu się, iż dzieje świata oglądane niegdyś w widzeniu są taką samą żalobą pokutną jak obecne jego, Nachora i Lota siedzenie w popiele z worami na głowie. Czyż kara ta nigdy, nigdy nie ustanie? Czyż człowiek, stworzenie niegdyś tyle wyróżnione, zawsze rodzić się będzie po to, by umierać?...

Trzydziestego dnia żałoby Nachor rzekł:

- Bracie mój, Ab - Ramie, jako naczelnika rodu zapytując, co zamierzasz teraz uczynić?

- Jest pora dżdżysta - odparł Ab - Ram. - Zlewa łomocze po dachu. Przebędę z ludźmi porę dżdżystą w Harran, obrzydłym mieście, które nam zabrało ojca, i pójdę jak przedtem szukać sposobnego miejsca, gdzie bym chwalił prawdziwego Pana...

- Spodziewałem się tego - rzekł Nachor. - Zmiel szalonego w żarnach, nie oddzielisz od niego szaleństwa. Mam do ciebie prośbę, bracie.

- Powiedz twą prośbę, bracie mój, Nachorze...

- Jesteś naczelnikiem rodu. Pozwól mi pozostać tutaj! Boję się nowej wędrówki. Bogowie użyczyli mi nieco sił, czuję się zdrowszy niż w drodze. Nogi nie gną się już pode mną niby liście tataraku... Lękam się stracić odzyskane siły. Pozwól mi zostać, Ab - Ramie! Tobie rozkazuje twój bóg. Czynisz, czego on żąda. Ja nie znam twojego boga. Mnie wystarcza nasz stary bóg, Nannar - Sin. Chcę tutaj żyć, Ab - Ramie. Dolina jest żyzna, pastwiska obfite, wody dużo, ludzie zdają się życzliwi. Jest też dom, który nabyłeś, by ciało ojca naszego leżało na własnej ziemi... Pozostanę tu i będę strzegł grobu ojca.

- Niech się stanie, jak chcesz, bracie.

- Bądź pochwalony, Ab - Ramie. Bogowie dali ci rozum. Jesteś mądry, jesteś dobry. Dziękuję ci.

- Synu Arana, zapewne i ty pragniesz zostać? - zwrócił się Ab - Ram do Lota.

Bratanek zaczerwienił się zaskoczony pytaniem.

- Nie wiem, stryju Ab - Ramie... Wolałbym iść z tobą. Prawdziwie nie wiem... Przyjdę powiedzieć niebawem...

Obaj stryjowie uśmiechnęli się wzgardliwie rozumiejąc przyczynę jego zmieszania.

- Idź zatem pytać swej niewiasty, czego chce.

Zawstydzony, spłoniony po uszy, Lot wyszedł. Nachor spojrział na brata błagalnie.

- Nie rzekłem wszystkiego. Mam jeszcze prośbę do ciebie, Ab - Ramie.

- Wyjaw ją. Chodzi ci pewnie o podział bydła i mienia? Zatrzymaj ze stada i wszelkiego dobytku tyle, wiele chcesz.

- Dziękuję ci po wtóre. Chronisz mnie przed niedostatkiem, dobry bracie. Osioł leśny łupem lwa - człowiek ubogi pastwiskiem bogacza... Lecz ja nie myślałem o bydle. Mądrość męża po cierpliwości bywa poznana. Miej cierpliwość wysłuchać mej mowy do końca: Czy zabierzesz terafim, Ab - Ramie? Czy zabierzesz terafim?

- Terafim?... - powtórzył przeciągle zapytany. Nie pomyślał o tym dotąd.

- Należą się tobie, boś głową rodu. Twoje prawo zabrać. Lecz ty masz swojego boga... Może już nie stoisz o terafim? Jeżeli nie stoisz, daj mi je. Uczynisz mi wielką łaskę... Straszno mi pozostawać bez terafim, a tobie wszak niepotrzebne?

- Pozwól mi zastanowić się nad tym, coś rzekł, bracie Nachorze.

Zamilkli obaj. Ab - Ram siedział na ziemi zawinięty w płaszcz. Nachor wpatrywał się weń

niepokojnie. Wzrok ten ciążył Ab - Ramowi, więc zarzucił połę płaszcza na głowę. W duszności własnego oddechu, odcięty od otoczenia, myślał. Czuł, iż należało rzec: Bierz, bracie Nachorze, terafim ojca naszego. Słusznie mniemasz, że mi są niepotrzebne, gdyż wyznaję innego Boga, nieskończenie władniejszego od nich. Tak należało powiedzieć, lecz słowa nie chciały mu przejść przez gardło i sam się przeląkł tego wewnętrznego oporu. Pojął, że nie tylko bratu swemu, lecz własnej duszy musi dać odpowiedź i że właściwe pytanie, jakie mu zadano, brzmi: Czy wierzysz w Boga, Ab - Ramie? W Boga, który cię powołał, szczęśliwie z Ur wyprowadził? Czy wierzysz? Jeżeli tak - na co ci terafim? Któż sobie w słońcu przyświeca kagankiem? Oddaj je bratu co rychlej!...

...Jeżeli nie wierzysz, zapomnij o Panu, zapomnij, co ci ukazywał stary Nergal Sar i za co zginął Sep - Sin... Czcij wraz z innymi boga Samasza, boga Nannar - Sina, Boginię Isztar, boginię Damkinę, bogów: Marduka, Ea, Anu, Enlil... Składaj im ofiary, wzbogacaj chciwych kapłanów, noś przy sobie zaklęcia przeciw demonnom i zatrzymaj terafim! Nuże!

Patrzył tępo w białą tkaninę odgradzającą go od świata. Na dworze deszcz w międzyczasie ustał, wiatr przegnał chmury i wyjrzało słońce. Ab - Ram patrzył na nie tępo przez wełnę. Wydawało mu się czerwone niby o zachodzie. Bładoczerwony krążek. Wokoło niego trwał mrok. Odkąd pamięcią zasięgnął - miłował terafim. Niezdarne, jak gdyby zmyte kamienne posążki uosabiały ród, ojców, dziadów, pradziadów... Wieleż pokoleń przed i po potopie umierało trzymając je w dłoni jak ojciec jego, Tare? Jak ciężko rozstawać się z całą przeszłością! Czyż koniecznie musi wybierać: albo Pan, albo terafim? Nie możnaż zatrzymać obojga?

...Nie, nie można. Dość ociągania, Ab - Ramie! Obok Pana nie wolno nikogo stawiać na równi! Wierzysz!

...Wierzę!

Odrzucił płaszcz, czoło miał zroszone potem.

- Oddaję ci, bracie Nachorze, terafim ojca naszego. Są twoje.

Nachor aż się zachłysnął z radości.

- Złote jabłka w srebrnym liściu - takie słowa! - Nie dowierzał swemu szczęściu. Ujął z tkliwością obie figurki i przycisnął je do piersi.

- O jedno proszę cię, Nachorze: dopóki stąd nie odejdę, nie powiadaj nikomu, że ci je dał. Ani żonie, ani służebnicy...

- Nie powiem nikomu, bracie mój, Ab - Ramie.

- Więc nie zostajecie tutaj? - pytała Melcha bratową. Idith strojna jak zwykle i błyszcząca ozdobami potrząsnęła głową przecząco.

- Lot, mój mąż, postanowił jechać dalej z Ab - Ramem - rzekła układnie. - Rada z tego jestem, gdyż Harran nie podoba mi się wcale. Mieszkać w takim grodzie czy pod namiotem, to jedno...

- Mnie się tu podoba - przyznała Melcha - lecz straszno mi, że sama zostanę z Nachorem. Co pocznę, jeżeli Nachor umrze? Trochę się ostatnio poprawił, ale wciąż narzeka, że bardzo słaby... Co pocznę? Roma jest niedobra, Tabej nieusłuchany, Bala głupia... Ab - Ram jest naszym golem, ale on pójdzie daleko i nie będzie wcale wiedział, co się z nami stało.

Westchnęła i umilkła, twarz Idith bowiem zdradzała wyraźnie, że ją to nic nie obchodzi.

- Mówił mi Nachor - podjęła Melcha po chwili - że powędrujecie brzegami Wielkiego Morza? Ojciec twój, żono mego brata, pochodzi - nieprawdaż - z grodu nadmorskiego, który zowią Surri? Może obaczysz ten gród i swoich krewniaków?

- Ród mego ojca - przytwardziła dumnie Idith - pochodzi, owszem, z miasta Surri, miasta wielkiego jak Babilon, a tak bogatego, że zwą go w świecie jarmarkiem narodów... Ojciec mój był znacznym kupcem. Miał stu niewolników, którzy dniem i nocą wyławiali dla niego z dna morza małże potrzebne do wyrobu purpury. Choćby jednak Ab - Ram syn Tarego pędził swe stada pod bramami grodu, nie ujrzę miasta mego ani nie odszukam krewniaków.

- Dlaczego tak powiadasz? - zdziwiła się Melcha.

Rysy miedzianowłosej stężały.

- Wstydziłabym się wejść do grodu Surri jako żona pasterza cuchnącego kozłem...

- Ruda jaszczurko! Amorejko! Pasterz więcej wart niż kupiec!

- Dla jałowicy lub owcy. Nie dla mnie...

Sarai namaściła całe ciało wonnym olejkiem, spodziewała się bowiem, że Ab - Ram zawezwie ją jak dawniej do wspólnego łoża. Żaloba była skończona. On jednak tego nie uczynił i rzeźwy, cierpki zapach mirry na darmo wypełniał niewieścią stronę namiotu. Niewolnice uśmiechały się drwiąco, Sarai ze złości bliska była płaczu.

Nic o tym nie wiedząc, pogrążony w swoich troskach Ab - Ram przewracał się bezsennie na posłaniu. Było mu ciężko i źle. Brzydził się sobą, że prosił Nachora o zachowanie w tajemnicy oddania mu terafim. Czyżby obawiał się więcej niezadowolenia szczepu niż gniewu Pana? Miast ukrywać tę rzecz, powinien był skorzystać ze sposobności i wszem wobec ogłosić chwałę Pana Najwyższego, swoje ufanie położone w Nim i swoją wiarę... Nie uczynił tego, jest bowiem tchórzliwym, nędznym człowiekiem, niegodnym doznanej łaski. Toteż Pan odszedł odeń. Ab - Ram jest teraz sam jeden. Porzucił opiekuńcze bóstwa rodowe, a Pana obraził...

W półśnie, półjawie wydało mu się, że stoi tuż nad krawędzią przepaści, na skale podmytej wodą, która lada chwila runie. Chciał krzyknąć z trwogi i nie mógł wydać głosu. Wspomniał, że kiedyś w podobnej rozpaczycy wyciągał dłoń w mrok i Pan jego rękę pochwycił, wyprowadził bezpiecznie, ocalił... Dziś już tego nie uczyni, bo jest słusznie zagniewany. To znów zwidywało mu się, że jest ojcem swoim, Tarem, umiera i kurczowo przyciska do piersi terafim. Lecz oba posążki wyslizgiwały się z rąk, ginęły...

Męczył się długo, na koniec zasnął. Obudziło go wołanie:

- Ab - Ramie! Ab - Ramie!

- Otom jest - odparł półprzytomnie, przecierając oczy.

Nie pojmował, kto go woła i po co? Czyżby lwy napadły stado?

- Otom jest - powtórzył, lecz wokół nie było nikogo. Kaganek palił się równo. Musiało mi się przyśnić - pomyślał usiłując zasnąć z powrotem.

- Ab - Ramie! Ab - Ramie!

Zerwał się, już wytrzeźwiony zupełnie. Nasłuchiwał. Może nawiedziła go dusza ojcowca? Lecz zmarli głosu nie mają, przy tym Tare syn Nachora otrzymał do grobu wszystko, co potrzeba.

Ab - Ramie! Ab - Ramie!

Głos brzmiał coraz potężniej, aż huczał, równocześnie zaś wokół panowała cisza głęboka, jak gdyby cały świat przycisnął się w oczekiwaniu. Szczotka odrastających włosów zjeżyła się na głowie Ab - Rama. Zrozumiał, czyj to jest głos...

- Błogosławionyś, Ab - Ramie... Pobłogosławię tym, co będą cię błogosławić, a przeklnę tych, co by ciebie przeklinali... Imię twoje stanie się błogosławieństwem dla wszystkich narodów ziemi...

CZEŚĆ DRUGA

CIAŁO I KREW

ROZDZIAŁ PIERWSZY W OBCYM ŚWIECIE

Przekłeta tegoroczna susza! Oczekiwany z upragnieniem potok okazał się również wyschnięty. Na próżno kopano studzienki wzdłuż kamienistego koryta. Grunt ciemniał od wilgoci zaskórnej, lecz nie pojawiała się ani kropla wody. Bydło zawiedzione ryczało. Byki grzebały racicami ziemię rozpryskując kamienie i wtulały nozdrza w piasek szukając wody. Niewiasty lamentowały głośno. Dzieci spragnione płakały. Igal syn Esera, stary ślepiec, drgnął posłyszawszy swe imię.

- To ja, Ab - Ram syn Tarego. Powiadają o tobie, Igalu, że umiesz znajdować wodę.
- Żyj wiecznie, panie mój! Umiałem rzeczywiście niegdyś, niegdyś, pół wieku temu.
- Spróbuj teraz. Wody nie mamy.
- Każ, panie, poprowadzić mnie, gdzie wskażę, i daj mi kij swój.

Ab - Ram dotknął dłoni starca swą laską pasterza i naczelnika. Igal ujął ją w dwie ręce trzymając przed sobą poziomo. Prowadzili go Elizer i Sur. Zszedł w suchy potok. Stał spuściwszy ślepe oczy w głębokim namyśle. Laska drżała mu w dłoniach leciutko.

- Nie ma wody - stwierdził. - Szkoda tracić czas na próżno.

Podtrzymywany z dwóch stron ruszył szybko naprzód, kierując się ku pasmu wzgórz leżących na zachodzie. Chwilami przystawał i węszył wyciągając szyję, jak gdyby usiłując coś dostrzec. Milcząc postępowali za nim Ab - Ram i Lot. Pastuchy poganiali w ślady ich bydło, które kładło się w suchym potoku i stękało nie chcąc iść dalej.

Igal szedł coraz zwawiej, ręce wyciągał, jakby laska przeżyła się ku czemuś w oddali.

- Idziemy pod górę... - niepokoił się Lot. - Wody nie będzie na górze.
- Ciiicho... Może być źródło wśród skał...

Kroczyli przez zwiędły step. Miesiąc Siwan pokrywający zazwyczaj ziemię zielenią ledwo dobiegał połowy - co się stanie latem, skoro już teraz trawy były żółte, a potoki puste? Straszno pomyśleć. Zeszłoroczne jesienne deszcze zawiodły. Darmo składano ofiary we wszystkich grodach. Kapłani chaldejscy, babilońscy, asyryjscy, kanaańscy szukali za pomocą wróżb winowajców wywołujących nie ukaranym przestępstwem gniew bogów. Wielu ludzi wskazanych wróżbą (a niemiłych kapłanom) zginęło, niemniej susza trwała dalej. Deszcze wiosenne oczekiwane z upragnieniem spadły znów niedostateczne i nazbyt gwałtowne. Ziemia wyschnięta jak skała nie przyjmowała ulewy. Strugi wody spływały po wierzchu lub żłobiły wyrwy nie wsiąkając w glebę. Za czym przez wszystkie kraje otaczające pustynię kształtem półksiężyca, przez kraj zwany i tak Negeb, czyli Suchy Kraj, przeszedł dreszcz trwogi, widmo głodu - brak wody...

- Stryju Ab - Ramie - szepnął Lot. - Stryju Ab - Ramie! Psy!

Kilka płowych obozowych kundli wlokących się uparcie za karawaną wyprzedziło ją biegnąc w podskokach w przód ku ciemniejszej na wzgórzu ścianie zarośli.

- Poczuli wodę - odszepnął Ab - Ram z ulgą.

Szli pod górę, przy czym stary Igal wspinał się tak spieszenie, że prowadzący go z trudem nadążali. Na koniec stanęli przed starą zagrodą pasterską zmurowaną z głazów. Ab - Ram obiegił jej wewnątrz zawiedzionym spojrzeniem: nie zobaczył studni. Wchodzących powitał skowyt, ujadanie, warczenie. Psy walczyły z szakalami uznającymi snadź zagrodę za swoją siedzibę. Było ich tu całe stado. Gdy jedne walczyły z psami, inne skakały rozpaczliwie na mur usiłując wydostać się za ogrodzenie.

- Musi tu być gdzieś woda, skoro tyle się ich zebrało...

Ślepy Igal biegł prawie ku przeciwległej ścianie zagrody. Zwalona w rogu kupa chrustu i cierni nakryta była niby strzechą suchą zeszłoroczną trawą. Gruba warstwa pyłu uczyniła z niej nieprzeniknioną skorupę. Spod skorupy biła świeżość wody. Cysterna! Psy chleptały już chciwie, warcząc, gdy je usiłowano odegnąć.

Cysterna głęboka, przed wiekami pewno drażona. Nikt tu dawno nie zachodził, zeszłoroczna woda utrzymała się, ochroniona nakryciem przed wyparowaniem. Ślepiec dopiero teraz poczuwszy zmęczenie położył się na trawie. Ab - Ram kazał ludziom ustawić się wokół cysterny, by bydło nie wpadło do niej tratując się wzajemnie i marnując wodę. Czerpano ją worami ze skóry i nalewano w kamienne poidła ustawione wzdłuż ściany zagrody. Niełatwo było upilnować porządku przy pojeniu, a następnie przy rozdawaniu wody ludziom. Na koniec wszyscy napili się do syta. Wodę czuć było stęchlizną, na co nikt nie zważał, gdyż byli bardzo spragnieni. Napojone trzody ułożyły się ciasno w zagrodzie. Teraz dopiero pojono wielbłądy. W międzyczasie zapadł mrok. Przy ostatnich blaskach dnia ścinano pospiesznie chrust i kolące gałęzie, by wznieść z nich zaporę u wejścia. Pośrodku zagrody rozpalono ogień, gdyż choć dzień był upalny, noc zapowiadała się chłodna. Ab - Ram sam poszedł obudzić Igalą, by go do ogniska przyprowadzić.

- Posiadasz wielki dar - stwierdził z szacunkiem.

- Bogowie zabrali mi oczy, natomiast pozwolili widzieć wodę - roześmiał się ślepiec.

- Czy ujrzysz, Igalu, nową cysternę lub studnię na dalszej naszej drodze?

Stary zamyślił się?

- Nie wiem, Ab - Ramie. Muszę odejść daleko od tej wody, by poczuć inną. Radzę, zatrzymaj się tu parę dni, aby bydło wypoczęło, a odchodząc napełnij wszystkie wory, jakie posiadasz.

W zagrodzie nie było miejsca na rozbijanie namiotów, przeto pokładli się wszyscy na ziemi, okryci płaszczami. Niewiasty osobno, mężczyźni osobno, dzieci między niewiastami. Prócz wartowników stojących u wejścia zasnęli wszyscy, ledwo się ułożyli. Nie do nich należała troska o

to, co dalej nastąpi. Rzeczą naczelnika jest zaopatrzyć ich w wodę jutro i potem, podobnie jak zaopatrzył ich dzisiaj.

...Rzeczą naczelnika... Ab - Ram nie spał nękany niepokojem. Dokąd wiedzie plemię, które mu zawierzyło? Czego właściwie szuka po świecie? Zawędrował w kraj wyschnięty, bezwodny, chyba po to, by wszystkich wytracić. Od dłuższego już czasu Ab - Ram czuł się jak człowiek, który zgubił drogę i minął się z celem podróży. Aż do wyjścia z Harran wszystko było zrozumiałe. Opuścił miasto księżycowego boga, ulubionego przez swoich, szukając stosownego miejsca dla ogłoszenia chwały Prawdziwego Boga. Tak samo powiadał Nachorowi. Po to ruszył na południe. Minął uroczy Damaszek tonący w kwieciu, zlewany strumieniami spływającymi z wieczystych śniegów góry Hermon, łagodne Jezioro Galilejskie błyszczące jak turkus wśród urodzajnej wilgotnej krainy, piękną dolinę Esdrelon podobną do krzepkiego osła leżącego w stajni - rzekę Jordan toczącą wody mętne i żółte od żyznego namułu, o brzegach porośniętych obficie drzewami... Wszystko to mijał śpiesząc się, skracając postoje, jakby był ścigany lub sam kogo gonił. Czego chciał? Wśród ziem przebytych mało było miejsc swobodnych, urodzajnych, dobrze nawodnionych, gdzie mógł osiąść, i dzieło, do którego czuł się zobowiązany, rozpocząć? Zali nie uciekał przed trudem, jaki spadł na jego barki, przed każdą górą nie oczekiwał, że spotka za nią kogoś, kto pracę za niego podejmie?

Niespodziewany gwar przerwał jego gorzkie namysły. U zagrody z cierni obcy głos wołał: - W imię bogów tego kraju! Puście! - Elizer odpowiadał: - Ej, wy! Topory mamy w rękę i łuki wyborne!

Ab - Ram porwał się na nogi i pobiegł. Nieznana karawana usiłowała dostać się do wnętrza zagrody.

- Nie wejdą tu wasze stopy! - krzyknął. - Nie ma tu miejsca bodaj na jednego osła więcej! Idźcie precz!

- Ktoś jest, co przemawiasz?

- Ab - Ram syn Tarego, naczelnik szczepu synów Hebera, a ty?

- Jestem Sarug syn Efrema, kupiec z Byblos, ubogi, ograbiony przez złoczyńców kupiec... Mam ze sobą paru ludzi i parę osłów. Puść, panie, twojego sługę. Boję się lwów, a moje zwierzęta i ludzie są bardzo spragnieni... Czy jest woda w cysternie?

- Skąd wiesz o cysternie?

- Zatrzymałem się tu w zeszłym roku. Przez boga, którego wyznajesz, puść mnie!

Ab - Ram rozejrzał się wokoło. Zagroda, acz wypełniona ludźmi i bydłem, mogła przy dobrej woli pomieścić jeszcze kilka sztuk.

- Rozsuńcie ciernie - rozkazał - i dorzućcie do ogniska...

Suche trawy buchnęły płomieniem. W jego blasku wjechał Sarug syn Efrema, mąż otyły, czerstwy, dostatnio odziany. Za nim słudzy wiedli nie parę, lecz dwanaście osłów uginających się

pod worami ładunku.

- Kupcze z Byblos! - zawołał oburzony Ab - Ram. - Mówiłeś, żeś ograbiony i posiadasz tylko kilka osłów!

- Nie widzę toporów w dłoniach i łuków wybornych - odparł pogodnie przybyły wcale nie zmieszany.

- Dlaczego twoje wory tak cuchną?

- Przyrodzony zapach mojego towaru.

Stłoczyli się, ścisnęli. Ładunek kupca zajął tyleż prawie miejsca co jego osły. Ab - Ram żałował, że wpuścił nieproszonego gościa, jakoż jednak było zostawić go bez wody?

Nazajutrz dowiedział się, iż śmierdzące wory zawierają substancję zwaną hemar (w przyszłości mającą być przez Greków ochrzczone asfaltem, przez inne narody bitumem lub smołą ziemną). Ciemnobrunatne bryły pochodziły ze Słonego Jeziora. Sarug syn Efrema wiozł je do Egiptu, gdzie były wysoko cenione.

- Egipt, po waszemu Musraim - objaśniał Ab - Rama kupiec - nie ma drzewa ani smoły. Rodzi w obfitości tylko złoto i pszenicę. Smoły potrzebują wiele do uszczelniania łodzi i balsamowania zmarłych. Zmarłych pośledniejszych - dodał - ciała bogaczy balsamują w żywicy cedrowej sprowadzanej z gór Libanu. Ja wolę kupczyć towarem tańszym, lecz którym snadniej obrócę. Do Egiptu jeżdżę co rok.

- Wygodny wieziesz towar, niełakomy dla złodziei.

- Nie tylko smołę wożę - zaprzeczył żywo Sarug. - Na dwóch osłach mam balsam galaadzki, gumę zwaną adraganta i bardzo cenny olejek z ladanu...

- Znam ladan. Miałem go parę beczek swego czasu.

- Wielki, wielki majątek! Komuś je sprzedał?

- Poniechałem w mieście Ur, z którego pochodzę.

- Poniechałeś?,,, O bogowie! Oprócz olejku i gumy wiożę też piękne jedwabie oraz klejnoty. Pokażę ci je chętnie bez nadziei zysku, gdyż wiem, co komu potrzebne.

- Klejnoty nie są mi potrzebne - przyznał Ab - Ram obojętnie. - Gdyby wśród żywych przebywał mój ojciec, Tare syn Nachora, obejrzałby je ciekawie. Cenił misterne wyroby.

- Tare syn Nachora z miasta Ur! - wykrzyknął kupiec. - Znałem go! Nabył ode mnie złote naczynia z wyspy Krety, temu pięć czy sześć lat... Nie żyje? O bogowie! Taki zdawał się czerstwy, wesół...

- Zmija go ukąsiła i przecięła jego dni. Naczynia, o których mówisz, włożyłem mu do grobu, gdyż lubił je.

Kupiec nie ukrywał zdziwienia.

- Uczciłeś po książęcemu rodzica.

Ab - Ram podniósł żywo głowę, tknięty przypomnieniem.

- Ojciec mój za owe naczynia dał ci niewolnika?

- Tak jest. Przystałem na równie niską zapłatę, by się przypodobać twemu ojcu.

- Sługa twój mniema, iż była to zapłata nadto wysoka, lecz mniejsza o to. Niewolnik zwał się Samir, nieprawdaż? Sarugu synu Efrema, czy możesz mi odprzedać Samira?

- Bogowie niełaskawi nie uprzedzili mnie wcześniej o twoim życzeniu. Żałuje tego dusza moja. Sprzedałem niewolnika Samira przed paru laty żeglarzom sydońskim. Jestem kupcem i handluję wszystkim, czym się da handlować. Niewolnikami też.

Ab - Ram zamilkł zmartwiony. Kupiec pragnął go rozchmurzyć.

- Jeżeli żeglarze sydońscy wrócą szczęśliwie ze swojej wyprawy na krańce Wielkiego Morza, sługa zaś będzie wiedział, gdzie cię szukać, powiadomię cię, byś odkupił człowieka, którego pragniesz. Tymczasem obejrzyj moje jedwabie. Rozweselisz swoje oczy i swych towarzyszy...

- Czasu nie stanie - wymawiał się Ab - Ram.

- Nie nalegam, by dziś. Znajdziemy chwilę sposobną jadąc razem do Egiptu.

- Jaż nie jadę do Egiptu!

- A dokąd?

- ...Dokąd?... - Ab - Ram umilkł. Wszakże sam nie wiedział, dokąd idzie, zbłąkany, zgubiony wędrowiec, niedbały powiernik Wielkiej Sprawy.

- Jedna przed tobą droga, do Egiptu - zapewniał kupiec. - Wrócić, skąd przybyłeś, nie możesz bo zginiecie. Za miesiąc nie znajdziesz kropli wody w żadnej cysternie ani w żadnym potoku. Studnie są rzadsze w tym kraju niż mąż sprawiedliwy pośród sędziów... Deszcze nie spadną przed miesiącem Tisri, do tego zaś czasu słońce wszystko pożre. Korzystaj, że jedziesz pierwszy, niebawem stanie się tłoczno na tym szlaku, bo wszyscy uciekać będą do Egiptu przed gniewem bogów...

- Nie byłem nigdy w Egipcie, nie znam drogi... Daleko stąd?

- Jutro błysnie nowy miesiąc. Pośpieszając, możesz oglądać następny nów w Egipcie. Droge wskazuje morze, zresztą pojedziemy razem. Dobry targ, synu Tarego: Ja powiodę, a wy uchronicie

mnie przed złodziejami...

- Nie wezmą nas tam w poddaństwo? Z Chaldei uszedłem, gdyż Hamurabi syn Sin Muballita zamierzał zliczyć nas i obłożyć daniną...

Sarug roześmiał się głośno.

- Znam Babilonię i syna Sin Muballita! Przestałem tam jeździć z towarem, gdyż podatek, jaki ze mnie ściągano, pochłaniał cały zarobek. Hamurabi chciwy król. Inni kupcy jeżdżą tam nadal, lecz udają przed inspektorami, że zostali ograbieni na pustyni, przeto nie mają żadnego dochodu. Śliska to rzecz i niebezpieczna, wolę tego nie czynić. Świat nie kończy się na Babilonie.

- W Egipcie nie mają zwyczaju spisywać ludzi?

Sarug roześmiał się znowu.

- Zliczyli wszystkich swych poddanych przed kilku tysiącami lat i powtarzają spisy ludzi i była co lat sto. Nie dziwiłbym się, gdyby i krokodyłe w rzece spisali, i żaby w błocie. Daleko Hamurabiemu do egipskich porządków. Urzędników królewskich w Egipcie więcej niż rolników, a pisarzy tylu, wiele trzcin nad rzeką. Gdzie dwóch ludzi pracuje, trzeci dozorca siedzi z batem i pogania.

- Nie pojedę do Egiptu za nic! - zawołał Ab - Ram.

- Zali cię namawiam, byś tam spędził całe życie? Minąwszy Gorzkie Jeziora wjedziemy do ziemi egipskiej, którą zowią Gessen. Pustynne szczepy chronią się tam nieraz przed suszą i przez rok wolno im mieszkać nie płacąc podatków i nie idąc do pracy. Ziemia urodzajna nad wszelkie pojęcie. Na północy rosną lasy palmowe rodzące daktyle grube i wielkie. Woda z Nilu, czyli Ojca Rzek, dochodzi kanałami w każdy zakątek. Trawy obfitość ogromna...

- Dziwnym zda się twemu słudze, by ziemię tak urodzajną użyczono nieznanym plemionom, nic w zamian nie żądając?

- Mają oni swoje racje - zapewnił Sarug. - Ziemia Gessen graniczy z pustynią. Z pustyni nachodzą łotrzykowie, złodzieje kradnący stada. Rolnicy niechętnie ruszają się ku obronie, za to przyjęte w gościnę plemiona walczą skutecznie, broniąc własnego dobytku. Nieraz zdarzało się, iż przepędziły rabusiów daleko i na długi czas był spokój. Egipcjanie nim co uczynią, dobrze każdą rzecz rozważą, zali się opłaci.

- Kuisz mnie, Sarugu, a spalona trawa wkoło nas przymusza, bym był ci powolny. Wszakże posłuchaj mnie: Jesteśmy ludzie wolni, wolność ceniący nad złoto. Żaden król ziemi nie ma do nas prawa. Odpowiedz szczerze! Wchodząc do Egiptu, gdzie, jak powiadasz, niebawem żaby i krokodyle będą policzone, komu będę musiał się kłaniać i o wierności zapewniać? Jakiemu królowi hołd złożyć? Wybacz moją mowę człowieka prostego. Miłujemy swoją wolność.

- Króla egipskiego, którego zowią Farah, albo Faraon, co znaczy wielki podwójny ród, nie obaczysz wcale, bo mieszka na południu kraju i obcy nie mają do niego dostępu. Poczytywany jest za

boga. Zwyczaj to zresztą obyczaj królewski. Sami bogowie rządzą światem, w tym tylko różni od bogów, że umierają... Nie obaczysz egipskiego króla. Obaczysz i pokłonisz się nomarsze, czyli królewskiemu zarządcy, bo tam kraj jest podzielony na nomy, a każdym nomem zarządza nomarcha. Ziemia Gessen znajduje się w nomie Supti, a nomarcha siedzi w grodzie Kesem (od którego Gessen poszło). Do nomarchy przyszedłszy i pokłon oddawszy, rzekniesz: Przygnała mnie susza. Nie mam czym karmić bydła. Ty masz trawę i wodę, pozwól mi z nich korzystać, póki się moja ziemia znów nie zazieleni... Na co nomarcha odpowie: Paś swoje stada w pokoju.

- To wszystko?

- Wszystko. Jeżdżę rokrocznie, więc wiem. Gdy przyszłą wiosną spadną deszcze na tutejsze ziemie, przyjdiesz znów do nomarchy z takimi słowy: Niech bogowie wynagrodzą twoje dni za udzieloną mi gościnę! Odchodzę do swego kraju, by wszędy głosić, że wielki jest Faraon. Po czym odejdziesz.

- Jakże mu to powiem, skoro mowy egipskiej nie znam?

- Nadtoś ostrożny, Ab - Ramie synu Tarego! Nie wiesz, iż mowa babilońska znana jest w całym świecie? W tej mowie królowie wymieniają listy i każdy urzędnik pojmie, co powiadasz.

Ab - Ram zamyślił się, nieskłony do skwapliwych postanowień. Cokolwiek mówił Sarug syn Efrema, rozumiał, że idąc do Egiptu kładzie głowę w jarzmo i już nie zdoła uczynić nic dla chwały Pana. Czego nie potrafił rozpocząć na wolnych przestrzeniach niczych, nie potrafi dokonać tym bardziej w owym kraju uporządkowanym, podzielonym, pełnym królewskich urzędników. Więc po co tam idzie? Ach, gdyby był sam! Lecz nie był sam. Był naczelnikiem szczepu. Zabezpieczenie współplemieńców przed głodem i niedostatkiem stanowiło jego pierwszy i najważniejszy obowiązek. Wspomniawszy wczorajsze lamente niewieście, płacz dzieci spragnionych wody. Co by się działo dziś, gdyby Igal nie znalazł cysterny? Co będzie za tydzień, miesiąc, dwa miesiące? Sarug słusznie przepowiadał, że słońce wypije niebawem ostatnie ślady wilgoci. Kto winien, że się tu znaleźli? On, Ab - Ram, nikt inny. Słuszna, że teraz on ponosi karę...

- Uczynię, jak radzisz, Sarugu - odezwał się głośno. - Powiodę mój szczep do Egiptu.

- Gdy zapytano barana, dokąd woli iść: do rzeźnika czy na trawę, odpowiedział, że na trawę. Wyboru nie miał trudnego. Tak i ty, Ab - Ramie.

Kupiec roześmiał się ze swego żartu, lecz Ab - Ram pozostawał nachmurzony.

Idith, niewiasta Lota, znalazła rychło sposobność poznamienia się z kupcem, a nawet zawarcia z nim pewnej zażyłości. Wprawdzie nie pochodził z grodu Surri, nie znał jej ojca trudniącego się wyrobem purpury, lecz przedstawiał ten sam utracony świat, bogaty, ruchliwy, żądny rozrywek, za którym uparcie tęskniła. By jej dogodzić, choć Ab - Ram nadal nie zdradzał chęci obejrzenia wiezionych przez kupca jedwabi, Sarug syn Efrema zaofiarował się sam rozłożyć je i pokazać wszystko, co posiada. Wiadomość ta poruszyła całą społeczność niewieścią. Kobiety, nie wyłączając starej Noi, odbiegły garnków tłocząc się wokół kupca, który powoli, z namaszczeniem rozwiązywał juki. W zwierchnych worach ze smołowanego płótna znajdowały się drugie miechy

skórzane, w skórzanych trzecie lniane, w nich pomniejsze zawiniątka spowite w płótno ciasno jak niemowlęta. Z rozmyślną powolnością Sarug rozwijał pierwsze, drugie, trzecie, czwarte... Gdy napięcie patrzących niewiast dosięgło szczytu, zdarł szybko ostatnie spowicie i zamachnąwszy szeroko ramieniem rozrzucił wkoło szumiący, mieniący płat barwistego jedwabiu. Zanim zdążyły ogarnąć go wzrokiem, narzucił nań drugi błękitny, trzeci pożłocisty, czwarty koloru fioletu, piąty zielony jak trawa po deszczu... Upadały tęczą barw na podeślaną plecionkę, skrząc się i błyszcząc w słońcu. Zachwyty odebrał mowę nie tylko kobietom. Mężczyźni zaglądnący zza pleców żon oniemieli również.

Zadowolony z wrażenia Sarug nie szczędził trudu. Zrywał opaski, rzucał coraz piękniejsze bławaty. Na koniec położył palec na ustach nakazując szczególną uwagę. Rozłożył jedwab modry, przegowany nieco ciemniejszymi, także modrymi pasami, usiany białymi i złocistymi krążkami. Pośrodku każdego krążka tkwiła purpurowa pieczęć niby serce. Aż w oczach się ćmiło patrząc na ten wzór, podobny ulewie kwiatów białych i żółtych na błękitnie nieba.

Idith zbladła z pożądlivosti, Sarai spurpurowiała. Oczy jej gorzały pragnieniem tak żarliwym, że Ab - Ram uśmiechnąwszy się pobłażliwie, zapytał Saruga o cenę. Zdawał sobie sprawę, że od dłuższego czasu zaniedbywał Sarai i pragnął wynagrodzić jej pozorną oziębłość. Lecz odpowiedź kupca przeszła jego najgorsze oczekiwania i uśmiech ustąpił miejsca zgorszonymu zdziwieniu.

- Tylko król mógłby to nabyć dla swojej niewiasty.

- Prawdę powiedziałaś, Ab - Ramie. Królewska cena, gdyż jedwab królewski. W Egipcie dwór niewieści rozkupi to ode mnie, nie mieszkając.

Sarug syn Efrema był rozmowny i jadąc obok Ab - Rama nie przestawał opowiadać o krajach i grodach, jakie zwiedzał, obyczajach ludów, wśród których wędrował z towarem. O ziemi położonej na samym krańcu Wielkiego Morza, gdzie srebra jest taka mnogość, że za piasek bywa uważane. Tam, gdy nasi dopłyną - mówił - a naładują srebra, że statki nurzają się aż po burty, wszelkie żelazo czy miedź, czy brąz zostawiają, lejąc kotwice i haki srebrne. Sam widziałem łodzie naszych wracające z kotwami i łańcuchami srebrnymi.

Ab - Ram słuchał z roztargnieniem, ponownie żałując, że nie ma z nim jego ojca, Tarego syna Nachora, który jak dziecko płał ciekawością wszystkiego, co nowe, dalekie i nieznanne. Sam przysłuchiwał się uważnie tylko temu, co dotyczyło Egiptu, kraju, do którego jechał zadając gwałt samemu sobie.

- Złota w Egipcie tyleż, ile w tamtym kraju srebra albo jeszcze więcej - ciągnął Sarug. - Mają na południu kopalnie, gdzie im niewolnicy złoto ze skał wybierają. Stamtąd barkami, Nilem spławiają złoto do miast... Wojsko u nich liczne i bardzo przednie. Łucznicy egipscy w całym świecie sławni. Strzały mają długie, tak mocne, że pancierz przebiją i nie chybiają nigdy. Każda armia posiada swoją nazwę. Pierwsza królewska zwie się "Syta zwycięstw", druga "Łuki niezawodne", trzecia "Potężna w boju". Wielki kraj, mądry kraj, bogate państwo... Zda mi się, co prawda, że za wiele w nim skrybów i urzędników, a zbyt wielkie ciężary nałożone na rolników... Każdy ojciec marzy o tym, by jego syn został skrybą, praca zaś rolnicza poczytywana bywa za najgorszą. Kto może, ucieka od niej. Zdarzało się już nawet, że wybuchał bunt. O bogowie,

poskromcie niesforny język syna Efrema. Zapewne myślę się, Ab - Ramie. Cóż te sprawy mogą obchodzić uczciwego kupca? Co uczciwy kupiec może wiedzieć o tych sprawach? Rolnicy nie kupują ode mnie towaru. Urzędnicy kupują. Chwalę urzędników. Ten kraj jest bardzo pobożny i pilnie przestrzega prawa. Sam faraon nie może nic uczynić, co by niezgodne było z wolą bogów.

- Jak wolę bogów poznaje?

Sarug syn Efrema przymrużył znacząco oczy.

- Od czego kapłani? - zapytał. - Codziennie arcykapłan przesyła faraonowi zlecenia boga Amona. Tego nie czyń, rób tamto...

- Faraon słucha go zawsze?

- Musi słuchać. Widziałeśże kraj, Ab - Ramie, gdzie by nie rządili kapłani? Egipcycy szczególnie są biegli w czarach, Powiadali mi, którzy swoimi oczami widzieli, jak kiedyś przed faraonem arcykapłan odciął gęsi głowę i odrzucił tułów daleko, powiedział zaklęcie, łeb przyskoczył do odrąbanej szyi, gęś zrosła się, wstała i chodziła... Kto by się odważył walczyć z kapłanami?

- Jakich bogów czczą w Egipcie?

- Tylu mają bogów, że tylko kapłan lub skryba może ich wszystkich wyliczyć. Sługa twój pamięta tylko, że jest bóg z głową szakala czy wilka, bóg z głową ibisa i bogini Hathor w kształcie dojnej krowy. Na cześć tej bogini odprawiają raz na rok sprośne i szpetne obrzędy. Czczą też zwierzęta, krokodyle, koty, byki. Balsamują je jak ludzi i stawiają im grobowce.

- Dziwne rzeczy opowiadasz, Sarugu.

- Klnę się na wszystkich bogów, babilońskich, asyryjskich, kanaańskich, egipskich, że to, co opowiadam, jest prawdą. Sam obaczysz. Zali prawilbym bajki wiedząc, iż niebawem poznasz, żem jest kłamcą?

- Nie powiedziałem, że kłamiesz, jeno że dziwni mi się zdają ludzie czczący nierozumne zwierzęta. Wezwałeś na świadków bogów całej ziemi. Powiedz mi, proszę, Sarugu, w którego z nich sam wierzysz?

- Ja? - zdziwił się zapytany. - Ja wierzę w bogów kraju, w którym jestem. Dlaczego mnie o to pytasz? Obowiązkiem dobrego kupca jest stosować się do wiary swoich klientów. Zali targując się z Egipcjanami powiem: wielkie są bogi babilońskie, nie masz większych nad nie? Powiem tak? Nie powiem.

- Pragnąłbym wiedzieć, w którego boga wierzysz naprawdę, wtedy gdy nocą frasujesz się sam w sobie?

- Sługa twój nie frasuje się nigdy, szczególnie nocą - zapewnił Sarug spoglądając na towarzysza z coraz większym zdziwieniem. - Bogowie darzą mnie zdrowiem, a obroty kupieckie są korzystne.

- Nie pragniesz nigdy wiedzieć, który bóg darzy cię zdrowiem?

- Nie.

- Ani który rządzi światem, panuje nad życiem i śmiercią?

- Też nie. Wiem, że każde drzewo spróchnieje i że każdy człowiek umrze. Spodziewam się, że co do mnie, rychło to nie nastąpi... - Poklepał się po brzuchu z zadowoleniem. Umilkli obaj nie znajdując dla swych myśli wzajemnego zrozumienia.

...poniechał parę beczek ladanu - zmarłemu do grobu włożył złote cacka kreteńskie, waha się, czy zamienić pustynię na Egipt... dręczy mnie teraz nierozumnymi pytaniami... Chyba szalony? Tak jest, na pewno szalony. W Egipcie może się podobać. Tam szanują garbusów, karłów, szalonych i chorych na wodną puchlinę... - dumął Sarug.

...Zły jestem, niedbały sługa... Szukałem, czegom nie zgubił, ścigałem, com trzymał w garści... Słusznie pogniwał się Pan, rzucając mnie teraz niby na urągowisko w kraj, gdzie między bogami o głowach zwierzęcych nie będzie miejsca dla Niego... - myślał Ab - Ram.

Jechali długo obok siebie, milcząc. Nareszcie Ab - Ram zapytał:

- Z tego, coś mówił, Sarugu, wnoszę, iż kapłani mają wielką władzę w Egipcie?

- Bardzo wielką, a mieliby jeszcze większą, gdyby nie kobiety, które rządzą po swojemu...

Tym razem zdziwienie Ab - Rama było tak szczere i silne, że przerzucił nogę przez grzbiet osła, obracając się całym ciałem ku mówiącemu.

- Żartujesz ze swego sługi, Sarugu synu Efrema! Jakoż mogłyby rządzić niewiasty stworzone po to, by rodzić i słuchać?

- Tak jest u was, w Chaldei. W Egipcie inaczej. Niewiasty mają prawa równe mężczyznom lub większe... Nie żartuję bynajmniej, Ab - Ramie synu Tarego. BYwa, że prawa ich są większe niż męskie. Kobiety mają głos wszędzie. Są piękne i śmiałe. Są nieskromne i pełne pożądliwości. Mężczyźni im ulegają. Nawet kapłani... Słyszałem powiastkę ucieszną o faraonie, co oślepl. Składał Amonowi ofiary, bóg zasię rzekł: Zdejmę bielmo z twoich oczu, jeśli przywiedziesz mi wierną żonę napotkaną w twoim państwie. Faraon wtedy zapłakał, rozumiejąc, iż umrze w ślepotcie... Jest inna śmieszna powiastka o pięknej i pożądliwej Nitobie, która póty napastowała brata swego męża, aż ten bojąc się starszego obciął swą męskość i w oczach niewiasty rzucił krokodylom...

Ab - Ram słuchał z rosnącym zgorszeniem.

- Sarugu synu Efrema - rzekł - powiadałeś, iż nie możesz obrażać swych klientów chwając przy nich innych bogów, nie lękasz się zaś mówić mnie, obcemu, rzeczy ukrytych i bardzo ten naród obrażających?

Sarug wybuchnął śmiechem.

- Powiastki, którem ci powiedział, Ab - Ramie, powtarzane są jawnie w Egipcie. Kto zna pismo, może je przeczytać skreślone na papirusie. Te i gorsze mówione są głośno przy biesiadach, nawet na dworze królewskim. Gorącą krew mają Egipcjanie i chętnie ulegają pokusie. A że prawo jest u nich bardzo szanowane, radzą sobie przemyślnie. Prawo mówi, że kto by mężowi zabrał żonę, śmiercią będzie ukarany. Wieszli, co czyni pożądlivec pragnący żony drugiego? Męża zabija skrycie albo jawnie, a żonę bierze, bo pojąć wdowę jest czynem chwalebny... A tak pożądaniu dogodzi i bogów nie obrazi. Taki to naród... Chorowaliby pewnie od częstej rozpusty, lecz każdy chłopiec w niemowlęctwie bywa obrzezany.

- Sługa twój nie rozumie, co mówisz - przerwał Ab - Ram.

Kupiec tłumaczył Ab - Ramowi, który dziwił się coraz bardziej.

- Powiadają - kończył Sarug - że tak zdrowiej i czystiej. Choroby się nie czepiają i płodność większa. Pilnie tego obyczaju przestrzegają. Mąż nieobrzezany zwie się u nich "amu" - nieczysty. Jak od nieczystego stronią. Wina piją bardzo mocne, daktylowe, a najwięcej piwa, które zowią "syccera". Warzą je z jęczmienia wystalego z gorzkim łubinem i wonnymi ziołami. Lubują się w nim. Mnie nie smakuje, bo ciężkie...

ROZDZIAŁ DRUGI ZDANY SAM SOBIE

- To mój kraj! To mój kraj! - wołała z uniesieniem Hagar, zwykle milcząca niewolnica Sarai, szarpiąc za ramię kroczącą obok niej Keturę. - To mój kraj! Patrz! Ojciec mój miał niewolnika, który tak samo ciągnął wodę - ukazywała ręką sterczące gęsto nad kanałem tyki, zwane "szaduf", służące do przelewania wody z kanału w rowki zraszające pola. Do żerdzi wbitej pionowo w ziemię przytwierdzony był drąg poprzeczny, ruchomy, opatrzony na końcu w wiadro drewniane lub króbę z kory. U przeciwnego końca drąga uwiązany sznur pozwalał podnosić i opuszczać wiadro. Całkowicie nadzy, oprócz wąskiej krajki na biodrach, ciemnolicy, wygoleni ludzie zniżali wiadro, czerpali wodę, podciągali sznurem w górę, obracali w koło drąg, wylewali zawartość wiadra do rowu, obracali z powrotem, nachylali, czerpali, podnosili, obracali, opuszczali, czerpali, obracali, wylewali i tak bez końca, bez zatrzymania i folgi. Żerdzie skrzypiały, woda kolebała się lub wychlapywała z wiadra, gdy sznur pociągnięto zbyt mocno. Wzdłuż całego kanału śpiewano dla usprawnienia ruchów pieśń monotonną i nie kończącą się jak trud pracowników. Ociekający potem ludzie zaledwie odwracali głowę, by spojrzeć na ciągnącą karawanę. Brodate lica przybyłych zdradzające cudzoziemców zdawały im się warte uwagi, lecz pośpiech pracy większy był niżli ciekawość.

Sarug syn Efrema nie mijał się z prawdą wychwalając bogactwo tej ziemi. Umęczeni suszą ludzie Ab - Ramowi patrzyli z żarłocznym zachwytem na zielone tłuste łąki, gaje palmowe i gaje figowe, jedne i drugie obciążone nie dojrzałym jeszcze owocem. Gęsta pszenica bieląca gotowa do żniwa. Tylko domostwa mieszkańców tego bogatego kraju wydawały się Hebrajczykom nędzniejsze od wszystkiego, co dotąd widzieli. Nie były to bowiem nawet znane im stożki gliniane z otworem u szczytu, lecz sklecone niedbale budy z sitowia obrzuconego ziemią.

Ab - Ram jechał posepny na czele pochodu, z uczuciem, że idzie w pętą. Zdawało mu się nieprawdopodobne, by kraj tak starannie zagospodarowany przyjmował obcych, nic od nich w zamian nie żądając. Posuwali się bardzo wolno, gdyż wygłodniała trzoda dorwawszy się trawy nie chciała iść dalej. Na koniec stanęli na obszernych łąkach ujętych w ramy kanału. Podczas gdy stada i ludzie odpoczywali, jedli i pili, szczęśliwi, Ab - Ram pełen złych przeczuć oczekiwał, co nastąpi.

Nie czekał długo. Jeszcze tego samego dnia otoczył ich oddział żołnierzy, owych sławnych łuczników, o których opowiadał Sarug. Twarze i głowy mieli gładko wygolone, na głowach peruki z włosia chroniące czaszkę przed słońcem, na nagich brunatnych ciałach pancerze z siatki podbitej skórą oraz krótkie białe spódniczki płócienne. U pasa kołysały się hełmy wdziewane przed bojem. Uzbrojeni byli w krótkie miecze, czworokątne tarcze zawieszane na plecach, łuki i dzidy. Ani żołnierze, ani ich dowódca (ten ostatni nie nosił łuku, lecz za pasem miał zatkniętą miotłkę do odpędzania much), nie znali mowy babilońskiej i obojętni na przedkładania Ab - Rama gotowali się pojmać cały szczepek w niewolę. Nie wiadomo, jaki byłby koniec zajścia, gdyby nie obecność Hagar. Bez pytania o zezwolenie Ab - Rama czy też swej pani dziewczyna wyskoczyła naprzód, uklękła przed dowódcą, biła mu pokłony, mówiła w swym języku szybko, szybko. Wyciągała ramiona, ukazywała wymownie na kobiety i dzieci, na ślepego Igała. Wojownik słuchał uważnie wodząc oczami. Żołnierze wybałuszili oczy na brodatych cudzoziemców. Ab - Ram stał milczący i zły.

Sprawdziły się jego przewidywania. Zawierzył Sarugowi i lekkomyślnie wkroczył na te ziemie. A ta niewolnica gada i gada. Co też może opowiadać? Zapewne błaga o litość dla nich, litość, rzecz najcięższą do zniesienia dla każdego męża. Nareszcie Hagar umilkła, dowódca przemówił krótko, dziewczyna obróciła się ku swemu panu:

- On powiada, że zapyta nomarchy, co z nami uczynić. Pokąd odpowiedź nie przyjdzie, pozwoli nam zostać, jeżeli, o panie mój, dasz mu zakładnika.

Przemawiała jak do równego, lecz nie był to czas na karcenie.

- Rzeknij twoim ziomkom, niewolnico - odparł Ab - Ram po namyśle - że daję w zakład syna mojego brata, jedynego krewnego, jakiego tu mam. Synu Arana, idź z nimi.

Lot przeraził się i skulił, lecz poszedł bez słowa. Gdy łucznicy odchodzili, Hebrajczycy spoglądali z podziwem na wzorowy porządek pochodu. Ciemne nagie nogi żołnierzy podnosiły się równo jak jedna. Zwieszona hełmy dzwoniły cicho o miecze.

Nieobecność Lota przedłużała się. Po tygodniu do obozu przyszło dwóch żołnierzy. Hagar przetłumaczyła ich słowa. Wielki i mocny jak byk, mężny jak lew nomarcha Nenitef, wzywał przed swe oblicze wodza nieobrzezanych "amu". Nomarcha znajdował się o dzień drogi stąd w Kesem. Żołnierze mieli obowiązek przyprowadzić tam "hak'a", czyli naczelnika.

Ab - Ram zbierał się rad nierad, skłopotany tym, jak się w owym grodzie porozumie. Wprawdzie Sarug zaręczał, że każdy urzędnik egipski zna mowę babilońską, lecz niejedno z zapewnień Saruga okazało się już nieściste. Zabierając ze sobą Hagar naraziłby się na śmieszność. Niewolnik, szczególnie z jeńców wojennych, nadawał się na tłumacza, ale niewiasta! Wątpliwość rozstrzygnęła sama Hagar, którą ujrzał przed namiotem gotową do drogi.

- Będę szła z tyłu za twym osłem, panie - rzekła, jak gdyby odgadując jego myśli - i pozostanę na dziedzińcu razem z innymi sługami. Jeżeli szlachetny Nenitef nie zna twojej mowy, każesz, by mnie zawołano.

- Niech będzie, jak mówisz - przystał Ab - Ram bez zapału.

Dwaj łucznicy szli naprzód szybkim miarowym krokiem. Za nimi Ab - Ram na osle, za osłem Hagar i Sur. Ab - Ram przyglądał się karkom żołnierzy widnym spod peruk, ich gładko ogolonym podbródkom. Dlaczego wszyscy w tym kraju noszą się jak rzeźniacy? Ab - Ram na równi z każdym mieszkańcem doliny Tygru i Eufratu wolałby sobie dać odciąć raczej nos niż brodę, piękną oznakę męskości, nie pojmował przeto, by ludzie szpecili się tak dobrowolnie. Wyczerpawszy zdziwienie rozglądał się po okolicy. Wszędzie sterczały szadufy, owe żerdzie do czerpania wody, gdzieniegdzie jednak służył do tego celu przyrząd przemyślniejszy: kilku ludzi obracało wielkie, ciężkie koło. Chwyтали ramionami szczeble wbite w obręcz, deptali je nogami zmuszając koło do obrotu. Zdawali się wpleceni w tę mozolną pracę trwającą bez przerwy od wschodu do zachodu słońca. To znów uwagę Ab - Rama zwróciły okrągłe, przysadziste baszty bezokienne, murowane z cegły. Przypomniały mu Studnię Milczenia.

Niespodziewanie Hagar znalazła się tuż przy osle.

- To są spichrze na ziarno - objaśniła. - Niewolnicy ciągną linami wory ze zbożem do góry i zsypują, a gdy wieża jest napełniona, zamurują otwór. Pieczęć króla kładą na nim. U dołu jest drugi otwór, też zamurowany i zapieczętowany... Wybierają nim ziarno, gdy przyjdzie potrzeba...

Mówiąc podnosiła na swego pana oczy podmalowane silnie antymonem. Brwi i rzęsy przedłużone sadzą aż do skroni robiły wrażenie, że źrenice jej są osadzone z boku, jak u ptaka. Ab - Ram spojrział na nią z nieukrywaną niechęcią. Była spoufalcona, przy tym obciążały ją jako Egipcjanke wszystkie obrzydliwości opowiadane przez Saruga syna Efrema. Nie odpowiedział nic. Hagar zrozumiała milczącą przyganę i cofnęła się za plecy Sura, gdzie pozostawała do końca podróży.

Obecność jej zresztą okazała się niepotrzebna, gdyż na dworze Nenitefa nie brakło tłumaczy. Ab - Ram odetchnął i nabrał pewności, zwłaszcza gdy tuż na wstępie ujrzał Lota oddanego jako zakładnika. Syn Arana był zdrow i wesół. Padłszy do nóg stryjowi oznajmił mu, że Egipcjanie są dobrzy ludzie i że chętnie pozostałby tu jeszcze pewien czas.

Czekali na posłuchanie w wielkiej, chłodnej sali wspartej na trzech rzędach kolumn, wśród licznej gromady ludności miejscowej, przybyłej z prośbami lub dla wymiaru sprawiedliwości. Mimo świetnie barwnych malowideł na ścianach gmach wydał się Ab - Ramowi lada jaki, stawiany niedbale. Nim zdążył podzielić się tą uwagą z Lotem, wezwano ich przed oblicze nomarchy. Nenitef, krewniak przedostatniej dynastii, udzielał posłuchania w sali sąsiedniej, otoczony przez cztery piękne wachlujące go niewolnice i tyleż skrybów. Ci ostatni siedzieli nieruchomo na ziemi trzymając w dłoni zaostrome trzciny, na kolanach zwoje papirusu, wzrok uporczywie wlepiając w twarz pana. Dostojnik odziany był w biały przezroczysty muślin, mowę miał zwięzłą, rozkazującą, babiloński język znał, tłumacza nie potrzebował. Zwolnił Lota, upoważnił Ab - Rama do pasienia swej trzody na ziemiach syna Amona, pana Górnego i Dolnego Kraju, oraz zapowiedział rychłe przysłanie urzędnika z pisarzami dla zliczenia ludzi i bydła. Zatem upokarzające spisy nie miały być oszczędzone i Ab - Ram powracał chmurny. Zatopiony w swych myślach zaledwie słyszał słowa Lota biegnącego tuż przy nim i gadającego bez przerwy. Wiele ciekawych rzeczy widział przez ubiegły tydzień syn Arana! Jadał codziennie nie znaną dotychczas żadnemu Hebrajczykowi cebulę, roślinę o wielkiej mocy, wyciskającą łzy z oczu, pił piwo z jęczmienia. Zdumiewał się ilością pisarzy, którzy cieszą się powszechnym szacunkiem i pracę mają lekką. Nie mógł kreślić znaki trzcina zamiast ryć je w kamieniu lub glinie. Płat jasnobrunatny, gładki i sztywny, na którym piszą, zrobiony jest także z trzciny zwanej papirusem, której tyle wszędzie rośnie... - Naprawdę ze trzciny - zapewniał, choć Ab - Ram nie podawał jego opowieści w wątpliwość. - Rozcinają ją, tłuką młotkiem na miazgę, aż puści klej. Paski trzciny sklejają razem, jedne w poprzek, drugie wzdłuż, przyciskają kamieniami i suszą na słońcu...

...Trzcinę do pisania zacinają jak strzałę, maczają sam koniec w czerni i piszą. Widziałem piec do robienia czerni... Okrągły jak kopiec, cały zamknięty. Tłą w nim gałęzie palmowe, a sadza gromadzi się na sklepieniu. Zgarniają ją piórami i ucierają z oliwą. A miesiące u nich takie same jak u nas, od nowiu do nowiu, każdy miesiąc innemu bogowi przynależny. Mają cztery pory roku, tak jak my. Pora powodzi, pora siewów, pora żniw, czwartej zapomniałem. Psami nie brzydzą się wcale, stryju Ab - Ramie. Szanują psa i szakala. Sam widziałem, że psa pieszcza, jak my gazelę Sebi. Mają osobne psy do łowów na lwa, inne, bardzo szybkie, długonogie do ścigania zwierza, a jeszcze inne

do łowów na ptactwo. Mowa egipska nie bardzo trudna. Żeby tam zostać dłużej, nauczyłbym się ich mowy. Czy uradowałbym twoją duszę, stryju Ab - Ramie, nauczywszy się po egipsku? Miałbyś tłumacza!

Stryj milczał uparcie. Drażniła go łapczywość Lota na wszelkie nowinki, ciekawość rzeczy innych niż codzienne, która to ciekawość przystoi dziecku, niewieście, ale nie mężowi. "Podaj nogę w pęta mądrości, szyję w łańcuch jej, a poznasz, że to jedynie wartościowe, co stare" - mawiał Nachor, starszy brat pozostający w Harranie. Zaprawdę, słusznie powiadał! Jeżeli Ab - Ram milczał nie przyganiając tego otwarcie Lotowi, to tylko dlatego, że paplanina bratanka przypominała mu aż nadto żywo zmarłego, gorąco kochanego ojca, Tarego syna Nachora, który tę samą dziecinną ciekawość zachował przez całe życie...

W czasie gdy szczep synów Hebera pał swe stada w ziemi Gessen, odwiecznym państwem Dolnego i Górnego Kraju rządził władca stodziewięćdziesiąty drugi z rzędu królów egipskich noszących podwójną koronę. Biała mitra Kraju Południa oraz czerwony diadem Kraju Północy złożone razem stanowiły ową koronę zwaną Pszent. Ród, z którego faraon pochodził, miał być w przyszłości nazywany dynastią dwunastą, zaś czas jej panowania okresem Państwa Średniego.

Na wzór swoich poprzedników stodziewięćdziesiąty drugi z kolei władca nie używał prawie nigdy swego imienia. Było ryte na pomnikach, wymieniane w korespondencji z innymi panującymi, lecz stanowiło świętość zbyt dostojną, by przenikać do wiadomości ogółu. Poddanym wystarczać winno przekonanie, że faraon jest synem boga wyposażonym we wszelkie przymioty bogom przynależne. Więc mężny jak lew, niebezpieczny jak ranny hipopotam, szybki jak chart, dalekowzroczny jak jastrząb, mocny jak byk, płonący jak pożar. Jego wola - mur żelazny, jego pierś - wzgórze stalowe, jego ramię - skała niewzruszona, jego miecz - piorun bijący, jego głos - palma szemrzająca, jego piękność - lotos rozkwitający. Wyliczenie tych zalet zastępowało imię. Prawdziwe miano było ogłaszane publicznie ludowi dwa razy tylko: w chwili koronacji i w czasie pogrzebu. To miano święte i nieużyteczne brzmiało dla obecnego faraona: Amenemhat Czwarty.

Poprzednik jego, Amenemhat Trzeci, obdarzył Dolny Kraj sztucznym jeziorem wykopany w pobliżu oazy Moeris wysiłkiem wielu setek tysięcy niewolników. Jezioro gromadziło nadmiar wody niesionej ku morzu przez Nil w czasie powodzi i zasilalo nią dolinę w lata niedostatecznego przyboru. Dla upamiętnienia wielkiego dzieła wzniesiono nad brzegiem jeziora pałac dla króla i świątynię dla bogów, panujący zaś obecnie Amenemhat Czwarty obrał to miejsce dla wybudowania własnej piramidy grobowej. Zarówno świątynia, jak piramida zbudowane były potężnie, starannie, pałac królewski pośpiesznie i nietrwale. Wynikało to z przekonania, że bogowie są nieśmiertelni, zmarli również, zaś mieszkanie doczesne potrzebne jest tylko na krótkie życie człowieka. Gdy zręby piramidy wznosiły się do połowy wysokości, Amenemhat Czwarty przybył z Teb do Moeris, aby obejrzeć budowę.

Faraonowi towarzyszyła jego małżonka Atanah, równie jak on uznana za córkę Amona, będąca w siódmym miesiącu ciąży. Oczekiwany syn miał być pierworodnym, tym, co otwiera łono matki. Królewskiej parze towarzyszył liczny dwór, złożony z kapłanów, astrologów, wróżbiarzy, lekarzy, ministrów, pieśniarzy, ptaszników, łowczych, przełożonych nad paznokciarzami pana, nad trefiaczami sztuczne włosy pana, nad golarzami oczyszczającymi z włosów ciało pana, nad wyrabiaczami peruk, nad wytwórcami barwiczki dla niewiast - z szatnych, sandalników, prasowaczy, pracy,

karbowników muślinów, rozcieraczy wonności, masażystów, łaźiebnych, eunuchów, karłów, niewolników i niewolnic. Przed dworem i za nim zdążyły silne oddziały wojskowe. Dwór niewieści liczący ponad czterysta nałożnic, przeważnie cudzoziemek, pozostał w Tebach, niemniej do Moeris przybyło kilkadziesiąt piękności strzeżonych przez ochmistrynie i rzezańców.

Wyjazd tak liczny, kosztowny, a ze względu na stan królowej niebezpieczny, podyktowany był nie tylko chęcią sprawdzenia postępów budowy pośmiertnej piramidy Amenemhata Czwartego. Aczkolwiek kapłani nie osiągnęli jeszcze w tym czasie władzy, jaką mieli uzyskać w przyszłości, stanowili już niemałą przeszkodę w sprawowaniu rządów. Ambitni dostojnicy dworscy, wielki łowczy Neferhotep i inni, usiłowali nakłonić króla, by przeciwstawił swą wolę syna Amona woli Amonowych sług. Wielce pomocnym w tym względzie mogło być wykorzystanie odwiecznych różnic dzielących Kraj Południa od Kraju Północy i to zadanie stanowiło rzeczywisty cel podróży.

Acz złączone przed półtora tysiącem lat, Kraje Górny i Dolny stanowiły nadal dwa odrębne państwa. Południe - wąska dolina obwarowana z dwóch stron górami, zamknięta z południowego wylotu kataraktą Nilu - było skostniałe, hieratyczne, zachowawcze i niewolniczo oddane kapłanom. Północ stanowiła szeroką otwartą przestrzeń, obrzeżoną morzem, stykała się z sąsiadami, chwytiała nowe prądy, uznawała możliwość zmian i buntowała się nieraz przeciw uroszczeniom kapłańskim. Zadawniony żal o przeniesienie stolicy z Memfis do Teb podsycił tę niechęć.

W Moeris zatrzymano się kilka tygodni. Z Moeris pół tysiąca statków przewiozło parę królewską wraz z dworem do starożytnego, czcigodnego Memfis. Po miesiącu spłynięto dalej, do Bubastis, położonego na prawym brzegu Nilu. Tam pozostały statki, olbrzymi orszak zaś ruszył w lektykach poprzez ziemię Gessen. Wielki łowczy namówił bowiem faraona, by przed powrotem zapolował na granicy pustyni na "zurafet", dziwne stworzenie o wzroście i głowie wielbłąda, szacie lamparta, a szybkości dzikiego kozła. Na granicy nomu Supti oczekiwał swego pana nomarcha Nenitef. Krocząc z odkrytą głową przy lektyce królewskiej odprowadzał faraona do Kesem, zdając po drodze szczegółowe sprawozdanie z zarządu prowincją.

- Co to za ludzie dziwacznie ubrani? - pytał Amenemhat ukazując widne w oddali postacie w białych chustach na głowie i płowych płaszczach. (Byli to Lot, Jahiel, Sur i paru innych Hebrajczyków. Posłyszawszy, że faraon idzie, wybiegli z obozu, by przypatrzeć się orszakowi).

- Pasterze z plemienia synów Hebera - objaśnił Nenitef. - Uciekli z Azji przed suszą. Pozwoliłem im pozostać tutaj przez rok, by powróciwszy do siebie wysławiali twoje imię, o synu Amona!

- Z Azji?... - powtórzył przeciągle faraon. Przypomniawszy sobie znaną w Egipcie przepowiednię bardzo starożytną, od proroka Neferehu z czasów trzeciej dynastii pochodzącą, że ludy z pustyni azjatyckich zagrożą Państwu Południa i Północy, oraz drugą, jeszcze starszą, iż przyjdzie z Azji pasterz ludzkości i usunie zło ze świata.

- Chciałbym zobaczyć tych ludzi - rzekł niespodziewanie.

- Zawiadomię natychmiast to plemię o szczęściu, jakie ma je spotkać.

Bydło zostaje w obozie pod strażą paru poganiaczy. Bydło nie może kurzyć i smrodzić w bliskości syna Amona, pana Południa i Północy. Natomiast ludzie idą wszyscy. Mężowie, niewiasty, starcy, dzieci. Ruszą natychmiast z obozu, by uprzedzić przybycie faraona na najbliższy postój, i tam staną czekając jego łaskawości. Skryba Kheti, wysłany przez nomarchę Nenitefa, tłumaczy za pośrednictwem Lota i Hagar, co mają czynić, jaki oddać pokłon. Ab - Ram słucha posępny, jak chmura gradowa. Przekłęta ciekawość, która powiodła syna Arana i jego towarzyszy na wzgórze gapić się na pochód królewski! Słusznie potępiał tę skłonność, stającą się jedynie źródłem powikłań i upokorzeń! Trzeba iść, padać na twarz, oddawać hołd jak Bogu. Najwięcej drażni Ab - Rama, że wokół siebie widzi twarze zadowolone i podniecone. Zobaczą króla, tyle dziwów, bogactw! Hagar szaleje z radości, stara Noa klaszcze w ręce, Lot nie może ustać na miejscu. Nawet Sarai płonie ciekawością. Uciechę jej mroczy tylko wola męża, który kazał zachować niewiastom stroje codzienne. Zwyczajne białe zasłony i lniane szaty. Już wszyscy stoją gotowi do drogi, nie widać tylko Idith, żony Lota. Ab - Ram chce zagadnąć bratanka, gdzie jego niewiasta, gdy skryba pyta, jakie ofiarują dary.

- Dary?... Dary?... Nie ma darów...

Skryba Kheti chmurzy twarz. Nie ma darów? To niedobrze. Stanać przed obliczem pana z próżnymi rękami stanowi obrazę majestatu ukochanego syna Amona i Ozyrysa. Trzeba coś ofiarować koniecznie.

- Nie mam nic prócz bydła - tłumaczy Ab - Ram zmartwiony.

- Ofiaruj tę gazelę, syn Amona będzie rad - podsuwa skryba.

- Oddać Sebi?... - Ab - Ramowi żal Sarai, żal miłego, pięknego stworzonka, ale cóż poradzić? Skoro nic innego nie ma, wypada dać gazelę.

- Najdostojniejszy pan nasz - mówi Kheti - raczy miłować zwierzęta. W swym pałacu posiada oswojone lwy, lamparty i kilkanaście gazeli.

Sarai wpada w rozpacz. Ab - Ram zajęty uspokajaniem niewiasty nie zwraca uwagi na Idith, która przemyka chyłkiem za wozem, owinięta z głową w szare płótno. Wszyscy ruszają pospiesznie. Sarai idąc pieści Sebi i wstrzymuje płacz, by nie drażnić męża i tak gniewnego. Pisarz Kheti prowadzi nawołując do pośpiechu. Gdy dochodzą do umówionego pagórka, wąż pyłu w oddali zwiastuje zbliżanie się królewskiego orszaku. Ustawiają się zatem śpiesznie, osobno mężczyźni, osobno niewiasty z dziećmi. Idith, żona Lota, wysuwa się w przód, zrzuciła szare radno, jest odziana jak królowa. Łuna od niej bije. Suknia z jedwabiu, owego jedwabiu, który pokazywał Sarug syn Efrema. Na modrym tle ciemniejsze pręgi, na nich rzucona ulewa kwiatów białych i żółtych z czerwonym sercem pośrodku. Krój sukni jest wyszukany. Nie luźna szata spływająca w fałdach, lecz długa po kostki marszczona spódnica i bardzo obcisły stanik. Twarz umalowana barwiczką, oczy podczernione, brwi i rzęsy przedłużone na modę egipską, nausznice w uszach, złoty nezem w nozdrzach. Na puklach miedzianych zasłona lekka jak tchnienie, prawie niewidzialna. Zachwycona sobą, wyzywająca, obojętna na gniew męża lub Ab - Rama, Idith skrzyżowała ręce na piersiach i stoi piękna, wyniosła, podobna do posągu bogini Izydy. Na tle lnianych szat pozostałych kobiet wygląda jak księżniczka wśród niewolnic, toteż wszystkie niewiasty dławią się ze złości. Bezwstydna ruda

jaszczurka!

Ab - Ram jest oburzony, Lot zmieszany, lecz nie pora na rozprawy. Żołnierze straży przybocznej już mijają stojących, za chwilę biegnąc nadejdą z królewską lektyką.

Oto już są. Przystają. Pod ciężką koroną złożoną z dwóch diademów, białego i czerwonego, pod złotym ureusem schodzącym na czoło, widnieje twarz przedwcześnie dojrzałego chłopca o podłużnych oczach, wystających kościach policzkowych i podbródka, któremu nawet sztuczna złota broda nie może nadać wyrazu stanowczości. W ręku trzyma złotą miotełkę do odpędzania much. Wspominając w myśli tajemnicze przepowiednie patrzy ciekawie na włosy i brody obcych. Przesuwa obojętnie wzrokiem po Idith. Zbyt podobna do oglądanych przezeń codziennie Egipcjanek, by mogła go zaciekać.

Ab - Ram z gazelą w ramionach klęka przed królem, ofiarowuje smukłe zwierzę. Dwóch niewolników z wachlarzami z piór strusich stoi za lektyką, a przed nią, tyłem do kierunku pochodu młody pisarz z papirusem i trzcina w ręku, wpatrzony uważnie w lica władcy. Idzie całą drogę tyłem, obowiązany zapisać każde słowo, które padnie z ust królewskich. Zdaje się łowić je na wargach pana, zanim zostaną wypowiedziane.

- Skąd jesteś? - pyta faraon Ab - Rama po babilońsku.

- Przybyłem z kraju Sinear nad Eufratem. Słońce pożarło trawy i moja trzoda zginęłaby śmiercią z głodu, gdybym nie znalazł gościny w twym kraju.

- Mój brat Hamurabi, syn Sin Muballita - zauważył faraon z przekąsem - uchodzi za wielce mądrego, wszakże sposobu na zażegnanie suszy jeszcze nie posiada. Nasi kapłani wiedzą, jak ujednać bogów, i Ojciec Rzek nigdy nie odmawia wody. Zapisz, że to powiedziałem - zwrócił się do skryby.

Podniósł dłoń, by pogłodzić głowę Sebi. Spłoszone zwierzę wyrwało się z ramion Ab - Rama i skoczyło ku swoim tuląc się do nóg Sarai. Dłoń syna Amona zawisła w powietrzu, a na twarzy odmalowało się niezadowolenie. Wszyscy struchleli. Obejmując gazelę za szyję Sarai podsunęła się na klęczkach ku lektyce. Spłoniona pod białą zasłoną, z oczami wilgotnymi od niedawnych łez, niewiasta była bardzo piękna. Jak gdyby dogasający czar jej niezwykłej urody odżył, skupił się cały w tej chwili, gdy wszelka myśl zalotna była od niej daleka. Cierpiała nad rozstaniem z Sebi, rozumiała konieczność tego poświęcenia. Gdy patrzyła lękliwie i błagalnie na króla, przytulone do siebie głowy jej i gazeli zdały się podobne do siebie w wyrazie i obie cudne.

Faraon patrzył z upodobaniem. Nozdrza mu drgały.

- Kto jest ta niewiasta? - zapytał.

- Moja siostra - odparł Ab - Ram bez wahania.

- Ciesz się zatem, gdyż zabiorę ją z gazelą na mój dwór. Tobie pozwalam paść bydło na tej ziemi, dopóki trawa w twoim kraju nie odrośnie. Zapisz - zwrócił się do skryby - że tak

powiedziałem.

Skinął miotełką i biegacze podjęli swój równy krok. Lektyka jęła się oddalać. Teraz przeciągał nie kończącym się szeregiem dwór.

- Nedorostek! - syczała Idith. - Nie umie rozróżnić młodej niewiasty od starej!

Ab - Ram powstał z trudem z klęczek. Spojrzał na osłupiałą, strwożoną Sarai. Kheti podbiegł rozpromieniony winszując tak wielkiego wyróżnienia.

- Przekleństwo mej głowie! - jęknął Ab - Ram nie zwracając na niego uwagi. Padł na ziemię szarpiąc brodę i włosy w rozpacz.

Orszak królewski szedł długo i przez głowę leżącego zdążyło przegnać wiele szalonych i niemożliwych do wykonania pomysłów. Biec za królem, paść mu znów do nóg wołając: Daruj mi! Skłamałem! To żona moja!... Porwać Sarai i uciec z nią w pustynię... Zabić ją, nim by poszła w cudze łóże, własnowolnie przez męża popchnięta... Myśli te rodziły się i gasły, nadbiegały nowe. Kroki nieprzerwanie idących dworaków tętniły tuż nad jego głową. Jeszcze nie przeszli wszyscy, gdy jęto szarpać go za ramię.

Podniósł się. Dwóch biegaczy stało z pustą, otwartą lektyką. Przy nich starszy brzuchaty człowieczek o nalanej twarzy eunucha.

- Gdzie jest niewiasta, na którą spojrział syn Amona? - zapytał piskliwym głosem.

Bez słowa Ab - Ram ukazał głową Sarai, swoją żonę, swoją wierną, miłowaną towarzyszkę. Sarai wsiadła do lektyki wołając Sebi za sobą. Biegacze podnieśli drążki i ruszyli śpiewając w takt kroków: "Miło nam, gdy lektyka nie ciąży ramionom, jeszcze milej, gdy w niej piękną dźwigamy..." Rzezaniec poganiał. Musieli dognać ochmistrzynię niesioną tuż za królową. Sarai jak gdyby ocknięta, krzyknęła rozpaczliwie: - Ab - Ramie!

- Moja gołąbko! Kiedy cię zobaczę! - odpowiedziała zawodząco stara Noa. Idith przygryzała wargą nezem z zazdrości.

ROZDZIAŁ TRZECI ZWRÓCONA

Pył wzniesiony stopami biegaczy, osłów i wielbłądów - opadł. Orszak królewski zniknął w oddaleniu. Nie było na co czekać dłużej i Ab - Ram powlókł się z powrotem do obozu. Otaczający go współplemieńcy wymieniali głośne spostrzeżenia dotyczące wyglądu króla, strojów dygnitarzy - cieszyli się, że tyle świetności widzieli, śpieszyli do jadalni czekającego w obozie. Ab - Ram szedł jak ogłuszony, obojętny na wszystko wokół. To, co się stało, było tak nagłe i niespodziewane, że sądził, iż jest pastwą złej mary nocnej, sennego zwidzenia. Dopiero zamknąwszy się w swoim namiocie zdołał ocenić ogrom nieszczęścia, jakie go spotkało, i własną haniebną rolę w tym zdarzeniu. Tak, haniebną! Gdyż skłamał. Bał się, że faraon pożądanec Sarai rozkaże zabić niewygodnego męża, jak o tym opowiadał Sarug. Mgnienie wystarczyło, by myśl, lotna jak jaskółka, wyczuła pożądanec królewskie i kłamliwym słowem osłoniła przed niebezpieczeństwem. Pogardzał dawniej ludźmi, którzy oddawali żonę, by siebie uchronić, a dziś tak samo postąpił!

...Nie skłamałem... - usiłował bronić się sam przed duszą swoją. - Sarai prawdziwie jest siostrą moją... - Wstyd go ogarnął na nicość tego wykrętu. Byli wprawdzie przyrodnim rodzeństwem (co Noa poczytywała za przyczynę bezdzietności) - lecz on dawno o tym pokrewieństwie zapomniał i od lat myślał o Sarai tylko jako o żonie, nigdy inaczej. Więc niegodny nazwy męża skłamał - i skłamał ze strachu...

...Musiałem oszczędzić dni swoje, by nie przeminęły nagle, gdyż Pan powołał mnie do służby swojej... - uniewinniał się znowu sam sobie, lecz wnet zdało mu się, że groźna dłoń pochwyciła go za gardło. - Mężu niecnotliwy i chytry, Pan sam Ciebie uratuje, jeżeliś jest Mu potrzebny! Nie do ciebie należy ta troska! Czemuś do Niego nie wołał? Wiedziałeś, że jest skory do pomocy, przecz nie pomyślałeś o Nim?! Niegdyś, na tratwie, gdy woda linę zerwała, głos twój doleciał do Niego i przeprawiłeś się wraz ze swoimi szczęśliwie, a cóżeś teraz uczynił? Jak ślimak ufający w moc swojej skorupy, jak gad, co sam skręca się i zwija, okryłeś się własną chytrą, miast potęgą Boga... Nie wyciągnąłeś rąk w górę, nie krzyknąłeś: Panie! Ku ratunkowi memu, pośpiesz się! Strzeż mnie jak źrenicy oczu, osłoń mnie cieniem swych skrzydeł... Nie uczyniłeś tego. Nie wzniosłeś duszy ku Panu, boś o Nim prawdziwie zapomniał...

...Wyparłeś się żony i straciłeś ją. Obraziłeś Pana i straciłeś Go. Nuże! Polegaj dalej na sobie samym, skoroś taki dufny!

Nie zmrużył oczu do rana. Przez płócienną ścianę słyszał w sąsiedniej przegrodzie żalodne chlupanie Noi. Natomiast z niedalekich namiotów dolatywały późno w noc pogwarki i śmiechy. Zdało mu się to dziwne, gdyż przywykł, że w jego pobliżu nie hałasowano. O strzelenie z łuku od jego namiotu współplemieńcy zachowywali pełną szacunku ciszę. Że zaś pragnął teraz ciszy bardziej niż kiedykolwiek, zagadnął z rana Elizera dość szorstko o przyczynę tych pogwarek.

- Radują się, że weźmiesz inną niewiastę, która ci urodzi dziedzica - odpowiedział stary sługa bez wahania.

- Nie pojmem innej niewiasty! - zakrzyknął Ab - Ram. - I nie chcę, by krzyczano nad moją

głową...

- Żyj wiecznie, panie mój! Mowa twoja jest słuszna. Nie powinni czynić wrzawy. Dotąd tego nie czynili, gdyż lękali się twojego Boga. Mówiono, że masz Go przy sobie na zawołanie. Któż by się ośmielił gębę głośniejszą otwierać. Toteż ucieszyli się bardzo zobaczywszy, że twój Bóg nie wszedł z nami do Egiptu...

Ab - Ram ze zdziwienia zapomniał o gniewie.

- Dlaczego tak sądzą? - zapytał. - Pan jest obecny wszędzie. Zarówno tu, jak w Babilonie czy Kanaanie...

- Żyj wiecznie, panie mój! Oni sądzą, że gdyby tak było, nie mówiłbyś królowi egipskiemu, że twoja niewiasta jest siostrą twoją...

- Słuchaj, Elizerze. Pan włada całym światem. Nie wiążą Go żadne granice. Nie dba o królów i państwa. Jest wszędzie. To ja, nędzny, lichy, bardzo lichy i nędzny człowiek, nie wołałem do Niego, więc pogniewał się na mnie i poniechał mnie...

Zakrył głowę płaszczem. Elizer spoglądał na strapionego pana z należnym szacunkiem. W duszy myślał, że tak czy owak, na jedno wychodzi. Ab - Ram stracił swojego Boga. Życie szczepu będzie teraz może mniej bezpieczne, lecz dużo łatwiejsze. Ab - Ram pomału przeboleje i stanie się taki, jakim był dawniej, przed laty; podobny do innych ludzi...

Odgrodzony grubą tkaniną od świata, zamknięty w ciasnej, dusznej przestrzeni, Ab - Ram rozważał z goryczą ujawnione przez Elizera nieoczekiwane dlań skutki złego postępku. Oto nie tylko obraził Pana kłamstwem i tchórzostwem, lecz spowodował, że ludzie mniemają, iż Stwórca nieba i ziemi lęka się bogów o głowach szakala, ibisa czy krowy! Że Nieogarniony nie śmiał wejść w państwo egipskie! - Biada mojej głowie! - jęczał. Pojął, że chwała Pana odzwierciedla się w czynach wyznawców. Ludzie Boga nie widzą, widzą czyny tych, którzy Go miłują. Według sługi sądzą Pana... Wszakże z okazji sądu nad Hillem czyniącym nieprawość z córką swą Azubą tenże sam Elizer rzekł mu: Ludzie myślą, iż twój Bóg o sprawiedliwość nie stoi, skoro jej poniechałeś! Był ostrzeżony jeszcze wcześniej, wtedy gdy Nergal Sar ukazał mu przeszłość w widzeniu i pozwolił ujrzeć nici łączące przyczyny i skutki. Pierwsze były drobne niby ziarnko maku, drugie rosły jak drzewa. Daleko sięgały, wciąż żywe. Grzech jest dla Pana obrazą podwójną i ciężką bardzo. Przez samą istotę swoją sprzeczną z Jego wolą i przez zło, którym zaraża. Wiedziałeś o tym, Ab - Ramie! Nie było to skryte dla ciebie! Odpowiedz, zali Pan może ci przebaczyć? Tobie, ubłogosławionemu, wybranemu? Tobie, który Prawdę znasz?...

Wrodzony nawyk sprawiedliwego roztrząsania każdej sprawy zmusił go do przyznania, iż będąc Panem, rzekłby niegodnemu słudze: Zejdź z oczu moich, niemiłe mi oblicze twoje... Jeżeli tak postąpiłby on, Ab - Ram, człowiek ułomny, o ileż srożej osądzi go Pan, będący sprawiedliwością samą?

I samotność, jaką czuł po oddaniu bratu terafim, ów lęk stworzenia pozbawionego oparcia powróciły, po stokroć silniejsze. Wówczas Pan ulitował się nad struchlałym i sam do niego łaskawie

przemówił. Dziś nie odezwał się nikt. Niebo milczało wzgardliwie.

Ketura zniecierpliwiona biegła od namiotu do namiotu.

- Hagar! Hagar! Gdzie jesteś? Odezwij się głosem swoim!

Egipcjanka nie odpowiadała na wezwanie. Ukryta w męskiej części namiotu Ab - Rama, klęczała nad misą pełną wody, na którą ostrożnie spóściła z bańki dwie krople oliwy. Pływały połyskując złotem, zbliżając się, to oddalając. Wpatrzona w nie Hagar wstrzymywała oddech i nie myślała ujawniać swego ukrycia. Lecz Ketura przetrząsnawszy wszystkie kąty trafiła tutaj. Zrazu chciała łajać opieszalą, ujrawszy jednak, czym jest zajęta, plasnęła w ręce z uciechy.

- Na kogo wróżysz? Na kogo? - dopytywała pochylając się nad misą. - Nie powiem nikomu, na bogów przysięgam, że nie powiem..

Zdyszany jej oddech zmaćcił wodę, krople oliwy rozbiegły się, wydłużyły, rozpadły na wiele drobnych cząsteczek. Nie odpowiadając towarzysze Hagar chwyciła misę i wylała jej zawartość poza namiot. Była wściekła.

- Czego chcesz ode mnie? Przeszkodziłaś mi.

- Noa pilno cię woła. Dlaczego nie skończyłaś wróżby? Dlaczego?

- Tak mi się spodobało. A Noa może poczekać. Nie ma już nic do rozkazywania.

- Nie tak jest, jak mówisz, Hagar. Ab - Ram syn Tarego oddał Noi zastępstwo pani...

- Jakiej pani? - spytała Hagar szyderczo.

- Naszej pani, Sarai...

- Sarai nigdy nie wróci, nigdy - powtórzyła Egipcjanka z naciskiem. - A nie wiadomo, czy nowa zechce trzymać tę starą.

Ketura zmartwiła się. Lubiła Sarai i Noę.

- Może pani wróci - westchnęła. - Może nie spodoba się faraonowi...

- Jeżeli mu się nie spodoba, to ją zabiją i rzucą krokodylom - zapewniła Hagar. - Nie wróci już tutaj nigdy.

Z tym przekonaniem bez pośpiechu stanęła przed obliczem Noi.

- Czego chcesz ode mnie?

Noa była zmieszana. Wolała mówić bez świadków. Powiodła Hagar do namiotu i opuściła zasłonę wejściową.

- Chcę - szeptala - byś poszła, dziewczyno, do grodu, gdzie jest król egipski, a który zowią Kesem, i dowiedziała się, co słyhać z Sarai... Syn Arana powiadał, że faraon zabawi w tym grodzie niewiele dni, wracając na południe do swojej stolicy... Gdy tam pojedzie, a moją gołąbkę zabierze, nigdy już nie posłyszę, co się z nią dzieje. Żywa czy umarła, szczęśliwa czy w utrapieniu? Tyś tutejsza, dogadasz się... Może cię do niej dopuszczą...

Hagar spuściła głowę namyślając się głęboko.

- Czy pan nasz, Ab - Ram syn Tarego, wie i zezwala na to, bym poszła do miasta Kesem? - zapytała.

Noa rozgniewała się.

- Nie twoja sprawa, tylko moja. Wiem, co czynię. Pan będzie zadowolony, gdy pójdziesz i wieść o pani przyniesiesz... Nie mówiłam mu, bo siedzi, jakby żałobę odprawiał, i nie odpowiada wcale.

- Co mam rzec naszej pani?

- Powiedz, powiedz mojej gołąbce, że schnę bez niej jak badyle na pustyni... Że mi dzień gorzki, a noc bez końca... Powiedz, że pan nasz od jej wyjazdu nie je, nie pije, ustawicznie się frasując...

- Jakoż to powtórzę, skoro Ab - Ram syn Tarego powiedział, iż jest bratem Sarai?

Noa rozplakała się.

- Powiedz, co chcesz, ale mi przynieś wieść o niej... Idź jak najprędzej...

- Wyjdę jutro o świcie - postanowiła Hagar. Twarz jej była zagadkowa jak oblicze sfinksa, dziwotwora o ludzkiej głowie, z upodobaniem rzeźbionego przez jej rodaków.

Gdyby syn Amona przebywał w Tebach czy innej rezydencji królewskiej, Hagar żadną miarą nie zdołałaby zbliżyć się do niewieściego pałacu. Lecz w Kesem dwór znajdował się na postoju, celem podróży było przekonanie mieszkańców tej ziemi, że faraon jest bogiem łaskawym jak Nil, przystępnym jak słońce, podobna śmiałość przeto stawała się dozwolona. Hagar dopuszczono na dziedziniec, a ochmistrzyni Ta - Ita wyszła pytać dziewczynę, czego żąda.

- Chciałam pozdrowić moją panią - rzekła pokornie Hagar.

- Kto jest twoja pani?

- Hebrajka.

- Ta, której włosy siwieją?

- MOja pani jest w latach - przyznała Hagar bez sprzeciwu.

Ochmistrzyni utkwiła oczy w przestrzeni bez słowa. Wzrok jej mówił wyraźnie: Niepotrzebna nam ta dzika starucha. Nadawała się do królewskiego łoża za czasów dziada obecnego pana... Nie umie tańczyć ani śpiewać, ani grać. Nie u nas jej miejsce, lecz skoro najdostojniejszy syn Amona raczył ją wybrać - nie nam ganić jego wybór. Syn Amona nie może się mylić...

- Co mam jej rzec od ciebie? - zapytała głośno.

- Czy sługa twoja nie może zobaczyć swej pani?

- Nie możesz zobaczyć jej teraz, gdyż jest w kąpieli. Skórę ma pospolitą i szortką, kąpią ją i nacierają olejkami dwa razy dziennie... Poczekaj, a gdy cień stanie się krótki, zobaczysz ją...

- Sługa twoja będzie czekać - przystała Hagar ochoczo.

Ta - Ita zmierzyła ją wzrkiem.

- Dawno służysz u twej pani?

- Bardzo dawno. Ojciec odprzedał mnie kupcom w roku głodu, temu dziesięć lat, a od kupców nabył mnie mój pan, Ab - Ram, brat tej Hebrajki.

- Powiedz mi więc, czy ona była kapłanką, że nie rodziła dzieci?

- Kapłanką nie była, jest zamężna. Dzieci nie rodziła, bo bezpłodna. Łono ma zamknięte.

Urwała, gdyż ochmistrzyni zbladła. Oczy jej stały się okrągłe z przerażenia.

- Bepłodna! - powtórzyła ze zgrozą i podniósłszy ręce w górę pobiegła w głąb gmachu. Hagar usiadła w cieniu muru i pojadając dane jej na drogę przez Noę zapasy namyślała się, co powie Sarai, gdy do niej dopuszczona zostanie.

- Bepłodna... - powtarzała Ta - Ita, biegnąc śpiesznie do dworca królowej. Pora była gorąca, południowa. Para królewska leżała na wielkim łożu, naga pod przezroczystym muślinem. Amenemhat Czwarty bez podwójnej korony, ureusa i sztucznej złotej brody, wyglądał na chorowitego chłopca, którym był w istocie. Małżonka jego drzemała. Żywot jej wydęty posuniętą ciążą górował nad obojgiem.

- Czego chcesz, Ta - Ito? - zapytała królowa Atanah otwierając leniwie oczy, gdy ochmistrzyni jęła bić pokłony stukając czołem o posadzkę.

- O najdostojniejsza pani moja! O doskonały panie mój! Hebrajka, którą przywieziono do pałacu, jest bezpłodna!

- Co za Hebrajka? - zdziwiła się królowa.

- Hebrajka z gazelą... Ofiarowana naszemu najdostojniejszemu, doskonałemu panu. Bepłodna... Jałowa... Nie może tu pozostawać!

Amenemhat Czwarty ziewnął.

- Wiem, o której mówisz. Niewiasta z gazelą... Dlaczego nie może zostać?

Ta - Ita załamała ręce i spojrzała wymownie na żywot królowej. Zrozumieli oboje. Bezpłodna nie powinna przebywać w pobliżu brzemiennej, gdyż jej obecność wywołuje poronienie. Zatem jałowa Hebrajka stanowi groźbę dla królestwa złączonych krajów Południa i Północy. Państwo Amona oczekuje z niecierpliwością narodzin nowego syna bogów. W zaświatach przygotowują się już boginie położne. Pakht o głowie lwiej, Hekt o głowie żabiej, Meszkent o głowie hipopotama i Taurt o głowie krokodylej. Przewodniczyć przy porodzie będzie sama wielka Hathor, święta krowa, szczególnie opiekunka dynastii. Nie mniejsze przygotowania czynione są na ziemi. Lud prosty czeka z utęsknieniem narodzin, które spowodują przerwę w pracy, rozdawnictwo chleba, oliwy i wina. Czekają cały dwór, czekają na nowego syna Amona kapłani, czeka dynastia... Wszystkie nadzieje mogą być unicestwione przez obecność jednej przeklętej Hebrajki, siostry nieczystego amu...

Nie zamieniając ani słowa uprzytomnili sobie to wszystko, i Amenemhat Czwarty przestał ziewać. Oparł się na łokciu.

- Niech ją natychmiast zabiją - rozkazał.

- Tak, tak, niech ją zabiją - powtórzyła królowa Atanah.

Ta - Ita ośmieliła się zaprzeczyć. Trzęsła głową. Zduszonym głosem wybąkała, że Hebrajka jest zdrowa i piękna. Skoro mimo to bezpłodna, zapewne demon w niej mieszka. Jeżeli Hebrajka zginie, demon może mścić się na... na... - Nie odważyła się wymówić okropnego przypuszczenia.

Królowa przeraziła się. Usiadła na łożu obejmując brzuch ramionami, jak gdyby chroniąc go zawczasu przed zemstą demona. Faraon był nadąsany.

- Cóż mam zatem czynić? - zapytał. (Co za powikłania!)

- O najdoskonalszy panie mój! Jeżeli mądrość i wspaniałość twoja odeśle Hebrajkę jej bratu z darami i posłowiem: Dowiedziałem się, że ta niewiasta ma męża, czemuś mi tego nie powiedział od razu? - demon odejdzie wraz z nią zadowolony i nie będzie tutaj szkodził...

Faraon odetchnął z ulgą.

- Uczynię, jak radzisz, Ta - Ito. Każ, niech jej dadzą wiano przysługujące niewiastom, co dzieliły moje łoże, i niech natychmiast odchodzi...

- Stanie się, jak rzekłeś, najdoskonalszy mój panie.

Ta - Ita udderzyła ponownie czołem o posadzkę i wyszła spieszenie. Para królewska uspokojona legła z powrotem podejmując przerwana drzemkę.

I oto następnego dnia wieczorem, gdy zniżające się słońce wyposażyło rzecz wszelką w długi, skośny cień, do Ab - Rama zatopionego w strapieniu wpadła jak nieprzytomna Noa.

- Panie mój, Sarai wraca! Moja pani, moja gołąbka wraca! Już jest blisko, a za nią osły i wielbłądy!

To była prawda. Sarai wracała. Niesiono ją w lektyce, w otoczeniu czterech łuczników i dwóch rzezańców. Ustrojona była i utrefiona tak pięknie, iż świetna szata Idith zgasłaby przy porównaniu. Naszyjnik podobny temu, który niegdyś Tare syn Nachora zawiesił na posągu Marduka, ozdabiał jej szyję. Na ramionach błyszcząły złote i jaspisowe obręcze. Za lektyką szły cztery wielbłądy ciężko objuczone i tyleż obarczonych worami osłów. Gdy Sarai wysiadła, wydała się wszystkim obcą, niewypowiedzianie urodziwą i dostojną. Nie śmieli przemówić, zbliżyć się. Nawet Noa z dala tylko wyciągnęła ramiona wzdychając z zachwyty i szczęścia. Zaś wspinała piękność uklękła przed stojącym nieruchomo mężem i ucałowała jego stopy. Po czym patrząc mu prosto w oczy rzekła:

- Nie byłam w niczym łóżu, panie mój, i nie widziałam żadnego mężczyzny, krom strzegących nas rzezańców.

Nie słuchał, co mówiła. Podniósł z ziemi i przygarnął do serca gorąco. Ponownie ogarnęło go uczucie, że wszystko, co się dzieje, jest snem, przywidzeniem. Zabierano mu niespodziewanie Sarai i równie nagle pojawiała się z powrotem.

- Czy pozostaniesz ze mną, niewiasto? - zapytał nieśmiało.

- O tak, Ab - Ramie. Wróciłam.

- Jak się stało, że cię odesłano? Czyje są te juki?

- Wszystko to moje, Ab - Ramie.

Starszy rzezaniec od dłuższej chwili usiłował przerwać rozmowę rodzeństwa. Dziwił się w duchu czułości tych dwojga. Ab - Ram spostrzegł go i wysłuchał poważnie przemowy. Horus jastrząb, Horus wąż, Horus złoty, lew groźny, lew ryczący, byk mocny, pan Południa i Północy, ukochany i wybrany syn Amona odsyła niewiastę, którą sobie upodobał, posłyszawszy, iż ma męża. Syn Amona kazał rzec: Com ci uczynił, żeś mi o tym nie powiedział? Nie tknąłem jej i odsyłam, by snadź nie przyszło na mnie nieszczęście. Przyjmij niewiastę, oddaj mężowi wraz z darami, które jej ofiarowałem. To są słowa moje, pana Południa i Północy.

- Powiedz dostojnemu panu swojemu, że wrócił mi radość dnia, koronę moich lat. Niech dni jego będą błogosławione, a panowanie szczęśliwe!

Eunuch skłonił się nisko i wsiadł do opróżnionej lektyki. Biegacze ruszyli natychmiast, żołnierze podążyli za nimi. Sarai została. Ab - Ram uwierzył, że powróciła naprawdę. Elizer z Surem i kilkoma innymi chłopcami rozkulbaczali wielbłądy i zdejmowali brzemiona z osłów składając tłumoki przed namiotem. Ab - Ram nie patrzył na nich. Trzymał dłoń Sarai w swej dłoni.

- Tyś im powiedziała, że masz męża? - pytał, nie umiając rozeznaczyć się w biegu ostatnich szczęśliwych wypadków.

- Sługa twoja, panie, nic im nie mówiła. Dowiedzieli się od Hagar...

...Hagar?... Dopiero teraz Ab - Ram spostrzegł niewolnicę. Przyszła za lektyką i obecnie pomagała znosić rzeczy, obojętna, ze zwykłym swym bezosobowym wyrazem. Skąd się wzięła na dworze królewskim? Ab - Ram coraz mniej rozumiał.

- Jeszcze jej nie podziękowałam! - zawołała Sarai i wobec wszystkich ucałowała Egipcjanę. Zdjęła z ramienia cenną obręcz i włożyła na rękę dziewczyny. Wszyscy patrzyli z zazdrością na obdarowaną, lecz Hagar zdawała nie cieszyć się wcale. Oczy trzymała uporczywie spuszczone. - Niewolnica Hagar przyszła na dwór królewski i sprawiła, że powróciłam - oznajmiła głośno Sarai. - Oddam jej, cokolwiek by zażądała.

Ciemne oczy Egipcjanki błysnęły spod umalowanych powiek. Obrzuciła swoją panią szybkim spojrzeniem i spuściła głowę. Noa mruczała:

- Nie śpiesz się nadto, gołąbko... To ja posłałam Hagar...

- Cokolwiek mam, jest i twoje, Noo. Niech bogowie błogosławią wasze głowy!

Sarai weszła do namiotu przeodziać się w zwykłe szaty. Wprawdzie byłaby chętnie pokazała się żonie Lota w świetnym stroju nałożnicy królewskiej, lecz Idith, uprzedzona o zdarzeniu, nie kwapiła się z nadejściem. Ab - Ram poszedł za żoną do namiotu i patrzył z czułością, jak zdejmując kolejno kosztowne muśliny i złociste jedwabie oblekała się w lniane płótno bielone na słońcu.

Byli sami. Podeszła do niego.

- Rada jest dusza twoja, że wróciłam, Ab - Ramie? - zapytała cicho.

- Dusza moja była jak umarła od twego odejścia, a teraz ożyła - odparł ogarniając ją ramieniem.

W tejże chwili weszła Noa wzywając, by przyszli podziwiać skarby, jakimi faraon obdarzył Sarai. Czego tam nie było! Noa miała wypieki na twarzy. Kosztowne tkaniny, klejnoty, złote i srebrne naczynia, złote nausznicze, naszyjniki, diadem, łańcuchy, pierścienie, naramienniki... kamfory z wonnościami, wachlarze, prześliczne szkatułki. Królewskie wiano przysługujące każdej niewieście, na którą padł wybór faraona, miało przez swe bogactwo utwierdzić w poddanych przekonanie o boskim pochodzeniu króla, gdyż tylko bóg mógł być równie hojny. Ilość i jakość przedmiotów składających się na wiano była z dawna ustalona, nie ulegająca zmianie, przeto w odprawie Sarai znalazły się też zabawki dziecinne: pięknie ustrojone lalki z wosku i srebrny krokodyl poruszający głową i ogonem, gdy się go ciągnęło za sznurek. Sarai przeznaczyła je dla córeczek Lota.

Wśród powszechnego zachwyty jeden Ab - Ram pozostawał obojętny. Nie podobało mu się to złoto. Ufał żonie, lecz nie pojmował, dlaczego ją tak obdarowano. Można było zrozumieć, że faraon odesłał niewiastę dowiedziawszy się, iż ma męża, ale skąd tyle podarków?

- Każda kobieta, która spędziła bodaj jeden dzień na dworze niewieścim, otrzymuje to samo - tłumaczyła Sarai wyczuwszy wahanie męża. - Naszym oczom wydaje się to wielką rzeczą, a u nich

tylę bogactwa, że podobną wyprawę mają za nic...

- Prawdziwie odesłano cię tylko dlatego, żeś zamężna?

- Stara jestem - odparła uśmiechając się z przymusem. - Tam były same młodziutkie dziewczęta... A przy tym...

Urwała, nierada wspominać bolesnego upokorzenia. Okrutnie źle czuła się na dworze królewskim, swobodna dziczka z pustyni. Strojne, wypieszczone towarzyszki wyśmiewały jej zaniedbane ręce i stopy. Niewolnice tarły ją w kąpeli szczotkami i polewały gorącą wodą, nie dbając, że sprawiają ból. Nie umiała się poruszać, nie umiała spędzać całych dni na próżnowaniu. Po raz pierwszy w życiu mieszkała w pięknym pałacu, siedziała na rzeźbionym krześle, jadła przy złotym stole i znienawidziła ten wykwint. Płakała ustawicznie z tęsknoty za namiotem i Ab - Ramem, za ogniskiem i posłaniem ze skór. Nie to jednak było najgorsze. Dotychczas wstyd ją palił na wspomnienie chwili, gdy ochmistrzyni Ta - Ita weszła do sali, gdzie tłum niewiast zajmował się graniem, śpiewaniem, rzucaniem piłki, ona zaś, Sarai, martwiła się sama w kącie. Otóż ochmistrzyni weszła i zawołała po babilońsku: - Bezpłodna! - Sarai dorozumiała się od razu, że ją wołają, i powstała, a parę niewiast znało babilońską mowę i przetłumaczyło głośno wezwanie innym, aż wszystkie zaczęły powtarzać patrząc na nią: - Bezpłodna... bezpłodna... - Sarai szła ku ochmistrzyni jak po rozżarzonych węglach, czując szydercze spojrzenia niewiast na sobie. Ta - Ita wtedy rzekła: Powrócisz do męża, ty, bezpłodna...

Zwierziała się z tego Ab - Ramowi, gdy późnym wieczorem leżeli obok siebie w namiocie. Wtuliwszy głowę w ramię męża płakała długo nad swoim nieszczęściem. Zdrowi mężczyźni ze wstrętem patrzą na rzezańca, a wszak kobieta jałowa gorsza jest od rzezańca! Rzezaniec może się nadać do służby, nawet do urzędu na królewskim dworze, niewiasta bezpłodna nie zda się nikomu na nic. Tyle z niej pożytku, co z zeschniętego badyła...

Pieścił ją milcząc. Tyle razy w ciągu lat słyszał te same żale, tyle sam cierpiał nad brakiem potomstwa, że nie chciało mu się powtarzać słów zbyt często wypowiedzanych.

- ...Jeszcze ci nie podziękowałam - szeptała Sarai przez łzy - iżeś królowi powiedział, żeś jest siostrą twoją...

- Dlaczego miałabyś mi dziękować za to? - zapytał boleśnie zdumiony.

- Chciałeś mi oszczędzić wstydu, ja wiem! Bałeś się, że król zapyta: Gdzie dzieci wasze?

- A jeżeli powiedział, niewiasto, dla innej przyczyny? - zapytał.

- Dla jakiejże? Nie wypieraj się, Ab - Ramie. Dobry jesteś, dziękuję ci...

Tuliła się do niego, on zaś gardził sobą. Powinien wyznać niewieście swoje tchórzostwo. Lecz Sarai nie uwierzy. Miłuje go i podziwia. Nie uwierzy, by mógł tak nędnie postąpić...

W skład wiana nałożnicy królewskiej, którym obdarzona została Sarai, wchodził ulubiony

egipski sprzęt niewieści - harfa. Wysoka, wzrostu człowieka, z ramą prześlicznie rzeźbioną. Naprężone struny drgają leciutko za dotknięciem.

- Wszystkie niewiasty na dworze królewskim grały na tym bardzo pięknie - przyznaje Sarai. - Stojąc przebierały palcami, o tak...

Usiłuje naśladować wdzięczny gest harfiarek egipskich, lecz wywołuje tylko nieskładne brzęczenie. Zniecierpliwiona odpycha nogą instrument.

- Niech moja pani daruje harfę swej słudze - prosi Hagar. Sarai przystaje chętnie.

- Twoja jest. Czy umiesz grać na tym? Zagraj!

- Nie umiem - odpowiada Hagar zabierając harfę z widocznym zadowoleniem. Niedawno wyprosiła również mały złotony trójnóg przeznaczony do palenia kadzidła oraz pełną sakwę żywicy ugniecionej z mirą. Sarai nie dba o te wonności. - Wolę słony wiatr - powiada - niż dymy, od których na dworcu króleskim aż mdliło...

Idith, żona Lota, zostaje przez stryjenkę hojnie obdarowana. Co za radość dla Sarai rzucać na kolana rudej klejnoty i podarki. Masz, bierz! I to jeszcze! I to! Nie stoję o te drobiazgi, gdyż wiele ich dostałam... Spójrz tylko... - Miedzianowłosa zgarnia dary zagryzając usta. Nagle oddycha z ulgą.

- Złotego nezemu nie chciano ci dać, amito? - zapytuje ze współczującym politowaniem.

- Nie dano! - wykrzykuje Sarai z tryumfem - bo na dworze faraona pierścień w nozdrzach noszą tylko niewolnice!

Idith blednie. Podszuchujące na dworze Hagar i Ketura śmieją się do łez. Zniecierpliwiona Noa wali je kopyścią w kark, w słusznej obawie, że śmieszki upuszczą worek ze śmietaną przeznaczoną na masło.

Zaczepiając worek u trzech wbitych w ziemię i związanych górą żerdzi Ketura pyta towarzyszkę:

- Powiedz mi, Hagar, jak zrobiłaś, że nasza pani wróciła? Wszystkim wydaje się to bardzo dziwne, iż mogłaś sprawić taką rzecz...

Wesołość Hagar już minęła. Mrukiwie, po swojemu, Hagar zapewnia, iż nic nie uczyniła.

- Pani sama powiedziała, że to ty - upiera się Ketura. - Całowała cię i obdarowała... Powiedz, o, powiedz, jak to sobie obmyśliłaś?

- Zdarza się, iż człowiek obmyśli tak, a wychodzi inaczej... - wyjawia Hagar pozornie bez związku i ciągnie sznur worka tak silnie, że chwieją się podtrzymujące go żerdzie.

ROZDZIAŁ CZWARTY W PRAWO, W LEWO...

- Synu Arana - mówił Ab - Ram surowo - dusza moja nie znieśnie dłużej postępowania twoich pasterzy. Codziennie, moi ludzie wnoszą do mnie skargi na twego sługę Hibala, na twego sługę Asara i innych. Rozsądzam je sądem sprawiedliwym i spostrzegam, że wina leży zawsze po stronie twoich ludzi. Co nimi kieruje, nie wiem. Rozmyślnie czynią mi szkody. Judzą byki i wpędzają je między moje jałowice. Rozganiają owce, które nie mogą potem odnaleźć swych jagniąt. Przeszło dwa lata był spokój i chwaliłem cię. Święta rzecz spokój. Z radością sądziłem, iż się te swawole więcej nie powtórzą. Oto znów trują mi życie. Trują mi każdy dzień. Rzekłem, iż mam tego dość.

Ab - Ram z synowcem swym Lotem stali na wzgórzu górującym nad doliną. Z tego wyniesienia widzieli ludzi Ab - Ramowych wygrażających pałkami pastuchom Lota i usiłujących spędzić do kupy rozbiegane stada. Za nimi rozciągał się przebyty już Negeb, czyli Suchy Kraj. Daleko, po prawej ręce za pasmem wzgórz, niski, biały tuman ujawniał położone w głębokiej kotlinie Słone Jezioro. Dwa miesiące mijały, jak Hebrajczycy opuścili Egipt, zaraz po pierwszej wiosennej ulewie wracając do przebywanego w zeszłym roku kraju Kanaan.

- ...Ciężko mi mówić podobne słowa, synu mego brata - podjął Ab - Ram nie doczekawszy się odpowiedzi. - Wszak postanowiłem, że więcej razem chodzić nie będziemy. Lepiej się rozdzielić niż żyć w swarach gorszących i gorzkich jak złe ziele. Oto leży przed nami ziemia urodzajna, na której nikt pastwisk nie broni. Odejdź ode mnie, proszę. Jeżeli udasz się na wschód, ja pójdę na zachód. Jeżeli pójdiesz na zachód, ja ruszę na wschód. Nie zejdziemy się więcej, synu mego brata. Przed rozejściem usypimy kopiec, którego twoje ni moje stada nie miną. Wybieraj, dokąd chcesz iść?

Jakkolwiek głos Ab - Rama brzmiał stanowczo i nieustępliwie, syn Tarego oczekiwał, że bratanek przerażony zacznie obiecywać poprawę i prosić o cofnięcie wyroku. Skłonny był to uczynić. Ale Lot zgodził się łatwo.

- Niech będzie, jak mówisz, stryju. Racz sam wybrać stronę, w którą pójdiesz. Wybór nie przystoi mnie, którym jest twym sługą.

- Prawo czy lewo, jest dla mnie równie dobre - odparł Ab - Ram niemile zaskoczony. - Powiedziałem, byś wybierał... Wybieraj!

- Skoro taka wola twoja, wybiorę - przystał Lot z pośpiechem. - Chciałbym osiąść w dolinie Siddim, na południe od Słonego Jeziora...

- ...Siddim... Siddim... Słyszałem kiedyś tę nazwę, ale nie pomnę gdzie... Co to za dolina?

- Na wschód stąd, stryju Ab - Ramie. - Lot ożywił się i ośmielił. - Jest bardzo piękna, a urodzajna jak Egipt... Trawy po pas, drzew tyle, że zwą ją Doliną Leśną. Wokół góry, wiatru z pustyni nie ma nigdy, bo szczyty zasłaniają... Woda spływa sama do kanałów, gdyż dolina nachylona jest ku południowi...

- Skąd spływa?

- Ze Słonego Jeziora. Stoją tam skały tworzące niby próg kamienny, a dolina ściele się poniżej. Przez szczeliny w skałach woda ścieka do sadzawek. W sadzawkach sól osadza się na dnie, zaś woda bieży do kanałów... Nie ma miejsca, gdzie by nie dotarła... Toteż rosną tam drzewa i kwiaty, jakich nigdzie na świecie nie ma...

- Kiedy poznałeś tę dolinę?

- Ja nie znam, lecz kupiec Sarug syn Efrema jeżdżący co rok nad Słone Jezioro po hemar opowiadał o niej mojej niewieście.

- Dziwno mi, że nie zamieszkana, skoro taka urodzajna?

- Stryju Ab - Ramie, ludzi mieszka tam wiele, bardzo wiele. W dolinie leży pięć miast. Zowią je: Sodoma, Gomora, Segor, Adama i Seboim. Sodoma z nich największa...

- Gdzie się z trzodą podziejesz w tym mnóstwie?

- Byłem dostał niewielki kawałek łąki, wystarczy, bo trawa wciąż sama odrasta. Powietrze jest wilgotne, a noce ciepłe jak dnie. Grody są bogate... Ludzie żyją bez troski. Tańczą, śpiewają, przyglądają się igrzyskom...

- Życie, którego pragnie twoja niewiasta, rozumiem!

Umilkli obaj. Ab - Ram gładził brodę zamyślony.

- Dlaczego, synu Arana - rzekł po chwili - nie powiedziałeś mi wcześniej jak mąż mężowi, że chcesz szczerp opuścić i upatryłeś dla siebie dziedzinę?

Lot poczerwieniał niby mały chłopiec.

- Bałem się twego gniewu - wyznał.

- Mojego gniewu? Zali zatrzymywałem Nachora syna Tarego?

- Żal mi było również rozstawać się z tobą, stryju Ab - Ramie.

- Ehej, żal i mnie, krwi moja! Lecz cóż uczynię? Ja rzekłem, ty rzekłeś... Nie wstrzyma drzewo liścia, co się oderwał i leci, gdzie go wiatr niesie... Odejdź, Locie, skoro chcesz, w spokoju, zabierając wszystko, co twoje.

- Błogosławione twoje dni, stryju Ab - Ramie! Odejdą na przyszłym nowiu.

- Tak więc Idith postawiła na swoim - stwierdziła z niezadowoleniem Sarai obracając w dłoni rękojeść egipskiego zwierciadła. - Od paru już lat zabiegała o to, byś kazał Lotowi iść precz.

- Lew nie walczy z wężem, mąż nie przejrzy chytrych niewieściej. Dlaczego syn Arana nie powiedział mi o tym?

- Lot rzekł Idith, że sam nie odejdziesz, chyba że mu każesz. Więc Idith szczuła pastuchów, zwłaszcza Hibala, i dawała im podarki. Na pustyni i w Egipcie siedziała cicho bojąc się, iż sami w obcym kraju zginą.

- Kto ci powiedział to wszystko?

- Sella powiadała Noi. Do tej pory nie mówiła, bo się bała.

Ab - Ram nachmurzył się. Zły był na siebie, że dał się unieść gniewowi i bezwiednie uczynił wolę cudzoziemki. Przeklęta obca kobieta!

- Czemu pozwoliłeś mi wybierać? - podjęła znów Sarai. - Dlaczego nie my osiadzimy w tej pięknej dolinie?

- Postąpiłem, jak chciałem, niewiasto - odparł mąż z naciskiem. Sarai spuściła głowę zmieszana. Istotnie, dawniej nie byłaby ośmieliła się przemawiać do Ab - Rama w ten sposób. Niewieście przystoi słuchać rozporządzeń męża bez sprzeciwu. Odkąd jednak Ab - Ram spokorniał i podupadł duchowo, ona nabrała odwagi. Przykre wspomnienia pobytu na królewskim dworze zacierają się pomалу, zostawiała zaś świadomość przyniesionego mężowi bogactwa. To jej dodawało znaczenia. Rada też była, że Ab - Ram nie rozmawia już nocami ze swoim bogiem, czego się tak bardzo lękała.

- Uczyń mi jedną łaskę, panie - prosiła teraz.

- Mów, czego chcesz ode mnie, Sarai?

- Pozwól mi w czasie pochodu iść obok swego osła...

Zastanawiał się nad tym żądaniem stanowiącym zamach na jego samotne dumania.

- Nie pójdiesz przy mym osle, lecz codziennie wezwę cię i będziesz przez jakiś czas jechała przy mnie, na czele pochodu.

- Dziękuję ci, Ab - Ramie! - zawołała uszczęśliwiona.

Kopiec mający świadczyć, że stryj i bratanek rozeszli się w dwie przeciwne strony, był wysoki, porządnie ułożony z głazów. Większe kamienie na spód, coraz mniejsze ku wierzchołkowi. Szczyt pozostawiono płasko ścięty i należało złożyć na nim ofiarę bogom. Krew zabitego zwierzęcia ściekając między kamienie dodawałaby świadectwu mocy i powagi. Lecz Ab - Ram nie chciał składać ofiary bogom, które dawno porzucił, ofiarowywać zaś Panu Prawdziwemu nie śmiał. Czuł się winien i brał go lęk, że na oczach całego plemienia Pan jego ofiarę odtrąci. Tak więc kopiec nie został uświęcony krwią ofiarną, lecz zarżnięto na nim i upieczono dwa roczne baranki. Jeden pochodził ze stada Ab - Rama, drugi ze stada Lota - jeden był biały, drugi czarny. Potem stryj wraz z synowcem weszli na kopiec, uścisnęli sobie prawice i w obliczu całego szczepu spożyli jagnięta.

Pozostałe kości wsunięto pod kamienie, obaj mężowie zaś powtórzyli uroczyste zobowiązanie, że stada Lota nie posuną się nigdy na zachód dalej, niż wskazuje kopiec, stada Ab - Rama zaś nie zapuszczą się mimo kopca na wschód. Wymieniwszy te przyrzeczenia Lot padł do stóp stryja, który go podźwignął i uściskał. I widzieli wszyscy zebrani, że obaj płakali, bo ciężko jest żegnać się z własną krwią. Na koniec Lot otarł oczy, zbiegł z kopca ku swoim. Idith siedząc na wielbłądzie oczekiwała niecierpliwie końca obrzędu. Twarz jej wyrażała radość, której nie usiłowała ukryć. Mała Lilith wraz z siostrą o rok starszą stała na wozie zbudowanym przez Lota jeszcze w Ur, potrząsając srebrnym krokodylkiem uwiązany na sznurku. Pastuchy czekali znaku, by pognać trzodę spędzoną w gromadę. Spełniali dotąd posłusznie wszystko, czego od nich chciała pani, obecnie zaś zaczęli pojmować, że nie wyjdzie im to na dobre. Zawszeć w dużej kupie raźniej, przy tym Ab - Ram syn Tarego to naczelnik, pod którego rządami miło pozostawać. Nie da swoim zginąć. Światły, sprawiedliwy mąż. Oni teraz przechodzą pod władzę niewiasty, bo syn Arana nie liczy się wcale...

Potrząsali niemrawo batami snując te spóźnione rozważania. Ab - Ram w ostatniej chwili dorzucił jeszcze bratankowi dwanaście sztuk bydła i sześć osłów. Żegnali się jeszcze raz, po czym uderzono w rogi. Zaklaskały bicze. Jeden pochód skierował się na lewo, drugi, mniej liczny, na prawo. Od starożytnego szczepu Hebera odłamywała się znów jedna gałąź.

- Raduje się dusza moja, że nie oglądam już rudej - oświadczyła Sarai jadąc obok męża. Ab - Ram spojrział na nią karcąco.

- Płacze dusza moja, że opuściłem syna Arana - rzekł.

- Odkąd odjechali, jest spokój!

- Lepiej pono wyrzec się spokoju niż krwi własnej. Miłuję syna Arana. Zaprawdę, nie spodziewałem się, iż go tyle miłuję. Spodziewałem się dawniej, że będzie miał syna, którego uczynię dziedzicem...

- Ruda nie chciała mieć dzieci, panie mój! Nie chciała mieć dzieci - powtarzała Sarai ze zgrozą.

- Domyślałem się tego. Groziłem niegdyś Lotowi sądem. Poniechałem tej sprawy, nie, żebym o niej zapomniał, lecz...

Urwał, nierad dopowiadać, iż niezręcznie mu było sądzić bratanka, gdy sam posiadał nieplodną i nie brał innej niewiasty.

Sarai domyśliła się, posmutniała i jechali w milczeniu, aż Ab - Ram sam podjął rozmowę:

- ...Pomnę, gdym był dzieckiem małym, później pomkłym w lata młodzieńcem, było nas trzech braci. Aran, Nachor i ja, synowie Tarego. Ojciec nasz mógł spodziewać się wielu wnuków i radować przyszłością rodu. Wniwecz poszły te nadzieje, gdyż Aran umarł spłodziwszy jednego Lota, który ninie odszedł od nas, Nachor odstał wcześniej, zresztą syna nie wzbudzi, ja zostanę bezpotomny... Co będzie z plemieniem? Czyż dziw, iż się frasuję, Sarai? A to wiedz, iż zeszłego roku, gdym jeszcze Pana nie obraził i On raczył przemawiać do swego sługi, gdym jechał tym samym

krajem, ku któremu zdążamy, słyszałem głos Pana w sercu moim mówiący, że ta ziemia, ta właśnie, nie inna, będzie dziedzictwem nasienia mojego... Nie wiem, zali Pan naigrawał się ze mnie, lecz frasunek mnie trapi tym bardziej... Nie wiem, kogo uczynię dziedzicem. Chyba syna mojego sługi Elizera, gdyż Damasceńczyk jest wierny...

Urwał znowu spostrzegłszy, iż przemawia jak do mężczyzny, a słucha go tylko niewiasta. Spojrzał na jej zasłuchaną, wpatrzoną w niego twarz i rzucił z roztargnieniem:

- Wracaj już do niewiast, Sarai.

Tegoroczne wiosenne deszcze były obfite, jak gdyby bogowie pragnęli wynagrodzić zeszłoroczną posuchę, i ziemia wkoło jadących zieleniła się trawą, barwiła kwieciami. Pomimo to lico Ab - Rama pozostawało chmurne, Sarai zadumane i zdarzało się, że małżonkowie jechali obok siebie długi czas, nic nie mówiąc. Pochłonięty własnymi troskami Ab - Ram nie zastanawiał się nad przyczyną milczenia tak niezwykłego u niwiasty.

Przyczyna zaś była taka: Sarai powtórzyła swej starej piastunce ostatnią rozmowę z Ab - Ramem, Noa ze swej strony nie omieszkała powtórzyć jej Elizerowi, który poruszony przybiegł do swej pani.

- Niegodny jestem - wołał - i syn mój niegodny, niegodniśmy obaj być dziedzicami Ab - Rama syna Tarego! Nie dopuść do tego, pani! Jam sługa, a mój chłopak prosty, nieuczony... Nie takiego dziedzica trzeba Ab - Ramowi! Pani moja, posłuchaj swojego sługi: Daj mojemu panu drugą żonę. Ab - Ram nie jest młody, ale zdrowy, silny. Może wzbudzić wielu synów... Poszukaj dla niego żony i wprowadź do domu swego. Będziemy wszyscy błogosławić twojej głowie. To nie ujma dla pierwszej żony, gdy mąż bierze drugą. Posłuchaj...

Mówił długo, coraz śmieiej, nie zważając, że Sarai słuchała jego słów z brwią zmarszczoną niechętnie. Jedyny świadek, Noa, milczała, co znaczyło, że podziela zdanie Elizera.

Sarai odprawiła sługę obiecując, że nad jego radą pomyśli, po czym popadła w ciężką rozterkę. Elizer miał niewątpliwie słuszość, lecz jakże trudno dopuścić myśl o innej kobiecie przy boku męża! Kobiecie młodej, kobiecie, która będzie miała dzieci... Serce Ab - Rama odwróci się od Sarai i przylgnie do matki jego dzieci. Dzieci! Będzie je pieścił, nosił, radował się nimi wraz z nową żoną, ona, Sarai niepotrzebna nikomu, może wtedy umrzeć... - Nie! - powtarzała zawzięcie. - Nie wejdzie tu inna niewiasta!

...Bóg Ab - Rama obiecał mu piękną ziemię kananejską jako dziedzictwo jego nasienia. Ród Ab - Rama mógłby być wywyższony nad inne rody, mógłby władać całym krajem. Nie stanie się to z winy Sarai, która sama nie ma dzieci i drugiej niewiasty dopuścić nie chce...

Biła się z myślami nie słysząc, co do niej mówiono. W bezsenne noce przewracała się z boku na bok i wzdychała. Aż kiedyś olśniło ją rozwiązanie tak pomyślne, że niezdolna się pohamować obudziła Ab - Rama.

- Kto mnie woła? - zapytał mąż siadając na posłaniu. - To ty, Sarai? - W głosie miał zawód.

Nie zwróciła na to uwagi.

- Wiem już - szeptała z przejęciem - co zrobić, żebyś miał potomstwo... Mówił mi kiedyś kapłan, który w Ur przychodził do obozu... Zwał się, jeśli pomnę, Sep - Sin. Pamiętasz tego kapłana, Ab - Ramie?

- Pamiętam bardzo dobrze Sep - Sina. Cóż ci powiedział?

- Powiedział, że według prawa babilońskiego, jeżeli żona niepłodna wprowadzi do łóżka męża niewolnicę i rzecze: Wzbudź mi z niej syna, abym go miała, i jeżeli niewolnica urodzi syna, odbiorą go jej i dadzą żonie, i to będzie ich syn, męża i żony prawy dziedzic... Pojmujesz, Ab - Ramie?

- Niewiasto! Mogłaś poczekać do rana nie budząc mnie po nocy! - zawołał Ab - Ram na poły rozgniewany, na poły rozśmieszony. - Czego ode mnie chcesz?

- Chcę - przedkładała Sarai - żeby się sprawdziła przepowiednia twojego boga. Chcę, żebyś miał syna, a skoro moje łono jest zamknięte, niech go urodzi inna, tylko niech on będzie mój.

- Uspokój się, Sarai, i śpij!

Odwrócił się na drugi bok i zasnął. Sarai nie spała do świtu. Gdy dzień nastał, podzieliła się swoim pomysłem z piastunką. Stara Noa okazała znacznie mniej zapału.

- Druga żona - mówiła - to druga żona. Wiadomo, co za ptak. Niewolnicę chcesz dać? Którą? Spoufali się i zażąda, żebym jej usługiwała...

- Zabierzemy od niej dziecko i odprawimy - postanowiła Sarai.

- Nie tak łatwo, gołąbko, nie tak łatwo... - trzęsła głową Noa wąpiąco.

Najtrudniej przyszło jej przekonać męża. Ab - Ram żałował szczerze, iż powiedział Sarai o tajnym głosie Pana słyszonym roku zeszłego, gdy przemierzał ten kraj, nie z południa na północ, jak dziś, ale z północy na południe. Nigdy nie bywał skory do zwierzeń, szczególnie przed kobietą, odkąd jednak czuł się niby człowiek strącony z wyżyny, ogarniało go często nieodparte pragnienie wspomnienia owych czasów minionych... Uległ tej chęci i postradał spokój.

Nalegania Sarai powiększały jego żal. Prawdą były obietnice i błogosławieństwa Pana, jak prawdą były jego własne tchórzostwo i małość. Ludzie czczący Marduka, Amona lub Nannar - Sina mogli grzeszyć, łącać i sprzeniewierzać się do woli. Bogowie o to nie dbali. Różnica pomiędzy nimi a Panem leżała - Ab - Ram pojmował to jasno - nie tylko w mocy, lecz w surowym wymaganiu stawiania się na obraz i podobieństwo Stwórcy. W światłości nie ma miejsca na mrok. W obliczu Pana nie może znaleźć się grzech. Czyn popełniony jest nieodwołalny. Zdało mu się bardzo okrutne, że winy nie zmaże ani żal, ani skrucha. Że ślad jej pozostaje na człowieku jak piętno wypalone na czole zbiegłego i pochwyconego niewolnika... Powiadają ludzie, iż rzeczy konieczne do życia ludzkiego są: woda, ogień, żelazo, sól, mleko, wino, miód, oliwa i szaty. Zali na pierwszym miejscu nie powinni stawić Boga? Potrzebny On jak woda, ogień i chleb. W Nim ludzka godność, pamięć utraconej chwały. Bez Pana Najwyższego niewielka zaprawdę różnica między mężem a szakalem.

I Ab - Ram żyjący w przekonaniu, że Bóg go odtrącił, czuł się marnym i nędznym jak szakal.

Ten upadek ducha sprzyjał zamiarom Sarai. Drobne ziarnka piasku zasypują wieże. Uparte jej nalegania czyniły powoli wyłom w oporze męża. - Kto wie - rozważał Ab - Ram - zali niewiata nie ma słuszności? Zamiast czynić dziedzicem moim chłopca Elizera, miałbym własnego syna...

Powaga głowy szczepu nie pozwalała mu należeć do narad niewieścich, przysłuchiwał im się jednak bez poprzedniego sprzeciwu.

- Keturę weź gołąbko, Keturę - doradzała stara Noa. - Dziewka silna, w biodrach rozłożysta jak krowa... Może urodzić bliźnięta. Potulna, cicha, nie przysporzy ci kłopotu...

- Wolę Hagar - odpowiadała Sarai. - Gdyby nie przyszła do Kesem, zostałabym u faraona i uschła z tęsknoty. Należy się jej wyróżnienie...

- Fałszywa żmija, twoja Hagar! Milczkiem kąsa... Do Kesem ja ją posłałam. Sama by nie poszła.

Ab - Ram niespodziewanie zabrał głos:

- Nie lubię Hagar, ma ptasie oczy.

- Widzisz, gołąbko - tryumfowała Noa. - Daj panu Keturę...

Sarai trzęsła przecząco głową. Uparła się. Sądziła, iż powinna odwdzińczyć się Egipcjance, poza tym Hagar była urodziwa i smukła. Ketura gruba i nieładna. Sarai chciała, by dziecko Ab - Rama urodziło się piękne, najpiękniejsze, nie pragnęła wcale, by odziedziczyło krótkie, tęgie łody Ketury; prócz tego, i to najważniejsze, nie lubiła odstępować od raz powziętego zamiaru.

Choć rozmowy prowadzone były poufnie, wieść o nich musiała rozejść się po obozie, gdyż wszystkie dziewczęta wolne i niewolne, odświętnie przystrojone, jeły w najbliższych dniach kręcić się bez powodu w pobliżu namiotu naczelnika. Ab - Ram nachmurzony nie spoglądał na nie wcale, uważał całą sprawę za ośmieszającą jego i żonę. Sarai upierała się przy wprowadzeniu do jego łóża Hagar. Przystał na koniec, znudzony. Noa, acz niechętnie, kazała Egipcjance iść spać do osobnego namiotu.

Gdy mrok zapadł, Sarai zadowolona powiodła tam męża. Podniósłszy zasłonę wejściową stanęła zdumiona. Na małym złożonym trójnogu płonęła żywica z mirrą. Odurzająca woń napełniła wnętrze. Poślanie okryte było kosztowną oponą. Hagar, niewolnica, klęczała pośrodku namiotu, nisko pochylona. Długie czarne włosy spadały aż na ziemię zasłaniając jej oblicze. Sarai nieco zmieszana stanęła przy mężu, wypowiadając głośno starannie ułożone słowa:

- Mężu mój i panie, przystąp do tej niewolnicy i wzbudź z niej syna, abym go miała. A syn, który wyjdzie z jej wnętrzości, będzie synem moim i twoim, nie jej. Niewolnico Hagar, zali słyszysz, co mówię?

Niezrozumiały szept dolatujący zza fali włosów był jedyną odpowiedzią. Klęcząca dziewczyna zdawała się nieruchoma jak posąg.

- Zostawiam cię, panie mój - rzekła Sarai bez poprzedniego zapału i wyszła. Gdy zasłona za nią opadła, Hagar wyprostowała się powoli, odrzuciła w tył włosy. Oczy jej błyszczały w mroku. Żywica ugnieciona z mirrą płonęła trzeszcząc.

- O panie mój! - zawołała żarliwie Hagar wyciągając śniade ramiona. - Posłyszałeś głos tęsknoty mojej! O Ramo!

Sarai wracała zamyślona do swego namiotu. Ciężar spoczął jej na sercu. Sama nie wiedziała czemu, lecz z pewnością byłaby spokojniejsza zostawiwszy Ab - Rama z Keturą. Stara Noa miała słuszność. Należało iść za jej radą. Krzepiła się nadzieją, że Ab - Ram rychło wróci, i oczekiwała go niecierpliwie. Lecz noc minęła, świt błysnął, a Ab - Ram nie wracał...

ROZDZIAŁ PIĄTY

POŻĄDANIE

Hagar kłamała mówiąc swego czasu Sarai, że nie umie grać na harfie - a może nauczyła się tej sztuki sama, w ciągu ostatnich miesięcy, gdy na rozkaz Ab - Rama została zwolniona od pracy. W każdym razie przebiegała teraz palcami po strunach wcale biegle i Ab - Ram słuchał jej gry z przyjemnością. Leżał na wznak, z rękami pod głową, patrząc z upodobaniem na postać kobiety stojącej przy harfie. Kibić miała już wyraźnie zgrubiałą, lecz szczupłe ramiona kładły się w poprzek strun giętko jak ruchliwe węże.

Spostrzegła jego wzrok, przestała grać i usiadła przy nim na łożu.

- Miód i mleko pod językiem twoim - szepnęła. - pocałuj mnie pocałunkiem ust twoich...

Objął ją czule ramieniem. Wyglądał obecnie znacznie młodziej niż dawniej. Drgający na wargach uśmiech nie przypominał jego dawnego, pełnego powagi wyrazu.

- Przyłóż mnie jako pieczęć do serca twego - prosiła niewiasta. - Wnętrznosci moje drżą za dotknięciem twym...

- Czyż ja nie płonę jak pożar? Pięknaś i miła w rozkoszy...

- Ab - Ramie! Ab - Ramie! - rozległo się za namiotem.

- Sarai wzywa na wieczerzę - zauważył, usiłując powstać. Hagar ze śmiechem oparła obie dłonie na jego piersiach, przytrzymując mężczyznę całym swym ciężarem.

- Nie wstaniesz, Ramo. Po co masz wstawać? Dlatego, że Sarai woła? Ja pójdę do twojej niewiasty, do twego namiotu, przyniosę ci wieczerzę, podam, usłużę, a potem opowiem ci bajkę...

- O czym? - zapytał już przyzwalający. Nie chciało mu się wstawać, spotykać zgorszonych spojrzeń Elizera i Noi, bolesnych Sarai, ciekawych Sura. - O czym mi powiesz? - powtórzył.

Potrząsnęła przecząco głową na znak, że nie wyjawi przed czasem i wybiegła. Leżąc beczynny i rozleniwiony, Ab - Ram patrzył sennie na płótno namiotu. Nie myślał o niczym. Był szczery mówiąc niedawno, że płonie jak pożar. Nienasycone pożądanie ogarnęło go po raz pierwszy w życiu. Niegdyś przed laty, gdy jako czysty, poważny młodzieniec poślubiał przesliczną, ukochaną Sarai - był szczęśliwy, był namiętny, ale namiętnością spokojną i zdrową. Żądza nasycona mijała, zostawiając umysł przytomnym, a ciało krzepkim. Lecz Hagar... O, Hagar... Kto ją nauczył dziwnych, drażniących praktyk rozplamieniających ciało? Posiadł ją dziewczyną. Z domu wyszła dzieckiem. Czyżby istotnie kobiety egipskie miały żądzę wlaną w krew, jak mówił Sarug? Zapytana o to Hagar uśmiechała się tajemniczo i mrużąc przedłużone malowidłem oczy wymyślała nową rozkosz. Z początku wstydził się i gorszył, aż pochłonięty nowością doznania, oddał się całkowicie w jej wolę. I ona była nienasycona, ustawicznie pragnąca, jakże odmienna od nienarzucającej się nigdy Sarai!

Nieraz ze zdziwieniem Ab - Ram uprzytamniał sobie, że Hagar wiele lat żyła w jego pobliżu,

cicha, pozornie obojętna, posłuszna niewolnica. Nie znał jej, nie lubił, ona zaś ukrywała w sobie skarby swej umiejętności miłosnej i uczucia dla niego. Zapewniała go teraz, że pokochała go od pierwszego wejrzenia. Dlatego, mimo że zbyła nadziei, by ją kiedykolwiek zauważyć raczył, nie dała dostąpić do siebie żadnemu mężczyźnie. - I doczekałam się! - stwierdzała z tryumfem. - To bogini Isztar sprawiła. Gdy byliśmy w Egipcie, złożyłam na jej ołtarzu złote naramienniki, które mi dała Sarai. Bogini mnie wysłuchała...

- Dam ci inne naramienniki, jeszcze piękniejsze - zapewnił wtedy.

Ab - Ram czuł się li dobrze czy źle w obecnym stanie? - Zapytany, nie umiałby na to odpowiedzieć. Dawniej tak dociekliwy, lubiący zdawać sobie sprawę ze wszystkiego, nie zastanawiał się teraz wcale. Ciało jego pragnęło ciała Hagar, on zaś stał się ciału powolny.

Dotychczas nie znał poddaństwa zmysłów. Tare syn Nachora wcześniej uczynił najmłodszego syna swym zastępcą, zlecając rządy szczepu gołowąsowi. Ab - RAM przejmował się nadaną mu godnością, wytężał siły i głowę, by swemu zadaniu sprostać, o swawoli, a bodaj o godziwej rozrywce nie miał czasu pomyśleć. Powagą nadrabiał niedobory wieku i doświadczenia. Pomału przywykł do dostojnej powagi i nie umiał już być innym. Toteż tajemnica władzy, jaką posiadała nad nim Hagar, tkwiła, być może, nie tylko w wyszukanej zmysłowości. Niewolnica egipska pierwsza potrafiła rozpowinać go ze sztywnej powłoki i przypomniała mu młodość, której nigdy nie użył.

Wszystko w niej zdawało mu się lube, nawet to, że nazywała go po prostu Ramą. Nikt tak na niego nie wołał. Może niegdyś, niegdyś matka, której nie pamiętał. Przydomek Ab, nadany mu przez Tarego w chwili oddawania synowi władzy, tworzył z jego imieniem nazwanie: Ojciec wysoki. Imię to przyłgnęło do poważnego młodzieńca i pozostało.

Hagar wracała niosąc na głowie duży, płaski kosz wypełniony naczyniami. Dzbanek z mlekiem, dzbanek ze śmietaną, miód, znakomite placki jęczmienne Noi, morele i winogrona. Uklękała przy łożu nie zdejmując kosza i zachęcała go, by brał z niego wprost.

- Zdejm wprzód ciężar z twojej głowy i pożywaj razem ze mną.

Odłożywszy ostrożnie kosz podawała mu strawę do ust. Na każdy kęs dmuchała pieczołowicie. Widząc, że studzi w ten sposób nawet winogrona, zapytał ją, po co to czyni?

Roześmiała się odsłaniając białe zęby, odbijające śnieżnie od ciemnej cery i umalowanych warg.

- Czynię czary - rzekła - byś mnie nie przestał miłować.

- Nie przestanę cię miłować - zapewnił - gdyż dobrze mi, gdy jesteś przy boku moim. A teraz opowiedz mi bajkę, którą obiecałaś.

- Opowiem, skoro pozmywam naczynie. Poczekaj, aż przyniosę wody...

- Opowiedz zaraz... Noa niech pozmywa albo Ketura...

- Słusznie mówisz, najpiękniejszy mój panie, mój mocny Ramo, mój połyskujący miesiącu... Noa pozmywa, a twoja niewolnica opowie ci bajkę.

Poskładała opróżnione naczynia do kosza, wystawiła tenże przed namiot i donośnym, rozkazującym głosem zawołała:

- Keturo! Noo! Niech która przyjdzie zabrać i pozmywać naczynie po wieczerzy pana!

Nie czekając odpowiedzi powróciła do namiotu i usiadłszy na łożu rozpoczęła swą opowieść:

- Dawno, dawno żyło nad Ojcem Rzek dwóch braci, Anub i Bata. Anub był mocny jak byk, Bata zwinny jak krokodyl. Obaj bracia kochali się bardzo. Ale niewiasta Anuba miłowała skrycie Batę. Bata był młody i niewiasty nie miał. Żona Anuba miała niewolnicę, która też miłowała Batę. Bata pływał łodzią po rzece i polował na hipopotamy. Nie bał się nikogo.

...Niewiasta Anuba ukryła się w trzcinach i gdy Bata przybił do brzegu, objęła go ramionami - o tak - i prosiła, żeby ją miłował. Bata rozgniewał się i powiedział: - Idź do swego męża, mojego brata Anuba.

...Niewiasta zapaliła się w sercu swoim, poszła do Anuba i rzekła: - Twój brat Bata napastował mnie i chciał mi odebrać moją cześć... - To mówiąc płakała. Anub, który był mocny jak byk, zabił swego brata Batę.

...Niewolnica знаła czary i przywróciła życie zabitemu. Bała się, że Anub zabije go po raz wtóry, więc wyjęła wskrzeszonemu serce i umieściła je w dziupli drzewa cedrowego. Ciało zabalsamowała i skryła pod korzeniami drzewa... Niewolnica lękała się, by wąż nie wpełzł do dziupli i nie pożarł serca Baty, więc obcięła sobie włosy i zaplotła nimi otwór. Serce Baty tkwiło za włosami niby w sieci. Włosy niewolnicy pachniały...

- ...Jak twoje, Hagar...

...Niewiasta Anuba poczuła tę woń i zapragnęła posiadać drzewo, które ją wydaje. Na jej rozkaz przyszli ludzie z toporami i ścięli drzewo cedrowe. Gdy upadło, dał się słyszeć jęk. Drwale przestraszyli się bardzo i pobiegli do Anuba, pana swojego, powiadając...

Hagar urwała powieść, zakryła twarz dłonią i nieoczekiwanie rozplakała się w głos.

- Co ci jest? Czemu płaczesz, ulubiona moja? - pytał Ab - Ram zaniepokojony.

- Dziecię twoje poruszyło się w żywocie moim i płaczę, że go nigdy oglądać nie będę... Biada mojej głowie, biada!

- Dlaczego nie masz oglądać twojego dziecka? Zdrowa jesteś, urodzisz szczęśliwie.

- Niewiasta twoja, Sarai, zabierze moje dzieciątko z twojego nasienia zrodzone. Wypędzi precz twoją sługę Hagar... Sarai czeka tylko, kiedy zlegnę, by mnie wygnąć. O, wolejbym wcześniej umarła... Wolejbym nigdy ciebie, Ramo, światłości mych oczu, nie znała! Cóż pocznę? Na pustynię

pójdę, by zginąć wraz z płodem, co go w mym żywocie noszę...

- Mówisz słowa nierozumne. Nikt ci dziecka nie odbierze.

Spojrzała na niego badawczo, z ukosa, ale nie przestała płakać.

- Ty, panie, masz w sercu litość nad swą służebnicą, lecz w sercu Sarai nie ma litości... Sarai zabierze moje dziecię, a mnie, Hagar, wygna...

- Ja rządę, a nie Sarai. Przestań płakać i opowiadaj dalej, co powiedzieli drwale Anubowi.

Hagar otarła oczy i uspokojona podjęła opowieść.

- ...drwale przybieżali do Anuba, mówiąc: - Ścieliśmy drzewo cedrowe, a ono padłszy na ziemię jęczy jak człowiek. Pójdź i oglądaj!

...Nim Anub przybieżał, niewolnica, która ze swych włosów uczyniła sieć dla serca, posłyszała o ścięciu drzewa i biegła wyjąć ciało zabalsamowane, by Bata wszedłszy w nie mógł odejść swobodnie. Nim jednak zdążyła uwolnić serce z dziupli, nadszedł Anub i zapytał: - Kto tu jęczy?

...Odpowiadając serce rzekło: - To ja, brat twój, Bata, którego niesłusznie zamordowałeś.

...Anub spłonął gniewem wielkim i skoczył na serce, żeby je podeptać. Lecz niewolnica uczyniła czary i serce Baty weszło w byka pasącego się opodal na łące. Anub rzucił się na byka, a byk na Anuba i wodzili się jeden z drugim.. Widząc, że byk słabnie, niewolnica znów uczyniła zaklęcie i serce Baty przeszło w wielkie drzewo. Niewiasta Anuba nadbiegła również, a gdy walczący lżyli się złymi słowy, kazała zdradziecko drwalom rąbać drzewo. I podsycala kłótnię obu braci, żeby się Bata nie spostrzegł i zginął. Ale niewolnica czuwała i gdy rębacze dochodzili rdzenia drzewa, przerzuciła serce Baty w sępa, co przelatywał nad lasem. Teraz Bata był bezpieczny. A gdy Anub ze swą niewiastą odeszli do domu, niewolnica wyjęła ciało ukryte pod korzeniami cedru i zaniosiła na swych barkach na góry, gdzie sokoły i orły mają swoje gniazda. Uginała się pod ciężarem, bolały ją stopy i dłonie, aż płakała, ale szła. Idąc widziała sępy krążące nad jej głową, ale żaden nie był Bata. Aż stanęła na szczycie i powiewała chustą zdjętą z głowy. Myślała: Odstraszę sępy szukające żeru, a dam znak miłemu memu, który nadleci. I tak się stało; wielki sęp kołował nad nią, wysoko, potem coraz niżej, aż spadł tak nisko, że głowę jej otoczył cień i wiatr od skrzydeł bił ją w twarz. To był Bata. I wszedł w swoje własne ciało, które ona przydzwigała. I objął ją ramionami, o tak, i ucałował oczy niewolnicy i usta, o tak, i poszli razem. Potem Bata został królem i poślubił niewolnicę, i ona była królową... Niewiastę Anuba zaś rzucono na pożarcie krokodylom. Czy na pewno nie pozwolisz odebrać mi dziecka, panie?

- Nie skrzywdzę cię, jak nie ukrzywdziłbym własnego ciała. Mojaś jest... Kto cię nauczył takich pięknych bajek?

- Pamiętam je z domu matki mojej, z czasów gdy nie byłam niewolnicą, którą każdy może pomiatać. Znam ich wiele i wszystkie opowiem kolejno panu mojemu. O żeglarzu, co płynął z rozkazu króla na wielkie morze i rozbił się na wyspie, której strzegł okropny smok. Albo o

walecznym Knumhotepie, którego skrzywdził niegodziwy Thotknaht. A twoje dni, panie mój, niech będą błogosławione, że nie pozwolisz skrzywdzić sługi twojej...

Sarai istotnie nie mogła doczekać się rozwiązania Hagar. W ostatnich czasach postarzała się tak, jak gdyby przybyły jej lata, które zdawały się ubywać Ab - Ramowi. Wyraz twarzy miała zacięty, a dwie głębokie zmarszczki biegingy od nosa do ust. Nienawidziła Hagar, zaciskała zęby, z trudem znosząc obecność zuchwałej dziewczki do czasu ukończenia jej ciąży. Wtedy, o, wtedy... Jeśli Egipcjanka urodzi syna, Sarai zabierze go, a niewolnicę wypędzi. Tak zostało ułożone. Ab - Ram przystał na to i zmienić nie może. Jeżeli Hagar urodzi córkę - odprawi się ją wraz z dzieckiem. Sarai sprzeda niewolnicę za byle co, odda darmo, wygna po prostu precz, byle nie oglądać więcej tej, co odebrała jej męża...

Ból i gniew Sarai były tym dotkliwsze, że nie miała przed kim się uzalić. Noa kiwała głową w sposób, który mówił: Uprzedzałam cię, gołąbko, sama chciałaś... Elizer wzdychał: Prosiłem moją panią, żeby wyszukała drugą żonę... Oboje mieli słusność. Druga żona ma określone prawa i obowiązki, posiada przepisane zwyczajem miejsce w gospodarstwie kobiecym. Musi słuchać pierwszej żony i podlega jej. Nie rozbija swoją obecnością domu, jak to uczyniła podła żmija, suka, obca nałożnica! O, dlaczego Sarai nie posłuchała rozumnej rady!...

...Niech tylko urodzi... niech tylko urodzi... - powtarzała sobie zawzięcie, lecz równocześnie w sercu rósł niepokój, czy wygnanie niewolnicy wystarczy, by przywrócić dawny stosunek pomiędzy nią a mężem. Wszak Ab - Ram był odmieniony! Inny! Ab - Ram, jej mąż, którego znała od dziecka, stał się nowym, obcym człowiekiem! Z musu poświęcał żonie rzadkie chwile, cały czas spędzając przy boku Hagar. Z początku pozorował to troską o spłodzenie dziecka, obecnie zaś nie usiłował pozorować wcale. Tak chciał i koniec. Niegdyś Sarai martwiła się, że Ab - Ram pochłonięty myślą o swoim dziwnym Bogu żyje niby urzeczony, obojętny na wszystko wokoło. Cóż by teraz dała za to, żeby czasy te wróciły!

Noc była piękna, bezmiesięczna, więc gwiazdy skrzyły się jasno na przejrzystej ciemni nieba. W takie noce dawniej Ab - Ram siadywał do późna przed namiotem, nieczuły na wezwania żony, zapatrzony w gwiazdy. W taką noc widziała go rozmawiającego z duchami. Co czyni teraz? Śpi czy po dawnemu spogląda w niebo? Nie mogąc opanować gorzkiej tęsknoty, podeszła z cicha ku namiotowi Hagar. (Pierwszej nocy stał on tuż blisko, potem Ab - Ram kazał przesunąć go dalej, nie chcąc mieć świadków w pobliżu.) Sarai kroczyła bezszelestnie. Obóz rozstawiony był na stałe, gdyż Ab - Ram nie zamierzał już dalej wędrować. Niewidoczny w mroku potok ciurkał po kamieniach nielicznymi strużkami wody. Na wpół uwiedłe trawy pachniały gorzko. Deszcze jesienne miały się rozpocząć lada dzień. Nieodłączne od mroku szakale skomlały w krzakach. Rosnące z rzadka pokraczne, niskie dęby ocieniały ziemię. Korzystając z ich osłony Sarai podsunęła się blisko pod namiot przeciwniczki i stanęła wstrzymując oddech. Ab - Ram siedział na ziemi patrząc w gwiazdy, lecz przy jego boku, przytulona doń całym ciałem, znajdowała się Hagar. Obejmował ją mówiąc... Co? Należało podejść bliżej, mogłaby posłyszeć. Na myśl, że ktoś nadszedłszy niespodziewanie zobaczy panią podsłuchującą rozmowy męża z nałożnicą, ogarnął ją wstyd tak silny, że śpiesznie wróciła z powrotem. Łzy spływały strugami po jej poblądłych policzkach.

Hagar mówiła:

- Ojciec mój, który był skrybą, mówił mi, że ta gwiazda, ta najjaśniejsza, jest okiem boga Gad, dla którego kapłani zastawiają sute stoły, by jego łaski ujednać.

- W Ur nazywają ją Nimrudem - zauważył Ab - Ram.

- Ta znów to bogini Izyda.

- W Ur nazywają ją Isztar.

- Pewnie ta sama. Bogini miłości. Twoja bogini i moja. Ta, która mi dała ciebie.

- Nie wierzę w boga Gad ani w boginię Izydę. Pan Bóg Wszechmogący jest jeden...

Zasłoniła mu usta ze śmiechem.

- Znam, znam tę opowieść! Słyszałam nieraz, jak powiadałeś o swoim bogu... Nikt go nie widział, nie ma oblicza, nie ma nawet imienia... Cóż to za bóg?

- Szkoda z tobą mówić, niewiasty nie rozumieją tych spraw - odparł żartobliwie. Nie chciał rozprawiać z nią, jak gdyby w obawie, iż ona okaże się w dowodzeniu silniejsza.

- Widziałam w świątyni - upierała się Hagar - posąg, który odpowiadał na zapytania kapłanów. Głos miał huczący i ludzie ze strachu padali na twarze. A swojego boga słyszałeś kiedy?

- Nie będę z tobą mówił o Nim - rzekł, zdjęty niepojętym dla niego wstydem.

- Słusznie czynisz, mój panie, piękny jak wschodzący miesiąc. Przecież on cię rzucił... Wszyscy mówią, że dlatego, boś mu skąpił ofiar. Bogowie są chciwi...

- Rzekłem, iż nie chcę, byś o Nim mówiła! - Chciał powstać. Uczepiła się jego ramienia.

- Daruj, Ramo, najpokorniejszej swej słudze. Pozwól, aby niewolnica twoja mówiła o bogini Izydzie, którą ty nazywasz Isztar. Ona jest matką płodności i opiekunką ciężarnych. Chcesz mieć syna, panie mój?

- Chcę, abyś urodziła mi syna. Chcę mieć dziedzica w starości mojej.

- Złóż tedy ofiarę bogini Izydzie. Siedem baranków.

- Nie złożę.

- Żałujesz siedmiu roczniaków?!

- Dałbym sto baranów za twój szczęśliwy poród, ale nie złożę ofiary bogini.

- Komuż ją złożysz?! - zawołała rozgniewana.

Nie odpowiedział nic, gdyż okrzyk ten uderzył go boleśnie. Istotnie - komu? Czyj on jest? Kogo

może w trwodze wzywać? Pan go odstąpił. W bogów nie wierzy. Nie posiada nawet terafim. Jest sam. Sam w obliczu wszystkich potęg ziemi i nieba.

I po raz pierwszy budzące pożądanie łono kobiece wydało mu się kruchym i przemijającym schronieniem, które lada chwila zmuszony będzie opuścić, by stanąć oko w oko z rzeczywistością przerażająco groźną. Świadomość ta przeszła go i wzbudziła pragnienie. Przysunął się do Egipcjanki. Objęła go miłośnie, zaglądając przekornie w oczy.

- Nie lękasz się, skoro dziś jest trzynasty dzień miesiąca? - zapytała. - Powiadają, iż kto w tym dniu obcuje z niewiastą, traci męskość...

- Powiadają tak, owszem, lecz skąd wiesz, że dziś jest trzynasty dzień? Dnie znają tylko kapłani.

- Liczę poranki od każdego nowiu, by pamiętać, że w szczęśliwą porę mam urodzić twego syna.

- Nie posłucha dziecię woli twojej, choćbyś mu dzień wskazywała.

Oparła twarz na złożonych dłoniach, patrząc z zamyśleniem przed siebie.

- Posłucha mnie - zapewniła. - Jeśli pocznie kołatać i wrywać się w złą noc, gdy miesiąc jest utajony, zamknę się i wstrzymam dech, i nie wypuszczę go, aż nadejdzie nowa doba...

- Zaprawdę, Hagar - rzekł z uznaniem - nie spotkałem drugiej niewiasty jak ty!

Uśmiechnęła się boleśnie.

- Cóż mi z tych słów, skoro mój pan odmawia ofiary bogini? Pragnę wielkim pragnieniem, by syn jego błyszczał jak Samasz, świecił jak Sin, był mocny jak byk, czysty jak woda, biały jak śmietana. Próżno pragnę. Bogowie nie uczynią go takim, nie otrzymawszy ofiary. Owszem, sprawią, że będzie miał sześć palców u dłoni albo dwie lewe stopy, albo kose oczy.

Wybuchnęła płaczem i Ab - Ram daremnie usiłował ją uspokoić.

- Złóż ofiarę! - łkała.

- Zrozum, proszę, że tego uczynić nie mogę... Nie wierzę w boginię...

- Cóż to szkodzi? Zarznij barany, panie mój, a bogini poczuje się zadowolona... Zali bogowie pytają, czy się w nich wierzy?

- Namyślę się, obaczę... - obiecał na koniec.

Kłótnia pomiędzy Sarai i Hagar wybuchła z powodu tak błahego, że obie niewiasty, zapytane,

nie umiałyby zapewne go wymieniwać. Może niezmyty garnek, może porzucona szmata... Kaźdy powód był dobry, by dać ujście wzbięrajacej w nich nienawiści. Nienawiść Sarai była głębsza, gdyż niewiasta miała słuszość za sobą. Nienawiść Hagar gwałtowniejsza, gdyż długo tajona. Mierzyły się płonąącymi oczami, gotowe skoczyć sobie wzajemnie do oczu.

- Podła niewolnico! - syczała Sarai. - Gdybyś nie była ciężarna, kazałabym cię spać w dyby!

- Nie jestem twoją niewolnicą!

- Jesteś! Jesteś!

- Nie jestem, bo urodzę syna memu panu!

- Syna?! Urodzisz córkę ślepa, garbatą i kulawą!

Hagar roześmiała się wyzywająco.

- Syna urodzę! Przepowiedział mi to jeden wieszczek w Egipcie!

- Ten syn będzie mój, nie twój!

- Zachciewa ci się mojego syna, jałowa starucho?! Sama nie urodziłaś nawet ślepego szczenięcia i chcesz mojego syna!

Sarai była blada z wściekłości.

- Żmijo! - zawołała. - Padlino! Psie ścierwo! Gdy tylko urodzisz, napiętnuję cię na czole i oćwiczę! Oćwiczę sama!

- Spróbuj!

Hagar oparła pięści na biodrach, jak gdyby szykując się do walki. Noa, bojąc się o dziecko, pobięgła szukać Ab - Rama. Nadszedł szybko wraz z Elizerem.

- Co czynicie? - zapytał ostro dawnym swym stanowczym głosem. - Czy demon was opętał, czy słońce mózgi przeżarło?!

Lecz obie kobiety tak były zacierzewione, że nawet głos pana nie pohamował ich gniewu. Pluły na siebie, wrzeszcząc. Ab - Ram chwycił obie za ramiona i silnie potrząsnął.

- Niech wasze opętane ozory umilkną natychmiast! - krzyknął. - Dość tego! O co wam chodzi?!

Nie odpowiedziały. (Na co te pytania? Ab - Ram chyba sam dobrze wie, o co im chodziło!) Hagar padła na kolana trzymając się ostentacyjnie za brzuch. Sarai stała wyniosła, wyprostowana, nie spuszczaając wzroku przed zagniewanym spojrzeniem męża. Ab - Ram mimo woli poczuł się zakłopotany i postanowił sprawę zakończyć.

- Dusza moja nie znosi swarów - oświadczył. - Oczy moje nie chcą widzieć ani uszy słyszeć waszych kłótni. Odtąd nie będziecie się widywać. Elizerze, niech twoja niewiasta Resa obsługuje ciężarną Hagar i gotuje dla niej.

- I ja, i moja niewiasta jesteśmy twoimi sługami, Ab - Ramie - odparł Elizer bez zapału. Obie niewiasty nie zdawały się zadowolone również. Sarai - gdyż niewolnica nie została skarcona, Hagar - ponieważ panoszenie się w namiocie pani i rozkazywanie starej Noi stanowiło dla niej żywą przyjemność. Rozstrzygnięcie Ab - Rama nie zażegnało więc burzy.

- niesprawiedliwie czynisz przeciw mnie - rzekła dumnie Sarai. - Dałam na łono twe sługę, która począwszy, gardzi mną, ubliża mi!

- Jestem sługą mego pana! - zaszlochała Hagar rozpaczliwie. - Nie jestem sługą Sarai! Mój pan nie odbierze mi syna! Mój pan mi to obiecał!

Sarai, Noa, Elizer utkwili wyczekująco wzrok w Ab - Ramie. On milczał. Ogarnęła go bezsilność mężczyzny zmuszonego rozsądzić dwie poważnione kobiety, z których jednej pożąda, a druga ma prawa... Pragnął zadowolić Hagar, a równocześnie wrodzone poczucie sprawiedliwości nie pozwalało ukrzywdzić Sarai. Szczególnie w obecności sług.

- Niewolnica twoja, Hagar, jest w ręku twoim, Sarai - rzekł w końcu z wysiłkiem. - Pamiętaj wszakże, że jest ciężarna i pozostaw ją w spokoju. Rzekłem, iż nie ujrzycie jedna drugiej do czasu jej rozwiązania. O moim dziecku sam postanowię według mojej woli.

- Nie oddam dziecka nikomu! - wrzasnęła dziko Egipcjanka.

Przeciągnęła strunę. Ab - Ram pojął, że straci wszelką powagę w oczach swych ludzi, jeżeli ustąpi.

- Jesteś niewolnicą i uczynisz to, co ja rozkażę.

Bez słowa Hagar wypadła jak nieprzytomna z namiotu. Ab - Ram z trudem powstrzymał się, by nie pobiec za nią. Sarai spojrzała na męża z wdzięcznością. Odepchnął ją gniewnym wzrokiem.

- Elizerze! zawołał. - Idź za niewolnicą Hagar i odprowadź ją do jej namiotu.

Stary sługa skłonił się i pobiegł. Ab - Ram chodził po namiocie siląc się na spokój. Sarai i Noa milcząc powróciły do przerwanej kłótni przebierania soczewicy. Gładkie, płaskie ziarna przesypywały się przez ich dłonie z płynnym szelestem. Czekali długo. Nareszcie Elizer wrócił zadyszany.

- O panie mój! To szalona! Demon o złym oku, Sedu, wstąpił w jej wnętrzności. Gdym podszedł do niej, rzekła, iż się nożem pchnie, a nóż miała w ręku. Powiedziała, że pójdzie do Gazy sprzedać się na rynku. Wróciłem, byś siadł na wielbłąda i dognał ją. Ciebie posłucha... Odbierzesz jej nóż...

- Wielbłąda! Prędzej! - krzyknął Ab - Ram. Ręce mu drżały z gniewu i niepokoju. Z pasją

spojrzał na obie kobiety.

Schylone nad robotą milczały przezornie nadal. Gdyby nie dziecko, z jaką radością przyjęłyby wiadomość o ucieczce Hagar! Niech idzie, niech się sprzeda! Wprawdzie prawo wzbraniało surowo kupna zbiegłego niewolnika czy niewolnicy i w razie odnalezienia zbieg był piętnowany, nabywca płacił wysoką karę. Pomimo to niedozwolony ten handel był szeroko uprawiany. Jeżeli szalona Egipcjanka wykona swą groźbę - syn z nasienia AB - Rama, jego przyszły dziedzic, narodzi się jako niewolnik...

Sur podbiegł prowadząc wielbłąda, który ukląkł posłusznie. Ab - Ram wsiadł nań, Elizer za nim i pognali w stronę Gazy.

Wbrew swej zapowiedzi ciężarna tuż za obozem skręciła na wschód, pnąc się na wyżynę skalistą z rzadka porośłą klującymi zaroślami, pustkowie nie uczęszczane przez stada, gdyż trawa była na nim zeschnięta i spalona. Gniew dodawał sił idącej. Szła szybko, wprędce dotarła do szczytu. Poprzez zarośla mogła widzieć obóz rozłożony w dolinie nad strumieniem, dymy z ognisk wznosiły się w górę. Kłęb pyłu na drodze zwrócił jej uwagę. Rozpoznała pędzącego wielbłąda, na nim dwie ludzkie postacie. Domyśliła się, że Ab - Ram szuka jej, i zacisnęła pięści ze złością. Niech szuka, niech goni aż do samej Gazy. Nie odnajdzie nigdy miłośnicy, matki swego nie narodzonego jeszcze dziecka... Upokorzył ją i stracił na zawsze. Hagar nie wróci, zatraci się w tej pustyni, zemrze z głodu, rozszarpie ją lew, nie wróci za nic... Dobrze tak Ab - Ramowi. Niech dusza jego pławi się w żalu; niech pozna poniewczasie, co stracił...

Ruszyła przed siebie, byle dalej od obozu, a gniew jej rósł, w miarę jak użalała się nad samą sobą. Dławiła nienawiść do Sarai. Żałowała, że nie jest czarownicą kasappu, której ślina truje. Opluła niewiastę Ab - Rama, więc ta byłaby już martwa. Mruczała półgłosem zaklęcie:

- ...Wzywam was, bogowie, przeciw tej niewieście! Bogowie nocy i dnia, zorze ranne i wieczorne... Wysłuchajcie prośby mojej! Niech ona zginie, a ja niech żyję. Niech wiatr rozniesie jej złości i kości. Niech ja błyszczę jak kankal, jak lardu. Niech ona w ustach ma sól. Niech ją zjedzą wszy, niech jej braknie wody, niech wargi jej szeleszczą jak suchy liść na pustyni...

Wypowiedziane przekleństwo ulżyło jej na chwilę. Po czym znów jęła użalać się nad sobą i dziecieniem poruszającym się w jej łonie, a mającym zginąć wraz z nią.

...Jakby się zwał ten jej syn upragniony? (Wprawdzie rzekoma przepowiednia egipskiego wieszczka należała do rzędu kłamstw, które Hagar płodziła bez trudu, uwierzyła w nie jednak sama i ani przypuszczała, by mogła urodzić córkę). Ab - Ram dałby mu miano hebrajskie, twarde, niemiłe. Tare, Nachor czy Sarug. Matki nikt by nie pytał o zdanie. Po prawdzie, to nie pamiętała, jak się jej ojciec nazywał... Przypomnienie doli niewolniczej rozżarzyło jej gniew na nowo. Zapragnęła, by syn jej żył, został dziedzicem Ab - Rama i pomścił ją. Po śmierci ojca wypędzi Sarai i posadzi Hagar na jej miejscu w namiocie. Sarai będzie błagała o litość. Obraz ten zdał się zachwycający, usunął poprzednie pragnienie śmierci na pustyni na złość Ab - Ramowi. Postanowiła, owszem, żyć i wychować dziecko. Marzyła, że płód jej będzie dziki i groźny. Potrafi wzbudzić trwogę, sam zaś nie posłucha nikogo... Pan swojej woli. Ujarzmi i poniży innych za to, że matka była niewolnicą. Nazwałabym go Dib, wilk - myślała - żeby kąsał wszystkich jak wilk... Nazwałabym go Dob,

niedźwiedź, żeby był straszny jak niedźwiedzica, sakkul, której odebrano małe... Nazwałabym go Zaal, gniew, nazwałabym go Isma - ilu, Głos mego cierpienia...

Szła pogrążona w rozmyślaniach, nie patrząc, dokąd idzie. Zarośla o długich ostrych kolcach zastępowały jej drogę, skręcała, jak popadło, to w lewo, to w prawo. Pluskanie wody o kamienie zwróciło jej uwagę. Skręciwszy w tę stronę ujrzała źródło bijące ze skały, wyciekające w dół cieniutkim strumykiem. Usiadła tuż przy wodzie na kamieniach, dopiero teraz czując, jak bardzo jest zmęczona. Napiła się, obmyła rozognioną twarz i jęła myśleć przytomniej. Wokoło panowała cisza, którą słaby bełkot źródła czynił wyrazistszą. W tej ciszy lada chwila zaszeleszcza kroki lwa albo lamparta przychodzącego do wody. Ujrzą Hagar i pożą ją, wraz z jej nadziejami odwetu. Strach ją ogarniał, przeklęła samą siebie, że zaszła w to pustkowię. Wiele jej przyjdzie z rozpacz Ab - Rama, gdy lew wypuści z niej dech? A może nikt nie znajdzie jej rozwleczonych kości, nie dowiedzą się nigdy, co się z Hagar stało? Miast zmartwić, ucieszy Sarai... Biada, biada!...

Stojąc nieruchomo, obezwładniona strachem, słyszała wokół siebie ostrożne stapania i szmery. Domyśliła się, że to demony. Czyż zapomniała, że przy każdym źródle mieszka strzegący je demon? Usiadłszy nieopatrznie na kamieniu, bez uprzedniego zabezpieczenia się zaklęciem, może zajęła jego ulubione miejsce? Poprzedni strach zastąpiła groza. Wszystko inne stało się błahe, nieważne. Nawet nienawiść do Sarai, nawet upokorzenie doznane od Ab - Rama, nawet lampart, nawet lew... Stały jej w oczach oglądane niegdyś na ścianach świątyni w Ur obrzydłe postacie demonów o szponach sępa, ogonie węża, głowie trupiej i ciele lamparta. To Utukki zamieszkujące góry, doliny i groby... Przypomniła sobie jędzę Labartu, czyhającą na ciężarne, by płód ich wydrzeć i swoje jajo na to miejsce złożyć. Labartu ma głowę lwa, zęby osła, głos jej straszniejszy od burzy. Wydało się przerażonej, że słyszy kroki potwora. Otaczająca ją pustka zarośla się mnóstwem szkaradnych postaci, drwiących i złowrogich. Nie miała czym się przed nimi zasłonić. Siła demonów łaskawych nie dorównuje sile demonów złośliwych, próżno je zatem przyzywać. I ogarnięta bezprzytomnym lękiem, Hagar zaczęła uciekać. Pędziła na oślep, wyła z trwogi. Do obozu, do namiotu, do starej Noi, niechby nawet do Sarai, byle znaleźć się wśród ludzi... Ciernie przytrzymały szaty biegnącej i sądziła, że już chwytają ją wiedźmy. Dziw, że nie umarła ze strachu. W popłochu zapomniała, że najlepszym przewodnikiem byłby ów nikły strumyczek spływający na pewno najkrótszą drogą w dolinę, i kołowała pośród krzaków. Potykała się, padała, biegła znowu. Błądziła długo. Nareszcie ujrzała poprzez zarośla dymy ognisk obozowych wzbijające się w górę. Jak gdyby sam ten widok posiadał czar bezpieczeństwa, znaczył granicę widziadłom, strach ją opuścił. Odetchnęła wyzwolona. Schodząc uważnie w dół po stromym zboczu, rozmyślała, jak dać powód powrotu. Nie przyzna się za nic, że wróciła z własnej woli gnana opętanym strachem. Powie, że spotkała duchy i duchy kazały jej wrócić...

Uśmiechnęła się sama do siebie. Cóż za znakomity pomysł zrodziła w tej chwili! Ujarzmi raz na zawsze Ab - Rama. Sarai nie ośmieli się ust przy niej otworzyć... Zeszła już w dolinę i mimo zmęczenia kroczyła wyprostowana, wzgardliwa. Taką ją spotkali Mosa z Surem, jedni z licznych wysłanych w ślad za nią gońców.

Ab - Ram powróciwszy z nieudanego pościgu stał sam przed namiotem. Widok jego zmienionej twarzy uprzytomnił Hagar, jak wielką władzę ma nad nim. Ujrzawszy ją podniósł radośnie obie ręce do góry.

- Oto jest! Oto jest! - począł wołać. - Oto wróciła! Nie szukajcie już! Minęła moja zgryzota, skoro Hagar powróciła!

Pochwycił nadchodzącą w ramiona.

- Goniłem za tobą, jakbym był szalony - wyznał. - Gdzie byłaś?

Hagar usiłowała nie okazać zadowolenia, jakim przejęło ją to powitanie.

- Uszłam na pustynię wysoką, panie mój - wyjaśniła. - Chciałam stracić się wraz z dzieciąciem, które noszę, by dłużej utrapień nie znosić. Czekałam, aż pożre mnie lew... Zeszłam stamtąd, gdyż twój bóg nakazał mi wrócić...

Odsunął się od niej, wstrząśnięty.

- Mój Bóg?... - wyjąkał. - Mówił do ciebie?!...

- Mówił i widziałam go.

Potrząsnął głową zawiedziony.

- Nie mogłaś widzieć. On nie ma oblicza.

- Widziałam - upierała się.

- Może zesłał do ciebie swojego Anioła?

- Tak, tak, to był Anioł - przystała chętnie.

Położył jej obie ręce na ramionach, wbił wzrok w jej oczy, aż poczuła się zmieszana i odwróciła twarz.

- Mów - nalegał. - Mów, jaka była jego postać?

I tego pytania nie przewidziała. Spuściła nisko głowę.

- Nie śmiałam patrzeć... - tłumaczyła. - Widziałam go tylko z tyłu... Już przechodził... Wielki był...

- Mówił do ciebie?

- O tak. Mówił do twej sługi, Ab - Ramie.

- Coć rzekł?! - zawołał.

Odetchnęła, tę odpowiedź bowiem miała przygotowaną.

- Anioł rzekł: Wracaj do pana swojego, Ab - Rama, ukorz się pod jego dłonią. Urodzisz syna,

którego nazwiesz Ismael. Głos cierpienia twojego, albowiem Pan uzalił się krzywdzie, jaką znosisz... Tyle było słów Anioła. A ukazał mi się przy źródle na puszczy bijącym... I wróciłam, by ci służyć, niepomna, żeś był zły dla mnie...

Ab - Ram stał bez ruchu, bez słowa.

- Powtórz mowę Anioła raz jeszcze - rzekł po chwili ściszym głosem. - Powtórz posłanie, które ci zlecił Pan...

Wyrecytowała swą opowiastkę ponownie, rada z wrażenia. Ab - Ram usiadł ciężko na ziemi jak człowiek słońcem porażony i spuścił nisko głowę na piersi. Milczał.

- Jestem znużona - westchnęła Hagar. To była prawda. Z trudem trzymała się na nogach.

Skarga jej przeniknęła do świadomości męża. Podniósł się i ujrano ze zdumieniem, że po policzkach spływały mu łzy.

- Idź spocząć, Hagar - rzekł łagodnie. - Resa przyniesie ci strawę i obmyje stopy. Idź spocząć. Błogosławieństwo twojej głowie za wieść, jaką mi przyniosłaś!

Odeszła do swego namiotu zawiedziona, sądziła bowiem, że będzie jej towarzyszył. Pragnęła tego, by dokuczyć Sarai, i obejrzała się za nim kilkakrotnie. On nie zauważył tych spojrzeń pochłonięty posłyszana nowiną. Chciał być sam, by ją rozważyć. Wyszedł poza obóz, w poszukiwaniu samotności obrał bezwiednie tę samą drogę, którą niedawno przybyła Hagar uniesiona gniewem. Piął się na wysokie pustkowia nie widząc nic wokoło, wpatrzony w głąb samego siebie. Nie wątpił w prawdomówność Egipcjanki. Sam nigdy nie kłamiąc, z trudem posądzał innych o kłamstwo. Nie widział przy tym celu, który by niewolnicę nakłaniał do fałszu, nie znał się bowiem na kobiecej miłości własnej. Z łatwością uwierzył, iż Hagar widziała Anioła Pańskiego, który jej rozkazał wracać. Zatem Pan nie zapomniał o swym słudze! Pamiętał o nim nadal, opiekował się jego nasieniem! Serce AB - Rama przejęło wzruszenie połączone z palącym wstydem. Oto jak postępował Bóg, a jak człowiek! Oto co czynił Stworzyciel, a jak się odwdzięczało stworzenie. Po co ukrywać? W poprzednich (ostatnio poniechanych) biadaniach, że obraził Pana i utracił Jego łaskę, tkwiła uraza do Boga, ludzki żal: Powołałeś mnie, przemawiałeś słowy błogosławieństw pełnymi i poniechałeś samego, ażem upadł... Nie przeszkodziłeś, bym zgrzeszył. Utwierdziwszy się w przekonaniu, że Pan odszedł, przestał nasłuchiwać Jego głosu, Pana, acz zagniewanego, szukać i za Nim tęsknić. Bo gdzie następuje oddalenie, zachodzi zubożenie. Człowiek sądząc, że jest odtrącony, sam się oddala.

Przystanął na stoku, rzucił okiem poza siebie. Nie widział doliny, ale własne życie, dzieje ostatniego roku. Wydały mu się haniebne, aż zdrętwiał. Wszak żył jak bydlę nierozumne, próżny innej myśli niż rozkosz z niewiastą...

Przypomniał sobie nieprzystojne praktyki, jakich go nauczyła Egipcjanka, on zaś poddawał się im z ochotą i łaknął więcej. Demon chuci zamieszkał w jego ciele, owładnął nim całym. Wstyd, jaki go obecnie przenikał, podobny był do uczucia Adama, kiedy ukrywał się przed Bogiem mówiąc: Jestem nagi... Bo są zwierzęta nieczyste, jak jeź, dudek, zajac, świnia, nietoperz, sowa, sęp, łasica, mysz, salamandra, krokodyl i inne. Nieczysta jest wszelka padlina. Nieczysty jest człowiek, co

dotykał ścierwa, chory na trąd, na płynienie krwi, obnażający swe ciało. Lecz w tej chwili obrachunku z samym sobą Ab - Ram pojął, aczkolwiek nigdy tego nie słyszał od ojców ani potrafiłby wyrazić słowami, że istnieje nieczystość cięższa od wymienionych, bardziej kalająca człowieka, niż gdyby obcował z trupem - nieczystość serca uwikłanego w rozkosze cielesne do tyła, że o niczym innym nie pomni. Poczul się poniżony i wstrętny. Pan go powołał. Pan do niego, Ab - Rama, przemawiał, on zaś zbył wspomnienia o tym. Stary mędrzec, Nergal Sar, powierzył mu tajemnicę i powiedział ufnie: Mogę umrzeć. Dał swój płaszcz obcemu pasterzowi, wierząc, iż ten pasterz poniesie tajemny skarb dalej i ujawni go odważnie światu. Okropną śmierć poniósł dobrowolnie Sep - Sin, by jego, Ab - Rama, posiadacza Prawdy, ocalić. Zaprawdę, bezużytecznie zginął, bo Hebrajczyk nie działał, niczego nie dokonał. Przeciwnie. Obraziwszy Pana zapomniał o Nim.

Pan zaś patrzył. Niby myśliwy zaczajony na geparda, śledził, co czyni niewierny, i czekał...

Straszno było myśleć o wszechwiedzącym wzroku, dla którego nic nie było tajne. Widziałeś mnie w łonie matki, ledwom był poczęty, i widziałeś, gdym, dziad siwy, zabawiał się nieskromnie na łonie kobiety. Widziałeś mnie, o sromoto, gdy ona domagała się ofiary dla bogini, ja zaś nie miałem odwagi odmówić, by mi nie cofnęła swego ciała... Widziałeś mnie każdej chwili i jeszcze troszczysz się o mnie?!

Przepeliła go boleść nad własną marnością, a niewysłowiona miłość i uwielbienie dla Pana. Nigdy, nawet w szczęśliwych czasach, gdy sądził, że znajdował się blisko Boga, nie czcił Go i nie miłował goręcej. Pragnął zamienić się w pył pod Jego stopami, zniknąć, by pozostał tylko Pan, nie wiedzieć nic, nie czuć nic poza błogosławioną świadomością, że Pan jest...

Woda pluskała o kamienie. Źródło! Zapewne to samo, przy którym Hagar ujrzała Bożego wysłańca. Wiecznie Żywego przechodzącego mimo niej. Niech się zwie to miejsce odtąd Beer Lachaj Roj...

Ab - Ram ukląkł, opierając czoło na kamieniu. Miejsce, które mściwa Hagar czuła wypełnione szkaradnymi potworami, zdało mu się, modlącemu, pełne światłości i łaski.

Lecz złudna i krótkotrwała bywa cisza w sercu ludzkim. Aczkolwiek wstrząs, jakiego doznał Ab - Ram, zmiotł z jego pamięci wszystko, co nie było Panem, gdy powrócił do swego namiotu późnym już wieczorem, gdy w ogarniającym mroku rozmyślając nad zdarzeniem pojął, iż nie wolno mu obcować z Hagar nadal jak dotychczas - ciało jego przeniknęła żałość, z żałości zrodził się bunt. Dlaczego miałby się wyrzec swojej nałożnicy? Cóż jest złego w obcowaniu z niewiastą? Rozgrzane oporem pożądanie wzrastało w miarę, jak mówił sobie: Nie pójdziesz do niej! Dopiero teraz ujawnił mu się sens pozornie zagadkowych słów Nergal - Sara o rozdzieleniu wewnętrznym stanowiącym cechę ludzką. Oto w nim również borykało się dwóch ludzi wrogich wzajemnie, dwóch AB - Ramów przeciwstawnych. Jeden wołał: Panie! Wszystko niczym wobec Ciebie! - Drugi poblady z żądz syczał: Ona czeka! Idź do niej, czemu się wahasz? Niebawem stare twe kości ostygną i przestaniesz pożądać rozkoszy. Syć się nią, dopóki czas...

Zlany potem przewracał się na posłaniu, jęczał nie wiedząc, co począć. Gorzej mu się stało, albowiem nie wiedział, po czyjej sam stoi stronie i który z dwóch walczących ze sobą Ab - Ramów jest mu bliższy. Upodabniał się to z jednym, to z drugim, usiłował ich pogodzić zadowolając obu.

Mówił sobie: Może Hagar zasłabła z wrażenia? Powinien dowiedzieć się, co z nią, gdyż jest ciężarna... - Nie idź! Nie idź! - wołał natarczywie i nieubłagane głos drugi. - Gorąco w namiocie, powietrza mi brak. Pójdę rzucić okiem na stada... Nie skręcaj ku namiotowi twojej nałożnicy, bo nie wydzierzysz. Azalim nie mężem dojrzałym? Ani spojrzę na jej namiot, lecz tamtędy bliższa mi droga do trzody... Kłamiesz! Nie idź w jej stronę, Ab - Ramie!

Wyszedł. Stał patrząc na niebo wypełnione Panem, lecz spuściwszy oczy widział ziemię ciemną niby ciało Egipcjanki. Skradając się sam przed sobą podchodził do jej namiotu. Zasłona wejściowa uchylona. Czeka na niego! Skrzywdzę niebogę nie zaszedłszy do niej... Na chwilę, tylko na chwilę...

Wysoka postać wyrosła tuż przed nim, tak niespodziewanie, że zatrzymał się jak wryty.

- Szukałem cię, panie mój - rzekł Jahiel, gdyż on to był. - Każ wyjść kilku ludziom z włóczniami, bo lew krąży i stęka wokół stada nie bojąc się wcale ognia ani krzyków.

- Sam pójdę i drugich zawołam - rzekł śpiesznie Ab - Ram zawracając do swego namiotu po broń.

- Zdało mi się stosowne niepokoić cię, Ab - Ramie synu Tarego - tłumaczył jeszcze Jahiel - gdyż jeśli trwoga uderzy w pasterzy, rozproszą się owce.

- Zaprawdę, Jahielu, wdzięcznym ci, żeś mnie zawołał.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

DOLINA SIDDIM

Z tarasu, na którym spoczywała Idith, żona Lota, widać było zielone, zwarte czuby drzew, ciągnących się aż po bielejące w oddali mury Gomory, i dalej, do stóp nagich szczytów górskich. Góry otaczały dolinę z trzech stron: południa, zachodu i wschodu. W północnej stronie wody Słonego Jeziora połyskiwały barwą martwego turkus; w gorącej porze unosił się nad jeziorem biały obłok pary. Dolina Siddim, ograniczona jeziorem i górami, była też zwana Leśną dzięki obfitości drzew, kupiec Sarug zaś nie przesadzał wychwalając jej uroki. Zdała się być bukietem kwiecica zamkniętym wśród skał, szmaragdem oprawnym w kamień. W porastających ją gajach rosły drzewa mirtowe o drobnym, wonnym listowiu, dęby, oliwki, strzeliste palmy, brzoskwinie, morele i morwy. Powietrze jednostajnie ciche, parne, przesiąknięte słoną wilgocią sprzyjało wzrostowi roślin. Nigdzie, nawet w kwiecistym Damaszku, róże pokrywające ściany domów nie były równie świetne i pachnące. Gdziekolwiek tylko wśród zieleni traw czerniały przepaściste, złowonne doły połyskujące w głębi czarną mazią. Były to sławne studnie asfaltowe stanowiące bogactwo mieszkańców, z nich bowiem wydobywano hemar, czyli smołę ziemną, cenny przedmiot handlu z Egiptem. Na południowym krańcu doliny drzewa karlały, trawa żółkła, wypalona sąsiedztwem gorących źródeł tryskających wysoko. Wyrzucana przez nie woda cuchnęła jak zgniłe jaja. Przypuszczano, iż zatruwały ją szczególnie złośliwe demony.

Smołę ziemną dobywano nie tylko ze studni rozsianych po dolinie. Rokrocznie, gdy wiosenny przybór wpadającej na północy do jeziora rzeki Jordan poruszył ciężkie wody przesycone ługiem, na powierzchni fal unosiły się liczne porowate bryły, dające się z łatwością holować ku brzegom. W tym jedynym okresie mieszkańcy doliny wypływali łodziami na nieruchome tonie, nie żywiące ryb ani żadnego żyjącego stworzenia. Głębina była tam niezmiernie i mawiano powszechnie, że od tej wody bliżej jest do nieba niż do dna. Powtarzano też stare, stare jak potop powieści, że niegdyś buchał tu ogień ze skał, że źródła gorące i studnie smołowe pozostały na świadectwo owych ogni zatłonych we wnętrzu ziemi. Któż by jednak wspominał te gadki w zielonym, cienistym raj, pełnym owoców, kwiecica i śpiewającego ptactwa?

Sodoma, największa z pięciu grodów leżących w dolinie, wznosiła się u południowego krańca jeziora. Z tej strony nie posiadała murów. Zastępowały je skały, zwane Bramą Progu, przez które sączyła się woda. W czasie przyboru tafla wody połyskiwała tuż za skałą, na tym samym poziomie co ulice. Równie nisko leżały pobliskie Gomora, Seboim i Adama. Tylko mała miejscina Segor wznosiła się na wysokim cyplu skalnym wrzynającym się w wodę na wschodnim brzegu jeziora.

Niskie mury grodów służyły ku ozdobie więcej niż ku obronie. Właściwy mur ochronny stanowiły szczyty górskie otaczające dolinę z trzech stron. Uchodziły za niezdojbyte, ostatnio jednak zostały po raz pierwszy przekroczone. Przed dwunastu laty Kudur - Lagamar, inaczej Chodorlahomor, król Elamu, wdarł się przez niedostępne pozornie przełęcz i zajął dolinę bez walki. Elamici nie byli okrutni i Kudur - Legamar nie zniszczył kwitnącego tu bogactwa (co byliby niewątpliwie uczynili Asyryjczycy), zadowolając się nałożeniem wysokiego haraczu. Danina lennicza stanowiła dla pięciu grodów nieznośne upokorzenie, toteż na wieść, że Babilończyk Hamurabi podbił Elam, postanowiono nie płacić więcej haraczu. Uchwała ta zapadła na wielkiej radzie królów: Bersy z Gomory, Senaaba

z Adamy, Semebera z Seboim i Bali z Segoru. Przewodniczył najstarszy godnością Bara, król Sodomy. Obecny na radzie arcykapłan El - Gad odradzał krok stanowczy. Jego zdaniem należało ukorzyć się przed Babilończykiem i prosić o zmniejszenie daniny. Gdy przystanie - tłumaczył arcykapłan - poprosimy po paru latach o darowanie jej całkowite. Lwa lepiej głaskać niż łechtać.

Mowa ta była rozsądna, lecz rozsądek rzadko znajduje posłuch u rządzących. Królowie uchwalili daniny odmówić, a dla upamiętnienia tego dnia wyprawiono poddanym wspaniałe igrzyska. Sto rozjuszonych buhai walczyło ze sobą na arenie nowego sodomskiego cyrku. Piasek areny jako też ławy przeznaczone dla widzów zlano wonnościami, których cena równała się rocznej daninie. Więc też ludność grodów sławiła z zapalem męstwo i mądrość monarchów. Wypadki te miały miejsce przed paroma laty i zapomniano już o nich po trosze.

Wędrowiec odziany w błękitną szatę baru - widzącego - pomiętą i zapyloną, wszedł w bramy ludnego grodu Sodoma nie zauważony przez strażników. Ani spojrzawszy na świetność miasta, skierował się wprost do świątyni, gdzie przyjęto go z szacunkiem i przyjaźnią, choć był tu pierwszy raz w życiu. Wędrowcem był Namtar - El, kapłan babiloński, przysłany do kapłanów Sodomy.

Siedząc przed arcykapłanem i ważniejszymi dostojnikami świątyni mówił:

- Oto posłanie, jakie mi zlecono: Hamurabi syn Sin Muballita gromadzi wielkie wojska. Uzbroił wszystkich wasali. W mieście Babilonie gwar niby w przededniu wyprawy. Tłoczno od ludzi, wielbłądów i osłów.

- Przeciw komu syn Sin Muballita gotuje wyprawę?

- Syn Sin Muballita chce władać po obu stronach pustyni. Dowiedział się z wielkim gniewem, że gospody, jakie pobudował na zajordańskim szlaku, któredy karawany kupców dążą do Egiptu, zostały kilkakrotnie napadnięte przez rabusiów z pustyni. Syn Sin Muballita chce przejść zbrojnie cały szlak od grodu Ham do Akaby i utwierdzić go w bezpieczeństwie.

- Powiedziałaś, Namtar - Elu, że Hamurabi zgromadził wszystkich wasali? Zali jego własne wojska do rozgromienia złodziejskich plemion nie wystarczą?

- Słuszna jest twoja mowa, El - Gadzie. Siły Hamurabiego wystarczą, by oczyścić szlak i zapewnić kupcom spokojną drogę na wiele lat. Lecz Hamurabi żywi jeszcze inne zamiary, o których nie mówi nikomu. Ziemie po tej i tamtej stronie Jordanu są schronieniem licznych plemion pasterskich, owych przeklętych Habiru, niezależnych od nikogo. Dziś są one nietrwale jak piasek niesiony przez wiatr, w razie gdyby się zespoliły, będą groźne dla wielkich państw. Są odważne i zuchwałe. Przed kilku laty naczelnik jednego z takich plemion skradł arcykapłanowi grodu Ur biały płaszcz i uszedł z nim bezkarnie! Hamurabi pragnie ujarzmić rozproszoną siłę, zanim ona siłą się stanie. Na lamparta idziesz z siecią, gdy jeszcze kocięciem, nie wtedy, gdy mu już pazury i zęby urosną...

Arcykapłan przysłuchiwał się z uwagą.

- Podjąłeś długą drogę, Namtar - Elu, by nas o tym powiadomić. Dlaczego? Nie należymy do

plemion Habiru i nie napadliśmy nigdy na kupieckie gospody Babilończyka.

- Hamurabi zebrał wszystkich swych wasali. Wraz z nim wyruszą Arioch i Rim - Sin z Larsy, Tudhalia hetycy i Kudur - Lagamar z Elamu...

- Rzekłeś. Zrozumiałem.

Zapadło milczenie. Zebrani mężowie odziani w błękitne lub zielone szaty rozważali niepomyślną nowinę. Przybysz miał słuszość, a ci, którzy go przysłali, umieli daleko patrzeć. Jeżeli Kudur - Lagamar będzie przeciągał zwycięsko w pobliżu, pomści się na pięciu grodach za odmówienie daniny.

- Może wyprawa nie dojdzie do skutku lub syn Sin Muballita zawróci nie doszedłszy tutaj... - usiłował pocieszać się jeden z młodszych kapłanów.

- Syn Sin Muballita ma poparcie bogów i nigdy jeszcze nie zawrócił przed osiągnięciem celu.

- Kiedy Hamurabi zamierza wyruszyć? - zapytał rzeczowo arcykapłan.

- Wyprawa może wyruszyć za rok.

- Błogosławione twoje dni, Namtar - Elu! Błogosławieństwo tym, którzy cię wysłali! Dzięki wam Bara syn Henosa ma czas naprawić swój błąd.

Przybyły nie zabawił długo. Spełniwszy zlecenie wyruszył z powrotem. W bramie grodu minął wjeżdżających w bramy Sodomy Lota syna Arana i niewiastę jego Idith.

W parę dni później miasto obiegły pogłoski o szczególnie niepomyślnej wróżbie, która zatrwożyła samego kapłana. Oto płód w łonie ciężarnej kobiety zapłakał głosem! Brzemienną zabito, płód spalono, lecz groźnej zapowiedzi tym nie usunięto. Gdy na domiar zła zdarzyło się, iż stado dzików, wypłoszonych przez gepardy z otaczających miasto lasów, weszło w mury grodu aż na plac przed świątynią - nikt nie wątpił, iż nieznane klęski grożą miastu. Arcykapłan El - Gad zasięgnąwszy porady bogów postanowił uprzedzić o złej wróżbie króla i doradzić, w jaki sposób niebezpieczeństwo odwrócić.

Lecz Bara syn Henosa, otyły mąż o twarzy rozpustnika i pijaka, nie przejął się należycie wróżbami. Miał urazę do arcykapłana o zabranie mu ulubieńca, pięknego młodzieniaszka. Porwali go rzekomo bogowie, król jednak wiedział, że jego pożądany ślicznotek znajduje się w mieszkaniu arcykapłana. Po pierwszych słowach El - Gada zmiarkował, że chodzi o uiszczenie zaległej daniny, i postanowił nie dać się nastraszyć. Pewnie Kudur - Lagamar obiecał lisom świątynnym sutą zapłatę za pośrednictwo.

- Dziecię w łonie brzemiennej płakało - powtórzył z udanym przejęciem. - Dziki weszły w gród na plac przed świątynią?

- Tak jest, ulubieńcze bogów.

- Groźne znaki. Pomnę, mówiono o grodzie, w którym suka oszczeniła się w sali tronowej, a niewiasta urodziła dziecię zębate... Nie wiem, co się później z owym grodem stało.

- Ulubieńcze bogów! Z grodu tego na pewno nie zostało śladu. Podobne wróżby nie mylą...

Król czknął głośno z przepicia. Małe jego oczki zalane tłuszczem połyskiwały chytrze.

- Poczekaj, bom nie dopowiedział wszystkiego. Po złych wróżbach nadeszły wróżby pomyślne. Owca urodziła lwie szczenię. Powiedz, co to znaczy, ty, który znasz wolę bogów?

Arcykapłan spojrzał zaskoczony.

- Owca urodziła lwią? - powtórzył przeciągle. - O królu, podobny znak przekreślił niewątpliwie wszystkie złe wróżby poprzednie. Lwią urodzone z owcy to trwała świetność monarchy i dobrobyt ludu...

- Wiedz zatem, iż stało się to właśnie wczoraj w moim stadzie. Owca okociwszy się urodziła lwią.

- Na wielką boginię Targatę! Gdzie ono?! Ulubieńcze bogów, gdzie ono?!

- Niestety, ledwo je ujrzano, lwica przyszła z lasu i zabrała kocię jak swoje, a owcę ze złości pożarła...

Arcykapłan wpatrzył się zimno w zamglone trunkiem oczy swego władcy.

- Co myślisz o tym znaku? - nalegał król.

Zapytany nie odpowiedział. Bez słowa wstał i skierował się ku wyjściu. Na progu otrzepał starannie sandały z pyłu. Zatrzasnął za sobą drzwi.

Król czkał dalej, zadowolony.

Nie wróci tu więcej - myślał - lecz dam sobie radę. Pospólstwo kocha mnie, bo nie żałuję pieniędzy na igrzyska, a od kapłanów nigdy nic nie otrzymało. Wdzięcznym bogom, iż nie jestem jak mój brat, król Egiptu, nie śmiący kroku zrobić wbrew kapłanom.

W tej właśnie chwili oznajmiono królowi przybycie z pokłonem i darami Lota syna Arana z plemienia synów Hebera i król kazał go wprowadzić.

Tak dawniej łapczywy na wszelkie nowości, Lot był przygnębiony i już żałujący rozstania ze stryjem. Natomiast jego żona Idith promieniała. Czowała się u szczytu marzeń. Będzie mieszkać i błyszczeć w tym pięknym grodzie, nie z pastuchami, wśród stad. Lot ani się spostrzegł, gdy żona przejęła wąż przez niego dzierzony wodze pożycia. Ona go namówiła, by złożył pokłon królowi, ona wybrała odpowiednie dary, ona ciągnęła go gniewnie za poję, by padł trzykrotnie na twarz. Ku zdumieniu i zgorszeniu męża, nim zdążył usta otworzyć, ona odpowiadała na zadawane im pytania.

W przeciwieństwie do Hebrajczyka Bara syn Henosa nie wydawał się zdziwiony jej postępowaniem. W kraju tym niewiasty posiadały wielkie znaczenie i zabierały głos we wszystkich sprawach.

Król przydzielił Lotowi spory szmat łąki na pastwisko i upoważnił do zakupu domu w grodzie. Łaskawość tę Idith przypisywała swemu urokowi, w rzeczywistości pobudki jej były inne. Odwiedziny arcykapłana pozostawiły w umyśle króla osad niepokoju. Gdyby przekłety wieszczek przyszedł o dwie godziny później, gdy opary wina już wywietrzały z głowy ulubieńca bogów, rozmowa ich przybrałaby zapewne inny obrót. Należało wy badać świątynnego lisa, o co mu idzie naprawdę. A nuż rzeczywiście niebezpieczeństwo zagraża grodowi? Teraz za późno. El - Gad jest zacięty. Nie zapomni póki życia obrazy... Owca, która rodzi lwią... He, he...

Zarazem król przypomniał sobie przepowiednię głoszącą, iż przyjdzie czas, gdy Sodomici pożałują, że ich łoża nie są z kamienia, a odzienie z gliny. Może ten dzień nadchodzi i nieznanego nieprzyjaciela wspina się na góry? Bara syn Henosa zdawał sobie sprawę, że jego poddani, zniewieściali wykwinłnisi o miękkich, białych dłoniach, nie nadają się do walki i stąd wypływała życzliwość dla Hebrajczyka o czerstwej cerze i szerokich barach. Król zapragnął okazaną mu łaskawością skłonić go do sprowadzenia więcej mężów tego samego plemienia.

Sposób budowania pałaców i świątyń sodomskich zdał się przybyszom odmienny od wszystkiego, co dotąd widzieli, i najpiękniejszy na świecie. Zнали budowle chaldejskie, ostatnio widzieli egipskie, lecz tutejsze nie były do nich podobne. To z dalekiej, nie znanej im wyspy Krety, utrzymującej żywe stosunki z miastami doliny, przysłyły owe wzory pełne lekkości i wdzięku. Surowcem budowlanym był kamień łupany w górach otaczających dolinę. Pojedyncze głazy spajano asfaltem. Wewnątrz gmachów panował przepych, na który składały się najcenniejsze wyroby kretańskie, babilońskie lub egipskie. Dachy połyskiwały złożonymi poręczami. Złoto błyszczało na spiżowych wrotach bramy miejskiej.

W świątyniach Sodomy królował bóg Bees w postaci szpetnego karła o wielkiej głowie w koronie z piór, włochatych, odstających uszach, krótkiej szyi i potężnych ramionach. Kusa spódnica naszywana złotem odslaniała grube uda i męskość wyobrażoną równie jak głowa w przesadnych rozmiarach. Cześć, jaką mu oddawano, wyrażała się w rozpuszcie i ofiarach z dzieci. Nawet Idith nie przejmująca się niczym, co nie dotyczyło jej bezpośrednio, wzdrygnęła się ze zgrozą posłyszawszy pierwszy raz przeraźliwy wrzask niewiniątek rzucanych żywcem w ogień płonący przed obliczem boga.

Karła Bees znano w Chaldei, gdzie nosił miano Izdubara, nowością dla Hebrajczyków zdała się bogini Targata, opleciona węzami. W rzeczywistości była to wciąż ta sama Isztar, Izyda, płodna, okrutna, namiętna, zwana w Sodomie Targatą, a w grodach nadmorskich, Sydonie lub Surri - Astarte.

Prócz tej pary bogów w głównej świątyni szczególną czcią otaczano dwa konie, siwą klacz i karego ogiera, uważane za potężne demony opiekuńcze grodu. Wielbiono również niektóre gatunki drzew i właśnie gdy Hebrajczyk ze swą niewiastą opuszczali pałac królewski, uroczysta procesja okrążała gaj rosnący pośrodku placu. Brzękliwa muzyka znaczyła zawrotnie szybko rytm. Pod jej takt kobiety i mężczyźni tańczyli odtwarzając w płasach obraz miłosego obcowania. Podniecone tanecznice zdierały kolejno z siebie część szat, jak wiatr zrywa liście i odrzuca je daleko. Nareszcie

nagie, z wieńcem naokoło bioder zdzierały tę ostatnią zasłonę i przytulały się nieskromnie do drzewa. Lot, zawstydzony, nie wiedział, gdzie oczy podziać. Idith rozdymała nozdrza, bezwiednie przyśpieszała kroku, jak gdyby śpieszno jej było wziąć udział w obchodzie. Gdy tłum stłoczył się i splótł pod drzewami, Lot przemocą odciągnął żonę od gorszącego widoku. Skręcili w boczne ulice, pełne również strojnych nierobów. Idith zapomniała o gniewie patrząc z zazdrością na przybrania kobiet, na szaty modą kreteńską naszywane od góry do dołu złotymi blaszkami. Mieniło się to i chrzęściło jak skóra wężowa. Mężczyźni byli niemniej świetnie przyodziani. Nosili klejnoty, barwili twarze i wargi. Obie płci zdawały się odziewać tylko po to, by wyraziściej ukazywać swą nagość. Sute fałdy szat kobiecych rozciętych do pasa rozchyłały się przy każdym ruchu obnażając całe ciało.

Radość, która przepelniała Idith w pierwszych dniach pobytu w Sodomie, okazała się krótkotrwała i oto teraz żona Lota siedziała na tarasie swojego pięknego domu, zła i nadąsana. Sella kręciła się wokół niej, uprzedzając życzenia swej pani i usiłując gorliwością zażegnać gniew. Zmarniała i podupadła ostatnio wesoła Sella, niewolnica. W prześlicznym sodomskim grodzie dobrze było żyć panom, bardzo źle sługom. W świecie pasterskim, jaki Sella знаła dotychczas, różnica pomiędzy niewolnikiem a naczelnikiem plemienia polegała, prawdę rzekłszy, tylko na posłuchu i szacunku. Poza tym wszystko było jednakowe. I posłanie, i jedzenie. Jadali z tej samej misy. Zajęcia ich były te same. Inaczej działało się tutaj. Wszak gdy jedni toną w zbytku - drudzy muszą pozostawać w nędzy. Ci, którzy nie znają pracy, wymagają jej zawsze zbyt wiele od drugich. Od brzegów Wielkiego Morza po góry Elamu, od Egiptu do Harranu nie znalazłbyś panów równie nieludzkich jak Sodomici.

Uprzejmość i nadszycanie Selli nie odnosiły skutku. Zły humor Idith miał głębsze przyczyny i rozproszenie go nie leżało w możliwości dziewczyny. Za chwilę miała nadejść służka ze świątyni przynosząc na sprzedaż dwie nowe szaty, a Lot, ten niezdara, prostak, pastuch, oznajmił rano żonie, że nie posiada już ani srebra, ani złota! Na dowód szczerości tych słów wytrząsnął jej przed nosem skórzany miech, w którym ojciec jego Aran przechowywał złoto. W każdym pasterskim rodzie zbierany pokoleniami zapas cennego kruszcu bywał uszczuplany bardzo rzadko. Pasterze pieniędzy nie potrzebowali, chyba dla kupna tabliczki z zaklęciami lub oręża. Uskładane złoto podnosiło znakomicie powagę i znaczenie posiadacza, toteż nikt skarbów swoich lekce nie wydawał. I oto zapas srebrnych i złotych monet, zbierany skrzętnie przez Arana syna Tarego, powiększony posagiem Idith, szczodrotą Ab - Rama - rozszedł się w przeciągu kilku miesięcy. Nie pozostało z niego ani sykla!

Nic dziwnego. W Sodomie złoto płynęło jak woda. Kupno domu, za który Lot zapłacił ciężkimi srebrnymi minami, przepłacając właściwą wartość budynku, lektyka, stroje Idith, barwne szaty dla czterech pastuchów, którzy dotychczas odziewali się w len i skóry owcze, obecnie zaś świetnie przyodziani mieli nosić panią w lektyce, kosztowne sprzęty, jedwabna zasłona pokrywająca w południe dziedziniec... Nie były to rzeczy tanie. Chciwi Sodomczycy wykorzystali niedoświadczenie przybyszów, każąc sobie płacić za wszystko drożej, niż należało. Idith zaś bojąc się, że ją wezmą za prostytutkę, nie pozwalała mężowi targować się o cenę.

...Muszę mieć złoto, muszę mieć złoto... - mówiła sobie teraz zaciskając zęby. Odepchnęła ze złością Sellę i kazała iść precz maleńkiej Lilith brzęczącej nieznośnie swym ulubionym srebrnym krokodylem. - ...Muszę mieć złoto... - powtarzała. - Dni moje uschną jako trawa, sczezną jak drzewo

spalone, jeśli nie zdobędę złota...

Kroki rozległy się na schodach. Na taras obrosły różami pięła się oczekiwana sługa świątynna, Tabirah. Kupczyła, czym się dało, stręczyła, obleśna i natarczywa. Na rękę niosła przeznaczone na sprzedaż szaty i skłoniwszy się klientce rozwinęła okrywające je płótno. Jedna suknia była zielono - złocista, druga czarno - purpurowa. Obie tak piękne, że Sella zaniemówiła, a Idith pobladła.

- Szaty godne bogów - stwierdziła z zadowoleniem Tabirah.

- Przynies je innego dnia - rzekła Idith z wysiłkiem. (O jakże w tej chwili nienawidziła swego męża, który ją na takie upokorzenie narażał!) - Lot syn Arana - dodała objaśniająco - posłał do swego stryja, Ab - Rama syna Tarego, po srebro, które u niego zostawił, lecz goniec jeszcze nie wrócił.

Niewiasta o brzydkiej twarzy nachmurzyła się.

- Nie masz srebra, daj klejnoty, a gdy goniec wróci, odbierzesz...

- Nie rozstaję się z moimi klejnotami. Pochodzą od króla Egiptu, który mi je ofiarował.

- Sprzedaj mi niewolnicę - stara ukazała głową Sellę, która skuliła się ze strachu.

Idith potrząsnęła głową.

- Nie dałabym sobie bez niej rady - wyznała z żalem.

- Ha, skoro tak...

Tabirah składała suknie. Jedwab chrzęścił i barwił się w jej dłoniach. Idith miała łzy w oczach. Zdało się jej, że niczego w życiu nie pożałała tak jak obecnie tych szat, złoto - zielonej i purpurowo - czarnej.

- Młode, urodziwe niewiasty, które dla okazania czci bogom idą w łóżko kapłanek, otrzymują cenne podarki lub złoto - mruknęła Tabirah od niechcenia.

...Chyba kapłanów? - pomyślała Idith. Nie wyraziła jednak tej uwagi głośno.

- Od dawna pragnęłam być użyteczną w świątyni i służyć bogom - rzekła pochylając pobożnie głowę.

- Pójdź ze mną zatem - zaofiarowała się ochoczo stara. - Tę małą - wskazała na Lilith bawiącą się na dziedzińcu - możesz wziąć także.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

WOŁANIE WTÓRE

Ab - Ram zabrał ze sobą tylko trzech ludzi: Jahiela, starego ślepego Igala i Sura. Opiekę nad obozem zdał Elizerowi. Gdy stracił z oczu dymy ognisk, ogarnęło go dawno nie zaznane uczucie swobody. Przypomniawszy sobie wyjazd z Ur, ówczesną radosną pewność, że zdobywszy wolność rozgłosi chwałę Pana Prawdziwego... Jakież był wtedy dufny, mocny, jak wierzył, iż wszystko, co zamierza, potrafi dokonać!...

Podróż obecna miała określony cel. Ab - Ram zaniechał od dawna zamiaru nowych wędrówek na północ czy na południe i z tym postanowieniem łączyła się potrzeba znalezienia odpowiedniego miejsca pod stały obóz. Dolina, w której pasł swe stada od powrotu z Egiptu, obfitowała w trawę dzięki przepływającemu skroś niej strumieniowi. Strumień ten bogaty w wodę wiosną był bliski wyschnięcia latem, mimo że deszcze wiosenne spadły w obfitości. Niewiątpliwie w suche lata dolina pozbawiona była wody. Zły to pasterz, co powierza swe stada wodzie nietrwalej. Najlepszym zabezpieczeniem jest głęboka, kuta w skale studnia, której słońce nie wypije i nie zasypie wiatr.

Rozważając to zagadnienie Ab - Ram wspominał, że nieżyjący ojciec jego, Tare syn Nachora, mówił kiedyś o studni, którą młodym chłopcem będąc drążył w ziemiach należących do króla Gerary. Studnie są wieczne i ludność pamięta zazwyczaj, komu je zawdzięcza. Na wypadek jednak, gdyby studnia została zatajona albo zapomniana, Ab - Ram zabrał starego Igala, poszukiwacza wody.

Nie jechali na wielbłądach, lecz na osłach cierpliwych i poręcznych. Mąż dosiadający wielbłąda może być wojownikiem, może kryć w zanadrzu złe zamiary. Osioł służy pokojowi i sąsiedzkim odwiedzinom. Jadący przodem Ab - Ram odziany był w biały płaszcz Nergal Sara, którego dawno nie nosił. Tłumaczył Sarai, iż obawia się, by od częstego użycia nie zniszczał; w rzeczywistości był czas, że to okrycie ciążyło mu, przypominając zbyt wiele.

Sunąc z wolna rozglądał się wokoło z upodobaniem. Jakże piękna była ta kraina, jak zdrowa i urodzajna! Wiatr wiejący od zachodu niósł z morza obfitą rosę, od której ziemia rankiem zdawała się być zlaną deszczem. Powietrze było lżejsze niż nad Eufratem, upały mniej dokuczliwe, drzewa bujniej ulistnione. Cudnie było patrzeć na palmy chylące się od nadmiaru owoców, na winnice, obciążone gronami, na pola i sady. Kraj ten zwany Kanaanem należał do królów hetyckich, amorejskich i innych, podobnie jednak jak po drugiej stronie pustyni panowanie ich ograniczało się do grodów oraz niewielkiego kręgu ziemi uprawnej. Reszta kraju stanowiła własność niczyją, na której wędrownie plemiona pasterskie mogły się zatrzymywać swobodnie. Po wielkim potopie ludność nie zdążyła jeszcze zapełnić tej ziemi i nikt nie obawiał się, by zabrakło dla niego żywności lub paszy.

Przed rozpoczęciem poszukiwań zdało się Ab - Ramowi uczciwym zajechać na dwór królewski i tam zapytać o studnię Nachora syna Saruga. Gródek pozbawiony wszelkiej wspaniałości podobniejszy był do warownego koczowiska niż do stolicy. Przybywszy Ab - Ram dowiedział się z żalem, że król, czyli abimelek (co znaczyło: mój ojciec był królem), wyjechał na północ towarzysząc córce, księżniczce Batukipie, wydanej za księcia Mitanów. Ab - Rama przyjął dowódca wojsk królewskich, Fikol. Obmył gościowi stopy i prosił do swego namiotu. (Mieszkał za miastem

powiadając, że chłodniej pod płótnem niż w grodzie.) O studniach niewiele wiedział, będąc wojownikiem, nie pasterzem. Pamiętał jednak, że w dolinie o dwa dni drogi na północ znajduje się stara studnia, o której mówią, że wiercili ją obcy mężowie. Jak by się zwali - nie słyszał.

Nazajutrz rano Ab - Ram wyruszył we wskazanym przez Fikola kierunku. Osły dreptały wytrwale schodząc ze wzgórz w doliny i znowu pnać się pod górę. Następnego dnia wieczorem dotarli do miejsca, gdzie krzyżowało się wiele szlaków pasterskich, Wszystkie schodziły promieniście ku kamiennej cembrowinie szarzejacej pośród traw. Studnia.

Wokoło niej leżały omszone kamienne poidła w kształcie niecułek, w które pasterze nalewali wodę przygnawszy trzodę. Zdjąwszy z cembrowiny ciężką drewnianą pokrywę Hebrajczycy uwiązali linę palmową do wiadra i jęli spuszczać je w głąb. Nic nie mówiąc spoglądali po sobie z podziwem, gdy lina wymykała się długo z ich rąk, nim wiadro plusnęło o niewidzialne w głębi lustro wody. Wyciągnęli je ostrożnie, pełne czystej, zimnej wody. Aczkolwiek spragnieni, nie dotknęli jej ustami, nie wiedzieli bowiem jeszcze, czyją studnia jest własnością. Gdyby się okazała tą, której szukali, pierwsze wiadro należało rozlać po ziemi dla uczczenia zmarłych rodowców. Nie czekali długo. W poświacie zachodu ukazali się pasterze pędzący stada do wodopoju.

Gdy przyszli tuż, patrząc z ciekawością na obcych, Ab - Ram rzekł:

- Niech dni wasze płyną w zdrowiu! Czyja jest ta studnia?

Półnadzy pastusi spojrzeli po sobie nie wiedząc, co odpowiedzieć, Ab - Ram widząc ich zmieszanie potrząsnął przodem szaty na znak, że nie ukrywa nic złego w zanadrzu, po czym powtórzył pytanie. Starszy pastuch o gęstej, niechlujnej brodzie odmruknął:

- O co się pytasz? Nasza jest ta studnia.

- Tyś ją drążył? - pytał Ab - Ram.

Brodacz wzruszył ramionami.

- Nie wiem, kto wiercił tę studnię, pochwalone niech będą jego dni! Uczynił to dla plemienia naszego, które od wieku czerpie tutaj wodę dla trzody swojej. Przeto studnia nasza jest i nikt inny nie ma do niej prawa...

- Prawo ma ten, który wiercił, nie ten, który przyszedłszy wodę czerpie. Nie zawiązesz pyska wołowi depczącemu boisko twoje... Zaprzysięgam was na ogień i wodę, pytając po wtóre: powiedzcie, kto drążył tę studnię?

Pasterz Eschol, Amorejczyk, podrapał się w głowę mówiąc:

- To bardzo stara studnia. Powiadają, że wiercił ją sam patriarcha Noe, który uratował swe lata z potopu...

- Nie tak jest, jak powiadasz - zaprzeczył młodszy jego brat Aner. - Studnię tę ojce nasze zwały Nachorową, gdyż kuł ją w skale cudzoziemiec tego imienia...

Ab - Ram rozpromienił twarz.

- Błogosławione wasze dni. Ten ci Nachor syn Saruga był dziadem moim. Ojciec mój, Tare syn Nachora, pomagał mu kuć studnię w skale...

- Skoro tak się rzecz ma - odparli bracia - twoja jest studnia. Dziękuj bogom, gdyż drugiej takiej nie ma w okolicy.

Po czym zapuścili wiadra w głąb. Po prawdzie było im obojętne, do kogo należy studnia: do króla czy do tego obcego. Nie zabierze jej wszak ze sobą ani nie wyczerpie, choćby chciał. Nie zabroni do niej dostępu, bo święte, starodawne prawo grozi przekleństwem każdemu, co by wzbraniał wody.

Niezycliwy brodacz Jeser pogadywał jeszcze i mrucał gniewnie, lecz musiał rozganiać bydło pchające się ku pustym poidłom.

Ab - Ram ujął ze czcią wiadro wyciągnięte przez Jahiela, stojące dotąd na cembrowinie, i chlusnął wodą w cztery strony ku pamięci tych, co trudzili się przed laty kując, obkładając boki wydrążonej jamy głazami, wgryzając się coraz głębiej w ziemię, aż dosięgli krynicy, źródła wody żywej, która nigdy nie wysycha. Patrząc w omszoną głąb studni Ab - Ram przywoływał obraz dziada Nachora, którego ledwo pamiętał, i ojca. Usiłował wyobrazić sobie Tarego syna Nachora jako młodzieńca pełnego żywotności i zapału. Stojąc na dnie studni gadał pewno nieustannie śmiejąc się ze zmienionego brzmienia głosu i z radością wykrzykiwał, że mimo jasności dnia spostrzega gwiazdy... Gdzie jest i co czuje obecnie dusza ojcowa? Jakże nietrwała jest pamięć synowska! Ab - Ram zdał sobie z tego sprawę, że coraz rzadziej myślał o rodzicu pozostawionym w dalekim północnym Harranie i zawstydził się, bo cóż jest wart mąż uchybiający miłości synowskiej?

Noc w międzyczasie zapadła, lecz że pasterze przed odejściem zapewnili, że w tej dolinie nie ma drapieżników - nie rozkładano ognia. Osły pały się tuż. Ludzie podjedli placków zabranych z domu i daktyli, popili wodą zimną, doskonałą. Ab - Ram ułożył się wygodnie na trawie owinięty w płaszcz i zasnął szybko. Obudziło go znienacka nieokreślone uczucie, że coś ważnego nadchodzi. Uniósł się na łokciu, przetarł oczy i spojrzał w gęsty mrok. Wokół panowała cisza tak głęboka, jak gdyby cały świat wstrzymał oddech. Noc, zazwyczaj pełna szmerów, odgłosów zwierzęcych i ptasich, plusku wody, szelestu liści i traw, zamilkła niby przyczajona w oczekiwaniu lub trwodze. I Ab - Ram mimo woli podzielił ten lęk. Sen go odbiegł. Gdyby umiał określić swój stan (czego ludzie nauczyli się dopiero później) - rzekłby, iż jest pusty jak skórzany wór czekający na dech, który go wydmie i zaokrągli. Że jest podobny naczyniu próżnemu, gotowemu na przyjęcie życiodajnej oliwy. Że jest oczekiwaniem, zawczasu posłusznym. Nie wiedział, wiele czasu trwało to czekanie. Stracił miarę. Miara istnieje tam, gdzie bije życie, on zaś, a wraz z nim cały świat, zamarł. Aż nadeszła chwila, że w próżnię, którą był Ab - Ram, wpłynął potężny huk, jak gdyby wszystkie wody świata runęły z gór w przepaść. W tym szumie druzgocącym, strasznym czuwający posłyszał głos: Ab - Ramie! Ab - Ramie! Stworzyciel wołał na swoje stworzenie.

Ab - Ram nie pytał jak niegdyś: Kto mnie woła?... Wiedział. Struchlała nicość, jaką był, odrzekła: Otom jest, Panie. I czekał znowu. Nie było w nim ani myśli, ani pragnienia, ani niepokoju. Pozostawał nadal gotowością powolną na każde skinienie. Jak oczy sług w ręku panów, tak jego

serce zawisło na głosie Pańskim. Jak ptak w rękę łowcy, tak jego dusza dygotała chęcią odpowiedzi Panu najochotniej.

Pan mówił:

...Ziemia, na której stoisz, twoją będzie... Tobie ją dam i nasieniu twojemu na wieki. Uczynię nasienie twoje liczne jako proch ziemi i piasek na dnie morza... Wejrzyj na niebo i zlicz gwiazdy, jeśli możesz... Tak będzie nasienie twoje... Wstań, a schodź ziemię wzdłuż i wszerz, bo ją tobie dam.

Słońce stało już wysoko, gdy się Ab - Ram obudził. Sur rozpałił ogień, stary Igal grzał się przy nim, gdyż przeziął w nocy od chłodu ziemi. Jahiel opatrywał kopyta osłów i wycierał ich zroszone boki pękami suchej trawy. Patrząc na tę znajomą, codzienną krzątanicę Ab - Ram nie wiedział, czy to, co mu się przydarzyło w nocy, było snem czy jawą. Głos straszliwy, wypełniający okrąg ziemi szumem morza w uchu muszli - niepojęte słowa... Dreszcz przechodził na samo wspomnienie. Pragnął odejść od sług, by w samotności rozpamiętywać zdarzenie, lecz przeszkodził mu goniec od Fikola, dowódcy wojsk króla Gerary, przysłany z posłaniem: - Wróć się, synu Tarego, gdyż abimelek przybył do stolicy swojej.

Obyczajność nakazywała nie zwlekać, więc Ab - Ram, choć niechętnie, ruszył wraz ze swymi ludźmi w powrotną drogę do Gerary. Król uprzedzony oczekiwał go przed pałacem swoim. Gdyby nie złota opaska na głowie, nie odróżniłby go nikt od zwykłego wojownika.

- Spokojne jestli przyście twoje? - zapytał nadjeżdżającego.

- Spokojne - zapewnił Ab - Ram potrząsając przodem szaty na znak, że nie ma przy sobie oręża. - Pozdrowione twe dni, królu.

- Błogosławieństwo twym dniom.

Zasiedli we czterech - abimelek, Ab - ram, Fikol i stary Igal - ci dwaj ostatni jako świadkowie - w głównej izbie dworca królewskiego na skórach owczych rozesłanych na ziemi. Podobało się Ab - Ramowi, że zwyczaj panował tu prosty, bo gdzie jest prostota, tam żywie szczerłość, a szczerłość jest solą życia. Pili wino z polewanych kubków i Ab - Ram przedstawił swą sprawę.

- Wiem - przyznał król - że studnię w dolinie nazywają Nachorową, nie wiedziałem jednak, kim był i skąd przyszedł Nachor. Skoro go zwiesz dziadem swoim, nie będę tobie przeciwny.

Zdjęli obaj sandały z nóg swoich. Ab - Ram z zutym sandałem dotknął dłoni Igala, by ślepiec wiedział, że umowę zawierają. To samo uczynił król. Zamienili z Ab - Ramem sandały, czyniąc tym układ o studnię nierozzerwalnym.

- Daleko stąd, po drugiej stronie pustyni - mówił król później, gdy wniesiono misy z jadem - Hamurabi syn Sin Muballita władającego połową świata wprowadził nowe zwyczaje: Każda umowa winna być pisana na cegle glinianej, wypalanej, oblepionej ponownie świeżą gliną, na której po wtóre wypisują tekst umowy. Kosztowne to, uciążliwe i nieużyteczne, gdyż jeśli człowiek ma chęć niesprawiedliwie postępować i oszukać duszę brata swego, nie wstrzymają go znaki podwójne na

glinie złobione...

- Słuszna jest mowa twoja - odrzekł Ab - ram. - Mieszkałem wiele lat pod grodem Ur nad Dolnym Eufratem i sam widziałem takowe spisywanie umów w pracowni sprzedawcy tabliczek, adon Taribala. Nie słyszałem wszakże, by w grodzie Ur mniej było nieuczciwych postępów niż w innych grodach, gdzie tego zwyczaju nie znano. Mądry władca winien dbać raczej o wzbudzenie w sercach swych poddanych uczciwości. Gdzie myśl uczciwa, sandał wymieniony wystarcza.

Król przytakiwał, a popiwszy wina zwierzył się gościowi z niepokoju, jaki wśród plemion północnych budzą zbrojenia Hamurabiego. - Powiadają - mówił - że Babilończyk zwołał Elamitów z królem ich i Hetytów, i wszystkie inne ludy, jakie zhołdował. Przeciw komu zamierza wyruszyć? Z królem asyryjskim odnowił przymierze, więc nie ku Niniwie zwrócił oszczep swój.

- Przeciw Egiptowi zapewne - domyślił się Ab - Ram.

- Mylisz się, synu Tarego. Melek melakim gromadziłby wtedy wojska na południu.

- Zaiste słusznie powiadasz - stwierdził Ab - Ram uprzejmie. Nie przejmował się zbytnio zamiarami Babilończyka. Walki pomiędzy królami nie dotyczą swobodnych, wędrownych pasterzy. Nawet gdyby melek melakim dotarł aż tutaj, zdążą zawsze usunąć się z jego drogi w porę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

SYN CIAŁA

Choć dzień dwudziesty miesiąca Tisri uchodził za pomyślny, gdyż księżyc odrastał, poród był długi i ciężki. Położnica słabła, mimo że pojono ją winem z tłuszczem z nerek baranich. Położna Joksza, słynąca z biegłości w swoim zawodzie, daremnie powtarzała zaklęcia:

- ...Niewiasto, której macica zamknięta, pierś próżno wzbiera pokarmem, bądź rozwiązana i wyzwolona! Jak deszcz otwiera łono ziemi, niech bogini Damkina otworzy twe łono i wywiedzie syna naczelnikowi! Rozwiąż ją, pani, jak pęta osłowi... Niech ją rozwiąże z twojego rozkazu Nin - lil, niech ją rozwiąże Zarpanit...

Z rana, gdy wystąpiły pierwsze bóle, zabito jagnię i krwią jego posmarowano łożo, posłanie oraz płótno namiotu. Zabezpieczało to położnicę przed demonami chciwymi zawsze posoki. Nie wejda w macicę niewiasty mając krwi wokół pod dostatkiem. Oprócz demonów krew zwabiała muchy brzęczące żarłocznym rojem wkoło chorej, lecz na to nie było rady.

Joksza recytowała powoli, wskazując gestami Resie i Michol, co mają czynić.

- ...Białą wełną owiń jej głowę, czarną wełną zawiąż na jej lewym boku... Niech odejdzie zły utukku, zły ekimmu, zły galu, zły ilu, zły rabsu...

Podniosła głowę rozkazująco, z palcem wymierzonym w przestrzeń:

- Jest ich siedem, jest ich siedem, siedmiu bogów ziemi, siedmiu bogów nieba. Siedem w górze, siedem w dole, wszędzie jest ich siedem... Siedem niedobrych laabartu, siedem okrutnych labasi, siedem lilitu, siedem namtaru...

Zaklęcia nie skutkowały i zmęczona, spocona zaklinaczka szepnęła Resie:

- Biegnij do Ab - Rama syna Tarego, niech da tabliczki, wszystkie, jakie posiada... Demony są bardzo uparte. Obstawimy łożo tabliczkami...

Resa pośpieszyła do Ab - Rama, czekającego niecierpliwie w swoim namiocie.

- Nie mam tabliczek - odparł posłyszawszy, o co chodzi.

- Nie masz dużo tabliczek, daj choć jedną!

- Nie mam ani jednej.

- Ani jednej tabliczki?! - krzyknęła żona Elizera. Spojrzała na Noę i Sarai, które opuściły głowy. Rozumiały jej przerażenie.

- Nie trwóż się, Reso - rzekł Ab - Ram. - Powiedz Jokszy, niech również zbędzie obawy. Hagar urodzi szczęśliwie. Pan Najwyższy obiecał mi liczne potomstwo.

Odeszła nieprzekonana. Ludzie dawno przestali wierzyć w dziwnego Ab - Ramowego boga, niewidzialnego i niepojętego.

Noc była późna, gdy mały przyszedł na świat. Duży chłopiec, zdrowy. Główkę miał zniekształconą długim porodem, ale to mija bez śladu. Gdy położna nacierała go mocno solą, by nabrał siły, darł się wniebogłosy. Wszystkie trzy kobiety chwaliły go, że pierś ma wypukłą, plecki szerokie, wróży wzrost i urodę. Hagar ledwo, ledwo dyszała. Gasnącym wzrokiem śledziła każdy ruch kobiet, usta otwierała jak ryba wyjęta z wody. Joksza doradzała, by zasnęła, zapewniając, iż potrafi utrzymać w oddali demony, lecz chora niedostrzegalnym ruchem głowy odmówiła, wpatrując się uparcie w dziecko. Napoiwszy ją mlekiem z miodem, kobiety zapaliły parę kaganków i zabrały się do ceremonii oczyszczającej. Pomagał im stary Igal, który jako ślepy mógł przebywać w pobliżu położnicy, a uroki nie groziły mu, gdyż znał odpowiednie zaklęcia. Rzuciwszy na żarzące węgle wonne zioła okadzał namiot, polepę, łożę, sprzęty, ziemię naokoło namiotu. Uroczystym głosem wymieniał wszystkie przedmioty znajdujące się w pobliżu. Gdyby ominął rzecz bodaj najdrobniejszą, mogła stać się ona schronieniem demonów. Nazwanie jej po imieniu zamykało wstęp złym mocom. Potem przeniesiono Hagar na nowe, czyste łożę, a to, na którym rodziła - spalono. Spalono również jej odzienie i zawój z głowy. Igal grzebiąc prętem w ogniu mówił:

- ...Jak z wełny spalonej nie utkasz płaszcz, liść spopielony nie wyrośnie w palmę, ziarno zgorzałe nie zrodzi pszenicy, tak ty szeczniej i przepadnij! Idź precz! Niech morze pochłonie czary, niech je rozproszą góry... Niech bogowie ognia Girru i Gibilu strawiają twoje ślady!...

Wysmarowane uprzednio krwią jagnięcia ściany namiotu zmyto wodą. Chora odetchnęła, gdyż powietrze uczyniło się świeższe. Wodę ściekającą z płócien na ziemię okadzano i zaklinano ponownie. Bez tego zabiegu, kto by stąpnął na nią, stawał się nieczystym.

Skoro świt błysnął, wszystkie obrzędy były ukończone i Resa oznajmiła Ab - Ramowi, że może przyjść zobaczyć swojego syna. Sarai wzruszona i przejęta towarzyszyła mężowi. Gdy ukazała się jednak u wejścia, Hagar, konająca, bezsilna Hagar, wydała przeraźliwy pisk i szarpnęła się gwałtownie.

- Lamastu! - zawołała. - Lamastu!

Sarai pociemniała pod obelgą. Lamastu to imię obrzydliwej jędzy, która szepcze położnicom: Pozwól, że włożę mą pierś w usta twojego syna - a potem ucieka z dzieckiem i zamienia je w nietoperza. Stała wahająca. Oczy Egipcjanki płonęły dziko, krtań rzeziła.

- Wróć się, niewiasto, do namiotu - zlecił Ab - Ram żonie. Przykre mu były niepojęte dla mężczyzny swary niewieście, gdy on pragnął co szybciej zobaczyć swojego syna. Syna!... Sarai zawróciwszy rozplakała się z żalu i gniewu.

- Nazwała mnie Lamastu - skarżyła się starej piastunce. - Co powinnam zrobić?

- Gdybyś mogła udoić jej pokarmu w naczynie - pouczała Noa - i rozlała pokarm przed namiotem, oddałaby dziecko sama...

Resa podała Ab - Ramowi noworodka nagusieńkiego, krzyczącego. Joksza z dumą okazywała, że jest zdrow i będzie dzielnym mężczyzną. Ręce ojca drżały. Oto tyle oczekiwany syn, spłodzony późno, gdy w brodzie miał więcej siwych włosów niż czarnych! Na tym dzieciątku, kruchym jak pisklę, spoczęły wielkie obietnice Boże. Przez niego ród Ab - Ramowy rozrośnie się w bujne drzewo. Dzięki niemu Ab - Ram wrócił do swojego Pana przekonawszy się, iż nie został zapomniany ani odtrącony.

Przed namiotem zebrało się już całe plemię synów Hebera. Starsi mężowie stanęli półkolem z przodu, młodszy cisnęli się za nimi. Chwila była ważna dla wszystkich. Naczelnikowi urodził się syn mający w przyszłości zarządzać plemieniem. Ab - Ram wyszedł z namiotu trzymając oburącz uniesione w górę niemowlę. Ukazał je zgromadzeniu plemieńców, po czym przycisnął tkliwie do piersi czerwonosiną główkę, pokrytą kępkami czarnego puchu, na znak, że uznaje dziecko za swoje.

- Imię jego Ismael - rzekł głośno. - Imię dane mu przez Pana.

- Błogosławieństwo głowie twego syna, Ab - Ramie! Błogosławiony Ismael syn Ab - Rama! - rozległy się gromkie okrzyki. - Niech zdrowie towarzyszy jego dniom! Niech żyje szczęśliwie długi wiek! Niech będzie podporą twoją w starości twojej!

Ab - Ram dziękował milczącym pochyleniem głowy. Od ognisk roznieconych pośrodku obozu, przy których pieczono cielęta i barany na ucztę urodzinową małego dziedzica, dolatywał zapach smażonego mięsa łaskocząc nozdrza zebranych.

Ab - Ram cofnął się w głąb namiotu. Michol odebrała od niego dziecko i spowijała je starannie. On dopiero teraz spojrzał na Hagar. W uniesieniu ojcowskim zapomniał o niej i poczuł skruchę. Matka jego syna, nałożnica, dla której tak niedawno płonął pożądaniem, lico miała trupie, skórę opinającą ciasno skronie, nos zapadnięty i wyostroszony. Uciekające z niej życie skupiło się w oczach, czujnych, chociaż półprzytomnych. Śmiertelne poty, jakie na nią biły w ciągu minionej doby, rozpuściły malowidło przedłużające egipską modą powieki aż do skroni i błyszczące gorączkowo źrenice zdawały się roztopione w burym bezkształcie. Białka zapływały krwią z wysiłku. Oczami podobnymi do bolesnych ran Hagar wodziła od swego pana do dziecka kołysanego przez Michol. Przynaglony jej spojrzeniem Ab - Ram pochylił się nad łóżem, ona zaś szepnęła ledwo dosłyszalnie:

- Dobij mnie, Ab - Ramie, nim go weźmiesz.

Serce szarpnęło się w nim litością.

- Bądź spokojna - odparł łagodnie - nie zabiorę go bez twojej zgody.

Usiłowała uśmiechnąć się w odpowiedzi, lecz skrzywiła tylko boleśnie wargi. Gdy Ab - Ram wyszedł, Resa dogoniła go na drodze.

- Ab - Ramie synu Tarego - rzekła - powiedz niewieście twej, Sarai, że niebawem będzie mogła zabrać dziecko. Wiele krwi uszło z Hagar i nie pożyje dłużej niż dwa, trzy dni...

- Czyń, Reso, co możesz, by życie w niej utrzymać - odparł poruszony.

- Staramy się wielkim staraniem, ale ty złóż ofiarę bogini Damkinie...

- Nie złożę ofiary, natomiast prosić będę Pana Najwyższego.

Zawróciła bez słowa, nie śmiać powiedzieć, co o nim myślała.

Zapewnienie Ab - Rama nie zadowoliło Hagar. Gorączkowała, słabła coraz więcej, a nieustannie drżała o dziecko. Mruczała nieprzytomnie egipskie to znów chaldejskie zaklęcia, osłaniała niemowlę na lada szelest. Ab - Ram zdjęty litością uprosił Sarai, by chorą uspokoiła, na co niewiasta przystała, acz niechętnie. Stanąwszy przy łożu, nad którym śmierć rozpiniała skrzydła, rzekła:

- Niewolnico Hagar, wiedz, iż nie zabiorę Ismaela syna Ab - Rama, dopóki żyjesz.

Hagar patrzyła na nią z natężeniem, jakby nie rozumiejąc. Sarai z wolna, dobitnie powtórzyła poprzednie słowa. Wtedy Egipcjanka pojęła. Twarz jej odprężyła się, straciła wyraz lękliwej czujności, lecz gdy Sarai chciała dotknąć malca, zaskomlała i odepchnęła ją dłonią.

Sarai wzruszyła ramionami.

- Mówiłam przecież, że go nie zabiorę.

Stała milcząc i patrząc z żalem na maleńką śpiącą istotkę. Marzenie jej życia, marzenie, które nigdy urzeczywistnione nie zostanie. Urodzić dziecko, czuć je przy sobie, słabe, ciepłe i bezradne, karmić własną piersią... Owoc swojego żywota, przedłużenie życia... Nie szkoda umrzeć, byle zostawić je żywym. Nie żał umierać, skoro ono pozostaje.

Wbrew opinii położnych, Hagar nie umarła. Chorowała długo, lecz żyła. O następnym nowiu wstała, by się przed namiotem, żółta, wychudła i bezsilna. Mały za to był piękny i tłusty nad podziw: Joksza orzekła, iż Egipcjance macica się osunęła i nie urodzi więcej dzieci. Hagar tym zapalczywiej kochała swego jedynaka. Sarai nie mogła sobie darować, że uwierzyła, iż niewolnica umiera i dożywotnio pozostawiła jej dziecko.

- To są czary - szeptała Resa poczuwając się do winy. - To są czary, o Sarai. Każda niewiasta musiałaby umrzeć utraciwszy tyle krwi.

- ...Czary?... Czyżby Hagar była czarownicą? - Sarai podchwyciła skwapliwie to przypuszczenie wyjaśniające zarazem i obłęd przejściowy Ab - Rama, i własną nienawiść do rywalki. Czarownica! Jędza! Wszystko się zgadzało. I to, że cudzoziemka (czarownice zwykle działają wśród obcych, gdzie ich szatańskie pochodzenie jest nieznane), i to, że nie umarła mimo upływu krwi. Człowiek bez krwi żyć nie może, lecz czarownica ma na zawołanie krew sowy lub nietoperza.

Na szczęście istnieje sposób obezwładnienia czarownicy. Moc jej działa dotąd tylko, póki nie jest odgadnięta. Wystarczy wskazać na wiedźmę dłonią mówiąc: Tyś jest czarownica, by siły od niej odeszły. Jędza przemienia się w straszną poczwagę albo w skorpiona, węża czy szakala i ucieka w świat.

- Pójdę, wskażę na nią - postanowiła Sarai, która nie była lękliwa.

- Strzeż się, gołąbko, strzeż się. Ona cię zabije.

Sarai potrząsnęła hardo głową i wyszła. Hagar siedziała przed swoim namiotem karmiąc dziecko. Sarai podeszła tuż.

- Jesteś czarownicą! Jesteś czarownicą! - zawołała wyciągając dłoń. Mimo odwagi kolana pod nią drżały w oczekiwaniu tego, co nastąpi.

Lecz Hagar nie poruszyła się wcale.

- Nie jestem czarownicą - odpowiedziała patrząc zimno na żonę Ab - Rama. - Żałowałam nieraz, że nie jestem.

Sarai nie mogła ukryć zdumienia.

- Chciałaś być czarownicą?! Dlaczego?

- Aby móc ciebie struć śliną.

- Żmijo!

- Suko!

Dyszące nienawiścią byłyby skoczyły na siebie wzajemnie, gdyby nie dziecko przy piersi jednej z nich, dziecko mężczyzny, do którego obie należały. Niemowlę przestało ssać i miękka, nie wiedzącą jeszcze nic o świecie twarzyczkę obróciło ku Sarai. Hagar spieszenie nakryła je chustą, by zasłonić syna przed wzrokiem przeciwniczki.

Gniew Sarai rozplynął się w nagłym żalu. Pokonana, zdruzgotana, odeszła szybko, by ukryć łzy. Gdy znikła w namiocie, Hagar zdjęła chustę patrząc miłośnie na dziecko. Twarz jej z szyderczej, zawziętej stała się łagodna, tkliwa. Kołysząc całym ciałem w prawo i w lewo nuciła starą egipską kołysankę mówiącą o bogini Hator w postaci krowy.

"...Cztery dójki ma bogini, synku mój...

Z dwóch dójek ciągnąłeś pokarm, synku mój...

O dwie dójki opierałeś liczko, synku mój...

Z czterech dójek płynął na ciebie źródło życia, synku mój..."

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

TYŚ JEST GOEL!

Ismael syn Ab - Rama ukończył drugi rok życia i cały szczep ucztował obchodząc urodziny młodego dziedzica. Przyszły władca plemienia biegał sprawnie na krótkich, tęgich nóżkach i czuł się ważną postacią. Ciemnooki, o skórze brunatnej i gładkiej jak daktyl, podobny był z urody do ojca i matki zarazem. Usposobienie zapowiadał gwałtowne. Przy najmniejszym sprzeciwie malec wrzeszczał jak opętany, miotał się po ziemi, bił i gryzł co mu pod rękę podpadło. Hagar utwierdzała te skłonności ślepą, nierozsądną miłością do syna. Nie uderzyła go nigdy sama i nie pozwalała tknąć nikomu. Ustępowała wszystkim jego zachciankom i z uwielbieniem podnosiła jego cechy stanowiące zapowiedź przyszłych cnót. Istotnie, mały był odważny, nie lękał się niczego i nikogo. Spojrzenie miał bystre, ciekawe. Matki czułości nudziły go i chętnie uciekał od niej do pastuchów, którzy radzi zabawiali się z nim sadzając go na ośle lub krowie. Sarai nie cierpiał, zapewne pod wpływem matki, uciekał przed nią, wiele sił w nożynach, ukryty za namiotem wykrzykiwał: - Wiedźma! Było to bardzo gorszące, toteż żony pastuchów kiwały z ubolewaniem głowami, zaręczając, że równie nieobyczajnego dziecka nie było dotąd w plemieniu.

- Oby najszybciej dorósł siedmiu lat i poszedł pod rękę pana... - wzdychał Elizer. Na razie Ab - Ram nie wglądał w sprawy wychowawcze. Nie rozumiał się na dzieciach - wszak nie miał ich nigdy. Sądził, że maleńki człowiek pozostanie podatną, czekającą na urobienie gliną aż do chwili, gdy on, ojciec, zacznie go zaprawiać do życia rozumnie i w karności, tak jak sam był niegdyś chowany. Chwilowo wystarczała mu radość, że posiada syna. Chętnie słuchał pastuchów unoszących się nad zdrowiem, urodą i dzielnością Ismaela. Zgryźliwe narzekania Noi i Sarai niewiele go obchodziły. Dawno zwątpił, by między zwaśnionymi niewiastami mógł zapanować spokój.

Ludzie siedzieli jeszcze przy biesiadzie rozkładając się wygodnie na siedziskach ze skór, gdy między namioty wpadł człowiek dziwacznie odziany. Ani pasterz, ani kupiec, ani kapłan, ani grajek. Wszystkich tamtych zdarzało się czasem Hebrajczykom spotkać. Podobnego cudaka nie widziano jako żywo. Bezwstydnie obcisłe szaty zeszyte z sukna w różnobarwne pasy. Na głowie w miejsce zawoju lub chusty mała okrągła czapka z tej samej materii. Strój ten niegdyś pewno kosztowny, był podarty, twarz przybyłego obrośnięta i brudna. Stał pośrodku placu jak człowiek śmiertelnie znużony, nie mający sił postąpić kroku dalej, wszyscy zaś przyglądali mu się nieufnie, sądząc, że szalony.

Pierwsza stara Noa, przysłoniwszy oczy ręką, zawołała:

- Wielcy bogowie! Nie jesteście to Hibal, pasterz od syna Arana?

- Zdrowaś, Noo, to ja, Hibal.

- Hibal! Hibal! - zakrzyczano zewsząd. - Skąd przychodzisz!? Dlaczegoś tak nieprzystojnie odziany?

- Wołajcie Ab - Rama syna Tarego - prosił przybyły. - Mam dla niego ważne posłanie... Przydziałała mnie niewiasta Lota... Ja i trzech innych nosimy ją w lektyce...

- Tak ścieżala, że aż we czterech nosicie?

- Dwóch niesie, jeden biegnie przodem i rozgania ludzi, drugi z tyłu... Wołajcie żywo Ab - Rama syna Tarego...

- Co to jest lektyka? - pytała Ketura wytrzeszczając oczy.

- Widziałaś ją - mruknął Hibal gniewnie. - Krzesło, na którym nieśli króla egipskiego...

- Cs... Css... To niewiasta Lota została królową?

- Głupiaś - ofuknęła dziewczynę Noa. - Nie pytaj, a podaj mu mleka i mięsa. Widzisz, że zdrożony...

Hibal rzucił się chciwie na jadło, ale nie chciał usiąść. Ab - Ram już nadchodził poruszony wiadomością, że przyszedł goniec od Lota. I on nie mógł powstrzymać uśmiechu na widok dziwnego stroju byłego pasterza. Wnet jednak spoważniał, gdy Hibal osunąwszy się do jego stóp zakrzyknął:

- Biada, biada, Ab - Ramie synu Tarego! Lot syn Arana wzięty jest w pęta i pognany jak niewolnik!

Twarz Ab - Rama zbladła z gniewu.

- Kto pojmał mego bratanka?! - zawołał.

- Król babiloński, król Elamu, król hetycki i król Larsy... Przyszli z wielkim wojskiem, złupili gród, mężów pognali w niewolę i mojego pana z nimi...

- Hibal - rzekł Ab - Ram wstrząśnięty - oczy moje pragnęły nigdy ciebie nie oglądać. Tyś był przyczyną, że syn Arana odszedł ode mnie. Poprzysięgam cię teraz w Imię Pana Najwyższego, mów samą prawdę. Co się z mym bratankiem stało?

Hibal spuścił głowę.

- Winienem, Ab - Ramie synu Tarego. Sprawiedliwie mówisz. A to jeno rzekę, iż oddałbym połowę dni mojego żywota, by wówczas stąd nie odchodzić...

- Spóźniony żal, zeszłoroczny deszcz. Opowiadaj! - Widząc, że chłopiec jest bardzo zmęczony, dodał nieco łaskawszym głosem: - Siadaj!

Hibal nie chciał spocząć, gdy pan stał, więc Ab - Ram usiadł, a wokół niego ciasnym wieńcem skupiło się całe plemię.

- ...Z dawna - mówił goniec - kapłani sodomscy przepowiadali złe dni. Wróżby były bardzo niepomysłne, ale ludzie nie bardzo się strachali, widząc, że król ucztuje, a wkoło jest spokój. Zbiory były piękne. Że obcy królowie ciągną, nikt nie wiedział. A oni pono ruszyli rok temu z północy i szli

bijąc wszystkie wojska po drodze i dobywając wszystkich grodów, jakie za Jordanem są. Minęli Słone Jezioro, poszli na południe bić Chorejczyków na górach Seir, a u nas ciągle nikt o nich nie wiedział... Potem zawrócili, uderzyli na miasto Kades i wybili wszelką krainę Amorejczyków i Amalecytów... Na koniec spadli na nas niby sęp na owce... W dolinie posłyszano o nich dopiero, kiedy przeszli góry, choć góry są bardzo srogie i nie wiem, jak to zdołali uczynić... Kapłani nic nie mówili, mimo że powiadają, iż wiedzą wszystko, co się na świecie dzieje... Prawda, od roku ostrzegali, ale król wiary nie dawał... W Sodomie nikt się złego nie spodziewał, aż ludzie z Gomory i z Seboim przybieżeli, krzycząc: Biada! Powiadali, że obcych łuczników więcej niżli drzew w dolinie. Bara syn Henosa, czyli król sodomski, zebrał wojowników dwie setki z mieczami i oszczepami. Łuki mieli na plecach, ozdobne i malowane, ale strzał w kołczanach tyle co na śmiech. Nie zwykli wojować i strzał w grodzie brakło. Królowie z Gomory, Adamy, Seboim i Bali przybieżeli także. Razem wszyscy czterej mieli nie więcej niż drugie dwie setki. Wyszli razem z grodu Bramą południową, ale nim minęli mury, wielu łuczników zbiegło i skryło się między domami powiadając, że przeciw sile i tak nie poradzą... Mówiono nam później, że ci, co wyszli, spotkali wojska babilońskie i elamickie na wschód od Gomory, a było ich tak wiele, że gdy wystrzelili razem, strzały zdawały się stadem lecącej szarańczy. I mieli miecze wyborne, szerokie, i tarcze okrągłe, plecione. Na widok tego zbrojnego ludu Sodomczycy zaczęli uciekać, a król Bara pierwszy. Siadł na osła, bo jest bardzo gruby i nie mógł biec, król Gomory jechał tuż za nim i uciekali na oślep przez las, w stronę gdzie są studnie smołowe...

- Jakie studnie? - przerwał Ab - Ram słuchający z wielką uwagą.

- Jamy aż do dna ziemi sięgające, w których czarna smoła kipi i cuchnie. Każdy je zawsze omija z daleka, ale wtedy strach oczy zasłonił. Pędzili prosto na studnie. Król sodomski pierwszy. Osioł stanął raptownie nad brzegiem dołu, a król przez łeb wleciał w tę maź... Za nim król Gomory i inni. Chyba ze dwudziestu. Grzebali się tam i grzęzli, i chwyтали jeden drugiego, a gruntu nie mieli. Nadbiegli Babilończycy, żeby ludzi łapać i wiązać po dziesięciu, i wyciągnęli sznurami ze studni króla Sodomy i tych, co jeszcze byli żywi, a król Gomory utonął...

...Tego wszystkiego sam nie widziałem, tylko mi potem opowiadali. Natenczas leżałem obok mojego pana na tarasie domu, obaj w trwodze wielkiej, i powiedziałem do niego: Uciekajmy! - Odpowiadając syn Arana rzekł: Gdzie uciekniemy? Znajdą mnie i pognają w niewolę, a tu, gdy przyjdą, powiem, że jestem człowiek wolny. Wolny nie ucieka. I leżeliśmy nadal na dachu patrząc, co się będzie działo, a tumult się zbliżał i rozumieliśmy, że sodomskie wojska już pobite i zwycięzcy nadchodzą, bo straszny płacz i lament słyhać było zewsząd w grodzie. Syn Arana przemówił: Hibalu, oddasz przysługę duszy mojej, jeśli uczynisz, co każę. Odpowiedziałem: Powiedz, co chcesz, panie. On rzekł: Ukryj się a patrz, co ze mną uczynią. Jeżeli to będą niedobre rzeczy, staraj się uciec i dojść do mojego stryja, Ab - Rama syna Tarego, by mu opowiedzieć, co widziałeś. To wszystko, o co cię proszę. Odrzekłem mu: Uczynię, panie, co każesz. I zaraz zsunąłem się z dachu na dół. Znam tuż za domem tajne przejście przez mury, o którym mało kto wie. Tam ukryłem się w krzaczkach i patrzyłem, co nastąpi dalej. Naprzeciwko domu mojego pana jest plac, a na placu wielki marmurowy pałac z marmurowymi schodami. Schody są bardzo szerokie. Żołnierze babilońscy jęli wchodzić w wielkim porządku przez bramę i zaraz zegnali miejskich ludzi do roboty. Z pałacu królewskiego miejscy przynieśli cztery trony, z których jeden był znaczniejszy, i ustawili je na schodach. Potem wniesiono obcych królów w złocistych lektykach i trąby, i rogi grały, aż w uszach huczało. Królowie

zasiedli, Babilończyk Hamurabi, ten sam, co do Ur przyjeżdżał, na tym większym tronie pośrodku. El - Gad, arcykapłan ze świątyni sodomskiej, siedział na stopniach przy królu Elamu, jako przyjaciel i sługa, nie jako niewolnik. Potem przypędzono Barę syna Henosa. Cały był jeszcze uwalany smołą, nieochędożony, na twarzy miał zeschnięte strugi smoły. Patrzył na arcykapłana i głową trząsał, jakby się dziwił. Arcykapłan El - Gad powiedział do smołowego króla: Gdzież to lwią zrodzone z owcy? Raczej oślica urodziła ci barana albo psa? - Nie wiem, co te słowa miały znaczyć. Król Elamu, Kudur - Lagamar, spojrział na Babilończyka, a ten patrzył przed siebie, jakby nic nie widział. Więc król Elamu powiedział do Bary syna Henosa: Uklęknij. Król Bara ukląkł, choć jest bardzo gruby. Natenczas Kudur - Lagamar postawił mu stopę na karku i przyginał mocno do ziemi, i tak trzymał. Kiedy zmęczywszy się odjął stopę, król sodomski nie poruszył się wcale. Król Elamu kopnął go nogą jak ścierwo i Bara potoczył się po schodach zostawiając po sobie ślady smoły. Niewolnnicy zabrali go i wynieśli, a inni wytarli schody i nie wiem, co się dalej z królem sodomskim stało, bo uciekłem widząc, że żołnierze odkładają tarcze i wchodzą do domów plądrować...

- Gdzie była podczas niewiasta Lota i jej dzieci? - zapytał Ab - Ram.

- W świątyni. Tamże została bezpieczna, bo do świątyni nie dano wstępu żołnierzom.

- Czemu syn Arana nie schronił się tam wraz z nią?

- Syn Arana nie wszedłby do świątyni, w której jego niewiasta więcej czasu przebywa niż w domu...

Hibal zawahał się i wybuchnął:

- Ab - Ramie synu Tarego! Byś znał, jak sobie poczyna Idith, żona Lota, zabroniłbyś jej wstępu do obozu!

Ab - Ram zmarszczył brwi. Nie było rzeczą sługi osądzać niewiastę pana. Hibal zrozumiał przyganę i zmieszany ciągnął dalej:

- Uciekłem z grodu, alem nie wyszedł z doliny. Sługa twój, panie, wszedł na palmę wysoką i gęstą, rosnącą wedle drogi. Tam siedziałem cały dzień, aż do nocy. Widziałem, jak żołnierze wynosili z miasta zrabowane dobro i składali na wielkie stosy, setnicy babilońscy strzegli tego mienia, a skrybowie spisywali na tabliczkach każdą rzecz. Słyszałem z miasta krzyki bóleści mężów, niewiast i dzieci zagarnianych w niewolę, gdyż nie ostawiano nikogo. Widziałem potem, jak wojska czterech królów szły wracając się nazad ku góróm. Szły od południa do wieczora, a była ich taka ćma, jakby wojownicy z całego świata zebrali się tutaj. Królów niesiono w lektykach, potem znów wojsko, potem osły obładowane zdobyczą i stada bydła spędzonego z całej doliny. Poznałem nasze po łysym byku z ułamanym rogiem. Krowy strachały się i parły jedna na drugą. Na samym końcu gnano jeńców. Było ich bardzo wielu. Bogatym paniom sodomskim zwleczono widno szaty, gdyż odziane były wszystkie jak niewolnice. Szły zawodząc. Niektóre dźwigały dzieci. To pewnie były sługi, bom przedtem nigdy nie widział, by która z pań tamecznych troszczyła się o swe dziecko... Niewiasty szły luzem, a mężczyźni mieli ręce związane z tyłu i poszczepiani byli wspólnie po dziesięciu. Przy każdej dziesiątce szedł dozorca z batem i dzidą. Kłuił nią tych, co zostawali w tyle. Patrzałem pilnie spomiędzy gałęzi i dojrzałem mojego pana. Szedł z innymi i oglądał się na miasto. I

widziałem, jak dozorca uderzył go przez twarz batem...

- Milcz - rzekł głucho Ab - Ram. Zrzucił połę płaszcz na głowę i tak trwał długą chwilę. Nie mógł znieść myśli o krewniaku pędzonym jak bydłę, bitym batem. Syn jego brata - niewolnikiem! - Co więcej? - zapytał w końcu schrypłym głosem.

- To już wszystko, co sługa twój widział. Gdy wojsko przeszło, a noc zapadła, zszedłem z drzewa. Wojsko poszło na wschód, a ja na zachód. Biegłem do ciebie nie śpiąc i nie jedząc, byś tę wieść postyszał prędzej...

...Co mi z tego? - pomyślał Ab - Ram. Czyżby Lot przysyłając Hibalą spodziewał się od stryja ratunku? Jakiż ratunek mógłbym dać? Nie uderzę na wojska Babilończyka. Lot sam odszedł ode mnie zrzekając się mojej opieki...

- Nie lubiłem cię dawniej, Hibalą - rzekł zwracając się do posłańca. - Robiłeś zamieszanie w stadach i wszczyłaś zwady. Daruję ci te przewiny za to, że powiadomiłeś mnie o nieszczęściu, jakie się przydarzyło synowi Arana... Niech Elizer da ci ubranie i płaszcz. Możesz pozostać przy mnie, jeśli chcesz.

Hibal skłonił się nisko, wyraźnie zawiedziony. I wszyscy zebrani zdawali się oczekiwać od Ab - Rama innych słów. Rozeszli się pomału pogadując o niesłychanej nowinie. Wiecznie głodne psy obozowe korzystając z ogólnego odwrócenia uwagi dojadły szczątków uczy urodzinowej.

Ab - Ram posępny i nachmurzony poszedł do swego namiotu. Przed wejściem oczekiwała go Sarai z iskrzącymi oczyma.

- Pójdiesz za nimi? - zapytała obcesowo, zapominając o przynależnym mężowi szacunku. (Zdarzało jej się to nieraz, lecz Ab - Ram pobłażał.)

- Za kim, niewiasto? - odrzucił niechętnie.

- Za tymi, co Lota związawszy, pognali! Musisz spieszyć, żeby dognać...

- Cóż poradzę przeciw sile? Słyszałaś, co Hibal powiedział?

- Tyś jego goel - stwierdziła z przekonaniem.

- Byłem, nie jestem, bo sam rzucił plemię...

Nieskłonny do sporu z niewiastą, odszedł w głąb obozu. Ismael, którego urodziny dzisiaj obchodzono, podbiegł do ojca pokrzykując z radości. Wnet za nim nadeszła Hagar i uklękła obok syna. Była znów urodziwa jak dawniej.

- Ramo - szeptała czule - lękam się, że demon pomiesza ci myśl i zechcesz pójść odbijać syna Arana... Zginąłbyś i co bym poczęła z dziećciem...

- Mówiłem ci nieraz, Hagar - odparł sucho - byś nie nazywała mnie Ramą. Moje imię jest Ab -

Ram. Zabierz małego.

Odszedł zostawiając ją zdziwioną. On szedł szybko, targany sprzecznymi myślami. Aczkolwiek mężczyzna nie może liczyć się ze słowami niewiasty, posłyszane przed chwilą opinii dwóch kobiet dźwięczały mu w uszach.

- Pójdiesz za nim! Tyś jego goel! - rzekła jego żona, dumna, mężna Sarai.

- Lękam się, że pójdiesz... - wyznała niewolnica, matka jego syna. Niewątpliwie wszyscy czekali, że on tak uczyni. Hibal, Elizer i reszta...

Nie mogę iść - tłumaczył sam siebie. - Mąż dojrzał nie popełnia nierozsądnego szaleństwa. Nie pójdę z moimi pastuchami na ćwiczone i zbrojne wojska Babilończyka oraz jego lenników. Uciekałem przed Hamurabim myśląc tropy jak kuropatwa przed jastrzębiem, a teraz miałbym sam iść w jego paszczę...

...Tyś jego goel... Masz powinność... Że odszedł, nie zwalnia cię z obowiązku... Krewnego w więzach pędzą. batem biją, a ty byś siedział beczynnym, Ab - Ramie!

Nie mogę dla jednego Lota gubić całego szczepu - przedkładał sam sobie. Nie miał kogo się poradzić. Gdybyż tu byli ojciec lub brat! Co by też rzekł stary Tare? Był całe życie nierozważny i popędliwy. Przystał na niemłą mu wędrówkę, byle nie pójść w poddaństwo... Gdyby żył, zawołałby: Nie zwolę, by hańbiono moją krew!... A Nachor, roztropny starszy brat? Przed oczami Ab - Rama stanął niby żywy, wychudły dawniejszy grubas pozostawiony w Harranie.. Ten, zapytany, odparłby na pewno po swojemu: Krew krwi woła, krew krwią gaszą... Obłoki i wiatr, a deszcz za nimi nie idzie - oblicze męża nie dotrzymującego przyrzeczeń...

Nie mam kogo się poradzić... - powtórzył biadając wewnątrz Ab - Ram i przystanął, gdyż zdawało mu się, że własna jego dusza zawołała: Ty nie masz kogo się radzić? Głupcze, zali kiedykolwiek Pan odmówił odpowiedzi? Kto cię wspomże, gdy pójdiesz na ratunek więzionego? Tenże sam, co cię wspomagał, gdyś uciekał przed Babilończykiem! Czyn swoje, resztę na Pana zdając i nie trwóż się.

- Panie, daruj mnie, nędznemu. Pójdę ratować krewniaka...

Wracał do obozu innym zgoła krokiem, niż wychodził. Stanowczym szybkim, prężnym. Skończone wahania, namysł powzięty. Pozostaje tylko rozumne przemyślenie sprawy.

- Wielu mężów można uzbroić? - zapytał krótko Elizera.

- Nie więcej niż stu sześćdziesięciu - odrzekł sługa z pośpiechem, jak gdyby oczekiwał na to pytanie. - Starzy, jak Igal - niezdatni. Kilku musi pozostać w obozie. Mamy za to z pół kopy niedorostków, co aż płaczą, tak się proszą, by ich wziąć. Sprawne chłopaki. Z łuku strzelają nietęgo, za to z procy potrafią i lewą ręką, i prawą...

- Skąd wiedzą, że mamy pójść?!

- Panie mój, nie żartuj ze swego sługi! Toż w każdym namiocie pierzą strzały i czyszczą zardzewiałe włócznie... Przecieżes goel Lotowy...

Sarai miała słusność... - pomyślał Ab - Ram i zawstydził się niedawnego wahania.

Poszedł z Elizerem do namiotu służącego za skład rzadko używanych rzeczy, by rozejrzeć się w uzbrojeniu. Strzał okazało się mało. W skrzyniach spoczywały nie używane dotychczas miecze, nabyte w Ur przed ucieczką, ostre i dobre, lecz w szczupłej ilości. Łuków mnogość różnego rodzaju, niektóre staroświeckie, tak wielkie i ciężkie, że dla napięcia należało mocno przydeptać je nogą. Niosły daleko i celnie, ale w rękę silnego chłopca. Były też łuki bardzo rzadko spotykane, dziwnie wygięte, utworzone z pary rogów dzikich kozłów, spojone u nasady zwojami mosiężnego drutu. W przeciwieństwie do poprzednich były lekkie i giętkie, lecz łamliwe. Po namyśle Ab - Ram postanowił pchnąć Elizera do abimeleka Gerary. Niech przyjmie sutą zapłatę, lecz niech użyczy oręża. - Powiesz mu: Tyś Amorejczyk! Król babiloński z lennikami wytępił Amorejczyka!

Elizer siadł na osła nie zwlekając. Ab - Ram jak niegdyś w Ur przebiegał obóz sam doglądając wszystkiego. Sur i promieniejący radością Hibal towarzyszyli mu biegając z rozkazami. Stojącego nad stosem znoszonego zewsząd oręża zdybała Hagar z Ismaelem na plecach. Padła przed nim na kolana.

- Co czynisz, panie mój? Dokąd chcesz iść?!

- Pójdę, gdzie zechcę, i uczynię to, co zapragnę - odparł z naciskiem. - Wracaj do swego namiotu, Hagar. Tam miejsce twoje i dziecka.

Nie myślała odejść wcale.

- Zabij, panie, twoją sługę, zanim ciebie puszczę! Chcesz iść przeciw Babilończykowi?!

- Wracaj natychmiast do namiotu - powtórzył stanowczo. - Nie przystoi mężowi rozprawiać z niewiastą...

- Mężowi przystoi dbać o własne nasienie! - krzyknęła. - Pójdiesz, zginiesz i co się stanie z dziećmiem?! Co się stanie ze mną?! Wygnają mnie... Nie możesz odejść, Ab - Ramie! Nie możesz porzucić syna!

- Synem Pan się zaopiekuje, jeśli zginę.

Syknęła z gniewu i żalu.

- Pan! - przedrzeźniała. - Pan! Twój Bóg, którego nikt nigdy nie widział!

- Tyś go widziała przy źródle na puszczy...

- Wcale nie widziałam! - wrzasnęła. - Skłamałam, żeby się ze mnie nie śmiano, że wróciłam! Nie widziałam nikogo! Zmyśliłam!

Umilkła zasłaniając sobie usta, przerażona tym, co wyznała. Ab - Ram patrzył na nią nie rozumiejąc. Ismael wierzgał nóżkami po bokach matki i żuł daktyle.

- Niewolnico - zapytał Ab - Ram głosem ściszym - skłamałaś, że Anioł Pański stanął przed tobą i mówił do ciebie?

Wybuchnęła płaczem.

- Wstydziałam się - wyjaśniała. - O, nie nazywaj mnie niewolnicą! Jestem Hagar, matka twego syna!

Ab - Ram nic nie mówił. Patrzył w ziemię namarszczony, zastanawiając się nad jej słowami. Ona drżała z rzeczywistego lęku. On jednak zamiast wybuchnąć gniewem roześmiał się nieoczekiwanie. Śmiech jego był pogardliwy, lecz szczery.

- Kłamałaś, niewolnico - stwierdził. - A Pan użył twego kłamstwa, by mnie do siebie przywołać z powrotem. Niech Imię Jego będzie błogosławione! Odejdź już.

Nie spojrzał na nią, gdy odchodziła, zgnębiona. Wróciwszy do przeglądu broni natknął się na Sarai, która nadeszła niepostrzeżenie i wysłuchiwała zajścia.

- Ja nie skłamałam ci nigdy, Ab - Ramie - zauważyła.

- Wiem o tym, niewiasto moja. Idź, pozostaw mnie.

Uśmiechnął się do niej, łagodząc odprawę. Chciał być teraz sam, bez kobiet i jakichkolwiek kobiecych spraw. Licząc pęki strzał wypytywał Hibalą o drogę, którą wybrali napastnicy odchodząc. Pasterz jednak nie umiał powiedzieć nic więcej nad to, że zeszli w dolinę od strony zachodniej ciągnąc spod miasta Kades, wyszli zaś przez wschodnie przełęczce. Można było z tego wnioskować, że pójdą na północ, krajem zajordańskim. Hibal powtarzał również, co słyszał od sług świątynnych, że czterej mocarze skręcili w dolinę Siddim, by dogodzić chęci króla Elamu, któremu przed kilku laty odmówiono daniny. Właściwy cel wyprawy był już osiągnięty, a wojska wracały do domów swoich.

Ab - Ram nie spał całą noc, rozważając te skąpe wiadomości i usiłując wyciągnąć z nich wnioski. Pierwotny zamiar ścigania napastników zdał się po głębszym namyśle niedobry. Piąć się przez góry tracąc czas, okrążyć Słone Jezioro, natknąć się na silne tylne straże... Wyprawa skazana była na niepowodzenie. Ab - Ram postanowił ruszyć zachodnim wybrzeżem przez ziemie Kanańczyków, znane mu, gdyż przemierzał te krainy ciągnąc z Harran do Egiptu. Kraj urodzajny, wody dostatek, drogi łatwe. Żwawo jadąc, nie oszczędzając osłów ni wielbłądów, mógłby snadno wyprzedzić wojska nieprzyjacielskie i zapaść w wielkich dąbrowach w okolicy Damaszku czekając na chwilę sposobną. Ta myśl zdała mu się najlepsza.

Nazajutrz o świcie zaczął zbierać ludzi. Część miała jechać na wielbłądach, po trzech na jednym. Zwierzęta dobrze odkarmione, wypoczęte zniosą dodatkowy ciężar. Na osłach siądzie po dwóch. Ci, dla których nie starczy podjarzemnych, pójdą pieszo i zmieniać się będą z jadącymi co pół dnia. W ten sposób pochód odbędzie się sprawnie i nikt nie ustanie po drodze. Rzeczy miano

zabrać jak najmniej. Worki na wodę, suszone placki, nieco mąki i daktyli. Najważniejsza była broń. Ab - Ram postanowił, jeżeli Elizer powróci z niczym, dokupić potrzebną ilość w którymś z miast mijanych po drodze.

Trzeciego dnia po przyjsciu Hibala wyruszyli w drogę. Nie opodal miasta Hebron, w prześlicznej dolinie ocienionej rosnącą na wzgórzu dąbrową czekał na pana swojego Elizer, a z nim przeszło setka uzbrojonych ludzi. Dowodzili nimi Eschol i Aner, poznani niegdyś przy studni, piękna dąbrowa należała do ich brata imieniem Mambre. Elizer uszczęśliwiony gestykulował po swojemu opowiadając, co zaszło. Abimelek - mówił - nie bronił i nie namawiał, ale ludzi pozwolił zwołać. Gadałem do nich takimi słowy: Użyczcie nam broni albo ją nam sprzedajcie, a najlepiej pójdźcie z nami, bo mniej warta broń niż ramię. Zatrwożyli się i rzekli: Chętnie użyczymy broni pod zastaw bydła, a sami nie pójdziemy, bo żaden z was żywy nie wróci. Rzekłem: Leniwy powiada: Lew krąży po drodze, z domu nie wyjdę, aby mnie nie pożarł. Leżącego w łożu wąż ukąsił i umarł wcześniej, niż wrócili ci, co poszli na lwa... Przepaszcie biodra wasze i pójdźcie z nami... Oni na to: Pogonią was jak bartnik goni pszczoły i w sito weźmie. Odrzekłem: Bywa, że goniący staje się gonionym. Dajcie broń, spiszcie zastaw i zostańcie w spokoju. My pójdziemy mścić się za Amorejczyków... Na to Eschol, mąż bardzo dzielny, powiedział: Ja pójdę z moimi ludźmi. Inni zawołali: Tuman ci myśli zasłonił, Escholu? Oni zginą. To z Babilończykiem sprawa. On na to: U Babilończyka można się tego obłowić. Albo zginę, albo wrócę możny i będę panował nad wami. Nie tak będzie, jak się spodziewasz, ale życie stracisz i szakale rozwleką twoje kości po pustyni... Ja rzekłem wtedy: Czemu odbieracie serca mężnym? Bóg Ab - Rama, który go wywiódł z Ur chaldejskiego, strzeże w każdej przygodzie, ten osłoni. Brat Eschola, Aner, przywtórzył: Słyszeliśmy, iż wielki jest Bóg Ab - Rama. Pójdę wraz z bratem moim. Król, który słuchał pilnie, dorzucił: Zaiste, wielki jest Bóg Ab - Rama, skoro tylu mężów gotuje się iść za tobą na twoje wezwanie. Sam bym - prawi - Ab - Ramowego Boga chwalił, żeby taki zazdrosny o inne bogi nie był... A strzał pożyczę, wiele władujesz na trzy osły. I przyszlismy. Jest ich razem sto i sześć ludzi, a na trzy osły naładowałem strzał tyle, że dla wielkiego wojska wystarczy...

- Ja mam dwustu dwunastu ludzi - odparł z radością Ab - Ram. - Błogosławieni, którzy przyszli z tobą. Ruszajmy!

Śnieżysty czub Hermonu, zwanego też Ojcem źródeł, górował nad okolicą. Liczne strumienie tamowały drogę. Woda w nich była zimna, przejrzysta, niepodobna do wód mulistych dolnego biegu Jordanu czy Eufratu. Nad strumieniami rósł gąszcz lasów dębowych, jaworowych, orzechowych i morwowych. Pnącze dzikiego wina oraz chmielu obrastały gałęzie spuszczać się do ziemi, niby zielone zasłony. Ab - Ram ze swymi ludźmi brnął pracowicie przez strumienie, zlewające się poniżej jego szlaku w jedno koryto, stanowiące zaczątek Jordanu, torował drogę przez lasy. Na południe od miasta Lais napotkał dobrze wydeptany szlak, wiodący z południa na północ, niedaleko zaś od miejsca, gdzie stanęli, skręcający na wschód. Zrazu sądzono, że to szlak schodzących do wodopoju bawołów, licznie w tych lasach żyjących, gościniec był jednak na to za szeroki. Oddział Ab - Rama pociągnął nim, ostrożnie, nasłuchując i rozglądając się wkoło. Niebawem porzucona złamana włócznia zwróciła uwagę Hibala. Trochę dalej leżał urwany kołczan. Poszli jeszcze dalej i napotkali ślady licznych ognisk, zapewne miejsce noclegu. Nie bawoły, lecz wojsko szło tędy.

Popiół oraz niedopalone głównie ognisk leżały tutaj od dawna, kołczan był przegniły, wilgotny

od licznych ros, trawa już porastała na szlaku. Ab - Ram wywnioskował, iż czterej królowie ciągnęli tędy na południe przed paru miesiącami. Nałożyli znacznie drogi, by zaskoczyć nie spodziewające się napaści grody zajordańskie Astarot, Karnaim i Kariathaim. Czy będą wracać tym samym gościńcem? Ab - Ram cofnął się w lasy zostawiając czaty w pobliżu drogi i rozesłał paru ludzi po okolicy, by zasięgnęli języka.

Zostawiwszy broń w obozie, odziani jak zwykli pasterze, którymi byli, wysłańcy ci nie mogli wzbudzić podejrzeń niczyich. Nikomu nie przyszłoby na myśl, że podobni wojownicy chcą zmierzyć się z Hamurabim. Nim zdążyli rozpytać się i wrócić, rzeczywistość przemówiła sama. Przez gęste podszycie puszczy przebiegł niby dreszcz niepokoju. W górze, kracząc, kołowały liczne stada sępów. Spłoszony drobny zwierz leśny uciekał wprost pod nogi zaczajonym. Sur wypełził z krzaków na drogę i ujrzawszy w oddali tuman kurzu, przetykany błyskami włóczni. Wojska króla babilońskiego i jego sprzymierzeńców wracały ze zwycięskiej wyprawy.

Ab - Ram z kilkoma ludźmi leżał ukryty w gąszczu tuż przy samej drodze. Reszta wraz z wielbłędami, osłami i bronią pozostawała schowana w lesie w takiej odległości, by mogli dosłyszeć gwizdnięcie naczelnika. Tuman zdawał się trwać w miejscu, ziemia tętniła od uderzających w nią niezliczonych bosych stóp, lecz długo, długo nie nadchodził nikt.

Nareszcie pojawili się w kręgu widzenia Ab - Rama łucznicy, tarczownicy, procarze. Idą czwórkami, podnosząc stopy rytmicznie. Tarcze mają okrągłe na modłę asyryjską, szeroki, ozdobny pas skórzany, osłaniający w boju żołądek i zebra. Walczą parami: gdy jeden mierzy i strzela, drugi go osłania tarczą. U boku ich kołyszają się kołczany pełne strzał, na plecach cienkie, giętkie łuki, worek z żywnością i worek na wodę. W rękę włócznia. Od pasa zwiesza się krótki, obosieczny miecz.

Co pewien czas przerwa między czwórkami. Pośrodku drogi sam jeden kroczy setnik, widny z daleka po błyszczącym naszyjniku. Przeszli łucznicy. Teraz idą czarni jak sadze Sudańczycy, kupieni przez Babilończyka od króla Egiptu. Całkiem nadzy, połyskujący od potu, noszą tarcze wzorem egipskim ogromne, prostokątne, zawieszane na plecach. Pasy rozszerzają się dołem w spódniczkę. Wielkie chłopy błyskają drapieźnie zębami, stąpają cicho i giętko jak lamparty.

Leżąc na ziemi Ab - Ram patrzy rozszerzonymi oczami i ogarnia go niepokój. Co on zamierza uczynić? Oto idzie armia sprawna, zbrojna, zwycięska. Przeciw tej potędze wyprowadził trzy setki pastuchów wprawnych w strzelaniu z procy i rzucaniu maczugą za bydłem, ale niezwykłych walki. Niepokój zamienia się w lęk, lęk w popłoch. Wygubisz plemię! Cofnij się zawczasu, nie zaczepiając nikogo!

Krótko trwa pokusa. Odpiera ją, umacnia się w sobie, wzywa Imienia Pańskiego na pomoc. Imienia groźnego, nieznanego śmiertelnym. I już spokojny patrzy pilnie na idących. Mijają jedni, nadciągają nowi, szereg za szeregiem, oddział za oddziałem, aż wpatrywanie się w ustawicznie migające nogi przyprawia patrzących o zawrót głowy. Słońce wzbilo się wysoko i praży. Wzdłuż idących szeregów rozlegają się gwizdki setników. Postój.

Teraz można spokojnie zejść z posterunku i cofnąć się w las. Pochód nie ruszy, aż za parę godzin, gdy oko dnia przetoczy się na drugą stronę. Wyczołgując się ostrożnie z krzaków Ab - Ram widzi, jak strudzeni żołnierze odkładają broń, tarcze i walą się w cieniu przydrożnym. Niektórzy

pragną oszczędzić sobie tych kilku kroków; oparliśmy dwie tarcze o siebie, chronią głowy pod utworzony przez nie daszek i leżą na drodze tam, gdzie stali.

Cienie urosły, żar dnia przychłódł, piszczałki setników brzmią znowu. Wojsko wstaje na nogi i zaczyna iść. Ab - Ram zaczajony na poprzednim miejscu patrzy znów spod zwieszających się pnączy. W otoczeniu wyborowych oddziałów, ubranych w złociste hełmy, jadą czterej królowie. Nie w lektykach, lecz na wozach zaprzężonych w owe zwierzęta parskające, dymiące, które w Ur brano zrazu za demony.

- W dolinie ich nie było - szepcze Hibal w ucho Ab - Rama. - Pewnie czekały za jeziorem nie mogąc przejść przez góry...

Nieustannie, nieprzerwanie wojsko idzie, idzie, idzie. Topornicy dźwigają ciężkie, dwustronne topory i ogromne łuki. Potem osły objuczone zdobyczą. Będzie ich z tysiąc lub więcej. Wokół osłów straż. Potem wielbłądnicy. Potem zagrabione bydło.

Poszerszeniałe, chude, złe. Byki toczą przekrwionymi oczami, rwą się w las, lecz poganiacze odpychają je włóczniami. Na pokaleczonych bokach bydła czarne plastry much. W sercach patrzących na to pasterzy wzbiera oburzenie i złość.

- Nie widzę już naszego łysego... - użala się szeptem Hibal. Ab - Ram porusza niecierpliwie głową. Nie będą jednak odbijali bydła. Nie ma już w nim śladu poprzedniego lęku. Jest niecierpliwość. Bydło przeszło. Teraz becząc żałośnie drobią niezliczone stada owiec. Kiedyż koniec pochodu? Ab - Ram z niepokojem spogląda na niebo. Niebawem wypadnie wieczorny postój i będą musieli czekać w zasadzce jeszcze jedną noc.

Trzody przeszły. Znowu wojsko. Silny oddział wyborowych łuczników zamyka pochód. Na szlaku cisza, nic już nie nadciąga. Pył opada i układa się na drodze. Niebo jest czerwone. Niebawem zacznie się zmrok.

- Gdzie jeńcy?! Gdzie jeńcy?! - pytają się wzajemnie gorączkowo, zaczajeni. - Gdzie jeńcy? Czyżby ich posłano inną drogą? Albo wymordowano? Albo przeszli niezauważeni w masie wojsk? Zrozpaczony Ab - Ram nie wie, co począć. Hibal podejmuje się pojechać wstecz szlakiem, którym przeszło wojsko. Może więźniowie wyczerpani nie zdołali nadążyć i zatrzymano ich wcześniej na nocleg?

Pojechał. Ab - Ram z Elizerem czekają. Wokół cisza. Szakale skomlą po swojemu. Dzikie kozy i barany schodzą do strumienia. Dziki fukają gniewnie poczuwszy obecność zaczajonych ludzi. Daleko słychać ryk lwa. Aż w te odgłosy nocne wplata się znajomy tętent pędzącego osła. Hibal wraca.

- Są, panie mój! - woła. - Są! Stoją niedaleko stąd. Z Lais, Hoby i Damaszku zeszli się kupcy, targują niewolników... Śpieszmy się!

Gąszcz leśny wyrzuca z siebie ciemne postacie zwołane gwizdkiem Ab - Rama. Pędzą jak duchy szerokim, zdeptanym duktem, zwalniając dopiero, gdy w dali zabłyszczą liczne pochodnie.

Targi odbywające się, jak obecnie, pośród ciszy nocnej były rzeczą surowo zakazaną. Jeńcy stanowili własność samego króla i on tylko miał prawo sprzedać ich lub zatrudnić, gdzie wola. Zarówno jednak setnicy, jak poszczególni żołnierze byli chciwi na zarobek. Gdy wszyscy należą do spisku - któż wyda? Któż zdradzi? Nawet wszystkowiedzący, podejrzliwy melek melakim nie pozna, czy niewolnika sprzedano, czy zmarł w drodze z utrudzenia. Tyłu ich padło wzdłuż szlaku, zostawiając swe kości krukom i hienom, może paść stu więcej. Tajne sprzedawanie niewolników było zwyczajem tak rozpowszechnionym, że kupcy czekali na drodze wracających wojsk wiedząc, iż wprost od żołnierzy kupią niewolnika taniej niż na królewskim targu.

Wokół gromady jeńców nie było straży, gdyż każdy z żołnierzy pragnął na swoją rękę sprzedać choć jednego niewolnika. Na wszystkie strony wśród cienia rozlegały się szepty, zachęcające cmokania, wzgardliwe wykrzyki kończące się klaśnięciem w dłonie, oznaczającym szczęśliwie zakończone kupno. Przedmiot tych targów, śmiertelnie wyczerpani jeńcy, leżeli na ziemi, obojętni na wszystko, co się działo wokół nich, nawet na kopnięcia żołnierzy zmuszających ich siłą do wstania. Nie sądzili, by cokolwiek dobrego mogło ich spotkać. Śmierć zdawała się lżejsza od życia.

- ...Był piękny, krzepki, tłusty - zapewniał żołnierz, dźwigając bezsilnego głodomora za kark. - Odkarmisz go i będzie znów mocny jak osioł...

Na wkraczających pasterzy nikt nie zwrócił uwagi. Nowi kupcy zapewne. Spieszą się, to rozumiałe. Wtem... O bogowie!... Ludzie to, czyli demony?! Wałą w ciemni maczugami, kłują włócznią, rąbią mieczem... Kupcy uciekają w popłochu. Niewiernym, nieuczciwym strażnikom lęk odbiera władzę w członkach. To król babiloński zaszedł nieoczekiwanie, sprawdzić, co się tutaj dzieje! Ukarze straszliwie ich przeniewierstwo. Wbije na pal lub każe obdzierać ze skóry. Zaskoczeni setnicy struchleli, pozwalają przybyłym wiązać się jak barany. Gdy oprzytomnieją z trwogi, już jest na opór za późno.

Gdzieniedzie łucznicy poznali omyłkę. Zwołują się krzykiem do gromady, usiłują stawić czoło. Próżne starania! Porzucone tarcze leżą nie wiadomo gdzie. Nic nie chroni głów, na które padają gradem ciosy obrotnych buław pasterskich. Jedni giną, drudzy dają szyję w więzy bez dalszego oporu.

Ab - Ram pochwycił pochodnię, rozżarzył ją. Przebiega szeregi osłupiałych, przerażonych jeńców. Biały płaszcz unosi się nad nim w pędzie jak wielkie skrzydło. Szuka syna swego brata.

- Tu! Tu! - krzyczy Hibal. Ab - Ram podbiega, nachyla pochodnię. Ten żółty, wychudły człowiek, rozprostowujący z trudem obolałe ramiona, to Lot? Poznał oswobodziciela i łka.

- Stryju, ach, stryju Ab - Ramie!...

- Błogosław Panu, który cię zratował - rzuca Ab - Ram i szybko odchodzi, zarówno by ukryć wzruszenie, jako że obecność jego jest wszędzie potrzebna. Gdyby choć jeden żołnierz zbiegł i powiadomił obozujące niedaleko wojska o tym, co tu zaszło - zginą wszyscy. Należy uchodzić co szybciej. Odbitych więźniów Ab - Ram postanawia wsadzić na osły i wielbłądy. Związanych żołnierzy... Co uczynić ze związanymi żołnierzami?...

Stojąca na uboczu gromada mężów biada i wymyśla w mroku. To kupcy zatrzymani w ucieczce przez ludzi Eschola. Strwożeni zaklinają się na swoje kupieckie sumienie, iż są niewinni. Nikogo nie napadli, z nikim nie walczyli... Przybyli tu, by kupować jeńców...

Przednia myśl powstaje w głowie Ab - Rama. Mieli kupować jeńców? Doskonale. Znajdą towar pożądaný. Niech kupują natychmiast żołnierzy. Niech płacą i niech odchodzą z nabytkiem.

Ta mowa podoba się kupcom. Przytomnieją, odzyskują zwykłą powagę. Nie dziwią się zmianie towaru, widywali bowiem nieraz, jak ten, co gotował więzy innym, sam w nie popadał. A wołą - rzecz prosta - nabyć rosłego, dobrze odkarmionego żołnierza niż wyczerpanego jeńca.

Nim targ został ubity, cena ustalona, Ab - Ram pyta o dozorcę, który bił jego bratanka. Lot wskazuje niechętnie krępego mężczyznę o tępej, płaskiej twarzy Guta. To ten!

Ab - Ram syn Tarego wyciąga zza pasa krótki miecz i podaje synowi Arana.

- Zabij go!

- Zabić? - Umęczony, półżywy Lot odwraca głowę przecząco. Nie pragnie zabijać nikogo. Więc Ab - Ram bez słowa podnosi w górę ramię i z rozmachem uderza w pierś jeńca. Miecz wchodzi głęboko. Krew tryska. Człowiek wali się na ziemię, drga i kona.

Teraz dopiero zdziwienie maluje się na twarzach kupców. Dotychczas wszystko było zrozumiałe, tego nie mogą zrozumieć. Po co zabijać żołnierza, gdy można wziąć za niego dobrą cenę? Z trupa nikomu nic nie przyjdzie. Trup ma wartość tylko dla hien i szakali.

Ab - Ram wyciąga miecz z piersi zabitego i wyciera ostrze o trawę.

- Nie śmie żyć ten, co znieważył wolnego Hebrajczyka! - stwierdza głośno. Czuje teraz, że podjętego zadania dokonał. Lot patrzy na swego goela z pełną podziwu wdzięcznością.

Cena niewolników zostaje szybko ustalona. Pokażne worki sykli przechodzą do rąk Ab - Rama. Jeszcze chwila i niedawni świetni żołnierze niezwykłego króla babilońskiego, powiązani po dziesięciu, ze skrępowanymi dłońmi, wsiąkają w mrok jako potulni niewolnicy popędzani przez nowych swych panów. Nie ma obawy, by który z nich usiłował teraz zbiec i powiadomić króla. Ścięto by mu łeb natychmiast.

Nie, nikt nie doniesie Hamurabiemu o tym, co zaszło na polanie w pobliżu grodu Lais, dopóki melek melakim sam nie zapyta o więźniów. Wtedy "tartan", głównodowodzący jego wojsk, objaśni króla, że jeńców porwały demony lub że wszczęli bunt i trzeba było ich wymordować, lub że ulegli zarazie...

- Wszyscy? - zapyta podejrzliwie syn Sin Muballita.

- Żyj wiecznie, panie mój! Wszyscy.

Szczęśliwy śmiech rozpiera żebra Ab - Rama. Radość tryumfu, a zarazem nie dająca się

przełożyć na słowa wdzięczność Panu Najwyższemu. Przedsięwzięcie, przed którym drżał, pozornie szalone, nierozważne, okazało się dziecinnie łatwym. Nie stracił ani jednego człowieka! Więc wystarczyło odważyć się na spełnienie swojego obowiązku i zaufać Panu? Pan sam dokonał reszty, wyprostował drogi, usunął przeszkody... Wielki, opiekuńczy, wszechmocny!

Przy blasku pochodni ludzie Ab - Rama usuwali ślady walki. W przypadku, gdyby ktoś ze straży tylnej wrócił przynaglać opieszalnych do pośpiechu, nie pozna, co się zdarzyło i dokąd pociągnęli strażnicy z więźniami. A teraz w drogę! Ab - Ram szedł obok osła, na którym siedział Lot. Bratanek co chwila nachylał się ku stryjowi, szepcząc słowa podziękowań. Ab - Ram uśmiechał się poważnie w cieniu.

- Powrócisz do mnie, synu mego brata? - zapytał.

- Powrócę - przystał Lot z wdzięcznością.

Siedzący za Lotem na tym samym osle mężczyzna sapał głośno i wzdychał, dając do zrozumienia, iż wielce strudzony chciałby odpocząć. Ab - Ram nie zwracał na jego pochrząkiwania uwagi, gdyż ostrożność nakazywała oddalić się co szybciej. Dopiero za rzeką ukryją się w lasach i odpoczną kilka dni, ażeby wyniszczeni jeńcy nabrali sił.

Nad rzekę płytką, lecz bystrą i rwącą, nadeszli o świcie. Oba brzegi tonęły w mlecznych oparach. Wielbłądy parskały wchodząc w zimną wodę. Od pobliskich gór szedł dech przejmujący, zdrowy. W gęstwinie, na wydeptanej przez dziki polanie, z dala od uczęszczanej przez karawany kupieckie drogi, rozbito obóz. Osły i wielbłądy pasły się wokoło, uwolnieni więźniowie leżeli na trawie śpiąc i wydechając z siebie minioną nędzę. Ab - Ram przypomniał sobie, że Hibal mówił o kobietach z dziećmi pognanych razem z mężami w niewolę i zapytał, co się z nimi stało, gdyż nie odbito ani jednej. Lot objaśnił stryja, iż w drodze z trudu i wycieńczenia pomarły. Nie doszła tu ani jedna. Zawsze tak bywa. Ab - Ram odbił przeszło pół tysiąca ludzi, a pognano ich ciągnąc z południa kilka tysięcy. Kości nieszczęsnych wymościły szlak, którym sunęła zwycięska wyprawa Hamurabiego. Padali jak muchy z głodu i pragnienia. Żywność przeznaczoną na ich utrzymanie rozkradali setnicy.

Jeńcy szli powiązani po dziesięciu, więc żywi musieli cały dzień wlec przytroczonego trupa. Odczepiano zastygłe, sponiewierane w pyłe zwłoki dopiero wieczorem. - Zazdrościłem nieraz tym zmarłym - mówił Lot - gdyż strażnicy babilońscy nie mieli już nad nimi żadnej władzy. Żałowałem, iż jestem silniejszy od innych, przeto będę się dłużej męczył...

Hibal (już nie sługa, Lot udarował go wolnością) wraz z kilku ludźmi udał się do miasta Lais, by kupić żywności. Ab - Ram polecił im nasłuchiwać pilnie, co w grodzie mówią i czy już wiedzą o odbiciu więźniów. Nakazał im wielką ostrożność i uciekanie w odwrotnym kierunku niż obóz, w razie gdyby byli śledzeni. Oni jednak wrócili po paru dniach zadowoleni wioząc wory mąki i pędząc stadko kupionych baranów. Nikt w mieście nie mówił o zdarzeniu, choć wielu wspominało przemarsz niezliczonych wojsk Babilończyka. Zapewne rozgłaszanie przygody nie leżało w interesie nikim. Ani kupców, ani byłych łuczników pracujących teraz u piekarza albo we młynie.

Uspokojony Ab - Ram pomyślał teraz, że bliżej stąd do Harran niżli do własnego obozu i

zawezwał Elizera.

- Słuchaj pilnie, coć powiem - rzekł. - Pojedziesz do Harran odwiedzić brata mego Nachora. Opowiesz mu wszystko, co się działo ze mną od czasu, gdy odstał od nas. Pozdrowisz go ode mnie pozdrowieniem braterskim i uczcisz grób ojca mego, Tarego syna Nachora. Jeżeliby się zdarzyło, że w ciągu tych lat brat mój Nachor syn Tarego umarł, bo krzepki nie był, uczcij także jego grób, a wdowę Melchę przywieź do nas. Tak uczynisz. Wracając zezwalam, byś się zatrzymał w Damaszku, bo to ojczyzna twoja. Możesz zabawić w tym grodzie tyle czasu, wiele dusza twoja zapagnie.

Elizer padł panu do nóg i wyruszył. Nazajutrz gromada odbitych więźniów przyszła do Ab - Rama pytać, co z nimi zamierza uczynić? Sprzedać jako niewolników czy zatrzymać jako sługi? Ocalił im życie i stał się panem ich bytu. Należą do niego. Może zechce przyjąć okup? Nim rodziny ich zbiorą naznaczoną cenę, będą mu wiernie służyli.

Ab - Ram potrzęsnał przecząco głową.

- Wyruszyłem z mego domu nie dla zysku - odparł - lecz by ratować syna mego brata. Jesteście wolni i możecie iść w pokój, dokąd wola.

- Błogosławieństwo twojej głowie! - zawołali, przejęci wdzięcznością. - Pozwól nam tedy pozostać przy tobie, Ab - Ramie, jeszcze kilka dni, po czym wrócimy do domów swoich.

- Mniemam, że ode mnie przyjmiesz należną sobie zapłatę, Ab - Ramie synu Tarego - rzekł wysuwając się naprzód ten sam mąż, który pierwszej nocy jechał wraz z Lotem na ośle. - Jestem Bara syn Henosa, król Sodomy i pan całej doliny Siddim...

(...Ten, co wpadł do studni smołowej... - przypomniał sobie Ab - Ram.)

- Bądź pozdrowiony, królu sodomski - odparł. - Nie mogę przyjąć od ciebie zapłaty, gdyż, jak rzekłem, nie wyruszyłem z domu w nadziei zysku. Mienia własnego mam dość.

Mówiąc przyglądał się królowi. Człowiek, o którym Hibal opowiadał jako o bardzo otyłym, schudł znacznie w czasie niewoli. Skóra zwisała w fałdach na jego obliczu. Przypominał Ab - Ramowi jego brata Nachora, lecz gdy twarz Nachora pozostawała zawsze rozumna i łagodna, król Sodomy miał chytre oczy i okrutne zmysłowe wargi.

- Nieczęsto zdarza się ocalić króla - ciągnął Bara z wielką pychą. - Kto chwyci złotego ptaka, zatrzymuje pozłotę na palcach. Nie chcę, byś mówił, że jednakowo ocalić króla czy pasterza.

- Nie chwyciłem ciebie, królu, jenom cię uwolnił, a dłonie moje nie tęsknią do złota...

Bara syn Henosa zdziwił się.

- Pojmuję twoje myśli, synu Tarego - oznajmił. - Widzisz mnie w poniżeniu, podobnego psu zdechłemu albo pchle, nie mogącego udzielić żadnej nagrody. Wiem ci ja, że za nędzarza mogę być dziś uważany. Niech jednak wrócę na moją stolicę, otworzę dłonie pełne hojnych darów. Spodziewa się dusza moja, że mi wtedy nie odmówisz...

Nie czekając na odpowiedź dodał:

- Uczyń mi proszę, jeszcze jedną łaskę: pożycz mi kilka wielbłądów, mocnych i ściągłych, bym mógł pognać do Sodomy. Pragnę wpaść tam pierwszy, by móc pomścić się na arcykapłanie El - Gadzie i tych, co mnie opuścili...

Małe oczka króla zamigotały złowrogo.

- Użyczę chętnie - przystał Ab - Ram. Lot odwiódł stryja na bok.

- Czemu nie chcesz przyjąć słusznej nagrody od syna Henosa? - pytał z żalem. - On ma złota tyle co król Egiptu albo więcej, dobrze ukrytego... Bierz!

- Nie potrzebuję jego złota. Nie stoję o nie.

- Nie stoisz o złoto! Nie stoisz o złoto! - powtarzał bratanek. głos jego zdziwił Ab - Rama.

- Czyżbyś ty miał złoto w cenie? - zapytał.

- W większej niż życie, to pewna - odparł Lot z goryczą.

Bara syn Henosa pierwszy opuścił polanę leśną, dążąc na południe. Wnet pociągnęli za nim Eschol i Aner ze swymi ludźmi. Król sodomski przed odjazdem zapewnił ich o swojej szczodrobliwości, Ab - Ram zaś oddał im trzecią część pieniędzy otrzymanych od kupców jako zapłatę za babilońskich żołnierzy. Resztę rozdał swoim ludziom. Odbici więźniowie rozeszli się, każdy w swoją stronę. Tylko Ab - Ram ze swym plemieniem obozował wciąż w pobliżu Lais, nie zważając na zbliżającą się porę deszczową i mogące grozić niebezpieczeństwo ze strony Babilończyka. Powodem tej zwłoki była ciężka niemoc Lota. Syn Arana chorzał w niewoli, po odbiciu dźwignął się nieco i sądził, że słabość pokonał, aliści choroba okazała się mocniejsza od niego. Rany od pęt na przegubach rąk i nóg nabiegały ropą, kończyny opuchły. Gorączka wstrząsała ciałem. Ziałł i płonął na przemiany, szczekał zębami w napadzie dreszczy, leżał to nieruchomy bezsilny, zlany potem, to rzucał się i gadał bez przerwy. Przyzywał córki, lękał się o nie, usiłował przed czymś bronić, obiecywał złoto... Komu? Ab - Ram siedział przy chorym zgębiony. Nie wiedział, jak mu ulżyć. Sarai, Noa lub Resa umiałyby natrzeć mu piersi gorącą oliwą, przyłożyć do stóp rozżarte palące chrząszcze, przyrządzić napój chłodzący, gdy wzmagała się gorączka, a rozgrzewający, gdy ciało stygło. Równie jak Ab - Ram zmartwiony Hibal stróżujący u nóg swego pana powtarzał pógłosem, niby do samego siebie:

- ...tabliczki z zaklęciem potrzeba, by ulżyć memu panu... Pojechałbym do grodu kupić dobrą, mocną tabliczkę i wyleczył pana mego... Jakże to uczyni dusza moja, skoro nie mam czym za tabliczkę zapłacić? Azali dostanę ją darmo?...

Szepcząc tak, spoglądał ukradkiem na Ab - Rama w nadziei, iż ten posłyszysz, rozsupta wiszący u pasa worek i rzeknie: Oto srebro. Jedź, kup skuteczne zaklęcie. - Lecz Ab - Ram siedział nieruchomy. Wprawdzie słyszał i pojmował, o co Hibalowi chodziło, znużył się jednak wielokrotnym zapewnieniem, że nie potrzeba tabliczek tam, gdzie trwa opieka Pana Najwyższego.

Nie wierzono, domagano się tabliczek i zaklęć. Współplemieńcy czuli żal do swego naczelnika, który pozbawiał ich jedynej skutecznej obrony przed demonami. Upór ich gniewał Ab - Rama, czasami jednak zdobywał się na wyrozumiałość. Obecnie, siedząc przy ciężko chorym bratanku, wspominał, jak sam kiedyś kupował zaklęcie dla swego ojca, Tarego syna Nachora, zasłabłego na zimnicę. Ujrzał, jak gdyby to było wczoraj, przekupniów bramnych w grodzie Ur, siedzących pod spiżowymi wrotami, rzeźbionymi w obrazy bitew; potem dostojnego mistrza Taribala, królującego wśród mnóstwa zaklęć różnego rodzaju. Wszelkie zaklęcia należało odczytywać bez zaczerpnięcia tchu, gdyż w razie przerwy traciły swą moc. Ab - Ram wierzył w to wówczas na równi z innymi. Nie dziwiło go, że demon złośliwy czy bóg żyjący ofiarami podlegają władzy zaklęcia. Jeżeli tabliczka nie jest uszkodzona, słowa wypisane zostały poprawnie, wypowiedziano je bez błędu i bez zaczerpnięcia oddechu, bóg i demon muszą posłuchać rozkazu człowieka. Są zatem słabsze od niego. Inaczej Pan, którego słuchają niebo i ziemia, czasy i otchłanie. Nie podlega nikomu, żadne zaklęcia nie skrępują Jego woli, nikt nad Nim nie zapanuje. W Jego obliczu umiejętność mistrza Taribala, pracowity mozół zatrudnionych przezeń robotników są bezużytecznym przerabianiem gliny, podlegszym zaiste od pracy garncarza, gdyż glina użyta na garnki służy człowiekowi, zaś drogocenne tabliczki z zaklęciami służą tylko dla wzbogacenia tych, którzy je wyrabiają. Ci ostatni czy wierzą w nie również? Z dawna Ab - Ram żywił wątpliwości w stosunku do kapłanów, a półsłówka Sep - Sina utwierdziły w nim przekonanie, że słudzy bogów sami są bogami i własną wolę, nie czytają inną, podają ludowi za pośrednictwem wróżb. Podobnie rzecz się ma z przepisującymi zaklęcia, sprzedawcami tabliczek. Wydało się Ab - Ramowi, iż spostrzega drwiący uśmiech, ukryty pod maską powagi strojącej oblicze mistrza Taribala, i ogarnął go spóźniony gniew przeciw wielkiej zмовie oszustów trzymających świat w pętach strachu, tuczących się łatwowiernością powszechną. Nielatwa z nimi walka, na długi czas zapewnione panowanie. Wszakże i on, Ab - Ram, pozostawałby nadal pod ich władzą, gdyby Pan sam nie pochwycił go za włosy pewnego dnia i nie otworzył mu oczu.

Spotkał wzrokiem utkwione weń błagalne spojrzenie Hibala mamroczącego wytrwale swoją śpiewkę i skinął mu głową przyjaźnie.

- Zbądź troski - rzekł szybko, jakby kto inny mówił za niego. - Syn Arana ozdrowieje nie mocą tabliczki glinianej, lecz wolą Pana Najwyższego...

Nachylił się nad Lotem, który spał spokojnie po raz pierwszy od wielu dni.

Ozdrowieniec był jeszcze słaby, lecz pora spóźniona nie pozwalała czekać, aż wróci do sił. Jechali wraz z Ab - Ramem na jednym wielbłądzie, Lot z tyłu, obejmując stryja w pół, jak niegdyś, gdy był małym chłopcem. Mimo powracającego zdrowia nie przestał być markotny. Bliskość ciał sprzyjała poufnej rozmowie, przeto Ab - Ram zapytał bratanka, czemu się troska.

- Przeklinam chorobę, która nie pozwoliła mi jechać do Sodomy wraz z królem - odparł Lot. - Lękam się jego pomsty na tych, co się schronili w świątyni. Bara syn Henosa to zły i okrutny człek...

Ab - Ram na pierwsze słowa poruszył się żywo w siodle.

- Obiecałeś, synu Arana, że zostaniesz ze mną? Po cóż chciałbyś jechać do Sodomy?!

- Po moją niewiastę i dzieci - stwierdził Lot spokojnie.

Ab - Ram wciągnął głośno powietrze ustami. Chciał otwarcie powtórzyć opinię Hibala i oznajmić, że nie chce oglądać Idith w swym obozie - zrobiło mu się jednak żal mężczyzny, ufnie i bezbrinnie wspartego o jego plecy, pohamował się więc i rzekł:

- Słyszałem, że nie ma porozumienia pomiędzy tobą, synu Arana, a twoją niewiastą, Idith?

- Porozumienia nie ma - przyznał Lot z westchnieniem - wszakże powinność została. Zostały dzieci. Trwożę się o moje dzieci, stryju Ab - Ramie. Bara syn Henosa bardzo zły, bardzo okrutny człowiek. W pomście nie zna miary. Poczyta za wroga każdego, komu sprzyjali kapłani... Moje dziewczuszki nieletnie, ale piękne na wejrzenie... Szczególnie młodsza... Aż matka czasem na nie koso, z zazdrością spogląda... Boję się, żeby ich nie skrzywdzono...

- Córki... - bąknął Ab - Ram lekceważąco. Znaczyło to: nie ma się o co kłopotać...

Lot nie ustąpił.

- Moja krew w nich... Miłuję je...

Zacisnął silniej ręce na pasie stryjowym.

- Czasami zda mi się, stryju Ab - Ramie - wyznał - że nadto lekceważymy niewiasty... Zali słuszne, że je na równi z bydłem poczytujemy? Każdy mąż rodzi się z niewiasty i błogosławi łono, które go wydało...

- Ani ojciec mój, Tare syn Nachora, ani ojciec twój, Aran syn Tarego, ani ty, ani ja nie ustanawialiśmy Prawa. Od potopu i dawniej trwające, jest słuszne i mądre. Chciałbyś powstać przeciw Prawu?

Lot przytulił się mocniej do stryja.

- Nie ośmieliłby się twój sługa powstać przeciw Prawu, wszakże jest ono surowe. Mąż, który w leciech dojrzałych zatrząsie światem, dzieckiem będąc, szczęśliwy bez matki jak pisklę wygnane z gniazda... Jej pierś przez dwa lata w jego ustach, ramiona jak jarzmo na szyi... Za tyle trudów niewiasta jakąż ma nagrodę?

Dziwił się Ab - am tym słowom Lota. Nie przypuszczał nigdy, by bratanek zajmował umysł podobnymi sprawami. Chciał odpowiedzieć z wyższością, że sam trud wokół wychowania przyszłego mężczyzny jest dla niewiasty dostateczną nagrodą. Nie wiedząc skąd jednak, stanęły mu w oczach dawne, dawne dzieje... Izba Nergal Sara, pierzchliwe obrazy widzenia, Niewiasta w wieńcu gwiazd. Nabrzmiałe czią słowa sanga mahhu: Ona zetrze głowę węża... Ona, Niewiasta... Przeto zamilkł. Przyszło mu też na myśl, że i on postępował parokrotnie inaczej, niż mówiło Prawo, więc zamilkł tym bardziej.

- Słyszałem o twojej żonie, Idith, nieprzystojne rzeczy - podjął Ab - Ram po długiej chwili.

Lot wyprostował się i zeszywniał.

- Idith nie jest gorsza od innych - zapewnił. - Niewiasty naśladową chętnie każdą nowość. Przekłete jest miasto Sodoma, w którym żyjemy, oby się zapadło! Ludzie próżnują, bo ziemia sama rodzi. Nikt nie pracuje prócz sług. Chociaż bogaci, tameczni ludzie mają wciąż złota za mało i tego tylko cenią, co złoto posiada. Mąż nie posiadający złota jest wśród nich jak trędowaty, kopany i wyszydzany. Ze zbytku, z nudów krew w nich gnije... Lubują się w rozkoszy. Łoża zlewają wonnościami. Cynamon, balsam wyborny, nard, mirra i wonne sitowie... Wszystko to razem niewolnicy ucierają w spiżowych moździerzach... Wino z winnic za słabe dla nich, piją mocne daktyłowe i dodają doń jeszcze korzeni podniecających... Chodzą ustawicznie pijani i rozpaleni, jak psy goniące za suką. Niewiasty na równi z mężczyznami albo jeszcze gorzej. Nie szanują Prawa. Syn śpi z matką, córka z ojcem albo brat z siostrą, dziad z wnuczką...

- Co za plugastwa prawisz mi, synu Arana? - obruszył się gniewnie Ab - Ram.

- Źle prawie, zaiste, bo tam coraz rzadziej obcuje mąż z niewiastą, jak jest przyrodzone. Dla rozpusty wymyślnej łączy się mąż z mężem, niewiasta z niewiastą... Chełpią się tym jakby cnotą...

- Śmierć na bezecników! - syknął Ab - Ram ze zgrozą. - Nie znają Prawa? Krew ich na nich spadnie!

- Śmieją się z Prawa... Powiadają, że nie dla nich pisane... Mniemają o sobie, iż są światlejsi i mędrsi niż wszyscy ludzie na świecie...

- Sam bym dopomógł Babilończykowi, żeby ich wytracił! - mruknął z zawziętością Ab - Ram.

- Synu Tarego, to jeszcze nie wszystko! Jeszcze nie rzekłem obrzydliwości największej... By dogodzić swojej chuci...

Położył się na plecach stryja i szeptał mu w szyję straszliwe wyznania. Lica starego mężczyzny pociemniały ze wstydu i wstrętu.

- Milcz! - wybuchnął. - Milcz! Bym nie zapomniał, ktoś jest, który mówi! Pomsty! Pomsty na plugawców! Niech zginą! Szczną! Niech ich płomień spali! Niech dusza ich będzie odwracana jak w pędzie i obrocie procy! Niech ich ciała nie znajdą mogiły! Niech będą przekłeci!...

Urwał zadyszany, lecz po chwili gniew go rozżarzył ponownie kierując się tym razem przeciw bratankowi.

- A ty?! Ty?! - wołał. - Ty, co w takim gnieździe siedzisz!? Zali stałeś się do nich podobny?! Lubujesz sobie w ich obrzydliwości?! Czemuś nie strząsnął sandałów o próg i nie wróciłeś do mnie?!

- Od dnia, w którym pożegnałem cię, stryju, zaprzysięgłszy na kopcu z kamieni, że go nie minę idąc na zachód, nie było ranka ani zmierzchu, bym nie tęsknił za twoim namiotem. Wrócić mi było trudno...

Wstydził się wyznać, że Idith nie chciała słyszeć o wyjeździe swoim ni córek, on zaś nie mógł rozstać się z dziećmi.

- Dorozumiewam się, co cię zatrzymało - rzekł Ab - Ram z pogardą, - Masz serce i rozum, synu Arana, lecz mężczyzną nie byłeś nigdy i nie będziesz...

Poczuł ciepło na karku, sięgnął ręką. To Lot płakał, a jego łzy ściekały na płaszcz stryjowy.

- Woda nie krew w twoich żyłach! - parsknął Ab - Ram wzgardliwie. - Pomnij, co mówię: nie wrócisz ku mnie do pierwszego nowiu, poczytam cię za nieczystego na równi z tamtymi. Rzekłem.

Lot nic nie odpowiedział i jechali długo w milczeniu kołysząc się w takt kroków wielbłąda. Ab - Ram zlił się wewnątrz, niezdolny opanować obrzydzenia, jakim przejęły go wynurzenia bratanka. Nagłym chłodem musnęło go przypomnienie czasu, gdy jego, Ab - Rama, stopy stały na ścieżce pochyłej, wiodącej być może w podobną grzędawę... Wzdrygnął się cały, aż przeraził Lota.

- Co ci jest, stryju? - zapytał nieśmiało.

- Dusza moja targnęła się we mnie z trwogi - odparł Ab - Ram ze smutkiem.

I znów jechali milcząc. Ab - Ram myślał, że pieszczoty nałożnicy, którym ulegał, dalekie były od sodomskiego zepsucia. Któż zna jednak chyżość ciała, któremu zezwolono zejść z właściwej drogi? Może odległość ta nie jest zbyt wielka? Biada, biada człowiekowi, gdy pocznie czynić to, czego się zrazu wstydzi...

Śpieszny tętent osła przerwał rozmyślenia. Ludzie w tyle pokrzykiwali wesoło witając swojaka. Jakoż był to Elizer, Elizer, oczekiwany dopiero po deszczach, dopędzał jadących. Zrównawszy się z nimi zawołał na całe gardło:

- Żyj wiecznie, panie mój! Brat twój, Nachor syn Tarego, wzbudził w swej niewieście dwóch synów! Pozdrawia ciebie i cały ród!

Szczęсна nowina nakłoniła Ab - Rama do zarządzenia dłuższego postoju. Zmęczony Elizer położył się na ziemi obok równie jak on strudzonego osła i natychmiast zasnął. Jahiel z rozkazu Ab - Rama poszedł do pasterzy pasących nie opodal swe trzody z prośbą, by użyczyli dwa roczne cielaki i czworo baranów. Ab - Ram odeśle im w zamian kotne owce i dwie cielne jałowice. Bratu jego narodzili się synowie i pragnie cieszyć się w drodze. Tak mówił Jahiel. Pasterze odrzekli: - Wiemy od Eschola i Anera, ciągnących tędy o zeszłym nowiu, co uczynił Ab - Ram syn Tarego. Nie chcemy od niego zapłaty. Wybieraj ze stada, co ci się widzi najlepsze. - Błogosławione wasze dni! - odparł Jahiel i zabrał potrzebne sztuki. Nim wieczór nadszedł, wszyscy plemięcy leżeli już wokół ogniska zajadając żarłocznie pachnące pieczone mięso. Barany były młode i tłuste, cielęta kruche, oni zaś od wyjazdu na wyprawę jedli tylko daktyle suszone i placki jęczmienne. Jedząc więc wychwalali Nachora syna Tarego i Ab - Rama jego brata. Gdy nasycili pierwszy głód i jedli wolniej, już tylko dla rozkoszy jedzenia i oblizywania ociekających tłuszczem palców, Ab - Ram wezwał Elizera, by rozpoczął swą opowieść. Stary sługa czekał niecierpliwie na tę chwilę i natychmiast otarłszy usta wierzchem dłoni podniósł głos, by wszyscy słyszeli:

- Dobra nowina, świeża woda - zaczął. - Sługa twój, panie, spętał osła pod bramą grodu

Harran i puścił na paszę, po czym udał się do domu, w którym pochował ojca swojego, Tarego syna Nachora. Podniosłem dłoń, żeby zakolatać, aliści na ramie okiennej wisiała wstęga czerwona. Kamień położony przed ślepym. Sługa twój zawrócił do bramy i pytał ludzi, którzy tam kupczyli: Gdzie żywie Nachor syn Tarego, Hebrajczyk? - Powiedzieli, w którym domu, a był to dom ten sam, przed którym stałem uprzednio. Pomyślałem, że demon zmęczenia wzrok mi pomylił i wróciłem się pod drzwi, lecz wstęga czerwona wisiała i kołysała się z wiatre. Po wtóre wróciłem pod bramę, pytając kupców: Izali u was czerwona wstęga na domu nie oznacza, że urodziły się bliźnięta? Oni odpowiadając rzekli: Owszem, tak jest, jak prawisz. Idź do Nachora Hebrajczyka i raduj się wspólnie z nim, gdyż w późnym wieku dwóch synów spłodził... Zatrzęsło się serce moje z radości i z wielkim kwapieniem pobiegłem na rynek kupić ciasto i naczynie, które się dziecięciu daje. Nie patrzyłem na cenę i kupiłem miedziane kubki z misami, wszystko poślacane i rzeźbione. Położyłem na nich ciasto, a także wszystko złoto, które mi pan mój dał, i dopieroż zakolatałem do drzwi. Otworzył mi sam Nachor syn Tarego i od radości zakrzyknął. I pobiegł jak młody w głąb domu, gdzie siedziała niewiasta jego, Melcha, z dziećmi, a sługa twój poszedł za nim trzymając misy z kubkami w rękę. Złożyłem je u stóp Melchy, siostry twej, synu Arana, i jałem witać, wieszować i radować się... Płakali oboje i pytali, i nie mogłem nastarczyć odpowiadać. Dzieci są bardzo piękne, już mają pół roku. Zowią ich Buz i Kamuel synowie Nachora. Silne chłopaki. Gdy krzyczą, aż na ulicy słychać. Niewiasta Nachorowa, Melcha, biała i tłusta. Oczy jej błyszczą, śmieje się ustawicznie. Karmiła mnie ciastkami wybornymi i sama jadła. To jednego syna, to drugiego na przemian u piersi trzyma, a jak ich rozpoznaje, nie wiem, bo bardzo podobni. Nachor syn Tarego, mąż siwy i okazały, ale nie taki już gruby, jak był. Chodzi sprawnie i rześko. - Błogosławieństwo memu bratu Ab - Ramowi - mówił - że mnie tu z grodu Ur przywiózł, gdzie powietrze górskie chłodne jest i zdrowe, i gdzie żyć będę długi wiek, i jeszcze synów nowych niewieście przyrzucę... Tak mówił, a Melcha patrzyła w niego z radością... Cieszyli się złotem, com złożył, i kubkami, i misami, bo prawdziwie piękne były i ozdobne, i dobrej wagi. Potem pokłoniwszy się jeszcze raz Buzowi i Kamuelowi synom Nachora poszedłem na dziedziniec uczcić grób ojca pana mego. Obaczyłem, że w wielkim poszanowaniu pozostaje. Mówił mi Nachor syn Tarego, że co roku, gdy te same gwiazdy staną na niebie, które świeciły, gdy ojciec pana mojego umierał, wzywa kapłanów, którzy przed terafim składają ofiarę z mleka, miodu i wina, z jagniąt i gołębi... Terafim stoją w dziedzińcu, podle grobu Tarego syna Nachora... Nachor codziennie pali przed nimi żywicę... Ja też paliłem, klękawszy...

Umilkł zmęczony i zapadło milczenie nabrzmiałe tęsknotą całego plemienia za posiadaniem terafim, za możliwością składania tym opiekunom rodowym ofiary z wina, mleka, miodu, jagniąt i gołębi, palenia przed nimi kadzidła. Miał ci wprawdzie Ab - Ram swego boga, lecz żaden go nie znał. Zdawał się obcy i daleki, tak daleki i obcy, jak gdyby go wcale nie było. Cóż to za bóg, którego nawet imię jest nieznanne?

- Opowiadaj dalej, Elizerze - wezwał Ab - Ram.

- ...Z radością będę mówił dalej do pana mojego. Pytał brat twój o wszystko, co się z nami działo od rozstania, i opowiadałem tego dnia do wieczora i następnego od rana znów do wieczora. Dziwili się bardzo słysząc, jak niewiasta twoja, Sarai, przez faraona została wzięta, a potem wróciła się nazad. A kiedym mówił, że syn Arana już nie mieszka z nami, Melcha trzęsła głową i powiadała: Wiedziałam, że tak będzie! Wiedziałam! Ostrzegałam jeszcze w Ur pana mojego, Ab - Rama... Zaś Nachor rzekł po swojemu: Zginie łyso, co się łysem uległo... I jeszcze: Nie odmieni kawka głosu

swego między przepiórkami... Niech mi wybaczy pan mój, niech mi wybaczy bratanek pana mojego, jeśli powtarzam zbyt śmieie.

- Powiadaj wszystko, co słyszałeś, Elizerze...

- ...Ucieszył się Nachor, brat twój, posłyszawszy o naszej wyprawie przeciw Babilończykowi i w ręce klaskał... Syn Sin Muballita - powiadał - nienasycony jak pijawka, śmierć, ogień i ziemia wyschnięta... Chwała Ab - Ramowi, że krwi swojej nie poniechał... Mężnemu przygoda sprzyja, przed tchórzem stawiając sidła. Melcha płakała nad tobą, synu Arana, bratem swoim, i wysławiała pana mojego. Przesłała też pozdrowienia i dary dla Sarai, które w worze są...

- Powiedziałeś, że i ja mam syna? - pytał Ab - Ram.

- Powiadał sługa twój, owszem. Mówiłem, że urodziwy jest Ismael, mocny i do Ab - Rama syna Tarego podobny. Pytał Nachor: Kto chowa dziecko? Niewiasta mojego brata czy niwolnica egipska? Powiedziałem, jak jest.

- Co rzekł więcej brat mój, Nachor?

- Nachor podumawszy rzekł: Syty w miodzie przebiera, a głodny gorycz za słodkość przyjmuje... On zwyczajny przypowieściami gadać. Nie wiem, do czego swą gadkę stosował...

- Czemuż to, Elizerze - spytał Ab - Ram pokrywając przykrość, jaką mu sprawiły słowa brata - nie zatrzymałeś się, wracając, w Damaszku, ojczyźnie swojej?

- Spieszno było słudze twemu dobrą nowinę co rychlej przynieść, przeto nie zatrzymałem się wcale, zwłaszcza że...

Urwał nie chcąc wspominać, iż wszystko złoto otrzymane od Ab - Rama wydał na podarki dla Buza i Kamuela synów Nachorowych, przeto niezręcznie mu było odszukiwać w Damaszku krewniaków nie mając sykla przy duszy. Posadzono by go snadno, że wsparcia wygląda.

Ab - Ram zrozumiał niedomówienie.

- Błogosławiony Pan, który mi dał wiernego sługę - stwierdził. - Błogosławiony Pan, który w słudze daje przyjaciela.

Elizerowi łzy stanęły w oczach. Pochylił się do nóg AB - Ramowych.

- Jeszcze jedną rzecz powiedział mi o tobie Nachor, brat twój - przypomniał sobie nagle. - Trudne słowa, alem je sobie przepowiedział dwa razy i spamiętałem. Powiedział: Jak orzeł rozposztał się nad orlętami swymi, do lotu je zaprawiając, tak Bóg Ab - Rama nad bratem moim...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

CHLEB I WINO

Orszak króla sodomskiego wyjeżdżającego naprzeciw Ab - Rama spotkał Hebrajczyków o półtora dnia od obozu, w pobliżu położonego na skałach miasta Uru - Salem. Bara syn Henosa jechał wspaniale, pragnąc wywołanym podziwem zatrzeć wspomnienia pędzonego w więzach jeńca. Poprzedzał go oddział łuczników o tarczach obciążonych skórą złoconą i kołczanach ze skóry purpurowej. Za łucznikami kroczyli muzycanci dmąc co sił w piszczałki i kobzy, brząkając w lutnie i harfy. Wielbłąd dźwigający króla miał złotą szeroką obrozę na szyi i złotą siatkę na głowie. Barwna, przetykana złotem opona zwieszała się z grzbietu zwierzęcia aż do ziemi, zaczepiając złotą frędzlą o trawę. Złotem lśniący baldachim rozpięty na czterech włóczniach osłaniał głowę królewską przed słońcem i pyłem. Dwaj czarni niewolnicy wiodli wielbłąda, trzeci szedł przed nimi trzymając na czerwonej poduszce laskę królewską. Z tyłu na równie świetnie ustrojonych wielbłądach, lecz bez baldachimów jechali dostojnicy dworscy, po czym już dość bezładnie podążała gromada dworzan i dwórek. Urodziwe dziewczki, nagie, modą egipską okryte przezroczystym muślinem, niesiono w lektykach, skąd przekomarzały się z jadącymi obok mężczyznami i zaczepiały zamykających pochod łuczników. Muzycanci grali wiele tchu w piersi. Nieopisany zgiełk towarzyszył pochodowi.

Ab - Ram zatrzymał wielbłąda z wyrazem obrzydzenia na twarzy.

- Nie chcą oczy moje oglądać tego plugawca - rzekł i splunął.

Siedzący za nim Lot powtarzał błagalnie:

- Stryju, bądź miłościw duszy mojej! Jeśli mu okażesz wzgardę, weźmie pomstę na mnie i potomstwie moim... Bądź miłościw duszy mojej!...

- Zamilczę - obiecał Ab - Ram gniewnie. Zszedł z wielbłąda, a gdy pochód królewski był tuż, skłonił się poważnie, chociaż bez uniżoności. Wierzchowiec Bary syna Henosa uklęknął, król stoczył się zeń i podszedł łaskawie ku stojącemu. Był wesół, oblicze jego jaśniało jak oliwa, odurzająca woń pachnideł biła z szat. Ab - Ramowi stanęło żywo w oczach wszystko, co Lot powiadał o zwyczajach Sodomitów i z trudem zachował spokój.

- Opóźniałeś się, Ab - Ramie synu Tarego, błogosławiony mój zbawco - przemówił Bara chrapliwym z przepicia głosem. - Lękałem się, że ludzie, którym kazałem pilnować twego powrotu, przeoczyli cię i wyruszyłem sam...

- Sługa twój nie zasłużył na tyle względów - rzekł Ab - Ram.

- Spieszno mi było należytą wdzięczność okazać - ciągnął Bara - oto na dwóch osłach wiozę złoto dla ciebie przeznaczone...

- Wielka jest twoja hojność, wszakże nie potrzebuję niczego...

- Odmawiasz? - zdumiał się Bara. Spojrzał uważniej, dopiero teraz spostrzegając chłód Ab -

Rama i nachmurzył się.

- Racz posłać część darów dla mnie przeznaczonych Escholowi i Anerowi, sojusznikom moim. Mieszkają nie opodal stąd w pobliżu dąbrowy, zwanej dąbrową Mambrego... Dla siebie nie chcę niczego.

- Nie potrzebujesz złota? Wolisz oręż albo szaty? Mów śmieie!

- Ani złota, ani oręża, ani szat, niczego nie potrzebuję! Od przędzy motkowej do rzemyka obuwiowego nie przyjmę od ciebie nic, byś nie powiedział: Wzbogaciłem Ab - Rama!

- Stryju! - jęknął błagalnie Lot.

Ab - Ram pohamował się znowu. Bara syn Henosa był zdumiony. Po raz pierwszy w życiu spotkał się z podobną odmową. Nie wiedział, czy powinien wpaść w gniew, czy ma do cznienia z szalonym. Próbował żartować.

- Nie pragniesz chyba, bym ci podarował moją stolicę królewską?

Ab - Ram chciał dorzucić, iż woli być królem szakali niż taką stolicę posiadać, lecz pełen rozpacz i trwogi wzrok Lota utkwiony w niego przymusił go do spokoju.

- Zaprawdę, królu, nie pragnę niczego prócz jednej rzeczy: Okaż, proszę przychylność temu oto bratankowi mojemu, synowi Arana, którego rodzina w twoim grodzie pozostaje...

- Przyjaźń moja towarzyszyć mu będzie. Znajdzie u mnie cień w upał, a płaszcz w ulewę - zapewnił król i poweselał ujrzawszy, iż nie chciano go obrazić, a złoto może zabrać z powrotem do domu.

Siedli na wielbłądy i jechali zgodnie na południe. Król wychylał się spod swego baldachimu i mówił bez przerwy, nie zrażając się milczeniem Ab - Rama. Lot zapytywał, czy może dołączyć do orszaku, na co Bara przystał chętnie.

- Weźmiesz mojego wielbłąda - upoważnił Ab - Ram synowca. - Ja pojedę dalej na ośle.

- Na piersi i biodra bogini! - zawołał król nagle. - Sławny jesteś, Ab - Ramie synu Tarego! Oto sąsiad mój Melchizedech, król grodu Uru - Salem, wychodzi na twoje spotkanie... Sądziłem, że tego borsuka nic nie wyciągnie ze swej nory...

Ukazywał dłonią niewielką gromadę ludzi wyłaniających się ze skalnego mrocznego wąwozu, iście niby z jamy borsuczej.

- Nie znam króla tego grodu - obruszył się Ab - Ram. Gniew go wzdał. Pragnął co szybciej cwałować do domu i nie widzieć żadnych królów. Poczul zawczasu niechęć do nieznanego.

- I ja go nie znam, nikt go nie zna, ale wiadomo, że jest. To ten na przodzie, wysoki w białej opończy...

Stanęli na drodze, czekając. Bara syn Henosa patrzył szyderczo na ubóstwo nadchodzącego orszaku. Nie było w nim muzykantów ani barwnych szat, ni zbrojnych żołnierzy. W miarę jednak jak się zbliżali, Ab - Ram otwierał szeroko oczy i nie pragnął już odjeżdżać. Mąż wysokiego wzrostu, siwy, kroczący na przedzie, połyskujący złotą opaską królewską na głowie, odziany był w biały płaszcz bliźniaczo podobny do płaszcza Nergal Sara, okrywającego jego własne barki... Zeskoczył z wielbłąda nie czekając, aż zwierzę uklęknie, i pośpieszył ku idącym.

- W Imię Pana Najwyższego, witam cię, Ab - Ramie - rzekł poważnym, mocnym głosem nieznajomy.

Ab - Ram zmieszał się jak gołowąs.

- Bądź pozdrowiony, królu Melchizedechu - bąkał nie spuszczając oczu z płaszcza. - Zowią mnie Ab - Ram syn Tarego. Czemu sługa twój zawdzięcza, żeś wyszedł ku mnie?

- Czekałem na ciebie od dawna, Ab - Rahamie. Towarzyszyłem ci myślą, gdyś szedł ratować swą krew...

- Zowią mnie Ab - Ramem synem Tarego - poprawił ponownie Hebrajczyk przełknięty.

- Bywa, że imię rośnie wraz z człowiekiem... Pójdź ze mną złożyć ofiarę Panu Najwyższemu...

Ani spojrzawszy na oburzonego króla sodomskiego i zatroskanego bratanka, Ab - Ram posłusznie poszedł za Melchizedechem. Stąpał jak we śnie. Dwa białe płaszcze zlewały się w jedno. Ludzie Ab - Ramowi, niepewni, co począć, ruszyli za panem w oddaleniu. Lot pozostał z królem. Po chwili brzękliwy głos dzwonek i lutni dał znać, że Bara syn Henosa odjechał.

Obojętny na wszystko, co go otaczało, Ab - Ram zastanawiał się nad znaczeniem tajemniczego spotkania. Przerażała go zmiana imienia. Imię - to nieodłączna część człowieka. W imieniu tkwi siła utrzymująca przy życiu, nadająca cechy w jego brzmieniu zawarte. Imię Ab - Ram znaczyło: Ojciec Wysoki. Wyrażało, iż posiadacz imienia góruje nad swoim plemieniem jak ojciec nad dziećmi, jak palma z doliny Kades nad krzewami głogu. Nakazywało mu świecić przykładem roztropności, sprawiedliwego sądu, zobowiązywało do czujnej i troskliwej pieczy. To było wiele, lecz nie przekraczało pojęcia. Imię Ab - Raham, uparcie powtarzane przez nieznajomego króla odzianego w biały płaszcz, witającego imieniem Pana Najwyższego - znaczyło: Ojciec Mnóstwa, Ojciec Wielości, Ojciec wszystkich ludzi, wszystkich narodów - i Ab - Ram wobec obrazów nasuwanych przez to słowo czuł się upokorzony, niegodny i drżał.

Zgiełk muzyczny ścichł w oddali. Szli milcząc skalnym wąwozem podnoszącym się stromo ku górze, ku szczytowi, na którym stało miasto. Zbocza góry opadały gwałtownym urwiskiem czyniącym dostęp trudnym. Niska przełęcz łączyła wzgórze otoczone murem z drugim, równie obwarowanym. Oba górowały nad otaczającymi szczytami, stanowiąc niby węzeł, ku któremu zbiegały się liczne pasma gór, niby serce kamiennego kraju.

Melchizedech ukazał dłonią oba wzgórza.

- Zowią je Ofel i Moriah - rzekł.

Ab - Ram pochylił uprzejmię głowę. Nazwy te były mu obce. Wciąż trwał w poczuciu, że śni.

W miarę jak się posuwali ku górze, widok stawał się coraz rozleglejszy. Okoliczne góry pokryte były lasami, doliny świeciły szmaragdem traw. Tylko siostrzane szczyty, na których wznosiło się miasto Uru - Salem, raziły nagą jak czerep skałą. Dopiero za miastem, po drugiej stronie okrążającego je wąwozu, ciemniała bujna zieleń oliwnych gajów. Nie spostrzegając nigdzie rzeki ani jeziora Ab - Ram dziwił się w duchu, że zbudowano tu miasto. Grody zazwyczaj wznoszono nad wodą stanowiącą rozkosz życia. Tylko daleko, daleko, na horyzoncie bystre oko dostrzegało szarobłękitną taflę Słonego Jeziora.

Weszli w cień murów. Brama była surowa, wrzeciądze spiżowe, pozbawione ozdób. Znow dziwił się Ab - Ram, gdyż to miejsce najruchliwsze w każdym mieście było ciche i puste. Zaledwie kilku przekupniów siedziało nad koszami z chlebem i bobem. W porównaniu z grodami, jakie znał, bogatym Ur, przecudnym Damaszkiem, górskim Harran, egipskim Kesem, miasto, nad którym panował Melchizedech, zdawało się kamienną pustelnią, rzuconą na kamiennej pustyni. Wkroczyli w strome, wąskie ulice, obudowane kamiennymi domami. Wspinali się w górę i znowu schodzili w dół.

- Oto świątynia - przemówił Melchizedech ukazując potężne mury stojące na wierzchu góry, którą przedtem nazwał Moriah.

Mur był równie szary i prosty jak otaczające domy. W Ab - Ramie serce było niespokojne. Po raz pierwszy ujrzy świątynię Pana Najwyższego, Stworzyciela Nieba i Ziemi, którego imienia ani oblicza nie zna nikt z żyjących. Cóż w niej zastanie? Czy natłok bogów, ołtarzy, kapłanów jak w świątyniach chaldejskich, egipskich? Zapragnął, by tak nie było. Melchizedech sam otworzył wrota i Ab - Ram wszedłszy zdumiał się.

Świątynię stanowił szczyt góry otoczony murem. Niebo sklepiło się nad nią. Pośrodku wznosił się ołtarz ofiarny, prosty, zmurowany z wielkich gładkich głazów. Chyba olbrzymi mogli dźwignąć je i wtoczyć na górę ustawiając w równy sześcian. Wody potopu wygładziły je, naniósł w szczeliny miałki piasek i muszle ślimaka na znak, że tu panowały. Z boku z pomniejszych gładkich głazów ułożony pochylnia pozwalała bez trudu wejść na szczyt ołtarza, gdzie wznosił się stół kamienny.

Ab - Ram, a za nim jego ludzie stanęli półkolem. Król - kapłan wszedł na podmurowanie z gładkich głazów, by złożyć ofiarę. Ku rosnącemu zdziwieniu Hebrajczyków nie przypędzono ani jednej owcy, jałowicy czy byka. Przedmiotem ofiary były chleb i wino. Król - kapłan położył chleb na ołtarzu. Polał winem z cynowego dzbanka. Przyrzucił żywicą, przyłożył pochodnię, po czym wznosił dłonie w górę ku otwartemu niebu. Zdawał się wraz z dymem unosić w przestrzeń. Modlił się tak, aż gdy ogień strawił chleb doszczętnie, obrócił się ku Ab - Ramowi wzywając, aby przystąpił. Syn Tarego ukląkł, Melchizedech zaś położył dłonie na jego głowie:

- Błogosławionyś, Ab - Rahamie, przez Pana Najwyższego, który stworzył wszystek świat... Chwała Panu Najwyższemu, którego moc podała w ręce twoje nieprzyjaciół twoich...

Ludzie Ab - Rama nocowali poza miastem, na dnie wąwozu, skupieni przy osłach, rozumiejąc,

iż cieplej tam niż na wydmuchu kamiennego grodziszcza. Na wyżynie było bardzo zimno. Czuli się zawiedzeni i gwarząc przy ogniu stwierdzili jednogłośnie, iż należało jechać wprost do siebie, do obozu, miast przystawać w gościnie u króla skąpca i dziwaka. - Ani jednej owieczki nie ofiarował! - powtarzali ze zgorszeniem. - Ani jednego koźlęcia! Sodomczyk, choć szpetny z gęby, nie dałby mniej siedmiu byków, na pewno... A ta świątynia!... - Kiwali wzgardliwie głowami. Pamiętali wprawdzie, że praojcowie czcili swoje bogi pod gołym niebem, na miejscach wysokich, zwanych "bamah", lecz co innego pasterz wędrowny na puszczy, co innego król w grodzie... Eheu, gdzie błękitne ściany świątyni w Ur, pokryte malowanymi postaciami ludzi, zwierząt i bogów!

Obojętni na zimno, zawinięci w bliźniacze płaszcze, Ab - Ram i król Melchizedech siedzieli na dachu domu nieco większego od innych, zwanego pałacem królewskim. Budynek był jednopiętrowy, lecz stał na szczycie góry i Ab - Ram pomyślał, iż znalazł się nagle wysoko, tak wysoko, że bliżej mu było do gwiazd niż do ziemi. Z tej odległości najbliższe sercu sprawy, lube jak Ismael lub dzieci Nachora, wstrętne i oburzające jak nałogi Sodomitów, zdały się jednako błahe, dalekie, zaledwie godne uwagi. Ważna była jedynie rozmowa, jaką przed dziesięciu laty on, Ab - Ram, wiódł z Nergal Sarem i ta, którą rozpoczął obecnie. Wszystko, co zaszło między jedną a drugą, nie miało znaczenia. Przed paru godzinami sądził, że śni. Teraz zaś, przeciwnie, wydało mu się, że przespał ubiegłe lata i przecknął dopiero w tej chwili.

- Czekałem na ciebie dawno, Ab - Rahamie - mówił król.

- Nie nazywaj twego sługi tym dziwnym imieniem, którego lęka się dusza moja. Zwij mnie Ab - Ramem, jak mnie wołali ojcowie...

- Uczynię tak, skoro chcesz. Sam sięgniesz po tamto imię, gdy nadejdzie pora.

Ab - Ram pokręcił głową z niedowierzaniem. Wokoło panowała cisza tak głęboka, jak gdyby w uspionym grodzie duchy mieszkały, nie ludzie. Zapytał o jej przyczynę.

- Mieszkańcy tego miasta ubodzy są, w dzień ciężko pracują, przeto w nocy śpią - objaśnił król. - W bramy Uru - Salem nie zachodzą kupcy z towarami ani żołnierze. Nie ma muzyki, zabaw i nocnych śpiewów. Surowe jest to miejsce, lecz święte i ważne, gdyż tu pierwszy rodzic Adam został pogrzebany.

- Tu?! - zawołał Ab - Ram wstrząśnięty.

- Z wieku w wiek idzie podanie, że tu. Nie znalazł nikt grobu ani czcigodnych kości pierwszego człowieka. Potop zmył i splukał ziemię obnażając skałę, ale przetrwała wieść o tym. Dlatego skoro dopełnią się Czasy...

- Ach - szepnął Ab - Ram słuchając z napięciem - mistrz mój Nergal Sar, którego płaszcz noszę, mówił też o pełni Czasów...

- Skoro dopełnią się Czasy - ciągnął Melchizedech - a Dobry Pasterz przyjdzie po owce swoje, stopy Jego winny stanąć tutaj, nie gdzie indziej. Przez nieozdobre bramy tutejszego grodu powinien wkroczyć Król Chwały...

- Mówił Nergal Sar, że obłoki spuszcza z dżdżem Sprawiedliwego... Tenże to sam, którego zwiesz Dobrym Pasterzem?

- Tenże sam. On zgładzi winę Adamową.

- Kiedy nadejdzie?! Kiedyż?!

- Nie wiem, Ab - Ramie. Nikt nie zna pory, w której wypełnią się Czasy. Może jutro, może za tysiąc lat. Wierzę jednak, iż ujrzemy wszyscy Jego dzień. Schowana jest ta nadzieja w zanadrzu moim.

- I ja ujrzę?

- I ty ujrzysz Go, Ab - Ramie.

Hebrajczyk westchnął przygnieciony poczuciem własnej małości.

- Nergal Sar - szepnął - był napełniony rozumem i wiedzą niby miech pełen wystąłego wina. Twoje słowa, Melchizedechu, kwitną mądrością... Czemu Pan mnie, niegodnego prostaka, postawił przy biodrze waszym? Nie miałże pojętniejszych, mędrszych, godniejszych? Przecz ja?

Górujący nad nim wzrostem król ogarnął mówiącego z wysoka spojrzeniem kapłańskim.

- I tego nie wiem, Ab - Ramie. Sądy Pana odmienne są od sądów ludzkich, a drogi Pana dalekie od ludzkich dróg. Wiem jeno, patrząc w przyszłość, iż Pan Najwyższy, objawiony światu, nie będzie zwany Bogiem Abla sprawiedliwego ani Noego ocalonego z potopu, ani Bogiem Nergal Sara, ani Bogiem Melchizedecha, lecz będzie zwan Bogiem Ab - Rahama... Ciebie wspominać będą liczne ludy, błogosławiąc imię twoje...

- Szydzisz ze swego mizernego sługi, Melchizedechu, i nazywasz go znów obcym i strasznym imieniem.

- Patrzę w przód - rzekł krótko król.

- Cofnąłbyś, panie, swe słowa wiedząc, jak nędznym okazał się sługa twój. Pan Najwyższy zawołał mnie i postawił przed obliczem swoim, ja zaś nic dla chwały Jego nie uczyniłem. Nawet współplemioncom swoim nie potrafiłem ukazać Jego wielkości i mocy. Moi ludzie tęsknią wciąż za bogami z kamienia i gliny. Dusza ich pożąda wyobrażenia, którego mogliby dotknąć, które zdołaliby objąć i zmierzyć. Wrócił niedawno sługa, któremu posłał do btara mego, pozostawionego w północnym grodzie Harran. Gdy opowiadał, jak czcił terafim mojego plemienia, oddane przeze mnie bratu, wszyscy ludzie wzdychali jak rodzące i stękali od żalu. Chcą widzieć. Chcą znaków.

Melchizedech nie okazał zdziwienia.

- Ludzka to rzecz - przyznał. - Nie dziw się, Ab - Ramie. Nawet w czasach, gdy wszystko będzie objawione i jasne, gdy na dachach ogłaszać będą, co dziś w tajemnicy szepczemy w komorach, nawet wtedy znajdą się ludzie Pana Miłujący, co rzekną: Jeśli Go ręką nie dotknę, nie

uwierzę! Zali ty nie pragniesz tego również?

- Gdzieżbym śmiał - obruszył się zapytany. - Dość mi na tym, że czuję, iż On wypełnia świat, rządzi gwiazdami, niebem i otchłanią. Słyszałem głos Jego jak burzy i wichru łamiącego cedry. Straszny On. Mniemam, iż gdybym Go ujrzał, zmarłbym porażony... Dość mi na tym, iż raczy opiekować się mną, nędznym stworzeniem... Nie o to troskam się, jak Go zobaczyć, lecz jak Mu się odwdzięczyć. Sługa wie, czego żąda pan jego... Ja nie wiem, czego żąda ode mnie Pan mój... Tym się martwię, nie wiedząc, jak Go uczcić...

- Posłuszeństwem Jego woli. Tego chce Pan. Lepsze posłuszeństwo niż ofiary. Lepsza wonność serca poddanego niż tłustość baranów... Nie słuchać Pana to powtarzać winę Adamową... To wzdymać się pychą przeciw Stworzycielowi...

- To samo mi powiedział Nergal Sar. Chcę słuchać Pana. Przysięgałem na niebo i ziemię, na ogień i wodę, iż będę Go słuchać zawsze. Lecz powiedz mi, proszę, o Melchizedechu, jak mam poznać wolę Pana? Ukryta ona dla mnie. Gdy Pan przemawia, truchleje dusza moja, a Jego słowa brzmią dla mojego prostego umysłu jak tyleż zagadek... Skąd mam wiedzieć, czego Pan chce?

- Izali mądrość nie woła, a roztropność nie wydaje głosu swego? Zawierz duszy swojej. Ona zawsze powie, zali twoje pragnienie jest zgodne z wolą Pana...

- Prawdę rzekłeś - przyznał Ab - Ram. Ujrzał dni, w których chował biały płaszcz, rzekomo przez dbałość, i unikał myśli o Panu. Krył się przed Nim jak Adam w gąszczu raj.

- Czy tylko posłuszeństwem mogę się odwdzięczyć? - badał dalej.

- Największą rzecz poczytujesz za małą, Ab - Ramie. Nic trudniejszego dla człowieka, jak pozostawać zawsze posłusznym woli Pana.

Ab - Ram nie podzielił tego przekonania, lecz zmilczał nie śmiać zaprzeczać.

- Jakim powinienem być, aby się podobać Panu? - pytał jeszcze. - Niegdyś, gdy ojciec mój, Tare syn Nachora, oddał mi rządy plemienia, pragnąłem ze sprawiedliwości uczynić koronę moją, a sądem słusznym oblekać się jako szatą. Nie zdołałem tego uczynić. Chybiała sprawiedliwość moja, gdyż, bywało, kierowałem się więcej litością niż nią...

- Za to cię wyróżnił Pan.

- Niepojęta jest dla mnie, królu, mowa twoja. Zali może miłosierdzie stać obok sprawiedliwości? Gdyż Prawo, którego uczono mnie od dziecka, powiada, że oko za oko, ząb za ząb, głowa za głowę, a nie wolno zostawić krzywdy bez pomsty i to jest sprawiedliwość. Gdy odbiłem jeńców zabranych przez Babilończyka, odnalazłem dozorcę, który bił bratanka mego, i rozlałem jego krew... Dobrze i słusnie uczyniłem, gdyż człowiek ten znieważył mój ród w osobie syna mego brata. Prawo mówi: Jeśli mężobójca będzie znaleziony i zabity od tego, który się mści za swoją krew, bez winy pozostaje ten, który go zabił... Gdybym pofolgował dłoni mojej i ulitował się duszy onego człowieka, czyż nie uchybiłbym Prawu i własnej krwi?

- Przyjdzie czas, że i to pojmiesz, Ab - Ramie,. Pojmiesz, że miłosierny sobie miłosierdzie czyni. Że miłosierdzie ludzkie ku bratu swojemu, a miłosierdzie Boże na wszelkie ciało... Lecz póki, ty patrz sprawiedliwości według miary twojej. Miara dana każdemu od Boga i wedle niej On będzie nas sądził.

Umilkli obaj.

- Czym nasycę dusze ludzi moich? - podjął znów Ab - Ram. - Jaki znak dam im, aby uwierzyli?

- Nie snadno, nie snadno - stwierdził kiwając głową król - kapłan. - Obrazu rytego ani litego, ani lepionego dać nie możesz. Stałbyś się podobny człowiekowi, który wody morskiej zaczerpnął w naczynie, ukazał i rzekł: Oto morze, patrzcie, jak wielkie, szumiące i falujące, a końca jemu nie masz... I z góry największej kamyczek wziął, zamknął w dłoni swojej i wołał: Patrzcie, oto góra wielka, nieba sięgająca, w śniegu czub jej, a na zbocza nie wejdzie żaden śmiertelny... Wszelkie wyobrażenie jest obrazą i pomniejszeniem Pana, gdyż nie pojmie Stworzyciela stworzenie...

- Ich dusza jest głodna. Jeżeli nie nakarmię duszy ludu mojego, przejdą mimo woli mojej i przy bogach lepionych zostaną...

- Pozwól, acz pomyślę nad tym, co rzekłeś.

Król zawinął się ciasniej w płaszcz i popadł w zadumę. Ab - Ram nie śmiał jej przerywać. Siedząc bez ruchu wodził oczyma po świetlistym wzorze nieba i rozpamiętywał wszystko, co usłyszał.

- Mogliby otrzymać znak przynależności Panu w ciele swoim - przemówił Melchizedech, a Ab - Ram słuchał go z natężeniem. - Będąc w Egipcie słyszałeś, co jest obrzezanie?

- Słyszałem - potwierdził syn Tarego, zdumiony. - Egipcjanie zwali nas amu, co się wykłada: nieobrzezani albo nieczyści. Kupiec pewien mówił mi, że ten zwyczaj zachowują dla zdrowia i płodności.

- Przyczyny mogą być różne. Nie tylko płodność i zdrowie. Może to być świadectwo ochotnego krwi przelania dla Pana. Może być pieczęcią pieczętującą sługi i odróżniającą je od tych, co Boga nie znają... Znak niezatarty, dobrowolnie przyjęty, sprawia, że dusza ludzka ceni Pana. Gdyż dla człowieka tylko to ma wartość, co go kosztuje...

Widząc oszołomienie Ab - Rama, jego widoczny wtręt do kaleczenia własnego ciała uśmiechnął się i dodał:

- Obaczysz sam. Tymczasem postępuj jak dotąd. Toć jedno rzekę. We wszystkim, co czynisz, Pan z tobą jest.

Ab - Ram nie wytrzymał. Wybuchnął.

- Niegodny jestem! Niegodny! - zawołał. - Pan naigrawa się ze swego sługi, ty natrząsas się również, Melchizedechu. Prostak jestem, rojowisko myśli sprośnych i niegodziwych. Po co czynić

widowisko z prostaka? Pan mówił: Potomstwo twoje liczne jako gwiazdy na niebie i piasek na brzegu morskim, a ja w starości nadchodzącej mam jednego małego synka, i to z nałożnicy niewolnej... Powiedział Pan, iż ziemia ta wszystka wkoło będzie własnością moją i potomstwa mojego, a ja nie chcę więcej, niż trzeba dla nakarmienia trzody, i wystarczy mi jedna studnia, w której mogę poić bydło moje... Niczego więcej nie pragnę. Na co mi ta kraina? I jakoż mogłaby być moją, skoro należy do innych? Mieszkają w niej z wieku ludy osiadłe, mają grody i winnice... Żywie Pan, że nie życzę im nic złego. Niech pożywają owoce swej ziemi w pokoju! Więc jakoż ta kraina ma być moja? Jestem ciemny prostak, nieuczony. Czasem zda mi się, iż pojmuję, co mówił Nergal Sar i co ty mówisz do mnie, Melchizedechu, to znów mowa wasza wydaje mi się pełna tajemniczego znaczenia, którego uchwycić nie umiem... I rad bym uciec przed Panem moim i przed wami, mądrymi, których słowa są dla rozumnych, nie dla mnie... Wielkie jest głupstwo moje. Zali mnie trzymasz za mądrego, jak sam jesteś, Melchizedechu? Dlaczego stroicie drwiny ze mnie? Com uczynił?! Orzeł porwał w górę żółwia i zawołał: Lataj! A gdy wypuścił go ze szpon swoich, żółw upadł na ziemię i rozbił się o skały... Cóż zawinił żółw?! I jak miał się nie rozbić?!

- Słuszne jest wszystko, co prawisz, Ab - Ramie, w tym jednym się myląc, iż Pan nie wypuści cię ze szpon swoich...

Chciał rozżalony przeczyć i skarżyć się dalej, lecz wspomniawszy nagle na słowa, jakie brat Nachor przesłał mu przez Elizera: że niby orzeł rozpostarty nad orlętami swymi, zaprawiając je do lotu, tak Bóg Ab - Rama nad nim, Ab - Ramem - i przerażony zamilkł. A gwiazdy zbladły i niebo już różowiło się świtem.

CZEŚĆ TRZECIA

SYN OBIETNICY

ROZDZIAŁ PIERWSZY

POKAŻ GO!

Dziecko zapłakało w pobliżu i Ab - ram otworzył oczy. Sam nie wiedział, kiedy zasnął, zmożony upałem. Lato tegoroczne było wyjątkowo gorące i parne. W dzień żar wysuszał ziemię, wieczór nie przynosił świeżości. O zmierzchu niebo rozwidniało się aż do dna bezgłośnymi, dalekimi błyskawicami. Prześwietlały mrok szybko ginącym światłem; jak gdyby ktoś uchylał i zamykał wieko zorzy. Pod dębami, gdzie siadywał Ab - Ram, powietrze stało nieruchome i nagrzane niby w piecu.

- Dokąd idziecie? - zapytał pastuchów Asera i Mosy przemykających się za jego plecami do gaju. Aser niósł na ręku swego rocznego synka. Mimo upału dziecko było ubrane w długą lnianą koszulkę.

- Idziemy pokryć pień drzewa krwią owcy - odparł śpiesznie Aser. - Demon wszedł jej przez nozdrza do mózgu i każe kręcić się w kółko... Przykro nam, że przerwaliśmy ci sen, Ab - Ramie synu Tarego...

- Nie spałem wcale - odparł Ab - Ram nie lubiący przyznawać się, iż drzemota ogarnia go rada w południe, co uchodzi za dowód starości. Nie zapytał, gdzie jest krew, którą chcą napoić drzewo, i machnął ręką niechętnie, lecz przyzwalająco. Dawno zwątpił w możliwość oduczenia ludzi smarowania pni krwią chorego bydłęcia. Wierzyli, iż w ten sposób przenoszą urok na drzewo.

Zaniepokojony wiadomością o chorobie owcy, otrząsnął senność z powiek, poprawił chustę na głowie i wzięwszy w rękę kij poszedł obejść stada. Trzy należące doń namioty stały na wzgórzu tuż pod drzewami, reszta obozu rozkładała się poniżej półkolem. Środkiem doliny płynął potok zasilany bijącą ze wzgórza krynicą. Źródło było tak obfite, że nawet tegoroczne upały nie zdołały go wysuszyć.

Przechodząc przez obóz Ab - Ram posłyszał płacz niewieści w jednym z namiotów i zatrzymał się.

- Co ci to, Sefo? - zapytał.

Młoda jeszcze niewiasta rozszlochana i drżąca, przypadła do nóg naczelnika, lecz nic nie odparła.

- Co ci jest? - powtórzył Ab - Ram łagodnie. - Czy twoje dzieci są chore?

- Nie! Nie! - zaprzeczyła gwałtownie. - Moje dzieci są zdrowe!

Wybuchnęła jeszcze rzewliwszym płaczem. Ab - Ram odszedł widząc, że nie otrzyma odpowiedzi. Pewnie mąż ją zbił lub pokłóciła się z sąsiadką.

Ruszył pomiędzy stada pasące się w dolinie. Były tak liczne i piękne, że Ab - Ram przystanął gładząc z zadowoleniem białą jak śnieg brodę. Równie białe były włosy Ab - Rama pod chustą, gdyż siedem lat minęło od czasu opisanych poprzednio wydarzeń. Obóz hebrajski nie znajdował się już

tam, gdzie dawniej, koło studni drażonej niegdyś przez Nachora syna Saruga, lecz w pobliżu Hebronu, przy dąbrowie zwanej dąbrową Mambre. Na dawnym miejscu Jeser Hewejczyk czynił uparcie wstręty ludziom Ab - Ramowym narzekając, że przyszli nieproszeni spasać trawę potrzebną dla jego trzody. Podobne gadki zniecierpliwily Ab - Rama. Mógł wprawdzie udać się do abimeleka, z którym niegdyś wymienili sandały, i otrzymać od niego prawo rozlania krwi Hewejczyka, on jednak wolał postąpić inaczej. Wezwawszy Jesera rzekł:

- Rzućmy losy, jak zwykle czynili ojcowie nasi. Losy rozstrzygną, kto ma pozostać przy studni, a kto odejść, aby nie było między nami zwady... - Jeser przystał chętnie, Ab - Ram zaś dodał: - Żywie Bóg mój, iż choćby losy padły mnie na przekór, studnia pozostaje moja, mimo że będę pasał swą trzodę gdzie indziej. Albowiem nic nie zmieni, że dziad mój drażył ją w kamieniu...

Jeser odparł: - Niech będzie, jak mówisz, gdyż nie stoję o nazwę tej studni, jeno o to, że twoje stada robią wielki tłok przy wodzie, a ryczą tak głośno, że z gór schodzą lamparty, których tu nigdy dawniej nie bywało.

Zgarnawszy w połę płaszcz gładko obtoczone kamyki, zwane "pur", Ab - Ram patrzył w niebo i modlił się w duchu: Pokieruj, Panie, dłonią sługi Twego, abym tam poszedł, gdzie Ty chcesz mnie widzieć... - Rzucili losy. Na Ab - Rama padło, że musi iść precz. Jeser, który przedtem widział jego modlitwę, pomyślał sobie, iż niewiele wart jest bóg Ab - Ramowy, skoro proszącego sługi nie wysłuchał. Lada demon za dobrą ofiarę potrafi kamyki ułożyć w dłoni, jak trzeba.

Po tym zdarzeniu Ab - Ram pociągnął na północ, ku dąbrowie Mambre, braci Eschola i Anera. Tutaj pozostał na stałe. Trawa rosła bujnie, źródło było obfite i powietrze zdrowe, ziemia urodzajna. Pomału Hebrajczycy zagospodarowali się jak niegdyś pod miastem Ur, siali pszenicę i sadzili wino. Czarne namioty ze skóry koziej były znów pełne dostatku. Chwalili sobie to miejsce dziękując bogom, że naczelnik postarzały stracił ochotę do dalszych wędrówek.

Ismael syn Ab - Rama miał teraz dziesiąty rok. Podobny z lica do ojca, był piękny, silny, chybki. Nie lękał się niczego, szczuł byki psami, strzelał celnie z łuku do mniejszej zwierzyny, wdrapywał się zręcznie na najwyższe palmy i naśladował przednio głosy zwierząt. Całymi dniami włóczył się poza obozem, a psy, którym rzucał upolowane ptactwo, biegły za nim. Gdy czegoś zapragnął, wielkie jego czarne oczy stawały się nieruchome i twarde, jak oczy drapieżnego ptaka. Nie zaznał snu ani spokoju, dopóki pożądaney rzeczy nie osiągnął. Przyczyniał wiele zmatwienia Ab - Ramowi nie umiającemu wychować chłopca. - To mój syn jedyny - powtarzał sobie z miłością, gdy Ismaela nie było w pobliżu. Toczył wtedy w myśli z nieobecnym przyjazne, mądre rozmowy, dzielił się z nim duszą swoją. Lecz gdy syn nadszedł, AB - Ram ostygł i pragnąc, by chłopiec jak najprędzej odszedł, zgadzał się na wszystko, czego tamten żądał. Każdym ruchem Ismael drażnił Ab - Rama, jak gdyby jego obecność była nieporozumieniem, jak gdyby to nie miał być ten... Ojciec nie odnajdywał nic z siebie w niesfornym wyrostku i czuł się temu winien. Zaprawdę, nie o przekazaniu swej duszy synowi myślał, gdy zbliżył się do Hagar, odurzony wonnościami i pożądaniem! Pobłażał też Ismaelowi więcej, niż należało, puszczając mimo uszu półgłosne uwagi Elizera, że kto oszczędza różgi, ma w nienawiści syna swego.

Hagar po dawnemu uwielbiała jedynaka ślepo i nierozsądnie, on zaś traktował ją jak niewolnicę. Ukrywała przed Ab - Ramem wszelkie przewinienia chłopca, a w razie ich ujawnienia

wypraszała go od kary.

Lot syn Arana nie przybył do obozu, jak obiecywał stryjowi. Wprędce po powrocie Ab - Rama Hibal odprowadził pożyczonego Lotowi wielbłąda i powiadomił, że pan jego zostaje w Sodomie, on zaś, Hibal, osiedli się w którymś z grodów zajordańskich. Mówiąc to Hibal płakał i wypominał Ab - Ramowi, że nie zatrzymał syna Arana siłą, do czego miał prawo, gdyż jeniec odbity stawał się własnością oswobodziciela.

- Jakże mógłbym siłować wolnego człowieka? - pytał Ab - Ram.

- Zali szalonego nie wiążą, by w przepaść nie zleciał? - przypominał Hibal. Na co AB - Ram z żalem stwierdził, że zaprzysiągł, iż jeśli syn Arana nie wróci do obozu przed pierwszym nowiem, on, stryj, poczyta go za równego Sodomitom w ich szkaradnej obrzydłości. Słowo raz wyrzeczone pozostaje w mocy. Słowa powiedzianego nikt nie cofnie. Niech syn Arana czyni, co mu się podoba. Każdy ściele własne łoże i takie ma sny, jakich pragnie.

W rok po pamiętnej wyprawie Ab - Ramowej przeciw Babilończykowi Elizer pojechał po wtóre do Harran wioząc sute dary od całego szczepu dla synów Nachorowych. Elizerowi Ab - Ram dał ponownie dużo złota i rozkazał zatrzymać się w Damaszku. Stary zabawił tam dwa miesiące, odnalazł krewniaków i wrócił podwójnie szczęśliwy. I z tego, że był w ojcowiznie, i z tego, że wrócił. Przywiózł z podróży cenne podarki, sławne w całym świecie wyroby damasceńskie. Obdarzył Sarai, Noę, Keturę, Ismaela, wszystkich oprócz Ab - Rama, któremu dać podarku nie śmiał, i Hagar, której nie lubił. Egipcjanka była nań wściekła i próbowała oczerniać starego sługę przed Ab - Ramem, ten jednak zamknął jej usta od razu.

- Kłamstwo łągnie się w twoim sercu - rzekł surowo. - Kto się na kłamstwie wspiera, pasie wiatry. Nie znajdziesz już u mnie wiary dla słów swoich...

Hagar umilkła i przeklinała samą siebie, nie przeto jednak, że skłamała, lecz że się w gniewie z kłamstwem wydała.

Lata, które siwizną pokryły głowę Ab - Rama, zostawiły niemniej wyraziste ślady na licu Sarai. Patrząc na jej pomarszczoną twarz trudno przychodziło uwierzyć, iż była niegdyś tak piękna. Chód jej stawał się ciągnący, powolny, jak zwykle u starych kobiet. Różnica wieku pomiędzy nią a staruszką Noą zacierała się nieznacznie. Gdy siedziały obok siebie przędąc w namiocie, wyglądały niemal na rówieśne. Usposobienie Sarai też uległo zmianie. W miarę jak odchodziła od niej kobiecość, zablizniała się bolesna, dojmująca przez całe życie rana bezpłodności. Cóż by jej przyszło w tej chwili, choćby swego czasu rodziła jak inne niewiasty? Dzieci odchowane mogły odejść daleko. Synowie mieszkaliby osobno, córki wydane za mężów z innych szczepów nie widywałyby matki. Ona, Sarai, byłaby sama, jak dziś. Obcy, przychodzący czasem do obozu, nie patrzyli już na nią ze zdziwieniem, szukając na próżno dzieci przy jej boku. Ot, postarzała jak inne. Życie przeszło, gdyż życie mija zawsze z równą szybkością, czy dobre jest, czy złe.

Od dawna też Sarai straciła nadzieję pozyskania życzliwości Ismaela. Chłopiec nie znosił jej od małego. Z początku żona Ab - Rama cierpiała nad tym szczerze, z biegiem lat zobojętniała. Z przyjemnością widziała, że syn z nasienia jej męża jest urodziwy, sprawniejszy od wszystkich

rówieśników w obozie, nie żywiła jednak dla chłopca tkliwszego uczucia. Stanowił żywą pamiątkę omyłki, której sobie nigdy nie mogła darować.

Nie pozbyła się również starej urazy do Hagar. Wzajemna nienawiść obu kobiet trwała, przysypana pyłem lat, tlejąca niby żar okryty popiołem, gotowa ożyć i wybuchnąć przy lada okazji.

Tak płynęły dni i lata jednostajne, podobne do siebie jak wschody i zachody słońca. Ab - Ram wrócił do ulubionego zwyczaju siedzenia późnym wieczorem przed namiotem patrząc w gwiazdy. Niegdyś marzył, iż syn będzie siedział obok niego, pytał, on zaś, Ab - Ram, odpowiadał, ale Ismael ciekawił się tylko głosami ptactwa i szakali, by na nie polować. Ab - Ram siadywał przeto sam. Wieczory były tu inne niż nad Eufratem. Brakło wielkiej rzeki, do której pastuchy wypędzali stada, lasu trzciny, łomotu i wrzasku błotnego ptactwa wzbijającego się w górę. Tu powietrze było rzeźwe, stada schodziły w dolinę otoczoną górami pić wodę z bystrego strumienia. Wysoko, wysoko ledwo dostrzegalne krążyły orły i sępy. Dziki zuchwałe i szkodne wychodziły z dąbrowy na żer. Trzeba było strzec przed nimi pszenicy, gdyż potrafiły w jedną noc spaćkać cały zbiór. Czasem w niedalekich wzgórzach rozlegał się ryk lwa. Wtedy pasterze trzymający straż dorzucali chrustu do ognisk płonących całą noc. Gdy ciemność zapadła, ognie te zdały się jak tyleż czuwających źrenic. Ab - Ram owijał się szczelnie płaszczem przed chłodem, okrywał stopy skórą owczą i wodził oczyma po niebie, jak gdyby w oczekiwaniu. Przez ubiegłych siedem lat Pan nie przemówił do niego ani razu, Ab - Ram jednak nie trwożył się już tym milczeniem. Pojmował, że nie jest rzeczą sługi nakazywać Panu, co ma czynić, lub obawiać się, że Pan omieszka dokończyć to, co rozpoczął. Rzeczą sługi jest mieć przepasane biodra i czekać na każde skinienie.

Owce pasły się spokojnie, żadna nie przejawiała choroby. Czyżby już ozdrowiała lub pastuchy się mylili? Aczkolwiek sprawa była błaha, Ab - Ram wrócił pod dęby markotny. Nie po raz pierwszy dotknęło go przypuszczenie, że w plemienu dzieją się obce mu sprawy, starannie przed nim skrywane. Od jak dawna się to zaczęło - nie wiedział. Przywykły do posłuchu i zaufania swych ludzi, nierychło spostrzegł, iż głośno prowadzone rozmowy milkną za jego nadejściem, zwykłe zapytanie zadane przezeń temu albo owemu powoduje niejasne odpowiedzi, zmieszane spojrzenia; tłumne zebrania zaś w namiocie Asera męża Sefy rozbiegają się śpiesznie na widok naczelnika. Niedopowiedziane słowa drgały w powietrzu, ale o co chodziło - nie wiedział.

W parę dni po ostatnim zejściu z owcą rzekomo chorą na kręćka zauważył, iż w dąbrowie ścięto tuż przy ziemi młodego dębczaka i miejsce, gdzie rósł, udeptano. Ab - Ram nie lubił, gdy ścinano drzewa bez jego wiedzy, i pytał kolejno kilku ludzi, na co był potrzebny dębczak. Każdy odpowiedział co innego. Według Jahiela drzewo zostało użyte na pal wbity w jamie wykopanej na przechodzie szkodnych dzików. Aser wziął je jakoby do podparcia namiotu. Mosa - do wzmocnienia zagrody z cierni ustawionej u wylotu doliny dla zabezpieczenia przed lwami. Niewątpliwie każdy łął. Ab - Ram zapytał Elizera, co o tym sądzi.

Stary sługa zdawał się czekać na to pytanie.

- Źle się dzieje wśród twoich ludzi, panie mój. Każdy ma dwa lica, każdy ma dwie mowy. Przysłowie mówi: podwójna miara, podwójna waga, jednakowo obrzydłe...

- Mów, co wiesz - przerwał Ab - Ram.

- Nic nie wiem, panie mój! Czuję dym, nie widzę ognia. Gdzie trzciny, tam woda, powiadają. Słyszę szelest trzciny, nie spostrzegam wody. Ludzie kryją się przede mną wiedząc, że dusza twego sługi nie ma tajemnic przed duszą twoją...

- Powiedz czego się domyślasz?

- Na domysłach muru nie zbudujesz. Co ci po moich domysłach, panie? Sługa twój sądzi, że zarzewie ukryte jest w namiocie Asera...

- Spostrzegłem, owszem, że pasterze gromadzą się tam często...

- Nie widuję też już syna Asera, małego Zabbai... Oto wszystko, co sługa twój zauważył...

Bez słowa Ab - Ram podniósł się i zaszedł do namiotu Asera. Choć siwy, zachował wyniosłą postawę i sprawne ruchy, należąc do rodu długowiecznych. Gdy stanął w wejściu, wydał się Sefie olbrzymi i groźny, tak że upadła na twarz.

- Gdzie jest Zabbai, twój i Asera syn, niewiasto?

Rozplakała się i spojrzała lękliwie poza siebie w kąt namiotu zakryty lnianą zasłoną.

- Nie ma go, panie - wyjąkała. - Poszedł...

- Dokąd poszedł? Zawołaj twój syna...

Szlochała nie podnosząc głowy.

- Nie ma go... Nie ma go...

Spojrzała znowu za siebie. Idąc w kierunku jej wzroku Ab - Ram postąpił dwa kroki, zdarł zasłonę. Odślonił mały ołtarzyk ułożony z kamieni, na nim drewniane, nieudolnie wyrżnięte terafim. Drzewo, z którego je zrobiono, było świeże i posiadało barwę rudą, jak gdyby nasączono je krwią. Zrozumiał.

Nie mówiąc nic zabrał obie figurki i wyszedł. Niewiasta Asera klęczała nadal płacząc i powtarzając: Nie ma go... Nie ma go...

- Zwołaj wszystkich mężów plemienia - rzekł AB - Ram do Elizera. - Niech stawią się przed moim namiotem zaraz po pojeniu bydła. Poprzysięgam ich na Imię Pana Najwyższego, aby żadnego nie brakło.

To zarządziwszy zawarł się w namiocie. Wbrew pozorom spokoju targał nim straszliwy gniew. Więc to tak? Więc to tak?! Ośmielono się składać drzewu ofiarę z dziecka i rzeźbić terafim! Tu, w jego plemieniu, gdzie panuje Bóg Jedyny i Prawdziwy?! Postanowił ukarać winowajców surowo, najsurowiej. To znów ze zdumieniem pytał sam siebie, zali jeszcze rządzi plemieniem, skoro nic o tym nie wiedział? Władza nad ludźmi wysunęła mu się z rąk nie wiadomo kiedy. Kto był temu winien?

Gdy wieczór nadszedł, bydło napojono, zapłonęły ognie, a niebo jak zwykle jęły rozjaśniać bezgłośnie śmiechy dalekich błyskawic, wszyscy mężowie plemienia zebrali się według rozkazu. Wiedzieli już, co zaszło, i głęboki frasunek malował się na ich twarzach. Naczelnik siedział przed swoim namiotem. Oblicze miał chmurne, a drewniane terafim leżały pod jego nogami. Trzymał na nich stopy.

Gdy wszyscy zasiedli wkoło, owinięci w płaszcze, Ab - Ram podniósł się milcząc i wrzucił oba posążki w płonące przed nim ognisko. Mokra dębina jęła syczeć i skwierczeć.

Zebrani drgnęli niespokojnie, niektórzy wstali. Zdawało się, iż skoczą i wyrwą bożki z płomieni. Nie odważyli się jednak. Patrzyli w ogień z rozpaczą. Inni sapali głośno i wzdychali. Twarze tych prostych ludzi, zazwyczaj roślinnie spokojne lub zwierzęco chytre, wyrażały teraz żal głęboki.

Wskazując palcem na dymiące posążki Ab - Ram zapytał:

- Kto je uczynił bez mojej wiedzy i zezwolenia?

- Ja uczyniłem - rzekł śmiało Aser powstając. - Sur powiadał nam, że podobne posągi wykonywał Tare syn Nachora. Nie sądziłem, bym postępował źle, czyniąc to, co ojciec twój, Ab - Ramie, robił całe życie.

Ab - Ram omal nie krzyknął: Tare syn Nachora nie wierzył w bogi, które rzeźbił! Bał się kapłanów, więc milczał i lepił je nadal. Nie byłby poświęcił dla nich swojego dziecka... - wydawało mu się jednak niewłaściwym ujawniać słabość rodzica. Zarazem zadziwiła go postawa Asera. Nie czuł się winnym bynajmniej. Powiódłszy oczami po zgromadzeniu zapytał pasterza:

- Sam od siebie mówisz, czyli w imieniu wszystkich?

Aser nie zdążył odpowiedzieć, gdy zewsząd wybuchły okrzyki:

- Sprawiedliwie mówi Aser! Za wszystkich mówi!

Ab - Ram sądził zawsze, że jego współplemieńcy to potulne dzieci, którymi może kierować, jak chce. Wydało mu się teraz, że ma przed sobą nowych, nie znanych mu ludzi.

- Tare syn Nachora, najczcigodniejszy ojciec mój - wyjaśnił - nie znał Prawdziwego Boga, Boga Najwyższego. Dlatego lepił postacie Marduka albo bogini Damkiny. Ja Pana Najwyższego znam i wy Go znacie przeze mnie...

Przerwali mu krzycząc prawie:

- Nie znamy go! Nie znamy jego imienia! To ty go znasz, my go nie znamy!

- Nie wiemy nic o nim! Powiadałeś, że nie ma ciała ani oblicza! Skąd wiesz, że jest?!

- Uciszcie się! Niech jeden przemawia!

Zamilkli trącając się wzajemnie łokciami i wypychając Asera, ten zaś z kolei wysuwał Jahiela, starego pasterza, którego Ab - Ram darzył zaufaniem. Jahiel wzbraniał się zrazu, na koniec przemówił powoli, rozważnie:

- Zrobiliśmy terafim. Cóż jest złego wyrzezać terafim? Skrzywdziłeś nas, Ab - Ramie, rzucając je w ogień. Krew dziecka była na nich. Każde plemię posiada terafim, tylko ty, Ab - Ramie, poniechałeś swoje w Harranie, gdzie darzą błogosławieństwem Nachora syna Tarego. Nie wiedzieliśmy nic o tym i żyliśmy spokojnie ufając, że terafim znajdują się w twym namiocie, jak naczelnikowi przystało. Aliści przed laty Elizer Damascenczyk wróciwszy z Harran powiadał, że nasze terafim są w dziedzińcu domu brata twego. Od tej pory nie mieliśmy nocy spokojnej ni dnia. Milczeliśmy przed tobą wiedząc, że twój Bóg jest zazdrosny i nie chce innych bogów znieść przy sobie. Aser ofiarował syna, by poświęcić drzewo, z którego wystrugał terafim. Cóż złego uczynił? Ofiara jest przyjemna bogom. Nie możemy żyć dłużej bez bogów, Ab - Ramie. W mieście Ur był Nannar - Sin, którego chwalili ojcowie nasi, bóg silny i sprzyjający. Potem przyszedł Marduk babiloński i także panował nad ludem. Miał świątynie, ołtarze, kapłanów i sługi. Widzieliśmy potem w Harranie starego boga Nannar - Sina królującego po dawnemu i ucieszyliśmy się, bo to był bóg ojców... Widzieliśmy bóstwa w Kanaanie, bardzo okrutne i mściwe, i bóstwa w Egipcie z głowami różnych zwierząt, między którymi były i nieczyste... Wszędzie ludzie mają bogów i kapłanów, i ołtarze, tylko my nie mamy nikogo... Zostaliśmy bez opieki. Boimy się, że demony przyjdą i porwą nas lub nasze dzieci, a żadnej obrony przeciw nim nie ma... Wiemy, Ab - Ramie, że masz swojego boga. Myślimy, iż on zabronił ci wyjawiać swoje imię... Byłżeby czarownicą, której nazwać nie można, gdyż od nazwania moc traci? Twój bóg i tak nie jest bardzo mocny, gdyż powiadał nam Jeser Hewejczyk, że prosiłeś swego boga o pomyślny rzut losów, a on tego nie zdołał uczynić... Widzieliśmy w grodzie Uru - Salem ołtarz twojego boga... Wstyd nam było wspominać pełne złota świątynie chaldejskie lub babilońskie... Nie chcemy dłużej żyć bez bogów, Ab - Ramie. Dlaczego spaliłeś nasze terafim? Co ci one szkodziły? Nigdy nas dawniej nie pytano, w jakiego boga wierzymy. W Marduka czy w Nannar - Sina... Pozwól nam teraz wierzyć po swojemu. Aser ofiarował swojego synka, by nowym terafim dać siłę i pozyskać przyjaźń bogów... Dlaczego spaliłeś terafim?...

Umilkł obrzucając naczelnika spojrzeniem pełnym żalu.

- Skończyłeś? - zapytał Ab - Ram.

Jahiel skinął twierdząco głową i usiadł patrząc frasobliwie w ogień, gdzie trzeszcząc i dymiąc płonęły figurki drewniane.

- Słuchajcie zatem moich słów, Hebrajczykowie! Słuchajcie pilnie moich słów! Powiedział Jahiel, że Aser ofiarował swojego synka, by krew dziecka dała uczynionym przez was bożkom moc i pozyskała ich przyjaźń. Czemuż zatem, gdym je w ogień miotał i nogą deptał, bogowie nie przemówili? Czemu się wasze terafim nie oparły płomieniowi żrącemu? Gdzie ich siła? Aser upatrzył w lesie klocek, krwią dziecka podlał, toporem ściał, kształt ludzki wyrzeźbił i wam powiedział: Oto bóg! Klękajcie przed nim wołając: Zbaw nas! Któż uczynił, że ma moc szkodzić lub pomagać? Zali dzieciątko zabite, które o własnej mocy jeszcze dobrze nie chodziło? Cóż uczyniliście z reszty drzewa? Częścią poszło na kół w zagrodzie albo zostało zrąbane na drwa, albo zrobiliście stołek? Bóg i stołek z jednego pnia? Któż wam rzekł i na korze zaznaczył: odtąd - dotąd to polano

święte jest, a tu jest drzewo zwyczajne? Możecie się omylili? Może ten stołek jest bogiem albo ten kół w płocie? Nuże! Idźcie klękać przed nim!

- Nie szydź z nas, Ab - Ramie - rzekł posepnie Jahiel - gdyż jesteście ludzie prości i mądrości u nas nie znajdziesz. Postąpiliśmy jak ojcowie nasi. Odkądże obyczaj ojców stał się zły i głupi?

- Nie będę z was szydził więcej. Widzieliście swoimi oczami, że terafim nie umiały się obronić, zaprawdę zaś, kto by zbluźnił Panu Najwyższemu, śmiercią umrze, gdyż Jego słuchają ziemia i powietrze, ogień i woda. Myślicie, że straciłby moc od nazwania po imieniu, jak czarownica podobna ropusze kryjącej się wśród kamieni, a ja wam powiadam, że Imię Pana przez człowieka powiedziane rozwaliloby ziemię wszystką! Bo tym Imieniem wstają i padają światy. Zapalają się i gasną gwiazdy. Nie potrzebuje świątyń ni ozdoby, gdyż Jego skrzydłami zorze, a złotem ołtarzy słońce. Nie widzicie Go, a wszakże wszystko, cokolwiek się dzieje na świecie, świadczy, że On jest. Nie chcecie otworzyć oczu, zawierzcie mnie, waszemu naczelnikowi. Zalim wam kiedy skłamał? Zalim was oszukał? Śmierć każdej chwili poniosę ochotnie na świadectwo, że Bóg jest. Skarżycie się, że nie macie opieki? Niebawem dwadzieścia lat minie, jak w piecy Prawdziwego Boga żywię ja i cały szczerp. Kogóż spotkała krzywda? Komu dziecko porwały demony? Żadne plemię nie było równie chronione i oszczędzane jak wy! Zali się wam źle darzy? Zaliście byli głodni? Zali nawiedziła obóz szarańcza, zaraza albo nieprzyjaciel? Pochowaliśmy starych jak Igal, co syci lat dobiegli dni swoich, reszta żyje w pomyślności. Pan Najwyższy i Jedyńy rozpiął nad wami swoją pieczę niby namiot, i tego wam mało! Głupio gadał Jaser Hewejczyk, bom ja się nie modlił o dobry rzut losów, jeno o to, by mnie Pan tam powiódł, gdzie chce. Inaczej nie umiałbym się do Pana modlić. Bo On wie, co jutro niesie, a ja nie wiem. On zna, co pożyteczne i człowiekowi potrzebne, a ja mógłbym dopraszać się owocu, w którym siedzi żmija... Zaszczyt mój, radość moja, zem Panu poddany, jak rola poddana pługowi, niewiasta mężowi, dziecko ojcu... On Pan, jam sługa. Jego wola, moja wola. Co chcecie więcej postyszeć ode mnie?

- Mnie zadość - rzekł siedzący na uboczu Elizer. - Ufam panu mojemu. Jego Bóg moim Bogiem.

- Więcej pono znalazłem wiary u sługi zrodzonego w obcej ziemi niżli wśród swoich. Co się wam widzi? Mówcie!

Zebrani milczeli pospuszczawszy nisko głowy. Opór ich trwał. Na koniec Jahiel przemówił żałośliwie:

- Piękna i uczona jest twoja mowa, Ab - Ramie synu Tarego, lecz my nie widzieliśmy nigdy twojego boga... My niezwyčajni wierzyć nie widząc... Oddał od nas gniew swój i powiedz swojemu bogu, aby dał znak, żebyśmy uwierzyli... Będziemy chwalić i uwielbiać twego boga, ale niech da znak...

ROZDZIAŁ DRUGI

PRZYMIERZE

Tej nocy Ab - Ram nie zasnął. Czuł się zmęczony do dna, pełen niepokoju i żalu. Żalu do siebie czy do swego plemienia? Sam nie wiedział. Na przemian oburzał się na swych współplemieńców, że żądają od Boga znaku, jak gdyby cały świat nakryty kopułą niebios nie był dostatecznym znakiem to znów uprzytamniał sobie, iż był niegdyś podobny do nich i że nie własną zasługą doszedł do poznania Pana. Chcą znaku. Czy Pan nie pogniewa się o taką prośbę? Jaki znak ich przekona ostatecznie? Po raz setny Ab - Ram pożałował, że jego, nieuczonego, Pan powołał do swej służby zamiast Nergal Sara lub Melchizedecha. Obaj wiedzieliby, co należy uczynić. Lecz Nergal Sar odszedł zaledwie poznany, Melchizedech również umarł przed paru laty, o czym Ab - Ram dowiedział się którejs wiosny od jadących do Hebronu kupców. Jeden i drugi, przewodnicy, mistrze, zniknęli jak gdyby usuwani przez dłoń Pańską, by on, Ab - Ram, szukał swej drogi sam. - Nie podołam, nie podołam - skarżył się sam sobie. Niby głodny wyszukujący okruchy chleba w komorze, przypomniał sobie wszystkie szczegóły rozmowy z Melchizedechem o ludziach pragnących znaku widomego. Król - kapłan nie oburzał się wówczas tak jak on, przypuszczał, iż to żądanie jest ludziom właściwe. Wymienił obrzezanie egipskie jako znak - pieczęć mogącą zadowolić ludzkie pragnienie widomej przynależności do Boga. Ab - Ram odrzucił wówczas tę myśl z odrazą. Obecnie gniew i żal do swych współplemieńców spowodowały, iż spojrzał na tę sprawę inaczej. Chcą znaku, niechaj go mają! Znak bolesny, ciężki, niestarty. Niech cierpią! Skurczył się wewnątrz na myśl, że od siebie musiałby zacząć. Nie uczyni tego za nic. Odrzucił wspomnienie, szukał dalej. Lecz rozmowa z królem mędrcem prowadzona na dachu w kamiennym grodzie nawracała w pamięci uparcie. - Czyń według miary swojej - mówił Melchizedech. Ludziom trzeba dać znak na ich miarę. Nie odziewa nikt dziecka w szaty dorosłego męża, bo się w nich splącze i zginie. Zali ten znak nie odpowiadałby dziecinny umysłom jego ludzi? I już bez gniewu Ab - Ram jął myśleć na nowo. Mówił Melchizedech, iż ta pieczęć świadczyć może, że pieczętowany gotów jest przelać krew dla Pana swego. Ofiarować samego siebie. Nie jako ofiarowują bogom dzieci, lecz prawdziwie ciało własne, krew swoją, ból swój, nie czyj inny... Że można dar ten złożyć Panu i przyjęty zostanie jako ofiara przyjemna... Teraz Ab - Ram zbył urazy żywionej od wczoraj do własnego plemienia i zapomniał wstrętu, jakim go dotychczas pomysł obrzezania przejmował. Przeciwnie, pomyślał, że czym większy wstręt i lęk, tym cenniejszy dar. Czyż wielokrotnie nie żalił się przed duszą sswoją, że ubłogosławiony przez Pana, niczym Mu się nie odwdzięcza?

Tak go te myśli ogarnęły, że niecierpliwie czekał świtu. Odpowiedź, na którą czekali ludzie, własne wahania zesłyły w cień wobec odkrycia, iż może Panu okazać swoją wdzięczność i oddanie. W naturze jego leżało, by każde postanowienie urzeczywistniać od razu, toteż zamknawszy się szczelnie w namiocie przystąpił do dzieła. Kaleczył się boleśnie i nieudolnie, z trudem powstrzymywał jęki, lecz na koniec dokonał, co zamierzał. Osłabły, zbolały legł na posłaniu. Mimo nieznośnego bólu czuł zadowolenie. Przeleżał nieruchomo cały dzień, opędzając się, jak mógł, przed troskliwością kobiet przerażonych jego nagłym zaśląbnięciem. Odmawiał jedzenia, choć znosiły mu co najlepsze przysmaki, pił chciwie wodę i żądał, by go pozostawiły w spokoju. Wieczorem owładnęła nim gorączka. Majaczył w półśnie. Zdawało mu się, iż namiot to korab unoszący się na wodzie i opadający z falami w dół. Płynąc w korabie Ab - Ram przypominał sobie, iż patrzył niegdyś z brzegu na to samo morze i że nie jest ono morzem, lecz skłębioną falą zropanych ludzi.

Wznosiły się w górę ręce poszukujące. Nieznane tłumy chciały odnaleźć Stwórcę. Wierzyły, iż stanie się dla nich kotwicą zabezpieczającą przed zgubą, ale nie umiały znaleźć. Błądzili dłońmi jak ślepcy. Chwyтали glinę, drzewo, kamienie. Dusze ich uspokajały się na chwilę znalazłszy bodaj liche przedmioty, o których mówiły sobie: to mój bóg. A fala niosła ich w ciemność. W półprzytomnych rozważaniach, gdy za każdym ruchem jęczał z bólu, AB - Ram wstydził się gniewu okazanego wczoraj współplemięcom. Pasterze hebrajscy stanowili część wielkiej cizby ludzkiej wołającej o Boga, grzmiącej pytaniem: Dokąd idziemy?! Ku czemu?! Czyi jesteśmy?! On, Ab - Ram, który za szczególnym zrzuceniem Bożym znał Prawdę, mógł na to pytanie odpowiedzieć, milczał od lat nie usiłując podzielić się z innymi posiadany skarbem...

...Zaprawdę, dość beczynności! Dość nieśmiałego skrywania! Wstań i przemów!

...Jakże to uczynię? - trwożył się. Uprzytamniał sobie mądrość i wiedzę kapłanów nie mającą równej w świecie, znajomość tajemnic gwiazd i ziemi, liczne piętra wieży w Ur wypełnione tablicami zawierającymi wszelką naukę i umiejętność... Przeciw tej potędze, której nie śmieli obrażać królowie, stanąć miałby on, prostak, nie znający pisma, biegły tylko w hodowli bydła i owiec?... To zestawienie wydało mu się pocieszne, on sam sobie śmieszny. Zatrwożył się tak, że osłabł. I znowu, gdy przymknął oczy, w rozgorączkowanym mózgu przelewały się fale nie będące falami morskimi, lecz pokoleniami synów ziemi szukających Boga...

Sięgnął po kubek wody zaprawionej winem postawiony u jego wezglowia przez Sarai i widzenia znikły. Otrzeźwiał. Co mu się marzy?! Eheu! Na zbyt dalekie łęgi pędzisz swe stado pasterzu! Z królami pragniesz się mierzyć, z kapłanami Marduka zadzierać, a własnego plemienia dotąd Panu nie poddałeś! Poniechaj fałszywych bogów, fałszywych kapłanów. Jedni i drudzy niech stoją w świątyniach swoich. Wiele, aż nadto uczynisz, jeżeli swoich przekonasz. O nich tylko myśl. Dasz im znak, ten sam, któryś sobie uczynił. Z własnego szczepu zrobisz przybytek Pana.

Zasłona wejściowa drgnęła. Elizer wsunął się ostrożnie patrząc na chorego z wiernym zatroskaniem. Zdziwił się i ucieszył, gdyż pan, choć mizerny, uśmiechnął się do niego pogodnie.

- Dobrze, żeś przyszedł, Elizerze - szepnął Ab - Ram zwilżając z trudem językiem spieczone wargi. - Powiedz mężom plemiennym, że za parę dni, gdy ozdrowieję, udziele im w Imieniu Pana Najwyższego znaku, którego się domagali. Niech czekają w spokoju, bez trwogi. Przynieś mi od niewiast wody...

- Żyj wiecznie, panie mój! Właśnie przyniosłem wodę. Ludzie ucieszą się, gdy im powtórzę, coś rzekł. Strach padł na nich, że twój Bóg poraził cię, zagniewany tym, co uczynili...

Gdy sługa odszedł, chory podjął na nowo przerwany wątek rozważań. Zaiste był szalony usiłując przekonać od razu cały świat! Wystarczy, gdy jego plemię nie będzie miało innego boga przed Panem Najwyższym... Jemu, Ab - Ramowi, przypadło być naczelnikiem i kapłanem równocześnie, jak był swemu ludowi Melchizedech. Kto kapłaństwo przyjmuje, winien zmienić imię, zrzekając się ojcowskiego pochodzenia. O rodowcach powiadają: syn Tarego, syn Nachora, syn Arana... Nie tak o kapłanach. Ojcem tych ostatnich jest bóg, którego miano włączają w swoje nowe imię. Sep - Sin... Awen - El... Nergal Sar... Tak on też powinien uczynić, lecz Pan nie objawił słudze swojego Imienia. Imię Pana niewymawialne nie może stać w ustach śmiertelnego. Gdy to

rozważał, sama z siebie przyszła nazwa uporczywie narzucana przed laty przez Melchizedecha: Ab - Raham. Imię, które go wówczas przeraziło, dziś zdawało się łączyć z pokoleniami ludzkimi sunącymi przed jego oczyma w gorączkowym zwidzie. I postanowił, że nazwie się Ab - Rahamem.

...Zali sam jeden zmieni swoje imię? Przyjmując godność kapłańską nie pociągniesz za sobą żony? Zapraǳnął coś uczynić dla swej wiernej towarzyszki, Sarai. Czyż tylko dla niej? Nie tylko. Słowa Lota wyrzeczone kiedyś, gdy jechali społem na jednym wielbłądzie, stanęły żywo w umyśle. O, pamięci, niezawodna szafarko! Jak skąpiec chwytnasz każdą rzecz, pozornie błąhą, ukrywasz w tajnych swych schowkach, by gdy chwila sposobna nadejdzie, wyjąć ją z ukrycia i przed oczy postawić! Kiedy Lot mówił, że Prawo nie docenia niewiast, Ab - Ram nie przyłożył do tych słów większej uwagi, zbył je milczeniem. Obecnie zdały mu się one tak słuszne, tak cenne, iż zapraǳnął nie tylko wyróżnić swą żonę, lecz w żonie uczcić Niewiastę...

Noc nadchodziła, z nią nawrót gorączki. Obrazy zmaćły się znowu, straciły granicę między snem a rzeczywistością. Ab - Ram zdawał się teraz sam sobie zuchwały, szalony i pyszny. Roił wielkie zamierzenia, postanawiał być kapłanem, zamierzał zmienić imię swoje i Sarai, skądże zaś pewność, że Pan tego żąda? Dotychczas Ab - Ram tylko słucał i czekał. Pan przemawiał doń, gdy taka była Jego wola. Dziś słuca chciał przymusić Stworzyciela.

I upokorzony, zatrwożony Ab - Ram, na równi z pasterzami, którymi niedawno za tę samą chęć gardził, jął błagać Pana o znak.

...Wiele lat minęło, odkąd przemawiałeś do mnie ostatni raz - prosił. - Nie trwożę się tym, boś wieczny, a tysiąc lat przed oczyma Twymi są jako jeden dzień ludzki... Nie o mnie chodzi, lecz o plemię moje. Spraw, by poznali chwałę Twoją... Zawrzyj przymierze ze mną i całym plemieniem, aby ujrzeli ci, którzy nie widzą, i poznali ci, którzy nie wiedzą... Zawrzyj przymierze ze mną, którym jest niczym bez Ciebie... Ufam Tobie, Panie... Spraw, by zaufali również drudzy... Bądź naszym goel, królem i opiekunem. Będziemy Twoimi słucaami... Nie prosiłem Cię dotychczas o nic, Panie... Będę teraz prosił, a nie ustane... Znasz serca ludzkie i wiesz, że nie dbam o znak, gdyż nic nie umniejszą wiary mojej... Moi ludzie chcą znaku... Uczyn go!

Tętna w skroniach waliły jak młotem, ból z rany własnoręcznie zadanej przeszywał ciało, namiot podobny korabiowi unosił się, płynął, chwiał. Wydało się Ab - Ramowi, że jak niegdyś, porwany został w górę, że znów jak niegdyś - widzi w dole samego siebie i głos zdało mu się słyszeć:

...Spełnię, o co prosisz... Uczynię przymierze z tobą i plemieniem twoim... - po czym wszystko się splątało, zlało w jeden szum pochłaniający pamięć, świadomość i myśli...

Czwartego dopiero dnia Ab - Ram wyszedł ze swego namiotu; zdrów, choć osłabiony. Zaraz też zwołał mężów plemienia i oznajmił takie słowa:

- Pan Najwyższy, Bóg Prawdziwy obiecał zawrzeć przymierze z plemieniem hebrajskim. Nim to uczyni, musicie zaraz głośno wyrzec się wszystkich innych bogów, rzucić w ogień tabliczki lub amulety, o ile kto je posiada, gdyż Pan nie zejdzie tam, gdzie już króluje kto inny...

Słuchali w ponurym milczeniu, zaskoczeni, nie przewidzieli bowiem, iż wypadnie wyrzec się starych bogów. Samochcąc popadli w sidła. Nie widzieli przed sobą wyjścia. Jeśli odmówią, obrażą boga Ab - Rama - posłuchawszy, ściągną na siebie gniew mściwych demonów. Biada! Biada!

Nieubłagany i surowy, Ab - Ram stał pośrodku koła, wymieniając kolejno wszystkich znanych plemieniu bogów. Zapytywał, zali odrzekają się ich w imieniu własnym oraz potomstwa swojego. Potakiwali drżąc i rozglądając się wokół. Odrzekali się boga Ea, boga Enlil, boga Anu, boga Enu, ulubionego boga ojców Nannar - Sina, bogini Damkiny, bogini Isztar, bogini Zirbanit. Odrzekali się duchów zwanych Annunaki, Ekimmu, Utukki i wielu innych. Odrzekali się demonów powietrza, ziemi i wody. Odrzekali się złych Labartu, Ilu, Galu i Rabisu. Wypowiadając z drzeniem słowa odstępstwa, wsuwali ukradkiem w ogień posiadane amulety z wyobrażeniem danego demona. Stanowiące dotychczas zbawienną tarczę przedmioty stawały się po wyrzeczeniu groźnym orężem obrażonego ducha. Czynili to śpiesznie w nadziei, że demon nie zauważy ich w tłoku. Nie posłyszysz, co mówią, nie dojrzy, co czynią.

Gdy wszyscy mężowie przysięgli, że nie będą mieć innych bogów niżli Bóg Ab - Rama, gdy potrzaskały i spopieliały w ogniu tabliczki, posążki oraz amulety, Ab - Ram jął czynić przygotowania do zawarcia przymierza z Panem. W prostocie swej postępował tak, jak nakazywał starodawny zwyczaj. Wybrał więc ze stada jałowicę, kozę i owcę, wszystkie bez błędu w budowie lub maści, nie kotne jeszcze ani zacielone. Wziął też gołębicę i synogarlicę. Zabiwszy zwierzęta przerąbał je na poły nie ściągając z nich skóry ani odejmując kopyt, ale ptaków nie rozcinał. Pośrodku doliny oczyścił z trawy wąską ścieżkę długości dziesięciu kroków, nie szerszą niż stopa i po obu stronach tej steczki ułożył rozcięte ciała zwierząt, połowa naprzeciwko połowy, że zsunięte zdałyby się całe. Ptaki nie były podzielone, więc złożono je tylko po obu stronach chodniczka, dziobami zwrócone ku sobie. Pomagali Ab - Ramowi w tej robocie Elizer, Sur, Jahiel, Mosa, Aser oraz kilku innych. Reszta otaczała ich wieńcem przyglądając się z trwogą przygotowaniom. Wiedzieli, że Ten, którego Imienia wymawiać ani znać nie wolno, przyjdzie, oobjawi się ich oczom i stosownie do zwyczaju przejdzie pomiędzy rozpołowionym ścierwem zwierzęcym. W Jego ślady pójdzie Ab - Ram w imieniu plemienia i sojuszu w ten sposób zawartego nic już nie naruszy. Bóg Ab - Rama i plemię hebrajskie staną się jednym, jak jedno stanowiły do niedawna rozcięte połowy jałowicy, kozy i owcy. Jedna krew w żyłach ich, jedno serce, jedne płuca, nerki i wątroba. Nie słyszano nigdy, by który z bogów zawierał podobne przymierze z człowiekiem, przeto Hebrajczycy radowali się, a zarazem lękali ogromnie.

Przygotowania zajęły czas do południa. A dzień był żarliwy, upalny, bezwietrzny... Droga Przymierza ułożona została pośrodku doliny, na oczach wszystkich, z dala od cienia dąbrowy, i teraz ludzie sidzący wokół i czekający na Przyjście Pańskie omdlewali z gorąca. Jeden Ismael pokrzykiwał wesoło, ubawiony całą sprawą, i Sur z trudem powściągał chłopca, by nie przebiegał świętą ścieżką między zwierzętami. Ab - Ram, choć jeszcze bardzo słaby, oganiał gałęzią muchy lecące rojem do ścierwa. Widząc to Elizer wziął drugą gałąź i obaj oganiali z dwóch stron w milczeniu. Nie tylko od much należało bronić pobitych bydła. Zapach mięsa ściągnął sępy, które jeły kołować zrazu wysoko, potem coraz niżej. Ismael prosił o pozwolenie strzelania do nich z łuku i szył w powietrze strzałami, Aser i Sur wzięli włócznie odganiając nimi natarczywe ptaki. Czas mijał wolno, jakby stanął w miejscu, słońce prażyło ogniem, a nikt nie nadchodził. Niewiasty przyniosły mężom stawy w misach. Pojedli mało, napili się wody i znów czekali. Opierając się ciężko na lasce Ab - Ram patrzył w górę

ku niebu poszarzałem od upału, na wschód, ku góróm, za którymi leżało miasto Uru - Salem, na zachód, kędy szumiało Wielkie Morze, na południe ku krainie Negeb suchej i spalonej, na północ, gdzie pod okrytymi śniegiem górami stało miasto Harran. Nie wiedział, z której strony Pan nadejdzie, w miarę zaś jak czas uchodził, bolały nieznośnie członki, w głowie panował zawrót od zmęczenia. Chwiał się na nogach, a jednak nie siadł. Pan mógł zejść niespodziewanie, sługa chciał być w pogotowiu. Gorsza od zmęczenia i gorąca była rosnąca obawa, że Pan nie nadejdzie wcale. Obraziła Go zbyt zuchwała prośba. Ludzie słusznie się dziwili, bo przymierze zawierają tylko równy z równym, król z królem, wojownik z wojownikiem, pasterz z pasterzem, nigdy Bóg z człowiekiem.. Jakież szaleństwo ogarnęło jego, Ab - Rama, gdy tego zażądał!

Żar płynący z nieba nie folgował, powietrze było nadal parne. Chwilami zrywał się nagły wiatr południowy, kręcił leje pyłu i znowu opadał, potęgując duszność, a nie ochładzając. Ścierwa zabitych rano jałowicy, kozy i owcy wzdęły się, poczerniały od gorąca. Wyczerpani oczekiwaniem ludzie zmieniali się, jedni odchodzili, inni stróżowali, tylko Ab - Ram stał wytrwale, obracając głowę jak żuraw na wszystkie strony. W sercu miał ucisk nieznośny. Rozum wołał: Nikt nie przyjdzie! Nie łudź siebie i drugich! Głos nieznaną tajemnicą odpowiadał: Ufaj! Nie przyjdzie nikt, jeśli zwątpisz! Wiarą przyniewolisz Pana! Więc mocował się sam ze sobą o nadzieję, która odeń odchodziła. W obawie, iż zmęczenie woli będzie silniejsze od chęci, zdał się całkowicie w dłonie Pana. Pan niech postąpi, jak chce. Wyzbył się własnej woli i uczucia. Nie myślał o tym, co powiedzą zawiedzeni ludzie. Spokojny, uciszony, próżny niecierpliwości, stał doskonale posłuszny, a oto już mrok nadchodził. Już niebo rozwidniając bliższe niż codzienne błyskawice. Sępy odeszły spłoszone nadciągającym wieczorem, ucichło brzęczenie much, Elizer wbił w ziemię włócznię już niepotrzebną. Ścierwo miejscami połyskiwało niebiesko, z zarośli zaczynały skradać się szakale. Nawet ci, co stróżowali, posnęli, tylko Ab - Ram czuwał. Czuwał wsparty na lasce i wtedy, gdy zagrzmiał piorun tak straszny i bliski, że ziemia drgnęła, a śpiący porwali się zewsząd na nogi. Stanęli i padli porażeni grozą. Bo ujrzeli oczami swoimi kulę ognistą, wielką i jarzącą, która spłynęła z nieba, wśród ogłuszającego grzmotu spoczęła na ostrzu włóczni, po czym opadłszy niżej przetoczyła się między przepołowionymi zwierzętami, popłynęła nieco dalej i znikła...

Huk przewalał się jeszcze po ziemi, wstrząsał drzewami, przerażając ludzkie serca struchlałe. Tylko Ab - Ram nie bał się wcale. Niby we śnie ruszył śladem płomienistej kuli, przeszedł ścieżkę, czuł swąd przypalanej sierści zwierzęcej. Serce biło mu jak młotem. Pan był! Pan zeszedł! Nie opuścił swojego sługi! Zawarł Przymierze wieczyste z plemieniem hebrajskim. Chociażby znowu milczał długie lata, nie zatrwoży się nigdy dusza Ab - Ramowa.

Ludzie leżeli wciąż na ziemi nie śmiąc podnieść głowy. Zapomniawszy o poprzednim zmęczeniu naczelnik nawoływał ich gromko, by wstali. Widzieli Przejście Pańskie straszliwe i groźne. Są odtąd sojusznikami Boga samego. Pan dochowa im wierności, byle oni dochowali. Pan widzi serca i zna myśli ich. Póki Przymierza nie złamią, nie spadnie im włos z głowy. Teraz otrzymają znak. Pieczęć, że do Pana należą i nikt prócz Boga nie ma do nich prawa. Przy świetle pochodni obnażył się przed ludźmi, ukazał, o co chodzi. Słuchali zdumieni, lecz posłuszni, na wszystko zgodni. Bóg Ab - Rama okazał się potężnym bogiem. Dotąd łydy drżały pod nimi z przeżytego strachu. Dobrze będzie pozostawać pod taką opieką. Jeżeli znak, którego domaga się Ab - Ram, zabezpieczy ich od demonów, mniejsza o tę trochę bólu.

Z kolei powiadomił ich naczelnik o zmianie imienia. I tę niepojętą wiadomość przyjęli łatwiej, niżby to uczynili w zwykłym czasie, gdy języki mełły żywo słowa, a głowy pracowały. W takim dniu jak dzisiejszy nie zdziwiliby się, gdyby ujrzeli Ab - Rama unoszącego się w powietrze lub biorącego w palce ogień. Niebo i ziemia pełne były tajemnic i grozy, oni zaś słabi jak zgubione dzieci.

Przyjęli więc bez sprzeciwu nakaz zwania swego naczelnika od tej pory nie jak dotychczas Ab - Ramem, ani Ab - Ramem synem Tarego, lecz Ab - Rahamem. Ab - Ram syn Tarego znany im, odkąd pamięcią sięgali, ich naczelnik, goel, sędzia, odchodził, znikał bez śladu. Pozostawał Ab - Raham, sługa i kapłan Pana Najwyższego. Nowe imię otrzymała również jego niewiasta. Zamiast Sarai wołać ją będą odtąd Sara, co oznacza księżna, dostojna pani. Słyszac to Sarai padła do nóg mężowi dziękczynnie.

Nazajutrz rano Ab - Raham przystąpił do obrzezania wszystkich mężów plemienia od starców do dzieci małych. Wzywał ich kolejno po imieniu według wieku i godności. Ci, którym wypadało być pierwszymi, nacierpieli się niemało. Dalsi przeszli zabieg o wiele lżej, gdyż naczelnik nabrał wprawy. Wszyscy znosili cierpienie z godnością, jako zaszczytne wyróżnienie i rękojmię opieki Bożej na przyszłość. Nie wątpili, że ból poniesiony przyniesie sowitą odpłatę.

Ab - Raham czuł się szczęśliwy. rozlewając oddaną dobrowolnie krew swoich braci plemiennych, krew, co jest istotą życia, życiem samym, świętą własnością Bożą - poświęcał ich Panu, potwierdzał zawarte Przymierze. Radość tego dnia zmącił mu tylko Ismael, który nie chciał poddać się obrzezaniu. Niewrażliwy na przykład rówieśników, karnie, choć z trwogą czekających przy boku ojców, uciekł i zaszył się w gąszcz. Musiano go długo szukać. Wytropiony bronił się i wyrywał, gryzł po rękach prowadzących go Sura i Elizera, obezwładniony przeraźliwie wrzeszczał. Trzymało go czterech ludzi. Ab - Rahamowi pot spływał po czole, ręce drżały. Pragnąc oszczędzać jedynaka, przysparzał mu bólu. Hagar jak nieprzytomna biegała wokół namiotu, w którym dokonywano Znaku Przymierza, przeklinała Ab - Rahama i jego pomysły, wyła jak zwierzę. Nareszcie wypuszczono wrzeszczącego chłopca. Schronił się w ramiona matki i długo słyszano płacz obojga, połączony ze skargami na ojca.

Zebrani udawali, że nic nie spostrzegają, by nie zawstydzić Ab - Rahama przygnębionego nieprzystojnym zachowaniem syna.

W międzyczasie niewiasty przygotowywały ucztę. Ab - Raham polecił wydać hojnie wina oraz wiele kto chciał oliwy, by smarować ranę swoją. Do wina dodawano mirry, co miało własność usypiania bólu. Większość jednak biesiadników wołała pić wino bez domieszki goryczy. Ostatecznie rana nie była zbyt ciężka ani oni wrażliwi na ból. Niejednemu przychodziło cierpieć gorzej, gdy mu lamprat ramię rozdarł lub stratowało przebiegające stado.

Zapomniawszy o przykrości z Ismaelem Ab - Raham siedział pośród biesiadników skupiony i pogodny. W sercu czuł wielką miłość dla plemienia swego stojącego się od dziś twierdzą i świątynią Pana. Niech zbrojni mocarze budują swym bogom złociste gmachy w Babilonie, Niniwie, Egipcie. Rozwali je nowy zdobywca lub wprowadzi nowe bogi. Bóg Jedyny, Prawdziwy, Stworzyciel nieba i ziemi założył tutaj swój przybytek niezniszczalny...

Spojrzał wstecz na dzieje minione, drogę przebytą od dnia, gdy nieznana moc uniosła go w

górze, aż do dzisiaj. W nagłym olśnieniu poznał, iż wszystko, co się zdarzyło w te lata, było pożyteczne i do celu przez Pana zamierzonego wiodące. Jego własne, Ab - Rahamowe błędy, słabości, ospałość, bezładne wędrówki i lata spędzone ostatnio w pozornym bezruchu. Każdy dzień przyspieszał dojrzewanie, myśli drażyły swe drogi niby kornik drzewo. Ujrzał również, że wszyscy ludzie, jakich w życiu spotkał, byli w tym dziele pomocni. Zarówno mądry Nergal Sar, który mu pierwszy prawdę przeczuwaną ukazał, jak Babilończyk Hamurabi, który przyczynił się walenie, pragnąc ujarzmić plemię hebrajskie. Potem Sep - Sin, co lękał się ciężaru Prawdy, lecz gdy Pan go przychwycił, oddał za nią mężnie życie... Niezapomniany kapłan i król, Melchizedech, któremu prawdziwie Ab - Raham dzisiaj dzień zawdzięczał... Faraon, Lot, Jaser Hewejczyk, Sarug syn Efrema, wszyscy, przyjaciele, krewni, wrogowie, nawet mijający przelotnie przechodnie, wszyscy współdziałali. Świadomie lub nieświadomie, każdy przynosił garść gliny do zamierzonej budowli. Wielką pomocą okazali się współplemieńcy, których uważał za niemądre dzieci. Oni to przymusili go, zgwałcili jego wolę domagając się, by im ukazał Pana. Do serdecznego uczucia, jakie żywił dla nich, dołączyła się wdzięczność. Bez nich drzemałby spokojnie dalej, zapominając o nie wykonanym obowiązku. Zaprawdę, sam nie byłby nic zdziałał.

Sara przysiadła u stóp męża. Nie oswoiła się jeszcze ze swym nowym, pięknym mianem napełniającym ją dumą. Nieśmiało szepnęła:

- Zali twój Bóg, panie mój, chciał, byś zmienił imię swoje?

- Uczyniłem to, owszem, z woli Pana.

- Zali twój Bóg chciał, abyś zmienił imię służebnicy twojej?

- Sądzę, niewiasto, iż taka była Jego wola.

- Będę wielbiła twego Boga, Ab - Rahamie! - wykrzyknęła gorąco. - Będę Go wielbić i chwalić!

- Będziemy Go razem sławić, póki nam życia wystarczy, niewiasto.

Bala, żona Mosy, użalała się nad cierpieniem męża, lecz pasterz śmiał się wesoło. Wypite wino skłaniało go do szczerości, przeto wyjaśnił niewieście przyczynę zadowolenia:

- Zatrzymałem amulet z wyobrażeniem demona ognia Girru. Ab - Ram syn Tarego, którego teraz zwiemy Ab - Rahamem, zapomniał widno i nie wymienił tego demona wcale. Schowałem szybko amulet w zanadrze i oto mam!

Mosa zasnął szczęśliwy, miło jest bowiem czuć się zabezpieczonym na obie strony.

ROZDZIAŁ TRZECI

ODWIEDZINY

Lato tegoroczne nie było jak inne lata. Każdy z żyjących znał burze, palące wichry niosące rudy tuman z pustyni, lecz obecnie działy się rzeczy nieznanne. Bywało, że ziemia drżała pod stopami. Wielki cedr rosnący na wzgórzu, w pobliżu Hebronu, runął któregoś dnia wydarty z korzeniem, choć nie było wcale wiatru. Kupcy jadący z doliny Siddim opowiadali, że ciężka, klejąca woda Słonego Jeziora falowała sama z siebie, jak gdyby wewnątrz kipiało. Mieszkańcy Sodomy i Gomory wylegali pono tłumnie na wybrzeże przyglądając się zjawisku. Sądząc, że powoduje je gniew bogów, kapłani składali nad brzegiem sute ofiary z dzieci, niewolników i bydła. Pomagało to na krótko. Po paru dniach woda ożywała znowu. Widocznie na dnie walczyły między sobą demony.

Wieści napełniały niepokojem cały kraj. Mówiono, że wróżą wojnę albo głód. Tylko pod dąbrową Mambre, gdzie rozkładał się obóz hebrajski, trwożne echa nie wywołały żadnego oddźwięku. Nie dochodziły bowiem tutaj wcale.

Pogoda przepęłniała duszę Ab - Rahama, gdy stanąwszy pewnego ranka przed namiotem patrzył na dolinę, zieloną mimo panującej wszędzie suszy, na owce bielejące na przeciwległym stoku, na potok przepływający łąkę, błyszczący pod słońce niby struga roztopionego srebra. Nad głową Ab - Rahama dąb wyciągał poskręcane konary, przed nim blask słoneczny przesiany przez liście tworzył drobne, ruchliwe, migotliwe fale. Świat wydawał się patrzącemu piękny. Usiadł, by go podziwiać. Gdy trwał tak, pełen słodczy i ciszy jak pszczoła miodu, wydało mu się, że z przeciwległego wzgórza schodzą trzy ludzkie postacie. Wydali mu się ci idący olbrzymi, jak gdyby pochodzili z rodu synów Enaka, mieszkających niegdyś w tym kraju. Ranna poświata obrzeżała ich świetlicie. Niepojęte wzruszenie kazało Ab - Rahamowi powstać i wyjść na spotkanie nadchodzących. Szedł coraz śpieszniej - niby syn stęskniony biegał na spotkanie ojca, mimo że nie wiedział, naprzeciw kogo wychodzi. Nie wiedział nawet, czy trzech mężów idzie, czy jeden. Troiło mu się w oczach od blasku. Mimo pośpiechu obejrzał się kilka razy wokół, zdumiony urodą ziemi. Piękno zauważone przed chwilą wezbrało, opromieniło rzecz każdą przedziwnym blaskiem i barwą. Rzucając w prawo i w lewo zachwyconym wzrokiem Ab - Raham przypominał sobie, że widział już kiedyś, kiedyś równie czarodziejski świat, świat niezmaconego piękna, bezpieczeństwa, radości, swobody, pokoju i ładu... Ach, oglądał to w zwidzeniu, zjawie krótkotrwałej. Oglądając płakał zawczasu nad przeczuwaną kruchością obrazu. Dziś wydało mu się, że zwid ów zeszedł na ziemię, by trwać...

Rwały mu się, migwały ubocznie w głowie te myśli i spostrzeżenia, całą uwagę bowiem poświęcił tym, którzy nadchodzili. Przybliżali się ogromni, przepojeni światłem, i w pewnej chwili Ab - Raham upadł twarzą na ziemię, nie śmiąc oczu podnieść. Nie było w nim lęku, lecz nieznaną, obezwładniającą radość. Oni podeszli tuż. Słyszał skrzyp sandałów, cień ich postaci padł obok niego... Podniósł głowę i zdumiał się. Trzej Mężowie Światła znikli. Na ich miejscu stali trzej zapyleni podróżni. Pośrodku stary znajomy z grodu Uruk, Falej syn Elasa, po jego prawej i lewej - dorodni młodzieńcy. Po ich niezwykłym wzajemnym podobieństwie domyślał się Ab - Raham, że to synowie Faleja, bliźniacy, których widział niegdyś w Ur. Zaprawdę, nieoczekiwani goście. Lecz gdzie się podziiali tamci, promienni, ogromni?!

Oblicze Ab - Rahama wyrażało takie zdumienie, że Falej syn Elasa zaczął się śmiać.

- Pozdrowionyś, Ab - Ramie synu Tarego - rzekł. - Nie przeniosłaby dusza moja, by minąć z bliska obóz przyjaciela, nie zaszedłszy doń. Idę z Damaszku towarzysząc moim synom, których kapłani wysłali w te strony...

- Jesteś, Panie! - krzyknął z uniesieniem Ab - Raham przerywając wymowę krajana. Bo ujrzał ponownie tamtych (czy tamtego? - wciąż nie wiedział). Stał (albo stali) tuż za Falejem, przenikał go, zlewał się w jedno, to znów wyodrębniał zza podróżnego, jak słońce zza góry. - Panie! - powtórzył Ab - Raham z zachwytem. - Nawiedz namiot sługi twego!

- Idziemyż do ciebie, Ab - Ramie synu Tarego - odparł Falej ze zdziwieniem. Oglądał się za siebie widząc, iż Ab - Raham spogląda na kogoś poza nim. Nie dojrzał nikogo. Ab - Raham wyprzedzał gości zwrócony do nich twarzą. Domyślał się teraz, iż niezmacona krasa ziemi pochodzi z blasku jaśniejącego Oblicza, a ruchliwe cienie grające na trawie są krajem szaty haftowanej w migotliwe krążki słoneczne. Jasność Obecności kładzie się na runie stojącego na drodze jagnięcia, wybiela je ponad śnieg. Łzy zachwytu stanęły mu w oczach, zachwytu, a zarazem żalu. Pośród powszechnej radości czemuż on nie może ujrzeć Pana swojego? Ukrywa się Pan przed sługą swoim? WYdaje się Ab - Rahamowi, że słyszy w duszy odpowiedź: Będziesz mnie oglądał, Ab - Rahamie, gdy nadejdzie pora. Dostyc ci jest na tym? - Dostyc mi, Panie, na tym...

I znowu idą wśród powodzi blasków. Wydaje się Ab - rahamowi, że wszelkie stworzenie czuje, kto zacz stąpa łąką nad strumieniem. Krowy podniosły głowy, przestały się paść, patrzą spokojnymi oczami...

Tuż przed obozem Ab - Raham pobiegł jak na skrzydłach, jakby miał dwadzieścia lat. Gromkim głosem jął wzywać Elizera, Sura, niewiasty. Niech natychmiast zarzną ciele młodzieuchne, wyborne, i jagnię też! Niech je przyrządzą żywo a smacznie! Nie żałować korzeni! Szafranu! Masła! Pan idzie! Pan idzie! Wielcy, wielcy goście nawiedzili obóz!

Gdy Sara wyszła z namiotu, by obmyć stopy przybyłym, Ab - Raham wyjął jej z rąk cebrzyk, sam opasał się prześcieradłem, na klęczkach ze czcią obmywał nogi gościom, nacierał starannie oliwą. Chwilami odrywał od tej roboty zachwycony wzrok, patrzył... Na Faleja syna Elasa? Nie, ponad Faleja, wyczuwając skroś niego Postać inną, której usługiwać można tylko na klęczkach... Sara z Keturą rozesały na trawie białe lniane radno. Zniosły przysmaki: dibs, debelah, najprzedniejsze wino w dzbanie, mleko, śmietanę, masło, miód, placki na oliwie zwane "rakah" i placki na maślanie "halal", za którymi swego czasu przepadał stary Tare syn Nachora. Wędrowcy zjedli zaskoczeni królewskim przyjęciem. Zaprawdę, nie oczekiwali takiego! Falej syn Elasa nie mógł się opędzić przykreemu wrażeniu, że Ab - Ram bierze go za kogo innego.

- Wiele lat minęło, odkąd usta moje przemawiały po raz ostatni do ciebie? - zaczął ostrożnie, by sprawdzić.

- Tak jest, jak mówisz, Panie - przyznał Ab - Raham rozpromieniony. - Czemu sługa twój zawdzięcza, żeś go dziś nawiedzić raczył?

Falej syn Elasa przyjrzał się mówiącemu uważnie. Na pewno Ab - Raham (tak go teraz zowią) nie żartował z przyjaciela. Tym mniej Falej rozumiał, co zaszło. Już wszyscy wokół spostrzegli, że z gospodarzem dzieje się coś dziwnego. Wystarczyło spojrzeć na jego błyszczące oczy, zachwyconą twarz. Zapewne - pomyślał gość - Ab - Raham, dawniej tak trzeźwy, przebrał miarkę w winie. Wina są mocne w tej okolicy i wyborne.

Spojrzał pytająco na Elizera, potem na dzban, lecz stary sługa zaprzeczył żywo ruchem głowy. Jego pan nie upijał się nigdy. Falej pochylił głowę na znak, że nie byłoby w tym nic zdroźnego, i sam wychylił z zadowoleniem kubek. Jego synowie jedli z zapałem młodości. Piękni byli chłopcy, wyrosnięci, o gładkich, jeszcze dziewczęcych policzkach. Włosy nigdy niestrzyżone, jak zwykle u sług świątyni, opadały im w puklach na ramiona. Mieli krótkie białe tuniki, błękitne płaszcze, obejście powściągliwe i karne. Odzywali się mało, odpowiadając tylko na pytania i podnosząc się z szacunkiem, gdy gospodarz lub ojciec zwrócił się do ich. Byli podobni do siebie niby wzajemne odbicie w zwierciadle. Falej patrzył na swych synów z dumą i miłością.

- Cemu sługa twój zawdzięcza, żeś go raczył nawiedzić? - powtórzył Ab - Raham patrząc radośnie w przestrzeń.

- Kapłani z grodu Ur wysłali tych oto, Seguba i Zamnę, aż na tę stronę pustyni, do grodu Sodoma z ważnym poselstwem... - jął opowiadać Falej. - A mnie przed dwoma laty zmarł w Damaszku krewny, zostawiając wdowę bezdzietną, gdyż dzieci ich wcześniej pomarły. Godziło mi się poślubić tę wdowę i wzbudzić syna zmarłemu krewnemu mojemu, przeto już przed rokiem dałem przez kupców znać, że przyjadę po nią. Niewiasta moja stara i z robotą nie nadaża, więc nalegała: Sprowadź już tę wdowę. Będę z niej miała wyrękę. A ja nie chciałem sprowadzać, bojąc się, że rodzina wdowy zatrzyma szaty i ozdoby, które kupował nieboszczyk mój krewny, zawsze przy tym lepiej obejrzyć wprzód samemu. Skorom więc posłyszał, że Segub i Zamma idą w tę drogę, zabrałem się z nimi. Obejrzałem w Damaszku niewiastę. Zdatna jeszcze do roboty i do łoża. Żał mi było rozstawać się z synami. Zali bogowie pozwolą, by jeszcze w tym życiu oglądały ich oczy moje? Przyszedłem z nimi aż tutaj, a wdowę zabiorę wracając się do domu swego...

Falej opowiadał rozwlekłe, gdyż wino było rzeczywiście mocne i ogarniała go senność. Ab - Raham zachowywał wyraz nieprzytomnej szczęśliwości. Elizer zauważył uprzejmie:

- Pomnę, Faleju, że gdym bawił w domu twoim (było to wtedy, gdy pan mój uchodził wraz ze swym szczeniem przed Babilończykiem), kapłani zabrali świeżo twoich chłopców do świątyni i niewiasta twoja wielce ich opłakiwała. Uciekała z Uruk do Ur, by na nich popatrzeć...

- Uciekłyby i dziś, gdyby mogła, ale już jest za stara - roześmiał się Falej.

- Dowiedziałem się wówczas od ciebie o śmierci kapłana Sep - Sina, która wielce poruszyła mego pana...

Jeden z bliźniaków, Segub, wmieszał się do rozmowy.

- Powiedziałaś, panie, imię, którego w Ur wymawiać nie wolno, podobnie jak nie wolno wymawiać imienia pana twego...

Spojrzał na zdradzającą całkowitą nieobecność twarz gospodarza i zapytał zniżając głos:

- Niech śmiałość twojego sługi nie poruszy cię, Ab - Rahamie. Jestli płaszcz, który nosisz na ramionach swoich, płaszczem zmarłego niegdyś Nergal Sara?

- Tak jest, to jego płaszcz - odparł Ab - Raham z roztargnieniem, wracając do niesłyszalnej dla innych tajemnej rozmowy z Panem swoim. Zdało mu się dziwne, że inni nie widzieli, gdy on widział. Nie! On też nie widział, ale wiedział. Czuł. Gościł w swym domu Pana, Tego, z którym zawierał Przymierze. Pragnął dusznie paść Mu do stóp, ale Pan był nieuchwytny. Ab - Raham trafiał na stopy Faleja lub któregoś z jego synów. Nie zrażał się tym. Pan był obecny, był blisko, był tuż. Ab - Raham zachował świadomość tego, co się wokół dzieje. Widział Faleja, jego synów, Elizera, lecz strzępy zamienianych przez nich słów dolatywały go obojętne i nieważne, jak głosy dzieci bawiących się na dziedzińcu docierają ojca rozmawiającego z królem. Oto pyta się Pan: - Gdzie niewiasta twoja, Sara?

- W namiocie posługuje Panu memu - odpowiada śpiesznie Ab - Raham. Jest szczęśliwy, że Pan pytając o Sarę zatwierdził zmianę imienia.

- Sara za rok będzie miała syna... - rozbrzmiewa mu w sercu odpowiedź. Nie mogąc powstrzymać zdumienia Ab - Raham wykrzykuje głośno, powtarzając słowa Pańskie:

- Sara za rok będzie miała syna?!

Obecni z trudem wstrzymują śmiech. Sara wychyla się z namiotu czerwona z oburzenia. Cóż to za kpiny? Spogląda na Elizera. Rozumieją się. Niestety! Ab - Raham jest pijany, pijany jak grono w kadzi, jak patriarcha Noe, gdy się zeń naśmiewał niedobry syn Cham. Co za wstyd!

- Zawsze pora, zawsze pora... - bełkoce Falej, któremu język płacze się w ustach. Sara wzrusza gniewnie ramionami:

- Gdym się już zestarzała i pan mój jest stary, rozkoszy patrzeć będę?...

Nie zwraca na nią uwagi Ab - Raham, nie zwraca uwagi na nikogo. Że w okrzyku jego kryło się niedowierzanie, zostaje wnet skarcony pytaniem:

- Czemu nie wierzysz słowom moim? Czemu śmieje się Sara, niewiasta twoja? Izali Bogu jest co trudnego?

- Izali Bogu jest co trudnego?! - powtarza na głos Ab - Raham. - Czemu się śmiejesz, niewiasto?

Oczy mu płoną, Sara przestraszyła się.

- Nie śmiałam się - zapewniła.

- Nie jest tak, jak prawisz, boś się śmiała...

Obaj bliźniacy przyglądali się mówiącemu uważnie. Segub nachylił się ku Falejowi.

- Ojczy, nie jest ten mąż pijany sokiem jagody. On jest widzący, baru...

- Skąd wiesz?

- Opowiadają dotychczas, że Nergal Sar był taki. Nie darmo on jego płaszcz nosi...

- Niech bogowie mają nas w swej pieczy! - westchnął Falej walcząc z ogarniającą go sennością.

Młodzi otarli usta i podnieśli się równocześnie, oznajmiając, że pora im iść. Jeżeli Ab - Raham nie ma nic naprzeciw, pozostawiliby tu chętnie swego ojca, Faleja syna Elasa, zachodząc po niego, gdy sprawią swoje poselstwo. Stary jest, a oni wiele czasu zmitrężywszy muszą dobrze kroku przyspieszać. Wróciliby za trzy, cztery dni...

- Odprowadzę was kęsek drogi, synkowie moi... - zapewniał Falej dźwigając się z trudem.

- Zostawcie u nas rodzica, proszę w imieniu pana mojego - mówił Elizer zatępując niepomnego na obowiązki gospodarza, Ab - Rahama. - Będziemy mu wielce radzi. Dokąd wasza droga prowadzi?

- Idziemy do miasta Sodoma, wielce pono bogatego i grzesznego grodu. Kapłani z Ur dali nam posłanie do tamecznych kapłanów, którego wyjawić nie możemy. Obaczym przy tym własnymi oczami, zali prawda jest, co ludzie powiadają o tym grodzie. Nie zdarzyło się nam słyszeć o nim nic dobrego...

- Mnogie wszeteczeństwa powtarzają o mieszkańcach tego grodu - przytaknął Elizer.

Bracia pokłonili się wszystkim obyczajnie i odeszli biorąc ojca między siebie. Kochali go bardzo. Ab - Raham to szedł obok nich, to wyprzedzał. Patrzył wciąż na Kogoś, kogo nie widzieli. Nasłuchiwał i odpowiadał, lecz nikt nie słyszał słów jego. Prowadzona była rozmowa w sercu Ab - Rahamowym. Mówił do niego Pan:

- Krzyk na Sodomę i Gomorę rozmnożył się bardzo. Grzech ich stał się ciężki światu. Maluczko, a przechylił się szala gniewu mojego...

Wspomnił Ab - Raham, jak się gorszył grzechami Sodomy, sam wzywał pomsty na grzeszników, lecz w tym dniu, gdy duszę miał pełną radości i łaski, gdy niewymownie piękny świat oddychał wokół szczęściem i spokojem, uczyniło mu się żal ludzi, na których miał spocząć gniew Pański. Podniósł nieśmiało oczy w blask i rzekł:

- Izali wytracisz sprawiedliwego z niebożnym? Jeżeli będzie pięćdziesięciu sprawiedliwych w tym mieście, zginąż społem? Ty, który sódzisz wszystką ziemię, zali nie uczynisz sprawiedliwości każdemu?

Posłyszał Ab - Raham odpowiedź:

- Jeśli znajdę w Sodomie sprawiedliwych pięćdziesięciu, odpuszczę całemu miejscu dla nich...

Wtóre prosi Ab - Raham:

- Iżem raz zaczął, będę mówił do Pana mego, chociem proch i popiół. A jeśliby sprawiedliwych było pięciu mniej pięćdziesięciu, zali dla braku pięciu ludzi wytracisz wszystko miasto?

Po wtóre słyszy odpowiedź:

- Nie wytracę, jeśli tam znajdę czterdziestu pięciu.

Po trzecie pyta Ab - Raham:

- A jeśli się tam znajdzie czterdziestu, co uczynisz?

Po trzecie odpowiedź Pańską słyszy:

- Nie zatracę dla czterdziestu.

- Nie gniewaj się, Panie, proszę, jeżeli jeszcze przemówię: A jeśli tam będzie trzydziestu?

- Nic nie uczynię, jeśli tam znajdę trzydziestu.

- Gdyżem raz począł, będę mówił do Pana mego. A jeśli się tam znajdzie dwudziestu?

- Nie zatracę dla dwudziestu.

- Proszę, nie gniewaj się, Panie, po raz ostatni przemówię: A jeśli się tam znajdzie dziesięciu?

- Nie zatracę dla dziesięciu sprawiedliwych, jeśli się znajdą w Sodomie.

Ab - Raham przetarł oczy. Świat zgasł i poszarzał. Zniknęły zachwycające piękno, blaski i barwy. Owce były szare o welnie nabitej pyłem. Trawa zwiędła. Niebo od gorąca popielate. Pan (Trzech w Jednym, czy Jeden w Trzech?) odszedł. On stał sam na wzgórzu, obok patrzących nań Faleja i jego bliźniaków.

- Z kim rozmawiałeś, Ab - Rahamie? - zapytał stary ostrożnie.

- Z Panem Bogiem moim - odpowiedział Ab - Raham z prostotą.

Zwrócił się gwałtownie do chłopców:

- Pan zamierza wytracić Sodomę! Pan obiecał, iż nie uczyni tego, jeśli znajdzie się w tym grodzie dziesięciu mężów sprawiedliwych! Dziesięciu sprawiedliwych, a miasto nie zginie!

Pokłonili mu się obaj do samej ziemi.

- Jesteś widzący, Ab - Rahamie, a bogowie odsłoniли ci rzeczy zakryte. Nie będziemy więcej tacić przed tobą, co sam wiesz. Posłanie, z jakim kapłani z Ur posłali nas do kapłanów w Sodomie, jest takie: Dobiegają kresu dni nietrwałej doliny Siddim. Na zegarze przed świątynią cień słoneczny cofnął się wstecz. Znak to, że ziemia się wzburzy. Uprowadźcie co rychłej całą ludność i dobytek w góry, abyście wszyscy nie zginęli. Przeczekajcie na górach złe dni, gdyż biada tym, co pozostaną w dolinie! Niebo stanie się nad nimi miedziane, a ziemia pod stopami żelazna!

To mówił Segub; Zamma, brat jego, dodał:

- Posłano nas obu, aby kapłanom łatwiej przyszło przekonać lud, że trzeba uciekać. Ludzie nieradzi rzucają mienie i uchodzą. Gdy ujrzą jednego z nas tu, a wnet drugiego w innej zgoła stronie, sądząc, że to ten sam, krzyczą, iż cud i sami bogowie ostrzegają... Nieraz już tak bywało...

Nie zważając na ich słowa Ab - Raham powtarzał:

- Dziesięciu sprawiedliwych znajdźcie, mogą nie uchodzić. Dziesięciu sprawiedliwych, a włos nikomu nie spadnie z głowy! Dziesięciu sprawiedliwych, a miasto ostanie, jak stoi. Zali w wielkim mieście nie będzie dziesięciu sprawiedliwych?

- Myślimy, że znajdzie się więcej, bo ludzie są różni. Obok złych rosną i uczciwi, a obok prostych chromi.

- Słuszna jest twa mowa. Pośpieszajcie. Pytajcie naprzód w Sodomie o Lota syna Arana, Hebrajczyka. Bratanek to mój, mąż sprawiedliwy, choć nadto łagodny i niewieście swojej powolny. Uczciwym i prawym będąc, wskaże takich jak on sam, gdyż podobny podobnemu rad, a swój do swego ciągnie.

- Pójdziemy wprzód do kapłanów, bo tak nam przykazano, a potem poszukamy bratanka twego, Ab - Rahamie.

Segub i Zamma padli do nóg obu mężom i żwawo pobiegli naprzód. Ab - Raham z Falejem patrzyli za nimi długo, zawracając do obozu dopiero gdy chłopcy znikli za wzgórzami.

RODZIAŁ CZWARTY

DESZCZ OGNISTY

Obaj młodzieńcy szli szybko mimo gorąca i nazajutrz przed wieczorem zesli z gór w dolinę Siddim. Patrzyli na nią z zachwytem, w szacie swych zielonych gajów bowiem zdała im się rajem. Zali możliwe, by miała zginąć? Cóż jej mogło grozić? Zapowiedzi Ab - Rahama i kapłanów zdawały się trudne do uwierzenia, własne poselstwo kłopotliwe. Któż im uwierzy, gdy oni sami wątpili, czy nie zostali skierowani tutaj przez omyłkę? Z ciekawością patrzyli na miasto bielejące wśród zieleni, na błękitne wstęgi kanałów przecinające lasy połyskliwą siecią, na gęsty biały tuman skrywający Słone Jezioro oraz dziwaczne brunatne dymy buchające w kilku miejscach z lasów.

Weszli w te lasy zwarte, wonne, cudne. W miarę jak spuszczały się z przełęczy, napotykali zadziwiająco ilość zwierzyny. Mijały ich gromadnie pędzące ku góróm dziki, barany o wielkich rogach, lisy i szakale.

- Lew widno jest w pobliżu - rzekł z niepokojem Segub.

- Lew nie wychodzi na łowy w dzień, bracie mój, Segubie.

Szli dalej i coraz gęściej napotykali uciekającego drobnego i większego zwierza. Tłuste przepiórki wpadały im same pod nogi.

- Zammo! Bracie mój! One uciekają!

- Zaiste, słusznie mówisz. Uciekają!

I piękną, cienistą dolinę zdającą się rajem omroczyło w ich oczach przecucie nieszczęścia. Milcząc przyśpieszyli kroku i niebawem stanęli u bramy Sodomy.

Segub (uważał się za starszego, gdyż pierwszy opuścił łono matki swojej) rzekł do brata swego Zammy, podobnego doń jak odbicie w wodzie:

- Okryj płaszczem głowę swoją i pójdz do świątyni powiedziec kapłanom tutejszym, co nam zlecono. Ja zatrzymam się w bramie zapytać o bratanka Ab - Rahamowego, Lota syna Arana, po czym wnet przyjdę do ciebie.

- Uczynię tak, bracie mój.

Wielkie wrota z brązu suto złoconego były szeroko otwarte. Pod sklepieniem bramy panował tłok i głośny gwar. Przekupnie krzyczeli wniebogłomy, zachwalając swe wyroby. Kupujący targowali je bez pośpiechu. Inni siedzieli beczynnicy, wymieniając nowinki i żarty. Gromady strojnych ludzi śpieszyły na wybrzeże, gdzie król składał ofiary bogom jeziora. Woda bowiem kłębiła się znowu. Ciężkie niby oliwa fale przelewały się podobne cielsku olbrzymiego, niewidzialnego gada. Lecz złe przecucia doradzające uciekać z doliny zwierzynie i ptakom leśnym dalekie były od umysłów mieszkańców grodu. Dzień, choć osobliwie parny, był w ich oczach podobny każdemu innemu. Dzień nieustającego wesela, nieróbstwa i rozpustnych zabaw.

Okryty płaszczem Zamma przemknął się szybko przez bramę i podążył ku górującej nad dachami domów świątyni. Segub przystanął w tłumie rozglądając się wkoło. Potrzęsawszy przodem tuniki zawołał:

- Pozdrowienie mieszkańcom Sodomy! Racście powiedziec swemu słudze, gdzie żywie Lot syn Arana, Hebrajczyk?

Siwiejący mąż siedzący pod murem podniósł się na te słowa:

- Jam jest Lot syn Arana, Hebrajczyk. Powiedz, czego chcesz ode mnie, młodzieńcze?

- Witaj, synu Arana. Pozdrawia cię przez usta moje stryj twój, Ab - Raham.

- Nie znam Ab - Rahama. Tenli to, który się zwał Ab - Ramem synem Tarego?

- Ten sam. Mąż godny i miłowany przez bogów. Dał mi posłanie dla ciebie...

- Błogosławione stopy twoje. Pójdź do domu mego, abym cię ugościł i wysłuchał, co stryj mój Ab - Ram kazał mi powiedziec.

- Żadną miarą nie może sługa twój uczynić tego tej chwili, gdyż mam inne poselstwo wielce pilne i doniosłe. Odwiedzę dom twój, skoro je dopełnię.

- Powiedz mi zatem tylko, co kazał powiedziec stryj mój?

- Posłanie jego wyda ci się dziwne, poprzysięgam jednak na ziemię i ogień, żem nie zmienił ani słowa. Brzmi ono: Zagłada grozi Sodomie. Znajdź w grodzie Sodoma dziesięciu mężów sprawiedliwych, a miasto nie zginie.

- Nie pojmuję twojej mowy - odparł Lot wzruszając ramionami. - Upalenie zwarzyło ci mózg, chłopcze.

- Nie zwarzyło mi mózgu upalenie. Jestem Segub syn Faleja syna Elasa z grodu Uruk, przyjaciela stryja twego. Takie, a nie inne słowa kazał mi powiedziec Ab - Raham. Miastu grozi niebezpieczeństwo wielkie...

- Jakie? Czy znów obce wojska nadciągają?

- Nie wiemy jakie i Ab - Raham tego nie wiedział. Lecz idąc tutaj widziałem zwierzynę leśną uciekającą z doliny na góry.

- Ubiegłej nocy ktoś podpalił studnie smołowe, zapewne na złość królowi, i dlatego zwierzyna uchodzi...

- Synu Arana, nie przysłano nas na próżno. Miasto jest zagrożone. Liczba dziesięciu sprawiedliwych może je ocalić... Wymień ich! Dziesięciu sprawiedliwych, obleczonych w

uczciwość mężów... Gdzie ich szukać?!

- Nie tu w żadnym razie! - Lot roześmiał się szyderczo. - Dziesięciu sprawiedliwych w tym przeklętym grodzie?! Szalony, kto to wymyślił!

- Stryj twój Ab - Raham rzekł: Lot syn Arana jest sam sprawiedliwy, przeto będzie znał takich jak on, gdyż podobny podobnemu rad...

- Nie jestem sprawiedliwy - zakrzyknął Lot z goryczą. - Nie jestem! Byłem może sprawiedliwy kiedyś... Dawno przestałem. Jestem niesprawiedliwy, gdyż codziennie patrzę, jak się niesprawiedliwość dzieje. I nie znam ani jednego sprawiedliwego...

- To nie może być, synu Arana! O istnienie miasta chodzi! Pomyśl, szukaj, wskaż!

- Zaprawdę, chłopcze, choćby o moje życie chodziło, nie powiem ci nic innego, jak że w tym grodzie nie ma sprawiedliwych. Gdyby się taki uchował, uciekłby stąd dawno lub zginął...

- Miejsce dla Bary syna Henosa! - rozległo się wołanie. Czarni niewolnicy poprzedzający orszak królewski usuwali tłum pod mur. Towarzyszący królowi dostojnicy byli przeważnie nadzy ze względu na upał, niewiasty ledwie osłonięte przezroczyście muślinem, wszyscy w wieńcach i klejnotach, wszyscy podnieceni widokiem krwi, która przed chwilą spływała obficie w fale jeziora nie łącząc się długo z wodą.

- Cóż to za piękny chłopiec, Hebrajczyku, i czemuś tak podniecony? - zapytał skrzekliwie Lota gruby mąż w koronie z piór, naśladowujący strojem boga Beesa. Miał równie pokraczną głowę, krótki tułów. Zwał się Samael.

- Czy znasz dziesięciu sprawiedliwych w tym grodzie?

- Nie rozumiem, co chcesz, Hebrajczyku?

- Dziesięciu mężów sprawiedliwych, obleczonych w uczciwość, bojących się bogów?

Grubas roześmiał się głośno, przytrzymując ręką pióra na głowie.

- Na wonne łono bogini, miłej opiekunki grodu! Nie znam ani dwóch sprawiedliwych! Ani jednego! Znam za to tysiąc łajdaków, tysiąc rozpustników, tysiąc bezbożnych, tysiąc oszustów...

- Ten chłopiec przybył z daleka i mówi, że jeżeli w grodzie nie znajdzie dziesięciu sprawiedliwych, gród zginie...

- Dawno nie masz sprawiedliwych w grodzie, a nie ginie...

- I dobrze mu się powodzi...

- Pokażcież tego proroka!

Sam król zatrzymał lektykę i wyrzwał z niej ubawiony. Bara syn Henosa nie zmienił się wiele przez ubiegłe lata. Wyłysiał, lecz zachował poprzednią tuszę i okrutny zmysłowy wyraz.

- Przyjdź jutro, chłopcze, do mego pałacu - rzekł łaskawie. - Okażę ci coś lepszego niż sprawiedliwość, gdyż łaskę królewską...

- Co to jest sprawiedliwość?! - wykrzyknęła któraś z niewiast.

- Zapytaj raczej, po ile sykli płacą ją na bramie...

- Jakiej miary? Kapłańskiej czy królewskiej?

- Mąż sprawiedliwy to taki, który mówi zawsze prawdę...

- Barbarzyńca zatem? Dziki pastuch z pustyni? Jakżebym śmiał obrażać naszą piękną Eglę mówiąc prawdę o jej latach?

- Głupiś, Kaacie - syknęła leciwa, suto wymalowana niewiasta.

- Albo Barze synowi Henosa powiedz prawdę o twoich uczuciach?

- Samalielu! Bara syn Henosa, oby żył wiecznie, zna serca swoich poddanych, wie, że go miłują, i zna, czego mu życzą...

Otyły król roześmiał się.

- Żeby go jak najprędzej zagryzły szakale? - poddał.

- Niewdzięczny! Będę mężem sprawiedliwym i prawdomównym, gdy rzekę, żeś najprzedniejszym na świecie królem pijaków!

- Jestem nim i pozostanę - przyznał Bara z dumą. - Chłopcze, jak cię zowią? Przyjdź jutro rano do mego pałacu. Urodziwy jesteś...

- Zowią mnie Segub, syn Faleja... Królu, żyj wiecznie! Racz wysłuchać mej mowy... Przysłali mnie kapłani z Ur, by ostrzec przed niebezpieczeństwem... Bogowie zesłali znaki bardzo groźne... Ciebie na zegarze...

Powszechny wybuch śmiechu zagłuszył jego słowa.

- Piękny Segubie, zali wierzysz w bogów? My nie. Odkąd Bara syn Henosa, oby żył wiecznie, puścił arcykapłana El - Gada na fale jeziora, w którym zatonać nie można, a żołnierze dzień i noc czuwali z włóczniami odpychając go, gdy się przybliżał do brzegu (pewno pływa jeszcze, bo w soli ciało nie gnije, a ryb w jeziorze nie ma) - bogowie stali się potulni jak baranki. Kapłani sprawują wróżby zawsze pomyślne i zadowolają się byle czym...

- Zdarza się nawet, że nie zgłaszają się po ofiary... Dzisiaj na wybrzeżu nie było ich wcale...

Król skinął ręką, biegacze ruszyli, orszak wyszedł z bramy. Za królewską lektyką niesiono inne. Stara, umalowana kobieta o spróchniałych zębach wyjrzała z jednej z nich.

- Młodzieńcze - sepleniała - przyjdź do mnie. Przyjdź zaraz. Dam ci podarki piękniejsze niż królewskie... Przyjdź!

- Smaczny kąsek dla ciebie, Jehelio! - śmiano się wokół. - Nie idź, Segubie synu Faleja! Nie idź, bo zginiesz!

- Ta niewiasta kąpie się co dzień w gorącej krwi młodych dziewcząt albo chłopców... Skupują dla niej niewolników, których zarzyna jak barany... Strzeż się, Segubie! Sprzykrzysz się i pójdziesz na kąpiel...

- Nie wierz złośliwcom! Przyjdź! - piszcziała natarczywie stara...

Niepostrzeżony Zamma, okryty jak poprzednio płaszczem, wszedł do bramy i nachylił się ku bratu.

- Kapłanów nie ma - szepnął. - Świątynia i wieża kapłańskie puste... Nie ma nikogo... W drugiej świątyni to samo... Szukałem wszędzie, nie znalazłem nikogo...

- Uciekli... - domyślił się Segub.

- I ja tak sądzę, bracie.

Zastanowili się obaj, co począć. Jehelia nie otrzymując odpowiedzi wysiadła z lektyki. Segub wzdrygnął się, poczuwszy jej pożądlivą chudą dłoń na ramieniu.

- Pójdź ze mną - powtarzała. - A ty nie zatrzymuj go!

Odrącała Zammę, któremu płaszcz zsunął się z głowy i oniemiała.

- Na wszystkie bogi! Jest ich dwóch! Jest ich dwóch!

- W oczach ci się dwoi, Jehelio!

- Jehelia ma słuszość! Patrzcie! Jest ich dwóch! Ludzie czy demony?! Mówcie, młodzieńcy, skąd jesteście? Przybywacie z nieba czy z głębin ziemi?!

- Jehelio masz szczęście. Jeden dla ciebie, drugi dla króla...

- Pójdźcie ze mną obaj! - skomlała pożądlivie stara.

Lot, acz niemniej od innych zdumiony, ujął obu braci pod ramiona.

- Chodźcie do domu mojego - rzekł. - Gośćmi moimi jesteście. Ab - Rama syna Tarego czczę i miłuję jak ojca rodzzonego. Pozdrowiony, kto przychodzi w imię Ab - Rama!

Usunął szorstko Jehelię i powiódł przybyszów do siebie.

- Parno, duszno, pierś moja nie ma czym oddychać - narzekała Idith leżąc na jedwabnych poduszkach rozłożonych na tarasie. Była jeszcze urodziwa, bardzo strojna, choć strój ten modą sodomską składał się głównie z nagości i klejnotów. Z bliska, pod obfitą warstwą barwiczki widniały na twarzy niewiasty liczne zmarszczki. Jeden ząb miała wyłamany z przodu, nosiła przeto nezem dłuższy i szerszy niż dawniej, kładący się na wardze, by zasłonić szczerbę. Pomna na ten brak, Idith uśmiechała się tylko połową ust i mówiąc zaciskała wargi, co nadawało jej wyraz posepny. - Pragnę z tej duszności - powtórzyła. - Podajcie mi wodę.

Starsza córka Thamar, siedząca bliżej, wręczyła matce kubek wody z winem. Po wierzchu pływały płatki różane, dodane dla zapachu. Obie dziewczyny, szczególnie młodsza, rudowłosa Lilith, były bardzo piękne. Były jeszcze bardzo piękne, gdyż aczkolwiek młode, ujawniały wiek, w którym życie niewiasty płynie zazwyczaj przy boku męża i dzieci. Powinny były zostać wydane za mąż przed pięciu czy sześciu laty i czuły się głęboko nieszczęśliwe, iż tak się nie stało. Nie stało się zaś, gdyż ojciec ich, Lot, mając w obrzydzeniu Sodomę i sodomskie obyczaje, zaprzysiągł, iż wyda córki za uczciwych młodzieńców pochodzących z innych stron. Starczyło mu odwagi, by taką przysięgę złożyć, a nie starczyło, by owych mężów poszukać. Zamierzał wciąż pójść w odwiedziny do stryja, znaleźć zięciów pośród swojego plemienia, lecz o tym Idith nie chciała słyszeć. Natrząsała się z męża, że za pastuchów chce wyswatać córki i nabuntowała dziewczęta, by się nie zgadzały. Zmartwiony i pokonany Lot ograniczał się więc na razie do czekania na szczęśliwy traf, który by kandydatów na zięciów przywiódł z innych stron do domu, i do pilnowania córek, by nie stały się jako inne panny sodomskie. To ostatnie nie byłoby mu się nigdy udało, gdyż zarówno Thamar jak Lilith miały natury ogniste, wiadomo zaś, że łatwiej wiatr w miechu utrzymać, niż dziewczynę upilnować, Lot znalazł jednak niespodziewanego sojusznika w osobie Idith. Mężczyznę kobieta zawsze wywiedzie w pole. Drugiej kobiety nigdy. Idith strzegła drapieżnie swych córek pozorując to troską o ich przyszłe dobro, w rzeczywistości kierowana obawą, że młoda krasa dziewcząt zgasi jej przekwitłą urodę. A czas mijał i lata płynęły.

Unosząc ostrożnie nezem wypielęgowanymi palcami o barwionych purpurowo paznokciach Idith dmuchnęła na płatki różane i przyłożyła kubek do ust. Skrzywiła się przy tym z niesmakiem.

- Ciepła?! Wstrętna! - sarknęła, odstawiając napój. - Kora trzymała ją chyba umyślnie na słońcu! Za Selli woda była zawsze chłodna...

- Szkoda, szkoda Selli... - powtórzyła Lilith.

W głosie dziewczyny był wyrzut. Sella, nieoceniona, wierna niewolnica, odebrała sobie życie podsłuchawszy, iż została na dwa lata wydzierżawiona znanej okrutnicy Labii. Idith potrzebowała wówczas gwałtownie pieniędzy i dlatego ustąpiła prośbom sąsiadki. Chodziła potem wściekła przez miesiąc, straciwszy zarazem pieniądze i biegną w układaniu włosów niewolnicę.

- Przynies świeżej wody - rzekła teraz gniewnie do Lilith.

Dziewczyna zesła na dół migocząc w słońcu świetną barwą włosów. Idith przeciągnęła się na poduszkach i znów narzekała na duszność.

- Będzie burza - stwierdziła Thamar spoglądając nad poręczą w głąb doliny. - A studnie smołowe wciąż dymią...

- Król wbije na pal sprawców tego figla. Ileż to smoły przepadnie!

- Powiadają, że nikt ich nie podpalał... Same zapłonęły. Spójrz, matko, całe stada ptaków lecą od lasu ku górcom... Nigdy takich stad nie widziałam...

- Pewnie król poluje z sokołami...

- Król niedawno wracał z wybrzeża, gdzie składał ofiary... To nie on poluje... Spójrz, matko! Jaka dziwna chmura nad jeziorem!

- Spójrz, matko! Spójrz, matko! - przedrzeźniała Idith niezadowolona. - Chora jestem z gorąca, a córka chce, bym kręciła głową ustawicznie, patrząc na ptaki lub chmury... Zaprawdę! Nie dbasz o matkę!

Skarcona Thamar umilkła, rozglądając się dalej po niebie. Zdawało się ono inne niż zazwyczaj. Wtem na dole posłyszała kroki i głosy. Głowa Lilith zajaśniała nad otworem schodów.

- Ojciec przywiódł dwóch młodzieńców! - krzyczała radośnie rudowłosa. - Pójdź! obmyjemy im stopy!

Gdy rozbawiona gromada jeła kołatać do drzwi domu Lota, miasto osnuwał przedwczesny, niezwykajny zmierzch. Chmura, która poprzednio zwróciła uwagę Thamar, nadciągnęła bliżej, zgęstniała. Słońce padające spod nawisłego sklepienia obłoku miało barwę jaskrawożółtą. W tym świetle przedmioty zmieniały naturalne barwy. Trawa zdawała się płowa, szafir amarantem, twarze ludzkie zielonawoblade. Jezioro znikło sprzed oczu, pokryte nieprzeniknioną mgłą pary. Za tą osłoną słyhać było świsty i szum, niby burzy, choć najlżejszy powiew nie poruszał liści. Nie zważając na to pijana cizba weselników dobijała się gwałtownie do drzwi.

- Ohe, ohe, Locie, Hebrajczyku! - wołano. - Otwórz nam! Wyjdź tu!

Acz niechętnie, Lot wyszedł przed dom. Obskoczyli go natychmiast.

- Gdzie młodzieńcy piękni jak aniołowie? Pokaż nam!

- Skryłeś ich dla swoich córek, chytry cudzoziemcze! Nie uda się ta sztuka! Wypuść gości!

- Obaczym, zali demony są albo śmiertelni!

- Szerzą popłoch! Winni zostać ukarani!

- Sądziliśmy, który skaże ich na utopienie w winie!

- Lub wydanie na łup naszym kobietom...

- Mnie! Mnie! - skomlała stara Jehelia.

- Na piersi bogini! Tego nie uczynim. Trzeba mieć litość nad ludźmi...

- Mężowie sodomscy! Posłuchajcie moich słów: Natrząsacie się z bogów i oto bogowie przyszli, by się wam ukazać...

- Ha! Ha! Przednio mówisz, Samalielu! Hebrajczyku! Wypuść nam tych bogów!

Lot oparł się silnie o drzwi.

- Przyjaciele - rzekł pojednawczo. - Niech ustanie wrzawa wasza. Młodzieńcy są gośćmi moimi, nie wydam ich z domu, aż sami wyjść zechcą...

- Znamy cię! Aż córki wyswatasz! Puść nas! Sami ich weźmiemy!

- Nie puszczę.

- Ejże, ejże, nie puścisz? Królewski rozkaz mamyż przynieść?

- Niechajcie króla, bo zdobycz sobie zabierze... Belkę dawajcie tu, a żywo!

- Wywalimy drzwi przybłądy!

Początkowe żarty zmieniły się w gniew przeciw cudzoziemcowi, który przeciwstawiał się zachciance. Lot był zrozpaczony. Wyniesione z młodości, wysrane z mlekiem matki pojęcie o świętym prawie gościnności nakazywało mu bronić przybyszów, choćby kosztem własnego życia. Próbował jednak jeszcze przekonywać.

- Mężowie i niewiasty sodomskie - zaczął. - Młodzieńcy przełamali chleb mój. Sól jest między nami. Wszystko, czego chcecie, dam, ale pozostawcie ich w spokoju...

- Próżno otwierasz usta swoje! Niczego nie chcemy, krom tych dwóch!

- Dawaj ich!

- Wyprowadzę wam niewiastę moją, byście swoje psoty z nią czynili...

Powszechny ryk śmiechu. Pijani zataczają się z uciechy na ściany.

- Starą Idith?! Znamy ją aż nadto dobrze! Zatrzymaj sobie, daj chłopców.

Lot po raz pierwszy w życiu zdobył się na bohaterstwo.

- Wywiodę wam córki moje - zakrzyknął - ale młodzieńców zaniechajcie!

Nowe wybuchy wesołości.

- Twoje córki dawno zjełczały! Należało to uczynić wcześniej! Późno się z nimi napraszasz!

- Dość gadania! Gdzie jest belka?!

- Stójcie! Stójcie! Co to? Na bogi, co to się dzieje?!

Zdało się wszystkim, że ziemia pod stopami wzdrygnęła się długim, utajonym dreszczem. Gałęzie drzew zaszeleściły, choć wiatru, by najmniejszego, nie było.

Nim ochłonęli, w głębi ulicy przeraźliwy krzyk:

- Biada! Biada! Bogowie uciekają z grodu!

Zaroilo się od ludzi. Od strony świątyni tętent. Uskakiwano pośpiesznie na boki, gdyż z rozwianą grzywą, płonącymi chrapy pędziły święte konie strzeżone zwykle przez kapłanów. Gromada oblegająca dom Lota wybiegła na środek drogi.

- Nie puścić ich! Stój! Stój!

Kary ogier zatrzymał się na chwilę wachając ziemię, grzebiąc kopytem. Naraz z przeraźliwym kwikiem wspiał się prostopadłe w górę i runął na tłum. Zaledwie zdążono paść na ziemię, rozbiec się w popłochu. Biała jak mleko klacz skoczyła w wyłom i poszły, grzmiąc kopytami. Przeleciały pędem bramę obalając usiłujących zatrzymać je strażników i długo słyszano tętent na drodze. W tym czasie Lot wpadł do domu i drzwi od wewnątrz podparł silnie kołem.

POdczas tych zająć Idith z córkami i obaj bliźniacy spożywali posiłek podany na tarasie. Wykwintne były potrawy, wykwintne naczynia. Idith śledziła spod oka wrażenie, jakie ten zbytek czyni na gościach, lecz oni pochłonięci byli czym innym.

- Wyjdźmy z grodu - namawiał Segub. - Tylko głupcy lub szaleni śmieją się w podobnej chwili. Komu widok słońca miły, niech uchodzi przedłużając dni swoje...

- Uchodźmy! - zawołały równocześnie dziewczęta ochoczo. Nie dbały o niebezpieczeństwo, z którego nie zdawały sobie sprawy, lecz zdało im się cudną rzeczą iść w świat z tymi oto młodzieńcami.

Idith zatrzęsła się z gniewu. Złoty nezem poruszał się żywo na wargach, gdy szybko mówiła, że nie myśli uchodzić donikąd. Po co? Dlatego, że burza nadciąga? Gdy burza szaleje, najbezpieczniej pozostawać we własnym domu... Czy kto inny ucieka z grodu? Król? Kapłani? Chyba nie brak im rozumu i dbają o swoje dusze...

- Niewiasto - wtrącił Zamma - kapłani uciekli. Byłem w świątyniach, w których już nie masz nikogo...

Machnęła ręką lekceważąco.

- Pewnie znów królowi chcieli złość okazać... Wierzajcie młodzieńcy, uciężne są one ciągle

spory między Barą synem Henosa a kapłanami... Kto wie, zali nie oni podpalili studnie, by lud nastraszyć, a króla na straty narazić...

- Niewiasto, uczyn według myśli swojej. My wyjdziemy, skoro tylko powróci gospodarz, mąż twój, gdyż nieprzystojnie byłoby odchodzić nie podziękowawszy mu za gościnę. Nas przysłano aż z Ur, z tamtej strony wielkiej pustyni, by ostrzec kapłanów, że miastu grozi niebezpieczeństwo... Zali uczyniono to dla żartu lub na złość królowi?

Nie wiedziała, co powiedzieć, lecz uparcie potrząsała głową. Postanowiła nie ustąpić i zostać. Córek od siebie nie puścić. Kierowały nią zazdrość i chciwość. Poniechać tyle dobra, cały majątek... Za nic!

Lot wrócił, wzburzony przeprawą z weselnikami i niespokojny.

- Straszno jakoś - rzekł. - Zdało mi się przed chwilą, że ziemia westchnęła... Święte konie wyrwały się ze świątyni i uciekły z grodu... Spójrzcie, jak studnie smołowe goreją!

Obrócili się w stronę, którą ukazywał. W gęstniejącym, niezwykajnym mroku buchały spomiędzy drzew czerwone słupy ognia, oświetlając bliskie gałęzie.

- Zali ich było tyle? - powątpiewał. - Zali znajdowały się tak blisko?

- Nigdy podobnie nie gorzały, tośmy ich liczby nie znali...

- Straszno jakoś - powtórzył Lot.

- Synu Arana, weź rodzinę twoją i uchodźmy wszyscy z tego miejsca.

- Gdyby w tym grodzie znalazło się dziesięciu mężów sprawiedliwych, nie spadłby włos z głowy niczyjej... Skoro ich nie ma, miasto zginie... Tak powiedział Ab - Raham, twój stryj...

Idith parsknęła złym śmiechem.

- Ab - Ram! Ten pastuch owiec?! Zaprawdę, głośny to mędrzec... Cóż powiedział mędrzec Ab - Ram?

Nie otrzymała odpowiedzi, gdyż w tejże chwili dom zakolebał się gwałtownie jak statek na wodzie. Zakołatały drzwi, zatrzeszczały schody, jęły pękać mury, a chwianie nie ustawało. Upadli wszyscy na ziemię. Cienkie naczynia ze szkła i białej cennej gliny potoczyły się tłukąc i dźwięcząc.

- Uciekajmy, póki czas! - krzyknął Segub.

Macając w nagłej ciemności rękoma, czepiając się z trwogą chybotających schodów zeszli na dół. Służba widocznie uciekła. Drzwi były otwarte na ulicę, lecz nikt już nie dobijał się do domu. Idith nie tracąc przytomności porwała szkatułkę z klejnotami ze swej izby i trzymając ją kurczowo, wyszła za mężem. Ziemia zatrzęsła się znowu. Ujrzeli, jak stojący naprzeciwko pałac podał się w tył, potem wprzód, jak człowiek pijany, kolumny stojące z przodu ugięły się z wolna, niby nogi podcięte

w kolanach, ściany budowli stały się przez chwilę wypukłe, podobne bokom dzbana, po czym cały gmach zapadł się zasypując gruzem szerokość ulicy. Padając niewątpliwie spowodował gwałtowny huk, lecz nikt go nie słyszał w przejmującym wrzasku wypełniającym nagle miasto. Zewsząd waliły się domy. Ulica zapchana teraz była uciekającymi, jak wezbrana rzeka rwącą wodą. Ciemność panowała prawie zupełna, wywołana nie wieczorem, lecz gęstą, niską chmurą. Twarze miały kolor popiołu. W mroku pchano się, walczono o to, kto pierwszy. Dwie niewiasty jadące z dzieckiem na osle otarły się o stojących. Uciekający mężczyzna zmiótł je jednym uderzeniem pięści i sam dosiadł osła, bijąc go zawzięcie piętami. Lecz zwierzę nie mogło pośpieszać, uwięzione w tłumie. Zapora z kamieni zwalonego domu wstrzymywała uciekających. Padali na nią w rozpędzie, klęli straszliwie, przewracali się, deptali jedni po drugich.

- Z drogi! Z drogi! - Znany wrzask czarnych Sudańczyków noszących lektykę króla. Wielcy i silni, pędzili waląc pałkami po głowach, torując sobie przemocą drogę. Lektykę królewską rzucili dawno na ziemię, myśląc tylko o własnym ocaleniu. Bara syn Henosa wypełził z trudem spod przewróconego pudła i zziębnięty, spocony, pchał się ku bramie wraz z innymi. Krzyczał przeraźliwie: - Do mnie, mężowie sodomscy! Wspomóżcie waszego króla! Nagrodzę was hojnie!... - Nikt nie zwracał na niego uwagi. Głosy niewieście wyły przejmująco w ciemności. Płakały dzieci. Nad te głosy wybił się wrzask: - Niewolnicy rabują domy!

Tłum zakołysał się na moment. Byli, co chcieli zawracać, bronić swego mienia, rozsądniejsi parli naprzód, byle dalej od walących się murów. Nikt nie oszczędzał nikogo. wyrrywano sobie włosy w ścisku, łamano kości, podstawiano wzajemnie nogi. Naprzód! Naprzód! Stłoczyli się w szanice, sami sobie zamykali drogę. W bramie żywy taran splątanych, wrzeszczących ciał nie przepuszczał nikogo.

- Nie przejdziemy tędy! - wołał Segub. - Próbujmy przez inną bramę!

Lecz niepodobieństwem było iść pod prąd napierającej fali. Ziemia dygotała znowu, czuli pod nogami jej pulsowanie, niby tętno zgonionego zawodnika. W nozdrza uderzył smród zwierzęcy. Nie osioł tym razem, lecz lew otarł się tuż o nich. Za nim w susach przeskakiwały ludzi dwa lamparty. Rozpadły się ściany cyrku, gdzie trzymano dzikie zwierzęta dla igrzysk, i teraz uciekały nie zwracając uwagi na ludzi, przesadzając zapory. Obłok wiszący nad miastem dźdżył popiołem miałkim, gęstym. Popiół pokrywał całunem wszystko, że choć jeszcze żywi, zdawali się już umarli.

- Znam tajne przejście w murze, tuż za domem! - przypomniał sobie Lot.

Skoczyli w tę stronę. Nie używana od lat furta, ta sama, przez którą Hibal wymknął się niegdyś po ratunek dla swego pana, była zabita na głucho ćwiekami. Z siłą rozpaczy śmiertelnej Lot z bliźniakami oderwali ćwieki. Z zewnątrz muru zwieszały się gęste pnącza tamujące drogę. Z trudem wywikłali się, stanęli w pustce i ciemni poza murami grodu. Nie mieli czasu odetchnąć. Bracia porwali dziewczęta za ręce, Lot żonę i zaczęli biec. Świat wokół wyglądał przerażająco. Pochodnie studzien gorzały, zabarwiając czerwono obłok wiszący nad miastem. Jak w przepowiedni, niebo zdało się miedziane. Oczy, gardła, nosy mieli pełne popiołu i nieokreślonego trującego czadu, odbierającego przytomność. Słaniali się biegnąc. Naraz Idith stanęła jak wryta.

- Moje klejnoty! - jęknęła, krztusząc się popiołem. - Zostawiłam moje klejnoty w przejściu w

murze!

- Niech zginą! Mniejsza o nie, niewiasto! - odparł Lot ciągnąc ją za rękę. Lecz ona wyrwała się ze złością.

- Wrócę po moje klejnoty! Dogonię was!

- Zginiesz! Chodź!

- Nie zginę! Dognam!...

Chciał ją przytrzymać siłą, umknęła mu i zawróciła staczając się ze zbocza. Przez krótką chwilę widziano jej suknię bielejącą w szarej oćmie.

- Kto chce, niech ginie! - krzyczał Segub. - Uciekajmy! Żywo!

Porwali za ręce Lota, zmuszając, by szedł z nimi, gdyż wahał się, gotów biec za żoną.

- Nie pójdiesz, ojczy! - łkały dziewczęta.

- Uciekajmy! - powtarzali chłopcy. - Jeżeli wróci, poczekamy na nią na wzgórzu!

Biegli bez tchu. Dusili się. Omdlewali. Wypadli wreszcie na pierwszy za miastem pagórek i przystanęli. Zastygli z grozy. Bo w tejże chwili rozdarł się obłok pary zakrywający cały dzień Słone Jezioro i z wnętrza głębiny trysnął słup dymu, ognia i wody. Z ogłuszającym rykiem sięgnął poprzez chmurę popiołu ku niebu, rozpełzł się na kształt potwornego grzyba, ognistego drzewa, którego gałęzie sięgnęły nad gród i spadły deszczem ognistym na domy i ludzi stłoczonych u bram. Więc przerażeni straszliwym widokiem biegli znowu, padali, dźwigali się z trudem, chwyтали powietrze w spalone gardła i powietrze to cięło tchawicę nożem. Chmura płonąca goniła za nimi, sięgała głów, mieli osmalone włosy, trawa paliła się przed ich stopami, krzewy skręcały z gorąca, tliły się szaty dziewcząt. Gasili je dłońmi, rżęzili, ustawiali, ostatnim wysiłkiem biegli na wyprzódki z ogniem, aż dopadli wyżyny, na której, niby miłosierny powiew Łaski, uderzył ich lica chłodny dech wschodniego wiatru wstrzymującego pożogę.

Powlekli się jeszcze parę kroków i padli na ziemię jak martwi. Ziemia tutaj nie płonęła, popiół nie leciał z góry, dym nie dusił. Znajdowali się na pograniczu świata żyjących i świata potępionych, otchłani ognistej, z której nie było wyjścia ni ratunku. Nie pojmowali, jakim cudem żyją. Spoglądali na dolinę, co przed paru godzinami zaledwie stanowiła raj zielony, cienisty, rozkoszny, zmienioną w czeluść huczącą jak piec płonący przed bogiem Bees, potwornym karłem, w który miotano dzieci. Ogień tryskający z ziemi krzyżował swe race podobne pióropuszmom płomienistych palm z ogniem padającym z nieba. Z głębi jeziora nie przestawały wystrzelać kłęby żaru przetkane rozżarzonymi kamieniami spadającymi gradem wokoło. Widzieli, jak pod pociskami ognia wzgórze skakały niby owce, a lasy kładły się niby zboże. Płomienie buchające z ziemi były ciemnoczerwone, z jeziora - olśniewająco białe, z pokładów siarki i sodu znajdujących się na wybrzeżu - zielone, fioletowe i żółte. Padający bez przerwy deszcz popiołu prześwieconego ogniem, połączony z dymem, zasnuwał wszystko. Chwilami zasłona ta rozdzierała się pozwalając dojrzeć mury grodów, jeszcze stojące,

jeszcze świecące trupią bielą, lecz wnet ogień zakrywał je znowu, aż żywioł płomienia wypełnił całą dolinę po brzegi, jak woda wypełnia misę.

ROZDZIAŁ PIĄTY GRZECHY ŚWIATA

Czas dłużył się niepomiaralnie Ab - Rahamowi i Falejowi, synowi Elasa. Pierwszy niepokoił się o gród zagrożony zgubą i o mieszkającego w tym grodzie bratanka, drugi o synów gorąco umiłowanych. Drugiego dnia po ich odejściu Ab - Raham poszedł nocą sam jeden na wzgórze i ujrzał w południowo - wschodniej stronie łunę rozlaną szeroko na niebie. Źródło jej zdawało się być ukryte, a to, co widział Ab - Raham, stanowiło odbłask pożaru rzucony na niebo. Serce ścisnęła mu trwoga, znaczyło to bowiem, że ogień był bardzo wielki. Stał długo, patrząc i myśląc, zali możliwe, by w ludnym grodzie nie znalazło się dziesięciu sprawiedliwych mężów. Bo Pan nie mógł chybić obietnicy. Powróciwszy do obozu Ab - Raham nie powiedział nic Falejowi o dojrzanej łunie, gdyż stary i tak nie spał z niepokoju. Nareszcie piątego dnia z rana nadeszli obaj chłopcy. Trudno ich było rozpoznać, bo piękne kędziory włosów mieli osmalone, to samo brwi i rzęsy, odzienie w strzępach, w licach powagę, jakiej poprzednio nie znali. Młodzieńcza beztroska pierzchnęła z ich dusz, którym dane było ujrzeć dzień Sądu Pańskiego. Lecz poza tym żywi byli, zdrowi, choć głodni i utrudzeni. Jedząc, opowiadali wszystko, czego byli świadkami. Od obrazów przywoływanych odchodziła ich chęć jadła i prosili ojca, by odsunął misę, gdyż gardła im się kurczyły na samo wspomnienie, a oczy poszerzała groza. Zeszli się wszyscy mężowie plemienia i siedli w krąg słuchając ze drżeniem. I uwielbiali Boga Ab - Rahama słysząc z ust chłopców, że zagładę grzesznych miast zapowiedział, podczas gdy bogi sodomskie nie przemówiły do nikogo i spłonęły jak kłody w pożarze. Z radością posłyszał też Ab - Raham, że młodzieńcy odprowadzili Lota z córkami aż do bramy miasta Segor stojącego na wyżynie, dokąd płomienie nie sięgały, że przeto krewniak jego żyw jest i bezpieczny. Pragnął zatrzymać Faleja i jego synów w obozie, ażeby przyszli do siebie, lecz chłopcy, ledwo odpocząwszy, nalegali na ojca, aby się zbierał do drogi. - Kapłani gniewaliby się widząc, że czas mitrzymy - objaśniali.

- Jakoż kapłani mogą widzieć, co czynicie, po drugiej stronie pustyni będąc? - dziwił się Ab - Raham.

- Mają oni tajemne sposoby, których nie znamy, ale nieraz słyszeliśmy, jak gońcom wracającym powiadali: Tak a tak mówiłeś, to a to czyniłeś, i wszystko to było prawdą... Nie chcemy, by nam byli krzywi, bo pierwszy raz wysłano nas tak daleko...

Nie mógł nic Ab - Raham przyganić tej mowie i zegnali się. Przed odejściem bliźniacy szeptali jeszcze o czymś z ojcem swoim, zaczem Falej syn Elasa pokłonił się przyjacielowi:

- Powiadają - rzekł - synowie moi, Segub i Zamma, że bardzo im się udały dziewczyny twego bratanka Lota syna Aranowego. Urodziwe panny podobno i zdały im się odmienne od innych córek sodomskich. Chcieliby je pojąć za żony. Nie śmieli o tym Lotowi mówić, bo sługami świątyni będąc, muszą pierw otrzymać zezwolenie kapłanów. Nie zastawia nikt sideł na ptaki nie ułożywszy się wprzód z panem lasu... Zdało mi się jednak właściwym, Ab - Rahamie, zapytać cię, co o ich zamysłach mniemasz. Gdyż dla sługi twego byłoby wielką radością móc się spowinowacić z rodem twoim...

Ucieszył się szczerze AB - Raham i odparł:

- O córkach swoich Lot sam stanowiąc będzie. To jeno rzekę, Faleju, iż lepszych zięciów nie znajdzie w całej krainie; że zaś twoi chłopcy, Segub i Zamma, uratowali owe panny od śmierci, słusznie się im one należą... Dorozumiewam się też, że Lot nic nie posiada, straciwszy cały dobytek w pożarze, dam więc jego córkom wiano, jak gdyby moimi były...

Wypili z uciechą wina na tę przedwstępną ugodę, po czym ojciec z synami odeszli. Ab - Raham oczekiwał z dnia na dzień nadejścia Lota i dziwił się, że bratanek zwleka. Gdzie się zatrzymał? Dlaczego nie przybieżał wprost do stryja swego? Znikła przeszkoda, jaką stanowiła Idith. Ab - Raham wybierał się sam szukać krewniaka, to znów zamierzał posłać Elizera, ale pora jesienna niosła jak zwykle wiele kłopotów i prac gospodarskich, wymagających obecności pana i jego wiernika. Gdy pierwsze deszcze, bardzo obfite w tym roku, lunęły na ziemię, Ab - Raham postanowił wyruszyć po Lota na wiosnę. Tymczasem gdy ulewa więziła wszystkich w namiotach, rozmyślał uparcie o niepojętym zdarzeniu. Przypominał sobie każde słowo opowiadania chłopców, łączył je z łuną złowrogą, którą sam w nocy oglądał, i zdumiewał się w duchu, że obecność takiej garsteczki, dziesięciu sprawiedliwych mężów, mogła uchylić straszliwe wypadki i ocalić od śmierci wiele tysięcy ludzi. więc takąż wagę posiada sprawiedliwość w oczach Pana?!

- Lot syn Arana przyszedł - obwieścił któregoś dnia Mosa, po czym poprawił się: - Przyszedł mąż, który powiada o sobie, że jest Lotem synem Arana.

- Gdzie on?! - zapytał Ab - Raham uradowany.

- Tam pozostał, czekając...

Wskazywał ręką przeciwległe wzgórze, to samo, na którym kiedyś ukazali się Trzej Mężowie Światła, a nocą gniewu Pańskiego widać było łunę płonących miast Sodomy i Gomory. Ab - Raham pobiegł naprzeciw bratanka. Spieszył, aż płaszcz rozwiewał mu się na ramionach. Widząc nadchodzącego, człowiek siedzący na kamieniu podniósł się i postąpił w przód kilka kroków. Lot to był? Ab - Raham pojął teraz zastrzeżenia Mosy. Lot niewątpliwie, lecz zmieniony do niepoznania, stary, przygarbiony, obrosły, z zastygłym wyrazem osłupienia na twarzy, odziany w suknię wyplamioną i podartą, okryty płaszczem z koziej sierści, zbijanej, nie tkanej, jaką najbiedniejsi pasterze noszą. Upadł na ziemię przed stryjem, łkając. Daremnie Ab - Raham usiłował dźwignąć nędzarza, uściskać. Lot nie dał się podnieść i płakał.

- Gdzie twoje córki? - pytał niecierpliwie Ab - Raham. - Czemuś tak długo nie przychodzi? Czekałem na ciebie. Pójdź do domu mojego, który jest domem twoim.

Lot potrząsnął przecząco głową.

- Nie pójdę, stryju, i nie dotknę ciebie, aż wszystko opowiem.

- Żadną miarą tak nie uczynisz. Obmyjesz się wprzód, przydziejesz, nasycisz i dopiero wylejesz przede mną duszę twoją.

Brał go pod ramiona, lecz Lot z niezwykłą u niego stanowczością oparł się stryjowi.

- Tutaj wyleję przed tobą duszę moją i nie ruszę się, aż to uczynię!

- Niech będzie zatem, jak chcesz. Wiem już, co cię spotkało - rzekł Ab - Raham serdecznie. - Synowie Faleja, Segub i Zamma, bywający tutaj, opowiedzieli mi wszystko...

A wiedząc, jak Lot czule kocha swoje córki, domyślając się, iż trapi go myśl, jak je wyda bez posagu, dodał z uśmiechem:

- Udały im się twoje córki i przyjdą niebawem do ciebie prosić o nie za żony. Ja będę je wianował...

Zdumiał się, bo Lot na te słowa wybuchnął takim płaczem, jakby mu serce pękało. I padł znów na ziemię mokrą od deszczu, i bił w nią głową, i trząsał się cały. Ab - Raham nie wiedział, co począć, i pomyślał, że Lot od widoku nieszczęścia oszalał. Zaprawdę, nie byłoby w tym nic dziwnego! Usiadł na kamieniu, z którego poprzednio powstał Lot, i czekał, aż płaczący wypuści wszystkie łzy swoje, gdyż nic innego nie zostawało mu do czynienia.

Nareszcie Lot uspokoił się, podniósł głowę, otarł brudną dłonią oczy i usiadł na ziemi.

- Chodźmy do obozu - rzekł Ab - Raham ze współczuciem.

- Nie pójdę. Raczej wprzód, stryju Ab - Rahamie, wysłuchać wszystkiego, co się przydarzyło, odkąd synowie Faleja odeszli ode mnie...

Okrył połą opończy zziębnięte kolana i podnosząc zmizerowaną, splakaną twarz ku stryjowi opowiadał:

- Pytali mnie Segub i Zamma, dokąd chcę pójść. Powiedziałem, że do grodu Segor, położonego na wyżynie, gdzie miałem przyjaciela. Odprowadzili nas do samej bramy i pożegnawszy się odeszli. W grodzie kto żyw, stał na murach, patrząc na ogień ze strachem wielkim. Poszedłem do przyjaciela mego, imieniem Saddai syna Isura, a gdy nas ujrzał, od bojaźni zakrzyknął, rozumiejąc, że duchy ogląda. Bo byliśmy jak ludzie wracający z piekieł, nieprzytomni, udręczeni, włosy mając osmalone, a cienkie szaty moich dziewcząt podarły się w ucieczce i prawie widziały się nagie. - Przyjmij nas, Saddai - rzekłem - wielka jest niedola nasza, gdyż uciekliśmy z Sodomy... On odpowiadając rzekł: - Żadnym sposobem nie możecie tu pozostać, bo choćbym ja się zgodził, inni skoro się zwiedzą, zabiją was. Sprowadziliście gniew bogów na wasze głowy i chcecie to samo uczynić z nami... - Daj nam, proszę - rzekłem - chociaż płaszcze, bośmy nadzy, i mleka lub wody, bo gardła wyżarł nam popiół, a dym spalił oczy... Saddai, dobry człowiek, wyniósł nam trzy płaszcze, takie jak ten, i po kubku mleka i bochen chleba, przynaglając, byśmy prędzej wychodzili... To bardzo dobry człowiek, więc ukazał nam jaskinię niedaleko od miasta położoną, do której zaganiał owce zimową porą, i poradził, byśmy się tam schronili. Powlokłem się z dziewczętami. Lilith osłabła całkiem, musiałem ją nieść, Thamar słała się i zataczała jak nieprzytomna. Noc była, lecz jasno jak w dzień od ognia, który ciągle leciał z nieba i buchał z ziemi. I patrząc z góry nie mogłem rozpoznać, gdzie była Sodoma, gdzie Gomora, gdzie Adana, jakby kto w kipiącym kotle chciał odnaleźć ziarenka kaszy.

...Znaleźliśmy jaskinię, o której mówił Saddai. Sucha była, a w kącie kupa zeszłorocznej

mierzwy. Wiedziałem, że lew ani lampart nie wyjdą na łowy tej nocy, można nie zagrażać wejścia. Zakopaliśmy się w mierzwę i owinęli płaszczami, ale żadne nie zasnęło. Dziewczęta płakały dygocząc i tuląc się do mnie. Widzieliśmy z jaskini ogień gniewu bogów szalejący wciąż w dolinie, a smród siarki i swąd dolatywały aż do nas. Zdawało nam się, że na całym świecie zostaliśmy się we troje, sami i przekłęci, i nie posiadający nic, prócz darowanych przez Saddai płaszczy z koziej sierści... Nogi mieliśmy poranione i poparzone, czego uciekając wcale nie czuliśmy. Siedzieliśmy w jaskini całą noc i cały następny dzień, i znów noc, nie śpiąc, tylko spoglądając ku dolinie, w której ogień zdawał się przygasać. Trzeciego dnia po południu chmury popiołu i dymu rozstały się nieco i zobaczyłem z przerażeniem wielkim, że jezioro wystąpiło z brzegów swoich i rozlało się na całą dolinę, od gór do gór. Gdzie przedtem był ogień, teraz stała woda. I pokryła szczątki grodów i drzew, i wszystkiego, co rosło i mnożyło się w dolinie. A miasto Segor zostało, oblane zewsząd wodą, stojące niby na cyplu skalnym wrzynającym się w jezioro, które było znów gładkie i spokojne, tylko dwakroć większe niż dawniej... I wciąż trwał smród siarki i swąd drapiący w gardle czadem nieznośnym... Dziewczęta nie mogły stąpać na stopy swoje całe w ranach, przeto powiedziałem im, by czekały na mnie spokojnie, a sam poszedłem brzegiem nowego jeziora, gdzie był dawniej gościniec w dół, i odnalazłem drogę, którą uciekaliśmy. Ziemia tam wszędzie spalona, nigdzie ni źdźbło nie pozostało, tylko popiół stężały i gruba warstwa soli... Mniemam, że wieki miną, a nic tam nie odrośnie... Bałem się dalej iść i już chciałem wrócić, ale zobaczyłem ją z daleka...

- Kogo zobaczyłeś?!

- ...Niewiastę moją, Idith... Zdało mi się, że to ona, bo postać jakoby kobieca zatrzymana w biegu, tuż nad samą wodą. Podeszedłem bliżej, a to kamień był, pokryty grubo solą. Nie poznasz, co się kryje pod tym nalotem: niewiasta czy drzewo? Jeno wiem, że takiego słupa nie było nigdy w tym miejscu. Chodziłem często tą ścieżką, nie widziałem... Może to Idith, gdyż tędy powinna była nadążać za nami...

Urwał, oczy wytrzeszczał przed siebie z wyrazem niegasnącego przerażenia.

- Zawróciłem znów do Segor, prosiłem Saddai, żeby się ulitował i pozwolił nam wejść do grodu. Ani słyszeć o tym nie chciał. - Mieliśmy - prawil - dobre miejsce i drogi do kupczenia, i zbyt na każdy towar, a teraz siedzimy jakoby na języku (już i zowią to miejsce Lisan: język) z wodą zewsząd i chyba z głodu pomrzemy, bo z kim będziemy kupczyć? Wspomogłem cię już, czym mogłem, czego chcesz więcej? - Ale że to dobry człowiek, wyniósł mi jeszcze dzban wina i pięcioro placków jęczmiennych. - Nie zwracaj więcej swojej drogi ku mnie - powiada - bo nikt was nie ogląda rad...

...Wróciłem do dziewcząt, które odchodziły od zmysłów z trwogi, bo zwierz jakiś chrobotał pono wedle jaskini. Wyjąłem placki i jedliśmy, i piliśmy wino, i upiliśmy się, bo byliśmy bardzo zziębnięci i głodni. Od wina zagrzały się kości nasze i położyliśmy się na mierzwie. Thamar legła obok mnie z prawej strony, Lilith z lewego boku. Całowały moje nogi, ręce, kładły się na mojej piersi i żaliły się, płacząc: - Cóżes nam, ojcze, ach, cożes nam uczynił? Zamykałeś nas w domu, by nas nikt nie zapoznał, a teraz nie został żaden mężczyzna na ziemi, który by nas chciał wziąć do łóżka swego... Bo przekleństwo bogów jest na nas, dla którego wygnano nas z miasta Segor i z każdego innego miasta wygnają... Co mamy teraz uczynić? Jak badyle jałowe poschniemy... - I gorzko płakały, aż wzruszyła się dusza moja. Pocieszałem je i tuliłem... Byliśmy bardzo nieszczęśliwi, stryju Ab - Rahamie... Wyzuci ze wszystkiego, wyklęci i z pamięcią tego ognia... Każdej nocy, com zasnął, to mi

się śnił ogień... A gdy się z krzykiem przerażony budził, widziałem znów ogień, jakoby na jawie... Pocieszałem moje córki i... Byłem pijany, stryju Ab - Rahamie...

- Co dalej? - zapytał Ab - Raham nie rozumiejąc. - Dlaczego od razu nie przyszedłeś z córkami do mnie, miał prosić o litość obcych ludzi?

- Nie było w nas sił na tak daleką drogę i dziewczęta wstydziły się, że są nagie pod płaszczami pasterskimi... A potem, kiedy się okazało...

Widząc, że Ab - Raham nadal nie pojmuje, zamilkł i po chwili wybuchnął z rozpaczą:

- One są brzemiennie...

- Biada! - rzekł krótko Ab - Raham. Powstał z kamienia i jął chodzić kilka kroków tam i nazad, coraz szybciej. Lot, jak gdyby wyznanie sprawiło mu ulgę, oparł głowę na kolanach i trwał nieruchomo. - Biada! - powtórzył Ab - Raham. Kipiał w nim gniew tak gwałtowny, że wstrzymywał się z trudem, by nie chwycić bratanka w dłonie jak w kleszcze i nie zadusić na miejscu. Z wściekłością i wstrętem spoglądał na tego niedołęgę, tchórza, głupca, co całe życie ulegał złej niewieście, a na koniec córki, które kochał, których strzegł, sam najokropniej pohańbił! - Co mam z tobą uczynić?! - wrzasnął przystając.

- Sądź mnie, stryju, według Prawa - odparł cicho Lot, nie podnosząc głowy. - Sądź mnie, ale oszczędź dziewczęta, albowiem nie są nic winne temu, co się stało...

Ab - Raham bez słowa jął znów chodzić tam i nazad, pasując się nadal z gniewem. Przepelniała go pogarda. Sodomita! Jakie sobie gniazdo obrał, takim się sam stał... Przeklęty gród i przeklęty... - Urwał, opamiętał się. W złości omal nie przeklął własnej krwi.

- Odejdź sprzed oczu moich, bo cię zabiję lub przeklnę! - zakrzyknął.

- Uczyń tak, stryju. Na śmierć zasłużyłem, a przeklęty już jestem od dawna.. Dziad mój, Tare, umarł, nie pobłogosławiwszy mnie...

Pokora winowajcy osłabiła nieco wściekłość Ab - Rahama.

- Dlaczego przyszedłeś tutaj opowiadać o obrzydliwości swojej?...

- Do kogo miałem pójść? Żywie Bóg twój, iż przyszedłem, byś mnie sprawiedliwie pokarał... Tyś mój goel, tyś mnie z niewoli wybawił... Do ciebie sąd nade mną należy...

Ab - Raham podjął znów wędrówkę swoją tam i z powrotem. Ujawniona przez Lota hańba rodu była nieszczęściem, z którym nie mógł się pogodzić. Zbierała go chęć zawołać: Powiedz, żeś skłamał! Żeś tego nie zrobił! To znów pragnął zabić przestępcę, aby ślad po nim zaginał... Na koniec pomyślał, że gdyby Lot nie był zamieszkał w Sodomie, nie stałaby się ta rzecz...

...Gdyby Lot pozostał w plemienu, żyłby dotychczas spokojnie, jak uczciwy człowiek... Kto winien najwięcej, że odszedł? Kto powiedział: Rozejdźmy się...? On, Ab - Raham, goel, stryju...

Wiedział, mógł wiedzieć, że odprawiając bratanka, wydaje go na łup niepoczciwej, pożądlivej kobiety, wiedział, a jednak tak uczynił, byle uzyskać spokój...

I ku zdumieniu Lota siedzącego nadal nieruchomo Ab - Raham zatrzymał się i wykrzyknął głośno: - Panie! Przebacz winie mojej!

Po czym znów chodził. Milczeli obaj. Na koniec Ab - Raham zapytał nieco spokojniejszym głosem:

- Coś uczynił później? Gdzieś poszedł z nałożnicami swoimi?

- POszedłem z moimi biednymi dziećmi z powrotem nad brzegi jeziora, co było Leśną Doliną... I niech mi Bóg twój zło uczyni, i niech to przyczyni, jeśli kłamię, że płakaliśmy szczerze wszyscy troje, żałując, że nas synowie Faleja z ognia zratowali...

- Po wtóre, synu Arana, wezwałś Boga mojego...

- Wiem, iż Jego to był gniew, nie bogów, których ogień strawił w świątyniach... lękam się twojego Boga...

- Cóżżeś uczynił dalej? Powiadaj!

- Byliśmy znów bardzo głodni. Spostrzegłem, że dziewczęta mają w uszach zauszniczki złote... Wyjąłem je i poszedłem sprzedać. Bałem się iść do miasta Segor, więc powędrowałem dalej, aż do następnego grodu dosyć podłego, gdzie nigdy nie byłem... Brali mnie tam za żebraka. Sprzedałem zauszniczki bardzo tanio, choć piękne były, bo wszyscy, co je oglądali, sądzili, że ukradłem, ja zaś nie śmiałem powiedzieć, skąd jestem, by nas znów nie wygnano. Dostałem za nie pół miny srebra i kupiłem zaraz mąki, oliwy i fig i wynająłem izbę, w której mieszkamy... Tam zostawiłem dziewczęta i przyszedłem do ciebie... Teraz już wiesz wszystko, stryju, i możesz mnie sądzić...

Oparł znów twarz na kolanach gestem znużonym. I znów trwało milczenie.

- Błogosławiony Pan - przemówił Ab - Raham - który sprawił, że okazałem się miłosierny dla poganiacza Hilla, który sypiał na łonie córki swej Azuby... Gdybym rozlał jego krew, jak mówiło Prawo, musiałbym teraz przelać krew twoją, synu Arana, gdyż nie może być w plemienu mowy, że naczelnik inną miarę stosował do krewniaka swego niż do sługi... Zaprawdę, słusznie powiadał król grodu Uru - Salem, kapłan i mędrzec wielki, że miłosierny sobie miłosierdzie czyni... Tak uczynię tobie, jakem uczynił Hillowi... Puściłem go wolno, puszcę i ciebie... Idź, gdzie chcesz... Nie broniłem niewiastom dać Azubie mąki i oliwy, udzielię wsparcia i tobie... Poczekaj za wzgórzem, aż Elizer przywiedzie ci osła, żywność, szaty dla was trojga i nieco złota, byś miał z czego żyć...

- Zali mogę ucałować twoje stopy, stryju? - zapytał Lot.

W głosie jego brzmiało tyle pokory i wdzięczności, że Ab - Rahamowi stanęły łzy w oczach. Zdjęła go głęboka litość dla grzesznika, który wypowiedział się ze swej winy z taką żalnością i skruchą. Z trudem powstrzymywał pragnienie, by objąć synowca i przycisnąć go do piersi. Wiedział jednak, iż nie ma prawa tego uczynić. Mocen był przebaczyć winowajcy w sercu swoim, nie był

mocen zgładzić popełnionego przezeń grzechu. Grzech trwał, leżał ciężki jak kamień, nieubłagany, a skutki jego miały iść z pokolenia w pokolenie. Nic nie mogło go usunąć, pozwolić o nim zapomnieć...

I zadając gwałt własnemu sercu odparł:

- Nie śmiesz dotknąć moich stóp, krwi moja...

- Tak jest, jak mówisz... Nie śmiem... - przyznał cicho Lot, zbierając się do odejścia.

- Eheu, synu Arana, wina twoja leży między nami, a któż jest, co by ją zgładził?...

- Nie ma, kto by ją zgładził... - przyznał znowu Lot jak echo. Pokłonił się stryjowi do samej ziemi i odszedł powoli, zgarbiony, jak człowiek przytłoczony nadmiernym ciężarem. Ab - Raham patrzył za nim. Serce mu się krajało z żalu. Z utęsknieniem zawołał w duchu swoim:

- Panie! Ześlij Tego, który zgładzi grzechy świata!...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

SYN OBIETNICY

Deszcz dudniący cały dzień po skórach namiotów ustał wraz z wiatrem przed nocą, lecz chłód pory zimowej przenikał nadal wewnątrz pomieszczenia. Nikły płomyk oliwnego kaganka kurczył się od przeciągu, przygasał, to znów prostował się i chwiał na boki, jak gdyby unikając uderzenia. Późną nocą Sara usiadła niespokojnie na łożu i chwyciła śpiącą obok starą piastunkę za dłoń.

- Czego chcesz, gołąbko? - zamamrotała przebudzona.

- Wstań, Noo, wstań, albowiem coś się poruszyło w łonie moim...

- Zasłabłaś? - Noa przybliżyła kaganek osłaniając płomyczek dłonią. Ujrzała zmienioną twarz i rozszerzone oczy wychowanki. Przeraziła się nie na żarty. - Zasłabłaś? - powtórzyła. - Ogień rozniecę, wina zagrzeję...

- Nie zasłabłam, nie zasłabłam - szeptała gorączkowo Sara. - Porusza się żywot mój... Powiedz, Noo, co czuje kobieta, kiedy jest brzemienna?

Teraz stara piastunka nie wątpiła, że Sara oszalała. Bądźcie litościwi, bogowie, i ty, Boże Ab - Rahama! Skąd to przyszło? Porą letnią wiadomo, że upalenie pada często na mózg, ale zimą? Urok pewnie...

- Zaśnij, Saro - mówiła jak do dziecka. - Zaśnij, opowiem ci jutro...

- Nie zasnę, idź po Jokszę...

- Dlaczego chcesz widzieć Jokszę?

- Żeby sprawdziła, żeby powiedziała, co mi jest...

- Nie zawołam Jokszy - odpowiedziała Noa stanowczo, już z gniewem - bo by się wszyscy z ciebie śmieli... Przecież kobiecość w tobie dawno wyszła! Śpij!

- Pójdziemy zatem zaraz z rana.

- Dobrze, dobrze, pójdziemy, kiedy zechcesz, ale teraz śpij!

Noa odróciła się i zasnęła, względnie udawała, że śpi. Sara leżała na wznak czujna i wytrzeźwiona. Czekiła z niepokojem, zali tajemne drgnienie, dziwne, nigdy nie zaznane, powtórzy się lub nie? Może naprawdę było tylko przywidzeniem, złudą senną? Czekiła długo. Kaganek migotał, wewnątrz niej i zewnątrz panowała cisza. Więc zwidzenie? Aż oczekiwane uderzenie powtórzyło się silniej, wyraźniej niż poprzednio, a po chwili jeszcze raz i jeszcze... Byłżeby to demon? Mogła go łatwo wypić w wodzie albo połknąć z wiatrem. A może?... Nie mogła doczekać się rana. Ledwo świt chmurny, zimowy zabłysnął, wstała odziewając się tak szybko, że Noa nie mogła nadażyć. Zresztą stara piastunka wołała, że idą tak wcześnie, kiedy cały obóz jeszcze śpi. Nikt

nie zobaczy i mniej będzie śmiechu z nagłego obłędu pani. Spoglądała z niepokojem na Sarę, jej twarz na przemiany błądą, to czerwoną. Urok, oczywisty urok.

Gruba położna jeszcze spała. Na wołanie Noi wyjrzała ze swego namiotu rozczochrana i zdumiona. Nie czekając Sara weszła do środka. Mąż Jokszy, pastuch Abiram, zły i zmieszany wysunął się z łoża żony na męską stronę namiotu. Noa chowała głowę w ramionach. Wstydziła się strasznie za zachowanie Sary. Lecz ta nie dbała o nic. Rozdziewała się szybko mówiąc:

- Powiedz mi ty, która przyjmujesz płód od rodzącej, co się porusza w łonie moim?

Joksza spojrzała na Noę. Noa odwróciła głowę. Obnażona stara kobieta nalegała:

- Nuże! Prędzej! Chcę wiedzieć!

Położna jęła badać bezpłodną. Czyniła to długo i starannie. Nie dowierzała samej sobie. Rozpoczęła od nowa. Nareszcie rzekła nie ukrywając zdumienia:

- Masz dziecię w żywocie, Saro. Urodzisz je za cztery miesiące.

- Prawdę mówisz? Pewna jesteś?

- Na Boga męża twego Ab - Rahama, powiedziałam prawdę. Jesteś brzemienna, Saro.

Wracały do siebie, Sara odmieniona. Chód młodzieńczy, plecy proste, oczy skrzące. Noa szła jak ogłuszona, nie śmiąc się odezwać. Ab - Raham czekał na nie zdziwiony, dokąd wyszły tak rano. Keturą już rozpałała ogień i grzała mleko, gdyż ranek był zimny.

Nie zważając na nikogo Sara padła do nóg mężowi.

- Panie mój! - załkała. - Jestem brzemienna od pięciu miesięcy!

Ketura z wrażenia upuściła garnek z mlekiem na ziemię, Osa (młodszy brat Sura, zastępujący go obecnie przy Ab - Rahamie) wepchnął sobie pięść do ust i wyskoczył z namiotu obawiając się, że parsknie śmiechem. Elizer spuścił głowę zawstydzony. Kobieta mogąca być prababką, przechwalająca się z urojonej ciąży, wydała mu się nieprzyzwoitą.

Tylko Ab - Raham nie okazał zdziwienia. Podniósł żonę i przycisnął gorąco do serca. Łzy kapały mu na brodę.

- Czyż Pan nie powiedział mi, że urodzisz syna? Śmiałaś się, niewiasto, sądziłaś, że pijany...

- Wielki, wielki jest twój Bóg, Ab - Rahamie...

Hagar nie wierzyła uszom. Zrazu wyśmiewała się z łatwowierności Jokszy, potem wmawiała wszystkim, że Sara nosi demona, który jej wyjdzie przez nozdrza, na koniec, gdy ciąża tej, którą zwano bezpłodną, stała się widoczna, umilkła tłumiąc w sobie zazdrość i gniew. Nieoczekiwaną nowinę poczytywała za krzywdę. Jeżeli Sara urodzi syna, dziecko to stanie się dla Ab - Rahama

droższym niż syn nałożnicy, to jasne. Hagar zdawała sobie sprawę, że pomiędzy Ab - Rahamem a Ismaelem brakło serdecznego porozumienia. Nie zabiegała co prawda dotychczas o to, by było inaczej, nie czując się zagrożoną. Skoro Ab - Raham nie posiadał innego potomka oprócz Ismaela, nic nie mogło jej synowi odebrać dziedzictwa. Obecnie usiłowała zmuszać chłopca do okazywania ojcu miłości i przywiązania. Bezskutecznie, gdyż chłopak nie znosił przymusu i robił tylko to, co chciał. Zarazem Hagar nienawidziła Sary z dawną gwałtownością. Przeklinała ją w duchu, życzyła, by ciężarna upadła na kamienistej drodze, przelękała się byków, została ukąszona przez zmiję... Do szału doprowadzał ją widok pełnego czci poważania, jakim otaczano żonę naczelnika. Przed urodzeniem Ismaela nikt się tak stanem Hagar nie przejmował. Wprawdzie zakochany w niej Ab - Raham (gdzie te czasy, gdy go zwała swoim Ramą?) troszczył się o nią czule, ale tylko on, gdyż na ogół nie lubiano Egipcjanki. Teraz na drodze Sary mężczyźni stawali patrząc życzliwie na jej zmienioną postać, kobiety wychodziły z namiotów wołając: - Błogosławionaś, Saro! Błogosławiony owoc żywota twojego! - Sara w odpowiedzi kłoniła głowę, zapłoniona, zmieszana, niewypowiedzianie szczęśliwa. Patrząc na to Hagar zgrzytała zębami.

By dokuczyć przeciwnicze, użalała się nad nią fałszywie, wróżąc, iż nie przeżyje porodu. Przypominała każdemu, wiele nacierpi się młoda pierwiastka, u której kości podatne, a ciało rozciągliwe i giętkie. Cóż dopiero siwa starka? Udało jej się zrazu zaniepokoić tym biadaniem Sarę, na krótko jednak, gdyż Ab - Raham posłyszawszy te trwogi uśmiechnął się pobłaźliwie:

- Bądź spokojna, niewiasto - zapewnił. - Pan, który otworzył twoje łono jałowe, potrafi wyprowadzić zeń dziecię na świat.

- Słuszna jest mowa twoja, panie mój - przyznała Sara odzyskując spokój.

- Nie wychowa się na pewno - zawyrokowała z ulgą Hagar ujrzawszy małego i chudego noworodka. Wbrew jej przewidywaniom poród Sary był szybki i łatwy, prawdopodobnie dlatego, że dziecko było tak nędzne. Hagar tryumfowała, przypominając do znudzenia, jak piękny, tłusty, ciężki był od początku Ismael. To był syn! - Sara nie zwracała na nią uwagi, pochłonięta swoim szczęściem, lecz Rosa i Noa zniecierpliwione wypchnęły Egipcjankę z namiotu. W duchu dziwiły się, że pozwolono Hagar obejrzeć dziecko. - Już tam nie życzy ona dobrze tej kruszynie, nie! - mruczała z niechęcią Noa. Wiedziały jednak, że to Ab - Raham udzielił niewolnicy zezwolenia. Nie łudził się co do uczuć Hagar, lecz chciał okazać, iż temu dzieciątku cudownie narodzonemu nic złego stać się nie może.

Nazwano je Izaakiem, czyli Sprawcą Radości, Niosącym Radość, a zarazem Śmieszkiem, gdyż matka śmiechem przyjęła zapowiedź jego narodzin. Ósmego dnia Ab - Raham, nie dbając o lzy i obawy żony, obrzezał niemowlę. Dotykał maleńkiego ciała niby świętości, widomego daru Bożego. I zdawało mu się wówczas, że nie może serce ludzkie pomieścić miłości większej, niż on czuł do tego synka.

Acz drobny i wąły, Izaak chował się zdrowo. Białej cery, niebieskooki, Inianowłosa, przypominał rysami ojca i matkę, jak gdyby ciemna uroda tych dwojga została w nim przezłocona światłem. Spokojny i tkliwy, nadawał się do roli przedmiotu miłości i uwielbienia rodziców, starej Noi, Elizera, Ketury, całego plemienia. Gdy Noa niosła go z takim szacunkiem, jak gdyby piastowała małe, spowite w barwne powijaki bóstwo, wodził dookoła łagodnym, zdziwionym spojrzeniem.

Wcześniej zaczął się uśmiechać i pierwszy ten uśmiech niewinny Sara przywitała obfitymi łzami szczęścia. Gdy pomarszczoną dłonią ujmowała pierś pełną młodego pokarmu, płakała również. - Kto by uwierzył - zwierzała się Noi - iż syna karmić będę? Kto by rzekł Ab - Rahamowi, że Sara wykarmi mu piersiami Syna jego? - Każdy obrządek przy dziecku, kąpiel, przewijanie, usypianie, stawały się świętem, radosną ceremonią. Jakże puste i smutne było życie, kiedy brakło Izaaka! Miarą obecnego wesela Sara przemierzała swą długoletnią niedolę. Wiedziała, komu swe szczęście zawdzięcza, i przepełniało ją ciche uwielbienie. Nieraz kołysząc dziecko myślała, że cokolwiek by czuł Ab - Raham względem swojego Boga, nie miłuje Go tak jak ona. Ab - Raham, mąż, rozmawiał z Panem swoim, odbierał od Niego rozkazy. Sara nie spodziewała się i nie pragnęła, by Pan zwrócił się do niej bezpośrednio. Umarłaby z lęku. Wielbiła tylko i miłowała w pokorze. Co mężczyzna może wiedzieć o uczuciach matki, której Bóg dał dziecko? O jej wdzięczności ku Niepojętemu, co wejrzał na niskość służebnicy swojej, a pusty namiot dwojga starych ludzi wypełnił radością wiosenną?

Matka i piastunka trzęsły się nad swoim skarbem, drżały, by nie zziąbł, by go nie zawiało, nie ugryzł pająk, nie przepaliło słońce, nie oświecił ubywający księżyc, nie zobaczyła sowa... Gdyby nie ojciec, zamęczyłyby dziecko troskliwością. Ab - Raham śmiał się z ich obaw. - Włos z głowy Izaaka nie spadnie - zapewniał. - Dłoń Pańska jest nad nim...

Pomimo oporu Sary chętnie wołał Ismaela, by przyszedł zobaczyć małego. Pragnął, by chłopcy polubili się w przyszłości i żyli jak bracia. Ufny Izaak witał uśmiechem czarnowłosego wyrostka, Ismael brał go przymuszenie i niezgrabnie na ręce, Sara krzyczała z obawy, że dziecko upuści, Noa zrzędziła, młody wilczek rozglądał się wokół niepewnie i gdy tylko mógł, składał cenny ciężar, wymykając się co rychlej z namiotu. Starania Ab - Rahama nie uzyskiwały na razie powodzenia.

Od owych szczęśliwych dni, od kobiałki plecionej z sitowia zwieszanej na sznurach u poprzecznego drąga namiotu oderwało Ab - Rahama poselstwo króla Gerary. - Z żalem posłyszala dusza moja - donosił abimelek - żeś odstąpił studnię, którą ci dałem. Powiadają mi, że Jeser Hewejczyk naprzykrzał się tobie bardzo. Czemuś mi o tym nie doniósł? Czemu ustąpiłeś przed Hewejczykiem? Nie masz go już w tej okolicy. Przybądź, gdyż chcę ci na nowo oddać studnię w posiadanie.

- Piękne są nogi zwiastujących pokój - odparł Ab - Raham gońcowi i zastanowił się, co należy uczynić. Nie zamierzał już opuszczać dąbrowy Mambre, miejsca błogosławionego, w którym spotkały go najlepsze rzeczy w życiu, sądził jednak, że pojechać należy, by w przyszłości nie zaprzeczano jego synom prawa do studni, którą wykopał ich pradziad.

Abimelek przyjął Ab - Rahama z wielkim szacunkiem, doszły go już bowiem słuchy, że to Bóg Hebrajczyka spalił grody położone w dolinie Siddim, zamienionej teraz na jezioro. Głośno było o tym w całym świecie i owe to wieści właśnie skłoniły króla do wysłania poselstwa. Prawdę mówiąc bowiem, wiedział od dawna, iż Hebrajczycy opuścili swe pastwiska przenosząc się pod Hebron.

- Bóg jest z tobą we wszystkim, co czynisz - zapewnił przybywającego. - Oddam tobie na wieczne dziedzictwo pastwiska wokół studni, na których pasał swe stada Jeser Hewejczyk, lecz wprzód zawrzyj ze mną przymierze przysięgając na Boga twojego, że nie obrócisz się przeciw mnie ani potomkom moim i że nie będziesz szkodził ziemi, na której byłeś kiedyś gościem i przechodniem...

- Przysięgnę - obiecał Ab - Raham. Posłał Osę do obozu, by przygnał kilka jałowic, owiec, baranów i kozłów. Jak niegdyś w pamiętny dzień zawierania Przymierza z Panem Bogiem swoim, przepołowił Ab - Raham troje zwierząt, zabił też dwa ptaki, ułożył wszystkie po obu stronach wąskiej ścieżki, rozcięciem ku sobie zwrócone. Potem abimelek pierwszy, Ab - Raham za nim przeszli pomiędzy ścierwem, co znaczyło, że przenigdy nie poróżnią się między sobą, pozostając jako jedna krew, jedno ciało i jeden mąż. Gdy dokonali przymierza, abimelek spojrział ku stadku pięknych kotnych owiec, których Osa strzegł nie opodal, i zapytał sprzymierzeńca, na co je tam pozostawił.

- Te siedem owiec - odparł Ab - Raham - przyjmiesz ode mnie, brata swego, na pamiątkę i świadectwo, że mój ród kopał tę studnię. Od ciebie bowiem otrzymałem pastwiska, lecz studnia, która stanowi o ich cenie, była moja.

- Sam jej odszedłeś - zauważył król nieco markotny - ani mi się skarżąc na Hewejczyka...

- Izali będzie ryczał osioł leśny, gdy ma strawę? Tam poszedłem, gdzie mnie radzi oglądali. Na Hewejczyka nie mogłem się skarżyć, gdyż sprawę naszą rozstrzygnęły losy. Prawa do studni nie oddałem nikomu. Nie traci gniazda orzeł, choć daleko za żerem poleci.

Król był niezadowolony, gdyż przypomnienie przez Ab - Rahama prawdziwego stanu rzeczy zmniejszało wartość jego daru, a tym samym prawo do wdzięczności obdarowanego.

- Którzy się boją szronu, śnieg na nich przypadnie - zauważył. - Po wtóre mówię, iż nie należało ustępować Hewejczykowi. Że bratem moim jesteś od dziś, przyjmę z ręki twojej te siedmioro owiec na znak, że twoją była ta studnia.

Osa przygnał owce tuż, obaj mężowie podnieśli w górę prawice przysięgając. Od tego czasu studnię tę poczęto zwać Beerszeba, czyli Studnia Przysięgi.

Gdy zasiedli do uczyty, abimelek rzekł do Ab - Rahama:

- Po całej dziedzinie idzie sława twojego Boga. Mocny jest podobno i doskonały. Opiekuje się każdym krokiem twoim. Teraz, skoro jestem tobie zaprzysiężonym bratem, zali będzie się również opiekował mną?

- Źle Go nazywasz, królu - bracie, Bogiem moim, gdyż ja do Niego należę, nie On do mnie... Ani potrzebujesz mego wstawiennictwa, gdyż On opiekuje się jednakowo wszelkim stworzeniem... Opowiem ci o Nim chętnie, albowiem tać tajemnice ludzkie dobrze jest, natomiast sprawy Boskie rozpowiadać zaszczytna i pożyteczna rzecz jest... On panuje niebu i ziemi... Świat cały nie może pomieścić Jego ogromu... Obłoki płyną po niebie wielmożnością Jego... Rozgniewany pożera ogniem, jak się stało Sodomie i Gomorze... On tarczą sprawiedliwego i pokojem tych, którzy Go słuchają...

Abimelek kręcił długą brodę w palcach.

- Podoba mi się ten Bóg - oznajmił. - Chcę Go chwalić. Zali sądzisz, że zgodzi się stanąć w stolicy mojej? Dałbym Mu przednie miejsce w świątyni pomiędzy moimi bogami.

- Nie - odparł krótko Ab - Raham. - On jest sam jeden i nie śmie nikt mieć bogów cudzych przed Nim...

- Szkoda, wielka szkoda - westchnął abimelek zawiedziony.

Wracając z Beerszeby Ab - Raham uśmiechnął się sam do siebie. Posiadał nie tylko studnię, do której prawa jego były dotychczas raczej tytułem niż rzeczą, lecz spory szmat pastwisk własnych, które przekaze synom i synom synów z pokolenia w pokolenie. Do niedawna pasterz wędrowny, nie tęskniący nigdy za życiem osiadłym, przeciwnie, ceniący nad wszystko swobodę, z jaką mógł popasać dziś tutaj, jutro gdzie indziej, poczuł, iż przywiązał się do tej krainy. Owszem, pragnął związać się z nią nierozzerwalnie. Oto już jeden węzeł zadzierzgnięty: studnia! Krynica żywa, zapewniająca to, co jest podstawą życia. Zali to dosyć? Nie dosyć, gdyż bywa, że i studnię odbiegną pasterze, a czasem woda szczeliną skalną ucieknie pozostawiając suchą cembrowinę. Cóż jest więc w człowieku stałego, niezmiennego, czego wnuki i prawnuki nie zapomną wracając zawsze do krainy dziada? Mogiła jest tą własnością i dziedzictwem ostatecznym, miejsce, w którym człowiek syty dni złoży kości swoje. Póki żyw, każdy, chce czy nie chce, pozostaje wędrowcem. Jeżeli nie własna wola, gnają go wypadki, wojny, zdarzenia, zabiegi majątkowe. Dopiero gdy zemrze, staje się osiadłym, przytwierdzonym do miejsca, którego już nie opuści.

Ab - Raham zaczął zastanawiać się nad przyszłym grobem swoim. Na polu leżącym nie opodal dąbrowy Mambre Efron syn Seora, Hetyjczyk, posiadał jaskinię dwoistą, suchą i głęboką, bardzo przydatną na grób dla wielu pokoleń. Zwano tę grootę Makpela. Ab - Raham postanowił, iż przy pierwszej sposobności zapyta Hetyjczyka, czyby nie sprzedał pola wraz z jaskinią. Zapłaci, wiele Efron syn Seora zażąda. Z kraju, który Pan jego potomstwu przyobiecał, zadowolony będzie posiadając owe dwie rzeczy: studnię i grób.

Wracał do obozu poganiając osła, bo się stęsknił. Sara wyskoczyła na jego spotkanie.

- Izaak ma ząbek, panie mój - szepnęła mężowi, jak gdyby zwierając mu cenną tajemnicę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

HAGAR NA PUSZCZY

Izaak miał cztery lata, Ismael piętnaście. Pozostawali nadal odmienni jak ogień i woda. Ismael czarny, rosły, Izaak drobny, płowy. Ismael zręcznością, odwagą prześcigał wszystkich rówieśników. Izaak był lękliwy. Należał do natur nieśmiałych, które wolą żyć w ukryciu niż wśród gwaru. Małomówny, rozkwitał dopiero w zaciszu namiotu, między rodzicami, których bezgranicznie, choć każde inaczej, miłował, Elizerem, starą Noą, Keturą. W tym otoczeniu tylko Izaak stawał się szczebiotliwy, prześmiewny, uroczy. Uwielbiająca syna Sara żałowała czasem, że nie jest on bardziej męski, dorównujący Ismaelowi, lecz Ab - Raham po swojemu uciszał te żale. - Pan, który go dał, uczyni go wedle swej woli - mawiał. Sam nie narzekał nigdy, że jego ukochany nie doścignie nigdy przyrodniego brata w strzelaniu z łuku lub procy. Choć nieśmiały i delikatny, jakżeż bowiem ten syn był jego synem w każdym calu! Ilekroć Ab - Raham spojrział w poważne, szeroko otwarte oczy dziecka, zdawało mu się, iż widzi rolę przygotowaną pod zasiew, w którą on rzuci ziarno swych doświadczeń. Spełnić się miały tyloletnie marzenia o synu - powierniku, synu - przyjacielu. Z wewnętrznym drżeniem obejmując synka ramieniem zapytywał: - Czy wiesz, Izaaku, kto stworzył niebo, ziemię, słońce, gwiazdy, ciebie, mnie?

Malec podnosił nań oczy czyste jak strumień, błękitne jak niebo:

- Nie wiem. Opowiedz mi o tym, mój ojciec.

I Ab - Raham, kołysząc w ramionach małą istotkę, opowiadał szeptem o Panu. Z jaką radością, wracając z objazdu stada przyciskał do piersi drobny, ciepły kształt otulając go starannie przed chłodem nocy, odpowiadając uważnie i rozumnie na setki nieoczekiwanych zapytań! Pomału pytania stają się coraz rzadsze, ustają, milkną zupełnie. Mała główka zaczyna ciężać bezwładnie na piersi ojcowej. Przytulony niby pisklę w gnieździe, Izaak śpi. Ab - Raham wtedy wznosi serce i duszę ku Panu, dziękując Mu za to, co dał. Sara czeka już przed namiotem, wypatruje oczy w mrok, zniecierpliwiona i gniewna. Podczas gdy Ab - Raham schodzi z osła ostrożnie, by nie obudzić małego, niewiasta wylewa swe żale. Zaprawdę, nierozsądny jest pan jej! Dziecko zamiast spać na swym posłaniu, tłucze się nocą na ośle! Izaak nie ma wszak jeszcze siedmiu lat! Należy do niej. Gdy siedem lat skończy, Ab - Raham może z nim czynić, co zechce, nawet posłać na całą noc pilnować wielbłądów... Na razie Izaak jest jej.

Potok słów przechodzi mimo uszu Ab - Rahama. Stoi zamyślony trzymając uśpione dziecko na ręku. Wpatruje się w jego drobną twarzyczkę uważnie. Nie pierwszy raz uderza go podobieństwo Izaaka do kogoś... Kogo? Otóż tego nie może sobie przypomnieć. Więcej niżli do ojca i matki, Izaak podobny jest do...? Na pewno do nikogo z rodu. Wszyscy synowie Hebera są rośli i ciemni. Więc kto? Darmo szuka w pamięci, przegląda dawno lub świeżo widziane postacie. Nie ma tej, do której Izaak jest podobny, jak Segub syn Faleja do swego bliźniaczego brata Zammy.

Stara Noa patrząc na nich trzęsie głową. - Miłujeż nasz pan Izaaka! miłujeż! Chyba królestwo dla niego zdobędzie?...

Bywa, że Ab - Raham puszcza myśli daleko wprzód. Usiłuje wyobrazić sobie, jaka będzie

młodość Izaaka, potem wiek dojrzały... Zali on, Ab - Raham, dożyje tych lat? Trudno tego oczekiwać, stary ojciec pragnąłby jednak, o, bardzo by pragnął, widzieć ukochanego syna zakładającego własne gniazdo, pojmującego żonę, którą mu rodzice wybiorą. I choć sam uśmiechał się pobłaźliwie z tych marzeń przedwczesnych, miło mu było wyobrazać sobie, że poszukuje synowej. Nie wzięłby jej na pewno z bogatych grodów nadmorskich, gdzie rodzą się niewiasty rudowłose i pożądlive, podobne do Idith, ani z plemion kanaańskich czczących okrutne, złe bóstwa. Więc skąd? Z własnej krwi, z nasienia starszego brata. Ma Nachor syn Tarego synów, będzie miał wnuków i wnuczki. Ab - Raham postanowił sobie, że gdy Izaak podrośnie, wybiorą się obaj w podróż do Harran. Dopieroż będzie radość! Dopieroż zdziwi się Nachor, nic jeszcze o Izaaku nie wiedzący! Bracia ułożą wtedy, co potrzeba, a Nachor najpiękniejszą córkę swoich synów zachowa dla Izaaka...

Jedynym cieniem w Ab - Rahamowej szczęśliwości tego czasu była zapalczywość Hagar. Egipcjanka zazdrościła do szaleństwa miłości okazywanej przez niego Izaakowi. Nie chciała uznać, że serce przyzywa serce, a uczucie odpowiada na wzajemność. Izaak uwielbiał ojca ponad wszystkich. Był najszczęśliwszy mogąc z nim przebywać. Ismael nudził się w towarzystwie Ab - Rahama i podchodził do ojca wtedy tylko, kiedy chciał go o coś prosić. W miarę jak chłopak podrastał, wzajemna obcość rosła również. Ab - Raham, z natury sprawiedliwy, cierpiał nad tym i usiłował wynagrodzić starszemu synowi brak prawdziwej miłości szczodrobliwością. Gdy podarował Izaakowi ślicznego osła, wybranego przez Elizera jako najmądrszego i najspokojniejszego w całym stadzie, Ismaelowi ofiarował młodego wielbłąda. - Będiesz go obrządzał i karmił - mówi synowi - aby poznał głos twój, a za półtora roku, gdy go przyuczysz, będziesz mógł pojechać na nim, gdzie zechcesz. To ścigły, szybki wielbłąd, matka jego pochodzi z Egiptu...

- Jak moja!... - parsknął śmiechem nieobyczajny Ismael i z radości zapomniał nawet podziękować ojcu. Zresztą gdyby nie Hagar, buntująca syna, wmawiająca weń urojone krzywdy, chłopcy doszliby z czasem do porozumienia. Mały Izaak podziwiał wielkiego, zręcznego brata, widział w nim niedościgniony wzór i chętnie biegał za nim. Nie zrażały go kpiny i złośliwe pomysły przyrodniego. Kiedyś na pastwisku Ismael podrażnił byki, a gdy te, rozwścieczone, jęły chłopców gonić, schronił się zwinnie jak mała na drzewo. - Chodź tu do mnie, niedołego! - krzyczał do Izaaka pozostałego w śmiertelnej trwodze pod drzewem. Na próżno mały wyciągał w górę wątle ramionka, nie był w stanie dosięgnąć gałęzi. Ismael wprawdzie spuścił nogę, by mały brat uwiesił się stopy i podzwignął, lecz przerażony chłopczyna nie domyślił się, o co chodzi. Bezradny, stał wsparty o pień, a byki kołem, według swojego zwyczaju, obstępowały go zewsząd porykując dziko i grzebiąc racicami. Mogło się skończyć nieszczęściem, gdyby Jahiel nie dojrzał z daleka, że byki nacierają. Na jego krzyk i klaskanie bata, bydło się rozeszło, a Jahiel zdrętwiał ujrzawszy, kogo ocalił.

- Ej, ty! - krzyknął zachrypłym z wściekłości głosem, wygrażając siedzącemu na drzewie. - Zobaczysz, co ci będzie, gdy powiem Ab - Rahamowi! Przebrałeś miarękę! Przebrałeś!

Wziął na ręce półżywe ze strachu dziecko i poniósł do matki. Izaak po drodze gładził kudłatą głowę pasterza. - Jahielu, dobry Jahielu - prosił - nie mów nic ojcu... Ismael nie był winien... Ismael chciał mnie wciągnąć, podawał nogę... Nie powiesz. Jahielu?

- Zaprawdę, powiem Izaakowi synu Ab - Rahama - zapewniał nieubłagany Jahiel, ostatecznie jednak ustąpił. Ismaelowi tym razem uszło na sucho.

Ani jednak słodycz Izaaka, ani sprawidliwe podejście Ab - Rahama nie rozbijało nienawiści, jaką Hagar czuła do Sary i jej syna. Demon zawiści wszedł w jej wnętrze i drażył wątrobę, burzył żółć. Egipcjanka przestała panować nad sobą. Ona, zazwyczaj skryta, nie umiała zataić swych uczuć. Gdy przechodziła mimo Izaaka, z oczu jej padały błyskawice. - Struje nam kiedy dziecko albo zaczaruje - powtarzała ze zgrozą Sara - a mój pan, Ab - Raham, tego nie widzi!

Noa potakiwała. - Hagar jest "kasappu", czarownicą, na pewno.

- Nazwałam ją przecie kiedyś czarownicą i nie zbiegła.

- Chwila musiała być niesposobna, kiedy jej moc była utajona...

- Jesteś czarownicą! Jesteś czarownicą! - wołała za Egipcjanką Sara. Hagar obróciła się z wściekłością:

- Nie jestem czarownicą, ale i tak potrafię sprawić, że zdechniesz ty i twoje mdłe szczenię!

Skoro te groźby doszły do uszu Ab - Rahama, mąż zrozumiał, iż najwyższy czas rozmówić się z Hagar i doprowadzić ją do opamiętania. Właściwie czuł od dawna, że należy to uczynić, nie pozwalając kobietom jątrzyć się wzajemnie. Odkładał jednak przykrą rozprawę z dnia na dzień, nieskory do poufnej wymiany słów z dawną nałożnicą. Od wielu lat nie przebywał z Hagar inaczej jak w obecności innych ludzi. Sprawy ciała mają to do siebie, iż wygasnąwszy zostawiają czezość i nudę, przykre zdziwienie, że piło się rozkosz z tak niemilego naczynia. Człowiek, którego pożądanie zgasło, rad by wiedzieć, że współniczka uciechy rozwiązała się razem z żądzą. Gdyby Hagar nie była matką Ismaela, Ab - Raham usunąłby ją dawno sprzed swoich oczu pozbawiając się ciężącego niemile wspomnienia.

Był upał jak przed pięciu laty, roku Przymierza, Odwiedzin Pańskich oraz zniszczenia Sodomy i Gomory. Sara zwoływała bawiącego się z dziećmi Sura Izaaka, by przyszedł przespać porę południową w namiocie. W takie gorąco upalenie łatwo chwyta mózg. Odrzucając ogarniającą go również senność Ab - Raham wybrał tę chwilę właśnie do rozmowy.

Gdy wszedł do namiotu Egipcjanki, Hagar zmieszana się, zdumiała. Patrzyła nań trwoźnie, jak w oczekiwaniu ciosu. On jednak zasiadł spokojnie na posłaniu gotując się do przemowy. Wnętrze namiotu dobrze dawniej znane nie budziło już w nim żadnych wspomnień. Broda jego była mlecznobiała, on sam stary. Gdy Hagar, wciąż jeszcze piękna, nie zniszczona pracą, uklękła przed nim składając dłonie na jego kolanach, polecił jej siąść spokojnie opodal i słuchać w milczeniu, co powie.

Wykonała zlecenie z westchnieniem, on zaś zaczął mówić. Pytał, czemu gorzknieje serce jej, a ślina ma jad wężowy (tu Hagar drgnęła niespokojnie, lecz on nie zwrócił na to uwagi). Dziwno jej, że on miłuje swojego syna cudownie narodzonego? Zaprawdę, byłby potworem niegodnym łaski Pana, gdyby go miłował mniej. Ismaelowi nie dzieje się krzywda. Połowa moich stad i dobytku - zapewniał - będzie należeć do niego. Lecz naczelnikiem plemienia on nie zostanie. To przypadnie Izaakowi...

- Ismael starszy! - warknęła. - Taką sprawiedliwość twoja, Ramo?

- Zwij mnie jak wszyscy, niewiasto. Zamknęły się uszy moje na imię, którym mnie darzysz. Zapomnij o nim również. Sprawiedliwość jest udzielić każdemu wedle miary jego i wedle potrzeb jego, i wedle użyteczności jego. Nie nadaje się Ismael ani na sędziego, ani na przewodnika pasterzy. Pan Najwyższy zawarł Przymierze ze szczepem hebrajskim. Przeto naczelnik musi być kapłanem obowiązującym czujnie pełnić wolę Pana, nasłuchiwać Jego głosu. Wejdz w siebie i rzeknij, zali umiałby to czynić Ismael? Ten syn mój i twój będzie mężem walecznym, może wielkim wojownikiem, może zdobywcą miast, ale nie będzie pasterzem ani kapłanem...

Uśmiechnęła się zadowolona z pochwały Ismaela, lecz nie wyzbyła urazy.

- Ciężka jest krzywda moja - podjęła. - podniosłeś mnie z prochu i porzuciłeś nasyciwszy się, jak się rzuca skorupę glinianą lub złamany naramiennik. Byłeś moim Ramą i zachowałam cię takim, przecz mi chcesz tę ostatnią rzecz wspólną z tobą odjąć? Sypiałeś na łonie moim, pieściłeś biodra moje, nie było dla ciebie słodszy miodu nad usta sługi twojej... Zwierzałeś się w ucho moje, żeś nigdy równie szczęśliwym nie był...

- Sypiałem, owszem, na łonie twoim, syciłem się krągłością bioder twoich, słodyczą ust twoich, Hagar. Szeptalem w twoje ucho słowa szczęśliwości. Choćbym żył jeszcze sto lat, nie starczyłoby mi wieku, by nażałować się dość, żeś tak czynił... Wyciąłbym z pamięci sprawę moją z tobą jak wrzód, wypaliłbym to wspomnienie z mojego ciała ogniem...

Nie spodziewała się podobnych słów. Wybuchnęła płaczem szczerego żalu.

- Dlaczego? - wyjąkała przez łzy. - Dlaczego?!

- Dałem ci, niewiasto. panowanie nad duszą moją. Czyniąc tak obraziłem Pana, do którego wszelka dusza żyjąca należy. Tego żałuję, Hagar. Nie tego, żeś spał na łonie twoim, bo to ludzka rzecz jest, lecz że ci dałem panowanie nad duszą moją...

- Wszystko zostało ode mnie odjęte - załkała.

- Kto chce za wiele posiadać, to, co ma, straci. Nie winię ciebie, Hagar, tylko siebie. Nie ciebie chciałbym wyciąć z pamięci, lecz to, żeś mi podlegał. Nie winię ciebie, mimo że skłamałaś. Obrzydłe jest kłamstwo. Wybaczyłem ci je wszakże, znów siebie samego winiąc, iżem nie przewidział, że takie mogą być postęпки twoje... Wszakże nie znasz jeszcze Pana...

- Nie chcę znać! - krzyknęła z nagłą pasją. - Nie chcę! Nienawidzę twego boga! W ludzkie sprawy wgląda jak szpieg, w serca, w nerki patrzy, wszystko słyszy, nigdzie nie ma przed nim schronu!... Nie chce tego dusza moja! Bogi egipskie albo chaldejskie nie wychodzą ze swych świątyń. Ludzie przychodzą do nich z ofiarami sami powiadając, czego chcą...

- Zaiste, wielkie to bogi, zdolne do rządzenia światem. Zamilknij, Hagar. Nie wyzywaj Pana. Kto człowieka obrazi albo skrzywdzi, może mu ten drugi człowiek przebaczyć, ale kto Pana obrazi, któż się za nim wstawi?

- Nie chcę twojego boga! - powtarzała płacząc.

- Chceszli czy nie chcesz, do Niego należysz. Słyszysz cię, niewiasto, i widzi. Wie, co czyniłaś dziś rano o świcie...

Skoczyła na równe nogi, przerażona.

- Nic nie czyniłam! - ręczyła gorąco.

- ...wie, co uczynisz wieczorem. Zanim poweźmiesz jakiś zamiar, On go zna. Na co ci się zda opierać? Ukórz się!

- Nie ukorzę się nigdy - rzekła głucho. - Jeżeli on ma nieprzyjaciół, sprzymierzę się z nimi... Będę mu czynić na złość, jemu i tobie.

Pokiwał głową, pełen politowania dla jej szaleństwa.

- Ojciec - rzekł - ćwicz różgą dzicko, aby nabrało rozumu. Bacz, by ciebie nie oćwicył. Weź w głowę moje słowa, Hagar. Obdzielę równo synów moich i zaprawdę nie każdy król tak potomków swoich wyposaży! Tego się jednak nie spodziewaj, by syn twój został następcą moim nad plemieniem.. To przynależy się Izaakowi...

- Nie zmienisz tego? - zapytała ze złośliwym uśmiechem w oczach.

- Nie zmienię.

- Ejże? - szepnęła. W tejże chwili poza namiotem rozległ się przeraźliwy krzyk Sary:

- Ab - Rahamie! Ab - Rahamie!

Skoczył ku wyjściu zaniepokojony. Hagar uklękła przed nim, związała mu nogi ramionami.

- Puść mnie! - zawołał gniewnie. - Niedobra rzecz musiała się stać, skoro SAra krzyczy wielkim głosem!

- Cóż się stać mogło, panie mój? I komu? Izaakowi? Wszakże twój mocny bóg osłoni twojego syna... Włos mu nie spadnie z głowy... Czemu śpieszysz?... Odepchnął ją nie zważając na szyderstwo i pobiegł co tchu. Sara stała przed namiotem, z twarzą białą jak płótno. Bez słowa ukazała Ab - Rahamowi leżącą u jej stóp martwą żmiję barwy piasku...

- ...Znalazłam ją w posłaniu Izaaka - wyjaśniła łapiąc z trudem dech. - Chwyciłam i zdeptałam nogą...

Ab - Raham pobladł jak ona.

- W posłaniu Izaaka - powtórzył. Przetarł błędnym ruchem czoło. - W posłaniu Izaaka.... - Naraz z lękiem zawołał: - Gdzie dziecko?!

- Spał... Obudził się, gdy krzyknęła...

Jakoż mały siedział na swym legowisku w namiocie, uśmiechnięty, patrząc ze zdziwieniem na rodziców. Ab - Raham podbiegł, wziął go w ramiona, tulił do siebie i drżał. Żmija jadowita, efeh, wpęzła w posłanie światła jego życia... Mały synek, który spał, mógł nie obudzić się więcej... Mały synek mógł sinieć i drętwieć w jego ramionach, jak ojciec, stary Tare... Małego synka mogło przed zachodem już nie być wśród żywych... Gdyby nie opieka Pana...

Całą duszę posłał ku niebu w podziękę.

- Błogosławieństwo i tobie, niewiasto - szepnął. - Dzielna jesteś, Saro. Mało który mąż ważyłby się chwycić ręką żmiję i zdeptać nogą...

- Myślałam o Izaaku, panie mój, i nie lękałam się wcale...

Rozplakali się oboje. Dziecko zaniepokojone ich łzami pieściło głowy obojga. Nagle Sara odsunęła się. Oczy jej zabłyśły, podniosła ramię w górę.

- Przeklęta niech będzie dłoń - krzyknęła - która podrzuciła żmiję!

- Dłoń, która podrzuciła? - powtórzył niedowierzająco Ab - Raham. - Niewiasto, żmija mogła sama wpęznąć... Nikt w mieście Harran nie podrzucał żmii, która przecięła dni Tarego syna Nachora...

- Głuche są twoje uszy, ślepe twoje oczy, Ab - Rahamie! - wykrzyknęła z gniewem. - W górskim grodzie Harran leгло się żmij pod dostatkiem. Tu ich nie ma... Zali widziałeś choć jedną, odkąd tu żyjemy?!

- Sara, niewiasta twoja, ma słuszość, panie - wtrącił się do rozmowy Elizer. Nadszedł przed chwilą i przysłuchując się w milczeniu rozmowie przetrząsnął uważnie posłanie.

- Demon albo zły człowiek przyniósł tutaj żmiję - zawyrkował stanowczo. - Gad nie nosi ze sobą ziela... Oto ziele przyniesione wraz z gadem...

- Wiedziałam! - zawołała Sara.

Umilkli wszyscy troje. Każde miało na ustach to samo imię. Ab - Raham przebiegał myślą rozmowę z Egipcjanką. Przypomniawszy sobie niektóre jej odezwania i zrozumiał. Zdradziła się kilkakrotnie sama.

- Tak, to ona - rzekł twardo. - Nie będzie tu szkodzić więcej.

Zawrócił do namiotu Hagar. Domyślała się już niepowodzenia nie słysząc zawodzeń. Skupiona w sobie, przygotowała się do odparcia oskarżenia. Żałowała, że nie ma w pobliżu Ismaela dla obrony, gdyż Ab - Raham zapewne zacznie ją bić. Niech bije, ona nie przyzna się do niczego.

Ale Ab - Raham nie zamierzał pytać jej, tym bardziej bić. Wzrok jego był zimny, twarz

kamienna.

- Wyjedziesz stąd natychmiast - mówił przyciszonym z napięcia głosem. - Wyjedziesz i stopa twoja nigdy tutaj nie postanie. Sur zawiezie cię do miasta, gdzie zostaniesz. Jeżeli spróbujesz wrócić kiedykolwiek, sam cię zabiję... Żywie Bóg mój, że powinienem cię zabić od razu...

- Wypędzasz mnie z chłopcem?! Za co?

- Wypędzam cię, jak się wygania hienę. Za co? Wie dobrze dusza twoja. Ślepy byłem nie wyczytawszy wcześniej w słowach twoich prawdy o tym, coś zrobiła. Ismael zostaje. Ismael jest synem moim. Ciebie wypędzam. Ismaela zatrzymuję.

- Śmierci mojej pragniesz?!

- Nie wyzywaj śmierci, bo bliska ona...

Wyszedł szybko w obawie, że da się porwać gniewowi, i zaczął wołać na Sura, by siodłał wielbłąda. Ledwo odszedł, Hagar jak nieprzytomna wypadła z namiotu i pobiegła w przeciwną stronę szukać Ismaela. Znalazła syna w dąbrowie zakładającego sidła na ptaki. Pochwyciła go za rękę.

- Chodź prędko! Chodź! Ojciec twój wygania nas! Musimy iść precz!

- Dokąd? Dlaczego? - pytał, nie rozumiejąc.

- W świat! Nie zostaniemy tutaj! Chodź!

- Ojciec powiedział dzisiaj, że mogę zacząć objeżdżać mojego wielbłąda...

- Tak powiedział, a teraz Izaak na ciebie naskarżył i wygania...

- Izaak nigdy nie skarży...

- Naskarżył! Powiada, żeś mu wsunął do pośłania zmiję.

- A to ty wsunęłaś! - zawołał śmiejąc się, - Widziałem, jak ją niosłaś dziś rano...

- Milcz! - przyskoczyła do syna i wycięła mu policzek tak silny, że chłopcu w oczach pociemniało. Uderzony przez matkę po raz pierwszy w życiu, zdumiał się i spokorniał.

- Dokąd pójdziemy? - zapytał zbierając łuk i strzały porzucone na ziemi. Wybrał się na cały dzień, miał ze sobą również dzbanek wody i placek jęczmienny.

- Przed siebie, prosto, nie wrócimy do namiotu! Prędzej! Chodź! Chodź!

- Znasz tę drogę?

- Nie znam... Znam, owszem, znam, wiem - kłamała, pochłonięta jedną myślą: Odejść, zanim Ab - Raham spostrzeże się i zatrzyma syna. Jej syna! Nie odda go!

- Co będziemy jeść i pić? - pytał chłopiec rzeczowo.

- Masz przecież chleb i wodę.

- Dużo się tym pożywimy!

- Wystarczy. Spiesz się! Czego stoisz!

- Matko, idź wpierw do namiotu, zabierz żywność i worek na wodę...

Uderzyła go znowu z całej siły. Więcej pod wpływem zdziwienia niż strachu, ustąpił. Hagar biegła tak szybko, że ledwo nadążał.

- Tu nie ma drogi! - wołał.

- Znajdziemy ją później.

- Co będzie, jeżeli nie dojdziemy przed wieczorem?

- Przenocujemy w lesie.

Gwizdnął przeciągle. Przygoda zaczynała mu się wydawać zabawną.

- Byłaś tu kiedy? - pytał jeszcze.

- Byłam, o tak, byłam - kłamała.

- Po co?

Wzruszyła gniewnie ramionami. Nie nalegał. Policzki piekły go dotąd. Poszli przed siebie kierując się na zachód.

Dzbanek został opróżniony jeszcze wczoraj, ostatnie okruchy chleba Ismael pożarł przed chwilą. Upał nie słabł. Co gorsza, stracili drogę powrotną, jedyne, jaką mogli posiadać. Szli poprzedniego dnia do mroku, dziś od świtu do południa nie napotykając dotąd ani drogi, ani wody, ani żadnego śladu ludzkiej obecności. Zgubili się całkiem. Ismael obdarzony instynktem łowieckim byłby zapamiętał drogę do obozu, gdyby nie impet Hagar, która jak obłąkana pędziła go wprzód, byle prędzej, byle prędzej, nie pozwalając rozejrzeć się lub poczynić znaków. Błądzili teraz wśród splątanych pasm górskich zniżających się ku dalekiemu morzu. Przez te skaliste bezdroża nie prowadził na pewno żaden gościniec, wobec braku wody darmo było oczekiwać, że spotka się czyjeś stada. Schodzili z wysoka w doliny o trawie wypalanej, przerżnięte korytem wyschłych potoków. Pomny na opowiadania pasterskie Ismael próbował grzebać dołki wśród kamieni. Na dnie nie zbierała się ani odrobina wilgoci. Lato tegoroczne bowiem było szczególnie upalne. Po drugiej stronie doliny wznosiły się nowe wzgórza równie strome i jałowe, a wszedłszy z wysiłkiem na

szczyt, widzieli przed sobą liczne szeregi podobnych wzgórz i dolin, jednako spalonych słońcem, jednako odludnych. Chłopiec był głodny, spragniony i wściekły. Hagar ledwo żywa. W gardle jej zaschło, przed oczyma latały czarne i czerwone pląty. Niezdolna iść dalej, usiadła pod krzakiem bezlistnym, gdyż spaliło go słońce.

- Ismaelu - szepnęła - zostaw mnie. Wracaj do ojca. Ojciec ciebie nie wyganiał...

- Należało tak mówić wczoraj - odburknął. - Jakże wrócę, kiedy straciliśmy drogę? Wywiodłaś mnie tu, bym zginął...

Zakryła twarz chustą, nie mogąc słuchać tej mowy. On odszedł parę kroków i położył się na ziemi, odwrócony do niej plecami. Hagar płakała i zlizywała łzy. Były palące i słone. Wyczerpana położyła się również. Zdawało jej się, że słowa syna są niesprawiedliwe. Ona wywiodła jego na zgubę?! Chciała przemówić doń, zapewnić, że nikogo w życiu nie miłowała naprawdę prócz niego, że był jej szczęściem, światłem i ukochaniem. Wołała słabo: - Ismaelu! - Nie poruszył się wcale, nie odpowiedział. Był bardzo zagniewany, lecz ona wyobrażała sobie, że syn umiera, i ogarnęła ją rozpacz bez granic... Wywiodłaś mnie tu, bym zginął... Czyż nie wywiodła istotnie? Chciała uczynić na złość Ab - Rahamowi, a oto Ismael umiera. Z cienistej dąbrowy, z dostatku, od bogatego ojca wygnała go biciem, niby opornego osła, aby tutaj usechł jak trawa... Jej Ismael, jej piękny, odważny syn... Biada mojej głowie! Biada!... Przecz to uczyniłam!...

...Wywiodłaś mnie, abym zginął... Po raz pierwszy w życiu Hagar poczuła się odpowiedzialna za swoje wykrętne czyny, za kłamstwa płożone z lada powodu, za porywy wściekłości doprowadzające ją, jak teraz, do zguby własnego dziecka... Usiłowała odepchnąć od siebie ten błysk świadomości jako zbyt okrutny, gdyż przywykła całe życie uważać siebie za ofiarę... Każdy mnie krzywdził, nawet syn... - szeptała, lecz gdy głos raz rozbudzony pyta natarczywie: Wymień, który cię krzywdził? - zamilkła, nie znajdując odpowiedzi.

Podeszła znów do syna leżącego nieruchomo. Łzy jej kapały mu na twarz. Otworzył oczy, syknął ze złością:

- Idź sobie! Powiadałaś, że znasz źródło... Gdzie ono? Daj pić!...

Odwrócił się od niej i drzemał. Wargi miał suche i spękane. Siadła opodal i darła włosy rękami. Drapała twarz. Rzuciła się na ziemię i grzebała w niej, jak gdyby szukając wilgoci. Wyła. Mruczała sama do siebie: Ciężką ma dłoń bóg Ab - Rahama... Jak piorun jest nagły... Ledwom go wyzwalała, powalił mnie... Nie ma litości w nim... Ulituj się męce mojej, daj wody dla Ismaela... Ześlij wodę...

Podniosła w górę dzbanek, przewróciła do góry dnem, jak gdyby ukazując, że jest pusty, i jęczała. Potem znów powlokła się na kolanach do chłopca, by go przeproszać, płakać nad nim. Odepchnął ją bez słowa. Wróciła pod krzak, gdzie leżała poprzednio, i złorzeczyła sobie, słońcu i ziemi. Powtarzała: - Uschła głowa moja, język Ismaela przywarł do podniebienia... Nosiłam syna w żywocie moim, a teraz usycha przed oczami moimi, jak trawa bez rosy... Życzyłam śmierci innemu, a ten, którego miłuję, umiera... Życzyłam Sarze, by płakała syna swego, a płaczką jestem przy moim... Któż tak poplątał zamierzenia moje?... Zstąp, a ujrzysz, że mnie pokarałeś dostatecznie...

Sprzymierzyłeś mnie z bólem moim... Wody, wody, proszę cię, Panie, Boże Ab - Rahama... Straszna moc Twoja... Straszny gniew Twój... Dla pychy mojej pochwyliłeś mnie w sidła jak lwicę... Kamień od gorąca rozpuszczony w miedź się obraca... Policzki moje są z miedzi... Zniszczyłeś mnie... Zdeptałeś mnie... Wyniosłeś się twardo nade mnie... Muchy brzęczą wokół głowy mojej... Nie pragną, choć wody nie widzą... Sęp wysoko zawisa na skrzydłach swoich... Ten będzie pił krew moją i syna mojego... Niebo wychłódnie wieczorem, ale Ismael nie poczuje rosy... Daleka jest droga słońca, a siły omdlałe... Rozpływam się w ogniu jak wosk, ustałam jak dym...

...Jak dym... - powtórzyła jeszcze i ciemność objęła jej głowę.

Przecknęła się dopiero w wiele godzin później, gdy chłód wieczorny rzeźwił ziemię, a Ismael zdrów i zadowolony, stojąc nad nią, kropił jej twarz wodą z dzbanka. Myślała zrazu, że śni, potem, że ogląda ducha. Nie wierząc oczom płakała i całowała go po nogach. Odsuwał ją ze śmiechem a napoiwszy matkę podsunął jej pod nos kawał surowego dymiącego mięsa. - Jedz!

Nie spojrziała na mięso, patrzyła na niego. Ciągle myślała, że to senne przywidzenie. Ismael usiadł obok i z chętnością młodzieńczą ją opowiadać, co się przydarzyło. Bynajmniej nie zamierzał umierać, jak matka sądziła. Czuł tylko złość do niej za to, że skłamała. Do siebie też miał urazę, iż niewieście zawierzył i poszedł w pustynię jak głupi. Leżąc wciąż myślał, co zrobić, by się wydobyć z tej matni. Przed zachodem słońca zobaczył dwie sarny przechodzące nie opodal, a niebawem drugie dwie. Nie wyglądały na spłoszone, dorozumiał się więc, że idą do wodopoju. Czołgał się ostrożnie za nimi, pełził pod krzakami jak wąż, aż trafił na ścieżkę zwierzyny dobrze wydeptaną. Nie wątpił już teraz, że go ścieżka zawiedzie do wody. Wrócił po dzbanek i łuk. Poszedł poprzednim śladem, odnalazł małą krynicę prawie niewidoczną w mchu, napił się do syta i nappełnił naczynie. Zaczaił się w krzakach i zastrzelił młodego kozła. Już go obdarł ze skóry, pokrajał, mięso położył na drzewie, by je zabezpieczyć, sam się nasycił i otrzeźwił matkę... - Jedz! - powtórzył nakazująco, wtykając jej mięso. Nie chciała odmówić, mimo wstrętu przełknęła parę kęsów patrząc wciąż na syna zachwyconymi oczami. Ze zdziwieniem poczuła się nieco silniejsza i choć z obrzydzeniem, jadła dalej. Ismael klepał ją pobłaźliwie po plecach.

- Podoba mi się takie życie - oznajmił. - Nie smakuje ci mięso surowe? Potrafię rozpalić ogień, będziesz mogła upiec... Nie chcę wracać już do obozu ojca... Zostanę łowcą zwierzyny...

Postanawiał sam o sobie jak mężczyzna, któremu nie przychodzi do głowy pytać o zdanie niewiasty. Nie pozostawało Hagar nic innego, jak patrzeć w niego pokornie i słuchać.

ROZDZIAŁ ÓSMY

ŁOWCA LWÓW

Rozpacz Ab - Rahama po zniknięciu Ismaela była wielka. Wyteżył wszystkie siły, by zaginionego odnaleźć. Kto żyw w obozie, dosiadł osła lub wielbłąda i ruszył w pościg. Przetrasano wszystkie drogi i wszystkie ścieżki. Wysłańcy Ab - Rahamowi dotarli do grodów nadmorskich, do granic Negebu, do wybrzeży Słonego Jeziora i na północ ku miastu Sichem. Szukali tak pilnie, że zdawać się mogło, że mysz polna nie uchowa się przed ich wzrokiem. Pytali po drodze wszystkich napotkanych ludzi, lecz nikt nie widział czarnowłosej, smagłej kobiety o umalowanych egipskim zwyczajem oczach i ciemnonicego wyrostka. Zachodzili w głowę, gdzie się zbiegowie ukryli, widzieli w tym sprawkę złośliwych demonów, nikomu bowiem, nawet Ab - Rahamowi znającemu nieokiełznane porywy Hagar, nie przyszło na myśl, iż szalona niewiasta pójdzie na przełaj w górskie, bezdrożne, spalone pustkowia. Mąż dojrzały zaopatrzonej obficie w żywność i wodę zawahałby się przed podobnym przedsięwzięciem, a cóż dopiero tych dwoje!

Zgnębiony, przybity AB - Raham oskarżał samego siebie, że nie przewidział, co Hagar uczyni. Wszakże już raz uciekła na pustynię brzemiennej będąc. Należało nie pozostawiać jej ani chwili samej. Jeszcze ciężiej winił siebie o to, że niedostatecznie miłował ani usiłował poznać Ismaela, że nie potrafił przywiązać chłopca do siebie, a tym samym przyczynił się do jego śmierci. Nie mogąc usiedzieć spokojnie na miejscu, wyruszył również na poszukiwanie. W Hebronie ujrzał na rynku gromadkę ludzi otaczającą z ciekawością męża, którego twarz wydała się Ab - Rahamowi znajomą. Zatrzymał się, zsiadł z osła, gdyż nie należy pomijać żadnej okazji zasięgnięcia wiadomości, i stanął w kole słuchających. Otyły, dostojnie odziany kupiec opowiadał zebranym szczegóły pogrzebu niedawno zmarłego Hamurabiego syna Sin Muballita, pana połowy świata.

- ...Ustawiono orszak czwórkami, pilnie sprawdzając, żeby nikogo nie brakło - mówił. - Mesareci, dworzanie, dwórki, urzędnicy, ich niewiasty, ich dzieci, wojownicy, słudzy, niewolnicy, niewolnice... Aż do poganiaczy osłów. Razem było więcej niżli pół tysiąca ludzi. Wszyscy świetnie odziani, spokojni i zadowoleni, bo powiedziano im, że stanowią orszak ulubieńca bogów, odprowadzający zmarłego władcę do grobu, a potem zasiądą do stypy, którą już gotowano w pałacu. Nawet klócili się przedtem i wydzielali sobie miejsca pragnąc zaszczytu i prawa zasiadania przy uczcie. Kapłani śpiewając szli przodem. Nieśli zwłoki Hamurabiego siedzącego na złocistym tronie. Babilończyk był taki sam jak za życia, zdawało się, że przemówi... Orszak wszedł w długie, wąskie przejście kamienne wiodące do komnaty grobowej. Gdy wszyscy weszli, poganiacze z osłami na ostatek, spadła ciężka spiżowa brama podciągnięta wpierw wysoko w górę i zamknęła podziemie. Zaraz przyskoczyli niewolnicy i jęli śpiesznie walić przygotowane uprzednio głazy jeden na drugi i spajać je, i wznosić mur, którego żadna siła nie poruszy, a na ten mur sypali ziemię, aż usypali kopiec i wprędce ani poznałeś, gdzie było wejście do grobu...

- Kapłani zostali tam także? - pytano.

- Kapłani?! Nie minęło wiele czasu, a już się pojawili w świątyni i składali ofiary. Powiadali, że po to odesłał ich zmarły ulubieniec Marduka przeprowadzając swe sługi przez mur... Kto by w to uwierzył? Przygotowali sobie zawczasu tajemne, skryte przejście, nieznanie nikomu. Orszak został... Dopieroż byli radzi ci, co z zalem ustąpili innym miejsca w pochodzie!

Opowiadający roześmiał się i Ab - Raham przypomniał sobie, kim był ten mąż. Korzystając z przerwy w opowiadaniu podszedł do niego.

- Bądź pozdrowiony, Sarugu synu Efrema! Nie poznajesz mnie?

- Kimkolwiek jesteś, bądź pozdrowiony... Lica twe, mężu czcigodny, nie są obce słudze twemu... Dopomóż wszakże pamięci mojej...

- Spotkałem cię, Sarugu, bardzo dawno w kraju Negeb. Namówiłeś mnie, aby jechać do Egiptu...

- Świeży znajomy - chleb nieodwrócony, stary znajomy - wino rozweselające twarz i serce... Jesteś Ab - Ram syn Tarego! Przypominam sobie doskonale...

- Zwano mnie wówczas istotnie Ab - Ramem synem Tarego. Obecnie imię moje jest Ab - Raham...

- Ab - Raham?! - wykrzyknął kupiec ze szczerym zdziwieniem. - Tyś jest Ab - Raham?! O bogowie! Wiele słyszałem o tobie... Uczyń łaskę słudze twemu, chodź wypić ze mną wina w jakiej ustronnej gospodzie... Opowiem rzeczy ciekawe, ciebie dotyczące, a których powszechności lepiej nie rozgłaszać...

- Uczynię to najchętniej, Sarugu synu Efrema - zgodził się Ab - Raham. Przyszło mu na myśl, że przez kupca dowie się czegoś o Ismaelu.

- OPowiadałem na rynku - zaczął Sarug, gdy zasiedli w cienistej winiarni - o pochówku Hamurabiego, syna Sin Muballita. Tobie zwierzę, co się działo przed jego zgonem. Chorował długo i wszyscy wiedzieli, że na umrzenie mu idzie. Nie dziwota. I wiek, i blisko pięćdziesiąt lat panowania! Dla innego panowanie to rozkosz, dla niego to była praca. Bardzo pracował. W dzień i w nocy odbierał raporty, podpisywał tabliczki, dyktował rozkazy. Sekretarze zmieniali się przy nim, jego nikt nie zmieniał. Nigdy nie odpoczął. Był żółty jak wosk. Ukrywał do ostatka niemoc, aż go powaliła na łożo i gdy legł, wszyscy wiedzieli, że czasy Hamurabiego dobiegają końca. Wnet się wszczęło wesele w narodzie, bo twardą miał rękę, a dziedzice, których kilku jest, zaczęli się swarzyć i na swoją stronę każdy ludzi przeciągać. Babilończyk, chociaż słaby, jeszcze rządził. Dyktował z łoża sekretarzom porządek pogrzebu, stroje, jakie miał odziać orszak i czas żałoby, i ilość ofiar. Potem pytał kapłanów otaczających łożo, co z nim będzie? Odpowiedzieli: - Żyj wiecznie, królu! Idziesz do Marduka ojca swego, który cię osadzi na gwieździe jak Nimruda, założyciela Babilonu... On zasię: - Czemu mówicie: Żyj wiecznie, skoro umieram? Zali jest życie po śmierci? - Będiesz błyszczał jak gwiazda, ulubiony synu Marduka... - On znowu: - Czy to pewne? - Odpowiedzieli: - Tak, to jest pewne. On na to: - Chcę, niech ojciec mój, Marduk, sam mi to powie. Oni: - Bóg do nikogo sam nie przemawia. Od tego ma nas, kapłanów. My słyszymy jego głos. Babilończyk upierał się: - Nie jest tak, jak mówicie, bo doszły mnie wieści z grodu Ur, że mężowi imieniem Ab - Raham ukazał się bóg jego i zapowiedział zniszczenie grodów Sodomy i Gomory, które rychło później nastąpiło... Kapłani na to: - Nie wiemy, czy ta wieść jest prawdziwa i co za mąż ów Ab - Raham, i jakiego boga wyznaje. Może demona, od którego MARDUK, ojciec twój, wiele jest władniejszy... Hamurabi nie ustępował, powiadając: - Tamten bóg jest silniejszy, gdyż tchnie, kędy mu wola. Marduk zaś tylko przez was

potrafi gadać. Chcę poznać tamtego boga. Ślijcie szukać męża imieniem Ab - Raham, niech mi swojego boga ukáže! Odrzekli kapłani: - Żyj wiecznie, królu! Przywiedziemy ci męża onego. On jeszcze: - Ślijcie wszędy, a śpieszcie się! Oni: - Przywiedziemy, choćby się ukrył pod ziemią! - Wyszli, niby posłać gońców, a prawdziwie stanęli w przyległej komnacie i wrzuszali ramionami zagniewani. Nie myśleli nigdzie posyłać wiedząc, że cień słońca na zegarze nie posunie się o wiele kresek, a król zgaśnie. Żeby tymczasem chorego uspokoić, przynieśli ze świątyni posąg Marduka, cały złotą blachą okryty, bardzo piękny i postawili przy łożu mówiąc: - Królu, oto ojciec twój! Król patrzył nań, mienił się na twarzy, ręce składał i prosił: - Przemów! Daj mi znak! Próżno prosił, bo posąg nie przemówi. Czyż kiedy przemówił sam z siebie? Stał ów posąg złotem błyszcząc, aż król wpadł w wielki gniew, siadł na łóżku i wygrażał pięściami, pieniał się i krzyczał: - Głino, którą bogiem uczynił! Przemów! Okryłem cię złotem, poświęciłem ci tysiące ofiar, dałem świątynie, dostatki!... Nie możesz dać mi nadziei?! Nadziei chcę! Kapłani znowu: - Królu, uspokój się, czego żadasz? - Chcę poznać Boga Żywego, Boga Żywego, który usłyszysz głos mój!... I zamierzył się, by obalić posąg, ale sił nie miał.

...To wszystko wiem od znajomego mojego, urzędnika komory królewskiej, który był wtedy w komnacie. Rozumnym człowiekiem będąc, pojmował, iż z tych, co słyszeli takie słowa, żaden nie zostanie żywy, jak nie wyjdzie nikt żywy z pogrzebowego orszaku. Nie czekał przeto dalej, tylko wyszedłszy z komnaty, rzekomo po wodę dla króla, wymknął się chyłkiem z pałacu, narzucił na barki prosty płaszcz i uszedł z grodu. Nie oparł się aż w Damaszku, gdzie go spotkał. Prosił, by nikomu tej powieści nie rozgłaszać, bo choć Babilończyk umarł, kapłani żyją...

- Nie powtórzę nikomu - zapewnił Ab - Raham, głęboko wstrząśnięty opowiadaniem. Było mu szczerze żal Babilończyka, litował się jego grozie przedśmiertnej. Sam w porównaniu czuł się wielkim bogaczem. - W chwili śmierci - myślał - zawołam: Panie! W ręce Twoje oddaję ducha mego! i nie ogarnie mnie trwoga...

- Powiedz mi teraz, Ab - Rahamie - podjął Sarug napiwszy się wina - zali to prawda, co posłyszał Babilończyk, że twój bóg przemawiał do ciebie?

- Bóg prawdziwy, do którego należę ja i każdy człowiek wraz z całym światem, przemawia, mniemam, do każdego, kto Go poznać pragnie... Czy chcesz, bym ci o Nim opowiadał?

- Sługa twój z radością posłucha innym razem, gdyż czasu mam bardzo mało. Śmierć nie stoi jeszcze nade mną, jak nad Hamurabim, śpieszno mi zaś jechać do Babilonu. Wszyscy kupcy z nadmorskich grodów tam walą, a kto prędzej przybędzie, ten więcej zarobi... Spodziewam się dobrego żniwa... Hamurabi zgromadził w kraju wielkie dostatki, a wywóz i przywóz obłożył podatkami, więc handlu nie było. Urzędników nawet trudno było podkupić, bo się bali o skórę swoją. Wierzyli, że Babilończyk wszystko wie... Teraz sobie pozwolą... Rozproszą szybko jego spuściznę wraz z państwem, Elam już pono głowę podnosi, ale nim to się stanie, kupcy zarobią.

- Nietrwałe dziedzictwo zostawił Hamurabi, choć się tak wysiłał - zauważył Ab - Raham.

- A nietrwałe. Nic nie jest na świecie trwałego, chyba rozumnie postawiony interes kupiecki... A ludność już sama burzy urzędy i morduje inspektorów... Jedno, co po Hamurabim zostanie, to tablice prawa, które wszędzie poustawiał. Te szanuje każdy, bo mądre i pożyteczne są...

- Chcę cię prosić o przysługę, Sarugu...

- Mów, a uczynię z radością, co żadasz.

Ab - Raham opowiedział kupcowi o zniknięciu Ismaela. Nie wdając się w bliższe szczegóły wypadku prosił, by w razie napotkania zbiegów otoczył ich opieką i jemu, Ab - Rahamowi, dał znać.

- Bądź spokojny, że to uczynię, nie tak jak kapłani szukali ciebie, ale prawdziwie, nie załując trudu - zapewnił śmiejąc się Sarug. Ab - Raham pożegnał go i ruszył w powrotną drogę. Nikła nadzieja, że w domu zostanie wiadomość o zaginionym synu, okazała się próżną. Wszyscy gońcy już powrócili nie przynosząc żadnej wieści.

Tak już zostało. Ab - Raham nie wiedział, zali odprawić żalobę czy jeszcze czekać? Gryzł się i postarzał. Aż w niecałe dwa lata po ucieczce Hagar Ismael przyszedł sam do obozu odwiedzić swego ojca. Nikt go zrazu nie poznał, tak rozrósł się i zmężniał. Chmura czarnych włosów wisiała nad czołem, ciało brunatne od słońca. Był nagi, tylko wokół bioder odziany skórą lamparcią. Ogon zwierzęcia zwieszał się wzdłuż prawej lędźwi, a paszcza z kłami wzdłuż lewej. Na plecach kołysały się łuk i sajdak pełen strzał, przy boku nóż. Padł do nóg Ab - Rahamowi, pogładził policzek szalejącego z radości Izaaka, udał, że nie spostrzega wyglądającej z namiotu Sary, kiwnął obojętnie głową pozostałym. Ab - Raham nie posiadał się ze szczęścia. Kazał co tchu sposobić ucztę, piec mięso i podać wino. Ismael, jedząc żarłocznie, opowiadał w przerwach między jednym kęsem a drugim. Czuł się zadowolony z obecnego życia i nie pragnął zamienić go na żadne inne. Matkę osadził w grodzie nadmorskim Gaza, sam zebrał kilku towarzyszy miłujących swobodę jak on, polowali na wielkie, drapieżne zwierzęta, lwy, niedźwiedzie i lamparty. Pierwsza jego większa zwierzyna to lampart, którego skórę nosi wokół bioder swoich. Przyszedł do ojca, by wziąć rzeczy matki i prosić o parę przedmiotów dla siebie...

- Bierz, co chcesz - rzekł AB - Raham śpiesznie. - Wielbłądy, osły, bydło...

Myśliwiec śmiał się, aż legł na trawie.

- Zatrzymaj, ojcze, swe stada. Cóż bym robił z nimi? Poganiaczem ani pastuchem nie chę być. Wolę być panem zwierząt niż ich sługą. Owce przydatne mi tylko na przynętę, a na to szkoda twoich pięknych baranów... Daj mi, proszę, łuków dobrych kilkanaście, dużo strzał, oszczepów i włóczni, a tym uradujesz duszę moją...

- Bierz, co chcesz - powtórzył AB - Raham. - Synem moim jesteś, synem zaginionym i odnalezionym. Wszystko, co posiadam, jest twoje. Nie ma, czego bym odmówił.

- Tedy uczyni mi jeszcze jedną rzecz, ojcze: niech matka moja nie będzie nazywana niewolnicą twoją.

- Żywie Pan mój, iż nie jest Hagar niewolnicą moją od dziś. Zaprzysięgam na Imię Pana Najwyższego, jako jest wolna i może czynić, co chce. Bądź dla niej dobrym opiekunem w starości jej, pomnąc, że cokolwiek złego czyniła, z miłości dla ciebie to poszło...

- Wiem o tym - przytwierdził Ismael.

- Co chcesz więcej? Mów, a dam.

- Nic mi nie trzeba - stwierdził chłopiec po namyśle. - Gdzie pójde z towarzyszami moimi, pasterze dają nam mleko, masło, placki i barany. Bym zażądał, daliby żony i córki, tacy radzi, że ich bronimy od lwów... Wypatrzyłem pszczoły w szczelinie skalnej i zbieramy miód z opoki... A za skóry kupcy dają nam odzież, jakiej żądamy, i wino... Niczego mi nie trzeba.

Potrząsnął dumnie czarną czupryną. Ab - Raham wpatrywał się weń, nie mogąc ukryć podziwu dla pięknego zuchwałego młodzieńca.

- Stary jestem - zauważył - i nie wiem, kiedy obaczą cię znów oczy moje. Chceszli, Ismaelu, abym cię przed odejściem twoim pobłogosławił?

- Uczyń tak, ojcze mój, jeśli ci to miłe.

Ukląkł niezręcznie. Ab - Raham położył dłonie na kruczej głowie i błogosławił, wzywając opieki Pana Najwyższego na tego oto Ismaela i wszystek ród z pokolenia w pokolenie. Niech go obdarzy pomyślnością, a strzeże od złego. Niech mu udzieli obficie rosy niebieskiej i tłustości ziemskiej.

Gdy skończył, Ismael poderwał się szybko na nogi. Nie lubił okazywać wzruszenia i ukrywał je pod pozorną obojętnością.

- Kazałem władować na dwa osły przyodziewki Hagar, harfę jej i inne przedmioty - mówił Ab - Raham, kiedy znów zasiedli. - Pognasz je przed sobą.

- Poślij je raczej, ojcze, przez Sura czy innego sługę, gdyż ja nie zobaczę matki mojej wcześniej niż o drugiej pełni. Znajdą ją łatwo. Mieszka przy bramie wschodniej u Nety, Egipcjanina.

Roześmiał się i dodał:

- Swata mnie już z córką jego...

Ab - Raham zaniepokoił się.

- Do mnie należy wyszukać żonę synowi...

Ismael parsknął śmiechem po swojemu.

- Ani ty, ojcze, ani matka moja żenić mnie nie będziecie. Sam wybiorę sobie tę niewiastę, którą zechcę...

Otarł usta. Poskoczył wybierać broń; związawszy ją w ciężkie naręcze jął żegnać ojca. Izaak posłyszawszy, że duży brat odchodzi, wybuchnął płaczem tak szczerym, że Ismael poczuł się zakłopotany.

- Nie becz - mruknał. - Przyjdę znowu kiedyś, przyprowadzę ci małego lewka...

- Czy on nie pożre jagniątek? - zaniepokoił się mały.

- Powiesz mu, żeby pożerał tylko stare tryki - zakpił Ismael. Pogładził lnianą główkę czulej, niż zamierzał, błysnął zębami w pożegnalnym uśmiechu i zarzuciwszy pęk broni na plecy odszedł giętkim, posuwistym krokiem leśnego człowieka.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

OFIARA

- Otom ja - rzekł Ab - Raham zbudzony późną nocą z twardego snu. - Otom ja - powtórzył, zdawało mu się bowiem, że ktoś go woła. Lecz wokół panowała cisza i serce starego człowieka jęło kołatać trwożnie na myśl, że przemówi Pan. Dawno, dawno nie słyszał Głosu Pańskiego. Siedemnaście lat minęło od czasu, gdy Pan wezwał swego sługę nocą, przy studni zwanej teraz Studnią Przysięgi. Bo kiedy później zawierał ze szczepem hebrajskim Przymierze, gdy odwiedził Ab - Rahama pod dębami, jak przyjaciel przyjaciela, nie budził druzgocącej bojaźni stworzenia wobec Przedwiecznego, rozmyślnie przyćmiewając swoją Chwałę. Teraz, wsłuchując się w ciszę tak głęboką, że dzwoniła w uszach, Ab - Raham myślał z drzeniem, czego Pan od niego zażąda. Czuł się w sumieniu swym spokojny, a zarazem doskonale szczęśliwy, toteż do lęku właściwego śmiertelnej istocie dołączyła się ludzka obawa przed zmianą. Człowiek tęskni do Pana swego, gdy jest udręczony lub wahający w wyborze drogi. Wtedy woła: Wskaż mi kierunek, pchnij mnie swoją ręką... Gdy wszystkie pragnienia serca zostały zaspokojone, człowiek woli raczej, by Bóg zdawał się o nim zapomnieć, zostawiając nietknięte to wszystko, co dał.

Nie słysząc nic Ab - Raham pomyślał, iż przyśniło mu się tylko wołanie, i z ulgą zasnął z powrotem. Aliści zawołano nań po wtóre wyraźnie i głośno:

- Ab - Rahamie! Ab - Rahamie! - Bez wątpienia, to Pan mówił. Jego Głos wypełnił świat i serce człowiecze, puste jak wymyta muszla.

- Mów, Panie, bo sługa Twój słucha - szepnął Ab - Raham żarliwie i naagle zdjęła go straszliwa zgroza: Nie! Nie! Przesłyszał się! Nie zrozumiał! Nie pojął! To nie Pan mówił do niego! Na starość stał się igraszką demona! Głos Pański, który dotychczas, ilekroć przemawiał, to słowa błogosławieństw pełnymi, nakazywał teraz Ab - Rahamowi twardo i okrutnie, by ofiarował Panu syna swego... Ab - Raham zasłonił dłońmi uszy, nie pomogło, gdyż głos brzmiał wewnątrz piersi i czaszki jego. Skulił się jak gnane zwierzę i jęczał ze strachu. Głos umilkł. Ab - Raham ocierał pot z czoła. Krzepił się oczywistym nieprawdopodobieństwem rozkazu. Pan?! Pan żądałby rzeczy równie okropnej?! Pan miłosierny i sprawiedliwy, o którym Melchizedech, król Uru - Salem, mówił, iż miłosierdzie Jego obejmuje wszelkie ciało?

Świt zeszedł, piękny, wiosenny, męka nocy wydała się zwidem. Izaak wbiegł radośnie do ojcowskiej części namiotu i Ab - Raham tulił go jak ocalonego. Cóż za straszny i niepojęty sen go nawiedził?! Wodził dłonią po włosach dziecka miękkich niby puch i cieszył się, że żyją obaj. I że to był tylko sen. Wspomnił go z dreszczem trwogi. Mimo woli lękał się nadejścia nocy, by się podobna mara nie powtórzyła. Wziął Izaaka do siebie na noc mimo niezadowolenia Sary. - Po co mi go zabierasz? - mówiła. - Dość, że cały dzień jest przy tobie. - Nie zważając na jej sarkania poniósł dziecko zachwycone nowością na swoje posłanie. Czuł na twarzy oddech chłopca, lekki, bezwonny. Zasnęli obaj spokojnie. Lecz w nocy obudziło Ab - Rahama powtórne wołanie i Głos to samo żądanie powtórzył. - Nie, Panie - odpowiadał znękany ojciec w duchu swoim - żadną miarą Ty tego nie żadasz... NNie możesz żądać, bym zabił mego syna, Izaaka, który śpi na sercu moim...

- Żądam tego syna właśnie, syna Izaaka, który śpi na sercu twoim... Chcę, byś mi go

ofiarował...

I znów Ab - Raham tłumaczył sobie, że to tylko sen. Nazajutrz poszedł spać daleko za obóz. Uciekł. Lecz i tam go doгнаło wołanie:

- Przysięgałeś na ogień, na ziemię, powietrze i wodę, że będziesz mi posłuszny, czegokolwiek zażadam. Chciałeś posłuszeństwem zmyć winę praojca swojego, Adama... A dzisiaj mi odmawiasz...

- Uczynię, Panie, wszystko, co rozkażesz, prócz tej jednej jedynej rzeczy, której nie uczynię...

- Takież posłuszeństwo twoje? Fałszywym bogom oddają ochotnie dzieci; poświęcił Aser dębowi swojego synka Zabbai, a ty mi odmawiasz?...

- Fałszywi bogowie są źli i okrutni, a Tyś sprawiedliwy i miłosierny... Nie możesz tego zażądać... Wolałbym raczej zabić duszę moją...

- Jestem Panem wszystkiego, co żyje, i każdej chwili biorę, co uważam. Kiedy biorę, swoje biorę, kiedy ujmuję, nie ujmuję cudzego... Poświęć mi swojego syna, Izaaka...

- O Panie! Tyś mi go dał!

- Tym większe jest prawo moje... Mój on jest... Oddaj mi go.

- Nie sprzeciwię się Tobie, Panie... Uczynię to, czego żadasz...

Wrócił rano do namiotu tak stary, znękany i blady, że Sara na jego widok krzyknęła z przerażeniem:

- Choryś jest, Ab - Rahamie?!

Nic nie odrzekł, ledwo chwilę przystanął w namiocie, znów zawrócił, przeszedł dąbrowę myśląc wciąż, jak zabrać dziecko i uciekać z nim. Lecz gdzie ucieczka przed Bogiem? Choćbym miał skrzydła orłowe - rozważał - nie ubieję. Choćbym się schronił tam, gdzie zorze na noc zapadają, znajdą mnie oczy Boga mojego... W Jego władaniu jest świat. Gdzie szczelina owa albo puszcza owa, albo góra dość wysoka, aby mnie nie znalazł Ten, który mnie stworzył?...

Gdy w nocy Pan znów nań zawołał, Ab - Raham odpowiedział: Ofiaruję Ci syna mego umiłowanego... Ofiaruję zaraz po nowiu.

Tak rzekł, w duchu pomyślał: - Pójdę dziś wieczorem sam na puszcę. Może mnie pożre lew i nie będę zmuszony zabijać dziecka mojego...

Ale głos Tego, który czyta myśli, odparł:

- Nie wtedy, kiedy nów błysnie, lecz zaraz pojedziesz na górę Morie i tam ofiarujesz syna...

- Pojadę z Elizerem i synem moim Izaakiem na górę Morie złożyć ofiarę Panu. Pan tak kazał -

oznajmił Ab - Raham żonie.

- Przecież chory jesteś! - oburzyła się Sara. - Ledwo się na nogach trzymasz! Jakże pojedziesz?

- Ozdrowieję może, gdy wolę Pana wypełnię.

- Zostaw Izaaka. Mały jeszcze. Po co go bierzesz?

- Pan kazał.

- Gdzie jest owa góra Morie?

- O trzy dni drogi stąd.

Poleciał Elizerowi przygotować wszystko, co potrzebne do podróży, nie zapominając o drzewie i kociołku na żar. Sam legł bezsilny w namiocie. Przez płótno słyszał okrzyki radości Izaaka, któremu matka powiedziała, że ma jechać. Izaak nigdy dotąd nie opuszczał obozu, więc uciecha jego była wielka. Świergotał nieustannie, wypytując Elizera, którądy i dokąd pojedą.

...Okaz mi, Panie, miłosierdzie swoje i pozwól umrzeć... - błagał Ab - Raham. Niebo milczało. Pomału rozpacz proszącego zamieniała się w gniew. Krzyczał duszą: - Odezwij się! Tyś mnie zawołał pierwszy... Tyś mnie szukał i odnalazł, nie ja Ciebie... Dlaczego odbierasz dziecko, któreś mi dał? Czy lubujesz się w męce ludzkiej?! Któż mnie obroni przeciw Tobie?!

Burzył się, aż wspomniał, jak Hagar krzyczała: - Sprzymierzę się z nieprzyjaciółmi Imienia Jego! Miał ją wtedy za szaloną, a sam teraz gotów był wołać podobnie. Zakrył głowę płaszczem jęcząc: Boże mój! Boże! Zmiłuj się nade mną!

- Tu jest żywność dla ciebie, panie mój, i dla Elizera - mówiła Sara - tu osobno dla Izaaka... Ciasto, jakie on lubi. Noa całą noc piekła... Jest dobre i świeże...

- Za dużo dajesz, Izaak tyle nie zje - zauważył Ab - Raham, aby coś powiedzieć. - Droga trwa tylko trzy dni.

- A z powrotem?! - zawołała. Ab - Raham nic nie odrzekł i zapakowano żywność na drogę powrotną, której dziecko nie miało przebywać.

- Pilnujcie chłopca, żeby nie pił wody z sadzawek, gotów połknąć pijawkę... Nie jedzcie w południe, kiedy gorąco... Przepatrz dobrze posłanie, czy nie ma skorpiona... Uważaj, żeby się nocą nie przeziębiał... - zalecała Sara.

- Niewiasto, pożegnaj syna - przerwał głucho Ab - Raham.

Spojrzała na męża, zdziwiona jego głosem. Z choroby taki zmieniony? Izaak rzucił się w jej objęcia. Całowali się bez tchu. Jeszcze z grzbietu ulubionego, mądrego osła Izaak wyciągnął ramiona do matki i obiecywał rychły powrót. Ab - Raham słuchał i milczał.

- Niech pani moja będzie spokojna - zapewniał Elizer. - Nie przepali go słońce ani nie przeziębnie w nocy.

Ruszyli na koniec. Elizer z Izaakiem z tyłu. Ab - Raham przodem sam ze swymi myślami. Chłopiec uszczęśliwiony z wycieczki śpiewał, przechylając przy tym głowę na bok jak ptak.

Wiosenne deszcze spadły nieskąpo w tym roku, słońce dogrzewało i ziemia jawiła się oczom precudna. Osły brodziły w kwiatkach po brzuchy. Żłociste jaskry, purpurowe anemony, tulipany, ostróżki, maki powiewały unoszącymi się nad nimi rojnie motylami. Po tym kobiercu gorejącym barwami Ab - Raham prowadził swojego synka na śmierć.

Góra Morie należała do tak zwanych "bamah", czyli miejsc wysokich, na których z prawieka składano bogom ofiary. Zmieniały się bóstwa, padały świątynie, fale potopu zmyły powierzchnię ziemi, lecz miejsca, uświęcone pamięcią i obyczajem pozostawały wciąż w sile, milczące przybytki nieznanego Boga. Na "wysokie miejsca" obierano góry odosobnione, pozwalające obejść się wokoło, zewsząd widoczne, posiadające źródło na stoku lub u podnóża.

Gdy stanęli u stóp góry Morie, Ab - Raham rzekł do Elizera:

- Pozostań tutaj z osłami, ja zaś pójdę z dzieciąciem uczynić ofiarę.

- Z czego? - zapytał Elizer, lecz Ab - Raham nie odpowiedział. Nie dosłyszał widno pytania. Stary sługa nie należał widząc, że jego pan jest chory. Straszno było patrzeć na Ab - Rahama. Wyglądał niby człowiek umarły, a wciąż jeszcze w grobie trawiony gorączką. Od wyjazdu z domu nie wziął w usta jedzenia pomimo tkliwych prośb zmartwionego stanem ojca Izaaka. Chwiał się na nogach, wargi mu drżały jak w febrze.

- Synu mój - zapytał - poniesiesz drzewo na górę?

- Poniosę, ojcze! - przystał ochotnie Izaak. Ab - Raham ruszył przodem, trzymając w rękę wielki nóż ofiarny, w drugim kociołek z żarem. Obciążone drwami dziecko z trudem nadążało za nim, bo góra była stroma. Pozostały na dole Elizer śledził wspinających się z niewytłumaczonym niepokojem.

Nawet skaliste zbocza góry przystroić pięknie, chociaż krótkotrwałe, wiosna. Między skałami kwitły i woniały mięta, macierzanka, majeranek, rozmaryn, czerwone szałwie i heliotropy o silnym zapachu. Po tych wonnych stopniach wiódł Ab - Raham swojego synka, by go zabić... Idąc nie przestawał modlić się o śmierć. - O, Ty - mówił - srogi, miazdzący serca, okaż litość, spraw, bym nie żył!

Niebo milczało.

Szli, wspinali się krok za krokiem. Ab - Raham znacznie wyprzedził chłopca. Już był u szczytu, gdy doleciał go żaloszny, zmęczony głosik:

- Ojcze, mój ojcze! Czemuś mnie opuścił?!

Zawrócił i zdjął z ramion dziecka zbyt ciężkie dlań brzemie. Starożytny ołtarz z wielkich nieciosanych głazów nie był snadź używany od wielu lat. Z nadzwyczajną uwagą i starannością Ab - Raham zmiatał zeń pył, suche źdźbła trawy i nawóz ptasi. Po oczyszczeniu układał na głazach drwa napojone żywicą. Izaak przyglądał się uważnie. Podawał polana i rozdmuchoiwał żar w kociołku.

- Ojczy? A gdzie jest ofiara? - zapytał.

Ab - Raham zachwiał się.

- Bóg jej dostarczy, mój synu.

Malec rozejrzał się wkoło ciekawie, wyglądając, skąd nadejdzie ofiara. Ab - Raham zakrył twarz dłońmi. Gdy już nic nie pozostawało do zrobienia, gdy już nie można było zwlekać, on borykał się jeszcze i mocował z Panem:

...Nie masz prawa tego żądać! Nie uczynię!

...Musisz! Tamci zgrzeszyli nieposłuszeństwem, ty za nich będziesz posłuszny!

...Nie!

...Tak! Czyń!

- Połóż się tutaj - rzekł Ab - Raham ochrypłym głosem. Chłopiec nie rozumiał, więc Ab - Raham uniósł go, ucałował, przycisnął na moment do serca i ułożył przepisowo na ołtarzu.

Czy Izaak pojął? Nie wydał głosu, nie poruszył się. Szeroko rozwartymi oczami, w których odbijało się niebo, patrzył na ojca z bolesnym zdumieniem. Położywszy najczulej rękę dziecku na piersi, w której tłukło się serduszko, AB - Raham w drugiej ścisnął nóż. Myślał:

...Te oczy... Te usta:... Izaak:... Nie! Nie mogę!... - I znów straszny nakaz: - Musisz!

Zgrabiałymi palcami rozwarł szatkę dziecka. A ono nic. Jak jagnię na zabicie wiedzione, ani jęku. Tylko ten wzrok... Ab - Raham zamknął oczy. Podniósł rękę z nożem...

...Eheu! Jakaż to siła zatrzymała jego ramię, że stał nieruchomo jak słup, z tą podniesioną prawicą?! Palce otworzyły się bezwładnie, nóż upadł na ziemię. Głos, ten sam, straszliwy woła: - Nie zabijesz syna swego! - O, to nie złuda serca Ab - Rahamowego! To mówi i nakazuje Pan...

Izaak leżał bez ruchu, niby martwy. Ab - Raham postyszał za sobą deptanie i szelest gałęzi. Baran, roczniak, uwikłał się w ciernie i na próżno usiłował wyjść z krzaka. Teraz ruchy Ab - Rahama stały się obce, kierowane inną niż jego wolą. Nasłuchiwał i czynił to, co mu kazano, nieświadomy sensu swych czynów. Zdjął ostrożnie dziecko z ołtarza jak z krzyża, postawił na ziemi. Chłopiec usiadł ciężko, nie mając siły ustać na nogach. Wpatrywał się nadal w ojca spojrzeniem wymowniejszym od krzyku. Tymi samymi ruchami lunatyka Ab - Raham chwycił zwierzę, związał szybko, położył na ołtarzu, zabił barana sprawnie jednym cięciem noża i zanurzył przygotowaną pochodnię w kociołku z żarem. Gdy ogień objął polana, upadł na ziemię i łkał, i szlochał, i wielbił

Boga. Tu, na górze wysokiej, wyznawał Jego potęgę, Jego moc i miłosierdzie...

Obejrzał się na chłopca. Syn żyje... Pan darował... Syn żyje i żyć będzie...

- Idź na dół - rzekł przez łzy. Izaak nie poruszył się z miejsca.

- Idź, dziecino, na dół do Elizera, ja wnet zejść za tobą... - Ujął go za ramionka nakierowując twarzą ku ścieżce. Czuł drganie drobnych łopatek, przyspieszony oddech... Żyje! - Ogień trząsał, krew syczała, ofiara płonęła... Izaak żyje! Dym bił prosto w górę, Pan ofiarę przyjął... Izaak żyje!... O, Boże, pochwalony, o błogosławiony!... Izaak żyje!...

- Idź na dół - powtórzył natarczywie, choć łagodnie. - Czekaj na mnie z Elizerem. - Izaak spojrzał badawczo, otworzył usta, by coś rzec, i zamilkł.

Ab - Raham zauważył dopiero teraz, że twarz dziecka jest biała jak płótno, a usteczka sine. Zarazem w tym jednym mgnieniu uprzytomnił sobie, do kogo Izaak był podobny więcej niżli do ojca i matki: zbieleła z lęku liczko niewinnego było twarzą Abla, Kainowego brata, oglądaną niegdyś, niegdyś w widzeniu wywołanym przez Nergal Sara.

- Idźże, synku mój... Gdy zejść, pojedziemy do domu, do matki twojej.

Wspomnienie matki przekonało Izaaka. Postąpił ku ścieżce, obejrzał się raz jeszcze. Ojciec gestem zachęcał go przyjacielsko, by szedł dalej. Ogień wciąż płonął, dym płynął w górę. Jasna głowa chłopca znikła za zakrętem ścieżki. Przez chwilę słysząc było jeszcze szelest strącanych stopami kamyczków, po czym zapadła cisza. Ab - Raham został sam.

Upadł na ziemię, rozłożył szeroko ramiona, jakby obejmując górę. Nie wiedział, co się z nim dzieje ani gdzie się znajduje. Szybował ponad wiekami, przestrzenią. Izaakli to dźwigał drzewo na stos dla siebie pod górę, czy Ktoś inny, nieznan, lecz zapowiedziany?... On, ojciec zabijający syna?... Zali przywidzeniem były słowa: Nie ten Syn zginie...? Syn człowieczy?... Cóż go przytłacza przerażającego i niepojętego? O, nędzny, mizerny grzesznik, nie wie nic, nie pojmuje nic, gdy rozstrzygają się nad nim przedwieczne wyroki... Wie jedno: Izaak żyje! Pan zatrzymał rękę ojca wzniesioną nad synem...

Elizer czekał przy osłach, pełen niepokoju. Zachowanie pana w ostatnich dniach zdało mu się złowróżbne. Przeczynał nieszczęście i z niewymowną ulgą zobaczył Izaaka schodzącego z góry.

- Zdrowyś, Izaaku - zawołał. - Gdzie ojciec twój, pan nasz?

- Ojciec został jeszcze na górze, zaraz zejść - objaśnił chłopiec. Szedł wolno, nie zbiegając jak zwykle w podskokach. Twarz miał zamyśloną i bardzo jeszcze bladą, włosy sklezione potem. Elizer przeląkł się i posadziwszy go sobie na kolanach namawiał na próżno do jedzenia.

- Złożył pan mój ofiarę? - dopytywał.

- O tak, złożył. Dym pięknie szedł w górę... Prosto jak palma... Nie widać stąd dymu... Szkoda!

- Co pan ofiarował, bo nie wziął niczego?

- Barana...

- Skąd się wziął baran? Tu nie ma pasterzy...

- Nie wiem. Najpierw go nie było. Rozglądałem się i nic nie widziałem.. Ojciec chciał ofiarować mnie...

- Ciebie?! - roześmiał się Elizer nieszczerze (przeczenie go nie myliło!). - Żartował chyba?...

- Bałem się bardzo...

Ab - Raham leżał długo. Sam czas płynął poza nim. Na koniec powstał, wziął nóż, kociołek, spojrzał na wygasły ołtarz. Ogień strawił wszystko, nawet drobne kości. Ofiarnik zaczął schodzić w dół. Zdawało mu się, że wraca do świata z niezmierzonej dali, i jak niegdyś, gdy opuszczał izbę Nergal Sara, czuł, że z każdym krokiem ludzka, zwyczajna świadomość zaćmiewa właściwe widzenie. Cedr rozłożysty sięgający nieba nie pomni, że był niegdy wątlwym źdźbłem wybijającym się z łupiny nasienia. Wielka rzeka równym nurtem płynąca ku morzu nie pamięta chwili, gdy szczupłym ponikiem biła z wysokiego źródła. Wieleż pokoleń ludzkich minie, nim człowiek nauczy się sięgać sercem i pamięcią ku Stwórcy, źródłu swojemu!

Zioła pachniały mocniej, gdyż wieczór nadchodził. Z ostatniego zakrętu ścieżki Ab - Raham zobaczył dym ogniska, pasące się osły, Elizera, a przy nim jasną głowę Izaaka. Ostatnim pchnięciem minionej grozy przeszła go myśl: Od dzisiaj dziecko będzie się mnie bało... Nie spocznie już nigdy na mojej piersi ufnie jak dawniej... To zrozumiałe, nieuniknione... Dość wspomnieć wzrok, jakim Izaak śledził ruchy ojca... Choćby on, Ab - Raham, żył tysiąc lat, wyrazu tych oczu nie zapomni...

O, gdybyż można nie zejść z góry wcale, pozostać tu, umrzeć zadowolając się świadomością, że Izaak żyje...

Stąpił coraz wolniej, przystawał...

- Ojciec! - zakrzyknął radośnie chłopiec i skoczył ku schodzącemu. Ab - Raham poczuł, że słabnie ze szczęścia.

- Niech pan mój raczy posilić się - namawiał Elizer. - Mój pan nie jest głodny - dodał chytrze - ale Izaak nie chce jeść sam...

Siedli więc wszyscy trzej, jedli przygotowane przez Sarę zapasy i pili wino z wodą, z jednego kubka. Ilekroć Elizer spostrzegał spojrzenie, jakim Ab - Raham ogarniał syna, odwracał głowę zmieszany, niby mimowolny świadek sprawy bardzo tajemnej i sekretnej. Zmierzch minął, noc, chociaż bezmiesięczna, okazała się przesiąknięta wiosennym blaskiem gwiazd, Ab - Raham postanowił przeto ujechać kawałek drogi. Wprawdzie nie było w zwyczaju wędrować nocą, lecz zdejmował go lęk, gdy patrzył na górę ofiarną, i pragnął oddalić się od niej. Ruszyli zatem. Izaak po krótkiej chwili zaczął się kiwać w siodle, więc ojciec wziął go przed siebie, jak to czynił dawniej, i owinał płaszczem. Nóż wiszący w pochwie u pasa przesunął na drugą stronę, by dziecka nie uwierał

(ten sam nóż, który miał je przebić...). Elizer jechał obok pana, trzeci osioł dreptał sam z tyłu.

Elizer uznał, że chwila jest sposobna do rozmowy.

- Racz wybaczyć, panie mój, słudze twemu. Nie można żartami straszyć małego, bo gotów się rozchorować...

- Zalim zdawał ci się dziś człowiekiem skłonnym do żartów Elizerze?

Zamilkł, przytulając śpiącego synka ku sobie. Sługa nie śmiał pytać dalej i jechali w milczeniu. Kopyta osłów chrobotąły po kamieniach. Powietrze było wonne od kwiatów, gwiazdy błyszczały świetliście.

ZAKOŃCZENIE

SYTE DNI

Ab - Raham zmęczony opuścił bezwładnie na wieko skrzyni ręce zajęte przebijaniem klejnotów przeznaczonych dla przyszłej synowej i oparł się plecami o słup namiotu. Od czasu niedawnego wypadku (idąc przed stadem pośliznął się na glinie i upadł, a krowy przeszły po nim) miewał napady duszności. Siedzący z boku na ziemi Izaak patrzył to na dłonie ojca, wiotkie, zmarszczone, dłonie więcej niż stuletnie, spoczywające obojętnie pośród złota, to na klejnoty należące niegdyś do matki. Usiłował wyobrazić sobie jej drogą twarz, jej ruchy, gdy obejmowała go czule ramionami ustrojonymi w te właśnie naramienniki, lecz wbrew jego woli jawił się w myślach obraz inny, obraz nieznaney dziewczyny, która je miała otrzymać. Widział młodą, krągłą szyję, ozdobioną złotymi łańcuchami, obręcze dzwoniące na smukłych ramionach. Spłonął cały od tych myśli, a zarazem wstydu, wydało mu się bowiem, że krzywdzi podobnymi wyobrażeniami zmarłą matkę, jedyną, jak dotąd, kobietę, którą miłował, po śmierci której rozpaczał długo i tęsknił nieznośnie.

Sara odeszła przed dwoma laty. Śmierć miała łaskawą, a ostatni dziesięć lat jej życia upłynął w niezmaconej szczęśliwości. Zasypiając ostatnim snem trzymała w dłoniach ręce męża i syna. Izaak słał się z żalu, ona zaś obejmując miłującym spojrzeniem głowę jedynaka, szepnęła z wysiłkiem do Ab - Rahama: - Trzeba, żebyś go ożenił...

Izaak pogrążony w żalu nie dosłyszał, natomiast Ab - Raham mimo szczerzego zmartwienia nie mógł powstrzymać uśmiechu. Sara dopiero na łożu śmierci zgadzała się wprowadzić inną kobietę do swego namiotu. Pochyliwszy się nad stygnącym licem tak nisko, że jego długa broda leżała na piersiach konającej - Ab - Raham zęgnął czule żonę i zapewniał, że wybierze dobrą niewiastę Izaakowi. Będzie szukał równie wiernej i umiłowanej towarzyszki jak ona, Sara, była dla niego przez całe długie życie. Słuchała z dziecinnym zadowoleniem i zgasła prawie niepostrzeżenie, nie cierpiąc wcale. Śmierć jej wstrząsnęła Izaakiem. Wprawdzie przed paru laty odczuł boleśnie zgon staruszki Noi, lecz tutaj leżała matka, matka, bez której nie pojmował życia. Matka umarła. Przed chwilą jeszcze oczy jej spoczywały na synu z miłością, a teraz choćby Izaakowi groziło śmiertelne niebezpieczeństwo, nie poruszy się ku jego obronie, nie drgnie z niepokoju... Łkając przytulił się do ojca, a myśl, że i ten uwielbiany opiekun może umrzeć podobnie niebawem, potęgowała poczucie sieroctwa. Oczekiwał od ojca pociechy, lecz Ab - Raham obejmował syna milcząc. Cóż mógł rzec, by ukoić jego żal? Aczkolwiek stary i od dawna z twardymi koniecznościami doli ludzkiej pogodzony, pamiętał własne odległe bunty, gorycz stwierdzenia, że zło i dobro jednako ucieka, a nic uchodzącego czasu nie zatrzyma. Przeznaczeniem człowieka jest rosnąć, dojrzewać, doszedłszy dni swoich przekwitać, więdnąć i usychać. Tak się dzieje z każdą rzeczą mającą duszę żyjącą. Darmo przeciw temu wierzyć. Izaak zrozumie to kiedyś również.

Nie wdając się w próżne żale, Ab - Raham rozmyślał, gdzie złoży ciało zmarłej towarzyszki życia. Niegdyś zamierzał nabyć pieczarę Makpela znajdującą się nie opodal miasta Hebron na polu Efrona syna Seora, Hetyjczyka, by tam ustalić grób swojego rodu. Efron, wyrachowany chciwiec, cenił nadmiernie swą posiadłość i Ab - Raham nieskłony przepłacać poniechał zamiaru. Obecnie, gdy zwłoki Sary stygły, a nad nimi rozbrzmiewał jęk płaczek, Ab - Raham postanowił zapłacić za

grote, wiele Hetyczyk zażąda. Zostawiając Keturze, Resie i starszym niewiastom przygotowanie żałobnego obrządku, zabrał nieprzytomnego z płaczu Izaaka i udał się do Hebronu. Syn Sura Jefon pognął przodem na ośle, zwołując Hetejczyków, by przyszli do bramy grodu posłuchać rzeczy, jaką ma do nich Ab - Raham.

Imię starego pasterza otoczone było powszechnym szacunkiem, więc stawili się wszyscy pośpiesznie, Efron syn Seora pośród nich. Ab - Raham pozdrowił obyczajnie sąsiadów i rzekł:

- Mężowie Hetyccy! Zanim stopy moje wrosły w tę ziemię, byłem wśród was gościem i przechodniem, a nie doznałem nigdy krzywdy od was. Użycie mi, proszę, jeszcze tej łaski, bym miał prawo pogrzebu zmarłej mojej na polu waszym.

Naczelnik Hetyckiego plemienia, Kaleb syn Naima, pokłonił się do ziemi Hebrajczykowi mówiąc:

- Słudzy twoi jesteśmy, panie, którego zowią Przyjacielem Bożym. Któż by ci wzbronił prawa pogrzebu zmarłych swoich? Prosimy, w najlepszych grobach naszych pogrzeb zmarłą swoją!

Z kolei Ab - Raham pokłonił się zgromadzeniu.

- Jeśli podoba się duszy waszej, bym pogrzebał zmarłą moją, przycyńcie się za mną do Efrona syna Seorowego, by odstąpił mi jaskinię dwoistą, którą ma w północnej części swego pola. Za słuszną cenę niech mi ją sprzeda w obecności waszej, by potem nie było zwady i spokój zmarłych nie był zakłócony.

Oczy zebranych spoczęły na Efronie, który gładził brodę z wyrazem nieprzeniknionym, na koniec rzekł:

- Żadną miarą nie uczyni tak sługa twój, panie, zwany słusznie Przyjacielem Boga. Pole, którego pragniesz, oddaję tobie jako dar razem z jaskinią, która na nim jest. Ofiarowuję jedno i drugie wobec całego rodu mojego.

Zdziwili się wszyscy tej hojności, Ab - Raham odpowiedział:

- Efronie synu Seora! Nie przyjmę twojego daru, gdyż słuszny twój żal, iż się darmo zbył pola, zakłóciłby spokój zmarłych moich. Racz przyjąć ode mnie pieniądze za pole z jaskinią, a pogrzebię na nim zmarłą moją...

- Pole to ma wielką cenę, a nierad bym cię ukrzywdzić. Przyjm, panie, dar mój, a uradujesz duszę moją...

- Po stokroć moją duszę uradujesz przyjmując ode mnie pieniądze.

Efron uśmiechnął się nieznacznie.

- Musi sługa twój uczynić tak, jak tego żądasz. Mężowie plemienni, świadkami jesteście, iż chciałem Ab - Rahamowi ofiarować pole razem z jaskinią Makpela. Skoro daru mojego odmawia,

zmuszony jestem przyjąć pieniądze. Cena pola, którego żądasz, stoi czterysta syklów srebra... Czyż to jest wiele? Jeśli ci się to zda wiele, przyjm dar mój i pogrzeb umarłą swoją...

Cena wymieniona przez Efrona była ogromna. Za czterysta syklów srebra mogłeś nabyć ogrody i domy w mieście, nie skrawek kamienistego pola z jaskinią zbyt głęboką, by się nadała dla owiec. Ab - Raham jednak nic nie rzekł i skinął na Izaaka, by podszedł z worem pieniędzy. Gdy odliczono należność, stary Kaleb położył dłoń na srebrze.

- Nie godzi się - oznajmił - brać takiej ceny za pole. Efronie synu Seora, dołącz do kupna resztę twego pola i wszystkie drzewa, jakie rosną wokóło...

- Uczynię to chętnie, nie ma bowiem rzeczy, której bym odmówił Ab - Rahamowi - zapewnił Efron z zadowoleniem.

I pochowano Sarę w głębokiej, obszernej pieczarze, gdzie wiele miejsca pozostało dla dalszych zmarłych rodu, i wprędce zatarł się ślad po niewieście. Jej dawno miniona młodość, uroda, radości, zmartwienia, wierność, nienawiść, miłość pozostały wraz z nią w grobie, a życie toczyło się dalej. Zalewało świeżą miazgą wyłobiony ubytkiem ślad i niebawem Izaak był jedynym, który myślał o zmarłej, tęsknił za nią, przywoływał w pamięci jej rysy, postawę i głos. On jeden, lecz i to niedługo...

Po opustoszałej niewieściej części namiotu krzątała się tylko Ketura, dobrze podstarzała, zawsze dobrotliwa i krzepka. Nie wyszła za mąż, lecz w ciągu ostatnich lat urodziła kilkoro dzieci, między którymi były i Ab - Rahamowe. Nie domagała się z tego tytułu żadnych praw i nie oczekiwała dla swego potomstwa wyróżnienia, rozumiejąc, iż pan jej spółdził je jakby mimochodem, rozgrzewając swoje stare kości przy niej. Pozostawała tą samą co przed laty pracowitą, nieswarliwą sługą, zadowoloną ze swego losu. Gdy Izaak zanadto zapamiętywał się w smutku, przytulała głowę chłopca do swej macierzyńskiej piersi i obcierała dłonią jego splakane policzki.

Aczkolwiek Izaak zmężniał i wyrósł przez ostatnie dziesięć lat, pozostawał zawsze szczupły i nieśmiały. Zachował mleczną cerę, którą gorące słońce ledwie pozłociło, i jasne włosy. Nad wiek poważny, małomówny, miał twarz wyrazistą, wszelkie uczucia przepływały po niej widomie niby obłoki po niebie. Ab - Raham chętnie dawał młodzieniaszkowi taką lub ową sprawę plemienia do załatwienia, pogodzenie zwaśnionych albo rozsądzenie sporu. Spłoniony i zmieszany Izaak kłonił się wtedy do ziemi zebranych mężom hebrajskim, przepraszając, że ośmiela się zabierać głos przed nimi i zapewniając, że czyni to tylko z posłuchu ojcowskiej woli. Na co zebrani, mile ujęci, przykładali dłonie do czoła i ręczyli, że będą słuchać Izaaka syna Ab - Rahama jak samego naczelnika. Długą chwilę młodzik łamał się z własną nieśmiałością, bąkał wyrazy bez związku, aż nareszcie opanowawszy się mówił nad podziw rozsądnie. Rozumiał ludzi, naświetlał ich pobudki niejednokrotnie trafniej, niż by to sami umieli uczynić, miłował ich wszystkich i podatny był raczej ku usprawiedliwieniu niż karze. Gdy sprawa została załatwiona ku powszechnemu zadowoleniu, Hebrajczycy cmokali głośno z uznaniem, przysłuchujący się zaś z boku Ab - Raham promieniał.

Kobiet Izaak jeszcze nie znał, choć w obozie nie brakło urodziwych dziewcząt. Wprawdzie te, które małeletni syn Ab - Rahama pamiętał pięknymi pannami, przemieniły się ostatnio w tęgie, niepowabne matki, lecz w międzyczasie dorosły inne jego rówieśnice lub odeń młodsze, jak córki

Sura, z którymi bawił się dzieckiem będąc. Przybywało ich co roku niby kwiatów wiosną. Młodsze czy starsze spoglądały ku niemu zalotnie, rade zwrócić na siebie uwagę syna naczelnika. Każda z nich obdarzyłaby skwapliwie uczuciem jasnowłosego chłopca tak odmiennego od pozostałej młodzi pasterskiej. Najśmielej zaczepną okazywała się przystojna Aina córka Hiry, wysoka dziewa o grubych czerwonych wargach i cokolwiek skośnych oczach. Mówiono o niej, że nie skąpi swego ciała zalotnikom, a wrzaski rozlegające się codziennie z namiotu, gdzie Hira smagał batem swą córkę, utwierdzały te pogłoski. Aina wyła z bólu, lecz już nazajutrz widziano ją przemykającą się ku dąbrowie śladem pasterzy gnających swe trzody. Ulubiły Izaaka i gdziekolwiek udał się syn Ab - Rahama, napotykał Ainę na swej drodze. Wskakiwała zniecka z krzaków zapytując, o czym myśli. To znów sama udawała spłoszoną jego nadejściem. Przysuwała się blisko usiłując dotknąć go pierściami i szczerząc białe zęby. Izaak trochę się jej bał, trochę go pociągała, uciekał, gdy ją widział, żałował, że jej nie ma, gdy wyjątkowo nie znalazła się na jego drodze, i coraz częściej zamiast myśleć o matce, myślał o Ainie.

Gdy szedł z ojcem podpierając czule osłabłe kroki starca (Izaak wprawdzie był drobny, lecz wiek pochylał wyniosłe barki Ab - Rahama i stali się wzrostem równi), ojciec spostrzegał uśmiechy dziewcząt wychylających się z namiotów, bezwstydną nawoływanie Ainy, gorące rumieńce bijące na twarz syna i myślał wtedy, że Sara miała słuszność i trzeba chłopca ożenić.

Aczkolwiek z dawnych lat pozostało mu przyzwyczajenie szybkiego urzeczywistniania tego, co postanowił - namysł długi, czyn śpieszny - powiada przysłowie - tym razem nie szło mu sporo. Uśmiechał się pobłaźliwie, gdy Sara broniła się przed wejściem nowej kobiety do namiotu, a oto sam żałował obecnej zażyłości z Izaakiem, której nikt inny nie mącił. Wzajemna przyjaźń ich obu, długie rozmowy stanowiły dla Ab - Rahama źródło nieustającej radości. Nie kwapił się wprowadzać trzeciej istoty, która pochłonie część czasu poświęconego mu przez Izaaka. Zarazem pojmował, że znalezienie synowej stanowi obowiązek ojca i będąc w jego wieku nie wolno tego obowiązku odkładać.

Od dawna umyślił, gdzie szukać żony Izaakowi. W Harran z krwi brata Nachora. Postanowił na wiosnę wyruszyć tam z synem.

Wieleż lat minęło, odkąd pozostawił starszego brata w podgórskim mieście Harran! Ab - Raham sam nie umiał obliczyć wiele. Kapłani zapisywali lata na tablicach, wiedzieli zatem zawsze, ile razy nawróciła zima, ile razy lato. Zwyczajni ludzie, szczególnie pasterze, nie znali sztuki pisania. Lata liczyli od jakiegoś ważnego zdarzenia, urodzin, śmierci, pamiętnej powodzi lub suszy, rozpoczynając na nowo, gdy świeży wypadek zaćmił starą datę, toteż Ab - Raham pamiętał tylko, że było to jak gdyby u progu życia, choć włosy miał już wówczas przetkane siwizną.

Opuściwszy rodzinę tak dawno Ab - Raham pragnął odwiedzić ją okazale. Dziesięć wielbłądów powiezie podarki. Złoto, cenne tkaniny, szaty, piękny oręż, kosztowne naczynia, skóry i klejnoty. Wszystko już było gotowe do podróży, gdy zaszedł wspomniany poprzednio wypadek. Ab - Raham przeprowadzając wraz z pastuchami stado na nowe pastwisko pośliznął się na mokrej glinie i upadł, a kroczące tuż za nim krowy przeszły po nim. Wstał wprawdzie sam, żartując z własnej nieuwagi, lecz od tego czasu zaczął chorzeć i słabnąć. Izaak zaniepokojony stanem ojca nalegał, by wyprawę odłożyć do następnego roku, Ab - Raham jednak nie chciał więcej zwlekać i postanowił wysłać Elizera.

Stary, rzeński, choć zgarbiony i pomarszczony jak jabłko spieczone w popiele, posłyszawszy, o co chodzi, popadł w przerażenie.

- Zabij, panie mój, sługę twego - jęczał - ale nie pojedę. Niegodnym! Niegodnym! Nie mnie, prostakowi, szukać żony dla syna pana mego. Nie potrafię tego uczynić. Czyż żaba może śpiewać jak skowronek lub dudek pachnieć jak mirra? Skoro pan mój jest chory, niech Izaak sam pojedzie wybrać żonę, a sługa twój będzie się nim opiekował w drodze.

Lecz Ab - Raham nie chciał rozstawać się na dłużej z Izaakiem, gdyż czuł się gorzej, niż to po sobie okazywał. Elizer był bliski płaczu.

- Niech mądrość twoja posłucha głosu sługi twego! Stary jestem, przygłuchy, na jedno oko źle widzę... Zali odróżnię dziewczkę łagodną, robotną od swarliwej i leniwej, co zakłóci spokój namiotu pana mego? Powiadają, iż wargi niewieście - miód ciekący, gardło niewieście - oliwa przednia, lecz ostateczne jej rzeczy bywają gorzkie jak piołun i ostre jak miecz obosieczny... Nie chcę, by pan mój rzekł: Niepoczciwy sługo, cóżeś to przywiózł synowi memu?

- Nie posyłam cię, Elizerze, szukać żony dla Izaaka po świecie, lecz do Harran, byś przywiózł córkę z krwi Nachora.

- Racz wybaczyć, panie mój. Buz i Kamuel synowie Nachora mogli napłodzić dużo córek. Córka córce nierówna, choć tej samej krwi... Kto ma sądzić, która z nich będzie stosowna dla Izaaka syna Ab - Rahamowego? Ja mam sądzić? Nie jest rzeczą sługi sądzić. Ojciec panny wybierze i osądzi. Niech dusza pana mego nie wzbiera gniewem na śmiałość moją, lecz ojcowie radzi wydają daleko za męża córkę, której bliscy wziąć nie chcą. Odpuść słudze, a poślij syna twego Izaaka...

Ab - Raham zniecierpliwił się.

- Pojedziesz, gdzieś rzekł, i uczynisz, coć rozkażę. Połóż rękę twoją pod biodra moje, byś dotknął Znak Przymierza z Panem Bogiem moim, a zaprzysięgnę cię.

- Boję się, panie.

- Pójdź ku mnie, abym cię zaprzysięgał. Przez Pana Boga nieba i ziemi, pojedziesz do rodziny mojej i przywieziesz stamtąd żonę synowi memu, Izaakowi.

- Boję się, panie. Zaprzysięgniesz mnie, a cóż uczynię, jeżeli pannie nie pozwolą jechać ze mną? Zali mam wrócić, byś posłał Izaaka?

- Nie odprowadzisz tam syna mego! Pan pošle anioła swego przed tobą i weźmiesz stamtąd żonę synowi memu. A gdyby rodzice panny nie chcieli jej dać, nie będziesz zobowiązany przysięgą. Ale syna mego tam nie odprowadzaj! Pójdź ku mnie i przyrzeknij!

Drżąc na całym ciele Elizer podszedł do pana i podłożywszy dłoń pod biodro jego, przysięgał. Po czym Ab - Raham kazał mu się sposobić do drogi. Jeżeli nie będzie zwlekał, może powrócić z dziewczyną przed porą wielkich upałów. Wielbłądy i juki były już dawno przygotowane. I oto teraz Ab - Raham wybierał spośród nausznic i naramienników Sary podarki dla przyszłej synowej. Izaak

siedząc z boku widział nieznaną dziewczynę o twarzy Ainy, ustrojoną w te klejnoty, i gardził sam sobą, że zapomina o matce.

Ab - Raham obiecał, że Pan pośle przed sługą anioła swojego, niemniej Elizer jechał frasobliwy i niespokojny. Zrządził nieustannie na towarzyszących mu ludzi (byli nimi: mocno już posiwiały Sur, syn jego Jefon oraz młody Barak syn Mosy) i pragnął, by cel podróży oddalał się miast przybliżać. Z początku, gdy przemierzali krainę Kanaańską, obawa o wiezione skarby, powierzone mu wielbłądy usuwała na bok zasadniczą troskę; gdy weszli jednak w piękne, cieniste lasy zwiastujące bliskość gór, wróciła poprzednia trwoga. Ab - Raham kazał mu wybrać żonę dla młodego pana. Zali słyszano, by ktoś słudze podobne zadanie powierzał? Szanowny i czczony przez cały kraj bogacz, jakim był Ab - Raham, szczególną pieczę otaczany przez Najwyższego Boga, jemu, staremu Elizerowi, zawierzył szczęście ukochanego syna Izaaka. Świadomość tego zaufania budziła w sercu Elizera słuszną dumę niezdolną jednak ukoić obawy. Nie znał kobiet prócz własnej żony, starej, dobrej Resy, ale słyszał wiele od innych o niewieścich sztuczkach i układności, pod którą kryje się zdrada. Bywa pono, że w kobiecie wszystko jest kłamane, zarówno wdzięki, jak cnoty. Na pozór piękna, cicha, pracowita, okazuje się w rzeczywistości wrzaskliwym i śmierdzącym leniem. Jak rozpoznać i odróżnić co prawda, co fałsz? Niewiasty są chytre w udawaniu, on zaś, Elizer, nie był nigdy przebiegły. Biada, biada, jeśli zostanie wywiedziony w pole i przywiezie Ab - Rahamowi niewiastkę podobną do żony syna Arana albo Hagar Egipcjanki...

Dręczył się tymi myślami, przedłużał postoje, niemniej trzydziestego dnia podróży ujrzeni przed sobą miasto Harran rysujące się na tle białych wapiennych gór.

Schodzące słońce malowało czerwienią stłoczone domy, kwadratową wieżę świątyni i zamek. Długie cienie wybiegły przed jeźdźców. Pod murami znajdowała się studnia i z bramy miejskiej sunął korowód postaci niewieścich zdążających z dzbanami po wodę. Pastuchy spędzili z łąk stada do wodopoju i niewiasty czekały, aż mężczyźni napoiwszy swą trzodę odejdą. Białe szaty kobiece rysowały się wdzięcznie na tle pozłoconych słońcem murów. Elizer patrzył na nie zamyślony, gdy przeraźliwy krzyk jadącego na tyle Jefona odwrócił jego uwagę.

- Co się stało? Biada! Biada! Ostatni juczny wielbłąd idący tuż za Jefonem odczepił się nie wiedzieć kiedy i został nie wiedzieć gdzie. Sznur musiał długo wlec się po ziemi, był bowiem wilgotny od rosy i starty.

Elizer skamieniał z oburzenia i byłby porządnie wyłoił skórę niedbaluchowi, gdyby nie to, że Sur, ojciec, wykonał to już sumiennie. Zapuchły i zdruzgotany Jefon nie usiłował się tłumaczyć, czując własną winę. Po prostu gapił się na miasto i nie uważał na to, co się za nim dzieje.

- Biada, biada mojej głowie! - rozpacział Elizer. Choć ostatni wielbłąd nie dźwigał kosztowności, tylko namiot, kołdry podróżne i zapasy na drogę, strata była dotkliwa a przede wszystkim - wstyd. - Oto wysłał mnie pan mój, bym przywiózł synową, ja zaś nawet powierzonych mi bydła nie zdołałem upilnować... Żle, źle zaczyna się twoja podróż, Elizerze. Co począć teraz? Co począć?

Wymyślał głosem piskliwie skrzeczącym ze wzburzenia i posłał wszystkich trzech ludzi na poszukiwanie zguby. Zapowiedział, by nie śmieli wracać bez niej. Sam z wielbłędami obładowanymi

najcenniejszymi darami stanął pod murem zły i przygnębiony.

Stada już odeszły, przy studni zrobiło się pusto i kobiety otoczyły źródło napełniając wodą wysokie gliniane dzbany o wąskim dnie i smukłej szyi, mieszczące około wiadra. Cienki ręcznik umaczany w wodzie wyzimały, skręcały ciasno na kształt skorupy ślimaka i podkładały pod dzban na głowie, po czym wyprostowane, smukłe wracały pod górę ku bramie. Elizer stał w pobliżu czekając swojej kolei, patrzył na mijające go niewiasty i nagle powziął myśl szczególną:

- Panie Boże pana mojego, Ab - Rahama, pobłogosław mi dzisiaj i okaż miłosierdzie swoje! Niech panna, której rzeknę: Nachyl dzbana twojego, aż się napiję - ona zaś odpowie: Pij, owszem, i wielbłądy twoje napoję - będzie tą, którąś przeznaczył słudze twojemu Izaakowi...

Zsiadł spiesznie z wielbłąda i stanął na drodze, którą odchodziły od studni kobiety.

- Daj mi pić - prosił pierwszej młódki nadchodzącej. Postawna, czarnooka. Zmarszczyła niechętnie brwi.

- Nie możeszli sam sobie wody naciągnąć?

- Zdrożony jestem i słaby.

Odeła wzgardliwie usta i przeszła nie zatrzymując się. Idące za nią starsze niewiasty spojrzały pytająco na podróżnego, ciekawe, czego chciał od dziewczyny. Lecz on nie odezwał się do nich. Poprawiał z udanym zajęciem rzemienie przy uździenicy wielbłąda, aż nadeszła gromadka roześmianych dziewcząt. Wierny swemu postanowieniu Elizer prosił o wodę pierwszej, drugiej, trzeciej, czwartej... Wszystkie odmawiały mniej albo więcej uprzejmie. Śmieszny im się wydał ten stary, obcy podróżny. Studnia o parę kroków, a on domaga się, by zdjąć z głowy czy ramienia ciężki dzban i napić go!

Nie wysłuchał mnie Bóg pana mojego - pomyślał z żalem Elizer. - Jeszcze jednej tylko poproszę i jeżeli odmówi, poniecham.

Właśnie nadchodziła młodziutka szczupła dziewczynka o twarzy krągłej jak jabłko i wesołych oczach. Przeginała się na bok pod wspartym na ramieniu dzbanem.

- Pozwól mi się napić z twojego dzbana - prosił Elizer i równocześnie pomyślał: Nie zgodzi się żadną miarą, bo ledwo swe wiadro dźwiga.

Lecz dziewczyna uśmiechnęła się uprzejmie, przy czym na jej policzkach ukazały się dwa zabawne dołki.

- Pij, owszem - odparła zsuwając z trudem dzban z ramienia na zgięty łokieć. Przytrzymując drugą ręką, nachyliła naczynie do ust Elizera. Zaskoczony, pił dłużej, niż należało. Zdawało mu się, że woda posiada smak wina. Świat cały wokoło pojaśniał.

- Przykro mi, że cię trudziłem - tłumaczył się, odejmując usta od dzbana - jestem bardzo stary i zdrożony...

- Żaden to trud dla twej służki. Pij jeszcze i wielbłądy twoje napoję...

Odstawiwszy dzban pobiegła do studni. Ciągnęła z trudem wiadro i rozlewała wodę w kamienne poidła. Niepojęte wzruszenie ogarnęło Elizera. Wyjął z woreczka klejnoty Sary i włożył je sobie w zanadrze.

- Czyjaś ty? Jak cię zowią? - zapytał, gdy skończywszy swoją pracę podejmowała z uśmiechem dzban z ziemi.

- Jestem Rebeka, córka Batuela syna Nachora - odparła zbierając się do odejścia. - Co ci jest, panie? Czemu płaczesz?

Elizer otarł szybko załzawione oczy i wyjął z zanadru nausznice i obręcze.

- Weź to, Rebeko, twoje są.

- Złoto?! - wykrzyknęła ze zdumieniem. - Czemu mi to dajesz, panie? Nie godzi ci się dawać mi takich rzeczy ani mnie przyjmować.

- Godzi się, owszem, byś je wzięła i nosiła dla ozdoby oblicza swego. Racz mi powiedzieć teraz: jestli w domu ojca twego miejsce dla mnie, wielbłądów i ludzi pana mojego, abym mógł tam stanąć?

Patrzyła na trzymane w ręku cenności odurzona.

- Miejsca jest pod dostatkiem i plewy mamy, i siano - odparła. - Nie rzekłeś jeszcze, panie, czemu mi to dałeś?

- Dowiesz się o tym niebawem. Włóż teraz naszyjnik na szyję swoją, a obręcze na ramiona...

- Nie uczynię tego, aż zapytam matki mojej... Pójdź ze mną, panie, pokażę ci drogę...

- Muszę czekać, aż nadejdą ludzie mego pana. Zali Batuel syn Nachora mieszka w domu, w którym pogrzebany został dziad jego, Tare?

- Tak jest, jak mówisz. Tamże obok Tarego pochowano dziada mojego Nachora.

- Znam drogę do tego domu. Nadejdę niebawem.

Podjęła dzban i poszła ku bramie zamyślona rozważając to, co ją spotkało. Elizer usiadł na brzegu poidła szczęśliwy. Gdyby nie obawa, że da z siebie w obcym mieście widowisko, skakałby w miejscu, bił się rękami po bokach i krzyczał z radości na cały głos. O wielki, potężny, możny, miłosierny Bóg Ab - Rahama! Stosownie do obietnicy pana posłał anioła swojego, który kierował Elizerem. - Rebeka... Rebeka... - powtarzał cmokając wargami. Nie wątpił ani chwili, że dobry wybór uczynił. Rozpamiętywał każde powiedzenie dziewczyny, jej obejście uprzejme, skromne, jej wdzięczną postać i wesoły uśmiech. Oto żona dla Izaaka, syna Ab - Rahama! Zaprawdę, niepotrzebnie trapił się tak wiele! Ab - Raham, pan jego, ma słuszość powiadając, iż trzeba

zawierzyć Bogu w każdej rzeczy i czynić swoje nie troszcząc się zbytnio o wynik...

Po pewnym czasie nadjechali Sur z chłopcami i odzyskanym wielbłądem. Pasł się spokojnie w lesie. Nie wytarzał się na szczęście i nie pogubił juków. Posiniaczony Jefon spoglądał z niepokojem na Elizera i odetchnął z ulgą widząc, że stary patrzy nań przychylnie, jakby nie pamiętał zajścia.

Poili wielbłądy, mrok schodził na mury, z bramy wyszedł śpiesznie młody mężczyzna i podszedł do Elizera z szacunkiem:

- Jestem Laban syn Batuela. Tyś to, panie, rozmawiał z siostrą mą, Rebeką, i obdarzył ją po królewsku?

- Bądź pozdrowiony, synu Batuela! Błogosławione dni twojego rodu! Jam rozmawiał z twoją siostrą, Rebeką, a wysłał mnie pan mój, Ab - Ram syn Tarego, którego zowią Ab - Rahamem...

- Wnijdź, błogosławiony gościu. Czemu stoisz na dworze? Nagotowałem już mieszkanie dla ciebie i miejsce wielbłądom oraz ludziom twoim.

Dom pełen był ludzi i gwaru, rodzina Nachora rozrosła się bowiem licznie: czterech synów i trzy córki, wszyscy już zamężni lub żonaci, wszyscy dietni. Mieszkali jedni pasterską modą przy stadach pod miastem, inni w osobnych domach swoich, ale teraz zbiegli się gromadnie posłyszawszy, iż przybył posłaniec od Ab - Rahama. Nie znali tego sędziwego stryja, lecz słyszeli o nim wiele. Niewiasty, bratowe, synowe, świekry, córki przysposabiałały ucztę na dachu domu. Pochodnie ujęte w brązowe pierścienie płonęły, więcej dla uświetnienia niezwykłego zdarzenia, jak z potrzeby, gdyż miesiąc już wspiął się na niebo i noc była bardzo jasna. Staruszka Melcha, wdowa po Nachorze, żwawa, choć otyła i przygłucha, powiodła Elizera najpierw do izby, by pokazać mu, że ofiarowane niegdyś przezeń synom jej miedziane złożone misy i dzbany stoją na półce, na poczesnym miejscu, potem na dziedziniec, gdzie były groby Tarego, syna jego Nachora i ołtarzyk z kamiennym terafim. Elizer pokłonił się grobom ze szczerym uczuciem, lecz zapomniał o terafim i staruszka spojrzała na niego zgorszona.

Nierad wchodzić w rozmowę o ważnych sprawach z niewiastą, Elizer z zadowoleniem posłyszał, że Batuel wzywa go na górę, gdzie ucztą już była gotowa. Pożegnał Melchę, a stanąwszy na tarasie rzekł uroczyście:

- Batuelu synu Nachora, Buzie i Kamuelu synowie Nachora, których oglądałem dziećmi, nie wezmę jadła do gęby mojej i nie zasiądę do stołu z wami, zanim nie wypowiem rzeczy, z jaką przysłał mnie do was pan mój, Ab - Raham...

- Mów, posłuchamy cię pilnie - odrzekli.

- Będę mówił zatem, synowie Nachora! Panu mojemu, Ab - Rahamowi, minęło dawno sto lat wieku. Nie żyją już rówieśnicy jego, sam pozostał jako cedr na równinie, rozpamiętując czasy bardzo dawne. Za koronę mu stoi wielkie doświadczenie, a sławą bojaźń Boża. Nie jest mu znaleziony mąż równy w mądrości i czcigodności. Sam Bóg Najwyższy, Stworzyciel nieba i ziemi, Przymierze z Ab - Rahamem uczynił i na jego ciele Przymierze to potwierdził, który to znak całe plemię nosi. Bóg

błogosławi mojemu panu, że stał się możny. Nadał mu owiec i krów, złota i srebra, sług, niewolników i niewolnic. Sara, żona pana mego, urodziła mu syna w starości swojej, który dziedziczy po nim, a imię jego Izaak. Tenci syn doszedł lat, w których niedobrze człowiekowi żyć samemu. Izaak jest roztropny i poważny, o mowie statecznej. Nie masz godnej wagi złota i srebra wobec dobroci i prawości jego. Poważa poważaniem wielkim swojego ojca, Ab - Rahama, przeto godzien być kiedyś przez swoje dzieci poważaniem otoczony.

...Izaaka pragnąc ożenić zaprzysiął mnie pan mój i mówił: Nie weźmie syn mój żony z Kanańczyków, w których kraju mieszkam, lecz pojedziesz do domu ojca mego i z rodziny mojej przywieziesz żonę synowi mojemu... Zatrwożyłem się bardzo i prosiłem pana mego, aby mnie od tego ciężaru uwolnił, nie żebym się lenił (jako słusznie powiadają, że leniwiec winien być gnojem krowim kamienowany), ale żem się lękał, iż zadaniu takiemu nie podołam. Niewiasta niewieście nierówna, a jak ją rozpoznać?

...Na co Ab - Raham, pan mój, rzekł: Nie lękaj się, Elizerze, gdyż Pan, przed którego oblicznością chodzę, pośle anioła swojego przed tobą i zdarzy drogę twoją, że przywieziesz żonę synowi mojemu. Nie będziesz zaś winien przysięgi, jeżelibyś przyszedł do synów brata mego, a oni ci dziewczeczki odmówili. Po tom wyjechał od pana mego, czcigodni synowie Nachora! Dusza moja była utrapiona, a droga od wątpliwości gorzka, bo któż pozna dno niewiasty?! Bóg daje zieleń zarówno dobrym, jak złym ziołom. Dobra żona - radość i korona męża, utuczy kości jego; - zła żona - największe strapienie. Z szat mól wychodzi, a z niewiasty grzech. Jak skrzypiące i chwiejne jarzmo bykom, tak zła żona mężowi swemu. Kto by ją trzymał, jakoby trzymał w dłoni skorpiony. Lecz dobra żona świeci w domu męża na kształt wschodzącego słońca. Wdzięk pilnej, wstydlivej żony błogosławieństwem mężowi. Nie lza żyć mężowi bez niewiasty. Gdzie płotu nie ma - rozszarpia posiadłość, gdzie żony brak - wzdycha potrzebujący. Trapiłem się i sam wzdychałem od żalości niespokojnej. A gdym podjechał pod gród Harran, modliłem się do Boga pana mego, AB - Rahama, który jest Bogiem moim, i ślubowałem duszy swojej: Oto niewiasty idą czerpać wodę ze studni. Spraw, Boże pana mego Ab - Rahama, by panna, do której powiem: "Daj mi pić z dzbana twojego", ona zaś odpowie: "Pij, owszem, i wielbłądy twoje napoję" - była tą, którąś przeznaczył dla syna pana mego. Tak sobie postanowiwszy, pytałem wielu dziewcząt idących z wodą od studni ku miastu, ale żadna nie chciała zdjąć dzbana z głowy czy ramienia swojego i napić mnie, obcego wędrowca. Aż nadeszła Rebeka, córka twoja, Batuelu synu Nachora, panienska śliczna na wejrzenie, dziewczeczka nader nadobna, której gdy rzekłem swą śpiewkę (a już nękała się dusza moja same odmowy słysząc) - odparła: "Pij, owszem, i wielbłądy twoje napoję..." Za czym przedziuchno zsunęła dzban z ramienia i do ust mi nachyliła, potem wielbładowi wody naciągnęła, a we mnie serce ustawało od radości, bo poznałem, że wola Pana, Boga Ab - Rahamowego, była. Wydała mi się ta panna podobną róży wiosennej, lilii nad strumieniem rosnącej, kadzidłu pachnącemu w dni letnie, oliwie połyskującej i naczyniu z litego złota. I rzekłem sobie: Oto niewiasta wskazana przez Boga dla syna pana mego. Nie okażę się złym sługą, bo cenny nabytek przywiozę. Wyjąłem z zanadru ozdoby złote, które pan mój dla przyszłej synowej przeznaczył, naszyjnik wartości dobrych dziesięciu syklów złotych i nasznicę wartości dwóch syklów złotych z okładem, i podałem je dziewczeczce. Kiedy odeszła, pokłoniłem się nisko Panu Bogu Ab - Rahamowemu dziękując, że wielmożność Jego przywiodła mnie wprost w dom brata pana mego, skąd przywiozę żonę synowi jego, jako pragnął. Taka jest moja sprawa do ciebie, Batuelu synu Nachora! Odpowiedz, proszę, co ci się widzi, abym wiedział, zali sługa twój może usiąść za stołem, weselić się wraz z wami, albo musi odejść precz z

tego domu?...

Zamilkł i wszyscy milczeli rozważając zarówno piękno i mądrość przemowy, jak rzecz samą. Na schodach słychać było szelest szat, szybkie oddechy, stłoczyły się tam bowiem niewiasty podsłuchując, co gość prawił. Najstarsza córka Batuela, Dinah, szczypała Rebekę ze złością, gdyż była jedną z tych, które odmówiły wody Elizerowi.

Batuel po namyśle zabrał głos.

- Nie masz cennej godnej być postawioną wyżej wiernego przyjaciela. Słyszeliśmy mowę przyjaciela, nie sługi. Zaiste, stryj mój, Ab - Raham, dobrego obrał posła, któremu odmówić trudno. Wiele też słyszano u nas dziwów o Bogu Ab - Rahamowym i nierad bym Go obrażać. Dam chętnie córkę Izaakowi synowi Ab - Rahamowemu. Dlaczego wszakże miałbym wydawać najmłodszą, skoro starsze w domu są?

Przechyliwszy się przez poręcz na dół wezwał żonę, by przysłała z córkami. Pojawiły się natychmiast, jako że stały tuż. Pierwsza weszła Dinah, za nią młodszą Jesa, na końcu za matką spłonioną i zmieszana Rebeka.

- Zali nie godzi się dla Izaaka córka moja Dinah?

- Wybacz, panie mój, śmiałość twego sługi: muzyka w porze żałoby - niewczesne opowiadanie. Ta panna odmówiła mi wody, a tej drugiej nie znam wcale. Napoiła mnie ta trzecia, Rebeka!

- Za młoda jeszcze!

- Izaak syn Ab - Rahama jest także młody i broda ledwie poczyna się kędzierzawić na jego policzkach...

- Ulubienica to matki swojej!

- Ulubienica matki swojej stanie się weselem męża i ozdobą życia jego. Przebacz mi, panie, lecz nie wezmę innej panny niż Rebeka, gdyż ją przeznaczył mi Pan...

- Nie mogę przeinaczać przyrodzonego porządku! - zawołał Batuel.

- Mamli rozumieć, panie, iż odmawiasz prośbie twego stryja, Ab - Rahama, i chcesz, bym powracał z niczym?

Batuel zasępił się. Nie, tego nie chciał.

- Kto ciska kamieniem na ptaki, rozpędza je - rzekł na koniec. - Kto zasmuca przyjaciela, rozwiewa przyjaźń jak piasek pustyni. Cenniejsza mi przyjaźń stryja mego, Ab - Rahama, niż przyzwoity tok swatów. Nie będę ci się sprzeciwiał. Oto przed tobą Rebeka, bierz ją i zawieź synowi Ab - Rahamowemu.

- Niech Bóg Ab - Rahama błogosławi tobie i rodowi twemu po wszystkie dni! - wykrzyknął

uradowany Elizer.

Krzyknął z góry na Sura, by wniósł tłumoki z darami, Batuel zaś posłał syna swego, Labana, po najlepsze wino, jakie posiadano, i zwołał niewiasty. Gdy Elizer jął wydobywać i rozdawać dary, oniemieli wszyscy z zachwytu. Najpierw obdarował starą Melchę, która śmiała się jak dziecko bezzębnymi ustami, potem Batuela, jego braci i synów, pozostałych mężów, potem niewiasty i dziewczyny. Nie ominął nikogo. Na sam koniec zostawił cenne podarki przeznaczone dla Rebeki. Narzucił jej na ramiona mieniące jedwabie, cienkie jak mgła egipskie muśliny, na szyi zawiesił cztery naszyjniki z wisiorkami, na głowę położył kosztowną opaskę, przed nią ustawił szkatułki pachnące. Stała oniemiała, odmieniona, ustrojona jak bogini. Mężczyźni patrzyli na nią ze zdumieniem, niewiasty z zazdrością, gdyż ujawnione bogactwo Ab - Rahama zawróciło wszystkim w głowie jak wino. Słyszeli wiele o AB - Rahamie, lecz nie przypuszczali, by był aż tak możny. Poszczęściło się Rebecę! Lecz ona nagle odrzuciła jedwab i rozplakała się rzewnie kryjąc twarz w ramionach matki.

Mięso na misach stygło od dłuższego czasu i starsze niewiasty nawoływały, by siadano do jedzenia.

- Będziemy ucztować sidem dni - oznajmił Batuel - bo szczęśliwa rzecz stała się w domu moim...

Elizer pokłonił się ojcu Rebeki do ziemi.

- Uczujcie zdrowo, lecz raczcie odpuścić sługę swego, bym mógł wracać z panienką wybraną do pana mojego...

- Zali mniemasz, że mi spieszo dziecko z domu mojego wysyłać? Nie pojedziecie wcześniej jak o przyszłym nowiu.

- Żywie Bóg Ab - Rahamowy, że pojedę jutro z rana. Mój pan jest wiekowy i słabuje, bo go krowa racicą przygniotła. Oczekuje niecierpliwie mojego powrotu. Nie zatrzymujcie mnie, jeśli łaska. Każdy dzień na ucztowaniu spędzony byłby jako gwoździe w oczach moich i jako oszczep w boku moim... Pozwólcie mi jechać jutro...

Batuel zgorszony spojrzał pytająco na starszych braci. Zajęci podziwianiem i próbowaniem darów, jakie otrzymali, nie brali udziału w sporze.

- Jak się wam widzi pośpiech, którego żąda poseł stryja Ab - Rahama?

Buz, który odziedziczył po ojcu rozagę i skłonność do tycia, odparł:

- Kto przyniewolony uczyni jeden krok, musi postąpić i drugi. Zapytajmy jeszcze dziewczyny, zali chce jechać tak skoro, gdyż nie słyszeliśmy dotąd, by wypowiedziała swoją wolę.

Nikt nigdy córki o wolę nie pytał, przeto Batuel zrozumiał wybieg brata i skłonił się przed jego mądrością. Elizer nie będzie skłonny sprzeciwiać się tej, która ma być synową jego pana.

Oderwano splakaną Rebekę od matki. - Chceszli jechać jutro z rana z tym oto mężem od matki twojej i rodzeństwa twego do domu Izaaka syna Ab - Rahamowego?

Zaczerwieniła się, spuściła nisko głowę, łzy płynęły sznurkiem po jej twarzy, ale wyszeptała: - Chcę.

Kamuel syn Nachora mruknął półgłosem bratu:

- Skoro wydajesz najmłodszą, lepiej, że wyjedzie szybko nie budząc niczyjego zdziwienia...

- Słuszna twoja mowa, bracie - przyznał Batuel i uspokoił się od razu. Zaczęli jeść, pić i weselić się. Tylko Dinah była chmurna nie mogąc sobie darować, że nie napoiła starego cudzoziemca. Wszyscy członkowie rodziny ściskali kolejno Rebekę mówiąc: - Siostraś nasza ulubiona. Rozmnoż się w tysiąc tysięcy i niech posiadzie nasienie twoje bramy nieprzyjaciół swoich!

- Elizer wraca! Elizer! - krzyknęła Keturą podrywając z trudem z ziemi swą kwadratową postać. - Elizer wraca!...

Ab - Raham przysłonił ręką oczy. Istotnie, dojrzał zjeżdżające z przeciwległego wzgórza wielbłądy.

- Spójrzcie, kto ma młodsze oczy, ilu ludzi z nim jedzie?

- Zdaje się czterech, nie, pięciu...

- A zatem nie wraca sam...

Ab - Raham odetchnął z ulgą i spojrzął na Izaaka, którego policzki płonęły. Wyszli naprzeciw jadących. Ab - Raham wspierał się ciężko na synu. Gdzie te czasy, gdy pod to samo wzgórze biegł szybko, aż płaszcz rozwiewał się nad nim jak skrzydło? Izaak z trudem powstrzymywał nogi, by kroczyć wolno. Ab - Raham czuł niecierpliwe drżenie podpierającego ramienia.

- Siądę tutaj na kamieniu, mój synu, a ty idź sam na spotkanie żony twojej...

Uśmiechnęli się do siebie wzajemnie, Izaak z tłumaczeniem, ojciec z rozgrzeszeniem. Młody poskoczył żwawo naprzód, lecz wnet zwolnił kroku. Rozróżniał już wyraźnie dwie niewieście postacie na pierwszym wielbłądzie obok Elizera i wrodzona nieśmiałość, której się wstydził, a pokonać nie umiał, spętała mu nogi. Stał na drodze wahający i niepewny. Tamci spostrzegli go również.

- Kto idzie naprzeciw nam? - spytała Semja, mamka Rebeki, towarzysząca dziewczynie, jak niegdyś Noa towarzyszyła Sarai.

- Izaak syn Ab - Rahama - odparł poważnie Elizer.

- Zatrzymaj, panie, wielbłąda i każ mu uklęknąć - prosiła Rebeka. Zsunęła się z siodła, podeszła parę kroków, narzuciła kraj płaszcz na głowę i skrzyżowała ręce na piersiach,

pochylona nisko - czekała. I ją ogarniał lęk na myśl, że idzie ku niej ten, któremu przeznaczone być jej panem całe życie. Nie ma już dla niej ucieczki ni wyboru. Jest własnością mężczyzny stojącego tam, na drodze. Na co on czeka? Czy powinna podejść ku niemu? Czy dobrze zrobiła zsiadając z wielbłąda? Uczyniła to odruchowo, przejęta szacunkiem i strachem. Elizer całą drogę opowiadał jej i Semji, jak wielcy, doskonali, mądrzy są Ab - Raham i syn jego. Te opowieści miast dodać otuchy Rebecce, odbierały jej odwagę. Teść i mąż, ku którym zdążyła, rysowali się w wyobraźni jako wielkoludy z plemienia Enacim, niepodobni do innych ludzi, posiadający wszechpotężnego Boga na swoje usługi. Pochylona, osłonięta, czekała na drodze i bała się coraz to więcej.

Izaak z wysiłkiem oderwał nogi od ziemi i zbliżył się ku niej. Podniósł dłoń, by odjąć z głowy dziewczyny zasłonę, i zastygł w tym ruchu. Jakąż twarz odsłoni? Czy skośne oczy, łakome wargi przypominające Ainę? Bywało, że sam tego pragnął, lecz teraz na myśl, że tak może być, ogarniała go odraza. Omal że na głos nie zawołał: Matko! Gdyby matka była z nim... Serce biło mu głośno. Przemógł się i odrzucił płaszcz z głowy narzeczonej. Zobaczyli się oboje twarzą w twarz. Izaak spostrzegł najpierw, że dziewczyna jest równie strwożona jak on, że patrzy na niego wzrokiem złowionego ptaka, i na ten widok własna nieśmiałość opuściła go bez śladu. Poczul się mężny i mocny. Zapragnął dodać jej otuchy i uśmiechnął się powitalnie. Odwzajemniła mu pokornym, słabym uśmiechem. Nieco skrzepieni, przyglądali się sobie bez słowa, z ulgą i radością stwierdzając, ona - że nie olbrzym to żaden ani groźny mąż, lecz jasnowłosa, nieśmiały chłopaczek o rozumnym, łagodnym spojrzeniu. On - że nie dziewa zuchwała, natarczywa, ale rówieśnica, miłuchna towarzyszka, przyjaciółka o czole niewinnym i ustach pełnych dobroci.

Elizer patrzył na nią z radością i dumą. Semja klęczała, jak przystoi nowej słudze, lecz spod zasłony przyglądała się Izaakowi krytycznie.

- Izaakowi synu Ab - Rahama - rzekł Elizer - oto jest Rebeka, panna, żona twoja, z krwi stryja twego, Nachora syna Tarego...

- Zowią cię Rebeka? - zapytał Izaak i nagle, nie wiedzieć czemu, roześmieli się oboje jak dzieci. - Pójdź, Rebeko - dodał, ujmując dłoń narzeczonej. - Pójdźmy do ojca mojego, który czeka na nas...

Kiedy nadeszła pora, aby Ab - Raham syt dni połączył się z ojcami swoimi, Izaak posłał po brata swojego przyrodniego, Ismaela, naczelnika plemienia wojowników z pustyni, żeby przyszedł pożegnać ojca. Ismael przywiódł ze sobą trzech synów, których imiona były: Nabajot, Kedar i Abdel, wszyscy ciemni i urodziwi jak on. Izaak stanął po prawej stronie ojca, Ismael ze swymi chłopcami po lewej. Ab - Raham położył dłonie na głowach swych synów.

- Bóg ojca waszego - mówił - niech będzie pomocnikiem i stróżem waszym, niech okryje was błogosławieństwami niebieskimi z góry i błogosławieństwami otchłani leżącej w dole, błogosławieństwami piersi i żywota. Błogosławieństwo w domu i błogosławieństwo w polu. Błogosławieństwo wchodząc i wychodząc. Błogosławiony owoc ziemi waszej i owoc bydła waszego, stada i zagrody owiec. Błogosławione gumna, błogosławione dostatki. Niech nieprzyjaciółki wasze upadają w proch. Jedną drogą wynijdą przeciw wam, a siedmioma drogami uciekać będą. Spuści Pan błogosławieństwo na komory wasze i na wszystkie dzieła rąk waszych, będzie błogosławił krwi waszej i ziemi, w której zamieszkacie...

...Izaaku, synu mój! Pan ustanowi nasienie twoje ludem świętym swoim. Ujrzą wszystkie narody ziemi, że Imię Pańskie jest z tobą, i oczekiwać będą zbawienia od nasienia twego... To wszystko stanie się wam, synu mój, Izaaku, synu mój, Ismaelu, jeżeli czcić wiernie będziecie Pana, Boga Prawdziwego, Jedyne, któremu nie masz początku i końca, a nie ustąpicie odeń ani na prawo, ani na lewo, ani za bogami cudzymi nie pójdziecie. Słuchajcie głosu Jego, a miłujcie Go, bo wielki i sprawiedliwy jest... Drogi Jego - piękne drogi, a ścieżki spokojne...

Tak mówił Ab - Raham, aż od zmęczenia urwał. Poleciał wszystkim odejść, nawet Izaakowi, i nie przychodzić, aż na ich zakłócaze. Wyszli, ociągając się. Ab - Raham pozostał sam i zbierając gasnące siły - czekał. Czekał, że Pan przemówi do niego i ukaże mu Oblicze swoje. Wszak obiecał niegdyś, niegdyś, gdy odwiedził go w dąbrowie i zapowiedział narodziny Izaaka: - Ujrysz mnie, Ab - Rahamie, kiedy przyjdzie pora. Oto jest pora ostatnia, gdyż śmierć rychło zgasi wzrok. Nie może Pan obiecać, a nie dotrzymać, więc kiedyż Go ujrzę? Ciało moje już drętwieje, umarli nie rozpoznają nikogo. Zali mają oczy otworzone w grobie? Pośpiesz się, Ty, który władasz życiem człowieka i śmiercią. Sługa Twój chce podziękować za wszystko, czymś go obdarzył. Niech się do głosu mojego dołączą góry i morza wysławiające chwałę Pana. Niech głos swój wydadzą głębokość, wysokość, obłoki, deszcze, nawałnice i pioruny, gdyż nimi też rządzi Pan. Niech Go wysławia wraz ze mną wszelki zwierzę duszy żyjącej i ptactwo podniebne, i wszystko, co rośnie i ozdabia ziemię, niech wysławia wielkość Pana...

Splątały się naraz myśli Ab - Rahama, urwały i spłoszone przypadły. Świat i serce bowiem ogarnęła cisza, cisza dobrze znana, głęboka i nieobjęta; nie cisza nicości i śmierci, lecz cisza Nadejścia.

- Mów, Panie, sługa Twój słucha - szepnął starzec i rozradował się w duchu swoim. Nie czuł lęku ani grozy. Dusza jego stała u podwoi Pańskich, niby zniwiarz spracowany, zgłaszający się po zapłatę swoją. Wiedział teraz, że Pan nadejdzie odprawić sługę swojego i oczekiwał w spokoju.

Cisza pogłębiła się, jak gdyby nie tylko ziemia wstrzymała oddech, lecz słońce zahamowało bieg swój i gwiazdy stanęły na okrężnych drogach swoich. W ciszy umierający posłyszał słowa, te same co niegdyś: "Ujrysz mnie, Ab - Rahamie, kiedy przyjdzie pora..."

Odszedł Pan, oddycha ziemia, szeleści wiatr, w dali beczą owce, świergocą ptaki. Niewypowiedziana radość zalewa umysł starego człowieka: Zobaczę Pana mojego, zatem będę żył... Nie jest śmierć końcem istnienia. Stworzony zostałem na obraz i podobieństwo Boże, a czyż może z Nieśmiertelnego pochodzić śmiertelne?

Posłyszał szelest obok swego łoża.

- Kto tu jest ze mną? - zapytał. Izaak podniósł twarz zalaną łzami. Niezdolny rozstać się z ojcem, wsunął się przed chwilą do namiotu. Pierwszy raz w życiu nie posłuchał woli rodzica, ale Ab - Raham uśmiechnął się doń radośnie: - Synu mój, Izaaku, uważaj, coć rzekę: Umrę, a przecież żyć będę... Umrę, ale oczy moje zobaczą Pana mojego...